

NA
KONIECU
WCHODZĄ
NINJJA



Powieść
współscenarzystki
gry **Wiedźmin 3.**
Dziki Gon

SASZA HADY

NA
KOŃCU
WCHODZĄ
NINJA

SASZA HADY

Dla BD



Wszystkie opisane postaci są fikcyjne, a wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, miejsc i zdarzeń – przypadkowe i niezamierzone. Studia Nasty Oranges (Pomarańcze), Neverland (Piotrusie) oraz Lucid Dreams nigdy nie istniały (a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo).

Czytelnicy, którzy nie mieli dotąd do czynienia z branżą tworzenia gier komputerowych (czyli gamedevem), znajdą w umieszczonym na końcu słowniku dostępne wyjaśnienia wybranych terminów.

Spis postaci istotnych dla fabuły

Jasiek Ritmeijer – intrygująco nieobecny [creative director](#). Pół-Holender, autor popularnych komiksów i duchowy ojciec Finnleya. Od dzieciństwa zakochany w powieściach o kanadyjskich traperach.

Marcin Stawecki – minął się z powołaniem. Niespotykane uparty osobnik.

Wojtek Mazurek – małomówny [quest designer](#) prześladowany przez rozmaite odmiany pecha. Często dostaje po pysku, zazwyczaj niezasłużenie.

Mat Chojnacki – przystojny, niegłupi i powszechnie lubiany [game director](#). Nie ma go, jest na spotkaniu.

Asia Sosnowska – quest designerka o tajemniczym uśmiechu. Wie więcej, niż mówi.

Danka – mól książkowy. Farbuje włosy na czerwono.

Tomek Tyrowicz – [executive producer](#). Dawny kolega Marcina ze studiów. Człowiek, który ma plan.

Paweł Stentor – quest designer o niespożytej energii. Fan *Wiedźmina*, marzy o przeniesieniu się do CD Projekt RED.

Andrzej Domański – ten od kubka z Pac-Manem. Kudłaty [gameplay designer](#), jedyny kumpel Krzyśka. Obrotny intrygant o aparycji pirata.

Krzysiek Strzelczyk – mizantrop i pracoholik. Team leader programistów. Chłopak Danki.

Karolina Jasień – nieśmiała i bardzo atrakcyjna; niedawno dołączyła do zespołu [postaciowców](#).

Marta Trzaskacz – białowłosa wielbicielka *BioShocka* i umiarkowanej swobody obyczajowej. Animatorka w Neverland Studios.

Julka – bardzo samodzielna osoba.

Sonia – dziewczyna Jaśka Ritmeijera. Lepiej na nią uważać.

Jacek Brzeźniak – quest designer. Histryk i maruda zbzikowany na punkcie zdrowej żywności.

Postaci drugo- i trzecioplanowe

Nela Rutkowska – nieszczęśliwie zakochana programistka.

Antek Hejdasz – [head of studio](#) w Nasty Oranges. Człowiek o szatańskich brwiach. Ostatnio udęczony brzemieniem pewnej tajemnicy.

Franek Kilariski – pewny siebie złotowłosy programista. Bywa mylony z nordyckim bogiem.

Kacper Maciejak – sympatyczny [producent enviro](#) z odstającymi uszami.

Olga – wyrozumiała dziewczyna Marcina.

Pani Jagoda – jedyna osoba w firmie nieskażona [gamedevem](#).

Emilka – właścicielka uroczych dołeczków w policzkach. Głos rozsądku w mieszkaniu na Gwiazdzistej.

Staszek Fraczyński – [tester](#), współlokator Wojtka Mazurka, chłopak Emilki.

Adam Wróbel – początkujący tester o elfiej urodzie i romantycznych inklinacjach, czwarty lokator na Gwiazdzistej.



Prolog

Letho: Oto głowa króla [...].

Egan: Strasznie ciężka, mam z tym iść przez las?

Trudno będzie miecza dobyć.

Letho: Pójdiesz bez broni, w normalnym odzieniu.
Postaraj się, by nikt cię nie zobaczył, a jak kto zapyta –
niesiesz wiedźmie kapustę.

Egan: Przecież widać ją na milę! I czuć octem! Muszę
znaleźć jakiś gruby worek.

Wiedźmin 2. Zabójcy królów, CD Projekt RED 2011

Z ciemnej gęstwy lasu dobiegło wycie wilka. Na chwilę zawisło w mroźnym powietrzu, wibrując, po czym opadło, a wtedy podjęły je kolejne głosy.

Psy biegnące w zaprzęgu nie okazały niepokoju, tylko przyspieszyły, zdeterminowane i skupione. Zaś powożący nimi Noah Finnley dokonał w głowie szybkich obliczeń i zrozumiał, że umrze. A to bardzo, ale to bardzo kłóciło się z jego obecnymi planami.

Jeszcze kilka godzin wcześniej, kiedy pędził przez śniegi w przeciwnym kierunku, w głąb Terytoriów Północno-Zachodnich, przyjąłby taki los z większym spokojem. Chciał dopaść Ezrę Bairda, ostatniego z bandy, ale polował na niego tak długo, że żądza zemsty ustąpiła znużeniu i pod koniec chciał już tylko wykonać zadanie, honorowy obowiązek, który sam na siebie nałożył. A później, kiedy leżał na brudnej podłodze drewnianej chaty obok wykrwawiającego się Ezry, zaciskając obie dłonie na swojej ranie i opadając powoli w lepłą, ciepłą ciemność, pomyślał nawet, że to byłoby dobre zakończenie. Czyż nie mawiał zawsze, że chciałby umrzeć pod niebem dalekiej Północy? Zaczął czołgać się w stronę drzwi, ale właśnie wtedy Ezra Baird ostatnim wysiłkiem przekręcił się na bok, żeby móc na niego spojrzeć, z trudem rozwarł zaciśnięte w agonalnym skurczu szczęki i zaczął mówić.

Wspomnienie jego słów uderzyło Finnleya jak fala gorąca. Popędził psy ochryplym okrzykiem i jeszcze raz ocenił swoją obecną sytuację. Przez tę chwilę niedowierzania i sprzeciwu wobec nieuniknionego niewiele się jednak zmieniło – wiedział dokładnie, jakby miał w głowie rząd mechanicznych wskaźników, jak długo szlak pozostanie przejezdny w sypiącym gęsto śniegu, ile wytrzymają psy i on sam, jak dużo ma prowiantu i naboji, ile czasu potrzebują, by dotrzeć do factorii, i kiedy wilki dogonią zaprzęg.

Zaklął pod nosem. Gdyby nie był ranny, mógłby na chwilę zeskoczyć z sań i biec przy zaprzęgu, żeby odciążyć psy. Gdyby dwa dni temu nie uparł się, że pojedzie sam szukać Ezry, miałby przy sobie zdolnego strzelca i przyjaciela,

doktora Maya. Gdyby nie chciał podróżować najszybciej, jak się da, zabrałby więcej prowiantu. A gdyby nie był tak naiwny, nie musiałby słuchać szyderstw umierającego Bairda, żeby wreszcie, po tych wszystkich latach, poznać prawdę.

Wataha zaatakowała, kiedy zaprzęg wjechał w dolinę. Finnley widział, jak smukłe, ciemne sylwetki zbiegają z ośnieżonego zbocza – bezgłośnie, szybko i pewnie. Miał jakieś pół minuty na podjęcie decyzji.

Zarzucił sobie na plecy worek z prowiantem, a potem dobył noża i przeciął skórzane pasy przymocowane do szelek psów – dziewięć z nich rozbiegło się, a dziesiąty, którego przytrzymał mocno za obrozę, szarpnął się, a później podniósł na niego żółte, niepokojąco inteligentne oczy.

– Hoo, Ninigret – szepnął Finnley, poklepując wilczura po nastroszonej, gęstej grzywie na karku. Potem połączył liną pas swoich spodni z resztkami jego uprząży i ruszył w stronę ściany lasu po drugiej stronie doliny. Ninigret, wiedząc już, czego się po nim oczekuje, wszedł w rytm i wyrzucając w górę tylnymi łapami fontanny świeżego śniegu, pognął przed siebie. Finnley wiedział, że wilkom nie zajmie wiele czasu rozprawienie się z psami i nie zrezygnują z pościgu za kolejną łatwą zdobyczą, ale miał szansę dobiec do jakiegoś drzewa, na które da się wdrapać, albo...

Na widok małej, przekrzywionej chatki myśliwskiej wydał z siebie słaby, chrapliwy okrzyk radości. Miał szansę jedną na sto, że trafi w tej głuszy na coś takiego. Przywiązał psa do haka przy zabitym deskami oknie, a sam zaczął kopać, żeby odblokować zasypane śniegiem drzwi. Już kończył, kiedy usłyszał niskie warczenie. Ninigret przysiadł na ugiętych łapach i obnażył zęby, wpatrzony w ciemne sylwetki, które przekradały się ku nim pojedynczo zza drzew. Finnley szarpnął za drewniany uchwyt, ale drzwi nie ustąpiły. Usunął jeszcze kilka cali zmrożonego śniegu zalegającego przy progu i przez chwilę szarpał się z drzwiami, zanim dotarło do niego, że są zamknięte. A ja nie mam klucza – pomyślał z idiotycznym rozbawieniem.

Wilki zatrzymały się na moment, kiedy huknęły wystrzały. Finnley zbadął palcami zawiasy drzwi. Skoro przestrzelenie zamka nie pomogło, znaczy, że są zablokowane od wewnątrz. Przez moment mignął mu w wyobraźni obraz ludzkiego szkieletu skulonego po drugiej stronie, a potem o wiele bardziej barwna i realistyczna scena, w której wilki rozszarpały jego własne gardło. Z krótkiego rozbiegu uderzył w drzwi barkiem, ale zyskał tylko tyle, że rana, w której wciąż tkwiła kula z rewolweru Ezry, znów się otworzyła, a on z bólu osunął się na kolana.

Wilki były już tylko o jakieś dwanaście, trzynaście jardów od nich. Finnley nie musiał nawet próbować ich liczyć, żeby zorientować się, że jest ich więcej, niż miał amunicji. Mimo to opróżnił wszystkie mieszki z kulami. Te wilki, których nie zastrzelił, rozbiegły się na chwilę, ale nie odeszły daleko. Podchodziły teraz wolniej, ostrożniej, wyginając grzbiety i szykując się do skoku.

Ninigret drżał cały z podniecenia. Finnley przysunął się do niego i wyjął nóż. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że może bardziej po ludzku byłoby zachować ostatnią kulę dla wiernego przyjaciela. Pies rzucił mu szybkie spojrzenie, zbyt skoncentrowany na czających się wilkach, żeby zwracać na niego uwagę. Finnley zawahał się, mimowolnie wspominając, jak odkupił go za absurdalnie wysoką cenę od zapijaczonego Francuza organizującego walki psów. Ninigret, mieszaniec kingmika i jakiegoś półdzikiego szpica, był wtedy poranioną, pokrytą liszajami kupką nieszczęścia z ropiejącym okiem. Finnley oswajał go przez wiele długich miesięcy, a potem przewędrowali razem całą Kolumbię Brytyjską, wzdłuż i wszerz. Przez ten czas nauczył się ufać mu bardziej niż ludziom i – jak się okazało kilka godzin temu – po stokroć miał słusność.

Finnley przeciął nożem naprężoną linę.

Od początku starał się tłumić w Ninigrecie agresję i instynkt walki, ale wiedział, że tak podrażniony pies nie będzie w stanie oprzeć się wyzwaniu.

Szansa, że sam pokona pięciu przeciwników, była niewielka, ale Finnley wiedział, że musi spróbować.

Ninigret ruszył do przodu na ugiętych łapach i wciągnął chciwie w nozdrza powiew wiatru. Nagle przystanął, zastrzygł uszami i zwrócił łeb w drugą stronę, na południe. Drepcząc w miejscu, wydał z siebie wysoki, niespokojny skowyt. I rzucił się do ucieczki.

Umarłem – pomyślał Finnley. Umarłem i trafiłem do nieba dla traperów, gdzie jest sucho, ciepło i pachnie jakąś pieczenią. Prawdopodobnie powinien odczuwać ulgę, ale dławiło go rozczarowanie i bezsilność. Gdyby tylko mógł cofnąć się w czasie do bezpiecznego punktu, zanim wszystko trafił szlag, i – zachowując pamięć swoich doświadczeń – zacząć jeszcze raz, podjąć inne decyzje. Szarpnął głową w spazmie rozpacz, a wtedy jego ramię przeszył palący, błogosławiony ból.

Finnley otworzył oczy i wpatrując się w pociemniałe ze starości belki nad głową, uśmiechnął się szeroko. Przycisnął brodę do obojczyka, żeby spojrzeć na ranę. Ktoś bardzo sprawnie go opatrzył, okrył derką... Tymczasem ostatnie, co pamiętał, to zapadająca szybko ciemność i chrzęst zamarzającego śniegu pod wilczymi łapami. Kiedy Ninigret uciekł, od razu się na niego rzuciły i w ostatniej chwili udało mu się wdrapać na dach chaty po stosie drewna i jakichś beczkach. Tam przywarł do rozpadającego się ze starości komina, licząc, że wilki zrezygnują. Ale były cierpliwe. Powoli jego ciało drętwiało i obawiał się, że w końcu zacznie się zsuwać. Wiedział, że absolutnie nie wolno mu teraz zasnąć, i dlatego zamknął oczy tylko na moment.

Tylko co stało się potem?

Jego wzrok powędrował w stronę źródła światła silniejszego niż ogień buzujący w palenisku. Ktoś wyrębał siekierą deski zasłaniające okno i zapewne tak dostał się do wnętrza chaty. Odcień jasności mżącey po drugiej stronie powiedział Finnleyowi, że właśnie spadł świeży śnieg, że jest wczesne przedpołudnie i czas ruszać.

Spróbował się podnieść i zmartwiało. A więc jednak w tym cudownym, niewytłumaczalnym ocaleniu było jakieś „ale”. Nie mógł poruszyć nogami. Nawet ich nie czuł. Jak długo przeleżał na dachu na mrozie? Przez chwilę zbierał się na odwagę, aż w końcu zacisnął zęby i z trudem uniósł się na łokciach, żeby przekonać się, czy kiedyś jeszcze będzie mógł chodzić.

Leżący całym ciężarem na jego nogach Ninigret oddał mu spojrzenie i lekko poruszył ogonem. Najwyraźniej nie zamierzał się podnieść, mimo że jego pan już się obudził. Finnley opadł znów na posłanie i parsknął śmiechem.

Rozprostowanie stężonych mięśni i ubranie się zajęło mu sporo czasu. Widząc, jak zgrabnie dziura w jego kurtce, którą przebiła kula Bairda, została zacerowana, domyślił się, komu zawdzięczał ocalenie. Teraz zapewne poszła po wodę do strumienia albo po drewno. Zastanawiał się, czy zdąży wyruszyć w drogę na tyle szybko, żeby się z nią nie spotkać.

Ruszył ku drzwiom, zapinając po drodze pas, i jednocześnie z Ninigretem wyjrzał na zewnątrz. Chłodne powietrze niemal go oparzyło, kłując popękana, odmrożoną skórę. Zmrużył oczy, a kiedy już przyzwyczaił się do oślepiającej jasności śniegu, zobaczył, że przed chatą czekają dwa gotowe do drogi zaprzęgi, zaś zza drzew wylania się gromada myśliwych. Wszedł przed chatę, a wtedy od grupy oderwała się niewysoka, smukła postać i pobiegła ku niemu, szeroko rozkładając ramiona. W przejrzystym powietrzu frunęły za nią złociste loki jak roztańczony ogon komety.

Jej drobne ciało uderzyło w niego z radosnym impetem, zaczęła go ścisnąć, śmiać się i opowiadać bezładnie.

– To Ninigret, on nas do ciebie sprowadził. Musiał jakoś wyczuć nas z daleka i przybiegł po pomoc. A mówiłam ojcu, że musimy za tobą jechać... Dwa dni go przekonywałam. Pomyśl, gdyby mnie nie posłuchał! Byłeś całkiem zimny i sztywny, kiedy cię ściągnęliśmy...

Przez cały ten czas się nie poruszył, czując, że serce ciąży mu coraz bardziej.

Pierwszy raz widział Louise May w podróżnym stroju, dotąd zawsze chodziła tylko w eleganckich sukniach – prawdziwa mała dama w każdym calu. Ta dziewczęcość najbardziej go w niej pociągała, bo podkreślała, jak bardzo niepodobna jest do Avery. Teraz, gdy stała tuż przy nim w kurtce ze skóry karibu i myśliwskich spodniach, wtulając twarz w jego pierś, to gdyby nie te złote włosy, mógłby uwierzyć, że to tamta, ta utracona.

Louisa May skończyła wreszcie paplać i podniosła ku niemu okrągłą po dziecięcemu buzię. Jej oczy, intensywnie zielononiebieskie niczym jezioro Moraine, patrzyły na niego z taką ufnością i uczuciem, że skrzywił się jak smagnięty biczem. Musiała coś wyczytać z jego twarzy, bo zbladła i wpiła mu mocniej palce w żebra, z całej siły.

– Zabiłeś go, prawda? Ezra nie żyje. To koniec. Wszyscy z bandy braci Baird nie żyją. Zapłacili za jej śmierć. Tak jak chciałeś.

– Tak.

– Więc gdzie chcesz znowu jechać? – Małe usta w kształcie serca drżały. – Mówiłeś... obiecałeś, że to koniec.

Mógł opowiedzieć jej wszystko. Powtórzyć słowo w słowo to, co rzucił mu w twarz umierający Ezra Baird. Wyjaśnić, że musi szybko dotrzeć do Charlesa Siringo, bo to jego jedyny trop. Mógł się tłumaczyć, przeproszać, kłamać albo znów jej czegoś naobiecować. „Musisz zrozumieć”, „To już nieaktualne”, „Czy kiedyś mi wybaczysz?”, „Wrócę do ciebie”. Ale kiedy spojrzał jej prosto w oczy, zrozumiał, że ona już wie. Dlatego powiedział tylko:

– Avery żyje. Muszę ją odnaleźć.

Warszawa, Saska Kępa, sobota 9 listopada 2013

Jasiek Ritmeijer znika

– Muszę ją odnaleźć – mruknął Paweł Stentor i zachichotał. Uwielbiał pisać te melodramatyczne kawałki.

Zapisał zmiany w pliku dialogowym i dopił resztkę wiśniowej coli z puszki. Wiele osób w Nasty Oranges wierzyło, że ten napój bogów dodaje im nadludzkich sił i pozwala pracować praktycznie w nieskończoność, ale akurat Paweł, którego wystarczająco napędzała czysta, szaleńcza pasja, pił ją raczej w ramach solidarności z zespołem.

Dochodziła druga, więc zaczynanie nowej sceny nie miało sensu, ale i tak przez chwilę ze sobą walczył – może tylko zerknie, co tam jest do zrobienia? Nie, nie ma się co oszukiwać: to było jak obiecywanie, że po otwarciu paczki zje się tylko jedno ciastko. Westchnął tęsknie i z ociąganiem przełączył komputer w tryb czuwania. Kiedy układał się wygodnie pod biurkiem, do pokoju questowców zajrzał ochroniarz robiący nocny obchód.

– Już pan idzie spać, panie Pawle? – zapytał życzliwie.

– Tak, niestety.

– A co dziś pan pisał?

– Prolog. Znowu.

– Hmm, który to już raz?

Paweł podsunął sobie pod głowę zwinięty sweter i zaczął bezgłośnie liczyć.

– Chyba dwunasty.

Ochroniarz pokiwał głową z zadowoleniem, jakby właśnie uzyskał kolejny dowód na to, że świat funkcjonuje prawidłowo: słońce wstaje na wschodzie, bociany odlatują na zimę, questowcy po raz kolejny przepisują dialogi.

– Prolog jest zawsze najtrudniejszy – powiedział ze znawstwem.

– Szczerze mówiąc, zapowiada się, że tym razem będziemy mieć dużo więcej problemów z zakończeniem. Kto dziś jeszcze zostaje?

– Tylko pan Franek. Śpi w salce konferencyjnej. Pan jest ostatni na nogach, jak zwykle – uspokoił go. – To ja już pójdę, nie będę przeszkadzać. Zgasić panu światło?

– A tak, dziękuję. Dobranoc, panie Ludwiku.

Ochroniarz skinął mu przyjaźnie głową i wycofał się na korytarz. Lubił Pawła Stentora, aczkolwiek na pewno poważałby go o wiele bardziej, gdyby ten był prawdziwym pisarzem (to znaczy: z zawodu), a nie biologiem. Z całego zespołu tylko creative director, Jasiak Ritmeijer, miał odpowiednie kompetencje jako autor komiksów, ale za nim z kolei pan Ludwik nie przepadał. Reszta zespołu też była po jakichś niepoważnych studiach: architektura, dziennikarstwo czy inne socjologie. Aż dziwne, że losy Noaha Finnleya (którego pan Ludwik szanował, rzecz jasna, najbardziej) powierzono takim ludziom.

Całe studio Nasty Oranges było pogrążone w ciszy. Kiedy szedł przez skąpo oświetlone korytarze, słyszał tylko lekkie skrzypienie gumowych podeszew swoich butów i szelest sztywnej bluzy. Sprawdzał, czy we wszystkich pokojach pogaszono światła, czy okna są porządnie zamknięte, a nawilżacze włączone, ale tak naprawdę o wiele ważniejsze było to powolne, pełne namaszczenia przechadzanie się. Nocą w budynku panowała zupełnie inna atmosfera niż za dnia, kiedy korytarze były pełne, trzaskały drzwi i wszyscy wrzeszczeli jak opętani, i pan Ludwik napawał się teraz tym intymnym, kosmicznym spokojem. Miał poczucie, że zaglądając w każdy kąt, odpiera ciemne siły chaosu, jakby samo jego spojrzenie odnawiało ochronne czary wplecione w mury budynku, a gdyby go zabrakło, ci wariaci za dnia rozpieprzyliby studio w drobny mak.

Na podeście pierwszego piętra zatrzymał się, żeby pokontemplować przez chwilę oprawione w podłużną antyramę szkice koncepcyjne z poprzedniej części gry. Wszystkie z ustawionych w rzędzie rysunków przedstawiały Louise May, ale każdy w innej pozie, ubraniu lub – te były najlepsze – bez ubrania. Mając miłą świadomość, że obcuje z prawdziwą sztuką, przyjrzał się niedużym, zawadiacko uniesionym dziewczęcym piersiom i skąpym batystowym majtkom. Zawsze mu się wydawało, że kobiety w tych czasach nosiły wielkie, workowate pantalone, ale pan Florek, [art director](#), wyjaśnił mu, że w grze pewne rzeczy traktuje się umownie. Niewątpliwie było to dobre i słuszne.

Pan Ludwik sprawdził pierwsze piętro, a potem drugie – tam spędzał zawsze najmniej czasu, bo pokoje dyrektorów nawet nocą emanowały taką atmosferą

władzy i autorytetu, że czuł się nieswojo. Kiedy wrócił na dół, na recepcję, zrobił sobie mocnej, gorącej herbaty z cukrem.

Jakiś kwadrans po tym człowiek, który ukrywał się pod biurkiem w pokoju Jaśka Ritmeijera, wymknął się cicho na korytarz. Poruszał się czujnie, ale pewnie. Na parterze skierował się od razu do tylnego wyjścia, otworzył drzwi kluczem i wtopił się w deszczową, listopadową noc jak duch.

Pan Ludwik nadstawił uszu, kiedy przez okno od strony ulicy usłyszał warkot silnika, ale potem od razu wrócił do obserwowania poczynąń Waltera White'a na swoim nowym tablecie. To był urodzinowy prezent od córki i jeszcze nawet nie usunął przezroczystej folii ochraniającej ekran.

Dopiero dwa dni potem ustalono, że to tej właśnie nocy – w sobotę dziewiątego listopada – Jasiak Ritmeijer zniknął bez śladu.

19 listopada – 26 listopada 2013

Marcin nie jest zainteresowany

– Cześć, stary. Nooo, gratulacje! Słyszałem, co się stało.

– Mam wrażenie, że słyszała już cała Warszawa – mruknął ponuro Marcin Stawecki. W ciągu ostatniej godziny odebrał trzy podobne telefony i miał przeczucie, że ten wcale nie będzie ostatni.

– O, widzę, że już cię ta sława męczy – zarechotał Tomek. – Ale to musiała być piękna scena! Żałuję, że tego nie widziałem. Trzeba było poprosić kogoś, żeby nagrywał na komórce. Jego całkiem zamurowało, co? – Z każdego słowa biła dzika frajda.

– Mhm. – Marcin usiadł ciężko na łóżku i oparł się o ścianę. Jeszcze kilka godzin temu był z siebie dumny, ale im więcej czasu mijało od jego wystąpienia, tym wyraźniejszy czuł niesmak.

Najzabawniejsze, że wcale tego nie planował. Oczywiście nie raz myślał o odejściu z pracy, ale to były niezobowiązujące, relaksujące rozważania o sile

sprawczej mniej więcej równej refleksji, że warto by było kiedyś wrócić do kajakarstwa. No i to nawet nie był jeden z tych naprawdę złych, paranoicznych dni, kiedy wszystko idzie na opak i zaczynasz serio podejrzewać, że ktoś ustawia czerwone światła na skrzyżowaniach z myślą o tobie, a drukarka nauczyła się jakimś cudem rozpoznawać, kiedy to ty wysyłasz jej pliki, żeby precyzyjnie cię prześladować – zwykły, nudny wtorek w świecie korporacyjnych absurdów. Żadnych przełomów, dramatycznych załamaniań i czerwonej mgły przed oczami. Marcin po prostu nagle poczuł w sobie spokojną pewność, że nie wytrzyma tam ani godziny dłużej, że nie zamierza niczego już wytrzymać i że wytrzymał o wiele więcej, niż powinien. Tak musi się czuć lawina, kiedy z niepowstrzymanym, majestatycznym impetem pożera alpejską wioskę.

Miło byłoby stwierdzić, iż fakt, że przysłuchiwało się temu całe biuro, nie miał żadnego znaczenia, ale rzecz jasna wyczuwał milczące poparcie innych i to nakręcało go, by mówić dalej. Dotąd nie przepadał za publicznymi wystąpieniami, ale ostatecznie jak często człowiek ma okazję powiedzieć szefowi, co naprawdę o nim myśli? Sam był zaskoczony, jak płynnie mu to szło. Patrzył w te małe, cwane, latające na wszystkie strony oczka i punkt po punkcie udowadniał mu, jakim jest żalonym, obłudnym, niekompetentnym bucem. Wyglądało to, jakby sobie wszystko wcześniej przygotował – i poniekąd tak było: codziennie w drodze do domu niemal bezwiednie przemawiał do buca w myślach. Te miażdżące, cięte riposty miały nigdy nie opuścić kameralnego teatrzyku jego głowy – bo co by to niby zmieniło? Jednak tego wtorkowego popołudnia, kiedy na spotkaniu motywacyjnym, które jak zwykle przerodziło się w dręczenie kozłów ofiarnych i festiwal nonsensu, zapytano tradycyjnie, czy ktoś chciałby coś powiedzieć, pomyślał: czemu nie?

Szef oczywiście chciał mu natychmiast przerwać, bo nikt, kto doszarpał się takiego stanowiska, nie da sobie w kaszę dmuchać, ale równie dobrze mógłby próbować zatrzymać gołą dłonią piłę mechaniczną. Marcin po prostu huknął na niego jak na przedszkolaka i kontynuował, pijany adrenaliną i całkowicie przekonany o tym, że ma rację. Bo miał – po stokroć, po tysiącokroć miał rację.

Później odwrócił się i wyszedł niespiesznym krokiem. Nogi same poniosły go w stronę British Bulldog Pubu, gdzie spędził czas bardzo miło i kosztownie. Dopiero w drodze do domu, kiedy wypita whisky wywietrzała mu z głowy, przestał się tak szeroko uśmiechać.

Czego właściwie dokonał? Przygadał tchórzliwemu, małosłownemu półgłówkowi, który nawet jak pierdnie, to zasłania się decyzją zarządu. Gdyby chciał naprawdę załatwić sprawę po męsku, powinien nakłaść mu po ryju i tyle. Ale na tym właśnie polega niszcząca siła korporacji – dzień po dniu kastruje cię i ogłupia tak, że naprawdę zaczynasz wierzyć, że przecięcie palca kartką papieru boli bardziej niż cios w wątrobę. Powoli docierało do niego, że jego wystąpienie nic nie zmieni, że nikomu nie pomógł, bojowo potrząsając pośladkami jak William Wallace – a pewnie nawet zaszkodził. Teraz szef będzie usiłował za wszelką cenę odzyskać autorytet i zacznie ich gnębić jeszcze bardziej. No, brawo.

– Ale ulżyło ci, co? – dopytywał się Tomek z uciechą.

– Ulżyło. A co u ciebie? – rzucił zmęczonym głosem, próbując przenieść grę na drugą połowę boiska.

– Nieźle. Wiesz co, tak już serio, to myślę, że naprawdę dobrze zrobiłeś. Zawsze ci mówiłem, że marnujesz się w tej pracy.

– Nie mówiłeś, bo nie rozmawialiśmy ze sobą od jakichś dwóch lat.

– To już dwa lata? Naprawdę? – Tomek był autentycznie zdziwiony. – Niesamowite, jak ten czas leci. Słuchaj, właściwie to dzwonię z interesem.

– Tak?

– Przydałby nam się w firmie producent. Myślę, to mogłoby być coś dla ciebie. Fajna fucha, mówię ci.

– Hm? – Tego się nie spodziewał. – To znaczy, miło, że pomyślałeś o mnie, ale... Czeka, ty dalej pracujesz w Nasty Oranges?

– No oczywiście – odparł Tomek takim tonem, jakby go zapytano, czy Heath Ledger jest najlepszym Jokerem. – Teraz jestem executive producerem.

– Ale przecież ja się zupełnie nie znam na robieniu gier.

– Producent nie musi się na tym znać. Trzeba mieć po prostu zdolności organizacyjne i szybko się orientować w sytuacji. Mówię ci, z twoim doświadczeniem menadżerskim spokojnie dasz radę.

– Słuchaj, dzięki, ale nie planowałem od razu czegoś szukać – powiedział stanowczo. – Powinienem najpierw wszystko sobie przemyśleć. No i potrzebuję wakacji.

– To jednak dobrze ci tam płacili, skoro stać cię na przerwę w pracy i jeszcze wakacje. Gdzie się wybierasz? Na Kanary? Widziałem, że są ostatnio tanie loty.

– Właściwie to planowałem małe wakacje tutaj, na Pradze – powiedział swobodnie Marcin i omiół spojrzeniem przytulny pokój. – Wiesz: wstawać bez pośpiechu, zejść sobie po prawdziwą gazetę do kiosku, pić kawę przy otwartym oknie, przeczytać wreszcie te wszystkie odkładane na później książki...

– Stawiam stówę, że po tygodniu chuj cię strzeli z nudów.

– Cóż, Olga w zasadzie powiedziała to samo. Tylko innymi słowami, rzecz jasna.

– No właśnie, a co ona na to wszystko?

– Zmartwiła się. – Marcin zasępił się i obejrzał na drzwi do łazienki, zza których dochodził cichy szum lejącej się wody. Olga potrafiła brać prysznic godzinami, zwłaszcza kiedy była czymś zestresowana.

– Dziewczyny zawsze w takich sprawach panikują – stwierdził Tomek współczująco. – Jakbyście mieli zaraz pomrzeć z głodu albo musieli się wprowadzić z powrotem do rodziców. Dobra, Marcin – powiedział nagle energicznie. – Nie oczekuję, że od razu się zgodzisz, ale może chociaż wpadnij pogadać do nas na Kępę? Blisko masz. Jeśli nie będziesz zainteresowany, to przynajmniej sobie powspominamy dawne czasy.

– Niech będzie. – Ostatecznie i tak nie będzie miał nic ciekawszego do roboty. – Właściwie to nawet jestem ciekawy, nad czym teraz pracujecie.

– No, widzisz? Wiedziałem, że cię od razu wciągnie. To do jutra. Jakby co: ja jestem w studiu od dwunastej – powiedział wesoło Tomek i rozłączył się.

Kiedy Olga weszła do pokoju, owinięta w gruby brzoskwiniowy ręcznik, Marcin wciąż siedział zamyślony, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w wygaszony ekran komórki.

– Co jest? – zapytała, siadając obok niego. – Dziwną masz minę.

Uśmiechnęła się zachęcająco i wytarła końcówką ręcznika strumyczek spływający jej z mokrych włosów na gołe ramię. Nieekologiczne wylewanie na siebie hektolitrów gorącej wody jak zwykle podziało na nią kojąco. Marcin przysunął ją sobie bliżej i wciągnął głęboko zapach migdałowego mydła.

– Chyba właśnie umówiłem się na rozmowę o pracę.

Marcin stał przed otwartą szafą, przecierał zaspane oczy i po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co na siebie włożyć. Ziewnął i potrząsnął głową, żeby trochę oprzytomnieć.

– Olga!

Wpadła do sypialni, szarpiąc się ze spinką, która nie chciała się zapiąć na fantazyjnie podwiniętej do góry fali włosów. Codziennie groziła, że obetnie to kłębowisko źmij, ale wiedział, że nigdy by mu tego nie zrobiła.

– O, nie wiedziałam, że już wstałeś. – Przycisnęła mocniej i spinka pękła. – Cholera.

– Pewnie z przyzwyczajenia – skrzywił się. Rzeczywiście, nawet nie musiał nastawiać budzika.

– I postanowiłeś dobrze wykorzystać ten czas, czyli wreszcie posprzątać na półkach? – zasugerowała i z całej siły uszczypnęła go w tyłek. A przynajmniej miał nadzieję, że mocniej już nie potrafi.

– Au. Nie gnęb mnie, tylko pomóż mi wybrać. Przecież nie pójdę tam pod krawatem. – Sam nie wiedział, czemu jest taki marudny. – Koszula też odpada. Brązowy sweter? Założę się, że oni tam nie chodzą w swetrach.

– Czemu w ogóle się tym przejmujesz? – zdziwiła się i zaczęła przetrząsać jego rzeczy. – Przecież powiedziałeś wczoraj, że to niepoważna praca, zupełnie nie dla

ciebie, i na pewno będziesz szukać czegoś innego. Rany, nie miałeś czasem wyrzucić tych ohydnych spodni?

– Idę tam tylko pogadać z Tomkiem Tyrowiczem – mruknął.

Olga warknęła niecierpliwie jak jannik drapiący pazurami przed lisią norą i zanurzyła się do połowy w jego szafie. Widok jej podrygujących z irytacją bioder, opiętych ciasno spódnica, wprowadził go w zdecydowanie lepszy nastrój. W zwykłe poranki mieli czas tylko, żeby się pocałować w przelocie na dzień dobry. A to już teraz był bardzo nietypowy poranek. Uśmiechnął się pod nosem.

– Będziesz piła kawę? – zapytał miło. – Zrobię ci.

– Nie mam czasu, nie mogę się dziś spóźnić. Mamy jakieś durne spotkanie o dziewiątej. – Dobiegło go stłumione parsknięcie i Olga wyplątała się spomiędzy jego koszul, ciągnąc coś obiema rękami. Wyprostowała się i zaprezentowała mu z tryumfem czarną koszulkę z grafiką z *The Walking Dead*.

– To załóż. I tamtą czarną koszulę z miękkiego džinsu.

– Myślisz? No dobra – Wziął od niej koszulkę i przyjrzał się jej krytycznie. – Sądzisz, że trzeba to prasować?

Rzuć banana

Saska Kępa kojarzyła się Marcinowi przede wszystkim rozrywkowo i wakacyjnie. Rozrywkowo, bo Olga uwielbiała przychodzić do Baobabu na kawę z cynamonem i papryką, a kiedy przyjeżdżali do nich znajomi spoza Warszawy, zwykle zabierali ich na spacer po ulicy Katowickiej, żeby mogli popodziwiać szalone sny architektów z lat trzydziestych. A wakacyjnie, bo obecność tylu egzotycznych ambasad sprawiała, że czuł się, jakby właśnie otworzył folder turystyczny i musiał podjąć trudną decyzję, czy chce się opalać nad morzem, czy nad oceanem.

Pomysł, żeby wybrać tę zieloną, wiecznie rozbawioną dzielnicę na miejsce pracy, wydawał mu się zaskakujący. Chociaż z drugiej strony może to właśnie

pasuje do gamedevu. Zastanawiał się tylko, jak po lunchu udaje im się zagonić pracowników z powrotem do eleganckiej, nowoczesnej siedziby Nasty Oranges.

Stał właśnie przed bramą i przyglądał się kolorowej plakietce z logo firmy, które przedstawiało rozpixselowaną pomarańczę. Popchnął uchyloną furtkę i przeszedł wąską ścieżką do głównego wejścia. W holu było przyjemnie ciepło i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo zmarzł podczas spaceru. Ciemnowłosa dziewczyna siedząca na recepcji była tak zajęta przeglądaniem jakichś dokumentów, że podniosła głowę, dopiero gdy stanął tuż przed nią. Miała nieregularne rysy, bardzo krótką fryzurę i zaskakująco inteligentne spojrzenie. To była pierwsza pozytywna różnica, którą udało mu się dostrzec – w jego byłej firmie na recepcji zazwyczaj siedziały panienki z buziami jak budyń śmietankowy i takąż zdolnością koncentracji.

– Tak? – zapytała z uśmiechem.

– Dzień dobry. Ja do Tomka Tyrowicza. Byliśmy umówieni na dwunastą.

– Zadzwońię po niego. Proszę poczekać, na pewno zaraz zejdzie.

Skinął jej głową i zaczął się przechadzać po szerokim holu. Było tam zupełnie pusto – najwyraźniej prawdziwe królestwo Nasty Oranges zaczynało się za niklowaną bramką na kartę magnetyczną. Z tamtej części dobiegały odgłosy rozmów, pospiesznych kroków i furczenie ekspresu do kawy.

Usiadł na kanapie pod oknem i zapatrzył się na wielkie plakaty przedstawiające postaci z gry. Idealnie na wprost niego z bezludnego pejzażu Woodton wyłaniała się groźnie piękna Avery Liddell w rozwianym płaszczu, uchwycona w ruchu tak, że zdawało się, że zaraz wyjdzie z ram i zastuka o podłogę obcasami podkutych butów. Jedną ręką odgarniała z twarzy szarpane wiatrem włosy, a drugą sięgała po rewolwer, jakby już cię wypatrzyła i teraz szykowała się, żeby przestrzelić ci serce. Biedny Finnley.

Marcin westchnął, wpatrując się w uparte, nieco okrutne oczy dziewczyny z plakatu. Nigdy nie rozumiał, co Finnley w niej widział. To znaczy, Olga też bywała drapieżna i niebezpieczna, i bardzo mu się to podobało, ale tak naprawdę

miało urok tylko dzięki kontrastowi – wiedział, co zrobić, żeby zamieniła się w ufego, mrużącego kociaka. A Avery zawsze była jak lita skała. Przy Finnleyu, postaci wyraźnie przemyślanej, skomplikowanej i wiarygodnej, wypadła dziwnie płasko, jakby scenarzystom zabrakło pomysłu na jej osobowość i dlatego postanowili z niej zrobić po prostu niedostępną, seksowną żmiję. Marcin zawsze uważał, że Finnley tak bardzo rozpaczał po jej śmierci, bo nie zdążył się przekonać, czy pod tą warstwą skały miała w ogóle serce. Przeniósł wzrok z jej bezbłędnie wykrojonych ust na oczy i nagle wydało mu się, że ma trochę bardziej zmarszczone brwi niż przed chwilą, jakby nie spodobał jej się jego tok myślenia.

No tak, trzeba przyznać, że ten, kto ją narysował, miał wielki talent – ta zacięta, intrygująca twarz naprawdę wydawała się żywa. Oderwał z trudem spojrzenie od Avery i chciał teraz przyjrzeć się plakatowi z braćmi Baird, który wisiał nieco dalej, ale właśnie wtedy bramka odchyliła się z trzaskiem i do holu wszedł Tomek.

– A tutaj siedzą gameplayowcy – obwieścił Tomek, otwierając kolejne przeszklone drzwi. – Nie przeszkadzajcie sobie, chłopaki – powiedział łaskawie, kiedy odwróciły się ku nim trzy rozczochrane głowy. Marcin mimowolnie zastanowił się, czy to przypadek, że wszyscy mają identyczne fryzury, à la szalony Szopen, czy może przyjmowali ich do pracy według konkretnego wzorca. Machnął im zdawkowo ręką i cofnął się na korytarz. Kiedy Tyrowicz zamykał drzwi, dobiegło ich ciche parsknięcie i okrzyk któregoś z Szopenów:

– Rzuć banana!

– O co chodzi? – zapytał ostrożnie Marcin.

– A, nic takiego. Bez przerwy oprowadzamy po studiu różnych inwestorów, dziennikarzy albo gości i chłopaki narzekają, że czują się jak małpy w zoo. Nie ma się czym przejmować.

– No to może tym razem lepiej byłoby sobie darować tę wycieczkę. Naprawdę nie trzeba było – powiedział nieszczerze. W rzeczywistości od momentu, kiedy Tyrowicz wprowadził go do środka, musiał się z całej siły powstrzymywać, żeby nie pisać jak siedmiolatka w Disneylandzie. Ściany były upstrzone

dekoracyjnymi kleksami żywo pomarańczowej farby, jakby ktoś tu grał w paintball, w korytarzu na parterze stała ogromna figura opancerzonego krasnoluda w rogatym hełmie i z ciężkim toporem z *World of Warcraft*, a na każdym piętrze był kącik z konsolami. Wszędzie wisiły plakaty, szkice i zabawne zdjęcia z jakichś wspólnych wyjazdów czy pikników. Marcin przypomniał sobie z rozbawieniem, że w jego firmie jedyną ozdobą była zawieszona nad schodami wielkoformatowa podobizna najbardziej oślizgłego team leadera, który w garniturze i z amerykańskim uśmiechem przypominał: „Dbaj o bezpieczeństwo! Trzymaj się poręczy jak Dawid”. Różnica była tak oszałamiająca, że po kwadransie w Nasty Oranges zakręciło mu się w głowie od natłoku kolorów i gadżetów. Nie miał pojęcia, jak oni mogą się tu skupić – zwłaszcza że wszyscy bez przerwy biegali między pokojami, krzyczeli do siebie przez pół korytarza i trzaskali drzwiami. Masakra.

– Nie martw się, chłopaki nie będą ci mieli za złe tej wycieczki. A zresztą, kiedy dołączysz, ciebie przecież też będziemy pokazywać tak samo jak ich.

– Naprawdę fajnie tu u was, ale nie sądzę, żeby to miało nastąpić – powiedział Marcin z żalem. To byłoby jak cofnięcie się w rozwoju i wskoczenie z powrotem do piaskownicy. Hm, w zasadzie kuszące, ale jak niby miałyby powiedzieć to Oldze? „Kochanie, postanowiłem zmarnować te kilka lat w korporacjach i teraz będę odkrywać na nowo swoje wewnętrzne dziecko”.

– No, nie zarzekaj się. Ale swoją drogą to ciekawe: wszyscy chcą u nas pracować, pchają się drzwiami i oknami, jeden gość jest tak uparty, że przysłał nam śpiewający telegram – wyobrażasz sobie? – a ty kręcisz nosem.

– To czemu nie wybierzecie kogoś z tego tłumu chętnych?

– Bo żaden z nich nie ma odpowiednich kwalifikacji. Poza tym zawsze lepiej zatrudnić kogoś z polecenia. Zaraz pogadamy o tym u mnie, ale najpierw skończmy obchód.

Kiedy doszli do końca korytarza, Tyrowicz skręcił w lewo i otworzył drzwi do dużego pomieszczenia, ale zanim zdążył wejść, ze środka wypadł wielki brodaty

facet i bez ceregieli złapał go pełną garścią za koszulkę pod szyją.

– Tu jesteś, kurwa. No to może mi wytłumaczysz, skąd się wziął ten nowy termin? Hm? – To gniewne „hm” brzmiało jak cios w brzuch i Marcin miał przeczucie, że ta scena mogłaby skończyć się zupełnie inaczej, gdyby brodacz nie zorientował się, że za Tomkiem stoi ktoś jeszcze. Burknął coś, co mogło być zarówno: „przepraszam”, jak i „spierdalaj”, puścił niechętnie swoją ofiarę i przeszedł obok nich wielkimi krokami.

– Jak widzisz, częścią mojej pracy jest radzenie sobie z artystami – powiedział Tyrowicz pobłaźliwie, jakby nic się nie stało. – Niektórzy tu naprawdę mają niezły temperament i pieklą się o wszystko. Ale są świetni, tak poza tym. To był Jurek Sojda, szef enviro. Normalnie do rany przyłóż, ale teraz mamy crunch i wszyscy są trochę nerwowi.

Marcin milczał dyplomatycznie.

– Ale wiesz, wszystko pod kontrolą. Nie rozwiązujemy tu konfliktów gołymi pięściami. No, co tak dziwnie patrzysz? – zaniepokoił się, widząc błysk w oku Marcina.

– A nic, zamyśliłem się. To kto pracuje tutaj? – Wskazał przez szybę ogromny pokój, w którym w czterech rzędach stały biurka, a na każdym po dwa monitory.

– Nazywamy to szwalnią. Z brzegu siedzi większość teamu enviro, pośrodku animatorzy, a w ostatnim rzędzie questowcy, o tam, gdzie widać czyjeś nogi wystające spod biurka. Z jakiegoś powodu zawsze przynajmniej jeden z questowców leży, to im ponoć pomaga w myśleniu – ja nie wnikiem. Nie będziemy teraz wchodzić, bo oni tam i tak mają głośno. No, na górę, do kwatery głównej – zarządził energicznie.

– Tu siedzi game director, a tam ja i wszyscy inni producenci – powiedział Tomek, kiedy znaleźli się na drugim piętrze. – Kiedyś byliśmy porzrucani po różnych pomieszczeniach, ale uznaliśmy, że musimy mieć trochę spokoju, więc przenieśliśmy się i teraz wszyscy producenci siedzą razem... Hm. – Zatrzymał się przed drzwiami, do których ktoś przykleił kartkę A4 z wydrukowanym napisem:

„Wystarczy jeden granat!”. Tyrowicz zerwał ją z obojętnym wyrazem twarzy, zmiął i wyrzucił do kosza. – Jeszcze im się nie znudziło. Dobra, to już prawie wszyscy. Tu są marketingowcy, a tam pokój creative директора.

– Jasiek Ritmeijer, dobrze pamiętam? – Marcin się ożywił. – Słyszałem o nim.

Zajrzał przez przeszklone drzwi najpierw dyskretnie, a potem śmieiej, bo nikogo tam nie było.

– No jasne, że słyszałeś. Chodź, Mat przyjdzie pewnie dopiero za godzinę, więc możemy zająć na chwilę jego biuro. Ma najwygodniejsze fotele w całym studiu, bo tam zwykle przyjmujemy inwestorów.

W gabinecie game директора panował swojski nieład, jakby przyjmował tam raczej kolegów z liceum, ale fotele były rzeczywiście świetne. Marcin zagłębił się z przyjemnością w jeden z nich i nagle zamarzył o kawie. Gdyby był dziś w pracy – to znaczy: dawnej pracy – do tej pory zdążyłby wypić ze trzy. Swoją drogą to, że Tomek nie zaproponował mu nic do picia, było chyba znakiem, że naprawdę traktował to spotkanie jako rozmowę o pracę, a nie towarzyską pogawędkę. Marcin popatrzył na niego, jak z ważną miną sadowi się za biurkiem, i zacisnął usta, żeby się nie uśmiechnąć.

Od czasów, gdy razem studiowali, Tyrowicz niewiele się zmienił – dalej był pulchny, wymuskany i otaczał go sztuczny kwiatowy zapach, jakby perfumował się płynem do mycia podłóg. Marcin pamiętał, że na zajęcia przychodził ubrany dość elegancko, i zauważył, że teraz nosi koszulkę z logo Nasty Oranges jak uniform służbowy. Wszystko to było z jednej strony zabawne, a z drugiej budziło nostalgię, niezwiązaną bezpośrednio z Tyrowiczem, tylko z tymi beztroskimi czasami, kiedy człowiek miał trzy miesiące wakacji.

– Jak widzisz, jest u nas trochę inaczej niż w korporacji – zaczął Tomek i założył ręce na piersi. Wyraźnie nie mógł się zdecydować, czy pozować na luzaka, czy chłodnego profesjonalistę. – Pomijając tak oczywiste rzeczy jak brak dress code’u...

– Mam wrażenie, że na dole widziałem jednego gościa w piżamie – wtrącił Marcin.

– A, to Franek, programista. Jest w piżamie, bo pewnie dopiero wstał. – Jego ton sugerował, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Ale chyba nie jechał tak przez miasto? Czy... on spał tutaj? – zdziwił się Marcin. Miał zamiar nie okazywać nadmiernego zainteresowania sprawami Nasty Oranges, żeby nie robić Tomkowi nadziei, ale musiał się chociaż trochę zorientować w sytuacji.

– Cóż, zdarza się... Nie możemy im przecież zabronić spać w studiu. – Tyrowicz wzruszył ramionami, a potem wyjął z kieszeni e-papierosa i zaciągnął się parą. W pokoju zapachniało mdławo wanilią. – Zasada jest prosta: rób, co chcesz, ubieraj się, jak ci wygodnie, pij, ile chcesz, bylebyś pracował. Możesz sobie nawet chodzić na rękach, jeśli cię dupa od siedzenia przed komputerem boli, ale robota ma być zrobiona w terminie, a [tabelki](#) wypełnione codziennie przed osiemnastą.

– Tabelki?

– To poważna sprawa. Tym właśnie zajmują się producenci. Mamy ich tu całkiem sporo, po jednym na każdy dział... no, prawie. Poza tym jest jeszcze lead producer i executive producer, czyli ja. A teraz brakuje nam tylko producenta questowców – powiedział i spojrzał na niego wyczekująco.

Marcin poprawił się w fotelu i odchrząknął.

– Hm, a co stało się z poprzednim? – Miał paskudne podejrzenia, że to jedna z tych sytuacji, kiedy wchodzisz do leśnej chatki, dobrotliwy dziadunio wita cię słowami: „Odpocznij, znużony wędrowcze”, a tymczasem w kociołku bulgocze coś dziwnego. I smakuje pewnie prawie jak kurczak.

– Ja się nimi zajmowałem, ale teraz mam tyle innych, ważniejszych obowiązków, że postanowiłem znaleźć kogoś, kto poświęci im całą swoją uwagę. Wszystkim nam teraz przybyło zadań i trochę już nie nadążamy. Jak wiesz, czwarta część *Road to Fort Fraser* – RFF – będzie zupełnie inna niż poprzednie. Nowe rozwiązania [gameplayowe](#), otwarty świat, nielinearna, rozbudowana fabuła... dużo

nowych wyzwani. Zresztą, całe internety szumią o naszym projekcie, więc pewnie masz ogólny obraz.

– Jasne – skłamał Marcin. – A czym dokładnie się zajmuje taki producent? Bo szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– To taki trochę manager działu, trochę pośrednik w kontaktach z innymi zespołami, a trochę przedszkolanka. Wyznacza ramy pracy, estymuje, ile czasu powinno coś zająć, popędza roztrzepanych artystów i pilnuje, żeby team wywiązał się z zadań w terminie. No wiesz, tak jakby ogarnia rzecz całościowo od zewnątrz.

– Brzmi to dosyć mgliście.

– No tak, bo to od ciebie zależy, jaki przyjmiesz styl pracy. To jest tak, że dostajesz termin, ludzi i konkretne zadania i musisz sprawić, żeby robota była wykonana na czas. A jak to zrobisz, to już twoja sprawa. Możesz w pierwszych dniach pogadać z innymi producentami i poprosić o jakieś wskazówki.

– Nie wiem, czemu wierzysz, że właśnie ja nadaję się do tej pracy – westchnął Marcin.

– A ja nie wiem, czemu robisz z tego takie halo. Nie będziemy wymagać od ciebie cudów, tym bardziej że fabuła jest już właściwie zamknięta, dialogi w zasadzie kończymy. Trzeba to tylko trochę poukładać. Końcówka projektu zawsze jest trudna – wszyscy zaczynają panikować, stres robi swoje, no i crunch oczywiście... Przyda się świeże spojrzenie z zewnątrz, rozumiesz. Po prostu potrzebujemy kogoś odpowiedzialnego.

– A właśnie, ten crunch – przypomniał sobie Marcin. – To taki rodzaj przymusowych nadgodzin, tak?

– Tak, ale ciebie to nie dotyczy, producenci pracują tylko po osiem godzin. No chyba, żebyś koniecznie chciał zostać dłużej, bo koło dwudziestej przywożą pizzę dla wszystkich – zaśmiał się. – Dbamy o naszych pracowników. No to jak? – zapytał innym tonem i utkwiał w Marcinie uważne spojrzenie.

– Cóż, brzmi to nieźle – powiedział ostrożnie. – Ale ja się naprawdę nie znam na robieniu gier. Jestem raczej... odbiorcą produktu. Fajnie mi się grało

w poprzednie części RFF, ale nigdy się nawet nie zastanawiałem, jak taka gra powstaje.

– To bardzo proste. Wyobraź sobie teatr. I teraz tak: dział enviro zbija deski, żeby była scena, ustawiają z tyłu planszę przedstawiającą sad, a na scenie kładą sztuczną trawę, potem questowcy ustawiają meble i rekwizyty, mówią aktorom, jak mają się poruszać podczas konkretnych scenek, i rozdają kopie scenariusza. Za kulisami dział postaciowców dobiera aktorom garderobę i sztuczne brody, gameplay designerzy budują dźwignie do podnoszenia tych postaci, które będą „latać”, i zakładają aktorom wrotki, animatorzy wymyślają choreografię części baletowych, a testerzy siedzą na widowni i mówią, żeby przesunąć kredens bardziej w lewo.

– A programiści kim są w takim razie?

– Hm, czy ja wiem... Pewnie Bogiem Stwórcą. No, tak to z grubsza wygląda. Wiem, że trudno całość od razu ogarnąć, ale najważniejsze, że jesteś graczem. To wystarczy.

– Od razu mówię, że nie jestem jakoś bardzo na bieżąco – zastrzegł Marcin. – Odkąd zamieszkałem z Olgą, mam mniej czasu na granie.

– Ale w *The Last of Us* grałeś, prawda?

– No tak, to przecież najlepsza gra roku.

– A w GTA V?

– Zawsze lubiłem GTA – powiedział obronnym tonem Marcin.

– *Walking Dead* dwójkę pewnie też sobie przeszedłeś. – Tomek wskazał e-papierosem na jego koszulkę.

– Mówili, że to słabe, no więc...

– No więc musiałeś sam się przekonać. Jasne. Sam widzisz – uśmiechnął się tryumfalnie. – To co?

Marcin wypuścił powietrze z płuc.

– Muszę się zastanowić.

– Masz dużo innych ofert? – zapytał badawczo Tyrowicz.

– No... nie. Mówiłem ci, że nawet jeszcze nie zacząłem się rozglądać za nową pracą. A gdybym czegoś szukał, to na pewno nie w gamedevie – oświadczył. Niespodziewanie przypomniał sobie uparte, karcące spojrzenie Avery Liddell i poruszył się niespokojnie. Ale przecież nie będzie się pisać na to szaleństwo tylko z sympatii dla Nasty Oranges.

– Hm, widzę, że naprawdę musisz się zastanowić – powiedział Tomek, nie spuszczać z niego wzroku. Milczał przez chwilę, a potem odchylił się w fotelu. – Żebyś miał pełny obraz sytuacji, powinienem ci powiedzieć, o jakim rzędzie wielkości mówimy. To znaczy, jakie proponujemy ci wynagrodzenie.

– No, strzelaj – uśmiechnął się lekko Marcin.

Tomek wymienił kwotę.

Ze strategicznego punktu widzenia

Olga weszła do mieszkania po cichu, zdjęła szpilki i na palcach przeszła do sypialni. Paliło się tam światło, ale zakładała, że Marcin już śpi. Stała w drzwiach i uśmiechnęła się szeroko. Rzeczywiście spał, wyciągnięty na łóżku, z policzkiem na klawiaturze. Z tej perspektywy wyglądało to, jakby otwarty laptop pożerał mu głowę.

– Hej, wstawaj. – Potarosiła go delikatnie za ramię. Jeśli o nią chodzi, mógłby sobie tak spać do rana, ale ułożył się na samym środku łóżka i nie miałyby się jak obok niego wcisnąć. Marcin wydał z siebie kilka bolesnych jęków i w końcu się podniósł, trąc oczy jak zaspane dziecko. Olga usiadła obok niego i pocałowała go w rozgrzany policzek, na którym odbił się wzorek z klawiszy.

– Która godzina? – zapytał niemrawo.

– Po pierwszej. Na początku wydawało się, że wszyscy przyszedli się tam obżerać za pieniądze firmy, ale potem jakoś się rozkręcili i nie wypadało wyjść, skoro się tak świetnie, prawda, bawimy – powiedziała pośpiesznie i zaczęła rozpinać bluzkę. Marcin wiedział, że nie znosiła służbowych kolacji, za to jej przełożona uważała,

że Olga ze swoim reprezentacyjnym wyglądem i szerokim uśmiechem idealnie nadaje się do czarowania potencjalnych partnerów biznesowych.

– I co? Udało ci się znaleźć jakieś interesujące oferty pracy? – zapytała. Wypięła po kolei spinki z włosów, które opadły skłębioną falą na jej plecy.

– Nic ciekawego. Za to poczytałem więcej o Nasty Oranges – ożywił się, sięgnął po laptopa i ułożył go sobie na kolanach. – Zobacz, to jest ten słynny Jasek Ritmeijer. – Pokazał jej zdjęcie z jakiegoś wywiadu dla „Eurogamera”.

Olga marzyła, żeby już iść spać, ale przyjrzała się z uprzejmości chudemu facetowi z wystającą grdyką i lekko nawiedzonym spojrzeniem. Gdyby nie wyjątkowo jasny odcień skóry, powiedziałaaby, że wygląda jak Winnetou z ilustracji do starych wydań Karola Maya. Długie ciemne włosy nosił związane w węzeł jak samuraj, a minę miał ni to melancholijną, ni to tajemniczą.

– Aha. Kto to? I odezwali się w ogóle?

– Jeszcze nie. – Prawdę mówiąc, Marcin był tym zaskoczony. Tyrowicz przy pożegnaniu zapewnił, że napiszą do niego następnego dnia, bo naprawdę pilnie szukają producenta, a on jest najlepszym kandydatem. Oczywiście miał zamiar odmówić, ale przez ten dziwny nastrój oczekiwania nie mógł się skupić na szukaniu poważnych ofert pracy. Po trzech dniach uznał, że równie dobrze może zrobić mały research na temat czwartej części RFF – przynajmniej będzie na bieżąco.

– Ten Ritmeijer to wizytówka ich firmy. Bez niego nie byłoby Finnleya, no i nie uzbieraliby teraz takiej kasy. Ten nowy projekt to naprawdę duża rzecz, wiesz? – powiedział z entuzjazmem. – Poprzednie gry były niezłe, ale do trójki uważano je za niszowe, no a kiedy w *Road to Fort Fraser 3. Headhunters* naprawdę pokazali, co potrafią, o Nasty Oranges zrobiło się trochę głośniejsze. Wtedy zdecydowali się na crowdfunding; ogłosili, że mają niesamowity pomysł na czwórke – to znaczy Jasek Ritmeijer ma – i że zrobią to w półtora roku, ale potrzebują wsparcia fanów. No i...

– Półtora roku to krótko? – zapytała Olga i ziewnęła dyskretnie.

– Bardzo krótko – powiedział z naciskiem. – CD Projekt RED męczy jedną grę trzy lata albo i dłużej, ale kiedy już wymęczy, no to klękajcie narody! Oni są najlepsi. Inne studia, na przykład Flying Wild Hog, starają się wypuszczać mniej więcej jedną grę na rok. Nasty Oranges zdecydowanie bliżej do Hogów, jeśli chodzi o czas produkcji, ale ta czwarta część to ma być coś zupełnie nowego. Jeśli rzeczywiście chcą tam zrobić to, co zapowiadają, to w półtora roku nie mają szansy zdążyć... Ale kto ich tam wie. Mogli przecież zacząć się przygotowywać już podczas kończenia prac nad trzecim Finnleyem – powiedział z pewnością siebie, chociaż ekspertem od polskiego gamedevu został jakieś siedem godzin wcześniej. – W każdym razie planowali zebrać czterysta tysięcy dolarów, a ostatecznie zebrali osiemset tysięcy.

– To dlatego mogą ozłocić swojego nowego producenta – mruknęła kąśliwie Olga. – Powtórz, ile ci zaproponowali, bo ciągle nie wierzę.

Marcin wymienił kwotę.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Z czysto strategicznego punktu widzenia to może nie byłby najgorszy pomysł – powiedział ostrożnie Marcin. – Znaczący, na razie i tak nie ma żadnych interesujących ofert. Nawet nie bardzo wiem, czego szukać. A tu pieniądze same pchają się w ręce i jeszcze mnie ładnie proszą. Mógłbym popracować tam przez miesiąc i jednocześnie rozglądać się za czymś innym. Przynajmniej nie stałbym w miejscu.

– Mówiłeś, że nie wiesz, na czym właściwie polega ta robota, i że najwyraźniej pracują tam sami szaleńcy – przypomniała Olga.

– Przez miesiąc jakoś bym wytrzymał. Poza tym miałbym dostęp do informacji, za które fani RFF daliby się pokroić, wyobrażasz sobie? – uśmiechnął się z satysfakcją. Entuzjazm bijący z forów okazał się bardzo zaraźliwy i Marcin, dla którego *Road to Fort Fraser* jeszcze niedawno było tylko jedną z wielu fajnych gier [RPG](#), teraz poczuł w sobie ogień prawdziwego wyznawcy. – Premiera jest zapowiedziana na sierpień, a ja już teraz wiedziałbym, co się stanie z Finnleyem.

No i fajnie byłoby mieć w tym wszystkim jakiś udział – choćby przez parę tygodni, zanim się zorientują, że się do tego nie nadają.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby się w to pakować, skoro tak naprawdę chcesz robić coś innego, ale może rzeczywiście... z czysto strategicznego punktu widzenia – powiedziała w zamyśleniu Olga.

– No właśnie! – przytaknął gorąco.

– Dobra, ale najpierw muszą się w ogóle odezwać. A teraz – czy możemy już iść spać? Proszę.

Tomek Tyrowicz odezwał się sześć dni, osiem godzin i dwadzieścia minut po rozmowie na Saskiej Kępie – i to zadzwonił, a nie napisał.

– Hej, hej! Pewnie wiesz, w jakiej sprawie. – Jego głos był tak beztroski, jakby widzieli się zaledwie wczoraj.

– A to jeszcze aktualne? – rzucił Marcin niedbale. Królowa angielska po tygodniu głodowania na pustyni mogłaby z równym opanowaniem pytać, czy na pewno nikt inny nie ma ochoty na herbatnika, którego właśnie znalazła.

– No jasne! Wszystko już załatwione, ale łatwo nie było – zaznaczył. – Mat, to znaczy game director, strasznie marudził, ale w końcu jakoś cię przepchnąłem. Jeszcze tylko chcą cię zobaczyć, ale to rutynowa sprawa, bo miejsce u nas masz już na bank. Aha, jest jedna sprawa – przypomniał sobie. – Czepiali się, że nie masz doświadczenia w branży, i dlatego możemy ci zaproponować tylko – i tu wymienił kwotę mniej więcej o połowę niższą od poprzedniej. – Próbowałem im wyjaśnić, że od razu się w tym odnajdziesz, ale wiesz, biurokratów nie przegadasz. No trudno, na pewno szybko dostaniesz awans i wszystko się wyrówna. To jak – dołączasz do nas?

– Tak.



Część pierwsza

Chaos

Wiek Burz zakończył się katastrofą, gdy bogowie i istoty zrodzone z Chaosu przybyli i zniszczyli niemal wszystko. Orlanth i jego towarzysze walczyli dzielnie przeciwko nim, jednak Chaos prawie zawsze był górą.

Światem wstrząsały kataklizmy, takie jak Strącenie Słońca, Deszcz Krwi czy straszliwe Roześmiane Tsunami.

W tych czasach wielu bogów umarło, a wielu nowych urosło w siłę. Ciemność, która zapadła, była tak straszliwa, że nawet Orlanth i jego towarzysze opuścili ludzi i zostawili ich własnemu losowi. Tylko nieliczne

bóstwa – pomniejsze lub słabe – pozostały. Świat niszczał i przepadł. Z twojego klanu, dawniej może

i potężnego, pozostała tylko żalosna garstka najwytrzymalszych.

[...] Kiedy już dowiodłeś, że jesteś wystarczająco silny, by przeżyć, król Vingkot powierzył ocalałych twojej pieczy. Zwano ich Nalda Bin, czyli Hodowcami Patyków. Pozwolono ci wybrać, czy uczynisz z nich niewolników (thralli), czy przyjmiesz do klanu jako swoich.

Jaką podjąłeś decyzję?

King of Dragon Pass, A Sharp 1999



Rozdział pierwszy

Środa 27 listopada 2013

Siedmiu na jednego

Antoni Hejdasz, szef studia Nasty Oranges, pomimo diabelskiego nazwiska i równie diabolicznych brwi, upodabniających go do Atatürka, sprawiał raczej poczciwe wrażenie. Marcin uznał, że mniej by się stresował, gdyby Hejdasz sam przeprowadzał z nim tę rozmowę (formalność, doprawdy – jak zapewniał Tyrowicz). Tymczasem siedział naprzeciwko aż pięciu szych z Nasty Oranges. Nie zapamiętał dokładnie, który jest dyrektorem i producentem czego, ale wszyscy niewątpliwie byli bardzo ważni. Oprócz nich za stołem w niedużej sali konferencyjnej siedział też chłopak z HR i Tomek. Marcin uważał, że to trochę niesprawiedliwe – siedmiu na jednego.

Wiedział, że teraz nie może liczyć nawet na dyskretną pomoc Tyrowicza – przed rozmową zasypał go przez telefon dobrymi radami, ale zaznaczył z naciskiem, że na spotkaniu Marcin nie powinien nawet wspominać, że się znają. To było dość zaskakujące, bo dotąd wydawało się, że dostaje tę pracę po znajomości – no bo przecież nie ze względu na kompetencje. A tu proszę. Tomek kilka razy powtórzył, że nieoficjalną drogę rekrutacji Marcin powinien zachować w tajemnicy i nawet potem, kiedy już zostanie przyjęty, w pracy nie klepać się z nim po plecach i nie wspominać gromko starych dobrych czasów. To zrobiłoby

złe wrażenie. Marcin oczywiście zgodził się, ale trochę go to bawiło: jakby ukrywali biurowy romans.

Zerknął na Tomka, który siedział wyprostowany, jakby kij połknął, i słuchał Hejdasza z tak wytężoną uwagą i z takim przejęciem, że było to aż komiczne.

Przenosząc spojrzenie na szefa studia, zawadził o siedzącego między nimi Jamesa Levitta, producenta czegoś tam. Zapamiętał go przy prezentacji, bo to ze względu na niego rozmowa odbywała się po angielsku. James łypnął w stronę Tyrowicza i puścił oko do Marcina, który natychmiast przybrał kamienny wyraz twarzy.

Robiło się coraz dziwniej. Marcin zastanawiał się, czemu w ogóle przeprowadzają z nim tę rozmowę, skoro już otrzymał od nich ofertę. I jak to możliwe, że wszyscy wydają się tak nieprzyzwoicie młodzi. I czemu jeszcze to podkreślają, ubierając się jak dzieciaki z podstawówki w kolorowe koszulki ze Spidermanem i Garfieldem. Co drugi był nieogolony i miał dziurawe dżinsy, trzech żuło gumę balonową. Mogliby się wmieszać między swoich pracowników i nikt by ich nie odróżnił. Sam Marcin był ubrany w czarny T-shirt z dyskretnym logo *Half-Life* i czuł się przy nich wręcz elegancko. Trochę się denerwował, ale ostatecznie: przecież nie miał nic do stracenia. *Allons-y!*

– ...mógłbyś wykorzystać twoje dotychczasowe doświadczenia jako menadżera? – Hejdasz umilkł wreszcie i dał znak, że czeka na odpowiedź, więc Marcin zaczął przemowę.

Było to w zasadzie pierwsze konkretne pytanie, jakie mu zadali – dotąd wydawali się zainteresowani głównie tym, w jakie gry gra, jakie czyta książki, a przede wszystkim jakie seriale ogląda. Kiedy doszedł do *Dr. Who*, po raz pierwszy i jedyny ożywił się Mat jakiś tam, game director.

– Dziesiąty czy jedenasty doktor?

– Dziesiąty – odparł pewnie Marcin, a Mat pokiwał głową i wrócił do przerwanej zajęcia. Siedział odsunięty od stołu, z kostką prawej nogi opartą na lewym kolanie i na początku Marcin był pewny, że trzyma tam zeszyt i notuje.

Później, kiedy Mat zmienił nogę, zobaczył, że przez cały ten czas pracowicie zamazywał czerwonym pisakiem gumowe boki i noski swoich tenisówek.

Po minie Hejdasza i ledwo zauważalnej uldze na twarzy Tomka Marcin poznał, że chyba idzie mu nieźle. Z jednej strony podkreślał świadomość odmienności środowiska pracy i chwalebnych ideałów Nasty Oranges, a z drugiej garściami i bez żenady łądował w nich korpomowę, jakby karmił gęsi kluskami. To też jest rodzaj sztuki. Wytarte frazesy korporacyjnego żargonu można było podłapać w jeden dzień, ale trzeba wielu lat praktyki i wymóżdżających tortur team meetingów, aby z tego szczurzego bełkotu wyabstrahować samą esencję, czyste korpo zen, które ma wszelkie pozory dobra, piękna i prawdy. A nawet sensu.

Marcin mówił, dopóki oczy Hejdasza i reszty nie nabrały charakterystycznego, szklanego wyrazu, po czym uśmiechnął się miło i zapewnił, że z niecierpliwością czeka na nowe wyzwania.

Nie mieli więcej pytań. Spojrzeli wyczekująco na szefa studia, który uroczyście skinął głową i wyszedł z za stołu, żeby ucisnąć dłoń nowego producenta. Marcin tym razem przyjrzał się Hejdaszowi uważniej. Head of studio miał podkrążone oczy, jakby nie spał od paru dni, a jego szeroki uśmiech wydawał się wręcz zbyt promienny, jakby miał za chwilę popękać na kawałki. No cóż, wszyscy szefowie są nieco nerwowi.

Pozostali dyrektorowie i producenci też do niego podeszli, żeby mu pogratulować, a James Levitt klepnął go w plecy, ze śmiechem chwając jego „*great show*”. Marcin dałby głowę, że i on miał kiedyś coś wspólnego z korporacją. Później wszyscy wysypali się na korytarz, hałaśliwi i radosni, jak po nudnej lekcji, a Marcin został sam z chłopakiem z HR, który dał mu do podpisania umowę – najwyraźniej już wcześniej przygotowaną – i sążnisty dokument NDA. Zerknął, jaka to kara go czeka za zdradzenie tajemnic Nasty Oranges, i ledwo powstrzymał stęknienie. Przeczytał wszystko uważnie dwa razy i podpisał, wyobrażając sobie, że oto droga do sekretów Finnleya stanęła przed nim otworem.

Nowa dziewczyna

– No i jak tam w nowej pracy? Podoba się?

Karolina Jasień odwróciła się i spojrzała niepewnie na nieznanego olbrzyma, który wyrósł za nią jak spod ziemi. Pracowała w Nasty Oranges od dwóch tygodni, ale wciąż nie mogła się nauczyć imion tych wszystkich facetów. Starła się to ukrywać i do wątpliwych przypadków zwracała się per „Hej!”, ale każdego dnia to robiło się coraz bardziej krępujące.

Na szczęście tego postawnego blondyna na pewno widziała pierwszy raz w życiu – zapamiętałaby przecież sto kilo mięśni, płową brodę i oczy jak bławatki. Gdyby Chris Hemsworth akurat był zajęty, ten tutaj mógłby go spokojnie zastąpić na planie zdjęciowym. Poza tym miał na ręce...

– O rany! – Zachłysnęła się własnym zdumieniem i bez ceregieli szarpnęła do góry podwinięty rękaw jego koszuli, odsłaniając cały tatuaż. Przedstawiał demonicznego węża o wielkich złotych oczach oplecionego stylizowanymi płomieniami.

– To Victor Portugal! Kiedy robiłeś? – zapytała, wodząc nabożnie palcem po cieniowaniu.

– Prawie rok temu. Czyli kolor w pełni dojrzeje za jakieś dwa lata. Interesujesz się tym?

– Tak. Mój chłopak... były chłopak... miał od niego rękaw i całe plecy. Ja jestem niestety tylko wielbicieleką-teoretyczką.

– No, to akurat zawsze można zmienić.

Podchwyciła jego rozbawione spojrzenie i dopiero teraz dotarło do niej, co wyprawia. Puściła jego rękę, jakby wąż nagle ożył, i spłonęła ciemnym rumieńcem.

– Przepraszam, zwykle nie rzucam się na ludzi na korytarzu i nie zdieram z nich ubrań pierwszego dnia znajomości – wymamrotała.

– Możemy to przełożyć na jutro, jeśli wolisz. – Widząc, że jeszcze bardziej się zmieszała, zmienił taktykę. – No, to powiedz, jak ci się u nas pracuje. Pewnie dziwnie, nie?

– Czy ja wiem... To moja pierwsza praca, więc nie wiem, co jest dziwne, a co normalne.

– Co ty nie powiesz! – zdziwił się. – To co przedtem robiłaś?

– Noo... studiowałam.

– I tak bez niczego cię zatrudnili? Znaczą: bez doświadczenia w branży? Ile razy musiałaś składać portfolio, zanim cię wzięli?

– Właściwie to ani razu... Florek gdzieś wypatrzył moje prace i sami się do mnie zgłosili.

– Fiuu! – zagwizdał z podziwem, a potem zaczął się śmiać. Miał idealnie równe zęby, jak hollywoodzki aktor, i Karolina, która przez całe dzieciństwo nosiła aparat ortodontyczny, poczuła ukłucie zazdrości. – Rany, dziewczyno, ty masz świadomość, ilu ludzi cię teraz nienawidzi? Graficy całe lata marzą, żeby do nas przyjść, a ciebie art director jeszcze uprzejmie zapraszał. I teraz pewnie jesteś jego oczkiem w głowie, co?

– No, chyba na razie jest ze mnie zadowolony... – Nie chciała się przechwalać, ale ostatecznie szansę na zrobienie dobrego pierwszego wrażenia ma się tylko jedną. – Ogólnie dobrze się dogadujemy.

– A poznałaś już waszego producenta?

– Nie. On chyba jutro wraca... Czy może dzisiaj? – zastanowiła się. Olbrzym zerknął na zegarek.

– No, jeśli dzisiaj, to właśnie spóźniasz się na [stand-up](#).

– Aj! – Złapała się za głowę. – A mówią, że ten producent to straszny pedant, drań i śliska łajza.

– No, taki zły nie jest. Znam się z nim całkiem nieźle. Mogę powiedzieć za tobą dobre słowo – mrugnął do niej.

Karolina, która już miała odbiec w popłochu, spojrzała na niego i zmartwiała.

– O rany. To ty jesteś Maciek Dorosz, producent postaciowców, prawda? – wyszeptała, patrząc na niego okrągłymi oczami. No to tyle na temat dobrego pierwszego wrażenia.

Blondynowi tylko przez chwilę udało się zachować powagę, po czym zatrzęsł się ze śmiechu.

– Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. Nie, Maciek wraca chyba dopiero jutro. I naprawdę straszna z niego łajza, jak z każdego producenta. Ja jestem Franek Kilariski, programista.

– Phuuu... – Karolina z ulgą wypuściła powietrze. – Na pewno? – zapytała słabo.

– Przysięgam. Zresztą, pytaj kogo chcesz. – Szerokim gestem wskazał pusty korytarz. Karolina już odzyskała wigor i szykowała jakąś ripostę, kiedy nagle drzwi od małej sali konferencyjnej otworzyły się na oścież i ze środka wytoczyła się cała parada szefów, zaczynając od Hejdasza, a na game directorze kończąc. Karolina zamarła, wyprężyła się jak królik stający słupka i przykleiła do ściany, ale i tak wszyscy po kolei obrzucili ją zdziwionymi, zaciekawionymi spojrzeniami. Rozejrzała się za Frankiem, który jako dwumetrowa replika Thora powinien przecież bardziej przyciągać uwagę, ale najwyraźniej zdążył gdzieś umknąć. Wygląda na to, że musiała się jeszcze wiele nauczyć o zasadach przetrwania w Nasty Oranges.

Kiedy stado przeszło przez korytarz, wyjrzała zza rogu.

Szlag, szefowie jak na złość stanęli tak, że zagradzali jej drogę do pokoju postaciowców, i dyskutowali o czymś z wielkim ożywieniem. Cofnęła się i zniechęcona usiadła na podłodze. W końcu przecież sobie stamtąd pójda. Oczywiście osoba normalna, a nie chorobliwie nieśmiała, po prostu przeszłaby obok nich i tyle. A ona sobie poczeka.

Zamyśliła się i dlatego aż podskoczyła, kiedy z salki wyszedł Adrian z HR i jakiś drugi facet, który o mało jej nie rozdeptał.

– O, bardzo przepraszam – powiedział, lekko rolując „r”, i podał jej rękę, wyraźnie zakładając, że chciałaby wstać z podłogi. W odróżnieniu od większości mężczyzn z Nasty Oranges był ostrzyżony na jeża. Kiedy się nad nią pochylił, jego włosy podświetlone od tyłu jarzeniówką zapłonęły rudawo jak marchewkowa

aureola. Ręce i twarz miał gęsto obsypane brązowymi piegami, a w kącikach oczu czaiły się zmarszczki od śmiechu. Wszystko to wzbudziło w niej zaufanie, więc chwyciła podaną dłoń – dużą i ciepłą – a na koniec lekko ją uścisnęła. Nieznajomy uśmiechnął się i skinął jej głową na pożegnanie.

Karolina patrzyła za nim, dopóki nie zniknął na klatce schodowej. Nie miała pojęcia, skąd się tu wziął i po co przyszedł, ale była pewna, że to w *żadnym razie* nie mógł być Maciek Dorosz.

Obóz modrzewi

Mat Chojnacki, game director, zamknął drzwi swojego gabinetu i opadł ciężko na fotel przy biurku. Sprawdził pocztę i zerknął na kalendarz spotkań – do następnego miał piętnaście minut. Za mało, żeby zrobić coś konkretnego, ale w sam raz, żeby się trochę zdołować myśleniem o Ritmeijerze. Szkoda, że rozmowa z nowym producentem questowców skończyła się przed czasem – powinni go jeszcze trochę pomaglować, choćby dla zasady. Tak w ogóle gość wydawał się dość rozsądny i do pogadania. Możliwe, że Tyrowicz miał jednak rację, upierając się, że przyda im się trochę korporacyjnego drylu, bo bez Ritmeijera wszystko się rozłązi.

Oczywiście, to tylko doraźne rozwiązanie. Na dłuższą metę problem zniknięcia Jaśka mógł rozwiązać tylko jego powrót. Koniec i kropka. Zatrudnianie teraz kogoś na miejsce Ritmeijera nie miałooby żadnego sensu, bo z natury rzeczy creative directorowi trzeba pozostawić pełną twórczą swobodę, a na tak zaawansowanym etapie projektu już nie mogli tego zrobić.

Rzecz jasna nie było tak, że Jasiak mógł sobie robić, co mu się żywnie podobało – specyfika pracy w Nasty Oranges polegała na tym, że kiedy creative director wołał: „Skaczcie!”, tylko jedna osoba odkrzykiwała: „Jak wysoko?”, a pozostałe wrzeszczały odpowiednio: „Padnij!”, „W tył zwrot!”, „Na północ!”, „W paski!”, „Modrzew!”, „Karczochoy!”. Co do Mata, on zawsze był w obozie modrzewi i potajemnie szczylił się tym, że jeszcze nigdy nie zgodził się na żaden

z pomysłów Jaśka za pierwszym razem. Ani za drugim. Skoro taki z niego geniusz, niech się bardziej postara.

Dopiero jakiś tydzień po zniknięciu Ritmeijera dotarło do niego, że to niestety działa w dwie strony. Kiedy Jasiek był na miejscu, bez przerwy się kłócili i wyrywali sobie kierownicę, ale niewątpliwie posuwali się do przodu. Nie wiadomo, czy była to jedyna droga twórczego koordynowania projektu, ale sprawdziła się przy poprzednich częściach gry i dlatego nie szukali innej. Oczywiście, było to mega męczące i już patrzeć nie mógł na tę chudą holenderską gębę. Dlatego tuż po zniknięciu Jaśka poczuł ulgę i radość – uznał, że Ritmeijer strzelił focha i dzięki temu zyska przewagę, cofając jego ostatnie decyzje i każąc zrobić wszystko od nowa po swojej myśli. Potem przeżył trzy ekstatyczne dni, robiąc z RFF4 grę, jaką od początku powinna się stać, tak jak zaprojektowałyby ją sam Stwórca, gdyby trochę pocrunchował w sobotę, zamiast poprzestawać na Adamie i Ewie. Piątego dnia Mat poczuł się z tym wszystkim trochę dziwnie. A po tygodniu zrozumiał, że jak pies goni własny ogon.

To było jakieś osiem dni temu.

Mat postukał długopisem w dolne zęby i spojrzał zezem na zegarek. Jeszcze sześć minut do następnego spotkania.

Rzecz jasna od czasu do czasu nachodziła go myśl, że to wszystko jego wina, bo za mocno ciągnął kołdrę w swoją stronę i w końcu obrzydził Ritmeijerowi służbowe pożyczce. Ale niezmiennie odrzucał ten pomysł, bo wiedział dobrze, że gdyby Jasiek miał do niego jakieś pretensje i chciał odejść, nie odmówiłby sobie wygarnięcia Matowi wszystkiego, zanim trzasnąłby drzwiami. Jeśli zatem próbował mu swoim zniknięciem coś przekazać – co miałyby to być? Nic nie przychodziło mu do głowy.

Obawę, że coś się Jaśkowi stało, też odsuwał od siebie. Coś tak zwyczajnego jak wpadnięcie pod samochód nie było w stylu Ritmeijera. Poza tym usłyszeliby coś o tym, prawda?

Mógłby za to zostać zamordowany – ktoś tak irytująco chaotyczny, niezdecydowany, a przy tym głupio uparty i zawsze pewny swoich racji sam się prosił o kosę pod zebro, ale w takim razie to Mat byłby pierwszym podejrzanym. A dotąd mordował Jaśka tylko w co smakowitszych smach, nigdy na jawie.

Kiedy Mat uczciwie się zastanawiał, co *było* w stylu Ritmeijera – i kiedy uczciwie sobie na to pytanie odpowiadał – niezmiennie dochodził do wniosku, że jedyne, co może zrobić w sprawie jego zniknięcia, to po prostu ciągnąć projekt do przodu i nie odpuszczać ani na chwilę. Bo dla Jaśka ta gra była najważniejsza na świecie i wszystko, co robił, robił dla niej, przez nią i ze względu na nią. A to znaczy, że wróci, zanim będzie za późno. Mat ufał w to z żarliwością i desperacją właściwymi prawdziwej wierze. Chociaż czasu było coraz mniej.

Szlag, spotkanie! Game director poderwał się i wybiegł, trzaskając drzwiami.

Rundka po studiu

Spośród wszystkich [tasków](#) tylko jeden ciążył Tomkowi Tyrowiczowi szczególnie niemiło jako obowiązek, który pożerał większość jego dziennego zapasu energii – właściwie mógłby potem iść prosto do domu, bez wyrzutów sumienia. Stand-up z questowcami. Teoretycznie podczas tego kwadransa to oni powinni czuć się nieswojo, jak uczniowie wezwani do odpowiedzi, ale z jakiegoś powodu nie byli podatni na siłę jego autorytetu. Za to on za każdym razem wyczuwał ich stężoną niechęć jak ścianę zimnej wody – i nie umiał wyjaśnić sobie tego inaczej niż idiotycznym sprzeciwem wobec porządku, rozsądku i logiki, który uosabiał on sam i tabelki. Przez pewien czas wydawało się, że upiornie pracowity Paweł Stentor jest tu wyjątkiem: zawsze świecił przykładem i uzupełniał wszystkie rubryki na czas. Tomek nawet stawiał go pozostałym za wzór, dopóki nie zorientował się, że Stentor wypełnia tabelki na kilka tygodni do przodu, „żeby mieć spokój z tymi bzdurami”, jak wyjaśnił rozbijając swobodnie, kiedy został o to zapytany. Słowem – Stentor, heretyk estymacji, był może nawet gorszy niż reszta.

I to wylegiwanie się na podłodze, jakby się opalali gdzieś na plaży! Jeśli już musieli sobie robić przerwy w pracy, mogli chociaż pójść do kantyny albo na spacer, żeby nie demoralizować wszystkich pozostałych teamów w szwalni. Kiedy zwrócił im uwagę, że to wygląda nieporządnie, spokojnie oświadczyli, że kiedy leżą, to też pracują, bo myślą nad fabułą. Taa, jasne.

Wszystko to oczywiście wina Ritmeijera, który wbił im do głów, że tylko dlatego, że wymyślają z nim fabułę, nie obowiązuje ich normalny tryb pracy, bo oni są ci kreatywni. Wielcy mi artyści! A przecież, umówmy się, zmyślać i pisać dialogi potrafi każdy – on sam miał parę niezłych pomysłów, ale oczywiście duma nie pozwoliła im z tego skorzystać.

Tak, przede wszystkim powinni zmienić nastawienie do pracy – chociaż nie był pewien, czy wtedy dałby radę ich polubić. Pojedynczo może i nie byli jakoś strasznie niesympatyczni, ale kiedy tylko zbierali się razem, tworzyli zwarty, nieprzyjazny front. Teraz, gdy zabrakło Jaśka, za którego plecami zawsze się chowali jak krąbrne dzieci, widać to było jeszcze wyraźniej. Najgorsze, że nie dało im się w zasadzie nic konkretnego zarzucić – słuchali, co miał do powiedzenia, odpowiadali na pytania, a na ich twarzach malowała się tylko czysta obojętność. Tylko potem przez cały dzień nie mógł się pozbyć wrażenia, że spoczywa na nim czyjeś ironiczne spojrzenie, jakby stał się nagle bohaterem powieści komentowanej przez wyjątkowo nieprzychylnego mu narratora.

Myśl, że naprawdę uwolni się questowców – chociaż na trochę – bardzo poprawiała mu humor. Teraz musiał tylko ich zebrać i objawić im radosną wieść. Pawła Stentora było najłatwiej namierzyć – oczywiście siedział przy biurku i pracował. Jacka Brzeźniaka i Wojtka Mazurka przydybał w kuchni, ale Asia... o tej porze mogła być wszędzie.

Asia Sosnowska wstawiła głowę przez uchylone drzwi pokoju gameplayowców i uśmiechnęła się szeroko. Andrzej Domański zsunął słuchawki z uszu i skinął jej głową, całkowicie zrelaksowany. W żadnej innej sytuacji nie pozwoliłby sobie na utratę czujności w towarzystwie Asi. Zawsze lubił myśleć o sobie jako o kimś, kto

wie i zauważa o wiele więcej niż inni, jak Indianin, który wtopiony w dżungłę obserwuje z pobłażliwym uśmiechem turystów dżgających patykiem gniazdo węży. W przypadku Asi ta pewność siebie go zgubiła – dał się zwieść jej wielkim oczom, błyszczącym w trójkątnej twarzyczce i delikatnej, giętkiej sylwetce, przywodzącej na myśl syjamskiego kota. A koty są przecież słodkie i miłe, prawda? (Andrzej sam nigdy nie miał kota). Kiedy przyszło co do czego, ich starcie były krótkie i bolesne tylko dla jednej ze stron: on z podkulonym ogonem uciekł lizać rany i odtąd omijał ją szerokim łukiem, zaś Asia pozwoliła sobie na lekki, obojętny uśmieszek i udawała, że nic się nie stało.

Teraz, po kilku latach, Andrzej widział ich dwoje jako agentów wrogich wywiadów, których interesy na szczęście ze sobą nie kolidowały, więc mijając się na korytarzu, mogli wymieniać neutralne uwagi i niemal przyjazne spojrzenia. Nie wiedział, jak to wyglądało z perspektywy Asi, ale miał niemiłe przeczucie, że żadne jej wyobrażenie o nim nie było zbyt pochlebne.

Tak czy inaczej, teraz był bezpieczny – Asia nie zepsułaby swojego porannego rytuału żadną złośliwością czy podstępem. Dlatego usiadł wygodniej i dał znak pozostałym gameplayowcom, odciętym słuchawkami od świata, że to już czas.

– No, dawaj – zachęcił ją, sięgając po kubek z kawą.

– W co najchętniej grają w Budapeszcie? – zapytała. Codziennie wymyślała nowego suchara i obchodziła z nim całe studio, jakby rozdawała cukierki. Niektóre były śmieszne, inne nie, ale od razu zrobiły się popularne – może dlatego, że opowiadała je właśnie Asia. Gdyby na przykład Jurkowi, leadowi enviro, brzuchatemu i owłosionemu jak mała, przyszło do głowy zabawiać ludzi czerstwymi żarcikami, pewnie nikt by nie uznał, że to takie urocze i zabawne.

Potrzymała ich jeszcze chwilę w niepewności i wypaliła:

– Węgry Birds!

Nagrodzili żart powolnymi, uroczystymi oklaskami i już chcieli wracać do pracy, kiedy Asia dodała coś poza protokołem:

– A nową drukarkę widzieliście? Stoi na korytarzu, naprzeciwko małej salki konferencyjnej.

– O! – Andrzej zainteresował się od razu. Należał do tej kategorii wielbicieli nowego sprzętu, dla których nie jest ważne, czy chodzi o nową konsolę czy ekspres do kawy.

Drukarka była naprawdę imponująca – miała trzy szuflady na papier, mnóstwo przycisków, które aż prosiły się, żeby je rozpracować, i sięgała mu do pasa. Poglądził ją pieszczotliwie po boku jak rasową klacz.

– Wspaniała.

– Tylko ciekawe, po co nam kolejna drukarka – mruknęła Asia.

– To nie jest zwykła drukarka, moja droga. Nie widzisz? To ksero--drukarko--skaner.

– Kopiarkę też mamy, a skanerów chyba z pięć.

– Ale ta robi wszystko naraz.

– Założę się, że kupili ją tylko na pokaz – powiedział ponuro Krzysiek Strzelczyk, przyjaciel Andrzeja, który właśnie przechodził korytarzem i zatrzymał się przy nich. – Żeby pokazać, że firma funkcjonuje jak trzeba, stać nas na nowe gadzety, a oni panują nad sytuacją.

– Jakich onych masz konkretnie na myśli? Mata? Antka Hejdasza? – zapytała Asia.

– Tak ogólnie *ich*. Bezimiennych bogów chaosu i absurdu. – Krzysiek zaciął usta. On też sparzył się, nierozsądnie lekceważąc Asię, i odtąd nie lubił wdawać się z nią w dyskusje.

– Skoro tak, powinni jeszcze kogoś nowego zatrudnić dla niepoznaki. Albo zwolnić. Albo jedno i drugie – zaproponował Andrzej.

– Zatrudnić kogoś... za Jaśka? – Asia wytrzeszczyła oczy. – A co będzie, jak on wróci? Przecież się wścieknie!

– Nie wróci. Kropnęli go programiści.

– Wypraszam sobie – powiedział oziębło Krzysiek.

– A tak. Wszyscy wiemy, że nie zdążycie, ale przez tę drakę z Ritmeijerem nikt nie zwraca na to uwagi. Bo jeśli nie ma skończonego story, nie ma questów, a jeśli nie ma questów, nie ma gry, nie ma gry, nie ma premiery, nie ma premiery, nie ma pieniędzy... – wyliczał radośnie Andrzej.

– Nie wiem, czemu mówisz to z taką satysfakcją. Przecież to właśnie się dzieje.

– *Some men just want to watch the world burn* – wyszczerzył się Andrzej.

Nawet nie zauważyli, kiedy stanął obok nich Tomek Tyrowicz.

– Asia, zaczynamy stand-up. A co wy tu właściwie robicie?

Na twarzy Asi pojawił się wyraz bolesnego skupienia, kiedy próbowała ocenić, jak wiele szef producentów zdążył usłyszeć. Za to Andrzej, którego takie sytuacje tylko podjudzały do złego, palnął beztrosko:

– A tak się właśnie zastanawiamy, czy dostaliśmy tę drukarkę na osłodę, zamiast nowego creative directora. Bo dalej nie wiadomo, co się właściwie stało z Jaśkiem, hm?

Executive producent spojrział na niego niechętnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Na ostatnim spotkaniu powiedziałem wam wszystko, co musicie na razie wiedzieć w tej sprawie. Chwilowo pracujemy bez Jaśka, ale daty milestone'ów pozostają bez zmian i nie zwalniamy tempa. Jeśli macie jakieś pytania co do konkretnych tasków, zwróćcie się do waszych producentów.

– Tak? A co z nimi? – zapytał złośliwie Andrzej, wskazując na Asię. – Oni przecież nie mają swojego osobistego nadzorcy niewolników.

– Będą mieć już od jutra – odparł Tyrowicz sucho. – Ale nie mówcie jeszcze nikomu, dobra? – dodał, od razu żałując, że się nie wstrzymał. Na razie mieli się dowiedzieć tylko questowcy. – To na razie tajemnica.

– Oczywiście. – Andrzej skinął głową ze śmiertelnie poważną miną. Z jakiegoś powodu w Nasty Oranges wszystkie zmiany takie jak awanse, zwolnienia, przesunięcia deadline'ów czy zatrudnianie nowych pracowników były zawsze objęte najgłębszą tajemnicą, tak jakby podana przed czasem wiadomość, że nowy art director nazywa się, załóżmy, Węglarek i nosi dredy, miała wywołać atak

powszechnej paniki albo sprawić, że wszystko wybuchnie, tak jak na planecie Melmac, kiedy wszyscy włączyli suszarki. To niewiarygodne, ale próbowali utrzymać w sekrecie również tajemnicze zniknięcie Jaśka Ritmeijera, jakby myśleli, że nikt się nie zorientuje, jeśli nie ogłoszą tego publicznie.

Tak czy inaczej, wieść o nowym producencie sprawiła Andrzejowi satysfakcję. Zerknął na Asię wymownie: „A nie mówiłem?”, ale była za bardzo wyjeżona na Tomka, żeby to zauważyć. Zabawne, że questowcy zupełnie nie umieli sobie radzić z emocjami względem executive producenta.

– No, to do roboty. – Tyrowicz zatarł ręce z demonstracyjnym entuzjazmem. – Asia, rusz się, Paweł, Wojtek i Jacek już na nas czekają. Krzysiek, ostatni raz, kiedy zaglądałem w tabelki, byliście głęboko w czarnej dupie. Andrzej, zejdź mi z oczu. No już, raz, raz, raz!

Andrzej postanowił, że dla uczczenia nowej drukarki – i nowego producenta questów – wyjdzie tego dnia wcześniej z pracy. Dlatego już o dwudziestej drugiej wyłączył komputer, ziewnął i przeciągnął się, aż chrupnęło. Kręgosłup znów go napieprzał – powinien w końcu zacząć coś ćwiczyć albo chociaż biegać, ale jakoś nie wychodziło mu zastraszanie się wizją, jak to za kilka lat, przykuty do wózka, nie będzie miał innego wyboru, niż spędzić resztę życia przed komputerem. To byłoby zaiste tragiczne.

Już wychodził z pokoju, kiedy przypomniał sobie, że nie wypełnił tabelki. Zawahał się, ale w końcu machnął ręką – i tak miał wieczyście przechlapane u swojego producenta.

Na korytarzu natknął się niespodziewanie na tę nową, Karolinę.

– A co ty tu jeszcze robisz? – zdziwił się.

Zmieszała się, jakby przyłapał ją na czymś zdrożnym.

– A, tak się jakoś zasiedziałam. Zaczęła już ze mnie wyłazić pracoholiczka. – Uśmiechnęła się do niego nieśmiało i przegarnęła palcami opadające jej falami na ramiona włosy, jakby zgadła, że mu się podobają. Kolor miały przeciętny: polski

ciemny blond ze złotawymi refleksami, ale były niespotykanie gęste i lśniły jak futro dobrze odżywionego psa. Byłby z niej świetny wilkołak.

– W takim razie świetnie trafiłaś. Ale nie siedź jednak za długo – nie chcemy przecież, żebyś się za szybko wypaliła, prawda?

– Ty już idziesz? – zapytała.

– Tak. Tylko jeszcze wstąpię po Krzyśka.

– Aha. – Wyraźnie straciła zapał. Wyglądało na to, że Krzysiek już zdążył ją do siebie zrazić. Szybki był, nie ma co. – No to do jutra.

Pomachała mu i wróciła do pokoju postaciowców. Rzeczywiście nie przepadała za Krzyśkiem. Dotąd zawsze myślała, że lubi ekscentrycznych introwertyków, ale ostatnio uznała, że ta zasada nie obejmuje gburowatych typów z podkrążonymi oczami, którzy wyglądają, jakby wyleźli spod wilgotnego kamienia, i na kilometr zieją mizoginizmem. Ale pewnie musiało być w nim coś interesującego, skoro ten fajny kudłaty Andrzej, którego wypatrzyła już pierwszego dnia pracy, aż tak za nim przepadał. Usiadła przy biurku i nabazgrała szybko w swoim szkicowniku karykaturę Krzyśka – jeszcze wyższego, chudszego i bardziej zgarbionego niż w rzeczywistości.

W pokoju programistów siedziały teraz cztery osoby. Andrzej podszedł wielkimi krokami do biurka Krzyśka i stuknął go w kościste ramię.

– Ej. Idę już.

– To idź. – Nawet nie odwrócił głowy od monitorów. W okularach odbijały mu się przyrastające szybko linijki danych po kompilacji, a minę miał tak poważną i natchnioną, jakby prowadził statek kosmiczny.

Andrzej ciągle nie mógł się nadziwić, jak to wszystko ładnie i przejrzysto wyglądało w Visual Studio – jak przykładowe równania rozpisane kolorami w zeszycie do matematyki jakiegoś małego kujona. Za jego młodości – no, wczesnej młodości – nie było takich cudów, tylko czarne albo niebieskie okienko i się programowało. No i kto by wtedy wpadł na pomysł, że przydałyby się dwa monitory...

– A ty nie masz już dosyć na dziś? Chyba nie przejąłeś się gadaniem Tyrowicza?

Krzysiek wydał z siebie ogólnie przeczące mruknięcie. Tego, nad czym właśnie pracował, nie dało się skończyć dziś, ani nawet za miesiąc, ale zawsze wieczorami miał wrażenie, że jeśli posiedzi jeszcze godzinę, okaże się ona kluczowa. A jeśli nie ta, to następna.

Andrzejowi strasznie się nie chciało iść samemu na rondo Waszyngtona, więc mitrężył, bawiąc się od niechcienia Krzyżkową kolekcją resoraków. Nikt inny nie śmiałyby po nie sięgnąć. Krzysiek jako jeden z weteranów gamedevu, zwanych rzeźnikami, cieszył się w studiu wielkim szacunkiem, połączonym z odrobiną obawy. Chociaż rzadko podejmował jakieś wrogie działania (bo to wymagałoby interakcji z innymi), ludzie woleli omijać go z daleka. Bardzo mu to odpowiadało.

Andrzej był wyjątkiem. Od początku nic sobie nie robił z ponurych min Krzyśka, opowiadał mu jakieś głupie żarty, uparcie zapraszał go na piwo i ogólnie traktował jak zwykłego pracownika Nasty Oranges. Krzysiek – trochę wbrew sobie – był tym zafascynowany. Najpierw myślał, że Andrzej czegoś chce i traktuje tę znajomość użytkowo. Ale przecież nie był taki głupi, żeby oczekiwać, że pomoże mu w awansie. Zresztą, Domańskiego chyba nie interesowało robienie błyskawicznej kariery – takich Krzysiek wyczuwał na kilometr i omijał od nawietrznej. Andrzej nie pożyczał od niego pieniędzy, nie chciał się w niczym podszkolić i nie wyciągał od niego plotek. W miarę upływu czasu Krzysiek musiał przyjąć, że Domański, najwyraźniej obdarzony spaczonym gustem, po prostu ceni sobie jego towarzystwo. Sam zdążył już wtedy go trochę polubić – Andrzej był może trochę narwany, ale okazał się godnym zaufania współnikiem i umiał trzymać gębę na kłódkę. Krzysiek uznał, że jeśli już musi się z kimś przyjaźnić, to niech to będzie Domański. Trudno.

– Czy ty w ogóle kogokolwiek lubisz? – zapytał go kiedyś Andrzej zniechęca.

– Nieszczęśliwie.

– A twoja dziewczyna? Przecież masz dziewczynę, no nie?

– No tak. Ją trochę lubię – przyznał uczciwie.

– A co ze mną?

– Nie przeszkadzasz mi. I nawet lubię z tobą gadać. Nie mam przy tym wrażenia, że tracę czas, jak z innymi ludźmi.

Andrzej wybuchnął wtedy śmiechem i oświadczył, że to najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszał.

Teraz odłożył model Chevroleta Bel Air z 1953 roku i przestąpił z nogi na nogę.

– No to cześć. Idę.

Krzysiek pozostał niewzruszony, więc Andrzej w końcu dał za wygraną i powlókł się do wyjścia. Przechodząc obok szwalni, zobaczył, że Paweł Stentor i Wojtek Mazurek twardo crunchują. Tego pierwszego na pewno siła ludzka by nie ruszyła od komputera przed północą, ale Mazurka być może dałoby się zdeprawować. Andrzej uśmiechnął się pod nosem: oto wyrasta na coś w rodzaju antyproducenta: krąży po studiu i namawia ludzi, żeby szli do domu.

Postanowił jednak dać spokój Mazurkowi. Tak naprawdę jakoś nigdy nie umiał złapać z nim kontaktu i wolał już iść sam na przystanek, niż przez te dziesięć minut silić się na rozmowę. Nie chodziło o to, że nie lubił Wojtka – tak naprawdę w ogóle go nie znał. Mazurek dołączył do teamu dość późno i trzymał się na uboczu, jakby przyszedł tu tylko do pracy. Z drugiej strony nie emocjonował się jakoś przesadnie Finnleyem i Avery, więc trudno go było uznać za fanboya, którego przygnała tu miłość do RFF. Co w takim razie robił w Nasty Oragnes? Było to dość osobliwe, ale nie na tyle interesujące, żeby zwrócić uwagę Andrzeja, który o nikogo w studiu jakoś szczególnie nie zabiegał. No, poza Krzyśkiem. Ale tu w grę wchodziły też interesy.

Andrzej zbiegł po schodach na parter, zasalutował sprężyście ochroniarzowi siedzącemu na recepcji i żwawym krokiem wmaszerował w noc.

Pierwszy wpierdol

Wojtek Mazurek wysiadł z N46 na osiedlu Potok i ruszył wolno w stronę Gwiazdzistej. Od mieszkania dzielił go niecały kilometr, ale tym razem miał wrażenie, że to jednak strasznie daleko i chyba nie da rady. Od drżących powidoków quessa, który implementował cały dzień, kręciło mu się w głowie, czuł, że kręgosłup zaraz mu się złamie jak przerdzewiały parasol, i mdliło go z głodu (co on właściwie jadł tego dnia? Wziął kawałek crunchowej pizzy, a potem miał iść po następny, ale chyba zapomniał). Wlekł się noga za nogą, jak zdemotywowany zombie, i gdyby to nie był koniec listopada, chyba po prostu zwinąłby się na wymuskany żoliborskim trawniku i zasnął. Oczywiście skoro czuł się tak źle, rozsądniej byłoby zostać w pracy, ale Mazurek zawsze pilnował, żeby choć od czasu do czasu nocować w mieszkaniu – to nadawało jego życiu jakieś pozory normalności. Jednostajny rytm własnych kroków otepił go tak bardzo, że nie czuł już zimna i zatonął w mętym, kwaśnym półśnie – pilnował tylko, żeby skręcać we właściwych miejscach.

Krzyki usłyszał na wysokości Tylżyckiej. Widział już swój blok i nawet oświetlone rzęsiście okno w kuchni. Mógł po prostu trochę się cofnąć, pójść naokoło i ominąć to wszystko.

Ale nie. Poczuł, jak w umęczone ciało uderza zimny i piekący plaskacz adrenaliny – jakby zderzył się z taflą wody. Pięści same mu się zacisnęły, a puls przyspieszył, aż zaczęło mu dudnić w uszach. Gdzieś w środku jakiś głos słabo przekonywał, żeby się nie mieszał, ale jak zwykle nie miał najmniejszych szans. Mazurek zaczął biec.

Krzyczała jakaś dziewczyna.

– Zostaw go! Zostaw! Piotrek!

Mazurek zdążył zauważyć, że jest ubrana bardzo lekko, jakby dopiero co wyszła z ciepłego pomieszczenia albo samochodu. Miała za to czarny, fikuśny berecik, spod którego wymykały się długie pasma włosów w kolorze plastikowego blondu. Chybotwała się na wysokich obcasach i bezskutecznie próbowała powstrzymać barczystego faceta od spuszczenia łomotu drugiemu – zdecydowanie najbardziej pijanemu z nich wszystkich.

– Ja mu, kurwa, pokażę...! – zadeklarował tymczasem napastnik i zmienił rękę.

Kiedy Mazurek był już na tyle blisko, żeby zobaczyć rozmazany makijaż dziewczyny i zwisającą w strzępach kurtkę okładanego faceta, barczysty zadał mu ostatni cios, po którym tamten zwinął się ze stęknieniem i padł na chodnik. Wtedy – rozprawivszy się z najbardziej palącym problemem – barczysty przeniósł uwagę na blondynkę, która ciągle lamentowała i szarpała go za ramię jak nerwowy terier. Pchnął ją z całej siły i bluzgnął wiązką przekleństw, które nie pozwalały powątpiewać, że ma do niej wyraźne i raczej uzasadnione pretensje.

Dziewczyna nie zdołała utrzymać równowagi i klapnęła na tyłek. Zapiszczała przeraźliwie i podniosła na mężczyznę przerażone oczy obramowane kołami rozpląniętego tuszu. Barczysty zatoczył się lekko, sapnął i zrobił krok w jej stronę. Pisk wzmógł się, a dziewczyna zakryła rękami głowę jak małe dziecko.

– Ej, ty!

Mazurek z rozpędem wpadł na faceta z boku i zbił go z nóg. Jakimś cudem mężczyzna, mocno zaangażowany w scenę z pewnością mającą dla niego doniosłe znaczenie osobiste, nie zauważył w ogóle nadciągającego niebezpieczeństwa i runął jak długi.

Strategiczne zwycięstwo Mazurka było jednak równie efektowne, co krótkotrwałe. Barczysty pozbierał się szybko, potrząsnął głową i zogniskował spojrzenie przekrwionych oczu na wątlým chłopinie, który opiekuńczo zasłaniał sobą blondynkę. Ten heroiczny obrazek wyraźnie mu się nie spodobał. Ryknął jak atakujący byk i zmiotł intruza jednym, perfekcyjnie wymierzonym uderzeniem, jakby nagle przypomniały mu się wszystkie filmy z Van Damme'em. Mazurek usłyszał wyraźnie gong oznaczający koniec walki, ale to musiało być jednak coś innego, bo potem spadły na niego kolejne uderzenia. Barczysty tłukł go z pełnym poświęceniem, nie zwracając najmniejszej uwagi na wymierzone na odlew ciosy Mazurka (zresztą, możliwe, że chybiały celu – Wojtkowi wciąż dzwoniło w uszach i nie był pewny), a przy tym dalej konferował z blondynką.

– A ten to kto? Temu też coś, kurwa jebana, obiecywałaś...!?

Dziewczyna patrzyła na całą scenę z otwartymi ustami, a potem nagle twarz jej się skurczyła jak u wściekłego kota.

– Tego nie znam! – wrzasnęła ze złością i wstała z chodnika. – Nie mam pojęcia, kto to! – Zatupała obcasami kozaczków i zupełnie niespodziewanie rozplakała się rozdzierająco.

Barczysty ze zdziwienia aż porzucił Mazurka. Zakolebał się niepewnie i podszedł do blondynki.

– Gabi, no weź... Nie płacz – wymamrotał nagle skruszony.

– Chcę do domu! – zawyła dziewczyna i rozryczała się jeszcze głośniejsze, żeby umocnić swoją przewagę.

– No już dobrze, dobrze – wystraszył się barczysty, zdjął swoją skórzaną kurtkę i otulił nią blondynkę, która nie protestowała, tylko przyłgnęła do niego. Zaszlochała ostatni raz i dostała czkawki. Mężczyzna objął ją ramieniem, spojrział, żeby się upewnić, czy Mazurek na pewno ma dosyć, po czym sprowadził blondynkę ze sceny.

Mazurek miał dość. Poleżał jeszcze chwilę, kontemplując rwący ból w wątrobie i pulsująco-piekące inferno szalejące na lewej połowie twarzy, po czym usiadł ze stęknieniem. Dotknął na próbę rosnącej w błyskawicznym tempie śliwy, wzdrygnął się i zaprzestał dalszych badań. Chodnik, na którym siedział, był odśnieżony, ale ciągnęło od niego zimnem, i Mazurek zdecydował, że jednak nie może tam zostać. Rozejrzał się dookoła prawym okiem. Barczysty facet i dziewczyna zniknęli z pola widzenia, podobnie jak ten w porwanej kurtce, który miał na tyle rozumu, żeby już wcześniej oddalić się cichaczem.

Mazurek spojrział w stronę swojego bloku. Obraz mu się rozmazywał i już nie widział dokładnie okna, ale był pewien, że dalej pali się tam światło. Wstał – na kilka razy – i jeszcze wolniej niż przedtem, pochylony nad obolałą wątrobą, powlókł się do domu.

Kiedy wysiadł z windy na czwartym piętrze, od razu poczuł w klatce piersiowej drżący, zwierzęcy warkot basowych głośników Staszka, swojego współlokatora.

Ponuro pokiwał głową – był środek crunchowego tygodnia, godzina druga w nocy, a testerzy z Nasty Oranges imprezowali, jakby jutro miało nie nadejść. W pewnym sensie ich podziwiał. Chociaż dziś może trochę mniej niż zwykle – naprawdę chciał już tylko iść spać. Wsadzi sobie korki do uszu, naciągnie poduszkę na głowę i jakoś to będzie.

Zaczął niemrawo szukać kluczy w kieszeni i dopiero kiedy sprawdził wszędzie po trzy razy, dotarło do niego, że ich nie ma. Pewnie zostawił w pracy. Westchnął i nacisnął dzwonek.

Nic.

Nacisnął jeszcze raz i – tknięty złym przecuciem – przyłożył ucho do drzwi. Pośród dudnienia muzyki i radosnych wrzasków przebijał się słabo dźwięk dzwonka. Bardzo słabo. Mazurek zaklął pod nosem i walnął kilka razy pięścią w drzwi. Nic.

– Staszek! – wrzasnął i wymierzył drzwicom kopniaka. Pozostały niewzruszone, ale za to piętro wyżej rozległ się trzask zamka, a potem jazgotliwy głos sąsiadki:

– Jeszcze po klatce się będziecie rozbijać!? Wy to się Boga nie boicie! Cisza tam albo znowu policję zawołam!

Mazurek z cichym jękiem osunął się na wycieraczkę pod swoimi drzwiami.

– Nie mam siły, tak będę leżał – wymamrotał do siebie bezsilnie i zwinął się na prawym boku.

Poleżał tak z pięć minut, po czym hałas za drzwiami nabrał mocy, coś się tam po drugiej stronie zakołowało i nagle ktoś otworzył. Muzyka chlusnęła na klatkę schodową i zagrała Mazurkowi w płucach. Westchnął z ulgą i spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– No mówiłem, że ci się zdawało! Nikogo tu nie ma! – wrzasnął Dominik, którego wzrok zawisł na wysokości metra osiemdziesiąt, przez co nie zauważył dziwnych ruchów na wycieracze. Mazurek, przestraszony, że wizja spania we własnym łóżku znów oddali się na czas nieokreślony, bez namysłu złapał go za kostkę. Dominik wydał z siebie krótki skowyt jak nadeptnięty pudel, szarpnął się do

tyłu i przewrócił na stojącego za nim Michała, który też stracił równowagę. Jako że w przedpokoju było dość tłoczno, jak kamyki domina przewróciły się jeszcze trzy osoby. Ostatnią z nich był Staszek Fraczyński, który uderzył plecami o drzwi łazienki, zsunął się na podłogę i wybuchnął śmiechem. Większość z uczestników karambolu trzymała w rękach butelki, więc dookoła natychmiast zrobiło się mokro, a w duszne powietrze wzbil się zapach piwa.

– Co wy wyprawiacie? – rozległ się gdzieś z głębi mieszkania głos Emilki, dziewczyny Staszka. Wtargnęła do przedpokoju, ciągnąc za sobą odkurzacz. Odgarnęła włosy z czoła i dojrzała przy drzwiach Mazurka, powstającego chwiejnie jak zdezelowany android.

– No nie, znowu. – Załamała ręce. – Pozbierajcie się wszyscy, ok? Dajcie mu przejść do łazienki.

– Ale co znowu? – zapytał Dominik, który nie był w temacie. Zamiast wstać, zaczął się wygodniej układać na podłodze.

– Wojtek znowu się z kimś bił – mruknęła Emilka posępnie, podając rękę Staszekowi, który jakoś nie mógł się podnieść o własnych siłach.

– O, Mazurek! Bracie! – wrzasnął radośnie, kiedy go wreszcie zobaczył. Zrobił kilka kroków do przodu, po czym zatoczył się na wieszak, który nie dał mu dostatecznego oparcia, więc znów wylądował na podłodze, tym razem z pomarańczową kurtką w objęciach. Chichocząc, pozwolił Emilce podciągnąć się do góry, ale kurtki nie oddał. – Nie, zostaw. Ona mi się bardzo podoba, a tu jakiś kretyn piwo rozlał. – Staszek przyjrzał się Mazurkowi uważniej. – Na Odyna, krew prawdziwego wojownika można zmyć tylko wódką! Nalać mu!

– Nalać! – odwrzasnęła cała banda. Z jakiegoś powodu wszyscy byli usmarowani jakąś różowo-białą mazią. – O-dyn! O-dyn! O-dyn!

– Nie, nie, idę spać – zaprotestował słabo. Myśl o alkoholu wydawała się – jak zawsze – kusząca, ale jednak było mu za bardzo niedobrze.

– Zostawcie go w spokoju. – Emilka przedarła się do drzwi, wzięła Mazurka za rękę i zaczęła go holować w stronę łazienki. Nie było to łatwe przedsięwzięcie, bo

teraz w przedpokoju byli już wszyscy – nawet rozespany Adam, któremu już w pięć minut po tym, jak zasnął w fotelu, zdążyli nasmarować coś pisakiem na policzku.

– Nie, nie, idę od razu spać – powtórzył Mazurek, bez przekonania próbując się wyrwać.

– Nie wygłupiaj się, trzeba cię opatrzyć.

Mocne ręce Emilki pokierowały nim i już po chwili siedział na brzegu wanny, przyglądając się z lekką obawą, jak wyciąga z szafki wodę utlenioną i gaziki.

– Nie wierć się – nakazała surowo i dokonała wstępnych oględzin.

– Może lepiej zostawić, żeby samo zaschło? Po co to ruszać... – bąknął nieśmiało.

– Jak będziesz gadać od rzeczy, zawiozę cię na pogotowie, żeby sprawdzili, czy nie masz wstrząśnienia mózgu. Chyba że jesteś pijany. Jesteś? – Przysunęła do niego twarz i podejrzliwie pociągnęła nosem.

– Chyba ty. Nie, wszystko w porządku. Będę miał limo i tyle.

– No dobra. Ale jakbyś się gorzej poczuł, daj znać od razu, ok?

– Mhm – mruknął i już nie protestował, kiedy zaczęła przemywać mu oko zimną wodą. Ich relacje domowe były od dawna ustalone i zawsze – niezależnie od stanu świadomości – zachowywał się w stosunku do Emilki po bratersku neutralnie... ale to, jak troskliwie się nim zajmowała, było niewątpliwie miłe. Pod dotykiem jej palców udręczony Mazurek miękł jak воск, niczym zdziczały śmietnikowy kocur, którego ktoś znieuważa przytrzymał za kark i pogłaskał. Było to pewnie trochę żałosne.

Zamieszkał ze Staszkiem i Emilką, kiedy zaczął pracować w Pomarańczach i wyprowadził się z kawalerki na Targówku. Zajmował północny pokój, a oni wschodni, największy, w którym zwykle odbywały się słynne w całej firmie imprezy testerów. O szaleństwach na Gwiazdzistej krążyły najdziwniejsze plotki i legendy – a większość z nich była niestety prawdziwa. Prawdopodobnie właśnie dlatego dość często zmieniał się czwarty lokator, mieszkający w najmniejszym

pokoju. Obecnie był nim Adam, młody i pełny entuzjazmu tester, absolutnie zachwycony wszystkim, co działo się na Gwiazdzistej. Od razu uznał Staszka za swojego guru, co wróżyło, że zostanie z nimi dłużej niż dwa miesiące. Mazurkowi huczne imprezy nie przeszkadzały, choć nie zawsze czuł się na siłach, żeby brać w nich aktywny udział.

Emilka była niewątpliwie najbardziej rozsądną i odpowiedzialną osobą z nich wszystkich – żelazną ręką trzymała składkowe pieniądze na „fundusz reprezentacyjny” (czyli papier toaletowy i środki czystości), pilnowała terminowego płacenia rachunków, a od czasu do czasu udawało jej się nawet zmusić kogoś z nich, żeby posprzątał kuchnię.

Mazurek nie miał pojęcia, jak to się ma do jej wariackich pomysłów na imprezach (zwykle to ona inicjowała tańczenie na stole i przyrządzanie eksperymentalnych, samobójczych drinków), ale wiedział, że nawet pośród największego chaosu mogą na nią liczyć. Choćby przed chwilą płakała ze śmiechu na podłodze, pijąc wino prosto butelki, w sytuacjach alarmowych natychmiast wchodziła w tryb matki przełożonej, wyjmowała z włosów chrupki i całkowicie opanowana dzwoniła po pogotowie, gasiła firanki albo zbierała szkło z łóżka.

– Chyba aż tak cię nie boli, skoro prawie mi tu zasypiasz – zauważyła z przekąsem, ostrożnie manewrując nasączonym wodą utlenioną gazikiem przy jego nosie. – Dobra, skończyłam.

Mazurek otworzył prawe oko i wstał z brzegu wanny, żeby obejrzeć w lustrze lewe, wciąż pulsujące gorącym bólem. Syknął.

– Tak, paskudnie to wygląda – potwierdziła. – Co się tym razem stało? To, co zwykle? Dama w opałach?

– Mhm.

Usiadł z powrotem na wannie i rozmasował sobie przedramiona. Jakoś odeszła go senność, był za to piekielnie głodny.

– Zostało coś do jedzenia?

– Schowałam dla ciebie kanapki w piekarniku, zaraz ci przyniosę. Lepiej zjedz tutaj, bo jak zobaczą, że jest jeszcze jakieś żarcie... – zawiesiła głos, pozostawiając dantejskie sceny, które mogłyby się rozegrać, jego wyobraźni.

– No to mów. Co tym razem uruchomiło twój skrzywiony instynkt błędnego rycerza? – zapytała kilka minut później, kiedy już wsunął trzy kromki z szynką i z mieszaniną chciwości i smutku zapatrzył się na czwartą, ostatnią.

– Długowłosa nimfa, istna Falbala – wymamrotał, przełykając. – Zjawiskowo piękna w białych kozaczkach, lekko woniejąca żołądkową gorzką z pomarańczą. Ach, i miała jeszcze berecik.

– W takim razie rozumiem, że zaiste nie mogłeś się pohamować. – W prawym policzku Emilki pojawił się uroczy dołeczek i Mazurek odwrócił wzrok. Przez większość czasu nie miał problemu z mieszkaniem pod jednym dachem z atrakcyjną, biuściastą brunetką, ale zdarzały mu się chwile niepożądanego zamętu. Na przykład teraz.

– A tak serio, to naprawdę musiałem zareagować. Ty na moim miejscu zrobiłabyś to samo – powiedział z przekonaniem.

– A co konkretnie zrobiłeś? – zainteresowała się.

– Hm, przewróciłem stukilowego faceta, który chciał uderzyć tę nadobną panienkę. Chociaż szczerze mówiąc, teraz to nie jestem taki pewny, że rzeczywiście by to zrobił. Ale w tamtej chwili... – wzruszył ramionami.

– Ech, no tak. Powiedz mi tylko, czemu takie rzeczy ciągle ci się przydarzają? To naprawdę wygląda, jakbyś nieustannie szukał guza.

– To ja powinienem pytać, czemu mnie to spotyka. I wygrażać pięściami obojętnym niebiosom. Nie ma już ani pół kanapki, prawda? Tak myślałem.

Od czasów podstawówki Mazurek bez przerwy się z kimś łał, chociaż sam nie wdawał się w żadne kłótnie. Zwykle rycersko stawał w bronie uciśnionych – i w większości przypadków sromotnie przegrywał. Po jakimś czasie, kiedy stało się jasne, że fatum nierównych pojedynków zawisło nad nim na dobre, rodzice i przyjaciele zaczęli go namawiać, żeby zaczął trenować karate albo judo, ale

Mazurek uparcie twierdził, że to byłoby kuszenie losu. Jakoś tak się składało, że wszyscy jego przeciwnicy tak naprawdę nie umieli się bić – zadawali chaotyczne ciosy, młóćąc rękami jak wiatraki, i celowali głównie w twarz, w najgorszym razie w brzuch. Większość tych epickich pojedynków wyglądała jak starcie Colina Firtha i Hugh Granta w ekranizacji *Dziennika Bridget Jones*.

Mazurek przegrywał, bo był niewysoki i raczej drobny, a poza tym po początkowym szaleńczym ataku całkowicie tracił inicjatywę i tylko czekał, kiedy to się skończy. Uliczna bójka po pierwszej wymianie uderzeń szybko traciła dla niego atrakcyjność; dość często wyczuwał też podobne nastawienie po drugiej stronie – zwłaszcza kiedy zbiegali się ludzie, żeby sobie popatrzeć.

Gdyby kiedyś trafił na kogoś, kto wie, gdzie uderzyć, żeby naprawdę bolało, pewnie skończyłoby się połamanymi zębami albo ubytkiem w uzębieniu. Na podobnej zasadzie, jak jego matka uważała, że mierzenie sobie gorączki tylko prowokuje chorobę do dalszych ataków, Mazurek trzymał się tego, że dopóki nie zacznie ćwiczyć, żeby przygotować się na najgorsze, to ono nie nastąpi. Jak dotąd się sprawdzało.

– Dlaczego oni wszyscy są usmarowani tym czymś różowym? – zainteresował się nagle.

– A, był tort truskawkowy dla Daniela. Ale nie zdążyłam go nawet pokroić, tak się rzucili.

– A czemu ciebie nie upaprali?

– Bo robiłam im zdjęcia komórką.

– Bardzo sprytnie – pochwalił.

Z kuchni dobiegł łomot przewracanych garnków i patelni, a potem ktoś jakby na próbę uderzył o siebie dwiema pokrywkami. Nagrodzono go aplauzem, więc walnął jeszcze kilka razy, a potem włączyły się kotły i perkusje. Dopiero, kiedy zaczęli śpiewać, stało się jasne, że to ma być opening z *Wikingów*.

– Chyba powinnam do nich wrócić, bo będzie bieda. Ta małpa z piątego piętra zupełnie się nie zna na muzyce. A ty idź już spać, biedaku – powiedziała miękko

i pogładziła go po włosach jak młodszego brata.

Jak brata, powiadam – powtarzał sobie potem Mazurek, owijając się kołdrą i układając do snu.

Kiedy to się skończy?

Krzysiek Strzelczyk przekręcił ostrożnie klucz w zamku i wszedł do mieszkania cicho jak złodziej.

Zza przymkniętych drzwi sypialni wypływała wąska smuga światła. To nic nie znaczy – przecież mogła zasnąć nad książką i nie zgasić lampki. Na pewno śpi. Przełknął ślinę i nerwowo poprawił okulary. Już zaczynał mieć wyrzuty sumienia. Naprawdę, wszystko byłoby prostsze, gdyby spała. Delikatnie pchnął drzwi sypialni i na palcach wszedł do środka.

Nie spała.

Siedziała skulona na łóżku z nosem w jakimś tomiszczu. Nawet z tej odległości widział, że ma na policzkach wypieki z przejęcia i gryzie koniuszek kciuka. Nic dziwnego, że go nie usłyszała. Coś – intuicja albo szósty zmysł – musiało jej jednak podpowiedzieć, że nie jest w mieszkaniu sama. Jej rysy nagle dziwnie wyostrzyły się w blasku lampki. Odwróciła głowę, spojrzała na niego i zaczęła wrzeszczeć.

Cofnął się, jak obłany zimną wodą, a ona wciąż wrzeszczała, przyciskając rękę do serca. Jej oczy w cieniu rzucanym przez abażur wydawały się całkowicie czarne, a opadające na białą, staromodną koszulę nocną włosy lśniły krwistą czerwienią. Przez moment miał wrażenie, że zaraz zacznie się jej obracać głowa jak Regan MacNeil.

– Danka! Uspokój się! – zawołał przestraszony, kiedy wreszcie się otrząsnął.

Zachłysnęła się i umilkła. Krzysiek odczekał chwilę i zapytał ostrożnie:

– Już dobrze?

Pokiwała głową i westchnęła urywanie.

– Przepraszam, wystraszyłeś mnie. – Miała zachrypnięty głos. Nie patrząc na niego, poklepała lekko łóżko obok siebie. Podszedł powoli (na wypadek, gdyby jeszcze jej nie przeszło) i usiadł przy niej. Podniosła na niego wzrok zażenowanej uczennicy i zgarbiła ramiona, jakby spodziewała się, że huknie ją w ucho.

– Co czytałaś? – zapytał po chwili łagodnie.

– *Dziwne losy Jane Eyre*.

– No to wszystko jasne.

To tłumaczyło też, dlaczego włożyła tę starą koszulę po babci, którą wcześniej widział tylko raz, kiedy z nabożeństwem ją uprasowała, a przed odłożeniem na półkę kazała mu podziwiać ręcznie dziergane koronki przy dekolcie.

Danka była prawdziwym mołem książkowym i, oględnie rzecz ujmując, bardzo mocno wsiąkała w świat powieści, którą aktualnie czytała. Krzysiek na początku myślał, że cierpi na jakieś łagodne zaburzenia psychiczne, ale kiedy zorientował się, w czym rzecz, uznał, że to właściwie urocze. Gdy Danka czytała *Dumę i uprzedzenie*, traktowała go z lodowatą wyższością, a uczucia okazywała mu niechętnie i trochę jakby wbrew sobie. W epoce *Klubu Pickwicka* spędzała całe wieczory w kuchni, gotując rozmaite frykasy, i przytyła trzy kilo (co wyrównało się, kiedy zaczęła czytać *Germinal*). *Przeminęło z wiatrem* nastrajało ją kapryśnie, a kiedy czytała *Idiotę*, miała w oczach szaleństwo i Krzysiek w przypływie lekkiej paranoi pochował przed nią wszystkie noże.

Na początku próbował eksperymentować – kiedyś z nadzieją położył na stoliku nocnym *Pięćdziesiąt twarzy Greya* – ale Danka zawsze sama wybierała sobie lektury według jakiegoś tajemniczego klucza i była całkowicie nieczuła na wszelkie sugestie. Pozostawała mu więc tylko uważna obserwacja i dostosowywanie się. Na szczęście Danka najchętniej sięgała po klasyczne powieści (nie chciał się nawet zastanawiać, co by było, gdyby zaczęła czytać Kinga albo Mastertona).

Sam Krzysiek nie interesował się jakoś szczególnie literaturą, ale wychował się w domu zaprzysięgłych humanistów: mama była nauczycielką, ojciec

dziennikarzem. Przez długi czas wierzyli, że syn pójdzie w ich ślady – przy posiłkach przemawiali do niego sentencjami łacińskimi, a w soboty zamiast do zoo prowadzili go do antykwariatu i namawiali, żeby rozkoszował się zapachem zakurzonych książek. Później, gdy wciąż nie przejawiał dostatecznego zainteresowania domową biblioteczką, podsuwali mu ciągle nowe lektury, łudząc się, że chłopak ma po prostu bardzo skonkretyzowane gusta i musi trafić na swojego autora – skoro nie Kafka, to może Canetti albo chociaż Hemingway. Poddali się dopiero, gdy Krzysiek dostał się na politechnikę. Teraz, po latach, musiał przyznać, że wiedza, którą nasiąknął w domu właściwie wbrew sobie, rzeczywiście przydaje mu się w życiu.

– Czemu się skradałeś? – zapytała z wyrzutem, wyrrywając go z zamyślenia.

– Myślałem, że śpisz, i nie chciałem cię obudzić. – Była to prawda, przynajmniej częściowo. Miał szczerą nadzieję, że śpi jak kamień, a jeśli nie, to że uda mu się wkraść niepostrzeżenie i może wcale się nie zorientuje...

– Która godzina?

Cholera.

– Późno, chodźmy już spać. – Podniósł się energicznie, żeby umknąć do łazienki. – Będziesz rano niewyspana i...

– Kiedy to się wreszcie skończy? – zapytała przygaszonym głosem. Spojrzał na nią i ścisnęło mu się serce, tak biednie i smutno wyglądała. To tylko Jane Eyre, nie daj się wziąć na litość – powiedział sobie. – Pamiętasz, jak się awanturowała o każdy dzień crunchu, kiedy czytała *Cudzoziemkę*?

– Niedługo. Obiecuję – skłamał. – A teraz wskakuj do łóżka. Nie, najpierw odłóż książkę, widzę cię. Za minutę jestem i gasimy światło.



Rozdział drugi

Czwartek 28 listopada

Pojawia się Julka

Julka posępnie patrzyła swojemu odbiciu w oczy i metodycznie szorowała zęby. Te zapowiadane wichury musiały się zacząć tej nocy, bo spało jej się okropnie. Zrobiło się też zimniej i zaczęła się zastanawiać, gdzie zeszłej wiosny schowała ten gruby, ciężki szlafrok, którego obiecywała sobie już nigdy nie zakładać. Na urodziny co prawda dostała nowy, który wyglądał, jakby uszyto go z wielkich płatków białej róży – ale dawał niestety mniej więcej tyle samo ciepła. Umówmy się, że bez trzech kilogramów mięsistej froty nie ma co zaczynać dnia takiego jak ten.

Piana z pasty do zębów zaczęła jej kapać do umywalki. Julka zrobiła do lustra szaloną minę Nicholsona z *Lśnienia* i odkręciła gorącą wodę.

W kuchni panował totalny bałagan, chociaż przed pójściem spać wszystko posprzątała. Normalka. Zajrzała do lodówki – no, przynajmniej zjadł kurczaka, którego mu zostawiła na kolację. Wzięła sobie na śniadanie jogurt jagodowy (podobno do niego pakują najmniej cukru. Nie żeby miała coś przeciwko słodyczom, ale jogurt jest przecież po to, by poczuć się zdrowo i z czystym sumieniem zjeść batonika) i porządnie zapakowane kanapki, które przyszykowała wczoraj. On jak zwykle zje w firmie, bo w kantine Nasty Oranges do południa

podawali gorące naleśniki z miodem i cynamonem (na jego miejscu zrobiłaby to samo).

Zapięła torbę, zerknęła na zegarek i zmarszczyła brwi. Powinna się pospieszyć, jeśli chciała jeszcze zdążyć wyrzucić śmieci, zanim pójdzie na przystanek.

O wiele łatwiej jest się gdzieś spieszyć, myślała, naciągając grube rajstopy (nienawidziła grubych rajstop). Zaraz wylatują człowiekowi z głowy wszystkie depresyjno-zimowe myśli, przestaje się gapić w ścianę i zastanawiać, dokąd zmierza jego życie, tylko skupia się bez reszty na teraźniejszości i aktualnych problemach – na przykład gdzie podział ten ciepły wełniany sweter (nienawidziła ciężkich, gryzących swetrów). Pościeliła łóżko, odsunęła zasłony i przeszła szybkim krokiem do przedpokoju.

Na podłodze tuż przed drzwiami jego sypialni leżały rozrzucone czarne tenisówki (rozmiar czterdzieści trzy) i zwinięte w kolorowe kłębki skarpetki z wojowniczymi żółwiami ninja. No naprawdę... Pozbierała wszystko, chociaż wiedziała, że to niewychowawcze, wrzuciła buty na półkę, a potem cofnęła się do łazienki i celnie cisnęła skarpetkami do otwartego brzucha pralki.

– Hej, wstajesz? – zawołała w kierunku przymkniętych drzwi, wsuwając czapkę na uszy (nienawidziła nosić czapek. I w ogóle nie znosiła zimy).

– Nmm – dobiegł ją męczeński pomruk.

– Zakładam, że to znaczy nie. A masz dziś crunch?

– Ymm.

– Znowu? – westchnęła. – Ranyyy. No dobra. Ja już muszę lecieć do szkoły. Cześć, tato!

Poranek w Nasty Oranges

Trzeba było przyjść później.

Najwyraźniej nie tylko Tomek zaczynał pracę o dwunastej – o ósmej trzydzieści wszystkie pokoje w siedzibie Nasty Oranges świeciły pustkami. Marcin

w pierwszej chwili był zawiedziony, ale potem pomyślał, że przynajmniej będzie mógł się rozejrzeć spokojnie po studiu, nieścigany tysiącem zaciekawionych spojrzeń.

Wszystkie światła były pogaszone i na korytarzach panował senny, ziarnisty półmrok. Zwiedził kuchnię, gdzie po krótkim wahaniu z rzędu kubków wybrał ten z Pac-Manem i zrobił sobie kawę z ekspresu, a potem poszedł na obchód kolejnych pomieszczeń. Wszędzie unosił się charakterystyczny, nieuchwytny zapach przemielonego przez klimatyzację powietrza i rozgrzanych, a potem wystygłych komputerów.

Kiedy wszedł do szwalni, okazało się, że jednak nie jest sam – w drugim rzędzie biurek siedział niewysoki brunet i pracował nad czymś z nieco niepokojącym w tych okolicznościach zapachem. Kiedy zauważył Marcina, zdjął słuchawki i wstał z szerokim uśmiechem, żeby podać mu rękę.

– Cześć, jestem Marcin Stawecki, nowy producent. Wygląda na to, że przyszedłem trochę za wcześnie.

– Paweł Stentor. Rzeczywiście, wszyscy zaczynają pracę o dziesiątej. Albo i później – wybuchnął zaraźliwym śmiechem i ujął się pod boki. Miał żywe, ciemne oczy i nawet kiedy stał w miejscu, promieniowała z niego skumulowana energia jak z króliczków w reklamie baterii Energizer. Był niższy od Marcina o głowę, ale o wiele bardziej barczysty – koszulka z Triss Merigold, którą miał na sobie, była tak rozciągnięta na jego szerokiej klatce piersiowej, że czarodziejka z *Wiedźmina* miała lekko skośne oczy i przypominała trochę zaspanego chomika.

– A ty? – zapytał Marcin, jednocześnie zezując na lewy monitor, na którym wypatrzył kolejną podobiznę Triss, tym razem w idealnych proporcjach. Słynna scena kąpieli w elfich ruinach.

– Mnie się lepiej pracuje rano, kiedy dokoła nie ma takiego szumu i nikt nie zadaje tysiąca pytań. To twój pierwszy dzień? Oprowadzić cię? – zapytał Paweł życzliwie, po czym podskoczył lekko w miejscu z rękami na biodrach, przez co wyglądał, jakby miał zaraz ruszyć do krakowiaka.

– Nie, nie chcę ci przeszkadzać. Ale może mógłbyś mi wydrukować opis fabuły gry i tak dalej? Przynajmniej zacząłbym robić coś konstruktywnego.

– Opis fabuły? – zastanowił się Paweł, wybijając stopą jakiś skoczny rytm na podłodze. – Hm, obawiam się, że nie mamy nic takiego. Są dokumenty questowe, ale chyba wszystkie nieaktualne i pewnie lepiej byłoby dla ciebie ich nie czytać, bo tylko sobie namieszasz w głowie. – Stentor miał zwyczaj śmiać się prawie po każdym zdaniu, ale nie było to w żaden sposób irytujące, tylko sympatyczne, choćby w tym co mówił, nie było nic szczególnie zabawnego. – A po co ci to w ogóle? Jesteś nowym producentem...? – zawiesił pytająco głos.

– Mam być producentem questowców.

– He, he, czyli moim – parsknął Paweł. – Pewnie cię dzisiaj wprowadzą we wszystko, ale rzeczywiście może chociaż przejrzyj te dokumenty, skoro już jesteś. Tylko weź pod uwagę, że naprawdę sporo się tam zmienia z [iteracji](#) na iterację. Szczerze mówiąc, tylko Ritmeijer jakoś to ogarnia. – Umilkł i zastanawiał się nad czymś intensywnie ze zmarszczonymi brwiami. – Już wiem! – rozjaśnił się i strzelił palcami. – Na początku listopada Jasek prosił, żebym mu wydrukował wszystkie wersje od najstarszej. Położyłem je na jego biurku i założę się, że dalej tam leżą – znowu się zaśmiał. – Wiesz, gdzie jest pokój creative director'a?

– Tak, trafię. Dzięki.

Stentor skinął mu głową, bardzo zadowolony z siebie i zabrał się z powrotem do pracy.

Marcin wyszedł ze szwalni i ruszył ku schodom na drugie piętro. Po drodze minął kanapę, na której ktoś rozrzucił kłębowisko polarowych koców. Podskoczył lekko, zaskoczony, kiedy sterta poruszyła się z niewyraźnym jękiem i z jednego jej końca wyjrzała jasna, potargana czupryna, a z drugiej wysunęły się dwie wielkie stopy w ciepłych skarpetach. Zamglone niebieskie oczy spojrzały na Marcina nieprzytomnie, a potem tajemniczy osobnik osunął się bezwładnie w kolorową płataninę. Stawecki wzruszył ramionami i powoli wspiął się na górę.

Tak jak zapowiadał Paweł, na biurku Jaśka Ritmeijera leżał plik zadrukowanych kartek. Marcin wziął je do ręki i od razu zauważył, że są pokryte kurzem. Postawił kubek na blacie i rozejrzał się z zaciekawieniem po miejscu pracy słynnego twórcy RFF. Już wcześniej uderzyło go, że na wszystkich biurkach w Nasty Oranges porozkładane są różne zabawki – figurki z gier, plastikowe pistolety, kostki do RPG, pluszowe szczury, resoraki, piłeczki, a nawet gumowe kaczki. Jasiek Ritmeijer miał pełny zestaw figurek Lego z *Gwiezdných Wojen*. Marcina nieoczekiwanie zaświerzbiałały palce, żeby się nimi pobawić, ale opanował się i obejrzał tylko Yodę. Poza tym na biurku nie było nic ciekawego – słuchawki, porzrzućane pisaki, jakieś talony z logo Pomarańczy, okulary 3D. Żadnych zapisanych do połowy i zmiętych w szale twórczym kartek.

Marcin zabrał wydruki i zszedł na dół, zapominając o kubku z Pac-Manem. W poszukiwaniu spokojnego miejsca do czytania trafił do kantyny, gdzie kucharze rozpoczęli już pracę: słyćać było apetyczny chrzęst rozkrajanych bagietek i skwierczenie masła na patelni. Rozejrzał się po sali – oprócz niego był tam tylko jakiś rozespany chłopak z podbitym na fioletowo okiem, który niemrawo grzebał w jajecznicy. Marcin zdecydował się na omlet z rzeżuchą i świeży sok grejpfrutowy, przyniósł sobie to wszystko do stolika, rozłożył wydruki z dokumentami questowymi i zaczął czytać.

Najpierw trafił na jakieś tabele i zestawienia, potem skrótowe opisy questów, które nawet po kilkukrotnej lekturze nie układały się w żadną logiczną całość, potem spis bardzo tajemniczych i często sprzecznych wytycznych, jeszcze więcej tabel... aż w końcu gdzieś w tekście rzuciło mu się w oko znajome nazwisko: Charles Siringo. Słynny detektyw, będący zresztą postacią historyczną, pojawiał się we wcześniejszych częściach gry i Marcin, który pamiętał nieźle jego wątek, pomyślał, że to może być dobry punkt zaczepienia, żeby zrozumieć cokolwiek.

Odnalazł resztę opisu akcji, a kilka stron dalej trafił na fragment gotowych dialogów. Na marginesach wydruków były nagryzmołone jakieś zapiski, z których udało mu się rozszyfrować tylko „*secret meaning*”, „przejście” oraz, chociaż to brzmiało dość dziwnie: „czy w Kanadzie zmuszają jak na polskim weselu?”.

Postanowił na razie je zignorować i skupił się na tekście, próbując wyobrazić sobie tę scenę.

– Więc zabiłeś ich wszystkich, jednego po drugim? – Ton głosu Charlesa Siringo był tak uprzejmy, tak starannie powściągliwy, że Finnley aż się uśmiechnął. Słynny kowboj-detektyw jak zwykle zachowywał się serdecznie, ale jakiś błysk w jego siwych, inteligentnych oczach świadczył o tym, że nieustająco darzy Finnleya profesjonalnym zainteresowaniem. Charles Angelo Siringo rzadko zmieniał raz powziętą o kimś opinię – w ciągu ostatnich lat ich drogi przecięły się już wielokrotnie, Noah zdążył w tym czasie wstąpić do Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, a potem zostać poszukiwaczem złota i łowcą nagród, jednak dla Siringo na zawsze pozostał tym młodym traperem, który przystał do braci Baird.

– Ezra Baird, szef bandy, Zacharias Baird, jego zazdrosny, kochliwy brat, chudy Francuz Deveraux – wyliczał niespiesznie Siringo – i ten nieszczęsny półgłówek Stanley Tubbs. Imponujące.

– Za wszystkimi wysłano listy gończe.

– Za tobą też – odparł z uśmiechem detektyw. – W swoim czasie.

Noah westchnął ukradkiem.

– Ale oczywiście nie będziemy teraz do tego wracać – powiedział Siringo niemal wesoło, co dla Finnleya zabrzmiało jak: „jeden fałszywy krok i cię dorwę”. – Ciągle nie wyjaśniłeś, czego ode mnie chcesz. No więc?

Siedzieli w zapyziałym barze w Revelstoke, gdzie Finnley dotarł Koleją Transkanadyjską prosto z Vancouver. Trochę mu zajęło odszukanie Siringo, który jako jeden z bardziej aktywnych agentów Narodowej Agencji Detektywistycznej Pinkertona nie posiadał żadnego biura i ciągle był w podróży, niczym idealne ucieleśnienie motto swego pracodawcy: „Nigdy nie śpimy”. W końcu, gdy już zjeździł za nim południową Alaskę, Montanę i zapuścił się aż nad Jukon, udało mu się zdobyć informację, że Siringo

rozpracowuje w Revelstoke szajkę przemytników dynamitu, i to – rzecz niesłychana – występując pod fałszywym nazwiskiem. Noah nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkał. Wyjęci spod prawa mordercy i rabusie zmieniali nazwiska częściej niż koszule, ale żeby ktoś reprezentujący prawo ukrywał swoją tożsamość? W Stanach wielu szeryfów posługiwało się sławą jak pancierzem: gangi wolały omijać miasta, których bronili słynni stróże prawa, tacy jak Wyatt Earp czy Pat Garrett (obaj znani zresztą Siringo osobiście) – i to wydawało się Finnleyowi uczciwe, a nadto praktyczne dla obu stron.

Przez chwilę zastanawiał się, zanim odpowiedział na pytanie detektywa. Z jednej strony nie chciał wyklądać na stół wszystkich kart, a z drugiej wiedział, że tylko Siringo może mu pomóc.

– Ezra Baird powiedział mi, że Avery Liddell żyje – odezwał się w końcu, zaciskając bezwiednie pięści. – Że zakpiła sobie z nas wszystkich, napuszczając mnie na nich. I że ty wiesz, gdzie ona jest.

– I co? Uwierzyłeś mu?

– Tak.

– Obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc – powiedział Siringo spokojnie. – Panna Liddell jakiś czas temu stała się moją klientką i od tej pory reprezentuję jej interesy. A to znaczy, że obowiązuje mnie całkowita tajemnica co do jej poczynań, pobudek i planów.

Finnley utkwiał w detektywie świdrujące spojrzenie, ale wszystko w tej wyrazistej, uczciwej twarzy ozdobionej równo przystrzyżonymi wąsami mówiło mu, że to prawda. Westchnął i opuścił wzrok. Wiedział, że Charles Siringo jest nieprzekupny. Przez chwilę korciło go, żeby spróbować subtelnego szantażu: groźba wyjawienia górnikom z Revelstoke prawdziwej tożsamości detektywa na pewno wywołałaby jakąś reakcję. Niestety, raczej nie taką, jakiej Finnley by sobie życzył. Nie, lepiej załatwić to pokojowo – stawka była zbyt wysoka.

Przez chwilę obaj milczeli. Kiedy Siringo wreszcie się odezwał, Finnley odniósł wrażenie, że atmosfera uległa wyraźnej przemianie – jakby pozytywnie przeszedł jakąś próbę.

– Nie jestem w stanie pomóc ci bezpośrednio, jednak mógłbym wskazać ci kogoś, z kim nie łączą jej podobne ustalenia, a kto może cię naprowadzić na właściwy trop.

Finnley odchylił się na krześle i uśmiechnął kwaśno.

– Niech zgadnę. Ten ktoś nie wie dokładnie, gdzie jest Avery, ale za cenę drobnej przysługi poleci mnie komuś, kto wie więcej. Z kolei ten ktoś chętnie mi pomoże, ale dopiero, kiedy ja pomogę jemu...

– Możliwe, że tak będzie – powiedział Siringo z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Najpierw jednak będziesz musiał zrobić coś dla mnie.

– Tak myślałem.

Finnley chciał się jeszcze potargować, ale właśnie wtedy do baru, w którym siedzieli, weszła grupa górników. Od razu skierowali się ku Charlesowi Siringo, który na ich widok uśmiechnął się tak serdecznie, jakby nic nie mogło tego popołudnia sprawić mu większej radości niż widok ich zakazanych mord. Finnley usunął się w kąt przy oknie i obserwował z podziwem, jak detektyw gładko wchodzi w rolę.

Oczywiście, Siringo miał swoje przywary: bywał zarozumiały i przy każdej okazji popisywał się swoją przenikliwością. Finnleya drażniła też pretensjonalna duma, z jaką traktował swój słynny, posrebrzany rewolwer kalibru 45 z kolbą wyłożoną masą perłową – zachowywał się tak, jakby Samuel Colt zaprojektował ten model specjalnie z myślą o nim. Ale na Boga, znał się na swojej robocie!

Potrafił swobodnie dopasować się do każdego towarzystwa, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Finnley rozpracował już dawno jego tajny trik – Siringo tak łatwo zmieniał tożsamość, bo... niczego nie udawał. W każdej sytuacji pozostawał sobą, tak że nikomu nie powstało w głowie, że ktoś tak otwarty,

uczciwy i bezpośredni mógłby przy tym nie być szczery. Finnley uśmiechnął się złośliwie pod nosem, wyobrażając sobie ich zdumienie, kiedy w końcu – gdy Siringo odkryje już, w jaki sposób z kopalni srebra znikają skrzynki dynamitu – dowiedzą się, kim naprawdę jest stary, dobry Charlie. Górnicy musieli to jakoś wyczuć, bo niemal w tej samej chwili zwrócili się ku niemu z podejrzliwą niechęcią.

– A ten to kto? – zapytał jeden z nich.

– Mój siostrzeniec, Noah. Przysłali mi go tutaj, żeby się wreszcie nauczył uczciwej roboty. – Siringo serdecznie klepnął Finnleya w ramię. – Popracuje z wami w szybie dwunastym, to zaraz mu przejdą te młodzieńcze grymasy. No, dobrze mówię, wątrobiarzu?

– Ja wiem, co by mu jeszcze lepiej pomogło!

Finnley zrozumiał aluzję i zadowolony, że istnieje łatwe wyjście z tej sytuacji, skinął na barmana, żeby nalał wszystkim kolejkę.

– A tobie co? Nie pasuje? – zapytał szorstko jeden z górników, widząc, że Noah dyskretnie odsuwa od siebie pełny kieliszek. Pod znaczącym spojrzeniem Siringo Finnley napił się ostrożnie palącej, dymnej whisky.

Odczekał chwilę z zaciśniętymi zębami – i nic się nie stało. Może poprzednim razem wcale nie chodziło o whisky? Albo to był po prostu zwykły sen? Tak, musiał to być...

Finnley zachwiał się na stołku i opadł w ciemność, która zamknęła się nad nim jak tafla wody.

Leżał na plecach, a bezchmurne niebo widoczne między wierzchołkami sosen było całkiem puste, jakby ktoś zmiotł wszystkie gwiazdy. Kobieta, która się nad nim pochylała, muskając długimi włosami jego twarz, musiała być Avery Liddell. Wiedział to, choć w tej dziwnej poświacie wszystko wydawało się niewyraźne i jakby zatarte. Widmowa postać wyprostowała się powoli i odeszła. Finnley chciał się zerwać i biec za nią albo chociaż ją zawołać, ale kiedy się tylko poruszył, zaczął się zapadać – gęsta, cuchnąca butwiejącymi roślinami masa

szybko sięgnęła mu brody, zakleiła usta i zalała oczodoły. Zanim trzęsawisko całkiem go pochłonęło, zdążył sobie uświadomić, że już to widział, wiele razy: noc gdzieś w głębi kniei, puste niebo, pochylająca się nad nim Avery, dotyk jej włosów, a potem duszący uścisk bagna. Przestał walczyć i wtedy obrazy zawirowały mu pod powiekami, aż wyłonił się z nich jeden, coraz bardziej wyraźny. Wtopił się w niego i nagle Finnley znów znalazł się w obozowisku braci Baird niedaleko Fort Kamloops. Była jesień 1887 roku, miał dwadzieścia dwa lata i był tak szczęśliwy, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ezra Baird leżał wygodnie rozwalony na tobołkach z prowiantem i dłubał końcem noża w zębie, jego młodszy brat Zacharias pochrapywał przy ognisku, okryty dziurawym indiańskim pledem, Deveraux liczył pieniądze, a Stanley Tubbs ukradkiem wyzerał fasolę ze słoniną z kociołka. Taka właśnie miała być sceneria pierwszego zbliżenia Avery i Finnleya. Chociaż zaszyli się w namiocie tuż pod lasem, Noah i tak był nieprzyjemnie świadomy obecności bandy. Ale nie miał zamiaru narzekać – Avery sama do niego przysła, a przedtem długo myła włosy przy ognisku.

– Znowu te swoje dekokty warzysz, czarownico? – pokpiwali z niej. – Ze trzy dni będziesz cuchnąć tym zielskiem jak stara aptekarza!

Rzeczywiście, ostry zapach mikstury do mycia włosów, który przygotowała Avery z wywaru z jarzębiny, suszonego skrzypu, octu, kilku kropli dziegciu brzoźowego rozpuszczonego w spirytusie i innych dziwnych ingrediencji, unosił się nad całym obozem mimo łagodnego wiatru znad rzeki Thompson. Avery prychnęła i wyzęła mokre włosy obiema rękami.

– Przynajmniej nie będę miała wszy i łupieżu jak wy.

– Wolę to niż cuchnąć na milę.

– Ty i tak cuchniesz, Zach. A jak byś chciał, żeby ona pachniała? Przesłodzoną wodą różaną jak ta twoja dziwka, Georgiana? – zarechotał Ezra, który jako jedyny miał prawo żartować z Zachariasem.

– *Nie zawsze była dziwką! – warknął młodszy Baird, owinął się pledem i odwrócił w stronę ogniska.*

– *Hoo! Jeszcze mi powiesz, że kiedyś była dziewicą!*

Wszyscy poza Finnleyem zaśmiali się głośno. On nie znał żadnej Georgiany.

– *Ale wiesz, Avery, dla swojego kochasia mogłabyś się trochę postarać – zauważył Deveraux.*

– *Niby po co? Mężczyzn nie trzeba dodatkowo zachęcać. Mogłabym się natrzeć końskimi jabłkami, a niektórzy dalej by za mną ślipili – odcięła się, nawet nie patrząc na niego. Odrzucone do tyłu włosy z chłaskaniem opadły na jej skórzaną kamizelkę. Avery potrząsnęła głową i wytarła dłonie w ręcznik zrobiony z worka po mące.*

Deveraux, który nigdy z nią nie spał, nie potrafił teraz po prostu się zamknąć.

– *Finnley! – wrzasnął w stronę jego namiotu. – Jak ją będziesz brał, to pamiętaj: od zawietrznej!*

Docinki nie zniechęciły Avery – ba, Finnley miał wrażenie, że zdecydowała się do niego przyjść właśnie, żeby pokazać, że się nimi nie przejmuje. Wczołgała się do jego namiotu i przysiadła na piętach.

– *Po dzisiejszej akcji Ezra cię zaakceptował. Teraz wszystko będzie prostsze – szepnęła.*

Tego popołudnia pozwolili Finnleyowi, który niedawno do nich przysłał, wziąć udział w obławie na poszukiwanego listem gończym zbiega. Nie miał tam zbyt wiele do roboty, ale i tak wszyscy patrzyli mu na ręce. Finnley zaś powoli pojmował, jakim cudem bandzie braci Baird udało się jak dotąd uniknąć żywszego zainteresowania władz. Teoretycznie działali całkowicie legalnie, polując na wyjętych spod prawa morderców i złodziei. W praktyce zaś zawsze załatwiali przy okazji własne interesy – dziś co prawda ujęli ściganego przez policję McCullena, ale w strzelaninie, jaka się przy tym wywiązała, zginął również pewien kupiec, któremu byli winni sporą sumę. Niekiedy w miastach, z których wyjeżdżali w chwałę dzielnych łowców nagród, kilka dni później znajdowano

jakiegoś trupa w piwnicy albo ktoś orientował się, że z szafy pancерnej zniknęły wszystkie pieniądze. Wtedy jednak Bairdowie byli już daleko.

Oczywiście to lawirowanie na granicy prawa nie mogło trwać w nieskończoność. Finnley, który wpakował się w to wszystko tylko ze względu na Avery, miał nadzieję, że zdążą oboje się ulotnić, zanim sprawy przybiorą nieciekawą obrót.

– Ezra mi nie ufa. I chyba za mną nie przepada – zauważył półgłosem.

Avery przysunęła się bliżej.

– On nikomu nie ufa poza Zachem. Powiada też, że i jego specjalnie nie lubi, ale to akurat nieprawda.

– Czemu do nich dołączyłaś? – Finnley wykorzystał okazję i szepcząc, dotknął wargami jej ucha. Wyszuszone nad ogniskiem włosy Avery pachniały gorzko dymem i tą upiorną ziołową miksturą, ale jego naprawdę nie trzeba było już bardziej zachęcać.

– Bo tak było bezpieczniej – odpowiedziała. W ciemności nie widział jej twarzy.

Poprowadziła jego rękę do pasa podtrzymującego jej spodnie. Avery nosiła się po męsku i – pomijając zioła – otaczały ją męskie zapachy: końska sierść, tytoń, proch, smar do broni, wyprawiona skóra karibu, siano, przydrożny kurz. Dopiero kiedy już prawie całkiem ją rozebrał, poczuł, że wszystko to było tylko maskującym tłem dla tajemniczego, śmietankowego zapachu jej ciepłej skóry.

Przesunął dłoń w górę jej ud i nagle parsknął cichym śmiechem.

– Bielizna z koronki? A co z zasadą niezachęcania?

– Jeśli ktoś dotarł aż tutaj, jest nieaktualna.

– Co?

Marcin podniósł głowę znad zadrukowanych kartek i spojrzał na Tyrowicza lekko nieprzytomnie.

– Powiedziałem: podobno wcześniej dziś zacząłeś. Zapomniałem ci powiedzieć, że przychodzenie przed dziesiątą nie ma sensu. Ale słyszałem, że Stentor znalazł ci zajęcie – to dosyć zabawne, bo od dziś to ty będziesz organizował pracę jemu. Dobra, zostaw te głupoty i chodź poznać innych producentów. Czas na małe szkolenie – zarządził i poprowadził go korytarzem w stronę schodów.

– Ten Paweł Stentor wydaje się całkiem do rzeczy – zauważył Marcin.

– Cóż, ma swoje małe dziwactwa. Ale ogólnie... tak, jest w porządku – przyznał Tyrowicz jakby niechętnie.

– Zauważyłem, że lubi *Wiedźmina*.

– To mało powiedziane. Ciągłe powtarza, że po premierze natychmiast przenosi się do CD Projekt RED. Ma na ich punkcie lekką obsesję. Podobno nosi nawet slipy z Geralem, ale nikt nie ośmielił się sprawdzić.

– I wam to nie przeszkadza? Nie pytam o majtki, rzecz jasna.

Już od kilku chwil stali przed drzwiami do pokoju producentów, ale Marcin był zdecydowany dokończyć ten wątek.

– Nie, dlaczego? Nie interesuje mnie, co zrobi później – powiedział Tyrowicz pobłażliwie. – Liczy się tylko to, że teraz pracuje nad Finnleyem. I to jak pracuje! Crunch czy nie crunch, siedzi tu siedem dni w tygodniu i zapierdala, aż klawiatura trzeszczy. Zresztą, niezależnie od swojej miłości do CDPR, zapierdalałby tak samo rzetelnie zarówno u nas, jak i w Techlandzie, Reality Pump, Piotrusiach czy 11 bit studios – i też z pieśnią na ustach. To taki typ – jak się przekonasz, bardzo rzadki. Wolałby się posikać w gacie, niż odejść od komputera, zanim nie skończy taska. Gdyby jeszcze tylko wypełniał normalnie tabelki... – westchnął.

– No dobrze, ale skoro go tutaj – jak rozumiem – bardzo docenicie, to czemu aż tak się wyrywa do Reda?

– Bo w CD Projekt RED płacą za nadgodziny – powiedział Tyrowicz i otworzył drzwi do pokoju producentów.

Dwunasty crash

– No do chuja pana, ja pierdolę! Nie mogę! Tak się nie da pracować!

Wysoki, histeryczny głos Jacka Brzeźniaka przebił się na korytarz i przyciągnął uwagę Mata.

W szwalni zawsze panował nieznośny hałas, ale to było coś wyjątkowego. Game director wsunął głowę do pokoju – bardziej z czystej ciekawości niż gospodarskiej troski – i ogarnął sytuację jednym spojrzeniem.

Asia i Paweł Stentor siedzieli przy biurkach z dziwnymi minami, a Jacek stał obok swojego fotela cały najeżony i nienawistnym wzrokiem wpatrywał się w monitor. Zza kolejnego biurka wystawały nogi Mazurka i gdyby nie to, że questowcy mieli zwyczaj wypoczywać na podłodze, mogłoby się wydawać, że Brzeźniak właśnie zamordował go w afekcie.

– Co się dzieje? – zapytał uprzejmie Mat.

– Jak to, kurwa, co się dzieje! Znowu się wypierdolił! Dwunasty [crash](#) od rana! Dwunasty! A mamy, kurwa, dopiero dziesiątą trzydzieści!

– Mhm. – Mat nie wyglądał na zdziwionego. Pociągnął napoju energetycznego z puszeki i pokiwał głową.

– Nie zamierzasz z tym nic zrobić? Czy nikt nie zamierza nic z tym zrobić?! Jesteś przecież szefem tego całego chujstwa, do kurwy nędzy!

– No właśnie. A tobie potrzebny jest ktoś z IT. Albo Daniel.

Jacek wyjaśnił mu potoczycie, co myśli o całym dziale IT, a potem dodał kilka słów pod adresem Daniela i reszty zespołu [QA](#). Brakuje mi autorytetu, pomyślał smętnie Mat. Gdyby wszedł tu James albo Tyrowicz, Brzeźniak położyłby uszy po sobie. Ale może to rodzaj komplementu – czytał gdzieś, że małe dzieci urządzają awantury i sceny tylko przy jednej, wybranej osobie, której bezwarunkowo ufają, najczęściej matce. Tak, zdecydowanie powinien podejść do tego pozytywnie. I jak najszybciej się stąd zmyć.

– Poproś ich o pomoc mimo wszystko. Sorry, ja mam teraz spotkanie w sprawie [living worldu](#) – zaczął się ostrożnie wycofywać.

– A kiedy będziesz mieć spotkanie w sprawie [edytora](#)?

– O rany. No dobra, idź z tym do Tyrowicza i niech mi wbije do kalendarza na jutro. Dziś już nie dam rady.

– Dzięki – burknął Jacek i usiadł. Odczekał chwilę po tym, jak Mat wyszedł, odetchnął głęboko kilka razy, policzył do dziesięciu i włączył program jeszcze raz. Asia, Wojtek i Paweł, nauczeni doświadczeniem, nie odzywali się do niego, czekając, aż ochłonie.

Wszyscy mieli te same problemy z edytorem, który albo włączał się przez kwadrans, albo zawieszał po otwarciu jednego pliku, albo nagle odłączał połowę funkcji, albo przy zapisywaniu kasował wszystkie zmiany, albo całkowicie odmawiał współpracy. Większość już się do tego przyzwyczaiła i przyjmowała kolejne ekscesy chimerycznego programu z rezygnacją, ale Jacek – nerwus i złośnik – ciągle znajdował w sobie na tyle oburzenia, żeby się pieklić. W pewnym sensie ta szlachetna furia była zdrowszą reakcją niż zobojętnienie, ale wszystkich śmieszyło, że Brzeźniak wciąż, po trzech latach pracy, uważa edytor za świadomy byt obdarzony złośliwą wolą, a każdy crash za osobistą zniewagę. Kiedy uznawał, że miarka się przebrała, czerwieniał jak burak, zgrzytał zębami, tupał, pluł i wygrażał komputerowi pięściami. Miał nawet na biurku pluszowego szczura specjalnie po to, żeby nim ciskać w monitor w chwilach szału. Gdyby dało się wyłączyć dźwięk i nie słyszeć wiązanek przekleństw, jakie przy tym puszczał, i autentycznej rozpacz w jego głosie, byłaby to wyborna scena, jak z niemej komedii.

Teraz już prawie się uspokoił, przyglądał włosy i położył palce na klawiaturze jak pianista, który szykuje się do koncertu. Poziom hałasu w szwalni znów się ustabilizował na poziomie zaledwie nieznośnym. Asia i Paweł odetchnęli z ulgą i wrócili do pracy, wyciągnięty na podłodze Mazurek przymknął znów oczy – i właśnie wtedy Jacek zaliczył trzynasty crash tego dnia.

Mat, ledwo wyszedł ze szwalni, od razu trafił w kuchni na następną awanturę. Przypatrywała się jej z bezpiecznej odległości mała grupka testerów, zawsze radych wszelkiej rozrywce. Mat przystanął obok nich i też zaczął się przyglądać

szalejącemu Andrzejowi Domańskiemu, bo był to rzadki widok – jego akurat niewiele rzeczy mogło wyprowadzić z równowagi.

– Ktoś mi podpieprzył kubek! – wściekał się Andrzej, trzaskając drzwiczkami szafki. – Chyba na złość, bo wszyscy wiedzą, że ten z Pac-Manem jest mój.

– Ja panu go poszukam, panie Andrzeju. – Do kuchni wkroczyła pani Jagoda, anioł opiekuńczy studia w fartuchu w kwiatki, i zaczęła tłuc się jeszcze głośniej od niego.

– Dziękuję, pani Jagodo – powiedział z uczuciem Andrzej. Wszyscy wiedzieli, że pani Jagoda jest pierwszorzędną siłą bojową i nikt nie potrafi zaprowadzać porządków skuteczniej niż ona. Kiedy ogłaszała sezonowe sprzątanie biurek, na wszystkich padał blady strach – to było jak przejście anioła śmierci w Egipcie: jeśli ktoś nie uprzątnął papierysk z blatu na czas, musiał potem wygrzebywać je ze wspólnego stosu. W ten sposób bezpowrotnie zaginęło wiele doskonałych pomysłów – ale za to biurka były czyste. Mimo tych okazjonalnych katastrof wszyscy przepadali za panią Jagodą. Była jedyną osobą w całym studiu, z którą nie rozmawiano o pracy – podczas crunchu ludzie wręcz się przepychali, żeby pogawędzić z nią o pogodzie, chorobach albo innych błogo normalnych sprawach.

– No nie ma, panie Andrzeju, rzeczywiście. Może ktoś go użył i brudny wsadził do zmywarki! A tam czyste rzeczy! – przestraszyła się nagle i zaczęła przetrząsać jeszcze ciepłe po myciu naczynia.

Zrobił się od tego taki rumor, że z salki konferencyjnej wybiegł Jurek Sojda, cały czerwony, i wrzasnął, przekrzykując szczęk talerzy:

– Nie można trochę ciszej, pani Jagodo!?

– Coś pan mówił, panie Jureczku? Bo nie dosłyszałam!

Testerzy zachichotali i chwilę później rozpierzchli się, ścigani podejrzliwym spojrzeniem Andrzeja. Mat zaś, uznawszy, że nasycił się już buzującą w studiu energią, uśmiechnął się do wszystkich promiennie i pomaszerował na spotkanie.

Cała prawda o producentach. Kacper

– To tak naprawdę kwestia zaufania – tłumaczył z ożywieniem Marcinowi Kacper, producent teamu enviro. – Jeśli mój zespół wie, że może ze mną szczerze pogadać, nie będzie kombinować i czekać aż do ostatniego momentu, żeby mi powiedzieć, że czegoś jednak nie da się zrobić w terminie. Producent musi przede wszystkim zadbać o to, żeby jego ludzie mieli jak najlepsze warunki pracy. A jeśli uważają mnie za nadzorcę niewolników, który tylko trzaska z biczem, no to... tak się nie da pracować.

Siedzieli w Rue de Paris na Francuskiej – Kacper uznał, że szkolenie powinno przebiegać w neutralnych warunkach, a jako że dopiero co wpadł do studia i nawet nie zdążył włączyć komputera, mógł bez problemu wyjść na kawę. Ta beztroska dziwnie kłóciła się z jego pełnym pasją i autentycznego zaangażowania podejściem do zadań producenta – i Marcin uznał, że musi się wstrzymać z ocenami, dopóki nie zorientuje się, jak to wszystko działa w Nasty Oranges. Na razie zdecydował, że lubi Kacpra Maciejaka, który sładził latte trzema łyżeczkami cukru, miał niemowlęco niebieskie, wielkie oczy, karykaturalnie wręcz odstające uszy i szczerzy uśmiech harcerza.

– A jak to jest z tym crunchem? To naprawdę są niepłatne nadgodziny? – zapytał z niedowierzaniem, oczekując, że Kacper zaraz wyjaśni to nieporozumienie. Ale on tylko westchnął ciężko i pokiwał głową.

– No, niestety, to takie przekleństwo gamedevu. Niektóre firmy już sobie z tym jakoś poradziły, ale Nasty Oranges ciągle na to nie stać.

– Nie stać na płacenie własnym pracownikom za robotę?

– To jest trochę bardziej skomplikowane – powiedział Kacper ostrożnie, jakby szykował się do bezstronnego przedstawienia odwiecznego konfliktu zwolenników konsoli z pecetowcami osobie zupełnie nieorientowanej w temacie. – Widzisz, wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że od jakości tej gry zależy przyszłość całej firmy: wskoczmy o półkę wyżej albo nie. A czasu jak zwykle jest o wiele za mało. Terminy są tak rozłożone, że teoretycznie każdy mógłby skończyć swoje zadania, pracując osiem godzin dziennie... zakładając oczywiście, że edytor gry i wszystkie narzędzia działałyby bez zarzutu – dodał z zakłopotaniem. – No, w każdym razie:

teoretycznie byłoby to możliwe. Ale oczywiście nikt nie chce oddać materiału, z którego nie jest zadowolony w stu procentach, prawda? Dlatego wolą posiedzieć dłużej...

– Czyli to oni sami chcą, tak? – przerwał mu Marcin z sarkastycznym uśmiechem. Nie chciał zrazić Kacpra do siebie już pierwszego dnia, ale nie mógł wysłuchiwać takich farmazonów spokojnie.

– Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak, po części właśnie tak jest. – W oczach Maciejaka była tylko krystaliczna, nieco umęczona szczerłość i Marcin poczuł, że przez plecy przebiega mu dreszcz. – U nas pracują sami pasjonaci, a RFF to dla nich nie tylko praca, ale też hobby. No i oczywiście często w grę wchodzi męska ambicja: „ja nie dam rady tego zrobić jeszcze lepiej do wtorku? Ja nie dam rady?”. Ale wiesz, potem wszystko się wyrównuje – po premierze tradycyjnie wszyscy dostają premię, miesiąc wolnego i jadą na jakąś egzotyczną wyspę w Melanezji wypocząć i przeżyć morderczy atak zombie.

– Rzeczywiście, *sounds like fun* – mruknął Marcin. Zdążył już zauważyć, że większość ludzi z Nasty Oranges nie jest w stanie wypowiedzieć się bez wtrącenia chociaż jednej aluzji do popularnych gier albo filmów. – Czyli podsumowując: crunch to niepłatne dobrowolne obowiązkowe nadgodziny, tak?

– Nie no – zaczął się Kacper – nikt oczywiście nikogo do niczego nie zmusza. To znaczy, odgórnie zarządza się crunch przed milestone’ami i tak dalej, ale to dla całego studia. Idealna sytuacja to taka, że team sam jest w stanie przewidzieć, ile musi dodatkowo popracować, żeby wszystko podopinać, i po prostu mi to zgłasza. Niestety nie każdy zespół jest tak dobrze zorganizowany i zdyscyplinowany. Zresztą, sam się przekonasz, kiedy trochę z nami popracujesz. Z zewnątrz to wygląda o wiele gorzej, niż jest naprawdę – zapewnił krzepiąco. – Wyczujesz, kiedy trzeba im dokręcić śrubkę, a kiedy rzeczywiście odpuścić. Najgorsze, co możesz zrobić, to wykoncypować sobie estymacje, wpisać w tabelki i oczekiwać, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Bo nigdy nie idzie. Umiesz może żonglować? Albo tańczyć lindy hop? Slackline, też nie? Hm, szkoda. Bo gdybyś

kiedyś spróbował robić to wszystko równocześnie, miałbyś jakieś praktyczne wyobrażenie o roli producenta.

– Widzę, że naprawdę nauczę się w tej pracy czegoś nowego – powiedział Marcin, rozweselony. Tacy ludzie jak Kacper czy Paweł Stentor w jakiś tajemniczy sposób zarażali pozytywną energią. – Jeszcze jakieś światłe rady?

– Cóż, ja przede wszystkim staram się podchodzić do nich po ludzku, no i wiesz: po prostu nie być upierdliwym dwulicowym bucem – uśmiechnął się promiennie Kacper.

Duch Jaśka Ritmeijera

– Mój kubek się znalazł – powiedział Andrzej z dziwną miną, odrywając Krzyśka od pracy. – Nie zgadniesz gdzie. Pani Jagoda szukała wszędzie i wyobraź sobie, że stał jak gdyby nigdy nic na biurku Jaśka.

– Hm? – zdziwił się Krzysiek.

– Wygląda na to, że ktoś pił w nim kawę. Czarną z cukrem, taką jak on lubił. – Andrzej zniżył głos do złowróbnego szeptu. – Może to duch Ritmeijera przyszedł do studia się mścić...

– I zajął ci kubek? – parsknął Krzysiek. – Co to niby miałyby znaczyć?

– Nie wiem. Że będę następny? – mruknął.

– Tak łatwo się nie wykręcisz od crunchu. A! Żeby nie zapomniał: dopisz Frankowi dwa punkty.

Andrzej aż gwizdnął ze zdumienia.

– Ale numer! Myślisz, że on to traktuje poważnie? Trochę go szkoda. Niegłupi chłopak.

– Sam będzie sobie winien. – Krzysiek wzruszył ramionami. W jego wykonaniu zawsze wyglądało to widowiskowo: jakby ktoś szarpnął do góry, a potem upuścił drewnianą kukielkę. – A teraz spadaj. Dzisiaj naprawdę mam co robić.

Cała prawda o producentach. Tomek

– Nie możesz im pozwolić wejść sobie na głowę – tłumaczył spokojnie Marcinowi Tomek Tyrowicz, który po namyśle stwierdził, że jednak nikt nie przedstawi mu lepiej doniosłości pracy producenta. – Jesteś od tego, żeby ich trzymać za mordy, a nie, żeby cię wybrali Miss Uniwersum, jasne? Wiem, że dopiero zaczynasz i wolałbyś się na początek przyczaić, ale jeśli tylko wyczują, że jesteś miękki, to pfff, po tobie – stwierdził ze znawstwem i wypuścił kątem ust parę z e-papierosa. Siedzieli w pokoju producentów, z którego Tyrowicz wygonił wszystkich pozostałych, każąc im zrobić rozpoznanie w obozie wroga. Marcin domyślił się, że ma na myśli podlegające im teamy. I że to nie do końca jest żart.

– Rola producentów jest niewdzięczna i nikt tu nas specjalnie nie lubi, ale to my nadstawiamy karku i to do nas Mat i Antek będą mieć pretensje, jeśli zawalimy terminy. Musisz sobie z tego zdawać sprawę. – Tyrowicz utkwiał w Marcinie przenikliwe spojrzenie. – Nie masz żadnego realnego wpływu na postępy projektu: nie możesz ani nic napisać, ani zaimplementować, ani nawet ponaprawiać głupich bugów – nic. Jedyne, co do ciebie należy, to wydusić ze swojego teamu gotowe rzeczy na czas. Przekonasz się, że to niemało, a programowanie zacznie ci się wydawać kuszącą opcją wypoczynkową. Jednak producenci są niezbędni – w niektórych firmach gamedevowych bojownikom o twórczą wolność wydaje się, że można wyshipować grę bez producentów, ale wierz mi, kiedy ludzie nie czują nad sobą bata, wszystko się sypie.

– Dwie godziny temu Kacper tłumaczył mi, że to kwestia zaufania, a nie zamordyzmu – powiedział spokojnie Marcin.

– Kacper! Musiałeś gadać właśnie z nim? Tak między nami mówiąc, on nie ma pojęcia o prawdziwym produkowaniu. Pewnie wciskał ci jakiś kit o elastyczności i indywidualnym podejściu do zespołu. Ciekawe tylko, że to zawsze jego team najdłużej i najwięcej crunchuje. – Tyrowicz uśmiechnął się z mroczną satysfakcją. – A pamiętaj, że crunch to często oznaka nieudolności produkcji i złych estymacji. Przecież nikomu z nas nie sprawia przyjemności trzymanie tu ludzi po godzinach

i wysłuchiwanie ich narzekań. To my zawsze jesteśmy między młotem a kowadłem. A właśnie – jest też druga strona pracy producenta: dogadywanie się z team leaderem. Czy raczej niedogadywanie się. Jeśli producent i lead ciągle się ze sobą zgadzają, źle to wróży. Musi być między nimi chemia, no wiesz – twórcze dyskusje i tak dalej...

– Chwilę, czy to znaczy, że producent jest też odpowiedzialny za jakość materiału? – zaniepokoił się.

– Nie, oficjalnie nie. Ale przecież od razu się zorientujesz, jeśli będą ci próbowali wcisnąć bubla.

– A te twórcze dyskusje to z kim niby miałbym przeprowadzać? Z Ritmeijerem? On jest creative directorem i jednocześnie team leaderem questów, prawda?

– No niby tak. – Tyrowicz uciekł wzrokiem gdzieś w bok. – Ale nie przejmuj się tym na razie. Musisz się skupić przede wszystkim na kontakcie ze swoim teamem. No właśnie, może trochę praktyki. Wyobraź sobie, że jestem Jackiem Brzeźniakiem, mamy drugi miesiąc crunchu...

– Kim?

– Brzeźniak, jeden z twoich. Uważaj teraz. – Tyrowicz sięgnął na sąsiednie biurko po czyjeś okulary, wsadził je sobie na nos, zmrużył oczy i przeciągnął palcami po włosach, żeby uzyskać odpowiednio artystyczny nieład. – Słuchaj, Marcin – zaczął niedbałym, trochę kapryśnym tonem – jest taka sprawa... Nie mogę crunchować w czwartek i w piątek. To znaczy, w ogóle mnie nie będzie w pracy. Ok?

– A to niby czemu? – zapytał Marcin, próbując zachować powagę. Tyrowicz zawsze był beznadziejny w odgrywaniu scenek i parodiowaniu innych, ale – jak to często bywa – z tym większym entuzjazmem ciągle tego próbował.

– Mam finał wyścigu gokartów w piątek. W Olsztynie. No więc sam rozumiesz: muszę tam najpierw dojechać i w ogóle. – Tomek machnął słabo ręką, jakby już był zmęczony.

– Mamy crunch, przypominam ci. Terminy nas gonią – powiedział surowo Marcin. – A wyścig gokartów nie wydaje mi się...

– No to co? Mam ci wmawiać, że jadę na pogrzeb babci? – zniecierpliwił się Tyrowicz i poprawił spadające okulary. – Ten wyścig jest dla mnie strasznie ważny. Jest raz do roku, na litość boską!

– No to masz pecha, że wypadł właśnie wtedy, kiedy jest crunch.

– Ej, naprawdę myślisz, że będzie ze mnie jakiś pożytek w te dwa dni? Ja i tak już ledwo żyję. Człowieku, gnijemy tu wieczorami już od dwóch miesięcy. – Tyrowicz aż złapał się za głowę. – Pomyśl rozsądnie: będę o wiele bardziej kreatywny i efektywny w poniedziałek, jeśli wyrwę się na trochę, przewietrzę i tak dalej. Prawdę mówiąc, dziś prawie nic nie zrobiłem, taki jestem wypompowany.

– Nic nie zrobiłeś i jeszcze chcesz mieć dwa dni wolnego? – oburzył się Marcin. Coraz lepiej się bawił.

– Rany, Marcin, bądź człowiekiem! Przecież wiesz, że chcę to skończyć, tylko... no po prostu nie mam już siły. Ty nawet nie masz pojęcia, jak to jest – powiedział oskarżycielsko Tyrowicz. – Siedziałeś tu z nami po nocach, hm? Dzień po dniu, bez wolnych weekendów?

– No... nie – musiał przyznać Marcin, z oczywistych względów.

– Właśnie. A ja chyba lepiej wiem, jaka jest granica moich możliwości. Mam wyżęty mózg i choćbym tu siedział non stop, nic nie urodzę. Chyba lepiej, żebym odpoczął, zamiast przez dwa dni się wściekać, że nie mogłem pojechać na te wyścigi, no nie? – Spojrzał na Marcina z nadzieją zza okularów.

– Dobra, jedź – powiedział Marcin zdecydowanie. – A w poniedziałek wieczorem zameldujesz mi, o ile więcej udało ci się zrobić dzięki temu.

– Cięcie! – zawołał Tyrowicz i zdjął okulary. Przez chwilę nic nie mówił, tylko jedną ręką tarł powieki, a drugą poprawiał włosy. – Było całkiem niezłe – stwierdził w końcu.

– Serio?

– Tak, aż do ostatniego momentu. Dlaczego się zgodziłeś? Wyścigi gokartów? W Olsztynie? Pocięło cię?

– Myślałem, że zadaniem producenta jest motywować zespół. A przecież...

– Czekaj – przerwał mu. – Głównym i nadrzędnym zadaniem producenta jest zapewnienie zespołowi warunków do pracy. Zgadza się? A podstawowy warunek to taki, żeby siedzieli tu na dupie i napięrzali taski. Będą marudzić, że i tak nic nie zrobią, bo taaacy są zmęczeni... ale jeśli ich nie będzie w studiu, to na sto procent nic nie zrobią, no nie? A jak już tu siedzą, to choćby z nudów zaczną pracować. Pamiętaj, że jedynymi wymówkami, dla których można uchylić świętość crunchu, są ślub, narodziny dziecka albo własny pogrzeb.

– Chyba trochę przesadzasz, co? – uśmiechnął się Marcin.

– Sam zobaczysz. A teraz chodźmy, czas, żebyś wreszcie poznał swój team.

Rudy, piegowaty

– Cześć – powiedział Marcin i uśmiechnął się. Miał totalny mętlik w głowie.

– Czeeeeść.

Patrzyły na niego cztery pary oczu. Czarne oczka Pawła Stentora życzliwie i wesoło, ukryte za okularami szare oczy Jacka Brzeźniaka krytycznie i nieufnie, prawe, zdrowe oko Wojtka Mazurka sennie, a wielkie oczy Asi Sosnowskiej, jedynej dziewczyny w zespole, chłodno, ale ze skrywaną ciekawością.

Siedzieli w szwalni, skupieni wokół biurka quest designerów, Marcin stał przed nimi wyprostowany jak prelegent, a dookoła nich – niczym dynamiczne tło w jakiejś [bijatyce](#) – rozgrywał się crunch. Dość głośno. Marcin odchrząknął.

– Jak pewnie wiecie, mam być waszym producentem. Tomek nie mógł znaleźć dla was wystarczająco dużo czasu, więc teraz macie mnie do wyłącznej dyspozycji. Plan produkcyjny na razie się nie zmienia – do końca [alfy](#) interesują was tylko [mainquesty](#) i [sidequesty](#), a w [becie](#) zajmiemy się też [onscreenami](#) – recytował

z pamięci to, czego przed chwilą dowiedział się od Tyrowicza. – A najważniejsze jest oczywiście domknięcie story.

Nie zrobił na nich wielkiego wrażenia.

Wypuścił powietrze, usiadł na rogu biurka obok Wojtka i przewrócił oczami.

– No dobra, fakty są takie, że póki co nie mam nawet pojęcia, o czym jest to story – powiedział z rozbrajającą szczerością – a od paru godzin różni tacy radzą mi na zmianę, żebym was pał różgą żelazną albo przycisnął do łona. Kiedy się tylko na coś zdecyduję, niezwłocznie dam wam znać. I czy ktoś może mi powiedzieć, co to są te onscreeny?

No, Asia Sosnowska prawie się uśmiechnęła!

– Szczerze mówiąc, bardzo liczę na waszą pomoc w tych pierwszych dniach. Na początek chciałbym, żeby jedno z was opowiedziało mi w skrócie, o czym w ogóle ma być ta gra – powiedział, podniesiony na duchu lekkim ociepleniem atmosfery i z nadzieją rozejrzał się za ochotnikami.

Przez chwilę zespół milczał i wymieniał spojrzenia. Asia zerknęła porozumiewawczo na Jacka Brzeźniaka i oboje zaczęli bezgłośnie liczyć.

– Raz, dwa, trzy...

Nieświadomy tego Paweł Stentor poruszył się niespokojnie, jakby ta kilkusekundowa cisza była już ponad jego siły, i oświadczył energicznie:

– No, jeśli inni są zajęci, to ja bardzo chętnie wszystko wyjaśnię.

Asia rozciągnęła wargi w pełnym satysfakcji, kocim uśmiešku.

Kiedy Marcin i Paweł wyszli, Asia odwróciła swój fotel tak, żeby widzieć lepiej resztę zespołu i uniosła brwi.

– No i co myślicie?

– Facet jak facet, co mam powiedzieć. – Mazurek przysunął się do biurka i poruszył myszką, żeby obudzić monitory.

– Rudy. Piegowaty. Dziwnie wymawia „r”. A poza tym... – znacząco zawiesiła głos.

– Jedna powieka mu latała, widzieliście? Powinien jeść więcej magnezu. I potasu. – Jacek Brzeźniak sięgnął do miseczki, którą miał na biurku, i zaczął chrupać marchewkę pokrojoną w słupki, jakby nagle zaczął się obawiać także o swoje zdrowie.

– A poza tym? – powtórzyła Asia z naciskiem.

– O co ci właściwie chodzi? – westchnął Mazurek, wyraźnie znudzony. – Przecież to było do przewidzenia, że ktoś taki się pojawi. Klasyczne zagranie. Wszystko się sypie? No to zatrudnijmy jeszcze jednego producenta, żeby marnował ludziom czas, pytając, kiedy skończą i czy może im jakoś pomóc.

– No to teraz słuchajcie. – Asia uśmiechnęła się, mrużąc oczy. – Nasz wspaniały nowy producent jest kumplem Tyrowicza. Tylko że to tajemnica – obwieściła z tryumfem. Ku jej zadowoleniu przynajmniej Jacek wyglądał na przejętego tą nowiną. Wyprostował się i poprawił okulary, a jego szczupła, nerwowa twarz przybrała wyraz powagi.

– Trzeba będzie się przy nim mocno pilnować.

– Miałby nas szpiegować? – prychnął Mazurek. – Przecież my nie mamy pojęcia, gdzie jest Jasiak.

– Szpiegowanie to pół biedy. Zaczyna się szukanie winnych. Myślicie, że kto dostanie po łbie za obsuwę? Jasiak? Nie, bo go nie ma. Tyrowicz? Mat? Taa, już to widzę. Nie ma skończonego story? No to winni są questowcy, jasne. A tego przydupasa Tomka zatrudnili pewnie tylko, żeby to udowodnić. Będzie reżyserem naszego upadku – prorokował mrocznie Jacek.

Mazurek westchnął i pokręcił głową. Trochę im zazdrościł, że wciąż potrafią się przejmować takimi rzeczami. Chociaż, jeśli chodzi o Asię, to nie było dobre określenie. Siedziała teraz, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął nowy producent, i uśmiechała się lekko, skupiona i zelekryzowana jak kot przed polowaniem.

– Sam nie wiem, od czego zacząć – powiedział wesoło Stentor i przeciągnął ręką po sterczących sztywno jak szczotka włosach. – Kiedy się tyle nad czymś pracuje, ma się wrażenie, że wszyscy wszystko wiedzą – zaśmiał się.

Dochodziła siedemnasta, a kantyna, gdzie usiedli, powoli pustoszała. Stawecki myślał, że o tej porze będzie się już zbierał do domu, ale skoro miał aż tyle do nadrobienia... Poza tym przecież chciał się dowiedzieć, co dalej z Finnleyem.

– Ja wiem tylko tyle, że Ezra Baird wkręcił Finnleya, że Avery dalej żyje. Czytałem ten fragment z Charlesem Siringo. I trochę nie rozumiem, do czego to ma prowadzić.

– Ezra go nie wkręcał. Ona naprawdę żyje.

– Zaraz, serio chcecie ożywić Avery? Ale... czemu? To, że zginęła, było przecież najlepszym posunięciem... Jak w ogóle w erze *Gry o tron* można być taką trzęsidupą i nie zabić kogoś raz a porządnie? Znaczy, rozumiem, muszą być jakieś cycki, ale przecież poza Avery była jeszcze Louisa May. Finnley jej obiecał – obiecał! – że kiedy dopadnie Ezrę, ostatniego z bandy, będą wreszcie razem. A przedtem miał jeszcze romans z Jeanne, ona też nie była taka ostatnia.

– Zawsze uważałem, że Jeanne wykorzystuje Finnleya – powiedział Stentor poważnie. – Najchętniej zaprzęglaby go do pług i puściła dookoła poletka za domem. Taka, wiesz, Kalipso. A Louisa May to jeszcze dzieciak i byłoby wręcz niesmaczne, gdyby Noah brał ją na poważnie. No nic, w każdym razie okazuje się, że Avery zrobiła Finnleya w konia – to przecież do niej podobne – tak naprawdę ma się świetnie, a chodziło jej tylko o to, żeby pozbyć się bandy braci Baird, nie brudząc sobie przy tym rąk.

– No dobra. A dlaczego?

Paweł zaczął się wiercić na krześle, nie mogąc się doczekać własnego wykładu.

– To zależy. Bo widzisz, trochę zmieniliśmy strukturę gry. Dotąd stawialiśmy przede wszystkim na rozbudowaną historię i to chyba trochę odstraszało graczy, których interesuje głównie fajny gameplay, a dialogi zwykle przeklikują i trzeba im kilka razy wyraźnie powiedzieć, kto jest Głównym Złym, żeby strzelali we właściwym kierunku. No więc czwarta część miała być takim kompromisem: ciekawe story dla wiernych fanów, ale też dużo nowych funkcjonalności, żeby przyciągnąć pozostałych. Tylko że tu, w *Nasty Oranges*, kompromisy niezbyt nam

wychodzą. – Stentor wyszczerzył się dumnie, jakby to była jakaś rzadka zaleta. – To znaczy, na przykład Mat rozumie, że ktoś musi trochę ustąpić, ale to, że mogłoby chodzić o niego, już mu się nie mieści w głowie. I tak samo jest z Ritmeijerem. No więc zamiast zrobić „trochę tego i trochę tamtego”, jak było ustalone, obecnie pracujemy nad wersją „dużo wszystkiego naraz”. W praktyce to oznacza, że grę będzie można przejść na dwa sposoby: podstawowy i SM. Podstawowy polega na tym, że po prostu łazisz sobie po całej Kolumbii Brytyjskiej, możesz zostać łowcą nagród, traperem, poszukiwaczem złota, robisz sobie sidequesty, a oprócz tego zbierasz informacje o Avery i w końcu ją dopadasz, zdradliwą sukę, koniec pieśni. Ale możesz też przejść grę w trybie SM, czyli *secret meaning*, i wtedy pojawiają się dodatkowe [cutsdeny](#), [flashbacki](#), sidequesty, dopytania w dialogach i historia się bardziej komplikuje.

– A... jak to właściwie działa? Wybierasz sobie tryb? Można w trakcie gry zrezygnować z tych komplikacji? – Marcin lubił myśleć o sobie jako o graczu, którego interesują dojrzałe fabuły, ale zdarzało mu się przeklikiwać dialogi, zwłaszcza pod koniec, kiedy zwykle Główny Zły tłumaczył (dość niedojrzale) swój diaboliczny plan i całą intrygę, zamiast się zamknąć i wreszcie dać się wreszcie widowiskowo zabić.

– Hm, może łatwiej będzie, jeśli zacznę inaczej. Otóż Noah Finnley jest chory. – Stentor ze zmarszczonym czołem spojrział na Marcina, sprawdzając, czy w pełni uświadamia sobie powagę sytuacji. – Nie wiadomo dokładnie, co mu jest, ja osobiście podejrzewam, że to schizofrenia. Uaktywnia się, kiedy Finnley przesadzi z whisky – na początku uczymy gracza, że jeśli ktoś proponuje mu whisky albo pełnym przypadkiem znajdzie gdzieś butelkę Old Joey Hatchetta, będą się dziać dziwne rzeczy. Finnley tak jakby traci przytomność i ma różne wizje; niektóre są aktywne, inne bierne. Te aktywne dotyczą przeszłości i to są zwykle bardzo dynamiczne questy, które robimy wspólnie z Avery – napadamy na bank, uciekamy przed wrogami po zamarznętym jeziorze albo wyciągamy kogoś z więzienia. One mają na celu przypomnienie graczowi, że generalnie Avery Liddell to fajna babka i może jednak nie zdradziła Finnleya tak po prostu. Bierne wizje to po prostu

cutscey, które ukazują pozornie wyrwane z kontekstu wydarzenia, w których bierze udział Avery – na ich podstawie możemy próbować się domyśleć jej motywacji. Te wizje dzieją się w konkretnych, charakterystycznych lokacjach, które Finnley może potem odwiedzić już normalnie na gameplayu. Pojawi się wtedy przebitka przypominająca cutsceę i u NPC-ów będą dodatkowe dopytania na dialogach, więc można dowiedzieć się więcej o tym, co tam robiła Avery.

– To brzmi... bardzo skomplikowanie.

– A to dopiero początek! Wyobraź sobie, ile mamy użerania się z podwójnym prowadzeniem dziennika i wszystkimi przekleństwami otwartego świata. A, zapomniałem dodać: im częściej korzystasz z SM, tym bardziej skraca się pasek życia Finnleya, więc gra się bardzo trudno. Alkohol to zło – zachichotał.

– No dobra, a jak jest naprawdę? Avery rzeczywiście podpuściła i wykorzystała Finnleya, czy chodziło o coś zupełnie innego i na koniec nie powinien jednak odstrzelić jej głowy?

– O to pytaj Jaśka. On czuwa nad całością koncepcji, my tylko realizujemy częściowe scenariusze. – Pierwszy raz Paweł wydawał się przygaszony. Wygląda na to, że ten Ritmeijer to typ tyrana-wizjonera, pomyślał Marcin.

– Jeszcze go nie poznałem – rzucił, licząc, że może Stentor powie o nim coś więcej.

– Hm, no tak. – Paweł znowu zaczął się wiercić na krześle, tym razem jak mały chłopiec, który nie może się doczekać, aż będzie mu wolno odejść od stołu i iść się bawić. – Chcesz się jeszcze czegoś dziś dowiedzieć, czy masz już dość?

– Chyba na dzisiaj mam dość, dzięki. Obawiam się, że chociaż dotarł do mnie ogólny sens, to nie rozumiałem połowy słów, których używałaś.

– Niestety na żargon nie ma rady – cmoknął ze współczuciem. – Wyprawiamy tu z polszczyzną straszne rzeczy, ale gdybyś spróbował mówić inaczej i, bo ja wiem, tłumaczyć wszystkie terminy na polski, nikt by cię nie zrozumiał.

– Mam nadzieję, że szybko się przyzwyczaję. Tak czy inaczej, na pewno będę miał jeszcze dużo pytań, kiedy trochę się już zorientuję w tym wszystkim.

– Nie ma sprawy. Jeśli tylko czegoś nie wiesz, wal do mnie. Wszyscy inni tak robią – powiedział Stentor wesoło.

Pani Celina i Surykatka

Przez złowieszczą ciszę pogrążonego we śnie Rochester Hall przebił się nagle wysoki, starczy głos:

– Arogancka i krnąbrna, zawsze to mówiłam. No ale co się dziwić – po takiej matce? A ojciec też nie lepszy, szkoda gadać. Chodzą słuchy, że on tę jej matkę po ślubie przygwałcił i dlatego ona i córka nigdy się nie umiały dogadać. Kompleks taki po traumie, znaczy się, miała. No, w tej rodzinie to kompleks na kompleksie. Czysta patologia!

Danka z trudem oderwała wzrok od książki i wróciła z Rochester Hall do kawiarni Hermina. Podniosła głowę nad kontuarem, żeby sprawdzić, czy pani Celinie i jej przyjaciółce niczego nie brakuje. Ale nie, miały jeszcze ciasteczka na talerzykach, a chyba nie zdążyłyby wypić tak szybko herbaty. Uspokojona wróciła do czytania.

W kawiarence, w której pracowała, duży ruch był tylko po południu, wieczorem zwykle jedynymi klientkami były dwie starsze panie. Danka nigdy się nie dowiedziała, jak ma na imię ta druga, pod każdym względem przyćmiewana przez panią Celinę. W odróżnieniu od swojej gadatliwej przyjaciółki odzywała się rzadko i tak cichym głosem, że Danka tylko po ruchu jej cienkich, delikatnych warg mogła się domyślić, że coś mówi. Miała łagodną i świeżą pomimo zmarszczek twarz, w której świeciły nieproporcjonalnie duże, czarne oczy w ciemnej oprawie, i trochę za długi nos. Była bardzo szczupłą tą kruchą i pełną wdzięku chudością starszych kobiet, których figura niewiele się zmieniła przez całe życie, i zawsze trzymała łokcie blisko ciała, przez co kojarzyła się Dance z szacowną, wiekową surykatką.

– A ta smarkata zawsze robiła z siebie męczennicę. Mówił jej mąż, żeby dała spokój, ale nie – harowała specjalnie, na pokaz, a minę miała taką, jakby ją kto zmuszał. No i niechluj się z niej zrobił, że strach! A to ładna dziewczyna była.

Jeśli szukać jakiegoś zwierzęcego porównania dla pani Celiny, to najbliższym było jej chyba do nastroszonego gawrona – poruszała się z niezgrabną, nieco groteskową godnością, a coś w jej krępej, przygarbionej sylwetce sugerowało, że na plecach pod swetrem leżą równo złożone skrzydła. Miała matowe, zafarbowane na nieprzekonującą czerń włosy, a ostry nos wynurzał się z jej profilu jak ptasi dziób. Zawsze nosiła się na czarno – Danka zgadywała, że może to żałoba po zmarłym mężu. Musiał jednak umrzeć dawno temu albo pani Celina niespecjalnie się tym przejęła, bo w żadnym razie nie wyglądała na zboląłą wdowę. Każdy jej zamaszysty, urywany ruch zdradzał wewnętrzną energię i wyśmienity humor – kiedy mówiła (a mówiła cały czas), wyraziście gestykulowała, aż pobrzękiwały wysadzane onyksami bransoletki na jej sękatych przegubach. Surykatka nie nosiła żadnej biżuterii.

– Powiem ci, że według mnie to między nią a tym bratem coś było. Pewnie do niczego tam nie doszło, ale ona by się nie wzbraniała, nie. Widać po niej było, że aż nogami przebiera na jego widok. A on, cóż – mężczyzna. Dlatego ich tak oboje nosiło i miejsca sobie nie mogli znaleźć.

Zawsze siadały przy tym samym stoliku – obok stylizowanego na art déco kwietnika z chińską różą – i czekały, aż Danka przyniesie herbatę i ciastka. Wszyscy pozostali klienci składali zamówienia przy kontuarze, ale już na samym początku szef poinstruował Dankę, że pani Celinie i Surykatce należy od razu podać dwa imbryki herbaty i po trzy ciastka z różaną konfiturą. Herbata musiała być zaparzona z półtorej porcji najlepszego darjeelinga, który stał w ozdobnej, tłoczonyj puszcze z widokiem jakiegoś urokliwego miasteczka. Teoretycznie ten gatunek herbaty był w menu, ale jakoś nikt nigdy o niego nie pytał, a metalowa puszka stojąca obok kolorowych kartonowych pudełek z innymi herbatami wyglądała raczej na dekoracyjną, toteż klienci nie interesowali się jej zawartością – więc tak się składało, że dwie przyjaciółki miały ją tylko dla siebie.

– No i nie odpuściła, aż wszystko nie ułożyło się po jej myśli. A wtedy wielkie aj-waj, jakby się strasznie zdziwiła, że jak się człowieka zarżnie, to jest nieżywy. Hipokrytka! Tylko posłuchaj tego: „Zabity przez własną żonę i Ajgista, Agamemnonie! Ten sam jeszcze podnieś jęk, wzbudź rozkosz rześzystych łez”, to w prologu. A jak już postawiła na swoim, to: „Ileż tu łez, mój bracie, z mej winy. Przez ogień szłam nieszczęsna, do tej matki, co mnie dziewczynką powiła”[1]. No to teraz jej się nagle przypomniało, że jest słabą kobietką, dziewczynką jeszcze! Na koniec mogła wyskoczyć z melodramatycznym „och, to wszystko moja wina!”, bo już wszystko załatwiła, jak chciała, i nie ma odwrotu!

Nawet gdyby szef nie zwrócił jej uwagi na szczególne klientki, Danką niewątpliwie zauważyłaby panią Celinę. Nie chodziło o to, że mówiła podniesionym głosem, kompletnie zagłuszając małomówną Surykatkę, ale o temat jej zapalczywych monologów – pani Celina plotkowała o postaciach z antycznych tragedii i poematów z taką uciechą i osobistym zaangażowaniem, jakby chodziło o sąsiadów z kamienicy albo bohaterów ulubionego serialu. Ich słabości i upadki sprawiały jej wyraźną, mroczną radość, a krytykowanie ich wyborów moralnych przychodziło jej tak naturalnie jak innym starszym paniom narzekanie na współczesną młodzież. Ogólnie rzecz biorąc – nie miała o nich wszystkich najlepszego zdania. Menelaos był według niej nieodpowiedzialnym półgłówkiem, Odys przereklamowanym kabotyńcem, Filoktet zrzędą, a Penelopa tępą klabzdrą bez charakteru (Danka nigdy nie słyszała, żeby ktoś poza panią Celiną używał słowa klabzdra). Helena miała pstro w głowie, Orestes był w głębi serca tchórzem, Hektor miał jeszcze mniej wyobraźni niż rozumu, a młodemu Achillesowi w krytycznym momencie zabrakło męskiej ręki i wyrósł na histeryka. Co ciekawe, zawsze przekonująco motywowała swoje opinie, a jej wiedza z zakresu kultury starożytnej Grecji była naprawdę imponująca.

Danka, wyczuwając w niej poniekąd bratnią duszę, odświeżyła sobie na wszelki wypadek klasycznych tragików, myśląc, że być może kiedyś, zbierając ze stolika filiżanki, uda jej się mimochodem rzucić jakąś oryginalną uwagę, a może nawet wywołać polemikę, ale szybko wybiła to sobie z głowy. Zorientowała się, że

choćby wygłosiła orację na miarę profesora Zielińskiego, pani Celina nawet nie zauważyłaby, że ktoś się odezwał. Postrzegala świat wybiórczo, jakby warte odnotowania było istnienie tylko niektórych jego elementów. Danka się do nich nie zaliczała. Nie chodziło o to, że pani Celina ignorowała ją, bo była tylko kelnerką – to był raczej rodzaj bezkompromisowego roztargnienia, które jak Bóg nie ma względu na osoby. Danka lubiła sobie wyobrażać, że pani Celina ma na oczach filtr czasowy, który oszczędza jej widoku wszystkich bytów powołanych do życia po czterdziestym szóstym. To dlatego zawsze zapominała parasola – bo to był nowy, składany parasol, który wyglądał na nieużywany, chociaż pani Celina ciągle go ze sobą nosiła. Danka za każdym razem podawała jej go uprzejmie, zwykle gdy starsza pani już prawie dochodziła do drzwi kawiarni. Pani Celina przesuwała po niej niewidzącym wzrokiem, sennym ruchem odbierała zgubę, po czym ze zdumieniem spoglądała na parasol, jakby nie wiedziała, skąd się wziął i do czego służył. Na koniec wzruszała ramionami i bez słowa wychodziła. Ta powtarzająca się scena byłaby nieprzyjemnie absurdalna, gdyby nie Surykatka, która bez problemu dostrzegala Danke i formowała ustami bezgłośnie: „dziękujemy” i „do widzenia”.

Danka nigdy nie zapytała szefa, czy pani Celina jest jego osobistą znajomą (a może dawną nauczycielką?), od jak dawna przychodzi do Herminy ani czy wie, jak ma na imię Surykatka – podobnie jak nie pytała go, dlaczego jego żona nigdy nie pojawiła się w kawiarni i jakie miasto przedstawiono na puszcze z herbatą darjeeling. Przyjemniej było sobie wyobrażać odpowiedzi na te pytania, a poza tym wolała, żeby to on kierował rozmową, jakby prowadził ją w tańcu.

Zupełnie niewarszawskie miejsce

Przyszedł jak zwykle tuż po dwudziestej. W kawiarni nikogo już nie było i Danka całkowicie pogrążyła się w lekturze. Stał w drzwiach i chrząknął lekko, po czym dał jej chwilę, żeby oprzytomniała. Kiedy odłożyła książkę na kontuar i wstała

z uśmiechem, podszedł bliżej. Zatrzymał się o krok od kasy i omijając wzrokiem okładkę książki, z namysłem wpatrzył się w Dankę.

– *Rebeka* – strzelił.

– Blisko, ale nie. *Jane Eyre*.

Cmoknął z niezadowoleniem i strzelił palcami.

– Rzeczywiście. Ten błysk w oku powinien mi coś podpowiedzieć – druga pani de Winter do końca była zwykłą gąską, tylko zdesperowaną, a nie odważną, a Jane zawsze miała w sobie wewnętrzną siłę. Ile ci jeszcze zostało stron?

– Na jutro powinno wystarczyć – uznała.

– Dobra. W takim razie następna runda w poniedziałek. Na pewno zgadnę – zapowiedział uroczyście i usiadł przy najbliższym stoliku.

Danka stanęła przed szafką z alkoholami i spojrzała na szefa pytająco.

– Armagnac – zdecydował po krótkim namyśle, pocierając podbródek. – Dziś jest wybitnie dębowo-bursztynowy dzień.

Gdy podała mu szeroki kieliszek, upił mały łyk i zapatrzył się w listopadowy mrok za oknem.

Danka przysiadła znów na stołku za kontuarem i zatopiła się w atmosferze kojącego spokoju, jaki roztaczał wokół siebie jej pracodawca. Dopiero teraz dotarł do niej sączący się niespiesznie z głośników zamszowy głos Julie London i cichutkie posykiwanie ekspresu do kawy. Siedząc z nim w milczeniu w pustej kawiarni zatopionej w miodowym świetle lampy, czuła się jak w jakimś nastrojowym włoskim filmie z lat siedemdziesiątych. I było to bardzo przyjemne uczucie.

Początkowo nie planowała zostać w Herminie na stałe. Danka z wykształcenia była ekonomistką, zaraz po studiach dostała się na wymarzone stanowisko i przez dwa lata pracowała z ogromnym zaangażowaniem i poczuciem misji. Chętnie brała nadgodziny, przejmowała coraz więcej nowych zadań i wkrótce wszyscy zaczęli mówić, że jest niezastąpiona. To całkowicie zaspokajało jej ambicje, bo nigdy nie

myślała poważnie o robieniu kariery. Uważała, że wszystko układa się świetnie – jedynym minusem było to, że miała mało czasu na czytanie.

Któregoś dnia szła do pracy, bardzo zadowolona z siebie i przepełniona poczuciem własnej ważności, i przypadkiem zerknęła na swoje odbicie w dużych drzwiach jakiegoś sklepu. I nagle wydała się sobie komiczna – jak dumna mrówka niosąca na głowie ziarenko ryżu. W biurze ten nastrój jej nie opuszczał i pierwszy raz zastanowiła się serio, czy jej praca jest aż tak istotna. Otóż nie była.

Odtąd zaczęła się dusić za biurkiem – było jej wręcz fizycznie niewygodnie, wszystko ją swędziało, jakby była ślimakiem wciśniętym w za ciasną muszlę. W końcu oznajmiła, że odchodzi, i spędziła trzy błogie tygodnie w domu, czytając na okrągło. Później doszła do wniosku, że jednak musi jakoś zarabiać, i wyruszyła na poszukiwanie dorywczej pracy. Do Herminy weszła przypadkiem, przyciągnięta staromodnym szyldem i widocznymi przez szybę regałami z książkami.

To było takie... niewarszawskie miejsce – kojarzyło jej się z krakowskim Kazimierzem: przytulne, trochę zagracone. Przejrzała przy kawie oferty pracy na swoim małym laptopie, zerkając od czasu do czasu na dziewczynę za kontuarem. Miała piękny grecki nos i zaczesane gładko ciemne włosy, związane w koński ogon. Kiedy zbierała ze stolików filiżanki, Danka zauważyła, że jest w ciąży – miała kształtny brzuszek, który nosiła z gracją, jakby to był elegancki bagaż podręczny. To musi być naprawdę przyjemna praca – pomyślała Danka, z lekką zawiścią patrząc na spokojne, wyważone ruchy kelnerki.

Posiedziała tam godzinę, odniosła po sobie filiżankę i już miała wyjść, kiedy zobaczyła, że na tablicy przy wieszaku na płaszcze przypięto pinezką kartkę: „Szukamy pracownika. Proszę pytać przy kasie”. Danka zrobiła kolejny krok w stronę wyjścia, zatrzymała się, zakołysała na piętach, zrobiła w tył zwrot i tknięta nagłym impulsem podeszła do ciemnowłosej dziewczyny za kontuarem.

– Czy to ogłoszenie na tablicy jest aktualne?

Okazało się, że szef Herminy może się z nią spotkać już następnego dnia po południu. Był szczupłym brunetem, na oko po czterdziestce, dobrze ubranym

i lekko siwiejącym na skroniach. Miał łagodne, uważne spojrzenie i mocny zarost, który musiał chyba golić dwa razy dziennie. Danka od razu pomyślała, że właśnie tacy mężczyźni podobają się jej matce: lekko melancholijni i z klasą. Zerknął na CV, wypytał ją o poprzednią pracę, umiejętności i zainteresowania. Nie komentował jej odpowiedzi, ale wydawał się z nich zadowolony. Potem przedstawił jej krótko warunki i zapytał, czy ma jakieś pytania.

– Właściwie tylko jedno – powiedziała z wahaniem Danka. – Dlaczego ogłoszenie, że szukacie pracownika, wisiało w środku, a nie w oknie albo na drzwiach, gdzie mogłoby je zobaczyć więcej osób?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i Danka pomyślała, że ogólnie rzecz biorąc, jej matka ma dobry gust.

– Zależało mi na znalezieniu odpowiedniej osoby. Nie kogoś, kto przypadkiem przechodził ulicą.

Danka rozejrzała się po przytulnym wnętrzu Herminy i skinęła głową. Szeff (przedstawił się, ale z emocji jego imię i nazwisko natychmiast wyleciało jej z głowy) pomilczał chwilę, a potem odezwał się poważnym, uprzejmym tonem. W jakiś nieuchwytny sposób przypominał dziewczynę z greckim nosem, która i tego dnia stała za kontuarem, ale raczej nie byli rodziną.

– Jeśli zdecyduje się pani u nas pracować, poproszę o zdobycie dodatkowych umiejętności i przestrzeganie zasad, które mogą się wydać kłopotliwie niedzisiejsze.

– O co dokładnie chodzi? – Danka przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Jak pani stoi z geografią? – zapytał nieoczekiwanie.

– Hm, cóż, nie najlepiej – odpowiedziała z lekkim zdziwieniem. – Nigdy nie znałam się na mapie. Właściwie to jestem w tym beznadziejna.

Skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Prosiłbym w takim razie, żeby odświeżyła pani tę wiedzę. Mamy w ofercie starannie dobrane gatunki kawy, herbaty i alkoholi i nie wyobrażam sobie, że

miałaby je podawać osoba, która nie wie, w której części Etiopii leży prowincja Sidamo.

Danka posłała mu niedowierzające spojrzenie, ale najwyraźniej mówił całkiem serio.

– Wie pani, skąd pochodzi kseres?

Pokręciła głową.

– No właśnie. Taka wiedza będzie pani potrzebna – pouczył ją łagodnie.

– Sugeruje pan, że klienci pytają o takie rzeczy?

– Trzeba być na to przygotowanym.

– No dobrze. To skąd pochodzi kseres? – zapytała rzeczowo. – Chcę zacząć od razu, skoro to ważne.

– Z Andaluzji – odpowiedział z rozbawieniem. – A Sidamo leży na zachodzie.

– Zapamiętam. Coś jeszcze poza powtórką z geografii?

– Basia przekaże pani konieczną wiedzę – jak obsługiwać kasę, które kieliszki są do czego i tak dalej. Chciałbym jeszcze prosić, żeby w pracy ubierała się pani elegancko. Nie jak na rozdanie Oskarów, ale... jakby to wyjaśnić... jakby zaprosiła pani gości do domu i zależało pani, żeby ładnie wyglądać.

– Tak jak teraz jest w porządku? – zapytała.

Obrzucił ją szybkim, uważnym spojrzeniem i skinął głową. Miała na sobie granatową, krótką spódnicę, bluzkę w grochy, a w uszach małe perełki.

– Śliczne kolczyki. A właśnie, wolałbym, żeby w miarę możliwości nie przebijała sobie pani biżuterią innych widocznych części ciała i nie tatuowała smoków na szyi. Czy to będzie problem?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Nie lubię igieł. Ale mam jeszcze jedno pytanie. Właśnie mi się przypomniało.

– Tak?

– Czy jeśli nie będzie dużego ruchu, mogę czytać w pracy?

– Oczywiście. A co innego miałaby pani robić? – zapytał, unosząc wysoko brwi.

Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce, jakby dobili korzystnego dla obu stron interesu.

– To brzmi podejrzenie – stwierdził wieczorem Krzysiek, kiedy opowiedziała mu o wszystkim. – Gość życzy sobie, żebyś się ubierała jak grzeczna uczennica i odrabiała lekcje. Jeszcze będzie chciał cię przepytować gdzieś na zapleczu, uważaj. Myślisz, że jak ta poprzednia dorobiła się brzucha?

Danka upierała się, że intuicja każe jej zaufać temu człowiekowi – i odczuła ulgę, kiedy okazało się, że miała rację; jej nowy szef zawsze zachowywał się nienagannie.

Po miesiącu przejęła posadę po Basi, która najpierw przez kilka dni cierpliwie wyjaśniała jej wszystko. Danka miała nadzieję, że się zaprzyjaźnią, ale Basia – chociaż była bardzo miła – wydawała się ciągle błędzić myślami przy swoim dziecku, jakby była zwinięta do środka i wsłuchana w siebie. Po odejściu z pracy miała wyjechać do Anglii do męża, który już na nią czekał i sam urządzał pokoik dla maleństwa.

Nikt jak dotąd nie prosił, aby Danka rozwiała toczące go wątpliwości w kwestii dokładnego położenia Curaçao lub prowincji Junnan – poza samym szefem. Od czasu do czasu próbował zaskoczyć ją jakimś pytaniem, ale Danka jeszcze nigdy nie dała się złapać. W szkole nigdy nie lubiła geografii, ale teraz leniwe przeglądanie atlasów sprawiało jej przyjemność – bo widziała w tym jakiś konkretny cel. Poza tym w Herminie przy północnym oknie stał zabytkowy, wypłowiały globus, delikatny i kruchy jak poślizgnięta czaszka, i Danka nabrała zwyczaju zatrzymywania się przy nim.

Bardzo szybko nauczyła się tego, czego wymagał szef, a później zaczęła się wyprawiać coraz dalej na własną rękę. Ta wiedza dawała jej dużo skrytej satysfakcji – ostatecznie, ilu ludzi z jej dawnego biura wiedziało, gdzie dokładnie leżą Wyspy Na Wietrze, Morze Kosmonautów, Góry Błękitne albo Tsaratanana? Nocami śniły jej się morskie podróże, skaliste jęczory przylądków, zeszlone zielonkawym lodem fiordy widziane z lotu ptaka i pustynie rozsypujące się na krawędziach jak zetlały pergamin.

– Jak dziś poszło? – zapytał szef, dopijając armagnac.

– W porządku. O dwunastej przyszedł fachowiec do lodówki i już przestała cieknąć, przyjechałam dostawę papierowych ręczników i tak dalej, pani Celina pojeździła sobie po Elektrze i... aha, skończyły się ciastka z lawendą – zaraportowała.

– Dobrze, jutro przyniosę.

Ciastka, które sprzedawali w Herminie, piekła żona szefa i to był jedyny kontakt Danki z nią. Zawsze były zapakowane w czyściutkie pudełko z białego kartonu, a każde z nich przewiązane cienką liliową wstążką. Danka na podstawie tych wątych poszlak obstawiała, że żona szefa jest z natury marzycielką, jeździ jakimś francuskim samochodem i pewnie ma na imię Alicja.

Posiedzieli jeszcze pół godziny, po czym razem zamknęli kawiarnię. Powtarzało się to co wieczór – szef przychodził koło osiemnastej, kiedy zwykle już nie było nikogo, wypijał jeden kieliszek wybranego alkoholu (najczęściej porto typu tawny), rozmawiał z nią, a potem rozchodzili się do domów. Danka bardzo lubiła te wieczorne spotkania. Nie prowadzili ożywionych dyskusji, tylko wymieniali się uwagami albo nawet długo milczeli, myśląc każde o swoich sprawach. Właśnie podczas takiej niespiesznej rozmowy, mniej więcej pół roku po tym, jak zaczęła tam pracować, zasugerował, że chciałby ją zatrzymać w Herminie na stałe. Nie próbował jej skusić podwyżką (choć zwiększył jej wynagrodzenie, kiedy już się zgodziła), tylko powiedział tonem spokojnego namysłu:

– Pasujesz tutaj.

Danka doskonale wiedziała, co miał na myśli. Powoli stała się częścią kawiarni – tak jak książki na półkach, stary globus, witrażowa lampa czy pani Celina – a klienci przyzwyczaili się do widoku dziewczyny o czerwonych włosach siedzącej za kontuarem z nosem w książce. Przy tym Danką, chociaż wyglądała na roztrzepaną, była w pracy uważna i skupiona, nie myliła zamówień i co jakiś czas ustanawiała swój własny nowy rekord w ekspresowym przygotowywaniu idealnej caffè latte z kakaowym wzorkiem na pianie. Szef był z niej zadowolony (nawet nie

musiał tego mówić, bo jego aprobata drżała w powietrzu jak jazzowe mruczenie), a ona czuła się tu o wiele lepiej niż w biurze, bardziej wyciszona, a jednocześnie rozbudzona i zaciekawiona wszystkim dookoła – jakby opadła na dno oceanu i odkryła tam podwodne miasto.

Odkąd zamieszkała z Krzyśkiem, nigdy nie musiała się spieszyć do domu po pracy. Tego dnia postanowiła jeszcze wejść do księgarni – teoretycznie tylko po to, żeby zobaczyć, co nowego, ale dobrze wiedziała, jak to się skończy. Rzuciła okiem na nowości, skrzywiła się przed półką z bestsellerami i poszła wyszukiwać ładne wydania ulubionych książek. Pogładziła palcem wznowienie *Lolity*, ale okładka jej się nie spodobała – kto jak kto, ale Lolita na pewno nie nosiła mysiego warkoczyka. Jej wydanie było o wiele lepsze i jednak powinna przy nim zostać. Hm, a może po *Jane Eyre* czas na Nabokova? Albo lepiej nie. Przypomniała sobie, że kiedy ostatnio czytała *Lolite*, Krzysiek cały czas narzekał, że czuje się obrzydliwie i nie może rano patrzeć na siebie w lustrze.

Ostatecznie wybrała trzy, nie – cztery książki, bez których absolutnie nie mogła się obejść, chociaż nie była pewna, kiedy właściwie je przeczyta. Idąc do kasy, rzucała na boki rozpaczliwe spojrzenia w nadziei, że w ostatniej chwili rzuci jej się w oczy tytuł, który nagle okaże się jej jeszcze pilniej potrzebny. Zawsze kiedy kupowała książki, czuła się, jakby ratowała z płonącej biblioteki bezcenne manuskrypty. Kasjerka w różowej bluzce rzuciła jej znudzone spojrzenie i beznamyślnie zapakowała cztery święte graale w ekologiczną torbę z szarego papieru. Danka nie wyobrażała sobie, jak można pracować w takim miejscu – ona na pewno nie wytrzymałaby tego nerwowo.

Po powrocie do domu od razu przebrała się w pasiaste spodnie od piżamy i rozwleczony sweter. Nie przeszkadzało jej, że w pracy musi wyglądać elegancko, ale kiedy tylko przekraczała próg mieszkania, rajstopy zaczynały ją uciskać, stanik uwierać, a spódnica krępować jej ruchy. Zrobiła sobie na szybko makaron z pesto, tuńczykiem i orzechami, zaparzyła mocną herbatę i zjadła tę skromną kolację

w towarzystwie swojego kuzyna, wyniosłego i chłodnego St. Johna Riversa z Moor House.

Krzysiek miał jak zwykle wrócić później. Nie nudziła się oczywiście, czekając na niego, ale im bardziej zagłębiała się w lekturę, tym większą pustkę czuła wokół siebie. Co jakiś czas wynurzała się ze świata *Jane Eyre* i patrzyła na zegarek.

„Jane zawsze miała w sobie wewnętrzną siłę”.

Danka skuliła się pod kocem i przysunęła książkę bliżej.

[1] Eurypides, *Elektra*, tłum. Jerzy Łanowski, *Prolog, Strofa I; Stasimon IV, Strofa I*, Warszawa 1980, str. 169 i 221.



Rozdział trzeci

Wtorek 3 grudnia

Przejdę ci to

Adam, sympatyczny tester o nieśmiałym, elfim uśmiechu, przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– To znaczy, jakbyś miała ochotę, ale... bo skoro dopiero zaczęłaś tutaj... to może jeszcze jesteś w kartonach, bo nie wiem, czy jesteś z Warszawy. Znaczy: oryginalnie z Warszawy. Ale te bilety to nie tylko dwa, tylko dla wszystkich. To znaczy, tych, co się zgłosili, bo w zeszły czwartek Adrian z HR, nie wiem, czy już go poznałaś...

Na początku szło mu nieźle, pamiętał, w czym rzecz i żeby się na nią za bardzo nie gapić, ale potem potknął się na jakimś wyrazie i przekoziółkował w beznadziejny słowotok. A teraz po prostu rozpływał się jak budyń za wcześnie wyjęty z salaterki. A ona czekała uprzejmie, aż skończy, i nie przestawała się ładnie uśmiechać. Przez głowę Adama przelatywały tysiące rozbieganych myśli, ale dominowały dwie: ponura „O rany, to jednak nie był dobry pomysł” i euforyczna „Aaahaaaa! Rozmawiam z nową dziewczyną! Ma spódnice! I nie ucieka!”.

Oprócz niego i zjawiskowej Karoliny, od niedawna pracującej w Nasty Oranges, w kuchni była tylko Asia, która udawała, że nie słucha, jak on się błaźni, i ze stoickim spokojem robiła sobie śniadanie. W końcu jednak nie zdzierzyła

i podeszła do nich. Adam posłał jej błędne spojrzenie, w którym było prawie tyle samo paniki, co idiotycznej, straceńczej dumy.

– Daj, ja ci to przejdę – powiedziała Asia i położyła mu rękę na ramieniu, po czym zwróciła się do Karoliny. – Ten oto młodzieniec z działu QA, Adam Wróbel, chciałby ci ofiarować bilet do kina na dzisiejszy wieczór i pyta, czy miałabyś ochotę iść na *Pacific Rim*. Jednocześnie zastrzega, że nie jest to próba ordynarnego wyrwania cię na randkę – będzie tam też połowa naszego studia, a ten bilet jest wolny, bo ktoś tam zrezygnował. Jeśli nie kręcą cię wielkie mechy i sztywne dialogi tudzież towarzystwo Adama, akceptowalna będzie każda wymówka, łącznie z tym, że ciągle się rozpakowujesz po ewentualnej przeprowadzce.

– Nie, nie przeprowadzałam się. – Karolina zaśmiała się i potrząsnęła głową. – I bardzo chętnie pójdę do kina, dzięki. – Delikatnie wyjęła bilet z ręki Adama, który od przemowy Asi stał sztywno jak interaktywny robot. – A ty też będziesz?

– Nie, ja dziś crunchuję – odparła posępnie Asia. Lubiła wielkie mechy.

W tym momencie do kuchni wszedł Andrzej, wypłukał w zlewie swój kubek i pogwizdując, zaczął majstrować przy ekspresie do kawy. To przypomniało Karolinie, po co w ogóle tu przyszła, zanim przystąpił do niej zaambarasowany Adam.

– No to my widzimy się wieczorem. Miło, że o mnie pomyślałeś z tym biletem – dodała, a on, słusznie traktując to jako odprawę, zrobił w tył zwrot i odmaszerował z szerokim, zwycięskim uśmiechem.

Asia zabrała ze stołu swoją sałatkę i też zamierzała wyjść, ale w ostatniej chwili przystanąła przy Karolinie.

– Adam jest w porządku – powiedziała szorstko i poszła.

Karolina zamrużyła zdziwiona, wzruszyła ramionami i dołączyła do Andrzeja, który właśnie dosypywał cukru do dekoracyjnego słoja pełniącego rolę cukierniczki. Ustawiła swój kubek na zachlapanej podstawce i zapatrzyła się w pokrętła i kolorowe przyciski. Ciekawe, dlaczego zawsze w każdym ekspresie wszystko się ustawia inaczej, a jednocześnie nigdy nie jest to intuicyjne.

- Gdzie tu się reguluje, jaka ma być mocna?
- Tym tutaj. – Andrzej puknął palcem w małą tarczę.
- Aha. Dzięki.

Ekspres zaszurał, ze smakowitym chrupnięciem zmielił porcję kawy i zabuczał przeciągle.

– I jak tam aklimatyzacja? – zapytał Andrzej, opierając się o blat stołu i ostrożnie mieszając w kubku z Pac-Manem, tak żeby pianka nie przelała się przez krawędź. Wydawało się, że zadał to pytanie od niechcienia i nie był szczególnie ciekawy odpowiedzi, ale Karolinie właśnie zebrało się na zwierzenia.

– Tak średnio, szczerze mówiąc. Myślałam, że na początek dogadam się jakoś z dziewczynami, ale... – zawahała się. Właściwie nie zachowywały się niemiło, tylko po prostu nie zwracały na nią uwagi. Odpowiadały uprzejmie na pytania, ale widać było, że dłuższa pogawędka ich nie interesuje. Karolina z natury była nieśmiała i nie potrafiła przebojem wejść w nowe towarzystwo; jeśli nie widziała oznak przychylności, wycofywała się. – No taka Asia na przykład...

– Tak, widziałem. *Believe me or not*, ale robiła te wyniosłe miny z tego samego powodu, dla którego Adam prawie puszczał kolorowe bańki uszami jak Alicja w *Madness Returns*. Bardzo zwracasz na siebie uwagę i...

- Ja zwracam na siebie uwagę?!

Andrzej uśmiechnął się pod nosem i pierwszy raz spojrział prosto na nią. Z bliska jego asymetryczny uśmiezek wydawał się trochę niepokojący. Teraz, gdy wspomniał o tamtej Alicji, zaczął jej przypominać chudego kota z Cheshire. Miał nawet podobny kolczyk w uchu.

– To naturalne. Gdybyś była przyszczata i zezowata albo chociaż gruba jak Nela, nie byłoby problemu – powiedział z anielskim spokojem. – W dodatku zakładasz wyzywająco krótkie spódniczki. Słowem, sama się prosisz.

- Eee?

– Ładna dziewczyna otoczona przez siedemdziesięciu facetów ma sporą władzę. Wszyscy czekają, żeby się przekonać, jak z niej skorzystasz. I z kim

będziesz się trzymać. – Pochylił się nad nią, a jego uśmiech zrobił się bardziej wilczy niż koci.

– A jeśli chcę się trzymać z Asią? – zapytała szybko i odsunęła się odrobinę.

– To musisz wykazać cierpliwość. Asia jest bardzo fajna, ale nieufna, zwłaszcza na początku. Trzeba ją sobie powoli oswoić.

– Dzięki. Jeszcze jakieś rady?

Andrzej zlizął mleczną piankę z łyżeczki i posłał jej kolejny drapieżny uśmiech.

– *Trust no one.*

Poranne refleksje Mazurka

– A co z Januszem? – zapytał starszy pan, wsuwając się głębiej pod wiatę na przystanku, żeby deszcz nie moczył mu butów.

– No przecież on nie żyje! – Stojąca obok niego staruszka powiedziała to takim tonem, jakby obwieszczała, że rzeczony Janusz wyjechał na wakacje.

– Nie wiem, czemu wszyscy się czepiają, że jestem płaska. Ja tam lubię moje cycki – odezwała się dziewczyna po drugiej stronie wiaty.

Mazurek, wybierając między śmiercią a życiem, zdecydował się na to drugie i obrócił nieznacznie w stronę dziewczyny. Jako że była w puchatej, pikowanej kurteczce, nie mógł wydać bezstronnej opinii w sprawie. Ale może to i lepiej, bo wyglądała na najwyżej szesnaście lat. Stojący obok niej wysoki brunet pewnie był jej szkolnym kolegą, ale raczej nie chłopakiem. Mazurek nie dosłyszał, jaka była odpowiedź na jej zadziorne i prowokacyjne dictum, ale wysoki coś tam zamamrotał, na co dziewczyna roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, i lekko uderzyła go pięścią w ramię. Pikowana kurteczka była w modnym, miętowym kolorze, który ładnie kontrastował z czerwonymi džinsami rurkami. Mazurek wielokrotnie zastanawiał się nad takimi spodniami, odkąd zrobiły się modne. Skąd nagle wzięli się ci wszyscy ludzie bez łydek?

Chwilę później podjechał autobus i Wojtek wsiadł razem z tłumem ludzi – większość z nich znał z widzenia, bo jeździł do pracy codziennie mniej więcej o tej samej porze. Z przodu jak zwykle siedział pykniczny, łysiejący szatyn z wyłupiastymi oczami i czytał świeżą „Rzeczpospolitą” z taką miną, jakby go ktoś do tego zmuszał. Wysiadał przy placu Wilsona. Chwilę po tym, jak zamknęły się drzwi, po autobusie zaczął się snuć jak trujący bluszcz zapach irysów i konwalii – niezawodny znak, że wsiadła Kleopatra, jak Mazurek nazywał na własny użytek wymuskaną brunetkę zrobioną na Elizabeth Taylor. Przepchnęła się do wolnego miejsca, rzuciła Mazurkowi powitalny półuśmiech, po czym wyjęła z lakierkowej torebki czarny notesik i zaczęła coś w nim skreślać. Mazurek podejrzewał, że zamordowała już trzech mężów, a w notesie znajdują się nazwiska kolejnych kandydatów. Odwrócił głowę, próbując uniknąć bezpośredniego ataku jej perfum, i zaczął od niechcienia liczyć ludzi, którzy nie wyglądali, jakby jechali na ścięcie.

Dwa przystanki dalej zrobiło się nieco luźniej i Mazurek dostrzegł wreszcie swoje ulubione bliźniaczki – siedziały razem z tyłu, zapatrzone gdzieś pogodnie. Każda miała długi, gruby warkocz w kolorze jasnego piwa, szare palto i sznurowane do kolan czarne trzewiczki. Patrząc na ich dziecinne, promieniejące zdrowiem i spokojem buzie, Mazurek nieodmiennie dochodził do wniosku, że to musi być strasznie przyjemne być jasnowłosą gimnazjalistką, mieć takie palto, trzewiczki, rumieńce jak zimowe jabłuszko i siostrę bliźniaczkę. Według współczesnych standardów nie były ładne: miały za bardzo kwadratowe twarze i przyciężkie sylwetki, ale sto lat temu pewnie uchodziłyby za wzór urody. Mazurek wielokrotnie się zastanawiał, gdzie się podziały te wszystkie kobiety o niskich czołach, szerokich ustach i zdecydowanym zarysie szczęki, w typie Annie Oakley, których pełno na dziewiętnastowiecznych fotografiach. Rzadko teraz widywało się takie staromodne twarze – to sprawa innego kanonu piękna (ale tu przecież nie chodzi o reklamy, tylko ludzi na ulicy!), innej fryzury czy gwałtownych zmian genetycznych? Czy to ostatnie było w ogóle możliwe?

Poranna przejażdżka autobusem idealnie nadawała się do takich leniwych, bezsensownych rozważań. Większość ludzi wykorzystywała ten czas, żeby

poczytać, pouczyć się słówek, pograć na tablecie albo chociaż posłuchać muzyki, ale dla Mazurka to był jedyny punkt dnia, kiedy mógł nie robić absolutnie nic. Sprawiało mu to ogromną przyjemność. Pozwalał swoim myślom płynąć niespiesznie, gdzie chciały, przyglądał się ludziom, obserwował samochody. Był wyciszony, ale jednocześnie czujny – lubił wyłapywać urwane fragmenty rozmów i mieć oko na wszystko, żeby móc szybko zareagować, gdyby nagle wydarzyło się coś niebezpiecznego. Ciekawe, czy kiedyś mu to przejdzie.

Gdy wysiadł na rondzie Waszyngtona, wiatr natychmiast cisnął mu w twarz garść rozmokniętego w deszczu śniegu, jakby już na niego czekał. Mazurek otarł oczy rękawem, pokontemplował przez moment polską aurę, podniósł kołnierz kurtki i ruszył w stronę Francuskiej. Nie spieszyło mu się do pracy, ale tam przynajmniej było ciepło i sucho. I mieli dobrą kawę. Mazurek skulił się pod naporem lodowatego wiatru i ziewnął. Nie był niewyspany, ale crunch trwał już na tyle długo, że nie opuszczało go chroniczne zmęczenie. Kiedyś go to irytowało i dobijało, ale teraz czuł już tylko rezygnację. Niedawno zdał sobie sprawę, że tak bardzo przyzwyczyił się do takiego rytmu pracy i braku weekendów, że wakacje wydawały mu się czymś właściwie zbędnym. Od czasu do czasu potrzebował przespać dziesięć, jedenaście godzin, żeby się zregenerować, i znów mógł pracować po czternaście. I tak w nieskończoność. Tak naprawdę nie miał pojęcia, ile wytrzyma – zmęczenie otępiało go, ale i kołło: jakby jechał Buickiem Electrą po niekończącej się autostradzie w sennej Luizjanie, coraz bardziej nieważki. Prawdopodobnie to oznaczało, że lada dzień wyjdzie na ulice z shotgunem i rozpocznie eksterminację Ziemian. Ale wolał się nad tym nie zastanawiać.

Kiedy skręcał z Francuskiej w Walecznych, minęła go w pełnym pędzie rowerzystka, powiewając falą włosów i pasiastym szalikiem. Najwyraźniej Nela, jedyna dziewczyna w teamie programistów, nie zamierzała rezygnować z przejażdżki tylko dlatego, że jest zima. Złośliwi twierdzili, że tak uparcie jeździ na rowerze, bo chce wreszcie schudnąć dla Mata. Było sprawą powszechnie znaną, że od lat się w nim beznadziejnie podkochuje. Mazurek miał wrażenie, że wszyscy

w Nasty Oranges nie tyle jej kibicują, co są dziwnie zadowoleni z tej sytuacji. Jakby nieszczęśliwa miłość była niezbędnym elementem zdrowej społeczności i cieszyli się, że to nie na nich padło.

Kto nie lubi Andrzeja Domańskiego?

Nela Rutkowska zapięła rower przy ogrodzeniu i z kaskiem pod pachą pobiegła do studia. Nikt nie wymagał, żeby zaczynała pracę o konkretnej godzinie, ale lubiła włączać komputer równo o dziewiątej. Sprawdzała pocztę, robiła przegląd najnowszych bugów, po czym jadła lekkie śniadanie przy biurku, zaparzała sobie cały dzbanek zielonej herbaty i brała się do roboty. Ranki zawsze były bardziej uporządkowane od wieczorów – nigdy nie wiedziała, o której wyjdzie z pracy i co nieprzewidzianego stanie się po drodze, ale to, o której i jak zacznie dzień, zależało tylko od niej.

Po drodze do pokoju programistów minęła Andrzeja i Krzyśka rozmawiających poufnym półgłosem na korytarzu. Machnęła im ręką na powitanie, ale nie podeszła bliżej. Niech sobie myślą, że nie ma pojęcia, o czym tam szepczą.

Kilka razy zastanawiała się, czy nie powinna czegoś zrobić w sprawie ich szemranych interesów, ale wolała się nie wtrącać. Bo niby jak miałyby to załatwić? Pogadać z nimi „od serca”? Bardzo śmieszne. A gdyby wywlekła całą rzecz publicznie na światło dzienne, wszyscy by pomyśleli, że czuje się pominięta i dlatego robi hece.

Oczywiście mogła też zabrać się do całej sprawy od drugiej strony i udaremnić ich plany tak, że nawet by się nie zorientowali, kto ich załatwił. Rzecz w tym, że nie wiedziała, czy rzeczywiście wyświadczyłaby tym owej drugiej stronie aż taką przysługę. I dlaczego miałyby komukolwiek matkować? Powinna po prostu trzymać się z daleka i cieszyć, że to wszystko jej nie dotyczy.

Nela była pierwszą dziewczyną zatrudnioną w Nasty Oranges i uważała, że udało jej się utrzymać między innymi dlatego, że zawsze pilnowała własnego nosa.

Och, no i dzięki temu, że była lepsza od dziesięciu innych programistów. Dobrze wiedziała, ile jest warta – gdyby chciała odejść z Pomarańczy, mogłaby spokojnie znaleźć pracę w innej firmie. Tylko że wcale nie chciała odchodzić. A jeśli chciała zostać i do woli gapić się na Mata Chojnackiego, jak biega z jednego spotkania na drugie, a na nią nawet nie spojrzy, nie powinna się wychylać. Drażnienie Krzyśka, który był ostatecznie jej team leaderem, byłoby po prostu głupie. A z Andrzejem bezpieczniej nie mieć w ogóle nic do czynienia.

Nie będzie się mieszać. No bo czy ona sama miała jakąś taryfę ulgową, czy ktoś jej coś życzliwie podpowiedział? Nie. No więc właśnie.

Układała sobie to wszystko w głowie, ale już teraz wiedziała, że w tej drugiej sprawie, z którą Andrzej i Krzysiek nie mieli nic wspólnego, na pewno się złamie i zainterweniuje. I może nawet wmówi sobie, że to coś zupełnie innego.

– ...co razem daje pięć punktów przewagi. Nieźle mu idzie – powiedział z zadowoleniem Andrzej. – A Stentor mnie wczoraj zaskoczył. Jemu się chyba naprawdę wydaje, że we wszystkim musi być pierwszy i... – urwał, bo kiedy weszli z Krzyśkiem do kuchni, zobaczyli tam Jacka Brzeźniaka, który mył coś w zlewie.

Usta Andrzeja rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Spojrzał pytająco na Krzyśka, ale ten machnął ręką na znak, że to go nie bawi, i wycofał się do pokoju programistów.

– No tak. Jabłko. Przynosisz wstyd nam wszystkim.

Jacek Brzeźniak odwrócił się, a kiedy zobaczył, że to Andrzej, postanowił go zignorować. Dokładnie wytarł dłonie w papierowy ręcznik i sięgnął po deskę.

– Ile razy mam ci powtarzać? Prawdziwy dev żywi się wyłącznie pizzą, jak żółwie ninja. No i zupkami chińskimi, i burgerami, i frytkami. Psujesz nam PR. Zastanowiłeś się, jak to może wpłynąć na twojego nowego nakrapianego producenta? To tak, jakbyśmy wszyscy siedzieli w okopach i od roku żarli suszoną wołowinę, a ktoś na boku zaczął eksperymentować z dziwnymi jagódkami. Demoralizujące.

– Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz – oświadczył ze stoickim spokojem Jacek i zaczął kroić jabłko na cząstki.

– Mogę ci podać więcej pouczających porównań i przypowieści. O, albo znam taki żart: na bezludnej wyspie siedzi wegetarianin, fruktarianin i gej. Przypływa delfin i mówi...

– Chcesz czegoś konkretnego? – przerwał mu zmęczonym głosem.

– Nie, tak tylko podokuczać. W ten sposób okazuję ci zainteresowanie. – Andrzej uśmiechnął się, zręcznie zdjął z talerzyka kawałek jabłka i schrupał z błogą miną. – Niepotrzebnie je umyłeś. Najwięcej witamin jest tuż nad skórką, wszyscy to wiedzą.

Zazwyczaj nikogo otwarcie się nie czepiał, ale w Jacku było coś takiego, że nie mógł nigdy przejść obok niego obojętnie. Zresztą, to przecież Brzeźniak zaczął – ciągle wrywały mu się uwagi o dobroczynnych właściwościach suszonych śliwek, nasion lnu i płatków owsianych. Co prawda ostatnio bardziej się pilnował i ciężko go było sprowokować, nie zaprzestawał jednak dawać dobrego przykładu, co też było rozkoszne. Paradował z sokiem brzożowym przed dystrybutorem z colą, demonstracyjnie chrupał małe marchewki albo częstował ciastkami z amarantusem, zachwalając naiwnie, że to bez cukru. Za to Andrzej, kiedy w okolicy pojawiał się jeden z burger trucków, specjalnie przynosił upolowaną zdobycz do studia i przysiadał się do Jacka. Przyuważył bowiem, że na wszystkich firmowych imprezach, które latem urządzali na dachu, Brzeźniak siedział tyłem od grilla i pojadał selera naciowego z taką miną, jakby się spodziewał, że barbarzyńcy za chwilę i jego wrzucą na ruszt. No i jak można kogoś takiego zostawić w spokoju?

– Czemu mi wyżerasz jabłko, skoro tak cię mierzi?

– Z dobroci serca. Bo jabłka, trzeba ci wiedzieć, jedzone w nadmiarze niebezpiecznie przyspieszają perystaltykę jelit. Nie chciałbym, żebyś się posrał przy następnym crashu.

Jacek szykował się do ostrej riposty, ale nie zdążył.

– Słuchaj, pogadałbym jeszcze, najchętniej o radioaktywnej soi, ale idę na spotkanie z Antkiem. Ciao! – Andrzej pomachał mu jedną ręką, a drugą zgarnął resztę jabłka z talerzyka.

Hejdasz się stara

– Chciałbym zaznaczyć, że widzę wasze zaangażowanie i tego, no... dobrą wolę. Świetna robota. Oczywiście jest jeszcze sporo do zrobienia, ale wierzę, że cały ten wysiłek się opłaci i na koniec wszyscy będziemy bardzo dumni ze znakomicie wykonanej pracy. – Antek Hejdasz otarł pot znad górnej wargi, odchrząknął i kontynuował, od czasu do czasu zerkając na kartkę. – Zdaję sobie sprawę, że dla dobra projektu poświęcacie dodatkowy czas, na czym zapewne cierpi wasze życie towarzyskie i rodzinne. Po premierze firma jak zwykle wam to wynagrodzi, ale już teraz chciałem powiedzieć, że bardzo to doceniam.

Hejdasz sam zaczynał jako tester, a potem gameplayowiec. Przy RFF1 i RFF2 crunchował całymi miesiącami – i to były prawdziwe, rzeźniczkowe crunchy, a nie to co teraz. Szybko awansował na seniora, a potem team leadera. I nagle ni z tego, ni z owego okazało się, że ma najwięcej doświadczenia w firmie i wszyscy o każdą pierdołę zwracają się do niego jak do wyroczni. Inni starzy wyjadacze albo się wykruszyli, albo przenieśli gdzie indziej, dumnie oświadczając, że ich noga więcej nie postanie w tym miejscu wyzysku i niesprawiedliwości – i z tego co Antek wiedział, teraz crunchowali dokładnie tak samo, tylko pod innym logo. Ale co kto woli.

On przetrwał wszystko, cisnął aż do końca, pozostał lojalny – i oto teraz w nagrodę musiał tu siedzieć i opowiadać ludziom głodne kawałki jak ksiądz po kolędzie. Jako head of studio był strażnikiem kanonu RFF, zawsze miał ostatnie słowo, przed nikim nie musiał się tłumaczyć i mógł kazać przerabiać jedną rzecz tyle razy, ile uznał za konieczne. To mu odpowiadało. Niestety, okazało się, że poza tym musi robić też inne rzeczy – na przykład Motywować, Inspirować i Przewodzić. Na to nie był gotowy. Dostał to stanowisko dlatego, że znał się na

swojej robocie najlepiej ze wszystkich, a nie dlatego, że umiał dowodzić zespołem niemal osiemdziesięciu ludzi. Najzabawniejsze było to, że jako szef studia nie mógł już wykonywać tego, w czym był taki dobry, a za to musiał robić coś, o czym nie miał pojęcia. Często tęsknił do tych wspaniałych czasów, kiedy ktoś mówił mu, co jest do zrobienia, a on po prostu gnał przez taski, rozglądając się tylko, skąd nadejdzie kolejny kawałek pizzy z salami. Ale oczywiście teraz nie było już powrotu – gdyby nagle zachciało mu się zrezygnować, los gry musiałby złożyć w ręce takich nieodpowiedzialnych żółtodziobów jak Mat Chojnacki czy Ritmeijer. Wspaniali fachowcy, rzecz jasna, jeden i drugi, o ile uważnie patrzyło im się na ręce.

Antkowi nie pozostawało nic innego niż uznać Motywowanie Zespołu za kolejny task w tabelce i po prostu się z nim rozprawić. Poszedł na specjalne kursy, na których wynudził się do bólu, ale zrobił notatki. Nie zapamiętał co prawda, czy najpierw się chwali, a potem ochrzania, czy na odwrót, ale przynajmniej pamiętał, że chwalenie za postępy – a w obliczu braku postępów nawet za dobre chęci – jest elementem nieodzownym. No cóż, w jego czasach (czyli jakieś trzy, cztery lata temu) motywowało się ludzi, mówiąc im coś w rodzaju: „Siadać mi tu na dupie i robić grę, dopóki nie będzie zrobiona!”. A nawet nie trzeba było nic mówić, bo wszyscy wiedzieli, jak jest. Tylko że teraz nie byli już gromadką półdzikich amatorów, którzy nie do końca wiedzą, co robią, tylko dużą, znaną firmą – zatrudniali obcokrajowców i dziewczyny, studio się rozrastało i pewne rzeczy trzeba było już robić inaczej. Na przykład musiało być więcej toalet.

Mówił już, że świetna robota? Chyba tak. No to dalej.

– Specyfika pracy iteracyjnej ma to do siebie, że niektóre wstępnie zaakceptowane pomysły w toku rozwoju projektu zostaną wymienione na inne, lepsze lub bardziej odpowiednie dla naszego celu. Jednak wszystkie te odrzucone pomysły nie zostaną zapomniane – miejcie tego świadomość, kiedy czasem będziecie się zastanawiać, jaki ma sens robienie wszystkiego od początku po raz setny.

Antek spojrział na kartkę i uśmiechnął się, aż diabelskie, podgięte brwi podjechały mu do połowy czoła. Teraz mogła już się zacząć jego ulubiona część. Poprawił się na krześle i spojrział radośnie na zgromadzonych w salce konferencyjnej gameplayowców – designerów i programistów.

– A skoro już przy tym jesteśmy... To, co mamy teraz, tak biednie wygląda, że żal dupę ściska. Sorry, chłopaki, ale nie możemy tego zrobić na fizyce, bo będziemy się męczyć do końca projektu. Tak, mamy działający prototyp. W połowie przypadków. Obiekty fizyczne są dociągane do slotu na attachmencie, jak je uwolnisz, wystrzelą w kosmos na kolizji, i nie jesteś w stanie przewidzieć, jak się zachowają. Potrzebujemy prostego rozwiązania, bez symulacji, na animacji. Obniżamy jakość, ale za to uda nam się zdążyć na czas. Chyba. No więc zrobimy tak...

Wszyscy się ożywili i przysunęli bliżej. Nareszcie Hejdasz zaczął mówić do rzeczy.

Zaburzenie w Mocy

Po pierwszych paru dniach zamętu Marcinowi zaczęło się udawać dopasowywać imiona do twarzy, a czasem nawet do odpowiedniego teamu. Najłatwiej oczywiście było się nauczyć imion dziewczyn, bo w Nasty Oranges pracowało ich tylko kilka: Asię widział na co dzień, recepcjonistka miała na imię Kasia, ta duża szatynka to Nela, a dziewczyna, na którą wpadł po spotkaniu z Hejdaszem pierwszego dnia – Karolina. Z facetami było gorzej; rozpoznawał już producentów i co bardziej oryginalnie wyglądających osobników z dreadami, tatuażami i tunelami w uszach, ale poza tym aż kręciło mu się w głowie od tych wszystkich Bartków, Pawłów, Marków, Jakubów, Staszków, Norbertów, Adamów i Konradów. Żeby utrudnić sprawę, imiona często się powtarzały – w Nasty Oranges prawie wszystkich mieli po dwóch, nawet Jamesów. Najwięcej było Michałów, a Gusztáv – Węgier – tylko jeden, ale Marcinowi jeszcze nie udało się ustalić, który to. Większość nowych znajomości zawarł w kuchni w porze lunchu. Panował tam wtedy ciągły ruch

i hałas – wszyscy mówili jednocześnie, szurały przesuwane krzesła, trzaskały drzwiczki szafek, głośno buczał ekspres, co minutę piszczały na zmianę trzy mikrofalówki, szczękały sztucce, gotowała się woda w czajniku elektrycznym i hurgotały wysuwane z rozmachem szuflady. W poprzedniej pracy Marcin był otoczony przez trzy razy więcej ludzi, ale tamci razem wzięci na pewno nie byłiby w stanie zrobić takiego wesołego rozpierzdołu jak zespół Nasty Oranges – a właściwie pół zespołu, bo reszta jadła lunch w kantynie na dole.

Burzliwym wydarzeniom w kuchni przyglądała się z bezpiecznej odległości pani Jagoda, gotowa wkroczyć, kiedy tylko najeźdźcy ustąpią pola. Marcin zajął strategiczną pozycję tuż obok niej i jadł swoją sałatkę z kurczakiem na stojąco, podczas gdy ona objaśniała mu z werwą wyższość tradycyjnego pieca nad mikrofalówką, narzędziem szatana.

– Dzieciaki w szkole w Ameryce robiły takie doświadczenia, wiesz pan, panie Marcinie. Podlewały takie same dwa kwiatki – jak na moje, to chyba petunie były – jednego zwykłą wodą, a drugiego wodą, co podgrzały w mikrofalach, a potem wystudziły. I po dziewięciu dniach ten od mikrofalach całkiem im kipnął. No i...

– Przepraszam – przerwał jej nagle, odstawił pudełko z sałatką na najbliższy blat i popędził za Tomkiem Tyrowiczem, którego wypatrzył na korytarzu.

– Hej!

Tyrowicz odwrócił się, skinął mu głową i już miał postawić nogę na pierwszym stopniu schodów, ale Marcin przytrzymał go za łokieć. To był mocny, zdecydowany chwyt, być może nawet trochę bolesny. Tyrowicz spojrzał w uśmiechniętą pogodnie twarz Marcina i postanowił dać za wygraną.

– No, co tam? – zapytał serdecznie. – Odnajdujesz się już w nowej roli?

– Jak najbardziej. A teraz chciałbym znaleźć Jaśka Ritmeijera, bo wygląda na to, że bez niego nie mogę nawet kiwnąć palcem.

Na początku Marcin cieszył się z nieobecności dyrektora kreatywnego: chciał się jak najwięcej dowiedzieć o RFF, żeby – kiedy tamten wróci – nie wyjść na totalnego ignoranta. Teraz zaczynał się martwić. Jego team utrzymywał, że nie wie,

kiedy Ritmeijer pojawi się w studiu, i chociaż kiedy Marcin o to pytał, mieli dziwne miny, wydawało się, że mówią prawdę. Zresztą – po co mieliby kłamać? Poza nimi zaczął jeszcze kilka osób, ale nie usłyszał nic ciekawszego niż: „chyba gdzieś wyjechał” i „może zachorował”. Tomek zaś był ciągle zajęty i nie miał czasu na rozmowę, aż Marcin zaczął przypuszczać, że specjalnie go unika. Teraz, zapytany wprost, skrzywił się, jakby ugryzł nadgniłe jabłko.

– Nie przesadzaj, przecież twój team ma co robić.

– O ile się zorientowałem, wszyscy implementują zadania poboczne, a mainy leżą odłogiem, bo czekają z tym na Jaśka. Wiem, że sidequesty też kiedyś trzeba zrobić, ale nie wiadomo, ile będzie jeszcze iteracji linii głównej, więc w tej chwili – chociaż wszyscy crunchują po nocach – tracimy czas.

– No proszę, widzę, że już nieźle przesiąkłeś gamedevowym żargonem – ucieszył się Tyrowicz.

– I nie mogę się doczekać, kiedy olśnie tym Ritmeijera. To gdzie on jest? Chory? Na wyjeździe służbowym? Zrobił sobie wakacje w środku crunchu? Przecież nie mógł po prostu zniknąć!

Tyrowicz westchnął i spojrzał na niego pobłaźliwie.

– Wiesz przecież, że u nas panują trochę inne zasady niż w tym twoim korpo. Jesteśmy elastyczni, nie mierzymy nikomu czasu pracy od ósmej do szesnastej.

– No na pewno nie – mruknął Marcin zjadliwie.

– Chodzi mi o to, że Jasiek to artysta. Wizjoner. Nigdy nie wiadomo, co mu wpadnie do głowy.

Nagle umilkł i spojrzał gdzieś ponad ramieniem Marcina. Ten odwrócił się z ciekawionym, ale to tylko Asia, Jacek i Paweł wracali do szwalni po lunchu. Tomek odczekał, aż przejdą i zamkną za sobą drzwi. Dopiero wtedy kontynuował.

– Jasiek czasami ma takie okresy, że nie wychodzi ze studia całymi tygodniami, więc to normalne, że kiedyś musi odpocząć. Pamiętam, jak w zeszłym roku zaszył się na tydzień i pracował w domu, bo taką miał fazę. To pewnie coś w tym rodzaju.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wiecie, gdzie on jest? – Marcin ze zdziwienia aż puścił jego łokieć.

– Chcę ci powiedzieć, żebyś się tym nie przejmował. To nie twoja sprawa. Ty jesteś od tablek, jasne? A teraz przepraszam, Mat na mnie czeka. – Pobiegnął po schodach na górę tak żwawo, jakby się spodziewał, że Marcin zacznie go gonić.

– Jeśli chcą knuć, mogliby chociaż nie robić tego tak ostentacyjnie – mruknął do Asi Jacek, przyglądając się nowemu producentowi przez drzwi. – Od początku miałaś rację co do niego.

– Hm, hm – mruknęła pod nosem Asia i zaczęła rysować palcem na biurku jakieś spiralne wzory.

Jacek spojrzał na nią z pretensją. Asine „hm, hm” zwykle oznaczało, że coś wie, ale nie chce powiedzieć. I zawsze miała przy tym taką irytującą, marzycielsko-tajemniczą minę.

– Nie powiesz? – upewnił się Brzeźniak.

– Nie. Zresztą, to tylko moje domysły. Ale może chcesz dzisiejszego suchara?

– Już słyszałem. „Jaka jest najbardziej zbójecka sieć? Vlan”. Ha, ha.

Marcin musiał poczuć na sobie spojrzenie Jacka, bo odwrócił się w stronę przeźroczystych drzwi szwalni. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak tamten gwałtownie pochyla głowę, a Asia z niewinną miną wznosi oczy do góry, jakby chciała stamtąd zaczerpnąć natchnienia.

Zawahał się, ale nie, dalsze wypytywanie ich o Ritmeijera nie miało sensu. Westchnął i ze zwieszonymi ramionami zaczął powoli wchodzić na górę. Czuł się trochę, jakby przyjechał do jakiegoś Amityville czy Castle Rock i za każdym razem, kiedy pytał, kto to tam mieszka w tym ponurym zamczysku na wzgórzu, ludzie w milczeniu poprawiali naszyjniki z czosnku.

Wszedł do biura Jaśka i usiadł w fotelu. Przychodził tu każdego ranka, mając nadzieję, że wreszcie zastanie dyrektora kreatywnego. Poza tym lubił ten pokój – pani Jagoda najwyraźniej codziennie tu wietrzyła i od czasu do czasu odkurzała, bo

mimo wrażenia nienaturalnego spokoju było świeżo i przyjemnie. Marcin przesunął wzrokiem po przeszklonej szafce, w której stały rzędem podręczniki RPG – od *Dungeons & Dragons* po *Numenerę* – po czym spojrzął na biurko i znieruchomiał.

Ktoś tu był.

Figurki Lego, które jeszcze dziś rano leżały w bezładnym stosie obok monitora, teraz były ustawione na środku blatu w dwóch grupach: po lewej Luke, Leia, Han Solo, Yoda i 3PO, a po prawej Lord Vader, Palpatine, Darth Maul i załoga Gwiazdy Śmierci. Pomiędzy nimi zaś, jakby w pół drogi, stał samotny szturmowiec, zwrócony w stronę jasnej strony Mocy.

Marcin patrzył na to przez dłuższą chwilę zdębiały, po czym mimowolnie rozejrzał się wokół siebie, jakby się spodziewał, że nagle zza szafy wyskoczy Ritmeijer. Albo George Lucas.

Posiedział jeszcze chwilę, ale jako że nie wydarzyło się nic równie epickiego, zszedł na dół. Chyba przydałaby mu się mocna kawa.

Szampon dla prawdziwych mężczyzn

Mazurek postanowił tym razem nocować w firmie. Nie był aż taki zmęczony, żeby nie dowlec się do mieszkania, ale zaczęło go nosić na bieganie – a jeśli sponiewiera się doszczętnie w parku Skaryszewskim tak, jak to sobie planował, rozsądniej będzie wziąć potem prysznic w biurze i już z niego nie wychodzić. Wolał biegać w wolne weekendy, ale jako że zdarzały się teraz dość rzadko, a już nie mógł wytrzymać, musiał postawić na plan B.

O dwudziestej pierwszej zablokował komputer (w Nasty Oranges nie można było go zostawić niezabezpieczonego hasłem ani na minutę, bo zaraz pojawiali się życzliwi, żeby ustawić na pulpicie jakiegoś kutasa albo inny kwiatek), założył buty do biegania i przebrał się w sfatygowane spodnie od dresu. Niesamowite – miał je od pół roku i już udało mu się je złachać. Magda zawsze mu mówiła, że ma typowo

męski talent do tego, żeby każde porządne ubranie przerobić na szmatę, a każdy pokój na norę.

Tak, zdecydowanie czas już był najwyższy, żeby sobie pobiegać.

Wyszedł przed budynek i naciągnął czapkę. Podobno wyglądał w niej jak kretyn, ale to nieistotne. Było zimno, a w powietrzu migotała wstrętna, lepka mżawka. Podskoczył kilka razy w miejscu i ruszył w stronę parku lekkim truchtem, żeby najpierw rozgrzać mięśnie. Wiedział, że ten łagodny początek nie oszuka jego organizmu, który już nastawiał się na porządny wycisk. Serce zaczęło mu walić dużo szybciej, niż wynikałoby to z powolnego tempa biegu, a szczęki i pięści same się zacisnęły.

Zadreptał niecierpliwie, czekając na czerwonym przy alei Waszyngtona, a kiedy światło się zmieniło, wystartował od razu równym, wyciągniętym kłusem.

Nigdy nie uważał się za poważnego biegacza – stanowczo był amatorem, ale miał jakieś blade pojęcie o zasadach bezpiecznego i zdrowego biegania. Z tego, co wiedział, za każdym razem udawało mu się je wszystkie złamać. Ale jemu nie zależało na kondycji, sile mięśni czy wydolności układu krążenia. Nie o to chodziło w prawdziwym bieganiu, tak jak on je rozumiał.

Przy pomniku Żołnierzy Radzieckich pobiegł w lewo. Już zaczynał przyspieszać.

Najbardziej lubił ten moment na samym początku, kiedy wszystko się w nim buntowało przeciwko wysiłkowi i przez kilka chwil naprawdę myślał, że nie da rady, nie dzisiaj. Miał wtedy ochotę się zatrzymać, obrócić na pięcie i wolnym spacerkiem wrócić, skąd przybiegł. Jeszcze nigdy sobie na to nie pozwolił. Zaciskał zęby, aż trzeszczało mu w czaszce, i parł do przodu, jakby biegł pod wiatr, dopóki nie poczuł, że coś w nim pęka. Później było już łatwo: metodycznie i z satysfakcją forsował się, aż kręciło mu się w głowie i świszczało w płucach.

Okrzyżyl Staw na Kosku, tak żeby zostawić po lewej Jezioro Kamionkowskie, a potem przeciąć Kanał Wystawowy. Kiedy wbiegł na mostek, minęła go biegnąca w drugą stronę przysadzista dziewczyna w jasnozielonych legginsach i z białymi

słuchawkami w uszach. Większość biegaczy, których widywał, miała przypięte do koszulek mp3-ki. On nigdy tego nie próbował. Innym muzyka pewnie pomagała, ale miał wrażenie, że on potrzebuje ogromnego skupienia, żeby jakoś nad sobą zapanować i nie rozsypać się, kiedy zmęczenie zdzierało z niego kolejne warstwy, aż do mięsa i kości. Koncentrował się na własnym oddechu – tak bardzo, że inne dźwięki: uderzenia jego butów o wilgotny asfalt, szelesty w zaroślach, skrzeczenie wron, docierały do niego jak zza grubej zasłony. To poczucie idealnej samotności i obcości we własnym ciele napełniało go nierzeczywistym, suchym chłodem, jakby łykał próżnię.

Biegał ponad godzinę, dopóki nie zaczął się potykać. Korciło go, żeby spróbować docisnąć do końca, choćby miał się przewrócić albo czołgać, ale wtedy prawdopodobnie osiągnąłby efekt odwrotny do zamierzonego. Do studia wracał na drżących nogach, lekkim zygzakiem. Mięśnie go mrowiły, powietrze w płucach piekło żywym ogniem, jakby wypił duszkiem szklanekę wódki, a światła latarni i witryn sklepowych rozmazywały się w oczach. Na pewno nie chciałby teraz jechać na Gwiazdzystą.

Prysznic na drugim piętrze na szczęście był wolny, więc przyniósł sobie z plecaka ręcznik, mydło, szampon i ubranie na zmianę. Powinni mieć tu też pralkę – pomyślał, zdejmując przeпоcony, lepiaący się do pleców podkoszulek. Przepłukał go pod kranem, wyjął i odłożył do zlewu; potem zawiesi go na kaloryferze w szwalni, żeby przeschnął przez noc i się nie zaśmierdział. Gdyby nie to, że tuż obok niego siedziała Asia, pewnie po prostu wsadziłby brudne rzeczy do worka, gdzie poczekałyby, aż wróci do domu. Niestety Sosnowska była obdarzona bardzo czułym powonieniem i potrafiła wyczuć śmierdziela z drugiego końca pokoju. Nadaremnie wmawiali jej, że powinna się rozkoszować tą gamą męskich zapachów, bo w domu tego nie ma – Asia pozostawała nieugięta i bezlitośnie piętnowała niechlujów. Dobrze, że nie kazała im się wszystkim codziennie golić.

Odkręcił wodę, która buchnęła mocnym strumieniem, niemal natychmiast napełniając kabinę parą. Mazurek nabrał powietrza, zamknął oczy i wszedł pod strugi gorącej wody. Aaaaaa...

Wolał się myć tutaj niż na Gwiazdzistej, bo ta bezosobowa klitka, z której codziennie korzystało kilkunastu ludzi, dawała mu poczucie większej prywatności niż zabałaganiona i pełna kosmetyków Emilki łazienka w mieszkaniu. Mazurek nie wiedział, jak to możliwe, że dziewczyna Staszka używała aż trzech żelów pod prysznic naraz – pomarańczowego, z olejkiem jakimś tam i migdałowego. Poza tym rozpoznawał na jej półkach szampon i odżywkę, ale do czego służyła reszta: jakieś masła, lotiony, proszki i kolorowe pasty, nawet nie próbował zgadywać.

Na szczęście producenci kosmetyków rozumieli też bardziej podstawowe potrzeby i zamieszczali na odpowiednich butelkach przydatny opis: „dla mężczyzn”, dzięki czemu Mazurek mógł w sklepie dokonywać prostych wyborów.

Przez chwilę stał jeszcze z zamkniętymi oczami, czując, jak dzięki gorącej wodzie rozluźniają się obolałe mięśnie. Mrowienie spłynęło mu do stóp, a głowę miał lekką jak balonik. Mógłby zasnąć na stojąco, z czołem opartym o chłodne kafelki.

No dobra, nie ma się teraz co ślamazarzyć. Niechętnie zmienił ustawienie prysznicza, tak żeby woda leciała mu tylko na plecy, i otarł dłonią oczy. Gdzież to postawił ten szampon dla prawdziwych mężczyzn? Jeśli się nie pośpieszy, dranie zajmą mu wszystkie kanapy.

Wieczór z Julką

Jako że ojciec uroczyście obiecał, że tym razem pojawi się na kolacji, Julka przygotowała ich ulubione danie: ociekającą sosem pomidorowym i beszamelem lasagne z wołowiną na ostro i szpinakiem.

Spóźnił się dokładnie tyle, ile przewidziała, więc kiedy mył ręce, gruba warstwa startego parmezanu wieńczącego wielkie dzieło właśnie nabierała smakowitych rumieńców. Idealna synchronizacja. Julka przyglądała się dojrzewającej lasagne przez szybkę piekarnika i obiecywała sobie, że tym razem zje całą porcję, choćby miała pęknąć.

Ojciec wyjął brytfankę, wzdychając z lubością nad zapachem, a ona nakryła do stołu, otwierała piwo dla niego, a sobie napój aloesowy. Jedzenie było gorące, ale oboje nie czekali, tylko rzucili się od razu, a potem syczeli przez zęby jak wściekłe jaszczury, nie mogąc przełknąć. Kiedy lasagne wreszcie ostygła, odetchnęli z ulgą i zaczęli zachowywać się jak ludzie kulturalni. Mniej więcej.

– Powiedz, co tam w szkole – zapytał rutynowo ojciec, jakby włączał pilotem jakiś program w telewizji, po czym zapatrzył się wzrokiem zahipnotyzowanego węża w swojego iPada. Julka zastanawiała się, jakim cudem udaje mu się trafić za każdym razem widelcem do ust i nie upaprać się – ostatecznie przy lasagne to nie było takie proste.

– Ta małpa od kształcenia słuchu znowu się mnie czepia. Oni chyba specjalnie dobierają takie zołzy do tego przedmiotu, żeby testować naszą wytrwałość. Sara mówiła, że jej tata czytał taką książkę o królu, który musiał zgodzić się na tortury, żeby móc zasiąść na tronie, bo tak pokazywał, że nie sięga po władzę dla zaszczytów. To coś podobnego: jeśli chcesz grać na fortepianie, najpierw wytrzymaj kilka lat kształcenia słuchu.

– Mhm.

– Żeby ona była tylko głupia, to jeszcze pół biedy. Ale ona specjalnie miesza w klasie. Dziś trzy razy mnie pochwaliła, chociaż wierz mi, że nie bardzo miała za co, a zrobiła to tylko po to, żeby dopiec Zuzie, która myśli, że jest najlepsza. No bo jest – powiedziała uczciwie Julka, odgarniając pasmo włosów za ucho. – A ta małpa stawia jej mnie za wzór. Oczywiście Zuza dalej będzie uważać, że jest dużo lepsza ode mnie, ale teraz na dodatek przestanie mnie lubić. Nie żeby dotąd była jakoś strasznie wylewna. Ale to zawsze niemiło – mieć pewność, że ktoś cię nie lubi.

– Racja – mruknął.

Julka, niezrażona, zabawiała go rozmową jeszcze przez chwilę, a on pomrukiwał, kiwał głową, a od czasu do czasu nawet zadawał pytania. Zjadł już

swoją porcję, a potem dokładkę, kiedy Julka z ciężkim sercem musiała przyznać, że nie da rady dokończyć.

– ...a na matematyce cały czas się wygłupia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Niektórzy chłopcy są naprawdę beznadziejni. Jeśli ma do mnie jakąś sprawę, niech przyjdzie i powie, zamiast się błaźnić. Naprawdę nie wiem, jak jeden z tych głupków ma kiedyś wyrosnąć na jakiegoś przystojnego programistę dla mnie. A właśnie, dzwoniła mama.

To go wreszcie trochę przebudziło, ale nie odłożył iPada.

– I co mówiła? – Rzucił jej lekko zaniepokojone spojrzenie.

– Nic. To znaczy: to, co zwykle. Czy biorę witaminy i noszę ten ciepły sweter, i żebym ćwiczyła codziennie, bo w styczniu egzamin.

– Aha. I to wszystko?

– Tak.

Uznał sprawę za załatwioną i znów się wyłączył. Kiedy Julka przez dłuższą chwilę się nie odzywała, podniósł głowę lekko zdziwiony. Skupił na niej spojrzenie i zastanowił się szybko.

– Pytałem już, czy odrobiłaś lekcje?

– Owszem.

– I...?

– I powiedziałam, że potem.

– Aha.

– Bo teraz, tak sobie pomyślałam... może zagramy w *StarCrafta*? – rzuciła pozornie niedbale i spojrzała na niego spod oka.

– Taak! – Natychmiast zerwał się od stołu z rozjaśnionym wzrokiem i bananem na twarzy, odłożył iPada i pobiegł włączyć komputer.

Niejasne przeczucie zguby

Czekała na niego w kuchni, milcząca i skupiona, z rękami złożonymi równo na kolanach.

Krzysiek od razu wyczuł, że szykują się kłopoty. Przede wszystkim – Danka nie czytała. Zły znak, zawsze. Wyglądało, jakby po prostu siedziała przy stole, nic nie robiąc, tylko czekając na niego. I jakby czekała już od dawna. Przykryła stół świeżym, białym obrusem i ułożyła na nim dwa nakrycia – chciało jej się nawet wyszukać w szufladzie pasujące do siebie noże i widelce. Zwykle nie zawracali sobie głowy takimi bzdurami – on bardzo rzadko wracał do domu w porze kolacji, a Danka lubiła jeść w łóżku, pólżąc jak starożytny Rzymianin, i oczywiście nie przestawała przy tym czytać.

No właśnie – teraz nie dość, że nie czytała, to jeszcze nigdzie nie było widać żadnej książki, która mogłaby mu dać wskazówkę, jak bardzo jest źle. Danka zmierzyła go spokojnym spojrzeniem i wstała. Miała na sobie elegancką cytrynową spódnicę z czarnymi guziczkami z boku, której zupełnie nie kojarzył, i o ton jaśniejszą jedwabną bluzkę z długimi rękawami. Wszystko wyglądało na świeżo wyprasowane. Włosy spięła wysoko, tak że jej szyja wydawała się jeszcze smuklejsza i dłuższa niż zwykle. Podeszła do niego powoli, stukając obcasami czarnych czólenek (*really?* Siedziała w kuchni po północy w takich butach? Zgroza, zgroza). Najpierw przemknęło mu przez myśl, że chce go spoliczkować, a potem, że pewnie zaraz oświadczy, że spakowała już walizki i chciała się tylko pożegnać.

Danka wspięła się na palce (nawet na obcasach była od niego sporo niższa) i musnęła ustami jego zarośnięty policzek, a potem jak gdyby nigdy nic stanęła przy kuchence i zaczęła coś mieszać w garnku.

– Siadaj. Zaraz będzie gotowe – powiedziała z uśmiechem idealnej pani domu.

Żony ze Stepford? Niemożliwe, nie znosiła Iry Levina.

Usiadł posłusznie przy stole i starał się powstrzymać impuls, który nakazywał mu natychmiast pójść do sypialni pod jakimkolwiek pozorem i sprawdzić, jaka

książka leży przy łóżku. Wyciągnął szyję, żeby dojrzeć, co gotuje się w garnku, ale stojąca do niego tyłem Danka zasłaniała wszystko.

Chyba nie chce go otruć?

Krzysiek przyglądał się równo ułożonym talerzom i błyszczącym sztućcom i coraz bardziej tracił apetyt. Zanim jeszcze poczuł zapach przypraw, domyślił się, co to będzie. Jego ulubiona wołowina gotowana w mleku kokosowym. Przełknął z trudem ślinę. Teraz ten smak będzie mu się zawsze kojarzyć z tym strasznym momentem. Może nawet już nigdy w życiu nie będzie w stanie tknąć wołowiny po indonezyjsku? To by było odpowiednio dramatyczne. I chyba całkiem prawdopodobne.

Kiedy jednak Danka nałożyła mu szczodłą porcję rendanga i w nos uderzył go esencjonalny, prowokacyjny zapach mięsa, gałki muszkatołowej, kurkumy i trawy cytrynowej złagodzony kojącym aromatem mleka kokosowego, od razu chwycił za łyżkę i wymiół wszystko do czysta, zanim sam się zorientował. Danka przyglądała mu się przez stół, z brodą opartą na dłoniach i nieodgadnionym spojrzeniem.

– A ty nie jesz? – zapytał zdziwiony i zażenowany, kiedy zobaczył, że jej talerz dalej jest pusty.

– Wiesz, że staram się nie jeść po dwudziestej drugiej.

Uśmiechnęła się krótko i wstała od stołu. Zabrała mu talerz, zanim zdążył zaoferować, że sam posprząta, a potem wyjęła z szafki swoje ulubione pudełko, w którym nosiła czasem obiad do pracy i którego zabraniała mu wynosić z domu, grożąc rozmaitymi pomysłowymi sankcjami.

– Na drugi dzień zwykle smakuje lepiej. Zapakuję ci resztę na jutro. Pewnie wrócisz później niż dzisiaj – powiedziała spokojnie.

Mógł tylko pokiwać głową. Czuł się dziwnie upokorzony, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Nie podobało mu się to wszystko.

A dobrze wiedział, że to dopiero początek.

Danka postawiła święte pudełko na parapecie uchylonego okna, żeby się schłodziło przed włożeniem go do lodówki, wytarła ręce w upiornie czystą

ściereczkę i rozciągnęła usta w złowróżbnym uśmiechu.

– Chodź do pokoju. Porozmawiamy.

– No i jak tam było w pracy? – zapytała niemal pogodnie.

– Jak zwykle. Kupa roboty – odpowiedział nieufnie. Danka siedziała w fotelu z nogą założoną na nogę i przyglądała mu się z lekkim uśmiechem. Wyglądało to, jakby chciała sobie uciąć przyjacielską pogawędkę. I może nawet dałby się nabrać, gdyby nie to, że dochodziła druga w nocy, a ona była ubrana jak niezależna pani adwokat z jakiegoś amerykańskiego serialu.

– Mhm. No tak. A jak myślisz, kiedy to się skończy?

Krzysiek wypuścił z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby i zwiesił głowę. No to już. Poszło.

– Znowu zaczynasz? Przecież tyle razy o tym rozmawialiśmy. Tak wygląda praca w gamedevie. Dopóki nie skończymy projektu, będziemy wszyscy zapieprzać po kilkanaście godzin dziennie. A potem...

– Będzie następny projekt – podpowiedziała mu.

– Nie od razu – zaprotestował. – Na pewno będziemy mieć jakieś wakacje. Wyjedziemy, gdzie tylko chcesz. Mnie to naprawdę zupełnie obojętne.

– A do tego czasu będziemy się widywać kwadrans dziennie i czasem w niedziele?

– Mówisz to tak, jakby dla mnie to była jakaś wielka przyjemność, taki niekończący się crunch. Naprawdę myślisz, że wolę ślęczeć wieczorem przed komputerem w pracy, zamiast iść z tobą do kina albo na piwo? – Danka posłała mu rozbawione, pytające spojrzenie. – Proszę cię. Wiesz, że teraz mówię serio – powiedział zniecierpliwiony.

– Ja też. Bardzo serio.

Spojrzał w jej ciemne oczy i po raz kolejny zastanowił się, na ile teraz gra, podążając za jakimś pokrętnym, powieściowym wzorcem. Tak czy inaczej, nie mógł ryzykować i zbagatelizować tego.

– Naprawdę żałuję, że spędzamy ze sobą tak mało czasu – wyrecytował z uczuciem.

– To może coś zrobisz w tej sprawie.

– Przecież wiesz, że to nie zależy ode mnie.

– Moim zdaniem zależy.

– Chyba przeceniasz moją pozycję w firmie – uśmiechnął się krzywo. – Są tacy, co próbują pracować „normalnie”, po osiem godzin dziennie, choćby się waliło i paliło. Ostatnia była Patrycja. Całkiem fajna – zdolna, kumata i dało się z nią pogadać. Wyleciała po czterech miesiącach. Nie za karę – dodał pospiesznie – tylko po prostu poziom jej pracy znacząco odbiegał od tego, który prezentuje reszta, którą stać na trochę zaangażowania.

Danka parsknęła śmiechem, jakby nie mogła już wytrzymać. Spojrzał na nią zdezorientowany.

– No co?

– Po prostu nie mogę się nadziwić, jak ty nie widzisz pewnych rzeczy – powiedziała z uśmiechem, który załamał się nagle i przegiął w podkówkę. Krzysiek wystraszył się, że się zaraz popłacze, ale Danka odetchnęła głęboko i znów zaprezentowała mu tę pogodną, amerykańską twarz. – Chciałam powiedzieć, że to jednak zależy od ciebie, bo przecież wcale nie musisz tam pracować.

– Hm? – Chyba się przesłyszał.

– Nie musisz pracować w Pomarańczach – powiedziała cierpliwie. – Nikt cię tam siłą nie trzyma.

Krzysiek uśmiechnął się niepewnie.

– A gdzie niby miałbym pracować?

– Nie wiem, zastanów się. – Wzruszyła ramionami. – Jest pełno firm gamedevowych na całym świecie, które z otwartymi ramionami przyjęłyby kogoś z takim doświadczeniem.

– Możliwe, ale przecież to by właściwie nic nie zmieniło. W innych firmach też mają crunch. Pewnie nawet gorszy.

– We Flying Wild Hog nie mają – odparła natychmiast.

Skąd ona niby wiedziała takie rzeczy?

– Słuchaj, rozumiem, o co ci chodzi. Naprawdę. Ale jestem w Nasty Oranges od zawsze. Jak miałbym teraz odejść? Przecież... to moje studio, mój projekt. Wiesz, ile jest takich osób jak ja, które pracują w Pomarańczach od samego początku? Cztery – powiedział tryumfalnie. – Cztery. Rozumiesz, co to znaczy?

– Że wszyscy pozostali mieli dość rozumu, żeby się ewakuować. Ta firma to rzeźnia. Sam mówiłeś, że od premiery pierwszego Finnleya rozpadły się trzy małżeństwa i kilka poważnych związków. To dość wyraźna wskazówka, nie sądzisz?

– Okej. Wiem, że nienawidzisz mojej pracy, ale...

– A ty ją uwielbiasz. Tylko nie wiem czemu. Czasem mam wrażenie, że to jakaś sekta, a nie studio. Co wy tam tak naprawdę robicie? Zachowujesz się, jakbyś po przekroczeniu drzwi pracy zamieniał się z nobliwego archeologa w Indianę Jonesa, a przed powrotem do domu musiał wytrząsać skorpiony z kieszeni.

– Często naprawdę tak właśnie się czuję – przyznał, uśmiechając się nerwowo. Nie miał pojęcia, do czego ma prowadzić ta rozmowa, ale wydawało mu się, że Danka usiłuje się trzymać jakiegoś scenariusza i coraz słabiej jej to wychodzi. Nagle zrobiło mu się jej żal. Musiała podchwycić jego spojrzenie, bo wyprostowała się i uniosła podbródek. Przez chwilę siedzieli w ciszy, a potem Danka wstała bez słowa i wyszła z pokoju.

Krzysiek odczekał chwilę, aż usłyszy, jak zamyka się w łazience, a potem jednym susem przyskoczył do łóżka i zaczął przerzucać poduszki. W końcu znalazł ją w jej torebce. *Świat według Garpa*.

To miała być Helen Garp? Naprawdę?

Usiadł ciężko na łóżku i potarł dłonią czoło.



Rozdział czwarty

Piątek 6 grudnia

Nie rozmawiamy o demie

Marcin przyszedł w piątek do studia nabuzowany energią. Miał zamiar dokonać tego dnia wielkich rzeczy. Ale najpierw planował trochę popracować. Kiedy wszedł do szwalni, ku swojemu zdziwieniu zastał tam tylko Jacka Brzeźniaka. Komputer Pawła Stentora był włączony, więc i on zaczął już pracę. Ale co z resztą? Marcin zerknął na zegarek – no tak, dopiero wpół do dziewiątej. Zwykle nie był rannym ptaszkiem, jednak dziś przygnała go do studia ciekawość. Poprzedniego wieczora wreszcie trafił na coś interesującego – mały, ukryty skarb RFF4, którym nie wiedzieć czemu nie chcieli się z nim podzielić. Nie przybliży go to do odkrycia, co stało się z Ritmeijerem, ale może wreszcie dowie się o grze czegoś więcej – jak dotąd nie udało mu się nawet ustalić, o czym w ogóle ma być fabuła. Gdy prosił questowców, żeby mu ją po prostu streścili, robili męczęńskie miny i mówili, że to zależy, bo Jasiek musi zaakceptować zmiany w story. Nie wiedział, jak mogą pracować nad historią, której żadne z nich nie ogarnia, ale może tak się to robiło.

Podszedł do Jacka i trącił go lekko w ramię.

– Cześć. Słyszałem, że macie gotowe jakieś [demo](#).

– Co słyszałeś? – W głosie Jacka było tyle niesmaku, jakby ktoś zaproponował mu kanapkę na jasnym pieczywie.

– Że jest jakieś demo – powtórzył cierpliwie. – Podśluchałem wczoraj wieczorem, jak testerzy o nim plotkowali.

– Nie mówimy o demie.

– Tak, to też słyszałem. Ale ja chcę je tylko zobaczyć. Nie wymagam wstępnej prelekcji.

– Ale ono... jest nieaktualne. I niedokończone.

– To dlatego nie chcecie o nim mówić?

Na widok miny Brzeźniaka aż się cofnął.

– Co. Ci. Mówiłem.

– Nie rozmawiamy o demie. Jasne – powiedział szybciotko Marcin. – Ani słowa. Ale... mogę w nie zagrać?

– Włączę ci w małej salce.

Marcin zdążył już wcześniej obejrzeć kilka mainquestów z wersji podstawowej i sidequestów, więc wiedział, że w tej fazie projektu gra, chociaż teoretycznie działa, wygląda dość koszmarnie. W niektórych miejscach nie rozłożono jeszcze tekstur, więc na tle stylowych dziewiętnastowiecznych domów raziły powierzchnie pokryte czymś, co łudząco przypominało zielone płytki PCV. Wiele elementów póki co zastępowały umownie kolorowe wielościany, otoczone chmurą parametrów, a postaci pojawiały się najczęściej jako bezgłowe kadłuby albo migoczące wszystkimi kolorami tęczy człekokształtne dziury do innego wymiaru. Marcin kiedyś zajrzał przez ramię Pawłowi Stentorowi i z zainteresowaniem prześledził scenę, w którym jaskrawofioletowy walec ze wzruszeniem wyznawał Finnleyowi (z którego zostały jedynie niebieska głowa, wysokie buty i wiszący w powietrzu sztucer myśliwski), że przez te wszystkie lata kochał tylko jego. W takich warunkach naprawdę trudno było wczuć się w klimat, tym bardziej że zamiast cutscen na razie odpalały się tylko plansze z krótkimi komiksami albo obiecującą informacją: „A tu epicka sekwencja walki”, więc wszystkie najbardziej efektowne sceny trzeba było sobie wyobrazić.

Teraz, kiedy usiadł w wygodnym fotelu w salce prezentacyjnej przed ogromnym ekranem plazmowym i sięgnął po pada, nie nastawiał się na poruszające przeżycie estetyczne. Jacek bez słowa włączył demo i od razu rzucił się do drzwi, jakby się bał szkodliwego promieniowania. Marcin obejrzał się za nim z rozbawieniem i chciał coś zawołać, ale nagle z głośników buchnęła muzyka, więc spojrzał na ekran – i opadła mu szczeka.

Obraz był tak wysokiej jakości, że aż zmrużył oczy. Kamera pokazywała ujęcie z perspektywy pierwszej osoby. Ktoś przedzierał się nocą przez las, rozglądając się niespokojnie. Słyszał ciężki oddech, trzask łamanych gałęzi i przenikliwe nawoływanie nocnych ptaków. Nagle tajemnicza postać zatrzymała się bez ruchu, a kamera zrobiła zbliżenie na krzak, zza którego powoli wyszedł lis. Też zastygł na moment, a kapryśne księżycowe światło przesunęło mu szerokim jęzorem po nastroszonej, gęstej sierści. Matowy nos uniósł się lekko, chwytając nieznaną zapach, a delikatne wąsy zadrżały. Oczy lisa były miodowe, prawie złote, a sierść wokół pyska wyglądała na wilgotną, jakby przed chwilą pił. Postać odetchnęła głośniej, a wtedy odwrócił wzrok i odbiegł, wtapiając się w noc. Podeszła powoli do krzewów, zza których się wynurzył, i nieopodal znalazła małe źródło pośród opadłych liści. Opadła na kolana i zaczęła pić ze stulonych dłoni. Odbicie w wodzie było zbyt niewyraźne, by dało się rozpoznać, kto to, ale dłonie wydawały się drobne i delikatne. Wstała i zapatrzyła się na migoczące w oddali pomiędzy drzewami światełko. Ruszyła w jego stronę, a kiedy niewyraźny leśny trakt przeszedł w ubitą ścieżkę, można było przekonać się, że to oświetlone okno stojącego samotnie domu. Postać teraz poruszała się niemal bezgłośnie; przekradła się pod osłoną cieni pod samą ścianę i zajrzała do środka.

Było to wnętrze zwykłej chaty z drewnianych bali, oświetlone świecami i mocnym blaskiem padającym z kominka. Na ścianach powieszono wilcze skóry, na podłodze leżały sznurkowe, zdeptane ubłoconymi butami chodniki, a w kącie za płóciennego parawanu wystawał brzeg blaszanej wanny. Przy stole na środku rozsiadł się zwałisty mężczyzna o grubo ciosanych rysach i jadł palcami z cynowej miski; obok przycupnęła zgarbiona kobieta o wodnistych oczach i rzadkich

włosach. Co chwila spoglądała na niego niespokojnie, najwyraźniej gotowa na każde zawołanie, ale on całkowicie ją ignorował. W głębi pomieszczenia widać było młodego chłopaka, który od niechcienia bębnił piętami o drewnianą skrzynię, na której siedział. Miał wąską, zaciętą twarz i skrzywione usta.

Obraz od dołu pokryła stopniowo półprzejrzysta mgielka, a kiedy postać oddaliła się od okna, stało się jasne, że to jej oddech na szybie. Na zaparowanym szkle został odcisk małej dłoni. Kamera wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni i kadr wypełniła czerń.

Wtedy cutsцена się skończyła i obraz powrócił do wnętrza domu, do pokoju, gdzie siedział młody chłopak. Zaczęła się partia gameplayowa. Marcin oczekiwał, że teraz jakoś dramatycznie spadnie, ale nic takiego nie nastąpiło. Postaci były szczegółowo dopracowane, a animacje płynne. Widział wyraźnie chropawą fakturę polan drewna ułożonych przy kominku, blask ognia układający się miękko na przywiedłym policzku kobiety i poruszające się naturalnie włosy chłopca. No tak – pomyślał. – Przecież to trochę tak jak trailer: pewnie w przypadku małego wycinka gry da się osiągnąć dobrą jakość nawet na wstępnym etapie produkcji. Czyli tak będzie wyglądało gotowe RFF4. Podekscytowany sięgnął po pada i zaczął sterować postacią chłopca, który najwyraźniej był nastoletnim Noahem Finnleyem.

– Idź sprawdzić, czy kurnik jest dobrze zamknięty. Wieczorem widziałem w błocie ślady lisa – wymamrotał Abe Finnley z za udka kaczki, które właśnie obgryzał. Zawsze mówił niewyraźnie, niezależnie od tego, czy akurat coś jadł czy nie, i jak wszystko, co robił, miało to dodatkowy cel. Wybełkotane rozkazy można było źle zrozumieć i źle wykonać, a przez to narazić się na jedną z wychowawczych kar, które Abe z upodobaniem stosował nie tylko wobec syna, ale i żony. Mamrotanie mogło też prowokować do zadawania pytań, które Abe zaliczał do szczególnie bezczelnych przewinień.

Młody Noah bez słowa sięgnął po kaganek i ostrożnie zapalił knot świeczki. Próbował przejść obok stołu, nie podnosząc głowy, ale widok ojca zawsze działał

na niego hipnotyzująco. Teraz też przystanął mimowolnie i zapatrzył się w ciężkie, opuchnięte powieki nad nabiegłymi krwią oczami i popękane, stwardniałe od pracy grube paluchy, którymi Abe rozrywał parujące mięso i pakował do ust ociekające tłuszczem kęski. Wieloletni brud wżarł się w jego ręce tak głęboko, że nie dałoby się ich domyć nawet mydłem, a widok poczerniałych paznokci, zdrapujących resztki mięsa z kości, sprawiał, że Noahowi dopiero co zjedzona kasza podchodziła z powrotem do gardła. Nie odrywał jednak od nich wzroku, jakby jego nienawiść domagała się ciągłej pożywki.

– No, czego się gapisz? Rusz się, bo wstanę i poczujesz, jaką mam ciężką rękę.

Po złośliwym uśmiešku ojca Noah poznał, że tak naprawdę wcale nie chodzi o kurnik, bo obaj dobrze wiedzieli, że jest porządnie zamknięty, tylko o to, żeby musiał sam wyjść z ciepłego domu. Ojciec pewnie myślał, że boi się duchów i ciemności, więc to będzie dobra lekcja dla niego. Tymczasem Noah bał się tylko tego bandyty, który dwa dni temu zaatakował starego Maurice'a i może dalej czaił się gdzieś w okolicy. Dlatego oprócz kaganka zabrał też ze sobą kuchenny nóż z kościanym trzonkiem.

Na zewnątrz było cieplej, niż przypuszczał. Wciągnął głęboko czyste, nocne powietrze, od którego od razu zrobiło mu się lżej na duchu. W domu zawsze czuł się niezgrabny i powolny, ale pod gołym niebem nabierał energii i wiary we własne możliwości. Czuł się odważny, silny i sprytny. Dlatego kiedy usłyszał dochodzący ze stodoły szelest, ścisnął mocniej nóż w garści i śmiało otworzył drzwi, zamiast uciec do domu. Wystawił przed siebie rękę z kagankiem, żeby blask świecy rozproszył ciemność chociaż trochę, i wstrzymał oddech. Wydawało się, że w środku nikogo nie ma. To pewnie lis – pomyślał i odetchnął z ulgą, chociaż jeszcze przed chwilą uważał, że ojciec zmyślił sobie te ślady przy kurniku. Już miał się odwrócić, kiedy znowu coś zaszeleściło.

– Kto tam jest? Wychodź, widzę cię! – powiedział surowo Finnley. Zagryzł ze złości wargi, bo jego własny głos wydał mu się dziecinny i wysoki jak u panienki.

Siano poruszyło się i mała – o wiele mniejsza, niż się spodziewał – postać stanęła na granicy kręgu światła. Noah rozpoznał ją – to była ta chuda

dziewczynka, która od kilku miesięcy kręciła się w pobliżu osady. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła, i nikogo to też specjalnie nie interesowało. Kilka razy widziano, jak podkrada jedzenie, i odtąd wszyscy przeganiali ją ze swojej ziemi. Niektórzy uważali, że jest co najmniej półkrwi Indianką – twarz miała zwykle tak umorusaną i na wpół przesłoniętą grzywą czarnych włosów, że trudno było stwierdzić, jak jest naprawdę.

Noah nigdy z nią nie rozmawiał, a nawet nie widział jej z aż tak bliska.

– Co tu robisz? – zapytał łagodnie. Nie chciał jej przestraszyć, bo w gruncie rzeczy trochę go ciekawiła, jak nieznane, dzikie zwierzątko, które być może da się oswoić.

Nie odpowiedziała.

– Jesteś głodna?

Cisza.

W końcu stracił cierpliwość i pomyślał, że przynajmniej ją trochę postraszy.

– Lepiej, żebyś nie chodziła teraz po nocy. Ten złodziej, który zabił Maurice'a, pewnie ciągle gdzieś się tu czai.

Z satysfakcją zobaczył, że to zrobiło na niej wrażenie. Zrobiła krok do przodu, tak że blask świecy wydobył z półmroku jej szeroko otwarte, czarne oczy. Miała na sobie bezkształtną sukienkę, spod której wystawały dziurawe buty. Jedną rękę przyciskała do szyi, a w drugiej trzymała jakieś zawiniątko, które zasłaniały fałdy jej spódnicy.

– Wbił mu nóż w brzuch, wiesz? Wszędzie było pełno krwi – delektował się Noah. – I dużo porozbijanych naczyń w kuchni. Po tym można było poznać, że walczyli.

Dziewczynka dalej przyglądała mu się bez słowa. Noah dopuszczał możliwość, że nie umie mówić, ale na pewno go rozumiała i słuchała bardzo uważnie.

– Moim zdaniem to była jakaś podejrzana sprawa. Mówią, że napadł na Maurice'a, bo chciał go okraść, ale przecież nie zginęło nic poza jego

rewolwerem. A skoro złodziej zabrał broń, to czemu go nie zastrzelił, tylko zadźgał nożem? To trochę bez sensu.

Myślał, że jej zaimponuje, ale nie wydawała się wcale zaskoczona ani zainteresowana jego przemyśleniami. Noah zdecydował, że nie ma co tracić na nią czasu.

– Ja wracam do domu. Możesz tu sobie przenocować – zezwolił łaskawie – tylko żeby cię nie zobaczył mój ojciec. Zostawiłbym ci świeczkę z kagankiem, ale mogłabyś niechcący wywołać pożar. Ale mogę dać ci to. Na wszelki wypadek.

Wyciągnął w jej stronę rękę z kuchennym nożem, trzonkiem do przodu, ale zdrygnęła się i znów schowała w cieniu. Finnley zrobił kilka ostrożnych kroków w jej kierunku, położył nóż na klepisku, a potem się cofnął. Przysiadł na piętach i przyglądał jej się spokojnie. W taki właśnie sposób oswoił kiedyś półdzikiego kota. Zostawiał mu jedzenie i czekał w pewnej odległości, aż je sobie weźmie. Za każdym razem zatrzymywał się trochę bliżej, a w końcu kot odważył się jeść o krok od niego. Wtedy wystarczyło tylko szybko wyciągnąć rękę i złapać go za kark.

Dziewczynka odczekała chwilę, ale kiedy zrozumiała, że Noah nie ma zamiaru się ruszyć, powoli i niechętnie podeszła i schyliła się po nóż, na moment spuszczać z niego wzrok. Potem wyprostowała się gwałtownym ruchem, jakby się spodziewała, że to jednak pułapka. Wtedy z zawiniątka, które trzymała w drugiej ręce, coś wypadło i uderzyło o klepisko. Finnley rozpoznał ten przedmiot i poczuł, że nagle brakuje mu tchu.

– To ty... to byłaś ty – wykrztusił, podczas gdy ona szybko podniosła rewolwer i schowała za plecami. – Czemu zabiłaś Maurice'a?

– Wcale nie chciałam go zabijać – powiedziała ze złością. Była zachrypnięta, a jej głos niemile zgrzytał w uszach. – Ja tylko wzięłam rewolwer. To on się na mnie rzucił z nożem. Ale dałam mu radę, chociaż był ode mnie dużo silniejszy.

Duma i ponury tryumf w jej spojrzeniu powinny go zaniepokoić, ale on już myślał o czymś innym.

– Wiedziałem, że coś się nie zgadza. Nie zastrzeliłaś go, bo nie umiesz strzelać!

Zacisnęła usta i uznał to za potwierdzenie.

– Mógłbym cię nauczyć – powiedział z wahaniem. Pewnie nie było to rozsądne, ale błysk zainteresowania w jej oczach okazał się zbyt kuszący. – Trzeba tylko mieć proch, kapiszony i kule. Wszystko ci pokażę...

– Dobrze. Ale rano – oświadczyła, po czym, całkowicie go ignorując, wdrapała się z powrotem na stertę siana.

Następny poranek ciągnął się w nieskończoność. Noah chciał się jak najszybciej uporać ze swoimi obowiązkami, żeby iść sprawdzić, czy półdzika dziewczynka dalej chowa się w stodole, przez co zrobił się nieuważny i dał ojcu okazję do kilku wychowawczych interwencji. Kiedy w końcu wślizgnął się do stodoły, lekko utykał i wciąż kapowało mu z rozbitego nosa, ale w oczach miał radosny błysk. Wszystko w nim dygotało pod ciśnieniem wielkiej, ekscytującej tajemnicy.

– Hej, to ja – powiedział półgłosem, czując, jak bije mu serce. – Możesz wyjść.

Przez chwilę już myślał, że uciekła w nocy, i poczuł dojmujący żal, jakby mu coś odebrano, ale w końcu usłyszał szelest i zorientował się, że dziewczyna stoi tuż za nim. W świetle dnia, wpadającym przez szpary w deskach stodoły, wyglądała na jeszcze brudniejszą i bardziej zabiedzoną, ale ciemne oczy wciąż patrzyły hardo i wyzywająco, jakby był jej wrogiem. A przecież mieli się zaprzyjaźnić.

– Nie jesteś Metyską. Masz za jasną skórę i inne oczy niż oni – wyrwało mu się. Nie odpowiedziała. Pociągnął nosem i zrzucił z ramienia na klepisko płócienny worek, który podsunął stopą w jej stronę. – Zobacz, przyniosłem dla ciebie to wszystko. Trochę chleba i suszonego mięsa, koc, moje buty – są całkiem dobre, tylko już za małe – kawałek liny, bukłak na wodę i... trochę innych rzeczy. Na pewno ci się przyda.

Wyciągnęła rękę bez słowa.

– A, tak. I jeszcze to.

Niechętnie wyjął z kieszeni mieszek z kulami, kapiszony i papierową tutkę z prochem. Właściwie miał nadzieję, że o tym zapomni. W nocy śniło mu się zakrwawione ciało Maurice'a i pomyśl, żeby uczyć ją używania broni, nie wydawał mu się już taki dobry.

– A po co właściwie potrzebny ci ten rewolwer? Żeby polować, tak?

Skinęła głową, więc uznał, że w takim razie wszystko w porządku.

– Jak masz na imię? – zapytał, wprawnie ładując rewolwer. Dziewczyna przez cały czas się nie odzywała, a miał wrażenie, że za jego pomoc należy mu się chociaż tyle.

– Avery – mruknęła. – Avery Liddell.

– Myślałem, że Avery to imię dla chłopca.

– To źle myślałeś.

– Długo tu zostaniesz? – Dyplomatycznie zmienił temat. – Jutro mógłbym ci pokazać...

– Pójdę, jak się ściemni.

– Aha. – Umilkł na chwilę. – A gdzie chcesz się dostać?

– Do Fort Fraser.

Fort Fraser! Kolumbia Brytyjska! Noahowi natychmiast przypomniały się wszystkie opowieści starego traper, który kiedyś zatrzymał się w ich osadzie. Gorączka złota nad Williams Creek w okręgu Cariboo, pieśni flisaków spławiających w dół rzeki Frazer ładunki cennych skór i futer aż do siedziby Kompanii Zatoki Hudsona w Vancouver, polowania z Indianami na odludnych płaskowyżach Nechako, wrzaski orłów na przełęczach Gór Skalistych, niezmierny krajobraz wygasłego wulkanu w paśmie Ilgachuz i inne cuda, które czekają na zachodzie, by je odkryć.

Tak się rozmarzył, że nie usłyszał, jak drzwi stodoły otwierają się powoli. Zaalarmował go dopiero nagły ruch Avery, która syknęła jak dziki kot i spięła się cała, gotowa do ucieczki.

– Nie ruszaj się, złodziejskie ścierwo.

Noah, skamieniały ze strachu, odwrócił się powoli. Jego ojciec mierzył do Avery ze starej dubeltówki, a jego uśmiezek był równie metaliczny i oleisty co wypolerowana do połysku lufa.

– Nie ruszaj się, powiedziałem, i zostaw ten worek. Zaraz zobaczymy, co tam nakradłaś.

Noah przemógł obezwładniającą niemoc i wykrztusił:

– Nie, ojcze... To ja jej to dałem. To ja.

– Odsuń się od niej, chłopcze.

Noah oblizwał wargi, zastanawiając się gorączkowo, co mógłby powiedzieć, żeby mu wyjaśnić... Nie bał się teraz gniewu ojca ani kary, tylko tak bardzo, bardzo chciał, żeby był po jego stronie, żeby zrozumiał, jakie to ważne. Spojrzał na niego z rozpaczliwą prośbą w oczach – i nagle dotarło do niego, że ojciec rozumie bardzo dobrze. Że będzie tak samo, jak wtedy, kiedy bez pozwolenia przyniósł do domu szczeniaka. Że to ma być kolejna lekcja.

– Nie każ mi powtarzać.

Noah zerknął na Avery, która stała bez ruchu jak zahipnotyzowany królik, i jego dygoczące palce zacisnęły się kurczowo na naładowanym rewolwerze. Nagle...

Ekran wypełnił się czernią. Marcin zaklął pod nosem i zaczął jeszcze raz.

Krzysiek gubi kartę

Krzysiek zaczął niecierpliwie przeszukiwać kieszenie płaszcza, a potem przegródki plecaka. Zaklął pod nosem. Karty nie było, a Kasia z recepcji jak na złość właśnie teraz gdzieś sobie poszła. Musi poczekać, aż ktoś będzie przechodził i otworzy mu bramkę. Zerknął na zegarek. Za sześć dziesiąta. W takim razie...

Nela pojawiła się w drzwiach niemal dokładnie wtedy, kiedy o niej pomyślał. Rozpięła kurtkę przeciwdeszczową, przytrzymując kask rowerowy łokciem,

odrzuciła do tyłu długie włosy i dopiero wtedy zauważyła swojego team leadera, stojącego przy bramce z jeszcze bardziej kwaśną miną niż zwykle.

- Cześć! Czekasz na kogoś?
- Gdzieś zapodziałem kartę.
- Aa, to już cię wpuszczam.

Krzysiek sztywno skinął głową. Nie lubił sytuacji, w których był od kogoś zależny, nawet w takich błahostkach. Ruszył za Nelą do środka, a potem po schodach na górę, starając się nie gapić na jej apetycznie zaokrąglony tyłek. Ostatecznie był jej winien przysługę.

Ogólnie nawet dość dobrze tolerował Nelę. Pracowała szybko, wytrwale i z wyraźną przyjemnością, a crunch znosiła bez szemrania, chociaż z reguły nie siedziała dłużej niż trzeba. Krzyśkowi mgliście się kojarzyło, że w wolnym czasie uprawia jakiś sport, ale nie pamiętał, jaki konkretnie. Mógłby zapytać, ale jak nauczyło go przykre doświadczenie, to mogłoby prowadzić do tortur dłuższej rozmowy o rzeczach, które go zupełnie nie interesowały. Ludzie jakoś nie potrafili zrozumieć, że chce zapytać tylko o jakąś jedną konkretną rzecz i to wszystko, tylko od razu zaczynali mu opowiadać o tym, co im się śniło, chorobach zatok, smogu i korkach, kontuzjowanych zawodnikach Legii, laskach, do których prawie wczoraj zagadali w Pawilonach, filmikach ze słodkimi kotami, zatruciach pokarmowych, weselu siostry, planach na weekend, głupich serialach, dzieciach, które płaczą, bo nie chcą iść do przedszkola, i innych pierdołach. Chociaż musiał przyznać, że jak na dziewczynę Nela była raczej małomówna. Ale i tak wolał nie ryzykować.

W ciszy powiesili mokre okrycia na wieszaku, a potem ona swoim zwyczajem poszła włączyć komputer, a on zrobić sobie kawę. Widok mlecznej pianki przypomniał mu o Dance i pudełeczku z rendangiem. Wyjął je z plecaka i włożył do lodówki, po czym oparł się o ścianę w swoim ulubionym miejscu i wypił ostrożnie pierwszy łyk, mrużąc oczy z błogości. Był w kuchni całkiem sam – o tej porze to rzadki luksus, bo zwykle sześć czy siedem osób przychodziło wcześniej. Pewnie w taką paskudną pogodę nikomu nie chciało się wstawać.

Krzysiek tego ranka obudził się, jeszcze zanim zadzwonił alarm w komórce (jako budzik miał ustawione *We Are the Champions*, bo tak nienawidził Queen, że zrywał się z furją, żeby jak najszybciej wyłączyć to diabelstwo). Leżał przez chwilę nieruchomo, nie otwierając oczu, i zastanawiał się leniwie, która może być godzina. Nie chciał obudzić Danki. Ale może udałoby mu się wstać po cichutku i wyjść do pracy wcześniej, a ona by sobie dalej spała? Mógłby nawet zrobić jej śniadanie – to byłby miły gest, całkowicie nieoczekiwany i wart więcej niż tysiąc słów. Ostrożnie przekręcił się na bok i wynurzył spod kołdry.

Danki nie było.

Przez chwilę patrzył na puste miejsce obok siebie, a potem poderwał się i na bosaka wybiegł z pokoju. W łazience się nie świeciło. Wpadł do kuchni.

– Co się stało? – zdziwiła się Danka, podnosząc głowę znad jakiegoś pożółkłego grubego tomu. Siedziała przy kuchennym stole z podwiniętymi nogami, otulona polarowym szlafrokiem, wcinała muffinki i czytała sobie jak gdyby nigdy nic. Wyglądała tak spokojnie, błogo zwyczajnie i swojsko, że z ulgi aż ugięły się pod nim nogi.

– Nie, nic. Tylko pomyślałem... – odetchnął i zaśmiał się nerwowo. – Zresztą nieważne. Wcześniej wstałaś.

– Jakoś nie mogłam spać. Chcesz muffinkę?

– Hm? Nie.

– Na pewno w porządku? Wyglądasz jak zszokowany strach na wróble. Miałeś zły sen?

– Taak, coś w tym rodzaju. – Przeczesał palcami włosy, a potem brodę. Trzeba będzie ją przystrzyc, bo zaczynała sterczeć na wszystkie strony. W crunchu nigdy nie było czasu na takie rzeczy. Podciągnął opadające spodnie od piżamy i jeszcze raz ogarnął Dankę spojrzeniem, jakby dla pewności, że naprawdę nie zniknęła. Miała na nogach swoje ulubione grube skarpety w norweskie wzory, włosy związane w luźny, dziwacznie spiętrzony kucyk, a twarz leciutko zarumienioną, jakby dopiero wyszła spod gorącego prysznica. Brodę oparła na lewej ręce, a palce

prawej bawiły się uszkiem od filiżanki albo przewracały kolejne strony. Książka leżała płasko na stole, obok okruszków babeczki, więc Krzysiek nie mógł zobaczyć okładki i tytułu. Była wyraźnie grubsza od powieści Irvinga i wyglądało na to, że Danka wstała na tyle wcześnie, żeby sporo już przeczytać. Nalał sobie wody z kranu i stanął nad nią niby od niechcienia. Miał zamiar podczytać jej trochę przez ramię i tak zorientować się, czego może oczekiwać w najbliższych dniach, ale zamiast liter zobaczył rzędy zamglonych szlaczków. No tak, okulary zostawił na stoliku. Hmm. W zamyśleniu pocałował ją w czubek głowy. Zrobił to właściwie bezmyślnie, jak żaba strzela językiem w stronę muchy tylko dlatego, że ją widzi. Ale nasunęło mu to pewien pomysł. Pochylił się bardziej i pocałował ją za uchem, a potem zaczął przekradać się w stronę szyi.

Mruknęła coś i odepchnęła go bez przekonania, ale nie odrywając oczu od książki. Nie dawał za wygraną, więc w końcu odwróciła ku niemu głowę.

– Daj spokój z tym czytaniem – wymamrotał, ścisnął jej dłoń, przy okazji zamykając z trzaskiem książkę, i zarzucił sobie jej rękę na kark. Tak, to był naprawdę ze wszech miar dobry pomysł.

– *Weeee areeee the champions, my frieeend...!*

Krzysiek oderwał się od Danki, zaklął i popędził do pokoju.

O książce przypomniał sobie, dopiero kiedy już wychodził z bloku. Nie chciało mu się wracać, a poza tym nie wiadomo, czy dalej leżała na kuchennym stole. Ale chyba nie było się czym martwić – wyglądało na to, że Danka miała całkiem niezły humor, a nawet taki jakby nowy błysk w oku. Pewnie czytała jakąś ciepłą, poprawiającą nastrój dziewczynską powieść, może coś Lucy Maud Montgomery. Książkowy bzik Danki na szczęście często działał jak samoregulująca się maszyna, dostarczając jej wszystkich emocji, których potrzebowała. Krzysiek podejrzewał, że jego dziewczyna nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Z zamyślenia wyrwało go powtórne pojawienie się Neli, która – zgodnie z niezmiennym porannym scenariuszem – będzie teraz przygotowywać sobie tę ohydną zieloną herbatę. Tymczasem jego kawa zdążyła prawie wystygnąć. Wypił ją

duszką i skrzywił się. Teraz powinien się rozejrzeć za jakimś śniadaniem, ale może wystarczy, jeśli wypije drugą kawę? Tym razem doleje więcej mleka, to będzie bardziej odżywcza. Nela kręciła się po kuchni zwinnie, jakby była u siebie – bo w pewnym sensie była, jak oni wszyscy. Zupełnie nieoczekiwanie poczuł przypływ krzepiącego poczucia więzi. Aż zachciało mu się odezwać do Neli i – wbrew swoim wszystkim zasadom – powiedzieć jej coś miłego, żeby to wyrazić. Rozejrzał się dookoła, szukając inspiracji.

– Ta deska do krojenia jest już strasznie osyfiona. Trzeba będzie poprosić panią Jagodę, żeby kupiła nową.

Nela zerknęła na stół, potem na niego i poważnie pokiwała głową.

– Rzeczywiście.

I znów zajęła się herbatą. Krzysiek uśmiechnął się, zadowolony z udanej interakcji społecznej, i łyknął kawę.

Nela była... w porządku. Możliwe, że za jakieś dziesięć lat mógłby ją nawet polubić. Cenił ją, a to już jakiś wstęp. Umiała kodować nie tylko szybko, ale też przejrzysto, czytelnie i zwięźle. Nigdy nie musiał jej opieprzać za niezrozumiałe spaghetti, które często produkowali jej bałaganiarscy koledzy. Właściwie to uważał, że jest najlepszą programistką w zespole (poza nim, rzecz jasna), i zawsze bardzo się pilnował, żeby przypadkiem jej tego nie okazać.

– Nela, słońce ty moje! Jak leci, dzióbku?

Do kuchni wkroczył roześmiany Paweł Stentor i to było jak wrzucenie do windy puszki z wybuchającą żółtą farbą. Cały nastrój szlag trafił.

– Dobrze, tylko pogoda wstrętna.

– Dlatego od dwóch dni stąd nie wychodzę!

Krzysiek spróbował zamordować go wzrokiem, ale świergoczący Stentor okazał się jak zwykle niewrażliwy na takie rzeczy. Śmiał się z odrzuconą do tyłu głową, paplał jak nakręcony, podskakiwał i szeroko gestykulował rękami jak Włoch na prochach. Nagle wydał się Krzyškowi podobny do Freddiego Mercury'ego. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyłem, pomyślał, idąc się

schronić do pokoju programistów. Kiedy siadał przy biurku, przypomniało mu się, ile Stentor ma punktów, i od razu poweselał. Zdaniem Krzyśka nie miał szans wygrać.

Śledztwo

Marcin wyszedł z salki rozgorączkowany i pełny entuzjazmu. Miał wrażenie, że zaraz pęknie, jeśli z kimś o tym nie pogada, więc na widok Asi siedzącej samotnie w kuchni prawie klasnął w dłonie.

– Coś się stało? – Uniosła brwi. – Czy po prostu pilnie chcesz usłyszeć dzisiejszego suchara?

– Może później. Najpierw powiedz, o co chodzi z tym demem.

Brwi zjechały w dół.

– Przecież jest świetne! Co się stało, że robicie dookoła tego taką szopkę? Ktoś umarł podczas pracy nad nim czy jak? Nie udało mi się co prawda przejść questa do końca, jakby się crashował – ale to niemożliwe, skoro grałem na [cooku](#), prawda? W każdym razie to, co widziałem, jest super. Genialnie zrobiliście model ojca Finnleya, aż mnie ciarki przechodziły na jego widok. No i ta minigra z porannymi obowiązkami Noaha, które można wykonać mniej lub bardziej dokładnie. Naprawdę...

– Nie rozmawiamy o demie – mruknęła, przerywając mu.

– Rany, ty też? To jakaś zmowa? No, nie wygłupiaj się i powiedz, jak to było.

Asia spojrzała na niego ciężkim wzrokiem, a potem westchnęła i odstawiła kubek z herbatą. Poprawiła włosy, zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń i zacisnęła wargi. Równie dobrze ośmioletni skaut z odznaką „Mały dziennikarz” mógł pytać weterana wojny w Wietnamie, jak było.

Marcin czekał cierpliwie.

– Wyobraź sobie, że przychodzisz pewnego dnia do pracy i trafiasz na wojnę bogów – powiedziała powoli. – Przemykasz do swojego biurka i nagle okazuje się,

że drugimi drzwiami wpadła właśnie apokalipsa zombie, a kiedy się jej przyglądałeś z otwartą gębą, oknem wskoczyli wszyscy penitencjariusze Arkham Asylum, spod podłogi wyłażą zmutowane szczury, a na parkingu wylądowali wojowniczy Marsjanie ze skalpelami i gotowymi pojemnikami na świeże mózgi. Potem okazuje się, że to dopiero początek, a potem... – poruszyła bezradnie rękami, zająknęła się i umilkła. – Albo wiesz co? Zapytaj mnie za dziesięć lat.

Wobec oporu materii Marcin postanowił dać spokój z demem i zająć się sprawą zniknięcia Ritmeijera. Przez ostatnie kilka dni próbował wyciągnąć informacje na jego temat od różnych ludzi, ale nie dowiedział się nic nowego (za to zaczął się już trochę orientować w tym, kto kogo nie lubi i za co, kto dostał niesłusznie awans, a kto niesłusznie nie dostał, kto najpewniej odejdzie po skończeniu projektu, a kogo wywalą). Dziś zamierzał wprowadzić w życie bardziej przemyślany plan i porozmawiać wreszcie z właściwymi ludźmi.

Najprościej byłoby spytać Andrzeja i Krzyśka. Marcin stosunkowo szybko zwrócił na nich uwagę, bo chociaż nie wyróżniali się szczególnie wyglądem, tworzyli ciekawe zestawienie. Wiecznie ponury, wysoki i przygarbiony Krzysiek przywodził na myśl sępa zniesmaczonego niską frekwencją na polu bitwy, a Andrzej ze swoją szopenowską czupryną i błyszczącymi ciemnymi oczami wyglądał jak romantyczny, uduchowiony poeta, który postanowił ukradkiem przestawić się na absynt, dziwki i opium, a teraz z uciechą czeka, kiedy ktoś się zorientuje. Marcin zauważył, że ci dwaj nie cieszyli się taką popularnością jak Mat czy Kacper Maciejak, producent enviro, których w studiu prawie noszono na rękach, ale sama ich obecność w zatłoczonej kuchni czy sali sprawiała, że zmieniało się pole siłowe. I wszędzie było ich pełno. Zawsze stali gdzieś z boku z takimi minami, jakby obserwowali z prywatnej łoży bardzo interesujące przedstawienie, a przed podniesieniem kurtyny z ręki do ręki przeszły pewne sumy pieniędzy w związku z supozycją, że primadonna potknie się o własną suknię w drugim akcie. Marcin często ich ukradkiem obserwował i nie miał wątpliwości, że i oni obserwują jego. Z ich strony było to raczej neutralne i przyjazne

zaciekawienie entomologów, którzy co prawda dostrzegli nowy gatunek motyla na łące, lecz chwilowo nie mają wolnych szpilek. Ale pewnie wrócą tu za jakiś czas. Wszystkie te znaki wskazywały, że Andrzej i Krzysiek dysponują ponadprzeciętną wiedzą o układach w firmie i podziela się nią równie chętnie co hiena padliną. Tak więc chociaż najprościej byłoby zapytać właśnie ich o zniknięcie Jaśka Ritmeijera, Marcin miał świadomość, że pewnie go nie stać na te informacje (piracki uśmiezek Andrzeja sugerował, że poniżej krępujących opowieści z okresu pokwitania nie zejda i nawet nie ma się co targować). Dlatego postanowił zostawić drapieżniki w spokoju i rozejrzeć się raczej za drobniejszą tudzież bardziej powolną zwierzyną. Po dojrzałym namyśle jako swoje ofiary wytypował panią Jagodę, Karolinę i Mata Chojnackiego.

– No, ja tam nie wiem, panie Marcinie. Przede mną się przecież nikt nie tłumaczy, czy chory, czy ślub będzie brać, czy na zwolnienie idzie. Ja tylko widzę, które kubki nieruszane – po tym można poznać, kogo nie ma.

– Ale mogła pani coś usłyszeć. Przypadkiem. Albo może ktoś coś wspominał w rozmowie...

– Tylko widzi pan, że mną to oni nie mówią o pracy, bo ja nie mam podpisanego tego papierka, że na zewnątrz nic nikomu nie powiem. No to i staram się nie słuchać, jak coś nie do mnie. Tyle, że obrazki z gry lubię pooglądać. Ta nowa pani Karolcia to mi zawsze chętnie pokazuje, co narysowała. Bardzo zdolna dziewczyna. Widziałeś pan te jej obrazki?

– Hm, jeszcze nie. A co do Ritmeijera, nie zauważyła pani ostatnio nic dziwnego? Może jakoś inaczej się zachowywał, zanim zniknął?

Pani Jagoda potarła w zamyśleniu pomarszczony policzek. Była smagła jak indiańska squaw, przez co jej siwe, ostrzyżone po męsku włosy wydawały się świecić własnym blaskiem.

Stali na parterze, na samym końcu korytarza tuż przy figurze krasnoluda z toporem, bo Marcin nie chciał, żeby ktoś słyszał, jak ją wypytuje.

– Tak prawdę mówiąc, to on mi się od dłuższego czasu chory wydawał. Wiadomo, siedzą tu po nocach, te komputery wszystkie promieniują, to i nie dziwota, że bladzi i ciemne podkopy pod oczami codziennie. A najgorzej to w lato. Mówię, taka pogoda, słoneczko świeci, na spacer do parku się przejść, a oni nic – siedzą kamieniem i jeszcze żaluzje wszędzie opuszczają, bo im się od monitorów światło odbija. No, ale do rzeczy. Jak mówiłam, on mi się taki niezdrów wydawał i mówię mu, pamiętam: panie Janku kochany, nie siedź pan tyle, bo oczu i zdrowia szkoda. Pan taki blady ostatnio, może to jaka anemia. Na to sok z buraków pomaga. Jak pan nie lubisz, to tylko karton przynieść, a ja już pana dopilnuję, żebyś pan codziennie szklankę wypił. No. Ja wiem, że nie posłucha, ale może mu chociaż przyjemnie, że ktoś się o niego zatroszczy. Ta jego sympatia, pani Sonia, to rzadko tu zagląda, i pewnie gotować mu nie ma czasu, bo to jakaś też artystka podobno.

– Sonia? – Marcinowi wreszcie udało się coś wtrącić. – A wie pani może, gdzie ona pracuje?

– Nie wiem, panie Marcinie. Musisz pan kogoś innego spytać. Może pana Andrzeja? On to się z nią zna na pewno, a kto jeszcze, to nie wiem.

– Aha – spochmurniał. Przez chwilę zastanawiał się, o co jeszcze zapytać. Musiał się spieszyć, bo pani Jagoda zaczynała już niecierpliwie przestępować z nogi na nogę i co rusz wygładzać fartuch – widać miała jeszcze dziś sporo do zrobienia, a on ją zatrzymywał.

– Ale to miło, że pan się zainteresowałaś, co z nim – podjęła. – Tutaj niby wszyscy go tak lubią, ale kiedy zniknął – cisza. Jakby to jakaś tajemnica była. Ja się nie dopytywałam, ale gryzło mnie to. Pierwszego dnia to myślałam, że może się obraził, bo wcześniej się z kimś głośno kłócił i przekrzykiwał w gabinecie. No ale potem pomyślałam, że może on chory, bo taki blady i...

– Krzyki? – Marcin natychmiast się ożywił. – Czyli jednak coś pani słyszała.

– No niby... Na to wychodzi – przyznała zakłopotana. – Jakoś nie pomyślałam o tym.

– Więc z kimś się kłócił, tak? I krzyczał?

– No tak. Oni tu wszyscy ciągle się sprzeczą i wrzeszczą, ale to było wieczorem, wszędzie cicho i jakoś tak się niosło korytarzem.

– Aha. A wie pani, z kim się kłócił?

– Eee, nie.

– A może słyszała pani, co tam mówili?

– Też nie. Panie Marcinie kochany, powiem szczerze, że ja to od razu się stamtąd zawinęłam i zesłam na dół. Bo to przecież nie moja sprawa, o co tam panom poszło...

Marcin jęknął w duchu. Gdyby był bohaterem powieści detektywistycznej, na pewno nie trafiłby na Miss Dyskrecji, tylko wreszcie wpadł na jakiś trop.

– Dziękuję, pani Jagodo. Bardzo mi pani pomogła – powiedział grobowym tonem.

Przed rozmową z Karoliną Marcin czuł lekką treść – człowiek zawsze chce dobrze wypaść przed ładnymi dziewczynami. Poszło jednak nadspodziewanie gładko – okazało się, że zapamiętała go z pierwszego spotkania na korytarzu jako „tego miłego gościa z piegami” (Marcin przez całe dzieciństwo cierpiał, bo wyglądał jak idealna inkarnacja Marka Piegusa i w dowolnej grupie dzieciaków rzucał się w oczy jak psie gówno na śniegu – ale proszę, po latach były z tego nawet jakieś profity). Potem rozmowa zesłała na temat, jak to być nowym w takiej firmie, a stamtąd do zagadki zniknięcia Jaśka Ritmeijera było już całkiem blisko.

– Rozminęliśmy się, nawet go nie spotkałam – uśmiechnęła się lekko przepraszająco – więc nie bardzo będę mogła pomóc. No i pierwsze dni tutaj były całkiem szalone, zresztą sam wiesz, i nie miałam głowy do słuchania plotek o creative directorze. Dopiero potem zorientowałam się, że go nie ma i nikt nie wie czemu. Lepiej zapytaj kogoś ze starej gwardii, bo ja wiem pewnie niewiele więcej niż ty. Pogadaj z Andrzejem. On jest bardzo oblatany i orientuje się we wszystkim – powiedziała, otwierając szeroko te swoje wielkie, świetliste szare oczy o lekko dziecięcym wejrzeniu.

Plan Marcina zakładał, żeby wypytać właśnie ją, bo z jednej strony była stosunkowo nowa i pewnie nie zdążyła jeszcze wejść do sekty, a z drugiej pracowała tu trochę dłużej, więc mogła więcej zauważyć. No i na pewno miała lepszy PR niż on – nawet gdyby zadawała niewygodne pytania, prędzej uzyskalaby odpowiedzi. Wystarczyło, żeby się uśmiechnęła. Marcinowi chodził nawet po głowie pomysł wciągnięcia jej do spisku i napuszczania na wybranych ludzi, ale po tej krótkiej rozmowie zorientował się, że byłoby to równie skuteczne co wysłanie panny Migotki jako negocjatora do sunnickich ekstremistów. I mniej więcej tak samo etyczne.

Cóż, to był świetny plan. Tylko nie wypalił.

– A co ty sama o tym myślisz? – spróbował mimo wszystko coś z niej wycisnąć. – Może kobieca intuicja coś ci podpowiada?

Zastanowiła się przez chwilę, skubiąc palcami oparcie kanapy. Marcinowi udało się wypatrzeć chwilę, kiedy salka konferencyjna była wolna, więc nikt im nie przeszkadzał.

– Czy ja wiem... Myślę, że może lepiej tego nie drażyć. Na pewno robią z tego tajemnicę nie bez powodu. To mi trochę przypomina sytuację z liceum, kiedy jedna z naszych koleżanek przez miesiąc nie przychodziła do szkoły, nikt nie wiedział dlaczego, nie mieliśmy z nią kontaktu, a nauczyciele wymigiwali się od odpowiedzi. No i oczywiście wymyśliliśmy kilka niezłych scenariuszy, jeden bardziej złośliwy od drugiego, bo nie była szczególnie lubiana. Miała takie dziwne, rozbiegane spojrzenie, rzadkie włosy i ciągle wycierała nos rękawem. Kiedy jesteś w liceum, to wystarczy, żeby cię skreślić na wieki. Potem się dowiedzieliśmy, że ktoś zgwałcił jej siostrę, z którą była bardzo związana, i przeszła załamanie nerwowe. To oczywiście nie jest coś, o czym nauczyciele chcieliby nas oficjalnie poinformować. No i puenta jest taka, że może nie wiemy, co się dzieje z Ritmeijerem, bo to nie nasza sprawa. I tyle.

Jasne, czyste spojrzenie Karoliny nagle wydało się Marcinowi dziwnie niepokojące. Gdyby to Tyrowicz zarzucił mu taką porażającą opowieścią, uznałby to za cios poniżej pasa i próbę emocjonalnego zmanipulowania go, żeby dał spokój

z Jaśkiem. Ale skoro powiedziała to Karolina, nie wiedział, co myśleć. Niezależnie od przyczyny – Ritmeijera nie było, a wiele osób w firmie pilnie go potrzebowało (na przykład Marcin). Podanie informacji, czy jeszcze się pojawi, jeśli tak, to kiedy, a jeśli nie, to kto go zastąpi, nie naruszało przecież jego prywatności.

Nie rozmawiali więcej o Jaśku – zmienił temat, żeby sprawić wrażenie, że zniknięcie Ritmeijera to tylko jedna z wielu rzeczy, które go zainteresowały w nowej pracy. Potem odprowadził Karolinę do pokoju postaciowców. Kiedy przechodzili przez kuchnię, podchwycił ciężkie, nieprzyjazne spojrzenie Jacka Brzeźniaka. No naprawdę, nikt tu nie przepadał za producentami.

Hm, hm

Na opakowaniu rukoli napisano, że jest świeża, od razu gotowa do spożycia i nie trzeba jej myć – i właśnie dlatego Jacek trzymał ją przez trzy minuty pod bieżącą wodą, żeby spłukać to wszystko, czym ją spryskali, żeby wyglądała na taką świeżą. Potem pokroił w równe kosteczki ser alpejski (z Almy, siedemdziesiąt złotych za kilo, ale za to była szansa, że nie ma w nim tyle świństw, co w zwykłym serze), dołożył kilka zielonych winogron, kawałeczki gruszki, i polał wszystko sosem z oliwy z oliwek, cytryny i miodu. Na koniec natchnionym ruchem mistrza kończącego wielkie dzieło posypał sałatkę garścią orzeszków piniowych (najpierw je uważnie powąchał, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zjełczały).

– Pięknie to wygląda. – Asia podeszła do niego z boku. – Naprawdę pysznie.

– Nie pij herbaty z cytryną, bo w tym połączeniu wytrąca się cytrynian glinu – odwzajemnił się, zaglądając jej do kubka. – Odkłada się w tkankach, a zwłaszcza w mózgu, i powoduje alzheimera.

– Bzdury. Herbata z cytryną jest dobra na wszystko. Każda babcia ci to powie.

– W świetle najnowszych badań to trucizna – powiedział Jacek, ale zamrugał nerwowo. Zawsze był dramatycznie rozdarty między nabożnym szacunkiem dla wiedzy babć i ciotek, strażniczek tradycyjnego slowfoodu (niepasteryzowane

świeże mleko! Zupa z prawdziwych pomidorów! Domowe soki! Smażone trzy dni powidła śliwkowe! Kiszzone ogórki!) a nowinkami ze świata serwisów o ekożywności, wyciągających na światło dzienne przerażające fakty na temat zdradzieckich witamin, owoców czy warzyw i obnażających ich prawdziwe oblicze.

– Wiesz co, chyba jednak będę dalej ją pić i poczekam, aż naukowcy odkryją nieznane dotąd zdrowotne właściwości tego czegoś tam glinu.

Jacek pokręcił głową nad jej nieodpowiedzialnością. Niewiedza by ją usprawiedliwiała, ale przecież jej wyjaśnił! Z całej firmy tylko pani Jagoda chętnie słuchała jego rewelacji.

Przelał świeży sok marchewkowy do szklanki i już podnosił ją do ust, kiedy przed samym nosem przedfilował mu Marcin z Karoliną. Jacek odstawił szklankę i zmarszczył brwi. Zerknął na Asię; przygotowywała sobie twarożek z roztartą wędzoną rybą i majonezem.

– Ryby są bardzo zdrowe – pochwalił ją. Co prawda taka tłusta, wędzona makrela na pewno była siedliskiem listerii, ale nie wszystko na raz, powie jej o tym następnym razem. Nie chciał przecież być natrętny. Odchrząknął. – A może chciałabyś trochę mojej sałatki?

– Serio? No pewnie, chętnie.

Asia szybko podstawiła mu swoją miseczkę, żeby się przypadkiem nie rozmyślił. Jacek chętnie rozdawał marchewki czy kawałki selera, ale rzeczami naprawdę interesującymi dzielił się rzadko.

– Proszę, weź sobie więcej. Słuchaj, a ta nowa, Karolina...

– Taak? – Asia uśmiechnęła się pod nosem.

– Znasz ją jakoś lepiej?

– Nie, jeszcze nie bardzo.

– Aha... A wiesz może, czy ona ma kogoś?

– Z tego co wiem, to nie. – Koci uśmiezek Asi stał się jeszcze szerszy, ale Jacek brnął dalej.

– Aha. A słyszałaś może... przypadkiem... czy nie jest kimś jakoś mocniej zainteresowana? Tu, w firmie?

– Hm, hm.

– Och, spierdalaj, Sosnowska!

Polowanie na Mata

Po rozmowie z Karoliną Marcin zdecydował, że należy mu się przerwa w czynnościach śledczych. Ostatecznie coś tam jednak odkrył, prawda? Jasiak kłócił się z kimś przed swoim zniknięciem, wyglądał na chorego, a jego dziewczyna ma na imię Sonia i prawdopodobnie dałoby się do niej dotrzeć przez kogoś z Nasty Oranges. Należało też uważnie obserwować Karolinę, która może coś jednak wiedziała, ale próbowała to ukryć. Poza tym to ciekawy zbieg okoliczności – Jasiak znika, a niemal w tym samym czasie w Nasty Oranges pojawia się ona. Może powinien nawet gdzieś to zapisać, na wypadek gdyby później okazało się ważne.

Tak, zdecydowanie zasłużył na lunch w kantynie. Z tego, co widział, dziś w menu były litewskie kartacze z masełkiem. A potem weźmie się za robotę. I może już odpuści sobie dzisiaj pogawędkę z Matem. Zaczepi go w poniedziałek.

Pół godziny później z trudem wychodził po schodach na piętro. Powinien był poprzestać na jednym. Ale jak często człowiek ma szansę zjeść prawdziwe kartacze? Oczy mu się kleiły i zaczynał przemyśliwać o małej regeneracyjnej drzemce. Wystarczy piętnaście minut i będzie jak nowo narodzony. Oczywiście najlepiej nadawał się do tego pusty gabinet Jaśka Ritmeijera. Jeśli usiądzie bokiem do drzwi, ktoś, przechodząc obok, może nawet pomyśleć, że nowy producent popadł w głębokie zamyślenie nad bardziej atrakcyjnymi kolorami tabletek, stymulującymi pracowitość i kreatywność.

Zobaczył to, kiedy stanął przed biurkiem Jaśka, i natychmiast senność go odeszła.

Rano ludziki Lego na biurku na pewno stały w tym samym układzie co wcześniej: jasna strona Mocy kontra ciemna i jeden szturmowiec pośrodku. Bez zmian. A teraz Vader, Darth Maul, Imperator i załoga Gwiazdy Śmierci ze wzniesionymi do góry rękami otaczali nierównym kręgiem samotnego szturmowca.

I raczej nie wyglądało na to, że chcą mu odśpiewać *Sto lat* i dać tort.

Reszta figurek stała z boku, w sporym oddaleniu i patrzyła w zupełnie inną stronę, jakby podziwiali zachód słońca. Han Solo leżał.

Marcin podrapał się za uchem. Chyba jednak pogada z Matem już dzisiaj. Bo naprawdę przyjemnie byłoby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Upolowanie Mata Chojnackiego okazało się dużo trudniejsze, niż Marcin przypuszczał. Nigdzie nie było go widać, ale musiał być w firmie, bo na ogólnego maila Pomarańczy ciągle przychodziły wiadomości od niego, aktualizujące zmiany w grze po kolejnych spotkaniach. Jak zwykle utrzymane były w duchu braterstwa i bezpretensjonalnej prostoty, do czego Marcin ciągle jakoś nie mógł się przyzwyczaić.

„Od dzisiaj na [review](#) sidequestów ma być obecny cały team questowców. *Benny, bring me everyone. EVERYONE!* Trzymajcie się ramy, to się nie posramy”, „Zdecydowaliśmy, że przerzucamy kolejnych trzydzieści animacji prac postaci na outsource. Yay! Nie wiem, kto za to, kurwa, zapłaci, ale alternatywą byłby pewnie przedwczesny zgon Grześka Z. albo jego paniczna ucieczka małym canoe na słoneczne plaże Santa Monica. Grzesiu, jeśli to czytasz, wolałbym, żebyś zdechł, jeżeli mam wybierać”, „Czy ktoś widział ostatnio Jurka? Nie stawił się na spotkaniu, a przecież wszyscy wiemy, że je uwielbia. Odnaleźć, obudzić, przyprowadzić mi tu. *Schnell, schnell!*”.

W końcu go dopadł w toalecie na pierwszym piętrze.

– Aha! Mam cię! – wykrzyknął tryumfalnie. – Jesteś mi pilnie potrzebny. Teraz.

Mat zwrócił powoli głowę w stronę Marcina i posłał mu spojrzenie spod uniesionych wysoko brwi.

– Obawiam się, że w tej chwili nie bardzo mogę ci pomóc. No chyba, że właśnie gdzieś się pali.

– Yyyy, nie. Ja... poczekam na zewnątrz, aż skończysz.

Mat pokiwał głową i znów zapatrzył się na pisuar.

– Przepraszam, nie chciałem tak na ciebie napaść. Zagalopowałem się trochę, bo szukam cię od dłuższego czasu – tłumaczył Marcin kilka chwil później, jednocześnie nieustępliwie prowadząc Mata do wypatrzonej wcześniej wolnej salki. Gdyby było trzeba, ciągnąłby go za rękaw.

– O co chodzi? – Game director opadł na kanapę i odchylił głowę do tyłu. Potem złapał się lekko za kark obiema rękami i mocno wygiął szyję najpierw w lewo, potem w prawo. Za każdym razem rozległo się głośne chrupnięcie. – Zaczynam serio rozważać zatrudnienie masażysty dla wszystkich na czas crunchu. Po piętnaście minut dziennie każdy. Podobno w Redzie tak robią. No, ale mów. Jakiś problem z tabelkami?

– Nie, z Ritmeijerem.

– O.

Głos Mata wyrażał umiarkowane zdziwienie, ale Marcin wypatrzył w jego oczach błysk, który uznał za dobry znak.

– Jasiek nie pojawił się w firmie, odkąd tu jestem, a to z nim powinienem najściślej współpracować. Mainquesty leżą i chyba nikt nie wie, o czym właściwie robimy grę. Powiem szczerze, że to nie wygląda dobrze. Jak długo chcecie odwlekać decyzję o wyznaczeniu jego następcy?

– Jasiek wróci – powiedział Mat stanowczo.

– A kiedy?

Game director nabrał powietrza do płuc, a potem powoli wypuścił je przez nos. Potarł trzydniowy zarost na wklęsłych policzkach, spojrzał na sufit, na tablicę zabazgraną po spotkaniu z testerami i na drzwi. Niestety, kiedy popatrzył znów prosto przed siebie, dalej siedział przed nim rudy, piegowaty jak indyjskie jajo nowy

producent z wyrazem morderczo dobrej woli w oczach. A jak byłoby pięknie, gdyby zamienił się w kawałek pizzy albo całkiem wyparował.

– To jest tak – zaczął Mat, ale nie dane mu było skończyć.

– Ej, rezerwowaliśmy tę salkę na piętnastą trzydzieści na review nowych kawałków kodu. – Krzysiek stanął w drzwiach z taką miną, jakby był gotowy pojedynkować się o prawa do tego pomieszczenia. – Było już przekładane trzy razy i wystarczy. Wypierdalać.

Niemal jednocześnie pojawił się Jurek Sojda, choleryczny team leader enviro, i przepchnął się przed Krzyśka.

– Co ty se jaja robisz, Chojnacki? Pół nocy nie spałem, pięć minut się teraz zdrzemnąłem, to mnie zrywają z kanapy, bo spotkanie, spotkanie, prędko, bo jaśnie pan dyrektor czeka! Przychodzę, a ciebie nie ma. Jazda, bo nam już tylko pół godziny zostało!

Marcin spróbował się wtrącić.

– To zajmie tylko minutkę...

– Masz spotkanie wbite w kalendarz? – warknął Jurek. – Nie masz. To oddawaj Mata.

– I wypierdalaj.

Marcin stał na korytarzu i patrzył bezsilnie, jak Mat znika za zakrętem. Minęło go całe stado programistów, a potem drzwi od salki zamknięto z bardzo wymownym trzaskiem. Westchnął, pokręcił głową i nagle aż podskoczył, kiedy ktoś znienacka zaszedł go od tyłu i położył mu rękę na ramieniu.

– Do gabinetu. Już – rozkazał Tyrowicz.

– Możesz mi powiedzieć, co ty właściwie wyprawiasz? Mówiłem ci już dwa dni temu: rób swoje i nie siej fermentu. *You have one job*. Tabelki. Jasne?

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Marcin postanowił iść w zaparte.

– Tak? A czego chciałeś od Mata?

– Pogadać.

– To nie klub dyskusyjny! Mamy crunch i Mat musi opanować całe studio, które rozłazi się w szwach jak stare gacie. Wspieram go, jak mogę, ale i tak ma przesrane od rana do nocy. Możesz chyba tyle zrozumieć, że nie ma czasu na jakieś pierdoły.

Ależ się z niego straszna menda zrobiła – pomyślał z zaskoczeniem Marcin. I ja to dopiero teraz widzę. Ta myśl musiała się jakoś odbić na jego twarzy, bo Tyrowicz poczerwieniał lekko i zacisnął usta.

– Chciałem dać ci szansę. Masz nową, fajną pracę, której zazdrości ci cały tłum ludzi.

– Cieszę się – odparł beztrąsko.

– To czemu jej nie wykonujesz? Myślisz, że nie wiem, ile czasu spędzasz przy komputerze, a ile się włączysz po studiu? Tabelki się same nie zrobią!

– Ale one nie mają sensu. Mogę tam sobie wpisywać bzdurne taski, team może je realizować, ale w żaden sposób nie przybliży nas to do zamknięcia designu questów i dialogów. Bo nie możemy tego zrobić bez Jaśka. Właśnie o tym chciałem pogadać z Matem.

Tyrowicz przez chwilę patrzył na niego bez słowa.

– Powinieneś najpierw pogadać o tym ze mną. Nie wiem, jak było w twojej poprzedniej pracy, ale u nas raportuje się do bezpośredniego zwierzchnika. A ty odpowiadasz przede mną, a nie przed Matem. Omijanie mnie w takich sprawach to nielojalność i zwykłe podkładanie świni. Ja to tak widzę. A ty?

– A co byś mi niby powiedział, gdybym pogadał najpierw z tobą o Jaśku? – zapytał Marcin, ignorując jego pytanie, bo zasadniczo widział te sprawy dokładnie tak samo. – Zresztą próbowałem, ale jakoś nie miałem czasu.

– Powtórzyłbym ci to, co mówiłem przed chwilą i dwa dni temu: rób swoje. I tym razem nalegam, żebyś mnie posłuchał. Nie zapominaj, ile mi zawdzięczasz.

Marcin zdziwił się, że nigdy wcześniej jakoś nie zauważył tego baru na Francuskiej. Wąskie, niepozorne drzwi wciśnięte między wystawę sklepu z zabawkami i wejście do pizzerii nie wyglądały wcale zachęcająco, wręcz

przeciwnie. Właśnie dlatego je wybrał. Chciał przez chwilę być sam. Nie mógł już wysiedzieć w pracy, otoczony tłumem tych wszystkich... intensywnych, kolorowych ludzi. Od samego słuchania rozmów na korytarzach miał zawroty głowy i robiło mu się trochę niedobrze, jakby wszedł do popularnej perfumerii. Nie miał też ochoty iść do domu i odpowiadać na życzliwe pytania Olgi, jak było w pracy. Gdyby powiedział, jak jest naprawdę, poużalałaby się nad nim i poradziłaby mu, żeby znalazł wreszcie prawdziwą robotę. A kłamać, że świetnie mu idzie, po prostu nie miał siły.

W środku było pusto. Marcin usiadł przy barze i zamówił duże piwo. Rozejrzał się z dookoła z umiarkowanym zdziwieniem – lokal nie miał żadnego konkretnego stylu ani „tematycznego” wystroju. Najwyraźniej nie był pomyślany jako miejsce, w którym wspomina się zwietrzały czar PRL-owskich gratów, wzdycha do zielonych wzgórz Irlandii, podziwia artystyczne fotografie czy kultywuje snobistyczną, geometryczną ascezę. Krzesła przy barze były zwyczajne, ale dość wygodne, ściany pomalowane na nieagresywny odcień ochry, a podłoga wyłożona prawdziwymi deskami. Lampy dawały przytłumione światło. Nic tu nie przeszkadzało w błogiej konsumpcji napoju bogów – nawet muzyka. Słyszać było tylko szmer piwa lejącego się po ścianie wysokiej szklanki.

Marcin poczuł, że trafił do raj. Może powinien się zaniepokoić (czy takie miejsca naprawdę istnieją? A co jeśli naprawdę umarł, ale że jest crunch, to nawet nie zauważył? Takie przypadki na pewno się zdarzały), ale póki co rozkoszował się tym, że udało mu się uciec na chwilę ze świata Nasty Oranges. Zaczął sobie wyobrażać, że ten bar to coś jak peron dziewięć i trzy czwarte albo raczej pokój życzeń – pojawia się tylko, jeśli naprawdę go potrzebujesz. Magia. Pewnie jutro już nie będzie umiał do niego trafić. Ba, już nawet zapomniał, jak się to miejsce nazywa, a przecież na drzwiach był szyld, pamięta, że go czytał. Nevermore? Neverwhere? Chyba jakoś na „n”.

Piwo było zimne, aksamitne jak *ale*, z wyraźnie wyczuwalną goryczką. Marcin przymknął na chwilę oczy z błogości, a kiedy je otworzył, zobaczył, że barman – wysoki chudzielec z lekko wystającymi zębami – przygląda mu się ze

zrozumieniem i współczuciem. Oparł się o bar od swojej strony i odezwał się poufnym, przyjaznym tonem:

– Ciężki dzień? Znowu wszystko wywalili do kosza i kazali wam zaczynać od początku, jakbyście mieli nie wiadomo ile czasu do premiery? Edytor ciągle się crashuje? Zrobiliście wszystkie taski, a potem okazało się, że to wcale nie było ustalone i klepnięte przez Mata? Producenci piłą i narzekają, bo jednak musicie parę godzin na dobę spać? Team leader enviro znowu dostał szału? Konie dalej wchodzą w ściany, a NPC-e z [community](#) mówią nawet przez sen? Finnley nie [spawnuje się](#) przy wodzie? Testerzy zgłaszają idiotyczne bugi?

Na widok miny Marcina uspokajająco machnął ręką i wydobył spod baru kilka wymiętych kartek A4 spiętych zszywką.

– Rok temu podpisałem NDA dla Pomarańczy. Możesz mówić spokojnie. Jesteś nowy, co? W końcu wszyscy jakoś tu trafiacie. Coś jakby magia. – Barman uśmiechnął się subtelnie.

Po długim, bardzo długim czasie Marcin odzyskał głos.

– A nie przychodził tu czasem Jasiek Ritmeijer?

Danka trenuje

Kiedy szef Danki wszedł o osiemnastej do kawiarni, oczekiwał, że zobaczy ten, co zwykle, ciepły obrazek: czysty, dziewczęcy profil, wyraźny w miodowym świetle nisko zawieszonych lamp, drżącą aureolę nad upiętymi wysoko czerwonymi włosami, nieobecne spojrzenie wielkich oczu, smukłe dłonie obejmujące jakiś tom o apetycznie pożółkłych kartkach. Starał się nie myśleć o Dance jak o jednym z zabytkowych eksponatów zakupionych specjalnie dla podkreślenia nieco tajemniczej atmosfery lokalu, ale przychodziło mu to z trudem.

Tymczasem zastał swoją pracownicę tańczącą na największym stoliku i wymachującą szczotką do kurzu na długiej rączce. Zamrugał i zdał sobie sprawę,

że jej energiczne ruchy nie odpowiadają spokojnemu rytmowi bluesa, który płynął z głośników. To było raczej zamaszyste flamenco albo...

Danka obróciła się z jedną ręką nad głową, a drugą za plecami, zobaczyła go i o mało nie spadła ze stolika. Rzucił się ku niej instynktownie, ale zdążyła sama zręcznie zeskoczyć.

– Co robiłaś? – zapytał ostrożnie. Nie wykluczał możliwości, że Danka jest bardziej ekscentryczna, niż przypuszczał, a wariatów nie należy prowokować.

– Ymmm, pomyślałam, że może odkurzę lampy. Strasznie są brudne.

Oboje zadarli głowy i spojrzeli na obrośnięte delikatnym meshkiem kurzu i niteczkami pajęczyn klosze.

– Rzeczywiście – stwierdził szef uprzejmie, obserwując ją spod oka. Zawsze widział Dankę trochę jako prerafaelicką Elaine i ten jej dzisiejszy zawadiacki uśmiech całkiem mu do tego obrazu nie pasował. Nawet poruszała się inaczej niż zwykle: sprężyście i pewnie, jak akrobatka szykująca się do popisowego numeru. Intrygujące.

Wsadził ręce do kieszeni i niedbałym krokiem podszedł do baru. Zerknął na okładkę książki, która tam leżała, i zaczął się śmiać.

– Czytasz *Trzech muszkieterów*!

Wszyscy razem

Spotkanie w sprawie ustalenia tajnego planu awaryjnego utknęło w martwym punkcie. Była dwudziesta druga, a od pół godziny w salce konferencyjnej panowała niemal całkowita cisza. Mat wpołyślał na kanapie z nogami przewieszonymi przez oparcie i wpatrywał się z dziwnym natężeniem w sufit, Tomek Tyrowicz zorganizował swoim wyznawcom w *Godusie* festiwal szczęścia, Antek Hejdasz – który zawsze miał zacięcie artystyczne – kończył właśnie rysować flamastrem na tablicy ogromnego inkuba w pełnej gotowości, a James Levitt rozłożył się wprost na podłodze i wydawał się drzemać. Wszyscy czekali, aż Mat wreszcie uzna, że już

nic z tego dziś nie będzie i da spokój – albo aż rozwiązanie problemu pojawi się samo, bez ich udziału.

Powietrze w pozbawionej okien salce smakowało jak wygotowany papier, wysuszało śluzówki i gryzło w oczy. Można było je kroić nożem. Klimatyzacja szemrała cicho – na tyle cicho, że mogli słyszeć, jak mózgi z kleistym cmoknięciem zamieniają im się w szarą, rzadką papkę. Siedzenie tam, w zaduchu, beznadziei i marazmie, do niczego nie prowadziło, ale nikt nie chciał powiedzieć tego głośno z szacunku dla rangi problemu, z którym się mierzyli. Mat ziewnął szeroko i potarł zaczerwienione powieki, po czym znów utkwiał spojrzenie w suficie, jakby wypełniał niemiły obowiązek.

Trochę kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że zamiast oczu ma dwa gorące jajka na twardo, ale poza tym wszystko było świetnie. Ach, no poza tym, że Jasiek nie wrócił. Jeśli Ritmeijer chciał go w ten sposób nastraszyć i ukarać, zaiste powiodło mu się.

W jałowej, zatykającej zatoki ciszy wyraźnie rozbrzmiały czyjeś kroki na korytarzu. Mat poruszył się niespokojnie i wyciągnął szyję, tknięty dziwnym przecuciem. Drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich...

Nie, oczywiście nie Jasiek.

– No cześć! – zawołał radośnie Staszek Fraszyński. Obok niego stał ten nowy jasnowłosy tester o rozmarzonym, lekko gapowatym spojrzeniu. Adam, przypomniał sobie Mat.

– A co wy tu jeszcze robicie?

– Pracujemy. – Hejdasz od niechcienia wskazał na swoje malowidło.

– Chyba trochę przeholowaliście dzisiaj. Uch, rany, czym tu tak dziwnie pachnie? – Staszek skrzywił się i potoczył po swoich szefach krytycznym spojrzeniem.

– Tak jakby królikami – odpowiedział Adam uczynnie. – Znaczy, jak sianko u królików w klatkach.

– Mhm, właśnie tak. Dobra, zbierać się, chłopaki, zamykamy tę budę – zarządził Staszek.

– To samo chodziło mi właśnie po głowie. – Mat przeciągnął się, wyciągając daleko przed siebie długie nogi, a potem opadł bezsilnie na kanapę jak szmaciana lalka.

– Zamykamy, czyli wszyscy idziemy na piwo do Level-Upa. No już, jazda, ruszcie te smutne dyrektorskie dupska. Zabawa nie będzie na was czekać!

– Zabawa...

– Idźcie i dajcie nam tu szesznać w spokoju, ok?

– A ty chyba już coś piłeś, co, Staszek? – zapytał podejrzliwie Antek.

– Piłem, ale to dopiero początek. Zgłosiłem dziś siedemdziesiąt bugów i to trzeba porządnie opić! Siedziałem piętnaście godzin! On też. – Wskazał palcem na Adama, który zaczął energicznie kiwać głową, jakby chciał ją strząsnąć z szyi.

– Gratulacje. Pewnie połowa tych bugów poszła do enviro i jutro z samego rana Jurka Sojde chuj jasny strzeli. I przyjdzie z tym do mnie. Dzięki. Idźcie się napić sami, ok? – Tyrowicz zmarszczył brwi i machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – My jeszcze posiedzimy. Jutro nie crunchujemy, więc dziś musimy jeszcze coś z siebie wydusić, bo to ważna sprawa.

– Zapominacie jedną rzecz. – Staszek powiedział to z taką śmiertelną powagą, że wszyscy – łącznie z Jamesem, który nie rozumiał ani słowa po polsku – zdali sobie sprawę, że jest o wiele bardziej pijany, niż im się na początku wydawało. – Zapominacie jedną rzecz – powtórzył z namaszczaniem i uniósł palec do góry. – Musimy się umieć bawić. Robimy tu grę i jeśli nie potraficie się tym cieszyć, to... po co my się męczymy? Po co to wszystko? Musimy się bawić tą grą jak dzieci. O to w tym chodzi.

Przez chwilę panowała cisza.

– Chodźcie. Reszta już czeka przed budynkiem. Idziemy wszyscy razem. Jedno piwo – kusił Adam.

Staszek stał ciągle uroczyście wyprostowany w pozie natchnionego barda i chwiał się lekko.

Mat wstał, ze świstem zasunął zamek w bluzie i rozejrzał się dookoła.

– No, ruszać te dyrektorskie dupska, jak mówi Staszek. Nasz team czeka. Jedno piwo – powiedział surowo, odwracając się w stronę Adama.

– Jedno. Oczywiście. Taka jest umowa. Jedno. Definitywnie.



Rozdział piąty

Sobota 7 grudnia

Dziewczyna o białych włosach

Coś było nie tak. W mieszkaniu panowała gęsta, falująca w rytm oddechu cisza, ale Julka wyczuła tę nieprawidłowość nawet w półśnie, z zamkniętymi oczami. Łódkę, na której dnie leżała, nagle pochwycił nowy prąd rzeczny i wypłynęła spod rozmigotanego w słońcu wodospadu wierzby płaczącej w mlecznoszare światło zimowego poranka. Mimo że zawierciło ją w brzuchu z niepokoju, trudno było jej się przebudzić i zsunęła stopy na podłogę tak ostrożnie, jakby wkładała je do chłodnej wody ze swojego snu.

Zastygła na chwilę, nasłuchując, jak mechanik wyczuwający nieprawidłowy rytm pracy silnika. Nie usłyszała nawet szmeru, ale wiedziała, że ma rację.

Ciekawe, czy to będzie zimna suka. Julka miała swoją teorię na temat tego rodzaju kobiet. Nie łączył ich podobny wygląd, ale często miały paznokcie pomalowane na czerwono i lubiły pokazywać się w bardzo obcisłych sukienkach, jakby chciały nakreślić wyraźną linię między sobą a resztą świata. Były... no, chłodne i sukowate, pewne siebie, wyrachowane, cyniczne i nigdy nie cofały się przed konfrontacją – wręcz jej wyczekiwały. Nadepnij takiej na palec, to wyrwie ci rękę. Julka potrafiła rozpoznać ten typ na pierwszy rzut oka – jej najlepsza przyjaciółka Sara zapowiadała się na niezłą młodą zimną sukę, a drzemiące w niej

pokłady bezinteresownej wrogości wzbudzały w Julce szczerzy podziw. Najważniejsza rzecz, jeśli chodzi o zimne suki – lepiej je mieć po swojej stronie. Zimna suka, która ci ufa (trudna sprawa), będzie stać za tobą murem, nawet jeśli nie masz racji, gotowa wyrywać ręce wszystkim twoim wrogom (lub ludziom, którzy mają inne zdanie albo krzywo na ciebie spojrzeli w sklepie).

Cieężko jednak wierzyć, że zimna suka, która zaraz wyjdzie z sypialni ojca, miałaby w jakikolwiek pokrętnie metaforyczny sposób stanąć po stronie jego dwunastoletniej córki.

Julka westchnęła lekko, po czym ubrała się starannie i bez pośpiechu, chociaż poczucie czyjejs obecności drażniło ją, jakby ktoś fałszował, grając sonaty Bacha. Wybrała kremowy sweter, wiązany przy szyi jedwabną szeroką wstążką, i czarną spódniczkę – o wiele za elegancką na sobotni poranek w domu, ale jeśli to rzeczywiście miała być zimna suka, należało zadbać o właściwe wrażenie.

Zdażyła jeszcze umyć zęby i spleść włosy w prowokująco poważny francuski warkocz, zanim drzwi pokoju ojca uchyliły się cicho i wolno.

To zdecydowanie nie była zimna suka. Miała na sobie zmiętą i rozchełstaną koszulę w kratę, spod której wyglądała biała koszulka z logo *BioShocka*, i zupełnie zwyczajne dzinsy – strój, w którym zimna suka nie pokazałaby się nawet własnemu dziadkowi. Odgarnęła włosy z twarzy, przetarła zaspane oczy przedramieniem i dopiero wtedy zauważyła stojącą w przedpokoju Julkę.

– Oj... Mat nie mówił, że ma córkę – wyrwało jej się.

Julka miała na końcu języka, że o niej też jakoś nigdy nie wspominał, ale uznała, że na razie da spokój, bo ta istota w zmiętej koszuli ją zainteresowała. Miała niebieskie oczy, miłą owalną twarz, proste włosy zafarbowane na biało i była absolutnie, ale to absolutnie nie w typie jej ojca. Być może to powinno Julkę dodatkowo zaniepokoić, ale póki co wygrywała ciekawość.

– To trochę niezręczna sytuacja – powiedziała dziewczyna, lecz nie zabrzmiało to przepraszająco ani wstydliwie. Stała z rękami opartymi na biodrach, lekko zakłopotana, ale spokojna. – Zaraz sobie pójdę.

– Pracujesz w Pomarańczach? – zapytała Julka, chcąc przedłużyć rozmowę. Nie chciała, żeby tamta rzeczywiście sobie poszła, zanim nie wyciągnie z niej jakichś informacji.

– Nie, w Piotrusiach – odparła dziewczyna i parsknęła cicho śmiechem. – Rany, ale to zabawnie brzmi.

– Czyli w Neverland Studios, tak? – upewniła się Julka. – A gdzie się poznaliście?

– W Level-Upie. – Wzruszyła lekko ramionami. Nie wyglądała na specjalnie przejętą tym obcesowym przepytывaniem.

– No tak – mruknęła Julka.

Jej głos musiał zabrzmieć bardzo ponuro albo znacząco, bo niebieskooka znowu prychnęła śmiechem.

– Słuchaj, naprawdę już mnie tu nie ma, ale czy mogłabym najpierw skorzystać z łazienki? – Spojrzała na nią pytająco spod białej grzywki.

– Oczywiście – powiedziała Julka i dyskretnie wskazała jej właściwe drzwi. Sama poszła do kuchni i pokręciła się tam trochę bez sensu. Zajrzała do lodówki, przestawiła taboret pod okno i odłamała uschnięty listek gardenii. Bezwiednie kruszyła go w palcach, zastanawiając się, o co jeszcze zapytać nieznajomą. Na więcej niż jeden strzał nie mogła pewnie liczyć.

Niespodziewanie szybko szcęknęła zasuwka i zanim Julka się zorientowała, dziewczyna już stała w korytarzu i zdejmowała z wieszaka swoją kurtkę, gotowa do wyjścia. Julka stanęła w drzwiach kuchni i wypaliła:

– Zjedz ze mną śniadanie.

Dziewczyna z białymi włosami odwróciła się, zdziwiona nie mniej niż sama Julka, która wcale nie zamierzała nic takiego powiedzieć. Co gorsza zabrzmiało to dziwnie prosząco i biednie. Ale może właśnie dlatego tamta się zawahała. Julka przełknęła dumę i dodała:

– Proszę. On się nie obudzi jeszcze przez jakieś dwie godziny.

Dziewczyna przez chwilę stała niezdecydowana, a potem kiwnęła głową i uśmiechnęła się konspiracyjnie. Kiedy weszła do kuchni i rozejrzała się po ścianach obwieszonych półkami i kolorowymi kubkami, Julka nagle poczuła się skrępowana. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przez chwilę szukała gorączkowo w głowie czegoś neutralnego albo lepiej: błyskotliwie podchwytliwego, a potem postanowiła jednak postawić na konkret.

– Omlet czy jajecznica? – zapytała, ujmując patelnię jak raketę tenisową.

– A z czym ten omlet? – zainteresowała się dziewczyna.

– Hmm... Z kozim serem, papryką i yy, kaparami? – zaproponowała Julka po zlustrowaniu stanu lodówki.

– Bosko. Mogę pokroić ser. A tak w ogóle jestem Marta.

Ojciec wstał, zanim Julka zdążyła wyciągnąć z Marty cokolwiek na temat ich znajomości, ale tak czy inaczej nie zapowiadało się, że dojdą do tego tematu. Julka chciała trochę zwolnić tempo i porozmawiać chwilę o jakichś głupotach, a potem przystąpić do frontalnego ataku, ale skończyło się na tym, że najpierw opowiedziała Marcie wszystko o swojej wrednej nauczycielce ze szkoły muzycznej, a potem siedziała zasłuchana w anegdoty o jej licznych młodszym rodzeństwie.

Przyglądała się jej wyrazistej twarzy i zastanawiała się, dlaczego od razu uznała, że ojciec nigdy by się nią nie zainteresował. Nie była idealnie piękna, ale na pewno atrakcyjna. Julce podobały się jej drobne, jasne piegi i gęste włosy do ramion obcięte tak idealnie równo, że wyglądały jak peruka. Nie wiedziała, jak to wyrazić, ale gdyby Marta była bohaterką cyberpunkowego shootera, Julka grałaby w to bez przerwy. Mimo wszystko jednak trudno było jej uwierzyć, że ojciec zwróciłby na nią uwagę. Czegoś jej brakowało... Julka zmarszczyła brwi, próbując uchwycić tę niewyraźną myśl, i zaraz potem się rozjaśniła. To było to.

– Co? – zagadnęła ją Marta i wpakowała sobie do ust kolejną czekoladkę z bombonierki, którą Julka w przyływie hojności postanowiła się z nią podzielić.

– Nic, nic. Zamyśliłam się. Mów dalej – poprosiła.

– No więc moi durni bracia założyli się... – ciągnęła Marta, rozgryzając karmelowe serduszko. – O rany, ale to dobre. Założyli się, kto zajdzie dalej po zamrzniętym jeziorze...

Julka słuchała jej jednym uchem. Marcie niewątpliwie brakowało cechy, którą jej ojciec cenił w kobietach najbardziej – zdolności do bezkrytycznego podziwu. Próbowwała sobie wyobrazić wizję, w której ojciec opowiada z ożywieniem coś, z czego jednoznacznie wynika, jaki to jest, prawda, zajebisty, a Marta... no właśnie, Marta pewnie prychnęłaby po swoim. Kolejny dowód, że nie była zimną suką. Te opanowały do perfekcji sztukę przekonującego udawania, a w krytycznych chwilach roztaczały aurę tajemniczości, co jej ojciec przetłumaczyłby sobie na: ona podziwia mnie skrycie.

Julka ukryła uśmiech za dłońią i ponownie skupiła się na opowieści Marty, która właśnie zmierzała do puenty.

I właśnie wtedy, z charakterystycznym dla siebie brakiem wyczucia, w drzwiach kuchni stanął jej ojciec. Wyglądał na całkowicie zbitego z tropu i nie do końca rozbudzonego. Julka popatrzyła na niego z mieszaniną czułości i pobłażliwego rozbawienia, a potem zerknęła na Martę, ciekawa jej reakcji. Ojciec na kacu, z zapłyniętymi od snu oczami, oklapniętymi włosami i tępą miną na pewno wyglądał zupełnie inaczej niż w przeciętym neonami, przychylnym półmroku Level-Upa. Zwłaszcza, jeśli w grę wchodził alkohol.

Marta spięła się wyraźnie i odłożyła na stół widelec, którym się dotąd bawiła. Atmosfera zgęstniała. Julka poczuła, że żołądek znowu jej się ściska, ale postanowiła nie dać nic po sobie poznać.

Ojciec otrząsnął się, bez słowa wielkimi krokami podszedł do Julki i położył jej rękę na ramieniu obronnym gestem. Marta zagryzła lekko wargi, odsunęła krzesło od stołu i wstała.

– Teraz naprawdę powinnam już iść. Dzięki za śniadanie. Cześć, Mat.

Chwilę później drzwi do mieszkania zamknęły się cicho.

Julka i jej ojciec trwali przez chwilę w bezruchu, jakby odgrywali ostatnią scenę jakiegoś dramatu Czechowa. Potem Mat westchnął cicho i opadł na krzesło obok niej. Julka milczała twardo, a on wyraźnie się zbierał, żeby coś powiedzieć. Możliwe, że miał nawet ochotę ją skarcić, ale był zbyt inteligentny, by się tak podłożyć (gdyby nie był, Julka miałaby dla niego o wiele mniej sympatii).

– O czym rozmawiałyście? – zapytał w końcu.

– O różnych rzeczach. Nie o tobie – odparła lekko Julka.

– Mhm – mruknął Mat i nie odezwał się przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej skończyły mu się pomysły. Zmierzył spojrzeniem resztki śniadania na stole i uśmiechnął się łaskawie do bombonierki.

– Znowu zachomikowałaś jakieś słodczyce i na dodatek nie chciałaś się podzielić ze starym ojcem? – westchnął i pokręcił ze smutkiem rozczochraną głową.

Julka sięgnęła po ostatnie karmelowe serduszko i podsunęła mu pudełko.

– Masz. Zostały same orzechowe – powiedziała mściwie.

Zasadzka

Biurko Ritmeijera było tak wielkie, że wręcz zapraszało, by się pod nim schować, ale po jakimś czasie Marcinowi zrobiło się tam bardzo, bardzo niewygodnie. Zacisnął zęby i uzbroił się w cierpliwość.

Ten, kto przestawiał ludziki Lego, musiał to robić w porze lunchu, kiedy wszyscy byli albo w kantynie, albo w kuchni. Marcin pokazał się tego dnia na pierwszym piętrze dość wcześnie, a potem od razu poszedł na górę i wlaź pod Jaśkowe biurko. Zakładając, że ten tajemniczy ktoś nie obserwował pokoju creative directora przez cały czas, zasadzka mogła się udać.

Z cichym stęknieniem zmienił odrobinę pozycję prawej nogi, która całkiem już zdrętwiała, i spróbował odgonić natrętne myśli. Na przykład, że to idiotyczne. No bo co – wyskoczy spod biurka, powie tryumfalnie: „Aha!” i okaże się, że to na

przykład hm, pani Jagoda z nudów przestawiała sobie figurki. No, to zresztą nie byłaby taka najgorsza opcja – lepiej zrobić z siebie kretyna przed nią niż na przykład przed Matem czy Tomkiem.

Coś mu jednak podpowiadało, że załoga *Star Wars* jest ustawiana w kolejne układy nieprzypadkowo, że to jakaś wiadomość – i to przeznaczona dla niego. W dodatku przeczuwał, że ten, kto to robi, świetnie się przy tym bawi. I dlatego jest szansa, że znów tu przyjdzie. W sobotę mógł nawet czuć się bardziej bezpiecznie, bo jako producent teoretycznie w weekend nie miał w studiu nic do roboty.

Westchnął i spróbował rozluźnić mięśnie karku.

Do pory lunchu zostały jeszcze dwie godziny.

Drzwi do pokoju Jaśka Ritmeijera otwały się powoli. Ktoś wszedł. Marcin, półżywy z nudów i obolały, zastygł bez ruchu i czekał, co będzie dalej. Że też nie umógł się pod biurkiem tak, żeby siedzieć głową w stronę drzwi – wtedy miałby chociaż widok na buty. Teraz oczywiście nie dałby rady się przekręcić. Nagle zaczął się obawiać, że tak zdrętwiał, że w kluczowym momencie nie będzie w stanie wygramolić się spod biurka, tylko narobi łomotu i zwierzyna mu ucieknie, zanim zdąży ją choćby zobaczyć. Wyrównał oddech, spał, a potem rozluźnił wszystkie mięśnie. O rany, chyba naprawdę zdrętwiał na amen. Dobra, spokojnie. Porusz dużym palcem. Porusz dużym palcem.

Tymczasem nieznajomy osobnik podszedł bliżej i nachylił się nad biurkiem. Nie wydawał prawie żadnych dźwięków. Powietrze wypuszczane przez nos, lekkie szuranie dżinsów – tyle. Cichy stuk plastiku o blat.

Nie było już na co czekać. Marcin wziął głęboki oddech, jakby zamierzał wskoczyć do wody, zwinął się w kulkę i jednym gwałtownym ruchem wytoczył spod biurka. Natychmiast się rozprostował i wstał.

– Aha! – wykrzyknął tryumfalnie, po czym zgiął się w pół, złapał za plecy i jęknął.

Nie nadawał się teraz do żadnych pościgów, więc dobrze się złożyło, że osoba, która stała przed nim z księżniczką Leią w ręce, zastygła ze zdumienia. Ja bym chociaż krzyknął, pomyślał Marcin, krzywiąc się i rozcierając sobie krzyże. Patrzył, jak odkłada ludzika na biurko i bez słowa zaplata ręce na piersi jak wyniosły Indianin. Wyglądało na to, że nie zamierza się odezwać, więc to Marcin przerwał ciszę.

– No dobra. Przyznaję. Nie ciebie się spodziewałem.

Wszyscy jesteście nienormalni

O pierwszej w nocy siedziba Nasty Oranges wyglądała nieprzyjaźnie i ponuro, pomimo że prawie we wszystkich oknach paliło się światło. Na ulicy było przeraźliwie cicho i przez to jasno oświetlone pokoje budziły dziwne widmowe wrażenie.

W którymś z nich musiał być Krzysiek.

Danka ścisnęła w ręce kartę magnetyczną, wbiegła na zarośniętą cieniami drzew ścieżkę i przemknęła do drzwi. Nacisnęła klamkę na próbę.

Były otwarte. Przeszedł ją dreszcz. Jak to możliwe, że nie zamykali ich na klucz? Zupełnie, jakby prosili się, żeby ktoś niepowołany dostał się do środka. A może byli na to przygotowani? Uchyliła ostrożnie drzwi i przez szparę zajrzała do środka, w każdej chwili gotowa wziąć nogi za pas. Ba, była gotowa nawet przesadzać płoty i skakać w krzaki, byle jej tylko nie złapali.

W holu nikogo nie było. Droga wolna. Obejrzała się niespokojnie na garbaty księżyc, odcinający się od dziwnie nierzeczywistej czerni grudniowego nieba. Właśnie przepływała przez niego poszarpana chmura, cienka i długa jak rozwleczony całun.

Teraz powinna zahukać sowa – pomyślała Danka, ale albo nie było żadnej w okolicy, albo totalnie brakowało im wyczucia dramatyzmu.

Zacisnęła zęby, odchyliła skrzydło drzwi na tyle, żeby się zmieścić, i wkroczyła na terytorium wroga.

Na kontuarze recepcji stał duży kubek z logo Nasty Oranges – ktoś musiał postawić go tam przed chwilą, bo unosił się nad nim obłoczek pary.

Danka rozejrzała się podejrzliwie dookoła, ponasłuchiwała, ale wyglądało na to, że ochroniarz zrobił sobie herbatę i poszedł albo do łazienki, albo na obchód budynku. To znaczyło, że jeśli będzie czujna jak lampart i szybka jak kobra, może jej się udać go ominąć. A gdyby nawet na niego wpadła, może się okazać, że to dobroduszny weteran z drugą grupą inwalidzką, który może nawet uwierzy, że weszła tu przypadkiem – w długim czarnym płaszczu, męskim kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy i ciemnych okularach – i się zgubiła.

Jeszcze raz zerknęła na parujący kubek herbaty. Ta scena kojarzyła jej się z jakąś ponurą baśnią, ale nie pamiętała z którą.

Podeszła do bramki i przysunęła kartę do czujnika. Rozległ się cichy brzęczyk i droga do przegniłego serca Nasty Oranges stanęła przed nią otworem.

Odczekała jeden dzień, zanim wybrała się na akcję – Krzysiek nawet się nie zająknął o tym, że zgubił kartę, więc najwyraźniej nie podejrzewał, że to ona wyciągnęła mu ją ukradkiem z kieszeni.

Szybko doszła do wniosku, że ciemne okulary to jednak kiepski pomysł – już po kilku krokach wpadła na stertę jakichś kartonów (po zapachu poznała, że to pudełka po pizzy. W takim razie przynajmniej ta część opowieści Krzyśka o crunchu okazała się prawdziwa).

Doskonale sprawdziły się za to mięciutkie baletki, które przywiozła ze sobą w plecaku i włożyła jeszcze na ulicy – mogła się poruszać całkowicie bezszelestnie. Wsadziła okulary do kieszeni płaszcza, przestąpiła nad pudełkami i zakradła się do drzwi pierwszego pokoju na lewo. Siedziało w nim dwóch chłopaków, obróconych tyłem do wejścia. Obaj mieli na uszach wielkie słuchawki i garbili się pracowicie nad klawiaturą. Danka uznała, że nawet gdyby walnęła

pięścią w przeźroczyście drzwi, nic by nie usłyszeli. Pokrzepiona tym, nieco śmieiej sprawdziła pozostałe pokoje.

W żadnym z nich nie było Krzyśka. Zajrzała też do pomieszczeń, gdzie nie paliło się światło – te były z jej perspektywy najbardziej podejrzane. Poświeciła sobie kieszonkową latarką, ale najwyraźniej nie odbywały się tam żadne orgie. Fotele skupiły się na środku pokoju, jakby spiskowały w sprawie złośliwego elektryzowania się, a milczące monitory patrzyły na siebie ponuro. Dance ten cały drogi, starannie dobrany sprzęt wydawał się samotny i bezbronny – jak czyjaś opuszczona na zawsze sypialnia. Każdy mógł tu wejść i porozbijać to wszystko młotkiem albo oblać farbą. Mieli szczęście, że nie czytała akurat *Mistrza i Małgorzaty*.

Już miała się cofnąć na korytarz, kiedy usłyszała czyjeś kroki. Wyłączyła szybko latarkę i przyczaiła się w ciemności. Rozsądniej byłoby się schować za jakimś biurkiem, ale ciekawość była silniejsza.

Po rytmie kroków poznała, że to nie Krzysiek – ktoś szedł sobie całkiem rażno, pogwizdując pod nosem. Jakiś niewysoki brunet, którego twarzy oczywiście nie rozpoznawała, minął pokój, gdzie się ukrywała, i wszedł do innego, jasno oświetlonego. Po chwili znów się pojawił i w podskokach ruszył z powrotem, wesoły jak szczygieł – zupełnie jakby wybierał się na randkę, a nie wracał do biurka, za którym spędził już pewnie kilkanaście godzin. Zanim zniknął, Danka zauważyła, że ma na plecach logo gry *Wiedźmin*. Wyszła na korytarz dopiero, kiedy usłyszała, że wbiega po schodach na piętro.

Powoli pokręciła głową – tu musi się dziać coś naprawdę dziwnego. Przystanęła na chwilę niezdecydowana, ale nie było wyjścia: jeśli rzeczywiście chciała poznać mroczny sekret Nasty Oranges, musiała pójść na górę.

Odetchnęła głęboko, wcisnęła mocniej kapelusz na głowę i zaczęła się skradać w kierunku schodów.

Nie miała konkretnego planu działania i nawet nie chciała myśleć, co powiedziałaaby Krzyśkowi, gdyby ją przyłapał myszkujejącą po nocy w jego pracy.

Przygotowując się do infiltracji, przez cały czas skupiała się na tym, czy w ogóle uda się tam dostać niepostrzeżenie, czy trzeba będzie wkradać się przez okno w łazience i jakie właściwie wymiary ma taka mała rama okienna. Miała nadzieję, że jeśli już wejdzie do środka, samo przetrząśnięcie studia i przekonanie się, co naprawdę Krzysiek robi tam po nocach, będzie stosunkowo łatwe. Teraz nie była już taka pewna.

Schody w zetknięciu z gładkimi podeszwami baletek okazały się zdradliwie śliskie, więc Danka wspinała się na nie powoli jak ślimak.

Poczuła, jak bardzo jest spięta, dopiero kiedy od zaciskania zębów rozboleły ją szczęki. Między łopatkami załaskotała ją spływająca powoli kropla potu – w budynku było dość ciepło, nawet duszno, a płaszcz grzał niemiłosiernie. Założyła go, bo sądziła, że nawet jeśli Krzysiek ją nakryje, jest szansa, że jej nie rozpozna, bo zobaczy tylko jakąś postać zasłaniającą twarz podniesionym kołnierzem. Jakie było prawdopodobieństwo, że nie pozna własnego zimowego płaszcza, wołała nie rozstrzygać. Mocnym punktem był kapelusz, nowiutkie borsalino z szerokim rondem, który kupiła specjalnie na tę okazję.

Schody skończyły się i Danka z bijącym sercem stanęła na podeście pierwszego piętra. Świetlówki były zapalone tylko w głębi korytarza, a część dzielącą ją od pierwszych drzwi skrywał półmrok. Po lewej rysowała się w nim przysadzista sylwetka automatu z batonikami i niski, podłużny kształt pod ścianą – chyba kanapa. Danka podeszła kilka kroków bliżej i zdała sobie sprawę, że ktoś tam śpi.

To mógł być Krzysiek, ale trudno było rozpoznać owiniętą śpiworem, niewygodnie powykręcaną sylwetkę. Chwytając bezgłośnie powietrze w uchylone usta, zbliżyła się na palcach i pochyliła nad śpiącym. Jak na złość głowę też miał okrytą i nie widziała ani włosów, ani twarzy. Jeśli to Krzysiek, który zwykle śpi kamiennym snem, mogła sobie pozwolić na odsunięcie brzegu śpiwora. Przygryzła wargę i wyciągnęła rękę.

Nie zdążyła go nawet dotknąć. Skulona postać poruszyła się i nagle niespodziewanie podniosła, niemal przyprawiając Danke o atak serca.

Dziewczyna szarpnęła się do góry. Przy tym gwałtownym ruchu spadł jej kapelusz, a uwolnione spod niego włosy spłynęły kaskadą w dół. Owinięty śpiworem ciemnowłosy chłopak – zdecydowanie nie Krzysiek – wytrzeszczył na nią oczy, a potem zdumiony wymamrotał:

– Avery?

Danka odskoczyła jak ukąszona. Nagle cały jej przestrach zamienił się w zimną, zduszoną furję.

– Wy wszyscy jesteście nienormalni! – krzyknęła mu w twarz i rzuciła się do ucieczki.

Przypomniała sobie, że schody są śliskie, dopiero kiedy straciła równowagę i zleciała z nich na łeb na szyję. Uderzyła mocno krzyżami o któryś stopień, ale na dole pozbierała się błyskawicznie i pobiegła w stronę holu. Na szczęście nie zgubiła karty – trzęsącymi się rękami wysupłała ją z kieszeni płaszcza, otworzyła bramkę i popędziła do wyjścia. Tym razem ktoś tam był i nawet zawołał coś za nią, ale Danka tylko przyspieszyła. Wypadła na ulicę i z kozaczkami podskakującymi w plecaku pobiegła w cienkich baletkach w noc.

Na pierwszym piętrze bardzo zdziwiony i zaintrygowany Wojtek Mazurek potrząsnął głową, żeby się upewnić, że nie śpi, po czym schylił się po kapelusz leżący na podłodze.

Idealne miejsce

Ciało Jaśka Ritmeijera unosiło się samotnie na wodzie, bladym brzuchem do góry, jak śnięta ryba.

W jego nieruchomych, szeroko otwartych oczach odbijało się niebo, a zanurzone płytko włosy otaczały głowę niczym falująca plama krwi. Był prawie nagi, ale zastygły na jego twarzy spokój sprawiał, że nie wyglądał komicznie, tylko dziwnie dostojnie, jak męczennicy na obrazach Mantegny.

Dookoła nie było żywego ducha. Ciszy nie zakłócał nawet powiew wiatru.

To było idealne miejsce. Możliwe, że nikt tu nie przyjdzie jeszcze przez wiele dni.



Część druga

Szaleńcy i dranie

Mężczyzna-cywil: Nigdy nie zatrudniaj artysty, drogi przyjacielu! To ludzie gwałtowni i nie można na nich polegać.

Pucybut: Aha.

Mężczyzna-cywil: Mówiłem mu, że park ma ogromne opóźnienia... Projektowanie jest w połowie ukończone, rzeźby nie dotarły, fontanna jest pełna deszczówki. Na Boga... nawet nagietki nie zostały jeszcze zasadzone. Wszystko to powinno być zrobione wiele miesięcy temu.

Pucybut: Aha.

Mężczyzna-cywil: Wiesz, co mi powiedział? Że jest „zmęczony”. Że praca wiele go kosztowała. Powiedziałem mu: „Dobry Boże, chłopie, nie gadaj mi tu o szczegółach!

Po prostu to zrób!”.

BioShock Infinite, Irrational Games 2013



Rozdział szósty

Poniedziałek 9 grudnia

Sygnaly

Marta całą noc grała w *Assassin's Creed IV. Black Flag* i dlatego kiedy o ósmej zadzwonił budzik, wyłączyła go, głęboko przekonana, że piraci nie chodzą na dziewiątą do pracy. Koło dziesiątej ponownie rozważyła tę sprawę i zdecydowała się wreszcie wstać. Lekko się zataczając, podreptała na bosaka do kuchni, skąd przyniosła kawę w dużym kubku i miseczkę płatków z mlekiem. Wskoczyła z powrotem do ciepłego łóżka, ułożyła sobie laptopa na kolanach i sprawdziła, czy świat ciągle istnieje, a przynajmniej co się na ten temat mówi na Facebooku. Chwilę potem o mało nie opluła sobie kawą pizamy.

Wiadomość od Julki Chojnackiej. Zanim ją przeczytała, starannie zbadała sprawę. Wiadomość tak, ale zaproszenie do grona znajomych nie. To chyba dobry znak? Hmm. Dziecko albo stara się być taktowne, albo wiadomość będzie pełna starannie wyważonej ironii, dobrze zakamuflowanej pod pozorami uprzejmości. Julka może nie wyglądała na żołą, ale na pewno jest mocno związana z ojcem, chociaż próbowała obrócić to w żart. Chce go chronić przed nieodpowiednimi znajomościami? Ale z drugiej strony, myśli chyba na tyle trzeźwo, żeby zadać sobie pytanie, czy jest coś, co byłoby nieodpowiednie dla Mata.

Jak ją znalazła? Mat jako zblazowany guru nie potrzebuje Facebooka, ona i Julka nie mają wspólnych znajomych, a chociaż profil Marty jest podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem, mała nie mogła go znać (chyba, że go zapytała?), a jako zdjęcie profilowe ma ustawiony obrazek z *Księżniczki Mononoke*.

W końcu Marta musiała przyznać sama przed sobą, że tchórzy. Kliknęła w miniaturową ikonkę, z której spoglądały na nią ciemne oczy Julki.

„Hej, Marta. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że do Ciebie piszę. Bardzo fajnie mi się z Tobą rozmawiało. Nie dokończyłaś mi tej historii o Twoich braciach i zamrzniętym jeziorze. Pozdrawiam, Julka”.

Uff. Czyli nie chodziło o nic ważnego. Po prostu chciała być miła.

Marta szybko wystukała jedną ręką odpowiedź, drugą pakując sobie rozmoknięte płatki do ust.

„Hej, Julka. Obaj przeszli na drugą stronę i kiedy już się ucieszyłam, że nie będę musiała wyjaśniać rodzicom ich nagłej śmierci albo chociaż zapalenia płuc, te dwa matolki pochwaliły się tym wspaniałym wyczynem i to ja dostałam szlaban na telewizję na miesiąc, bo nie upilnowałam smarkaczy. M.”

Kliknęła „Wyślij” i odłożyła mokrą od mleka łyżkę na nocny stolik. Jutro posprząta (albo nie).

Już miała zamknąć laptopa, kiedy nadeszła odpowiedź – po niecałej minucie. Czy ta mała nie powinna teraz być w szkole?

„Ok, dzięki. J.”

Marta, która już chciała wstawać i szukać jakiegoś niewymiętego ubrania na dziś, znów opadła na łóżko i rozczochrała sobie włosy niecierpliwym gestem. Jeśli długość tej drugiej wiadomości sama w sobie była jakimś przesłaniem, to na tyle subtelnym, że Marta miała pełne prawo je zignorować.

Pokręciła głową, syknęła z niezadowoleniem i położyła palce na klawiaturze. Przez chwilę przebierała nimi lekko, a potem nagle się zdecydowała i wystukała:

„W ten czwartek o osiemnastej w Neverlandzie mamy wieczór planszówek. Będzie też *Neuroshima Hex* – mówiłaś, że lubisz. Chcesz wpaść? Rzeźnicy ze

starej gwardii zawyżają średnią wieku, ale pod względem dojrzałości emocjonalnej i tak będziesz przewyższać większość z nich. *Fun!* To jak? Marta”.

Odpowiedź znów nadeszła niemal natychmiast.

„Świetnie! :-) :-) :-) Armia zcyborgizowanego mutanta Borgo charyzmatycznie rozjedzie ich jak mitsubishi żabę na czteropasmówce. Wyślij mi swój numer, to zadzwonię, kiedy będę na ulicy, wiem, jak trafić. Do zobaczenia! Julka”.

Marta uśmiechnęła się szeroko i z czystym sumieniem zamknęła laptopa. Dopiero pół godziny później, kiedy wybiegała z mieszkania z wilgotnymi włosami i w rozpiętej kurtce, przyszło jej do głowy, że być może nie powinna się tak cieszyć, skoro właśnie zrobiła coś bardzo głupiego.

– Sara?

– Aye!

– Słuchaj, gdyby w czwartek wieczorem zadzwonił mój ojciec i pytał o mnie, powiedz, że jestem u ciebie, ok?

– Dobrze wiesz, że nie zadzwoni – powiedziała rozsądnie Sara. – On nigdy nie dzwoni. Prędzej twoja mama.

– Jej nie powiem wcale, że gdzieś wychodzę.

– Słusznie. No dobrze, to gadaj, o co chodzi. Zauważ, że wytrzymałam całe pół minuty niepewności. Jak on ma na imię i czemu ja nic nie wiem?

Julka uśmiechnęła się szeroko, przyciskając telefon do ucha.

– Daj spokój, nie umówiłam się z żadnym chłopakiem.

– Szlag, prawie mnie nabrałaś tym szczerym tonem. Idziecie gdzieś na miasto? Tylko nie mów, że zaprosił cię do siebie. Co będziecie robić?

– Grać w planszówki – odpowiedziała z głęboką satysfakcją.

– Julka, nie wygłupiaj się! Pamiętaj, że masz dwanaście lat i trzy miesiące. – Sara naprawdę zaczęła panikować. – To ja jestem starsza! Nie możesz mi tego zrobić!

Julka westchnęła. Oczywiście bardzo chciała opowiedzieć Sarze wszystko ze szczegółami, ale z drugiej strony wiedziała, że spowoduje to lawinę niewygodnych, acz pewnie uzasadnionych pytań. Z trzeciej strony Sara – rasowa zimna suka – pewnie będzie trochę o Martę zazdrosna. No cóż, to jeszcze nikomu nie zaszkodziło, prawda?

– No dobra – westchnęła i opowiedziała jej wszystko.

– Czekał, niech ja to dobrze zrozumie... Umawiasz się z kochanką swojego ojca w tajemnicy przed nim? – Sara wyraźnie miotła się między pełnym dystansu niedowierzaniem a dziką radością z nowej afery.

– Zaraz tam kochanką. Raz się z nią przespał – odpowiedziała lekceważąco Julka.

– Skąd wiesz? A zresztą, wszystko jedno. Słuchaj, a nie masz ty czasem jakiegoś freudowskiego czegoś? No wiesz, że ojciec i tak dalej? Może jesteś o niego tak zazdrosna, że chcesz tę Martę bliżej poznać, żeby być taka jak ona?

– Ło! ło! prrr, stój! Ale daleko zajechałaś! – zaśmiała się Julka, ale trochę bez przekonania. – Ojciec wcale nie jest nią aż tak zainteresowany. Mówię ci, że kiedy wszedł do kuchni, rzucił jej takie mordercze spojrzenie, że...

– Spojrzenia spojrzeniami, ale jednak się spiknęli. Znaczący: jest coś na rzeczy – przerwała jej Sara.

– Albo było. Może się rozczarowała? – zasugerowała Julka i obie wybuchły piskliwym, dziewczęcym śmiechem.

– No dobra, to jaka ona jest? – zapytała po chwili Sara całkiem poważnie. – Chyba nie zmokła kura?

To była kolejna kategoria kobiet, którymi Mat mógłby być ewentualnie zainteresowany. Julka zdecydowanie przedkładała zimne suki nad zmokłe kury, bo te pierwsze przynajmniej miały klasę i jeśli już wbiły jakąś szpilę, to tak, że piekło przez tydzień. Zmokłe kury nawet nie próbowały niczego wbijać – trzepotały tylko idiotycznie, pokazując, jakie to są nieszkodliwe, a bezkrytycznego podziwu wobec Mata oczywiście wcale nie musiały udawać. Julka raz natknęła się na taką

w kuchni, kiedy wróciła z letniego obozu. To nieszczęsne stworzenie na jej widok prawie dostało ataku serca i chociaż było w pełni ubrane, odruchowo zakryło rękami piersi. Julka była tak zniesmaczona, że poszła do swojego pokoju i nie wychodziła z niego, dopóki tamta sobie nie poszła. Brrr.

– Nie, na pewno nie zmokła kura – powiedziała z przekonaniem Julka. – Właściwie sama jeszcze nie wiem, co o niej myśleć. Dlatego muszę zbadać sprawę dokładniej, rozumiesz?

Po drugiej stronie Sara westchnęła tak ciężko, że Julkę aż załaskotało w uchu.

– Dobra, jeśli jakimś cudem twój ojciec zadzwoni w czwartek, powiem, że jesteś u mnie, gramy w *Lineage* i absolutnie nie możesz teraz rozmawiać.

– Dzięki.

– Tylko, Julka...

– Hm? – rzuciła ostro, bo wychwyciła w głosie Sary jakieś rzewne, kiślowate nuty.

– To na pewno dobry pomysł? Żebyś nie miała potem jakiejś traumy albo czegoś. Nie chcę się o ciebie martwić, ja się do tego nie nadaję. Czuję się parszywie, kiedy się o ciebie martwię, jak żółw przewrócony na plecy albo jaszczurka z oderwanym ogonem, albo... – zaczęła biadolić na całego.

– Daj spokój, jaka trauma? Będziemy grać w *Neuroshimę* – zniecierpliwiła się.

– Aaa, to co innego – odpowiedziała zgryźliwie Sara. – No dobrze, pozwalam ci iść, ale masz mi potem opowiedzieć wszystko-wszystko, jasne?

– Jasne.

– No to baw się dobrze. Tylko nie wystawiaj na dzień dobry sztabu Borgo przy krawędzi planszy, bo pomyślą, że jesteś niepoważna.

Wreszcie coś się wyjaśnia

Marcin w poniedziałek przyszedł do pracy o wiele później niż zwykle, tuż przed lunchem. Usiadł w kuchni, wyjął tablet i udawał, że rozumie cokolwiek

z artykułów na „Gamasutrze”. I czekał. Starał się przybrać pozę cichego męczennika, ale tak go rozpiekało zadowolenie z siebie, że co chwila musiał ocierać sobie uśmiech z kącików ust, jak kot wypitą potajemnie śmietankę.

W niedzielę wszystko się wyjaśniło. No, albo prawie wszystko.

Spotkali się w Plakatówce na Wilanowie, bo stamtąd było naprawdę daleko na Saską Kępe. Marcin przyszedł punktualnie: w samo południe, zajął miejsce w kącie i zamówił flat white z tartą cytrynową – ostatecznie była niedziela, a on miał co świętować. Kwadrans po dwunastej zaczął się martwić, że jednak się nie pojawi, a on dał się nabrać jak ostatni kretyn. „Tu nie możemy rozmawiać. Spotkajmy się jutro”, aha...

Przyszła dwadzieścia po, zarumieniona z zimna i trochę zdyszana. Zdjęła kurtkę, przegarnęła włosy i usiadła naprzeciwko niego, unikając patrzenia mu prosto w oczy. Po chwili odzyskała równowagę, ale widział, że dalej jest speszona. Była ubrana trochę bardziej elegancko niż w pracy – w luźną wełnianą sukienkę i buty z cholewką do pół łydki. Fryzurę miała za to taką jak zwykle: na Zeldę, czyli rozpuszczone włosy, a z przodu dwa pasma zebrane i oplecione płaskimi rzemykami.

– No i co teraz? – zapytał, kiedy cisza się przedłużała.

Nela wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko.

– Ok, to może zacznę po prostu zadawać pytania. Czy wiesz, gdzie jest Jasiek Ritmeijer?

– Nie.

Starał się nie okazać, że jest rozczarowany; nie spodziewał się co prawda, że to będzie takie proste, ale przecież musiał spróbować.

– Hm. No to z innej beczki – czemu przestawiałaś te ludziki Lego? To miała być wiadomość dla mnie?

– Tak. Wiem, że to może się wydawać głupie, ale... – potarła jedną ręką nadgarstek drugiej – nie byłam pewna co do ciebie. Pomyślałam, że zostawianie

anonimowych wiadomości będzie bezpieczniejsze, a poza tym zrozumiałbyś je tylko, jeśli miałam rację i jesteś ofiarą, a nie wrogiem.

Nie spodobał mu się sposób, w jaki wymówiła słowo „ofiara” – jakby już leżał na pobojowisku i gromadziły się przy nim kruki. „Wróg” brzmiało trochę godniej, ale równie bezsensownie.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

– Widzisz, kiedy w krytycznym momencie do firmy przychodzi nowy producent, który nie ma absolutnie żadnego doświadczenia w branży, a za to przyjaźni się z tym draniem Tyrowiczem i próbuje utrzymać to w tajemnicy, wnioski wydają się oczywiste: oto zatrudnili szpicla, w dodatku korposzczura, który ma wszystkich złapać za mordy i zaprowadzić tu porządek jak w obozie pracy.

– I wszyscy tak myśleli, tak? – zapytał uprzejmie. – Nawet mój team?

– Przede wszystkim twój team. No, może Asia domyślała się, że jest dokładnie na odwrót. Ale ona nie ryzykowałaby subtelnego przedstawienia ci sytuacji. No i nie jest AFOL.

– AFOL? To brzmi trochę jak coś w stylu dorosłych dzieci alkoholików.

– *Adult fan of Lego*. Dorośli, których kręcą klocki.

– Ach. No dobrze. – Na chwilę zamilkł i zamyślił się. Nela go nie poganiała.

– To właściwie zabawne, że się nie zorientowałem – odezwał się w końcu. Spojrzał na nią ze słabym uśmiechem. – Ale naprawdę uwierzyłem, że oto wkroczyłem do nowego świata, zostawiając korpo na zawsze za sobą. Że tu życie rządzi się zupełnie innymi, niezrozumiałymi prawami i obijam się o ściany, bo jeszcze nie załapałem, gdzie tu jest góra, a gdzie dół, a nie bo ktoś mi robi koło dupy.

– Dranie są wszędzie tacy sami.

– To przecież było zagranie jak z elementarza: sytuacja robi się nieciekawa, trzeba wyjść z inicjatywą. Zatrudnijmy kogoś. Sukces – zatrudniliśmy kogoś, nie staliśmy z założonymi rękami. Ale sytuacja dalej jest słaba, więc trzeba podjąć

kolejną konstruktywną decyzję. Zwolnijmy go. I znowu sukces: nowy, zdecydowany ruch, dzięki któremu można przypisać wszystkie niepowodzenia nieobecnemu już kozłowi ofiarnemu. A w dodatku co za oszczędność dla firmy: nie trzeba mu już płacić pensji! Ciekawe, co zamierzał zrobić potem.

– Nie sędzę, żeby Tyrowicz planował tak daleko. Pewnie miał nadzieję, że do tego czasu sprawa z Jaśkiem sama się rozwiąże.

– Ale że wszyscy wzięli mnie za taką szuję... – Marcin pokręcił głową. – Przecież nic nikomu złego nie zrobiłem.

– No, nie kwękaj mi tu. Zachowywałeś się tak dziwnie, że ja na początku też nie miałam wątpliwości, w jakim charakterze przyszedłeś do Nasty Oranges. Na rozmowie z Hejdaszem podobno zarzucałeś taką korpomową, że potem James Levitt wszystkim opowiadał, jaki to z ciebie kot i jak wymiatasz. Hejdasz mruczał, że nie ma przekonania, czy rzeczywiście powinniśmy wprowadzać u nas mechanizmy rodem z korporacji, ale mówiłeś tak przekonująco, że postanowił zaryzykować. Nieudolnie kryłeś się ze znajomością z Tyrowiczem, Bóg jeden wie dlaczego. No i węszyłeś po całej firmie, wpytuując każdego jak leci o Jaśka Ritmeijera. To trochę tak, jakbyś włożył czapkę z pomponem i zagadywał wszystkich teatralnym szeptem: „Szuflandia! Szuflada! Polo Cocta!”.

– Prowokator. No pięknie.

– Ale nie miej do siebie pretensji – pospieszyła z pocieszeniem. – Trafiłeś do zupełnie obcej bajki, i to pisanej przez osobę o specyficznym poczuciu humoru. Pamiętam, jak to było, kiedy ja zaczynałam. Zatrudnili mnie jako pierwszą dziewczynę w firmie i wszyscy za moimi plecami mówili o mnie „obowiązkowa dziewczyna”. Że niby wzięli mnie, a nie kolejnego chłopaka, bo tak wypadło. „Jedna dziewczyna na dwudziestu chłopów – i mamy parytet”.

Marcin walczył, żeby się nie uśmiechnąć.

– No i jak sobie poradziłaś?

– Normalnie. Siedziałam spokojnie i robiłam, co do mnie należało, a nad głową przelatywały mi seksistowskie żarciki. No i cały czas mówili do nas „ej, chłopaki”,

bo się nie mogli przyzwyczaić.

– A potem wszystko się zmieniło? – podsunął.

– Hm? – zdziwiła się. – Nie. Ale mnie to nie przeszkadza. Niektóre ich żarty są nawet zabawne. No i nie są skierowane przecież przeciwko mnie. Podejrzewam, że zanim dołączyłam do teamu, opowiadali znacznie gorsze. Poza tym ja naprawdę wiedziałam, co robię i jak to będzie. A ty przez pierwszych kilka dni pewnie nawet nie rozumiałeś, co do ciebie mówili.

– Dalej nie rozumiem.

– No właśnie. Do tego musiałeś zapamiętać naraz o wiele więcej imion niż ja. Przecież teraz jest nas ponad siedemdziesiąt osób – i to przeważnie sami wariaci. I kilku drani.

– A ty?

– Obawiam się, że jestem jedyną normalną osobą w całej firmie – powiedziała poważnie. Takie deklaracje zawsze trochę Marcina martwiły. „Nie słuchaj ich, to dziwacy, wszyscy mają nierówno pod sufitem. Masz szczęście, że trafiłeś na mnie. A teraz: może masz chwilkę, żeby porozmawiać o naszym panu Gol-Goroth, Wielkim Przedwiecznym, niech będą pochwalone macki jego?”.

– Aha. A właściwie, jak się zorientowałaś, że jestem... nieszkodliwy?

– Podśledzałam kilka interesujących konwersacji. Nawet nie musiałam się specjalnie wysilać. Ludzie zazwyczaj nie rozumieją ani słowa z tego, o czym rozmawiają między sobą programiści, i chyba im się wydaje, że to działa tak samo w drugą stronę.

– He, he. Słuchaj, tak w ogóle to jestem ci strasznie wdzięczny. Dziękuję. Byłem jak dziecko błądzące we mgle, a tyś mi wskazała drogę pośród czeluści. Może ciasteczko ci kupię?

– Staram się nie jeść słodczy.

Marcin zawahał się. Czy to dobry moment na komplement? „Daj spokój, nie jesteś aż taka gruba!” Hm, chyba nie.

Nela sama wybawiła go z kłopotu:

– No ale skoro nalegasz. Ta twoja tarta cytrynowa wyglądała bardzo smakowicie.

– Po prostu zrobiło mi się głupio – podjęła po chwili, dziabiąc widelczykiem polewę z białej czekolady. – W sensie: za nas wszystkich. Nie dostałeś uczciwej szansy, ten drań cię wrobił i wyleciałbyś z firmy na kopniaku, nawet nie wiedząc za co. A tak możesz się już za czymś zacząć rozglądać. Widziałam pierwsze oznaki, że Tyrowicz już szykuje powrót na twoją szyję, ale pewnie masz jeszcze ze dwa, trzy tygodnie. Na pewno coś sobie znajdziesz.

– Yyy... – Marcina zamurowało.

– Nową pracę, to mam na myśli.

– Myślałem, że mówisz mi to wszystko, żebym umiał się bronić, a nie uciekał jak szczur z tonącego okrętu.

– Nie chciałam być niemiła. Ale ty naprawdę nie masz szans. Nie znasz się na gamedevie i produkcji, nie rozumiesz, jak działa firma, twój team ci nie ufa, bezpośredni zwierzchnik chce cię złożyć w ofierze na ołtarzu asekuranctwa, a wokół szaleje tornado i będzie tylko gorzej. Chyba nic nie pominęłam.

Marcin walczył ze sobą, żeby nie wrzasnąć: „Ja?! Ja nie dam rady!? Ja?! JA NIE DAM RADY!?”. Ale wtedy Nela uznałaby, że odezwała się w nim głupia samcza ambicja. Dlatego krzyknął tak sobie tylko w duchu, po cichutku.

– Cóż, rzeczywiście ciężka sprawa. Ale zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie.

Nela zaczęła udawać, że rozwija coś z kłębka, a potem w powietrzu zawiązała pętlę, zarzuciła sobie na szyję, podniosła drugą końcówkę do góry i przekrzywiła głowę, wystawiając język.

– A jednak spróbuję.

– Dobra, twoja rzecz. Ja cię ostrzegłam – wzruszyła ramionami, a potem westchnęła. – Ech, pewnie źle to ujęłam. To nie chodzi o to, że jesteś jakiś niewydarzony i dlatego do nas nie pasujesz. Raczej wręcz przeciwnie. Ty po prostu jesteś za normalny do tej roboty.

– Czyli tak jak ty.

– Ale ja jestem programistką – powiedziała chłodno.

Przez chwilę milczeli. Nela gapiła się gdzieś w dal, a Marcin mimowolnie jej się przypatrywał. Oczywiście słyszał plotki o tym, że leci na game directora. Ale czemu ten cały Mat jej nie chciał? Nie była tak uderzająco piękna jak Karolina czy atrakcyjna i urocza jak Asia, ale też nie taka ostatnia. A jeśli ktoś lubił wielkie, sprężyste cycki (a kto nie lubił?) – wybitnie interesująca.

– Dlaczego uważasz, że właśnie ty musisz coś zrobić w sprawie Ritmeijera?

Marcin wyprostował się jak karny żołnierz postawiony na baczność i szybko przeniósł wzrok na jej twarz.

– Bo nikt inny jakoś się tym nie interesuje. Zresztą, nie orientuję się dokładnie, jak jego nieobecność wpływa na resztę, ale my jesteśmy całkiem zablokowani. Najnowsza wersja fabuły wymaga podobno jakichś poprawek, ale każda zmiana musi być przez niego klepnięta, więc stoimy w miejscu, a czasu jest coraz mniej.

– Hm, widzę, że wiesz jeszcze mniej ode mnie, a przecież ja nie mam nic wspólnego ze story. Tu nie chodzi o drobne poprawki, tylko o jakąś grubszą sprawę. Było parę pomysłów, jak to załatać, ale wszystkie zostały odrzucone. Podobno Jasiek miał jakąś nową koncepcję, ale nagle zniknął, a z nim część dokumentów z dysku. No i teraz wszyscy boją się dotknąć tego gówna, bo wiadomo, że zaraz wybuchnie.

– Dalej mówimy o fabule, tak?

– Aha. Strasznie to zabawne, że specjalnie zatrudnili producenta, żeby koordynował prace nad czymś, czego nie ma.

– Rzeczywiście, boki zrywać. Ale przecież to nie jest problem mojego działu, tylko całej firmy. Naprawdę nikt się nie przejmuje tym, co właściwie stało się z Ritmeijerem?

– Mat się przejmuje – powiedziała gorąco. Jest zupełnie stracona – pomyślał, patrząc na jej błyszczące oczy.

– No i? – zapytał, udając, że nic nie zauważył.

– No i... jak zwykle bierze wszystko na siebie i próbuje ciągnąć lokomotywę na sznurku.

– Hm?

– Zawsze tak sobie wyobrażałam to, co robimy. Nasty Oranges to rozpedzony, wypełniony ludźmi pociąg, zawsze o krok od wykolejenia się, bo tory przed nami układają się na bieżąco, a zaraz będzie z górki, jak w lunaparku. I to jest norma pracy w gamedevie. Tylko że teraz na dodatek okazuje się, że gdzieś zniknął maszynista. No więc Mat wyskoczył z pociągu i biegnie, żeby wyprzedzić cały skład i go holować.

– Czyli co konkretnie robi?

– Zaharowuje się na śmierć.

– Ale w sprawie zniknięcia Jaśka?

– A, nic. Uważa, że zaharowanie się jest dobre na wszystko, więc na pewno nie zaszkodzi.

Marcin przejechał ręką po czole.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszyscy zdają sobie sprawę, że nieobecność Ritmeijera to katastrofa dla projektu, ale nikt nic z tym nie robi? Rozumiem, że mogliby się ociągać ze znalezieniem dla niego zastępstwa przez tydzień, ale jego nie ma już prawie miesiąc! To szaleństwo!

– Jaśka nie da się zastąpić – powiedziała Nela takim tonem, jakby stwierdzała, że Ziemia nie jest płaska.

– Mhm. A o demie się nie rozmawia? – rzucił kąśliwie.

– Właśnie tak. Słuchaj, no przecież ci mówiłam, że jesteś za normalny do tego. Szukasz sensu, a ta firma to chaos na kółkach. Gdybyś wiedział, jak tu są podejmowane decyzje, to byś osiwiął. Wszyscy dyrektorzy i główni producenci to wspaniali fachowcy, ale poza tym – banda nieodpowiedzialnych wariatów. Nic się nie zmienili od czasów, kiedy na studiach zarywali noce przed egzaminem, żeby pograć w spiraconego *Diablo*, nic! Nawet pizzę jedzą ciągle taką samą. Tylko teraz ktoś dał im pada sterującego żywymi ludźmi. Mogą robić, co chcą. Wiesz, że Mat

przy pierwszej grze w ostatniej chwili przywrócił jednak przeprawę czółnem przez wodospad? Dla jego kaprysu całe studio crunchowało miesiąc dłużej, a chłopcy z mojego teamu siedzieli przed komputerami w pampersach i spali po dwie godziny na dobę, żeby tylko zdążyć wszystko oskryptować.

– Masz świadomość, z jaką dumą wypowiedziałaś ostatnie dwa zdania?

– Szaleństwo bywa zaraźliwe. A wiesz, co jest najgorsze? Że im się zawsze udaje. Popełniają idiotyczne błędy, kłócą się, robią sobie na złość jak przedszkolaki, ale zawsze wychodzą na swoje, zawsze! Jeszcze nigdy nie dostali po łapach za te wszystkie durne akcje. A już największym dzieckiem szczęścia jest Ritmeijer. Antek Hejdasz uważa go za talizman powodzenia i wszelkiej pomyślności, wyrocznie i bożego posłańca. Zatrudnienie innego creative директора byłoby jak świętokradztwo, a poza tym gdyby się wreszcie zdecydowali, na pewno właśnie wtedy Jasiek by się pojawił i przeklął nową koncepcję fabuły. Antek jest jak narzeczona żołnierza zaginionego na froncie: boi się wyjść za innego, bo co jeśli tamten jednak wróci? A oni naprawdę wszyscy wierzą, że wróci.

– Niesamowite – mruknął Marcin, przypatrując jej się uważnie.

– Prawda? Dom wariatów!

– Nie, chodziło mi o ciebie. Ty musisz strasznie kochać tę robotę.

Nela patrzyła na niego przez chwilę z uchylonymi ustami, a potem twarz i szyję oblał jej rumieniec.

– No i co zamierzasz?

Marcin wzruszył ramionami. Nela opierała się o krzesło, znów całkowicie spokojna i opanowana, i piła sok pomarańczowy przez grubą rurkę.

– Spróbuję się utrzymać w Nasty Oranges. Teraz dzięki tobie będzie mi łatwiej. Kogo mogę popytać o Ritmeijera? Tak, żeby uzyskać jakieś odpowiedzi?

– Najlepiej Andrzeja i Krzyśka. – Skrzywiła się lekko. – Ale nie wiem, jak mógłbyś się do nich przebić. Jeśli wyślesz maila do całego studia: „Nie jestem takim draniem, jak myślicie”, kogoś możesz przekonać, ale nie z nimi takie numery. Cynicy zwykle niechętnie wierzą, że coś jest lepsze, niż im się zdawało.

No ale gdyby się dowiedzieli, jak to naprawdę wyglądało, od razu chcieliby cię wciągnąć do swojej paczki.

– Nie przepadasz za nimi?

– To skomplikowane.

– Ok. Hm... Chyba miałbym do ciebie prośbę.

– Tak? – Nela wyraźnie się zaniepokoiła.

– Kto jest największym plotkarzem w firmie?

– No, trudno przyznać pierwsze miejsce. Ale w czołówce byliby pewnie Adrian z HR, Asia i Staszek Fraczyński, ten tester. Andrzej i Krzysiek to inna para kaloszy – zbierają informacje, ale nie przekazują dalej. Zdziwiłbyś się, jak potrafią dochować tajemnicy – powiedziała kwaśno.

– Rozumiem. Czy mogłabyś w takim razie szepnąć słówko komuś z tej boskiej trójcy? A najlepiej wszystkim? Tylko nie gloryfikuj mnie. Wręcz przeciwnie: powiedz im prawdę. Dosadnie. Tobie przecież uwierzą.

Nela rzuciła mu lekko zszokowane spojrzenie.

– Serio? Wszyscy uznają cię za frajera. Nie będą cię szanować.

Marcin uśmiechnął się lekko.

– Na początek niech przestaną mnie nienawidzić.

Kuchnia powoli się zapełniała. Niektórzy nie zwracali na Marcina uwagi, ale na twarzach paru osób dostrzegł zaciekawienie, sympatię, rozbawienie albo zakłopotanie, jakby zobaczyli, że ktoś o kulach się przewrócił, ale wstydzili się podejść. Wszystkie te objawy przyjmował jak łaskawy król hołdy obwieszonych paciorkami wodzów z dalekich krain. I coraz trudniej było mu zachować powagę.

W końcu pojawił się Andrzej z Krzyśkiem. Oni się nie krygowali, tylko podeszli prosto do niego.

– Chodź z nami na fajkę. – Domański klepnął Marcina w ramię.

– Nie palę.

– Żaden problem, my też nie.

Dżentelmeni

Andrzej i Krzysiek wyciągnęli Marcina za róg, na Walecznych, i od razu przeszli do rzeczy.

– Słyszeliśmy, że mógłbyś nam opowiedzieć co nieco o żakowskich czasach naszego nieocenionego executive producera.

– O Tyrowiczu? Skąd wam to przyszło do głowy? – Marcin uśmiechnął się radośnie od ucha do ucha.

– Mały ptaszek nam wyćwierkał dziś rano, że razem studiowaliście. No już, załatwmy to szybko, bo zimno. Wymienimy się informacjami o Ritmeijerze czy o czym tam chcesz za trzy możliwie pogrążające historyjki o Tyrowiczu.

– Nie chciałbym mu zaszkodzić.

– *You betcha.* – Andrzej uśmiechnął się demonicznie. – Zrobimy, co w naszej mocy. No, dawaj. Ty pierwszy, bo jesteś na okresie próbnym.

Marcin zastanowił się chwilę uczciwie, po czym opowiedział im o pewnym rajdzie Politechniki Wrocławskiej, a potem o niejakej Zosi Marcenko, a na koniec przedstawił najsłynniejsze dokonanie Tomka w akademiku „Alcatraz”.

Ku jego zdumieniu Andrzej wyjął mały zeszyt w twardej oprawie i wszystko pracowicie notował.

– Nie chcemy przecież, żeby z upływem czasu wkradły się jakieś nieścisłości, prawda? Jesteśmy profesjonalistami – zaznaczył.

Krzysiek Strzelczyk przez cały czas nie odzywał się ani słowem, ale minę miał o wiele mniej ponurą niż zwykle.

– Dobrze. No to pytaj. – Andrzej oparł się wygodnie o ścianę budynku i skinął Marcinowi łaskawie dłonią.

– Czy wiecie, gdzie jest Jasiek?

– Nie. Nie wiemy również, gdzie znajduje się Święty Graal i którędy do Avalonu. Masz chyba małe doświadczenie z dzinnami i złotymi rybkami, ale to już twój problem. *Next.*

– Jak dotrzeć do Soni, dziewczyny Ritmeijera?

– O, widzisz, już lepiej – ucieszył się Andrzej. – Mogę dać ci jej numer, ale nie sądzę, żeby chciała gadać z nieznanym. Lepiej uderzyć do niej osobiście. Spróbuj ją złapać w Level-Upie we wtorek albo czwartek. Przyjaźni się z tamtejszym barmanem i zwykle wpada tam po treningu.

Marcin już chciał palnąć: „A co trenuje?” albo: „Jaka ona jest?”, ale ugryzł się w język. Nie miał zamiaru głupio zmarnować ostatniego pytania. Długo się nad nim zastanawiał, aż Andrzej zaczął go poganiać.

– O co chodzi z tymi punktami, o których ciągle mówicie? Kilka razy słyszałem, jak się przerzucacie uwagami w rodzaju: „Dwa punkty dla Stentora”, „Trzy dla Franka”. A w piątek Krzysiek powiedział: „Dwa punkty dla Adama za cześć z entuzjazmem”. Zabrzmiało to bardzo interesująco.

Andrzej skrzywił się, jakby mieli mu przepłukiwać zatoki.

– To nic ciekawego. Nie wolisz zapytać o coś w związku z Jaśkiem? Myślałem, że ci zależy na tej sprawie.

– Mieliśmy umowę – przypomniał Marcin spokojnie. – Słucham.

Andrzej przewrócił oczami i spojrzał na Krzyśka, który wzruszył ramionami z miną: „To był twój pomysł”. Domański westchnął.

– Niech ci będzie, ale tego nie możesz nikomu wypaplać, jasne?

– Przysięgam na koronkowe majtki Avery.

– Bo widzisz, o tym, że Tyrowicz chciał cię po przyjacielsku wyruchać, wie już praktycznie cała firma – no, poza tymi, którzy nigdy nic nie wiedzą i ogólnie się nie liczą – a nam udaje się utrzymać sprawę punktów w tajemnicy od bardzo, bardzo dawna. I tak musi zostać – powiedział spokojnie Krzysiek, włączając się wreszcie do rozmowy.

– Powodzenie naszego chwalebego przedsięwzięcia zwanego dżentelmeńskim zakładem – podchwycił Andrzej – zależy od tego, żeby nie dowiedziały się o nim zwłaszcza pewne osoby. Jasne? No to ok. Adam dostał dwa punkty, bo Karolina powiedziała do niego „cześć” z entuzjazmem.

– Karolina? – Marcin rzucił im zdziwione spojrzenie. – No i? Do mnie też dziś powiedziała.

– A z entuzjazmem? – dopytywał Andrzej. – To znaczy, czy miałaś wrażenie, że naprawdę ucieszyła się na twój widok? Że zrobiło jej się miło? Czy to było takie zwyczajne, genericowe „cześć”, bo akurat przechodziłeś?

– No... powiedziała to uprzejmie i życzliwie.

– Pfff, Karolina dla wszystkich jest uprzejma i życzliwa. Dlatego między innymi jest idealną ofiarą. Ale zacznijmy od początku. W firmach gamedevowych pracuje mało dziewczyn, no nie? I kiedy wreszcie jakaś się pojawia, mniej więcej po tygodniu zaczyna się wyścig pajaców. Zwykle startuje w nim około dziesięciu zawodników, ale przy Karolinie mamy szczęście i jest ich aż siedemnastu. Oczywiście tylko siedmiu się naprawdę liczy, ale tak zabawnie obserwować, jak te nieporadne robaczki ciągle myślą, że mają jakieś szanse. – Andrzej uśmiechnął się niemal z rozrzewnieniem.

– Mam rozumieć, że cała wataha wyposzczonych geeków zjawia się na jedną dziewczynę i zakładają się, kto ją zdobędzie? – zapytał Marcin z odcieniem lekkiej zgrozy w głosie.

– Nie, nie, nie. – Andrzej zamachał rękami. – Za kogo ty nas masz? Wręcz przeciwnie – oni nawet nie wiedzą, że startują w wyścigu. Właśnie dlatego to takie piękne. Wiedzą tylko dżentelmeni.

– Czyli?

– My – odparł z prostotą Krzysiek. – No i oczywiście ci, co obstawiają. W tej chwili najwyższe notowania ma nasz Franek Kilarski, ten blondyn z brodą, jedenaście punktów, ale jeśli chcesz mojej rady, sugerowałbym Adama – niby cicha woda, ale tacy często wygrywają z ogromnym przebiciem. Oczywiście tabela punktów i wykres są dostępne dla wszystkich obstawiających. Razem z nami jest ich dwudziestu.

– Zakładacie się o nią... na pieniądze?

– Nie, na miętówki. Jasne, że na pieniądze – zirytował się Andrzej.

– I naprawdę istnieje oficjalna lista facetów, którzy uganiają się za Karoliną? Mnie na niej nie ma, prawda? – upewnił się z lekkim niepokojem Marcin.

– Cóż, to zdecydowanie wbrew zasadom, ale ostatecznie możemy cię dopisać. Niby już wiesz o zakładzie, ale startujesz z dużym opóźnieniem.

– Nie wygłupiajcie się – burknął. – A jak właściwie przyznajecie te punkty?

– Jest rozpisana odpowiednia skala: dwa punkty za „cześć” z entuzjazmem, trzy za wspólny lunch w kantynie, cztery za lunch poza firmą, dwa za szczery uśmiech specjalnie dedykowany, trzy za rumieniec, dziesięć za wspólne wyjście do kina albo na piwo i tak dalej. Są też punkty ujemne.

– Czyli wy dwaj łazicie za nią przez cały czas?

– Skąd, sporo nam umyka – powiedział skromnie Andrzej. – Ale na dłuższą metę wszystko to widać. To jak, dołączasz do nas?

– Nie, dzięki. Zastanawialiście się kiedyś, jak ona się z tym czuje? – zapytał Marcin. Nie miał wcale zamiaru występować w roli głosu sumienia, ale... Karolina naprawdę była fajna i dobrze jej życzył. Bardzo dobrze. I rzeczywiście przyjemnie było na nią spojrzeć.

– Ona? – prychnął Krzysiek. – Powinna być zadowolona, że cieszy się takim zainteresowaniem. Wszyscy jej nadskakują, Karolinko to, Karolinko tamto, a jak tam humorek, a co dziś ładnego wymodelowałaś? A może zamówić specjalnie dla ciebie ohydny pizzę z ananasem? Nie ciągną jej przecież do łóżka na siłę, tylko łagodnie perswadują. Myślę, że dla dziewczyn takie idiotyczne, niezręczne zaloty mogą mieć swój urok.

– Karolina oczywiście też o niczym nie wie?

– O zakładzie na pewno nie – mogłaby ją ostrzec tylko inna dziewczyna, a im nigdy nic nie mówimy, nawet kiedy jest już po wszystkim. Wiesz, gdyby to się rozeszło, nie przysłużyłoby się odczarowywaniu wizerunku gamedevu jako matecznika radosnego seksizmu – powiedział poważnie Krzysiek. – Wtedy mogłyby nie chcieć przyjść pracować do takiej firmy.

– Czyli... inne dziewczyny też miały swoje wyścigi pajaców? Asia była ofiarą?

– Asia? Ofiarą czegokolwiek? Niech cię nie zwiedzie ta słodka twarzyczka. Kiedyś siedziałem obok niej i, człowieku, jak ona klnie! Uszy mi wędły jak sałata na pustyni. Poza tym to właśnie ona powiesiła w damskiej łazience kalendarz z gołymi norweskimi strażakami.

– W naszej są trzy kalendarze. W tym jeden z nagimi panienkami w trumnach – zauważył Marcin.

– No i to jest normalne!

– Czyli nikt nie startował w wyścigu do niej? Trochę trudno w to uwierzyć...

– Startowali, a jakże – mruknął ponuro Krzysiek. – To było przy pierwszym Finnleyu. Przez całe lato nie mówiło się o niczym innym tylko o ultrakrótkich szortach Sosnowskiej. Ja i Andrzej mieliśmy do nich szczególny sentyment, bo stawki rosły i rosły – westchnął z rozmarzeniem. – No a potem szlag trafił cały dżentelmeński zakład. Okazało się, że Asia ma swoje własne plany.

– Takie inicjatywy zawsze nam przeszkadzają. – Andrzej powiedział to z takim smutkiem, że przez moment Marcinowi było go autentycznie żal.

Nad jeziorem Clearwater

Odkąd Finnley stracił Avery z oczu wiosną 1876 roku, niezachwianie wierzył, że jeszcze się spotkają. W każdym nowym mieście, do którego trafiał, rozglądał się za ciemnooką dziewczyną o zaciętej twarzy, wierząc, że mimo upływu lat rozpozna ją natychmiast, od pierwszego spojrzenia. Myślał o niej, szukając samorodków złota w nurtach Granite Creek, przeprawiając się samotnie przez barierę Gór Skalistych i brnąc przez śniegi w dolinie Bella Coola. Często wyobrażał sobie, jak przybywa w ostatnim momencie, żeby ją ocalić z rąk bandytów, wyciągnąć z wodnej kipieli albo celnym strzałem uratować przed atakiem rozwścieczonego niedźwiedzia. W miarę jak przybywało mu lat, marzenia o Avery zaczęły zmieniać charakter, aż stały się nie do zniesienia i musiał szukać pomocy u kobiet, których twarzy nie chciał pamiętać.

Wyłonili się z porannych mgieł jak duchy. Odgłosy ich kroków pochłonął wilgotny piasek, a wrzask sójki, którą spłoszyli, rozpląnął się miękko nad nieruchomymi wodami jeziora, nie budząc nikogo.

Finnley otworzył oczy, dopiero kiedy ktoś szarpnął za koc. Przez moment myślał, że dalej śni. Avery Liddell, dorosła i piękniejsza, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, pochylała się nad nim, muskając włosami jego twarz. Zamrugnął i otworzył usta, żeby wymówić jej imię. Nie zdążył, bo właśnie wtedy z całej siły zderzyła go w łeb kolbą sztucera.

Finnleyowi wydawało się, że stracił przytomność tylko na moment, a potem wszystko słyszał – rzenie koni, obce głosy, strzały, brzęk tłuczonego szkła, przekleństwa – ale kiedy rozkleił powieki, zorientował się, że musiało jednak minąć trochę czasu. Obóz starannie przetrząsnęto: rozprute sakwy leżały bezładnie na ziemi, zapasy jedzenia zrzucono na jeden stos, broń na drugi. Po lewej dostrzegł nieruchome ciała trzech policjantów z oddziału – byli nieprzytomni lub, co bardziej prawdopodobne, nie żyli – zaś nad czwartym pochylali się mężczyźni z bandy.

– Gdzie reszta? Mów albo...

Młody sierżant, którego imienia Finnley nawet nie zapamiętał, milczał.

– Ten też nie chce mówić, Ezra – zauważył jeden z napastników z troską.

– Co za pech.

Rozległ się wystrzał. Finnley odwrócił głowę i wtedy dostrzegł Avery. Stała tuż przy brzegu, jakby cała scena w obozie jej nie dotyczyła, i wypatrywała czegoś w rozwiewających się, szaroniebieskawych mgłach napływających z jeziora Clearwater. Gdyby powietrze było czyste, z tego miejsca widać byłoby ośnieżone szczyty Garnet Peak i Mount Huntley.

– Avery.

Jego głos zabrzmiał cicho i słabo, ale udało mu się zwrócić uwagę dziewczyny. Podeszła do niego, odwodząc kurek rewolweru, a jej towarzysze od razu do niej dołączyli.

– O, traper się obudził. – Ten, którego nazywali Ezrą, trącił Finnleya czubkiem buta. – Może on będzie chciał z nami porozmawiać.

Noah skupił się na Avery. Nie mógł uwierzyć, że go nie poznawała.

– Avery Liddell – powiedział, tym razem głośno i wyraźnie. – To ja, Finnley.

– Znasz go? – zapytał Ezra.

Avery pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Avery, musisz pamiętać. Nie wierzysz mi? Zapytaj mnie o cokolwiek. O coś, co wiedziałby tylko Noah Finnley. Zapytaj mnie o Woodton. O rewolwer Maurice’a. O dzień, kiedy uciekliśmy.

Przesunęła po nim obojętnym, spokojnym spojrzeniem. Milczała.

Noah zacisnął powieki. To wszystko przypominało jakiś koszmar. A zaczęło się jak zwykle zlecenie – oddział kapitana Stevensona dostał meldunek o jakiejś bandzie grasującej w okolicy i wynajął Finnleya jako przewodnika. Nikt nie wspominał, że wśród ściganych jest kobieta. Gdyby Stevenson o tym wspominał, Noah natychmiast pomyślałby o Avery – bo zawsze, kiedy była mowa o jakiejś kobiecie, zakładał, że to może być ona. Tym razem miałby rację. Ale tak czy inaczej, chyba nie byłby w stanie przewidzieć, jak bardzo ich spotkanie będzie odbiegać od tego, co sobie wymarzył. Teraz leżał bezradnie na zawilgłym kocu, patrzył na miłość swojego życia i zastanawiał się, czy ironia losu każe jej niedługo posłać mu kulę prosto w serce.

– A ty nie miałeś dalej testować Zatartego szlaku? – zapytał Staszek Fraszyński, zaglądając Adamowi przez ramię. Młody tester posłał mu niepewny uśmiech.

– Tak, ale zrobiłem sobie małą przerwę. Tyle słyszałem o tym flashbacku z nad jeziora Clearwater, że pomyślałem, że zobaczę, jak wyszło. Tylko za pierwszym razem nic nie rozumiałem, więc gram jeszcze raz.

– Aha. Ale klimat fajny, prawda?

– Tak, jasne. Tylko... dlaczego Avery udawała, że nie zna Finnleya? I czy naprawdę nie da się tego wszystkiego poukładać jakoś bardziej sensownie? No wiesz, chronologicznie? Bo na razie ta historia to jeden wielki bałagan.

Staszek parsknął śmiechem.

– Koniecznie idź z tym do questowców. A ja posłucham, co ci odpowiedzą.

– Masz rację. – Adam rozjaśnił się. – Po prostu ich zapytam. Powiem, że ty też nie rozumiesz, a ja...

Staszek już chciał mu przerwać i po ojcowsku wyprowadzić go z błędu, kiedy dobiegł ich dramatyczny okrzyk Franka.

– Uwaga wszyscy! Andrzejowi spadły stringi! – wołał Kilarski, pędząc korytarzem, by roznieść tę hiobową wieść.

Adam, którego ciągle to jeszcze śmieszyło, zachichotał. Po czym zmartwił, kiedy spojrzał na ekran i zorientował się, że zniknęły wszystkie linijki dialogów.

– Ojjoj – cmoknął Staszek z ubolewaniem. – Jeśli cię to pocieszy: kiedy pada baza stringów, najgorzej mają questowcy. Jacek tam pewnie klnie na czym świat stoi. Poprzednim razem nie zrobił save'a i stracił dwie godziny pracy. – Uśmiechnął się pod nosem, po czym dodał wielkodusznie: – Nie musisz zaczynać całego questa od nowa, możesz się przepiąć od razu do sceny po strzelaninie nad jeziorem. Wiesz, to jest ta część, kiedy wraca reszta policjantów, zaskakując bandę Bairda, wywiązuje się walka, a Finnleyowi udaje się uciec konno z ranną Avery.

– Tak, pamiętam. Dzięki.

Rana nie była głęboka, ale po usunięciu kuli wydała się infekcja i przez trzy dni Finnley bał się, że ją straci – tym razem na zawsze. Czwartego ranka gorączka zaczęła opadać i Avery pierwszy raz spojrzała na niego przytomnie.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptała, z trudem otwierając popękane i wyschnięte wargi.

– W bezpiecznym miejscu. Zostaniemy tu, dopóki nie wydobrzejesz. Myślisz, że dasz radę zjeść trochę rosółu? Upolowałem młodego jelonka. – Przykucnął przy ognisku u wejścia do jaskini i dorzucił do niego kilka gałęzi.

– Dziękuję... Finnley.

Zastygł na moment, a potem znów usiadł przy jej pościeli i delikatnie ujął ją za rękę.

– Czyli mi wierzysz... Pamiętasz wszystko, prawda?

Powieki Avery opadły. Długie rzęsy zdrząły prawie niedostrzegalnie, a potem po jej zapadniętym policzku popłynęła wolno łza. Finnley wstrzymał oddech. Nigdy dotąd nie widział, żeby płakała – nawet kiedy jako dzieci blakali się bez celu w leśnej głuszy, wyziębieni i półprzytomni z głodu. Nawet kiedy żegnała go na barce, a on nie wiedział, że następnego dnia już jej nie zobaczy.

– Myślałam, że nie żyjesz. Nie mogłam uwierzyć, że...

Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Teraz wszystko będzie dobrze. Znowu jesteśmy razem.

– Tak – szepnęła. – Ale Finnley, co z resztą? Czy Ezra i... – Patrzyła na niego niespokojnie.

– Chyba wszyscy przeżyli. Kiedy dostałaś gorączki, wróciłem nocą do obozu po koce i leki. Nie znalazłem tam ich ciał, tylko policjantów, którzy mnie wynajęli.

Nie czuł się zupełnie poruszony ich śmiercią, chociaż przecież spędzili razem trochę czasu. Wszystko to wydawało się nieważne teraz, gdy wreszcie odnalazł Avery. Po tylu latach. Spojrzał na nią, próbując przywołać w pamięci twarz małej dziewczynki, ale jej obraz rozmył się i zniknął. Ta nowa, nieznana, a przecież tak bliska Avery posłała mu słaby uśmiech.

– Dobrze się mną zająłeś. Może za parę dni będę już w stanie podróżować.

W jej tonie był coś, co sprawiło, że zeszywniał.

– Chcesz ich znaleźć?

– Tak. Przecież nie wiedzą, co się ze mną stało. Poza tym mamy kilka... nierozwiązanych spraw.

– Zostawili cię – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Odjechali od razu, nawet cię nie szukali. Damy sobie radę we dwoje, tak jak kiedyś. Avery...

Oczy zalśniły jej tym bezwzględny, gniewnym uporem, który tak dobrze pamiętał, ale głos zabrzmiał miękko:

– *Proszę cię.*

Westchnął i opuścił głowę.

– *Avery, czy ty... Czy któryś z nich...?*

Pokręciła głową i ścisnęła mocno jego rękę.

– *Nie. To... przyjaciele.*

Zapatrzył się na migoczące ognisko. Wiedział, że ustąpi. Czy kiedykolwiek umiał czegoś jej odmówić? Milczał długo i myślał o wszystkim, o co chciałby ją zapytać. Gdzie była przez te wszystkie lata? Dlaczego tak jej zależało na bandzie Ezry Bairda? I wreszcie – czemu tamtej nocy dawno temu uciekła od niego? Podejrzewał, że odpowiedzi mogą mu się nie spodobać, ale chciał znać prawdę. Jeśli tym razem miało im się udać, nie mogli zaczynać od niedomówień i przemilczeń.

Odwrócił się ku niej, zdeterminowany, ale kiedy spojrzał na jej bladą twarz, jego rysy zmiękły. Spała.

Nie dotykaj mnie

W niedzielę nastrój Danki zmieniał się niemal z godziny na godzinę. Rano czuła przede wszystkim ogromną ulgę, bo Krzysiek, który wrócił koło czwartej nad ranem (czyli godzinę po niej), nic nie wspomniał o dziwnych wydarzeniach w pracy. Później wyrzucała sobie głupotę i nieodpowiedzialność – co za pomysł: bawić się w maskaradę i wkradać do firmy, gdzie wszędzie stoi pełno drogiego sprzętu. Gdyby tej nocy coś ukradziono, a kamery ją zarejestrowały (a właśnie – kamery. Dopiero teraz o nich pomyślała), wpakowałyby się w niezłe kłopoty. Koło południa doszła do wniosku, że właściwie nic się takiego nie stało i może po prostu zapomnieć o tej sprawie. Jednak koło szesnastej, kiedy Krzysiek ni z tego, ni z owego oświadczył, że musi na chwilę iść do pracy, i wreszcie mogła na dobre pograć się w lekturze, d'Artagnan pokonał hrabiego de Wardes, a Danka uznała, że misja nie została ukończona i niegodnie byłoby się poddać w pół drogi.

To, że w poniedziałkową noc w holu recepcji Nasty Oranges znów było pusto, wydało się Dance jeszcze bardziej podejrzane – nie mogła jednak nie wykorzystać takiej okazji. Rozejrzała się za kamerami, ale nigdzie ich nie dostrzegła, więc przemknęła blisko przy ścianie do bramki, a potem od razu na górę.

Zaczął się na nią.

W pierwszej chwili Danka zastygła, porażona podstępnością przeciwnika, a potem, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, zawróciła i zaczęła uciekać. Tym razem miała na sobie zwykłe buty, więc bez trudu zbiegła ze schodów, odbiła się od ściany i długimi susami dopadła bramki, nad którą brawurowo przeskoczyła, nie bawiąc się w manipulacje kartą. Cały czas słyszała za sobą goniącego ją wroga, więc nie zwolniła i sprintem pokonała kilkaset metrów. Dopiero na rogu Zwycięzców i Wandy przystanęła na moment, żeby złapać oddech, a wtedy ze zgrozą zdała sobie sprawę, że pogoń nie ustała – od strony Saskiej dobiegało dudnienie butów na asfalcie, odbijające się echem od budynków. Tak daleko od Nasty Oranges, to było nie fair – jakby potwór ścigający cię we śnie po obudzeniu rzucił się za tobą do łazienki. Zerwała się znów do biegu, mając nadzieję, że zgubi go gdzieś w okolicach liceum Mickiewicza. Nic z tego – biegł za nią jak po sznurku. I był coraz bliżej.

Jak to możliwe, że anemiczny i zwiotczały od ślęczenia po nocach słabeusz był równie szybki co muszkieter Jego Królewskiej Mości? – przemknęło jej przez głowę, kiedy brała zakręt na Kubańskiej, podskakując na jednej nodze. Przebiegła jeszcze kilkanaście metrów i zwolniła – już go nie słyszała. Czyżby naprawdę udało jej się go zmylić, tak że w końcu zrezygnował? Zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę, ale nocnej ciszy nie zakłócał nawet dźwięk oddalających się kroków sromotnie pokonanego wroga. Może nie zrezygnował, tylko pobiegł w zupełnie inną stronę? To byłoby jeszcze lepsze. Uśmiechnęła się pod nosem z satysfakcją, zawróciła i cicho jak kot podeszła do wylotu uliczki.

Na widok nieruchomej postaci stojącej tuż za rogiem straciła panowanie nad sobą i krótko wrzasnęła, a potem znów rzuciła się do ucieczki.

Jak mogła dać się tak głupio podejść?!

Tym razem nie miała z nim żadnych szans. Już, już prawie chwycił ją za ramię, kiedy zatrzymała się gwałtownie, obróciła i krzyknęła, zaciskając pięści:

– Nie dotykaj mnie!

Chłopak ledwo wyhamował, żeby na nią nie wpaść. Ciągłe dyszał jeszcze po biegu. Dobrze mu tak, pomyślała mściwie Danka, która sama nie mogła złapać tchu.

– Czemu mnie goniłeś? – zapytała gniewnie.

– Zostawiłaś kapelusz – powiedział zaskakująco miło brzmiącym głosem i zdjął z głowy borsalino. Światło latarni wydobyło z mroku szczupłą twarz, oszpeconą wielkim siniakiem pod lewym okiem. Tak, to na pewno był ten chłopak, którego zaskoczyła poprzedniej nocy śpiącego na kanapie. Wyciągnął rękę w jej stronę, podając kapelusz. Przyjrzała mu się nieufnie, jakby proponował jej zatrute jabłko, po czym nagłym ruchem porwała borsalino.

Przez chwilę stali bez słowa, a chłopak przyglądał jej się z wielkim zainteresowaniem.

– No co? – burknęła.

– Wcale nie jesteś podobna do Avery Liddell. Nie wiem, jak wtedy mogłem tak pomyśleć, ale... spałem, a twoje włosy w tamtym świetle wydawały się całkiem czarne. Rzecz w tym, że w naszej grze, za każdym razem, gdy Finnley przechodzi w inny stan świadomości, widzi właśnie pochylającą się nad nim Avery, co jest powtórzeniem motywu z questa nad jeziorem Clearwater, i...

– Nie chcę o tym słuchać – zirytowała się Danka. Oni wszyscy potrafią rozmawiać tylko o pracy!

– A o czym byś chciała? – zapytał przychylnie. – A tak w ogóle może wrócimy do studia? Trochę mi zimno.

Rzeczywiście, miał na sobie tylko cienką koszulkę z długim rękawem.

– Nie mam zamiaru tam wracać.

– A po co w ogóle zakradłaś się do Nasty Oranges?

Danka już otwierała usta, żeby mu wyjaśnić, ale zawahała się. Trudno oczekiwać, żeby był na bieżąco z intrygami dworskimi siedemnastowiecznego Paryża. Gdyby miała go choć wstępnie wprowadzić, zajęłoby to ze sto stron. Ludzie są tacy ograniczeni – pomyślała ze zniechęceniem.

No trudno, w takim razie będzie musiała powiedzieć mu prawdę.

– Przyszłam was straszyć. Jestem duchem dziewczyny deva z Pomarańczy. Tak długo mnie ignorował, że robiłam się coraz bardziej przeźroczysta, aż w końcu umarłam. On oczywiście nawet nie zauważył, bo był crunch.

Oczekiwała, że odpowie na to jakąś kpina, ale chłopak milczał. Miał dziwną minę.

– Ostatnio nie udało mi się go znaleźć, za to natknęłam się na ciebie. Zresztą, nawet gdybym go spotkała, pewnie nie mógłby mnie zobaczyć.

– Możliwe, że nikt nie może cię zobaczyć poza mną – powiedział poważnie chłopak, a potem nieoczekiwanie się uśmiechnął, przymykając podbite oko.

– Co ci się stało w twarz?

– Biłem się – machnął ręką, jakby nie było o czym mówić.

– Ktoś cię obraził albo wyzwał na pojedynek? – Do stu tysięcy kartaczy, chyba miała jednak szczęście!

– Nie. Ekhem, stanąłem w obronie pewnej damy – odchrząknął z zakłopotaniem.

– To jeszcze lepiej – ucieszyła się. Ten śmiały Gaskończyk zaczynał jej się podobać. – To co? Aż tak ci zimno?

– Wytrzymam – oświadczył dzielnie d'Artagnan. – Ale jeśli chcesz, możemy wrócić i poszukać twojego chłopaka. Masz jakieś rekwizyty? Łańcuchy albo upiorne prześcieradła?

– Teraz już się tego tak nie robi – pouczyła go, powoli ruszając w stronę siedziby Nasty Oranges. – Zresztą może wcale nie będę go straszyć, jeśli się tylko przekonam, że chociaż trochę mu przykro.

– Mhm – mruknął młody muszkieter, który zajął miejsce u jej boku i szedł z rękami założonymi za plecy.

– A ty czemu siedzisz po nocy w pracy? Też jesteś pracoholikiem bez życia prywatnego? – zapytała kąśliwie po chwili.

– Akurat na mnie nikt nie czeka z kolacją, więc z przyjemnością udzielię ci wszelkiej możliwej pomocy.

Danka uśmiechnęła się łaskawie i skinęła głową.

– Dziękuję.

Wchodząc do holu z przewodnikiem, czuła się o wiele pewniej. Tym razem za kontuarem siedział ochroniarz – prawie dwumetrowy drab z wielkim brzuchem i wyraźnymi zakolami. D’Artagnan skinął mu ręką, że wszystko w porządku, i bez problemu weszli do środka.

Kiedy przekroczyli bramkę, Danka zaczęła się lekko denerwować – nie miała ochoty wyjaśniać, że przyszła tu tylko szpiegować i podglądać, a nie spotykać się ze swoim chłopakiem. Co gorsza, jeśli teraz wpadnie na Krzyśka, pewnie skończy się to zrobieniem sceny przy świadku. A może w Nasty Oranges wcale nie dzieje się nic złego i powinna po prostu dać spokój i wrócić do domu? Było przecież późno i...

– Idziesz? – zapytał d’Artagnan, oglądając się na nią.

– Jasne.

Nie znaleźli Krzyśka. Danka z jednej strony poczuła ulgę, a z drugiej jej podejrzliwość na nowo odżyły. Jeśli nie było go w domu i nie było go tutaj...?

– Może się minęliście – podsunął muszkieter, jakby wyczuwał jej wątpliwości. Siedzieli na schodach między pierwszym a drugim piętrem i pili zimną colę z puszek, które kupił w automacie. Danka milczała pośpennie, a on bawił się kapeluszem, obracając go w palcach. – Chwilę się goniliśmy po Saskiej, więc może wtedy poszedł do domu.

W takim razie teraz pewnie się zastanawia, gdzie ja się podziałam – pomyślała Danka i westchnęła.

– Chcesz już wracać? – zapytał delikatnie. – Czy może zostaniesz tu, a o świcie roztopisz się w pierwszych promieniach słońca albo zamienisz w poranną rosę?

Danka wzruszyła ramionami. Na myśl o tłumaczeniu się przed Krzyśkiem z nocnych spacerów zrobiło jej się bardzo nieswojo.

– A może chodźmy na dach? – zaproponował nagle, ożywiając się.

– Naprawdę myślisz, że mój chłopak może tam być? – Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Nie, ale jest stamtąd ładny widok. – Muszkieter wyszczerzył zęby, przez co lewe, podsinione oko nabrało jeszcze bardziej makabrycznego wyglądu – jak przejrzała śliwka, która zaraz pęknie. Mimo to było w tym uśmiechu coś sympatycznego.

– Niech będzie.

Widok był beznadziejny.

D'Artagnan puścił Danke przodem po metalowej drabince, więc miała czas rozejrzeć się po płaskim dachu budynku i stwierdzić, że drzewa wszystko zasłaniają. W dali po prawej drżała czerwono-biała mgiełka świateł Stadionu Narodowego – i tyle.

Żeby można było zobaczyć Saską Kępę z góry, przydałyby się jeszcze ze dwa piętra.

Odwróciła się, nagle pełna złych przeczuć, i powiedziała zimno do ciemnej postaci, która tymczasem stanęła za jej plecami:

– Nic stąd nie widać.

D'Artagnan – wróć: podejrzany nieznajomy z wielką śliwą pod okiem (a więc nieobca mu przemoc!), który zwabił ją w miejsce, skąd może uciec, tylko rzucając się w dół, a gdyby próbowała krzyczeć... no tak, pewnie jest w zмовie z ochroniarzem, przecież widziała, jak na siebie porozumiewawczo patrzą, może i wyglądał sympatycznie, ale Ted Bundy i Albert Fish podobno też – zrobił krok do przodu, odcinając jej drogę ucieczki, i wyciągnął obie ręce, jakby chciał ją chwycić za ramiona.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła, odsuwając się gwałtownie. Chciało jej się płakać ze złości. Czemu wpakowała się w coś takiego? Przecież wiedziała, że ludzie kardynała są podstępni.

Chłopak z podbitym okiem zbaraniał ze zdziwienia, a potem zaczął się cicho śmiać.

– Przepraszam, ciągle zapominam, że jesteś duchem. Pewnie rozsypałabyś się w proch, co?

No dobrze, teraz już nie wiedziała, co ma myśleć. Kpił sobie z niej?

– Pewnie tak – mruknęła.

– Chciałem ci tylko pokazać... – uniósł rękę do góry. – O ten widok mi chodziło.

Danka zadarła głowę do góry i pierwszy raz od bardzo wielu lat spojrzała w gwiazdy. Westchnęła. Nagle – z bolesną wyrazistością, która aż zakula ją w piersiach – przypomniały jej się wakacje na wsi, kiedy miała osiem czy dziewięć lat i leżały z siostrą na łące, patrząc w niebo. Robiły to tylko dlatego, że Dance wydawało się to romantyczne i baśniowe. „Jeśli chcesz, żeby przydarzyły ci się ciekawe rzeczy, musisz patrzeć w gwiazdy. I szukać zaczarowanych przedmiotów”, tłumaczyła swojej starszej, rozsądnej siostrze, która na początku marudziła, że zimno i późno. Danka, leżąc w wilgotnej od nocnej rosy sukience, z rozrzuconymi rękami wplątanymi w trawę, czuła się absolutnie szczęśliwa. Powietrze było chłodne i słodkie od zapachu czerwonej koniczyny. Gośka wierciła się obok, odpierając atak wyimaginowanych mrówek, a Danka wpatrywała się w nieznane gwiazdozbiory z determinacją i niezachwianą pewnością, że zaraz wydarzy się coś absolutnie cudownego.

– Dalej nie wiem, jak się nazywają – wymamrotała, z trudem wracając do 2013 roku.

– Hm? – zainteresował się d’Artagnan.

– Gwiazdy. Nie wiem, jak się nazywają. Nie potrafię rozpoznać ani jednej.

– Mogę ci sprawdzić – zaoferował i już sięgał do kieszeni, kiedy syknęła:

– Ani mi się waż.

Uśmiechnął się pod nosem i milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Jak masz na imię?

– Danka – mruknęła, zapatrzona w niebo.

Zapytać go o Krzyśka? – zastanawiała się. – Ryzykowne. Może dobrze się znają i d’Artagnan w imię męskiej przyjaźni będzie go kryć? Albo okaże się, że... Nie, lepiej nie pytać. A w ogóle najlepiej by zrobiła, gdyby poszła do domu. Oglądanie gwiazd na dachu z tajemniczym nieznajomym miało rzecz jasna swój urok, ale... – szukała minusów tej sytuacji, jednak w końcu się poddała. No dobrze, wcale nie chciała jeszcze wracać, bo była ciekawa, co będzie dalej. Jeszcze tylko jeden rozdział i idę spać, przysięgam.

– Cała się trzęsiesz z zimna. Jeśli chcesz, mogę nam przynieść firmowe śpiwory. Są ciepłe i czyste... dosyć.

Danka skinęła głową, nawet nie patrząc na niego.

Po chwili wrócił, podał jej ciężką, śliską „mumię”, a drugą rozpiął u dołu, wszedł do środka i zasunął się tak, że wystawały mu tylko buty i ramiona. Na koniec naciągnął na głowę kaptur i zaprezentował się Dance, niezgrabnie okręcając się wokół własnej osi.

– Pięknie. Wyglądasz jak wielki, oklapnięty jaszczur.

– Miło mi poinformować cię, że za chwilę będziesz wyglądać dokładnie tak samo. Albo zamarzniesz na śmierć. – Ze stęknieniem usadowił się tak, żeby opierać się o ściankę betonowej budki osłaniającej wjazd, i wyciągnął nogi przed siebie. Danka w chwilę później poszła za jego przykładem. Kiedy podciągała suwak wyżej, usłyszała piśnięcie swojego telefonu. Wyjęła go z kieszeni z ciężkim sercem i przeczytała: „Gdzie jesteś? Coś się stało? Odezwij się albo dzwonię po ABW”. Skrzywiła się, odpisała, pomedytowała chwilę, skasowała wszystko i w końcu zdecydowała się na oględne: „Wszystko ok. Wrócę późno, nie czekaj na mnie”. Po kilku minutach telefon pisnął znowu. „Hm, ok. Pogadamy jutro”.

– Musiało ci bardzo zależeć na tym chłopaku – powiedział konwersacyjnym tonem d’Artagnan po jakimś kwadransie, uznając, że już wystarczająco długo taktownie milczał. – Olał cię, a ty nawet po śmierci nie odpuszczasz.

Mruknęła coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

– Jak się poznaliście? Jak rozumiem, jesteś spoza branży, więc to pewnie nie było takie proste.

– Przez wspólnych znajomych na imprezie. Mało widowiskowo. Mam wrażenie, że teraz ludzie już nie poznają się w jakichś szczególnie romantycznych okolicznościach – powiedziała w zamyśleniu, odchylając głowę do tyłu. – No wiesz, on potrąca ją niechcący swoim bcyklem, ona oczywiście nie chce mieć nic wspólnego z takim brutalem, ale gubi chusteczkę z wyhaftowanym monogramem i... Albo wpadają gdzieś na siebie niespodziewanie, na przykład sięgają oboje po tę samą książkę w bibliotece... Z czego się śmiejesz? – zapytała podejrzliwie.

– Wcale się nie śmieję. Mów dalej, to ciekawe.

– Chodzi mi o to, że kiedyś trzeba było wyjść poza swoją strefę komfortu, żeby spotkać kogoś fajnego, a teraz ludzie poznają się albo w pracy, albo przez znajomych, albo na jakichś durnych konwentach, bo są aktywni na tym samym forum wielbicieli Cthulhu.

– Na pewno zdarzają się wyjątki – powiedział z powagą d’Artagnan.

– Pewnie tak. W każdym razie my poznaliśmy się na czyichś urodzinach.

– Mhm. I co potem?

– To znaczy? – zdziwiła się.

– No, olśnił cię siłą wymowy, zaletami ciała czy poczułaś duchową więź, widząc, że też lubi grubo krojone chipsy? A może spodobało ci się, że taki pracowity?

– Bardzo śmieszne. Spodobał mi się jego styl. Zachowywał się, jakby go ktoś zmusił, żeby tam przyszedł. I wyraźnie było widać, co myśli o tych wszystkich ludziach, jakby nad głową pojawiały mu się napisy w komiksowych dymkach. Przez cały wieczór nie powiedział ani słowa i uznałam, że jest absolutnie

najciekawszą osobą w pokoju. Wyglądał jak znudzony do szaleństwa Sherlock Holmes, któremu ktoś pochował wszystkie strzykawki. Jest coś takiego w mrukliwych i lekko aroganckich facetach, że chcesz zobaczyć, jacy są naprawdę w bardziej, hm, prywatnych sytuacjach.

– Czyli lubisz wyzwania.

– Możliwe. Tamtego dnia byłam w takim nastroju. A potem od razu się zakochałam – tak metodycznie i na zabój, jakby ktoś zamykał po kolei zatrzaski w ciężkiej walizce.

– Ale wszystko źle się skończyło, tak? – upewnił się.

– Skończyłoby się dobrze, gdyby nie Nasty Oranges. Znaczący, wiesz, ja rozumiem, że można lubić swoją pracę, a nawet cieszyć się nią i z radością rano wyskakiwać z łóżka. Ale bez przesady. To ważne, żeby zachować jakąś zdrową równowagę w życiu, bo na pracy świat się nie kończy. Też mi się kiedyś wydawało, że mogę się realizować tylko i wyłącznie na jednym, wybranym stanowisku. Ale to nieprawda. Jeśli widzisz, że praca wpływa na ciebie niekorzystnie – na przykład kasuje całe twoje życie towarzyskie i domowe – to ją zmień. Ja tak zrobiłam i teraz zajmuję się czymś, co może nie wykorzystuje całego mojego potencjału, wiedzy ze studiów, szkoleń i tak dalej, ale jestem szczęśliwsza i mam o wiele więcej czasu na to, co dla mnie naprawdę ważne.

– O? A co to takiego?

Nagle wystraszył się, że ona i ten gość mają dziecko i zaraz usłyszy o radościach rodzicielstwa.

– Mogę teraz więcej czytać.

– Zmieniłaś pracę, żeby więcej czytać? Naprawdę?

– Tak wyszło. I jestem bardzo zadowolona.

– Mhm. Ale pewnie mniej zarabiasz, co?

– A jakie to ma znaczenie? – zjeżyła się.

– Noo, chodzi mi o to, że skoro mieszkasz z tym chłopakiem, to pewnie jednak on przynosi więcej z Nasty Oranges niż ty ze swojej pracy. Utrzymałabyś się sama?

– No nie, teraz chcesz mi wmówić, że on się poświęca i to dla mnie haruje po nocach? – zirytowała się Danka. I nie, nigdy nie przeliczyła, czy wystarczyłoby jej na samodzielne wynajmowanie kawalerki.

– W żadnym razie – zaprotestował gorąco muszkieter. – Jestem pewien, że masz rację i pracowanie tutaj na bank sprawia mu niezdrową radość. Jeśli mam być szczery... Mam być?

– No jasne.

– Większość z nas nie potrzebuje życia poza pracą. Mamy tu wszystko, co nam potrzebne: robimy to, co nas najbardziej kręci i czego inni nam rozkosznie zazdroszczą, możemy się uczyć od siebie nawzajem i rozwijać, ciągle podnosimy sobie poprzeczkę... Poza tym jesteśmy otoczeni ludźmi o podobnych zainteresowaniach, więc w przerwach za jednym zamachem załatwiamy też życie towarzyskie: plotkujemy, gramy na konsolach albo w ping-ponga, oglądamy filmy, zamawiamy pizzę... Jest też miejsce na życie rodzinne: kiedy crunch się przedłuża, żony przyprawdzają tu dzieciaki i wtedy dopiero robi się wesoło. W pewnym sensie zachowujemy w tym wszystkim równowagę – tylko zmienia się układ odniesienia. Nasty Oranges to mały, zamknięty wszechświat.

– I ty uważasz, że to dobrze? Że tak powinno być? – wyszeptała oszołomiona.

– Oczywiście, że nie. Ale tak właśnie jest, i tyle.

Danka zacisnęła wargi. Bardzo ceniła sobie szczerłość, ale to nie zmieniło faktu, że trudno jej było to przełknąć.

– Chyba muszę już iść.

– Nie chciałem...

– Jest naprawdę późno. – Danka wysupłała się ze śpiwora i oddała go d'Artagnanowi.

– Odprowadzę cię.

– Południowy, Północny czy Bródnowski? – zapytał, kiedy wyszli na Irlandzką.

– Hm? – zdziwiła się, a potem parsknęła śmiechem. – Nie musisz mnie eskortować aż tam. Wezmę taksówkę. – Wyjęła telefon i zaczęła szukać numeru. D’Artagnan przeszedł się kilka metrów tam i z powrotem z rękami założonymi na plecach. – Będzie za dziesięć minut – powiedziała, kiedy się rozłączyła.

Muskieter zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się przed nią. W świetle latarni wyglądał jak nierówno umalowany klaun. Danka założyła mu na głowę swój kapelusz i lekko przekrzywiła rondo, a potem cofnęła się, żeby ocenić efekt.

– Na tobie wygląda jednak lepiej.

– Bo to męski kapelusz. Co mu powiesz?

Danka skrzywiła się i odwróciła wzrok.

– Jeszcze nie wiem. Problem w tym, że on potrafi mnie przejrzeć na wylot. Od razu wie, kiedy coś zmyślam, jakby umiał zajrzeć mi prosto do głowy. Zawsze wydawało mi się to jednocześnie cudowne i trochę przerażające. Takie rzeczy świadczą o prawdziwej bliskości.

– Aha.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Przyjdiesz tu jeszcze? Jutro w nocy?

– Po co? Chyba wiem już wszystko, co chciałam wiedzieć – westchnęła. – Dzięki za rozmowę. Kapelusz możesz zatrzymać.

– Na pewno zrobię w nim furorę. A może nawet odtąd nie będę musiał myć włosów? Słuchaj, jakbyś jednak wróciła, wiesz, gdzie mnie szukać. Pewnie będę w firmie cały czas.

– Domyślam się. Ale naprawdę lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś tu nie siedział po nocach. Jest już moja taksówka. Dobranoc.

– Dobranoc.

Trzasnęły drzwiczki i granatowe volvo odjechało z niskim pomrukiem silnika.



Rozdział siódmy

Środa 11 grudnia

Miłość mojego życia

Marcin tak długo robił miny przed pokojem programistów, aż w końcu Nela go zauważyła. Przyglądała się chwilę, jak odstawia za przezroczystymi drzwiami odwieczną pantomimę: „idziesz na dwór się pobawić?”. Jeśli starał się być przy tym dyskretny, to mu się nie udało. Na szczęście wszyscy jej koledzy skupieni przy komputerze Franka oglądali właśnie rozbierane zdjęcia jakiejś aktorki, wymieniając się fachowymi uwagami, więc nawet gdyby Marcin obrzygał drzwi tęczą, nic by nie zauważyli. Wstała niechętnie i wyszła na korytarz. Marcin poruszył konspiracyjnie rudymi brwiami, aż mu się piegi na nosie poprzesuwały, a potem wyprowadził ją na zewnątrz.

– Już wszystko obmyśliłem – oświadczył tryumfalnie.

– Tak?

– Wczoraj z tego wszystkiego zapomniałem ci powiedzieć, że dowiedziałem się czegoś bardzo ciekawego od barmana w tym barze na Francuskiej... tym, pewnie wiesz którym. Nazywa się jakoś na „n”.

– No, chyba wiem. I?

Nela naciągnęła sobie kaptur na głowę i objęła się ramionami. Wyszła w samej bluzie jak idiotka.

– Otóż Jasiek Ritmeijer niedługo przed swoim zniknięciem strasznie się skarżył na Antka Hejdasza. – Marcin, nie przestając gadać, zdjął swój gruby polar i zarzucił jej na ramiona, nawet nie pytając, czy sobie tego życzy. – A z kolei pani Jagoda niechętnie usłyszała, jak Jasiek się z kimś kłócił wieczorem. I według niej to było coś więcej niż zwykła sprzeczka. Dlatego właśnie pomyślałem, że...

– Bzdury. Antek przepada za Jaśkiem. Mówiłam ci przecież.

– No tak, ale... Zresztą, pogadamy o tym wszystkim wieczorem, nie chciałem cię teraz odrywać od pracy, tylko się umówić. Więc krótko: mamy dwa główne tropy. Ja zajmę się rodziną Jaśka, a ty Sonią, jego dziewczyną...

– Chwila, chwila. Chyba się nie zrozumieliśmy. Bardzo podziwiam twoją determinację, ale dalej uważam, że jesteś spisany na straty od dnia, kiedy tu przyszedłeś. Jeśli chcesz spędzić ostatnie tygodnie, bawiąc się w śledztwo, będę ci szczerze kibicować. Ale ja zostaję w Nasty Oranges i mam dużo pracy. Nie wyobrażasz sobie jak dużo, bo to należy do rzeczy, które nie śniły się producentom. Jeśli myślisz, że oleję crunch, żeby jako twój Watson węszyć dookoła Hejdasza, który – tak się składa – jest moim szefem, i twoim również, opierając się na jakichś mętnych plotkach i pogłoskach, prawdopodobnie wyssanych z palca, to się grubo mylisz.

Auć. Mimo wszystko Marcin, patrząc na wojowniczo wysuniętą brodę Neli i jej pełne niesmaku spojrzenie, nie mógł się nie uśmiechnąć. Od niedzieli zdążył ją bardzo polubić.

– To było bardzo skomplikowane i złożone zdanie. – Udało mu się przybrać poważny wyraz twarzy, ale w oczach tańczyły mu wesołe iskierki.

– *And I mean it.*

– Hmm. A gdybym wyglądał jak Benedict Cumberbatch, też nie chciałabyś być moim Watsonem?

– O Boże, skąd wiesz o mnie i Benedyku? – Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Yyy?

- Jest miłością mojego życia.
- Szczerze mówiąc, myślałem, że to Mat jest miłością twojego życia.
- No co ty. Mat zawsze będzie numerem drugim – machnęła pogardliwie ręką.
- A tak swoją drogą, kto powiedział ci o Macie?
 - Nikt. To znaczy, eee, wszyscy. Nieważne. Czyli odpowiedź dalej brzmi „nie”?
- upewnił się.
 - Umów mnie z Cumberbatchem, to przetrząsnę nawet kubły na śmieci pod domem Hejdasza.
 - *Ok, challenge accepted* – westchnął. – No nic, tak czy inaczej, dzięki. Za spotkanie w niedzielę i tak w ogóle. A teraz wracajmy, bo dalej marzniesz.
 - Czekał. Tak serio, to jeśli rzeczywiście szukasz pomocy, powinieneś iść z tym do swojego teamu. Od dwóch dni ich unikasz. To głupie.
- Marcin już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale... Miała rację. Od poniedziałku płał w zaciekawionych i coraz bardziej przychylnych spojrzeniach pracowników Pomarańczy, rozdawał błogie uśmiechy na prawo i lewo, dawał się wciągać w różne ocieplające klimat pogawędki, ale na widok questowców robił nonszalancką i wyniosłą minę. Udawał, że nie widzi nieśmiałych uśmiechów Asi, męczeńskich min Jacka ani szczerego żalu Pawła Stentora. Teraz dopiero uświadomił sobie, że właściwie to oczekiwał, że go przeproszą. Nie wiedział konkretnie za co, ale takie miał poczucie. Rzeczywiście strasznie to głupie.
 - Masz rację – powiedział z ciężkim sercem.
 - Wiem, że mam. A teraz rzeczywiście wracajmy do środka. Aha, Marcin... Jeszcze jedno. Następnym razem, kiedy będziesz chciał ze mną pogadać na osobności, po prostu wyślij mi sms-a, ok?

Wyścigi

– Cześć – powiedział nieśmiało Adam, zaczepiając Karolinę w kuchni. Stała oparta o szafkę z talerzami i nie było przy niej zupełnie nikogo. – Idziesz na lunch? Możemy zjeść razem – zaproponował z nadzieją.

– No... ja... – zawahała się.

– O, już jesteś – ucieszył się Franek Kilariski, który nadszedł od strony schodów. – Przepraszam, że czekałaś. To co, idziemy? – zapytał energicznie. Adamowi poświęcił mniej więcej tyle uwagi co okruszkom na stole.

Karolina skinęła głową, a potem spojrzała niepewnie na młodego testera.

– A, rozumiem – zaśmiał się Adam, trochę zakłopotany, i przegarnął sobie włosy chłopięcym gestem. – To może w takim razie zjemy we trójkę? – zapytał, zwracając się tylko do Karoliny.

– Świetny pomysł – powiedziała z ulgą i ruszyła na dół do kantyny. Adam szedł po jej lewej stronie, a Franek po prawej. Na schodach spotkali Pawła Stentora, który swoim zwyczajem w podskokach wbiegał na górę.

– Gdzie idziecie taką bandą? – zapytał rozbawiony, przystając na moment, i niemal natychmiast zaczął się kiwać na piętach. Miał na sobie czerwoną koszulkę z Iorwethem i napisem „Rebel”.

– Na lunch – odpowiedział ponuro Franek. – Co dzisiaj dają?

– Krem z brokułów, spaghetti z grillowanym kurczakiem i sosem śmietanowo-serowym, tartę szpinakową i ciasto czekoladowe na deser – wyrecytował Stentor.

– O, ciasto czekoladowe. – Karolina uśmiechnęła się błogo.

– Echhh... Bohatersko go sobie odmówiłem, bo niby jestem na diecie – zaśmiał się Paweł i poklepał po brzuchu – ale teraz mi przypomniaлиście i chyba jednak się skuszę. Mają też do niego bitą śmietanę i sos malinowy z prawdziwych malin. No, to chodźmy. Ten duży stolik przy oknie jeszcze dwie minuty temu był wolny.

Rzeczywiście był, ale zanim dopchali się do kasy (Karolinę oczywiście przepuścili pierwszą), rozsiadła się tam grupa testerów. Opowiadali sobie właśnie jakiś pieprzny dowcip i kiedy Karolina stanęła na środku sali z tacą w rękach, ryknęli głośnym śmiechem. Podskoczyła spłoszona i rozejrzała się bezradnie po

innych stolikach. Kiedy przy jednym z nich wypatrzyła Andrzeja, rozjaśniła się i podeszła do niego.

– Hej! Mogę?

– Jasne – odparł pospiesznie Andrzej, trochę zdziwiony, i przesunął się bliżej Krzyśka, żeby zrobić jej miejsce. Chwilę później dołączyli do nich Paweł, Adam i Franek. Andrzej ukradkiem wymienił znaczące spojrzenie z Krzyśkiem, który uśmiechał się pod nosem i pewnie już zliczał punkty w głowie.

– Świetne ciacho – zachwycił się Paweł, metodycznie wsuwając je łyżeczka za łyżeczką. – Dobrze, że mnie posłuchałaś, Karolina, i też je wzięłaś, bo naprawdę – żałowałabyś. Pycha.

Adam i Franek jedli w ciszy.

Karolina przez chwilę walczyła w skupieniu ze spaghetti, które nie chciało się nawinać na widelec, a potem zwróciła swoje świetliste oczy na Andrzeja.

– To co teraz robicie tam w gameplayu? – zapytała uprzejmie.

– No, ja sprawdzam buga: dlaczego pomimo przypisania do arraya entity z handla, po wygenerowaniu unikalnego, statycznego IdTaga obiektu, variable zwraca NULL na breakpointie... – urwał, widząc jej minę. – Nieważne, nie chcę ci psuć apetytu – uśmiechnął się i poklepał ją przyjaźnie po ramieniu.

– Zresztą, my już skończyliśmy, a wy pewnie chcecie sobie spokojnie porozmawiać – dorzucił Krzysiek i wstał, a Andrzej poszedł za jego przykładem.

Kiedy wychodzili z kantyny, zdążyli jeszcze usłyszeć, jak Paweł mówi z zapalem:

– Przyjemnie tak jeść w większej grupie, może zrobimy z tego tradycję?

I ponurą odpowiedź Franka:

– Koniecznie.

Krzysiek stłumił prychnięcie.

– To jak? Każdy po trzy punkty? – zaproponował Andrzej półgłosem.

– Nie, no co ty. Albo każdy po jedną trzecią punktu, albo wszystkim pozostałym odejmujemy po jednym za brak refleksu. I założę się o piwo, że jutro

przy lunchu cała siódemka ją obsiadzie jak wygłodniałe sępy.

– Ja pas, bo na pewno wygrasz – westchnął ciężko Andrzej, a potem uśmiechnął się szeroko. Robiło się coraz ciekawiej.

Kacper Maciejak, producent enviro, przypalił uważnie papierosa, oparł się o ścianę budynku Nasty Oranges i zaciągnął z błogą miną. W firmie trwała moda na e-papierosy, ale większość palaczy i tak kilka razy dziennie wymykała się na prawdziwe szlugi. W zeszłym roku jakoś o tej porze wszyscy szaleli na punkcie yerba mate – przypomniał sobie. Całymi dniami łazili z kubkami w garści, przyssani do bombilli, aż w końcu ktoś rzucił jakiegoś złośliwego suchara i się skończyło. Z perspektywy Kacpra więcej było pożytku z e-papierosów, bo przynajmniej częściej miał palarnię (czyli ustawioną od południa ławkę z popielniczką) tylko dla siebie. Papierosy najbardziej smakowały mu niełączone z niczym innym: gadaniem, jedzeniem ani alkoholem. Kiedy był sam, podnosił kołnierz kurtki i obserwował dym spod zmrużonych powiek, czuł się prawie jak James Dean. A dokładniej: czuł się prawie tak, jak wydawało mu się jako dziesięciolatkowi, że musi się czuć James Dean, paląc papierosy. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jedyne, co ich naprawdę łączy, to odstające uszy (tutaj wręcz bił Deana na głowę), ale chodzi o klimat. Czasami myślał nawet, żeby sobie kupić motocykl, ale potem zaraz przypominało mu się, że przecież Jasiak jeździ starym Bonneville'em. No ale gdyby nigdy tu nie wrócił...

Kacper uśmiechnął się lekko i strzepnął kruchy popiół. Zaczynały mu już marznąć ręce, ale to też było przyjemne. Zdecydowanie lepiej paliło się na zimnie – byle nie padało.

Nagle zza rogu wyszedł Franek Kilariski i Karolina, ta nowa. On – roześmiany i promieniejący zadowoleniem z siebie – tłumaczył jej coś z zapalem, a ona słuchała uprzejmie, ale z wyraźnym roztargnieniem. Na widok Kacpra Franek zmarszczył złocistą brew, zatrzymał się i pociągnął Karolinę w inną stronę. Nie omieszkał przy tym opiekuńczo położyć jej ręki na ramieniu, a jakże.

Kacper zaciągnął się i uśmiechnął pod nosem. A więc zaczęło się na dobre. Tym razem on sam nie należał ani do dżentelmenów, ani do pajaców, ale gdyby dało się obstawiać przeciwko komuś, byłby chyba gotowy wyłożyć gotówkę. Jeśli szarooka Karolina nie uległa boskiemu czarowi Franka od razu, oślepiąca jego niewątpliwą urodą, szanse, że dostrzeże w nim coś więcej, były raczej marne.

O tym, że coś takiego jak wyścig pajaców w ogóle istnieje, Kacper dowiedział się kilka lat temu, w najgorszy z możliwych sposobów: przegrał i zaraz potem uświadomił sobie, że nie jest to tylko jego prywatna sprawa. Andrzej zapytał go wprost, jak poszło, a kiedy wyczytał z jego twarzy odpowiedź, klepnął go w ramię i zaprosił na piwo. I nie dopytywał o szczegóły. W pewnym sensie – bardzo pokrętnym i wymykającym się prawom logiki – Andrzej był w porządku.

Najzabawniejsze, że Kacper wcale nie starał się zaciągnąć Neli do łóżka. Jakoś samo tak wyszło – i on był tym najbardziej zdumiony. Jako że w grę wchodziło sporo alkoholu, niektóre sceny z tamtego wieczora pamiętał boleśnie wyraźnie, a inne były rozmyte, nierzeczywiste – jakby ktoś bawił się ustawianiem ostrości w lustrzance. Letnia impreza na dachu jak zwykle przeciągnęła się prawie do rana, a oni cały ten czas siedzieli w kącie na dmuchanym materacu, stykając się kolanami. Nela pracowała w Nasty Oranges dopiero od dwóch miesięcy i trzymała się raczej na uboczu, ale tamtej nocy miał wrażenie, jakby znali się i lubili od dawna, i to ta niespodziewana, nagła bliskość najbardziej go oszołomiła. Powinien pewnie wyczuć, że wszyscy na nich patrzą, ale zbyt dobrze się bawił. Piwo szumiało mu w głowie, a aksamitna mgiełka lipcowego mroku gęstniała wokół nich jak słodki syrop. Wszystko się nagle cudownie uprościło. W którymś momencie Nela, zaśmiewając się z jakiegoś żartu, opadła mu na pierś – i wydawało się to wtedy zupełnie naturalne.

Nad ranem odprowadził ją do mieszkania, przyjął zaproszenie na herbatę i już po chwili rozwiązywał na oślep tasiemki przy jej letniej sukience. Chciał najpierw się na nią napatrzeć, ale od razu przyłgnęła do niego i pociągnęła go na łóżko. Z westchnieniem utonął w sennej, pachnącej miękkości, ciągle nie dowierzając

swojemu szczęściu. Wszystko szło tak wspaniale, tak zaskakująco gładko, że oczywiście musiało się spieszyć.

Nagle Nela wyplątała się z jego objęć i usiadła na piętach.

– Przepraszam. Nie mogę.

Pochyliła głowę tak, że włosy rozsypały jej się na plecach i spłynęły po bokach, okrywając ją jak płaszcz. Widział ją teraz z profilu: drżący cień rzęs, miękki zarys policzka i zaciśnięte usta. Przez chwilę milczał, bo jeszcze do niego nie docierało, że nic z tego – a potem nie wiedział, co powiedzieć.

– Naprawdę przepraszam. Lubię cię i to nie jest tak, że... Tylko... – Nela mówiła całkiem spokojnie, nie tłumaczyła się gorączkowo, tylko szukała właściwych słów. – Jestem zakochana w kimś innym. To beznadziejne, bo on nigdy nie zwróci na mnie uwagi. Ale i tak... Jednak nie mogę.

– Rozumiem.

Ubrał się i wyszedł, cały czas zastanawiając się, czy mówiła prawdę. Teraz, kilka lat później, dalej tego nie wiedział, chociaż czas pokazał, że rzeczywiście miała wyraźną słabość do Mata, który tego albo nie dostrzegał, albo starannie rzecz ignorował. Kacper musiał przyznać z przykrością, że przy game directorze wygląda jak ziemniak z uszami i chociaż obaj są w firmie bardzo popularni, to jednak Mat jako charyzmatyczny wizjoner, a on jako poczciwy, lojalny kumpel. Rzeczywiście, trudny wybór.

No cóż, to było ciekawe doświadczenie (starał się tak do tego podchodzić). Gdyby wtedy się nie sparzył, to na widok Karoliny pewnie całkiem straciłby głowę, tak jak ci nieszczęśnicy, którym Krzysiek i Andrzej co wieczór podliczali punkty. A tak mógł obserwować to wszystko z bezpiecznej odległości i zastanawiać się leniwie, kto wygra, a kogo czeka niemiła niespodzianka.

Ochotnik

– Chodźcie wszyscy na chwilę do gabinetu Jaśka – powiedział Marcin, stając przy biurkach Asi i Mazurka. Cały jego team posłusznie wstał i pomaszerował na górę jak stadko gęsi, rzucając mu po drodze zaciekawione spojrzenia. Marcin zaprosił ich gestem do środka (już od dawna czuł się u Jaśka jak u siebie), wszedł ostatni, a potem starannie zamknął drzwi. Usadowił się na biurku i zachęcił, żeby rozgościli się na puszystej wykładzinie. Mazurek oparł się o ścianę, a Paweł, Asia i Jacek usiedli po turecku jak dzieci w przedszkolu na pogadance. Marcin odchrząknął.

– Jak zapewne już wiecie, nie przybyłem do Nasty Oranges specjalnie po to, żeby dobrać się wam do dupy – nie teraz, Asiu, czekoladki i kwiaty zroszone łzami skruchy możecie przynieść jutro – a moja znajomość z Tomkiem jest... znaczy była... ech, no, chciałem powiedzieć, że czuję się częścią teamu i postaram się zrobić wszystko co w mojej mocy, żebyście bez przeszkód mogli pracować nad fabułą RFF4.

– Jezu, a tak dobrze się zaczęło. – Jacek przewrócił oczami. – Marcin, ty jednak jesteś urodzonym producentem.

– Cicho – fuknęła Asia.

– Wiem, że jesteście, hm, jesteśmy, zablokowani nieobecnością Jaśka, ale na pewno coś da się z tym zrobić. Wyciągnę go choćby spod ziemi, a jeśli rzeczywiście przydarzyło mu się coś... ostatecznego, zmuszę Hejdasza i Mata, żeby znaleźli zastępstwo. Tak dalej być nie może, bo to wszystko skrupi się na was. Im dłużej ta idiotyczna sytuacja trwa, tym bardziej będziecie mieć przerąbane potem. Oczywiście nie mam żadnych supermocy ani wysokiej pozycji w firmie, ale też nie mam nic do stracenia, bo zapewne wylecę stąd z hukiem, kiedy tylko Tyrowicz się zorientuje, co kombinuję. Ale dopóki tu jestem, mogę drażnić temat, nie odpuszczać i przycisnąć Antka i Mata. Dotąd nie miałem nic wspólnego z tą grą, ale... jestem waszym fanem i chciałbym, żeby wyszła na czas i była wspaniała. Będę potrzebować waszej pomocy, ale postaram się nie przeszkadzać wam w bieżących obowiązkach. Co wy na to?

Popatrzył po ich twarzach.

Przez chwilę panowała cisza.

– Co mówi transformers do transformersa po wyjściu z dyskoteki? – powiedziała z szerokim uśmiechem Asia.

– Nie wiem.

– Składamy się na takse?

Nikt się nie zaśmiał, ale Jacek z powagą ofiarował mu wyjęte z kieszeni opakowanie niesiarkowanych moreli, ciepławe i pogniecione. Marcin uprzejmie podziękował, po czym przesunął wzrokiem po reszcie, ale najwyraźniej nikt nie miał już nic do dodania.

– Ok, uznaję, że to znaczyło „tak”. W takim razie potrzebuję jednego ochotnika, który pójdzie ze mną dziś na piwo i wyjaśni mi parę kwestii. Jacyś ochotnicy? Ja stawiam.

Paweł Stentor jak zwykle wyrwał się pierwszy.

– Niech Asia idzie. Ona zawsze wie najwięcej – powiedział, wprawiając ją tym w ogromną konsternację.

Pomarańczowy grzbiet

Danka wróciła do domu jak gdyby nigdy nic, wzięła długi prysznic, zjadła kolację i wcale nie zamierzała nigdzie wychodzić. Skończyła już Dumasa i teraz następował ten miły moment wyboru następnej lektury. Stała przed swoją półką z książkami, przyłożyła palec wskazujący do brody i spojrzała z namysłem na nierówne, kolorowe szeregi.

Musiała być sprawiedliwa, a to zawsze było trudne. Jej wzrok od razu powędrował do *Ciotki Julii i skryby*, ale nie – przecież czytała to miesiąc temu, jeszcze nie czas na powtórkę. Llosa zawsze wyrwał się pierwszy, jakby myślał, że im więcej zamieszania koło siebie zrobi, tym szybciej Danka po niego sięgnie. Otóż nie, Marito. *Czarodziejska góra*? Nie, zbyt uspokajająca, a ona była całkiem spokojna, jasne? Nic się nie stało i nie trzeba jej zagadywać, żeby załagodzić

sytuację. Danka spojrzała półkę wyżej i odmówiła po kolei Tołstojowi, Waltariemu i Steinbeckowi, bo ją denerwowali. Rozchmurzyła się dopiero, kiedy zahaczyła wzrokiem o Jerome'a K. Jerome'a. Nawet już wyjęła *Trzech panów w łódce (nie licząc psa)*, ale tylko pottrzymała przez chwilę rozpadający się tom i zdecydowała, że aż tak źle nie jest. Miała kilka książek, które zawsze poprawiały jej nastrój, jednak tym razem po prostu będzie dzielna – nie należało nadużywać życzliwości Jerome'a.

Ale może to dobry trop – mogłaby przeczytać coś wesołego. Topor potrafił być bardzo zabawny, ale jakoś nie. Michaux tylko udawał, że żartuje, a tak naprawdę co stronę miała wrażenie, że palnie sobie w łeb. Uwielbiała go (zwłaszcza *Niejakiego Piórka* i *Gdzie indziej*), ale no – nie dzisiaj. Wodehouse był zbyt trzpiotowaty, Samozwaniec coraz wyraźniej trąciła myszką, a Guareschi za bardzo się napinał przy puentach. Ale właściwie to wcale nie musiało być coś zabawnego.

No dobrze, ale teraz serio – przecież musi coś wybrać.

Przeszła się wzdłuż półek tam i z powrotem, popatrzyła na okładki pod różnymi kątami, przesunęła palcem po tym i owym tytule, po czym nagle zdała sobie sprawę, że już podjęła decyzję. Zaczęła się skradać do ofiary jak kieszonkowiec w tłumie, nonszalancko udając, że dalej się zastanawia, po czym nagłym, pewnym ruchem porwała książkę o pomarańczowym grzbiecie, zanim tamta zdążyła choćby pisnąć. Zaciągnęła ją jak wilk upolowaną sarnę do swojego leża, okręciła się dwa razy kocem, podsunęła sobie poduszkę pod plecy i zaczęła czytać.

Jak zawsze siedzimy obok siebie na starym skórzanym fotelu w gabinecie ojca. Chłopiec zwany Kawką lubi to miejsce. Bardzo lubi różne drobiazgi, które ojciec tu zgromadził. Teraz bawi się szklanym przyciskiem do papieru, w kształcie pszczoły. Oczywiście kiedy ojciec jest w domu, nawet nie zbliża się do tego pokoju.

– Bez względu na wszystko muszę stąd odejść. Tego nie da się zmienić – mówię.

– *Może masz rację – zgadza się chłopiec zwany Kawką. Odkłada przycisk na biurko i splata ręce na karku. – Ale to wszystkiego nie rozwiąże*[2].

Wciągnęło ją od razu – jakby wsiadła do zwykłej windy, która nagle wystrzeliła w kosmos, rzuciła nią o sufit i skoczyła w nadprzestrzeń. I natychmiast wyparowały jej z głowy wszelkie myśli o Krzyśku.

Poprzedniego dnia wrócił wcześniej, już koło dwudziestej trzeciej. Rano się rozminęli, więc dopiero wtedy zapytał, co to była za ważna sprawa w poniedziałek, że musiała wyjść w środku nocy. Danka dołożyła mu potrawki z kurczaka, wzięła głęboki oddech i powiedziała, patrząc mu w oczy:

– Zadzwoiła moja siostra. Mały jej się pochorował i musiała jechać na pogotowie, a nie miała z kim zostawić starszego dzieciaka.

Zamarła i czekała.

Krzysiek przełknął, popił herbatą i mruknął:

– Aha.

I nic.

Danka odczekała chwilę z bijącym sercem. Dalej nic.

– Miał chyba z trzydzieści osiem stopni gorączki. Gośka strasznie się zdenerwowała, była pewna, że Kubuś też się zarazi i kazała mi co pół godziny sprawdzać, czy się nie obudził chory – zmyślała wyzywająco. – Rzeczywiście koło pierwszej zaczął popłakiwać, ale czoło miał chłodne. Zaprowadziłam go do łazienki, a potem trochę mu pośpiewałam i usnął. – To było tak bezczelne kłamstwo, że aż jej samej zapało dech. Po pierwsze Danką nie potrafiła sobie radzić z dziećmi i nie zgodziłaby się zostać z jakimś małym potworem za żadne skarby, po drugie nie umiała śpiewać i nigdy – nigdy! – nie próbowała tego robić od czasów pamiętnego solowego wykonania *Panie dobry jak chleb* na Pierwszej Komunii, kiedy to doprowadziła do łez cały kościół i nawet ksiądz się śmiał. A po trzecie – i może od tego należało zacząć – nie widziała się z siostrą od zeszyłych Świąt, a od dziesięciu lat rozmawiały ze sobą tylko na rodzinnych spędach. I Krzysiek wiedział o tym wszystkim.

Co miała jeszcze dodać? Że jak wrzucał, to kuczał, i jechała taksówka, i powóz, i krowę prowadzili, i trąbił autobus?

Może po prostu nie słuchał? – pomyślała z nadzieją.

– Widzę, że cię to nie interesuje!

Krzysiek podniósł na nią wzrok. Jego brązowe oczy patrzyły zza okularów łagodnie i spokojnie.

– Interesuje, tylko nigdy nie poznałem twojej siostry, więc nie mam żadnego komentarza na podorędziu. Może ją razem odwiedzimy któregoś dnia? Naturalnie, kiedy już crunch się skończy.

– Naturalnie – burknęła i zmieniła temat. Nic się przecież takiego nie stało.

Po godzinie czytania Danka zaczęła się wiercić, koc się ciągle zsuwał, a poduszka uwierała. Rozbolało ją serce, ale to był znak, że właściwie wybrała książkę.

Teraz chyba powinna wyjść na zewnątrz.

Murakami tak przejmująco pisał o samotności, że miała wrażenie, jakby ktoś napełnił jej płuca zimną wodą. Od poczucia nagłej, bolesnej wolności zakręciło jej się w głowie, ale to wszystko było dobre. Potrzebowała teraz tylko przestrzeni i powietrza – i może trochę zdrowego strachu jak przy skoku ze spadochronem. Włożyła dzinsy i czarny golf, narzuciła płaszcz, a *Kafkę* wsadziła do torby. Chciała go mieć przy sobie. Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi na klucz.

Drugi wpierdol

Mazurek przegrywał.

Zerknął na swojego uśmiechniętego przeciwnika i zrozumiał, że znowu zostanie srogo pobity. Cóż, najwyraźniej taki jego los.

Pan Ludwik, ochroniarz, sięgnął do rozłożonych kart, przekreślił trzy z nich w prawo i oznajmił uroczyście:

– Tapuję mountainy, trzy czerwone mana w poolu. Fireball za dwa.

No i to był koniec. Mazurek z filozoficznym spokojem zaczął zbierać swoją talię. Niespecjalnie przejmował się przegraną, tym bardziej że zależało mu na dobrym humorze pana Ludwika. Co prawda już i tak zapłacił sowicie za jego przychyłność, ale warto pielęgnować takie kontakty.

W każdej innej firmie żeby przekupić ochroniarza, wystarczyłaby flaszka albo kilka paczek papierosów, ale w Nasty Oranges wszyscy byli zarażeni growym pierdolcem (poza panią Jagodą, oczywiście) i Mazurek musiał poświęcić kartę *Enkil Cog* ze swojej wychuchanej kolekcji *Vampire: The Eternal Struggle*, aby uzyskać właściwy efekt: Danką miała stać się dla pana Ludwika – fana karcianek – niewidzialna, jakby rzeczywiście była duchem.

Zapowiadała, że już nie przyjdzie – i rzeczywiście we wtorek się nie pojawiła. Czekał do drugiej nad ranem, a potem zniechęcony wrócił do domu. Dziś został dłużej tak na wszelki wypadek. Mogła przecież zmienić zdanie. Teoretycznie powinien crunchować, a nie grać w *Magica* na recepcji, ale jakoś nie mógł się skupić na pracy. A poza tym nie chciał ryzykować, że przegapi przyjście Danki, a ona – nie daj Boże – wpadnie wreszcie na tego swojego chłopaka. Starał się nie zastanawiać, kto to może być, bo zaraz zaczęłyby go męczyć wyrzuty sumienia – zupełnie niesłusznie, rzecz jasna.

No dobrze, zmawianie się z panem Ludwikiem mogło sprawiać wrażenie, że coś knuje. Przyniósł też z mieszkania karimatę, cieplejszy śpiwór i termos. Był zapobiegliwy, to wszystko.

Mazurek spojrział w ciemne okno. O zmroku zaczęło padać i nie zapowiadało się, żeby miało przestać. Pewnie nie będzie jej się chciało wychodzić z domu...

– To co, panie Wojtku, rewanżyk? – zapytał wesoło ochroniarz.

Lucid Dreams

Oczywiście poszli do baru na „n” (okazało się, że nazywa się Nautilus).

– Co mnie tak pożerasz wzrokiem? – zapytała Asia, chybocząc się lekko na wysokim barowym krześle. – Nie spodziewaj się za wiele na pierwszej randce.

Rzeczywiście, Marcin gapił się na nią bezmyślnie od kilku minut. Zauważył, że miała delikatny makijaż, który podkreślał koci kształt jej wielkich oczu, i nie mógł sobie przypomnieć, czy dziś w pracy też tak wyglądała, czy może umalowała się później na jego cześć. Tak czy inaczej, wyglądało to bardzo ładnie, a obecność Asi była niewątpliwie elektryzująca, ale z jakiegoś powodu czuł się przy niej dużo swobodniej niż przy agresywnie nieśmiałej i wiecznie spiętej Neli.

– Płacę, to wymagam. Na początek powiedz mi: czy naprawdę zrobiono wszystko, żeby znaleźć Jaśka? Macie jakiś kontakt z jego rodziną?

Asia odstawiła kufel i otarła delikatnie pianę z górnej wargi.

– Mat albo Antek pewnie się z nimi skontaktowali. Rzecz w tym, że cała jego rodzina mieszka w Maastricht. Ojciec Jaśka jest Holendrem, ale to pewnie wiesz. No więc zakładam, że tam Jaśka nie ma, bo nikt nie poleciał z misją, żeby go sprowadzić.

– Ale nie wiesz na pewno, co powiedziała jego rodzina?

– Nie.

– Hm, ok. A przyjaciele? Naprawdę nikt z Nasty Oranges nie był z Jaśkiem jakoś bliżej?

– Zależy, co masz na myśli. Bardzo blisko był z nim Mat, bo codziennie skakali sobie do gardeł. Z Hejdaszem podobnie, tylko on jeszcze musiał między nimi rozsądzać, więc nie mógł się wyszaleć. Przyjaźnią bym tego nie nazwała. Widzisz, w Nasty Oranges zostały tylko cztery osoby z pierwotnego składu: Mat, Jasiak, Krzysiek i Antek. Inni weterani się wykruszyli, a wszyscy, którzy dołączyli później, nigdy nie przebijają się do wewnętrznego kręgu. Z kolei ci czterej dla dobra firmy zachowują pozory, ale prywatnie mają siebie tak dość, że gdyby ktoś im zaproponował miejsce w niebiesiach po prawicy Boga jedyne, najpierw upewniliby się, że pozostałych trzech nie zaproszono.

– Hm, ciekawe. Moi... informatorzy twierdzą, że... – Marcin odchrząknął pod jej rozbawionym spojrzeniem – ...Hejdasz przepada za Jaśkiem.

– Podejrzewam, że twoi informatorzy całym sercem stoją po stronie Mata w każdym konflikcie i dlatego wydaje im się, że Hejdasz zdecydowanie zbyt często przyznaje rację Jaśkowi – powiedziała kpiąco.

– Możliwe, że masz rację. – Marcin zmarszczył brwi, niezadowolony. Czyżby tak łatwo było się domyślić, że to Nela? – Ok, a gdybym ja się chciał skontaktować z rodziną Jaśka? Ktoś poza Matem i Antkiem ich zna?

Asia zastanowiła się.

– Zdaje mi się, że James Levitt, nasz art producer, na jakiejś imprezie podrywał siostrę Jaśka, kiedy przyjechała go odwiedzić. Zapytaj go jutro. On jest w miarę w porządku.

– Mhm... – Marcin zanotował to sobie na papierowej serwetce i łyknął piwa. – Planuję też zaczepić jutro Sonię w Level-Upie. Któreś z nich musi przecież coś wiedzieć o Jaśku. Jak wygląda ta Sonia? Wiem, kiedy można ją tam złapać, ale nie miałem możliwości dopytać o nią dokładniej.

– Och, poznasz ją na pewno. Bardzo rzuca się w oczy. Powiedz mi, czemu ty się tak upierasz, żeby to drażyć? Serio myślisz, że coś zdasz przeciwko Tomkowi?

– Jak to: przeciwko? Jemu chyba też zależy, żeby Jasiek wrócił, nie?

– A skąd. – Asia parsknęła, a potem umilkła i zapatrzyła się w pusty kąt sali.

– Ok, mów dalej. – Marcin poruszył w powietrzu zaciśniętą dłoń, jakby nakręcał niewidzialną katarynkę.

– Wrzuć monetę, wrzuć monetę. Znaczący, piwo mi się skończyło. A to będzie długa opowieść.

– Musimy niestety cofnąć się do początku czasów, kiedy z chaosu wyłonili się pierwsi bogowie, Brahma zniósł kosmiczne jajo, a Nasty Oranges produkowało jeszcze zręcznościówki – powiedziała Asia uroczyście. – Do 2004 roku zrobili ich cztery, tylko jedna zyskała jakąś tam popularność, więc szybko sprzedali licencję

do reszty, a z tej o skaczących pomarańczach zrobili sobie logo. Wtedy Jaśkowi zaczęły się marzyć RPG-i i w 2007 wypuściliśmy pierwszego Finnleya. Poszła na to cała kasa, jaką mieli, zacrunchowali zespół na amen, gra wyszła tak zbugowana, że memy dotąd krążą po necie, Antek codziennie oświadczał, że idzie skoczyć do Wisły, ale ostatecznie to był sukces.

– Yyy, serio? Szczerze mówiąc, przepaść między RFF1 a RFF2, które było naprawdę świetne...

– Milcz, profanie. Przy RFF2 już prawie wiedzieliśmy, co robimy, a RFF1 to była totalna partyzantka, a udało się tę grę całkiem niezłe sprzedać. Oczywiście wszystko dzięki Jaśkowi, który miał rzeszę wiernych fanów przez te swoje komiksy. Kiedy jeszcze mieszkał w Holandii, skumał się z belgijskim wydawcą i robił dla nich naprawdę fajne serie o Dzikim Zachodzie. No i jako że firmował RFF1 swoim nazwiskiem, fani komiksów myśleli, że to będzie to samo. Dostali co innego, ale też fajne, więc poszła plotka, że warto w to zagrać, bo ma świetny klimat i niezłe story. Druga sprawa, że Jasiak wyczuł jakoś nadchodzący trend na gry survivalowe. Na dobre to rozszalało się dopiero później i wtedy RFF1 – połatany i wyczyszczony z bugów – przeżył swoją tryumfalną drugą młodość. A poza tym Jasiak miał naprawdę oryginalny pomysł. Nie było dotąd – i dalej nie ma innego niż nasz – RPG-a z takim settingiem. Ritmeijer zawsze miał bzika na punkcie Kanady, Indian i poszukiwaczy złota, więc wziął historie jak z książek Londona i Curwooda, dorzucił trochę krwi, seksu i przemocy i wyszło mu coś totalnie odjechanego.

– No dobra – wtrącił Marcin kwaśno – ale skoro to wszystko zasługa Ritmeijera i on jest taki zajebisty, niezastąpiony i zorientowany w gamedevie, przeszedł *Mario* w lewo, widział Geralta z Rivii bez spodni, zna datę premiery *Half-Life 3*...

– No, bez przesady.

– ...to dlaczego Hejdasz odrzucił mu kilka kolejnych wersji fabuły RFF4, hm?

– To też ci twoi informatorzy powiedzieli? Coś takiego. Do RFF4 dojdę na końcu. Teraz jesteśmy w roku 2009 przy RFF2, które – jak sam zauważyłeś – było

pod wieloma względami bardziej dopracowane niż pierwsza część. Ciągłe nie była to gra kategorii [AAA](#), ale widać było postęp i potencjał. No i historyjka o Finnleyu robiła się coraz ciekawsza. Jasiek tak się rozochocił, że po dwóch latach gotowa była już część trzecia. I wtedy...

– Odnieśliście kolejny wielki sukces. – Marcin przewrócił oczami. Z jakiegoś dziwnego powodu myśl o czasach, kiedy go jeszcze nie było w Nasty Oranges, wydawała mu się teraz niemiła.

– Nie. Wtedy okazało się, że skończyły się pieniądze.

– O.

– Dokładnie taką minę miał Jasiek, kiedy o tym usłyszał. Gry takie jak nasza: tradycyjne RPG, gdzie jest sporo tekstu i ułożenie sobie wszystkiego w głowie wymaga trochę wysiłku od gracza, za to gameplay nie porywa, rzadko same na siebie zarabiają. Wysokie oceny u koneserów gatunku wcale nie oznaczają ciągłego przyływu gotówki. Podczas produkcji RFF3 przejedliśmy resztę kasy ze sprzedaży poprzednich gier. Mieliśmy wspaniałą nową siedzibę, duży zespół, grupę wiernych fanów na Facebooku – i puste kieszenie.

– Ale jak to się mogło stać?

– Ha, ha. Ja się raczej dziwię, dlaczego stało się to dopiero przy trzeciej części. No, w każdym razie zrobiło się niewesoło. Dlatego Hejdasz zacisnął zęby, schował dumę do kieszeni i podjął bardzo trudną decyzję.

– Mówisz o [Kickstarterze](#)? Przecież nie ma w tym nic złego...

Asia pokręciła głową z pobłażliwym uśmiechem. Łaskawe oświecanie Marcina najwyraźniej sprawiało jej przyjemność.

– Crowdfunding był później. Najpierw Hejdasz pozwolił, żeby przejęło nas Lucid Dreams Studio. Bez wchodzenia na giełdę, po cichu, bo rozgłos ani nam, ani im był doprawdy niepotrzebny. No, nie rób takiej miny. To nic nowego. Tak samo w 2012 roku małe People Can Fly zostało połknięte przez Epic Games.

– I wszyscy o tym wiedzą? – zapytał słabym głosem Marcin.

– Nie. I na twoim miejscu bym tego nie rozgadywała. Nikomu, nawet twoim pocziwym informatorom. Gdyby wszyscy w studiu się dowiedzieli, zaraz zrobiłaby się taka panika, że Matko Bosko kochano i sto milicjantów.

Marcin rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

– Skoro to taka tajemnica, to skąd ty o tym wiesz?

Asia pokręciła lekko głową i uśmiechnęła się po swoimemu.

– Hm, hm.

– Ok, rozumiem. Ale jak długo da się utrzymać taką bombę w sekrecie?

– Wystarczy do premiery. Wtedy wszystko się wyjaśni.

– Jakoś niemiło to zabrzmiało.

– Może się zrobić bardzo nieprzyjemnie, jeśli RFF4 nie okaże się sukcesem. Wtedy nowy zarząd z Lucid Dreams wcieli naszych fachowców do siebie, a Nasty Oranges rozwiąże. Nie będzie to koniec świata, bo ludzie dalej będą mieć pracę, no ale już nie w Pomarańczach. Pewnie sporo osób odejdzie z własnej woli, przede wszystkim Hejdasz, Jasiek i Mat. Założą sobie nową maleńką firmę i nazwą ją – bo ja wiem – Rozżalone Cytryny.

– Ok, a jeśli RFF4 będzie sukcesem?

– Wtedy nie ma problemu: u nas wszystko zostaje po staremu, szykujemy RFF5 albo coś zupełnie innego, a Lucid Dreams w odpowiednim momencie ogłasza oficjalnie nasze zaślubiny. W kontekście sukcesu to będzie miało zupełnie inny wydźwięk – jak całkiem solidne małżeństwo z rozsądku, a nie puszczanie się z głodu.

Marcin przymknął oczy. Możliwe, że powinien więcej wypić i wtedy wszystko samo poukłada mu się w głowie.

– No dobra. Ale po co w takim razie Kickstarter? Skoro mieliście pieniądze od Lucid Dreams? No i czemu po prostu nie postawiliście na crowdfunding, zamiast pchać się im do łóżka? Przecież zebraliście tam osiemset tysięcy dolarów!

– Chyba nie wydaje ci się, że za takie pieniądze można zrobić grę na miarę RFF4? No proszę cię. Kickstarter to przede wszystkim świetna reklama – o grze

robi się głośno, ludzie nam kibicują i czują, że to też ich projekt. No i oczywiście to ważny dodatek do finansowania, ale tylko dodatek.

– Czyli nieźle się ustawiliście: z jednej strony Lucid Dreams, z drugiej crowdfunding...

– Nie martw się, nie wyszło nam to na dobre. Jasiek i Mat najpierw chodzili zdołowani, że utraciliśmy niezależność i to już koniec, ale potem przekonali się, że Dreamsy naprawdę póki co się nie wtrącają do Finnleya, i dostali małego rozumu. Bo jednak te pieniądze z Kickstartera to jest coś. Podejrzewam, że czuli się trochę jak siedmiolatek, który dostał pierwsze kieszonkowe i wydaje mu się, że jest wszechpotężny: może sobie kupić i gumę, i dropsy, i komiks, i resoraka. Tylko że potem dociera do niego, że stać go na tylko jedną z tych rzeczy. I tak Mat i Jasiek wymyślili, że będą na gwałt poprawiać wszystko w grze: nagle grafika im się przestała podobać, muzyka, no a zwłaszcza rozwiązania gameplayowe... Aż w końcu przyszedł Hejdasz ich przystopować, bo mieli wszystko rozgrzebane, a czasu robiło się coraz mniej. Mat się pieklił, a Jasiek przyjął to nawet spokojnie – dopóki nie okazało się, że cięcia mają dotyczyć też story.

– O, coś czuję, że dochodzimy do sedna.

– Tak. Otóż zarząd Lucid Dreams się nie wtrącał, tylko wszystko sobie spokojnie obserwował, ale miał jednak jedno życzenie: żeby fabuła nie była zbyt zamotana, bo jeśli każe się graczom dużo myśleć, to mogą się zniechęcić. A tego przecież nie chcemy. Jasiek zaczął szaleć i upierać się, że tak się nie da, bo przecież siła Finnleya leży właśnie w dobrej, wielowarstwowej historii i to dlatego ludziom się podobało. Hejdasz może by mu uległ, ale z drugiej strony naciskali go producenci, więc się zaparł. Podejrzewam, że czuł się, jakby własnemu dziecku odejmował chleb od ust. Ale Jasiek właśnie wtedy wpadł na ten pomysł z *secret meaning* – będzie i prosta historyjka dla „normalnych” graczy, i skomplikowana dla tych, którzy lubią podrażnić. Przekonał do tego Mata i obaj uderzyli do Hejdasza, który niechętnie się zgodził. Wzięliśmy się do pracy i prosta, podstawowa historyjka dość szybko została zaakceptowana. Niestety ze skomplikowaną był kłopot. Mat i Jasiek nie mogli dojść do porozumienia, zmieniali ją tysiąc razy, aż

w końcu twój przyjaciel Tyrowicz poszedł do Hejdasza, przyssał mu się do ucha jak Grima Żmijowy Język i zaczął przekonywać, że skoro czasu jest tak mało, lepiej poprzestać na tej prostej historii i dać sobie spokój ze skomplikowaną. Wtedy Jasiek się zawniósł i zaczął robić kolejną wersję, która miała rzucić wszystkich na kolana...

– No? I co? – zniecierpliwiał się Marcin, bo Asia umilkła.

– I wtedy właśnie zniknął.

Nasty Oranges nocą

Przyszła tuż po dwudziestej trzeciej, właśnie wtedy, kiedy przestało padać. Stała w otwartych drzwiach, wpuszczając do holu zapach deszczu, i nie ruszyła się, dopóki Mazurek do niej nie podszedł. Oddychała szybko przez otwarte usta, jakby tu przybiegła albo nie mogła złapać tchu po ataku śmiechu. Czerwone strąki potarganych, mokrych włosów lepiły jej się do twarzy, na kurtce miała jakieś paprochy, a buty i spodnie ubrudzone błotem po kolana, ale oczy błyszczały jej tajemną radością, tak że nawet nie pytał, czy wszystko w porządku. Wyglądała, jakby wytarzała się w liściach w parku albo wpadła do jakiegoś wykopu.

– Prosto z cmentarza? – zapytał z uśmiechem. – Zmokłaś. Chcesz iść poszukać...? – skinął ręką w stronę korytarza, ale Danka pokręciła głową.

Mniej więcej wtedy – patrząc na jej tajemniczy uśmiech – podjął decyzję. Nie będzie się oszukiwać. Oczywiście, że zamierzał ją ukraść. Byłby głupi, gdyby nie spróbował. Ostatecznie ile poznał ostatnio interesujących dziewczyn poza nią? No, zastanówmy się uczciwie... tak, zero. (Emilki nie liczył, bo to od początku przegrana sprawa). A Danka przecież sama wpadła mu w ręce, i to w takim stylu, że nie powinien mieć wątpliwości, że to Znak. Najwyraźniej ktoś tam na górze (albo na dole, w tej chwili wszystko jedno) pochylił się nad jego losem: „Mazurek mało wychodzi na świeże powietrze, słaby jest, blady. Za dużo crunchuje. No i kiedyż to ostatnio uprawiał seks na jawie? Hm, hm, niedobrze. Ześlijmyż mu dla

odmiany nie bandę chuliganów, którzy w ciemnej uliczce chcą mu obić mordę, bo nie ma szlugów, tylko niewiastę nadobną. Proszę dostarczyć na adres firmy. I dodajcie jakąś zabawną referkę, żeby wiedział, że to dla niego. Ostatecznie minęło już sporo czasu, a każdy lubi się pośmiać, nie?”.

Nie wiedział, czemu aż tak długo zajęło mu przyznanie się przed samym sobą, co zamierza zrobić. Teraz nie czuł się nawet winny – jeśli chłopak Danki wypuścił ją z rąk, sam jest sobie winien.

– No, to chodźmy na górę. Może lepiej posiedzimy w jakimś pokoju, żebyś się trochę ogrzała. Na dachu będzie...

– Wolę być na zewnątrz – przerwała mu. Głos miała lekko zachrypnięty, ale bardzo pewny. – Tak żeby było dużo powietrza.

– Nie ma sprawy. Przyniosę ci tam gorącej herbaty. Tak, na dachu będzie świetnie – paplał głupkowato, aż w końcu udało mu się oderwać spojrzenie od tych ciemnych, błyszczących oczu.

Skinął panu Ludwikowi, który przypatrywał im się z wielkim zainteresowaniem, sprawdził, czy na korytarzu za bramką nikogo nie ma, i poprowadził Danę na górę.

– Komu wyżerasz ten ser?

Andrzej podskoczył i uderzył skronią w otwarte drzwi lodówki. Karolina stała tuż przy nim, z rękami założonymi na piersiach, niczym personifikacja wyrzutów sumienia. Wyrosła jak spod ziemi i cholera wie, odkąd go obserwowała, jak stoi z głową w lodówce i wypiętym tyłkiem. Swoją drogą ciekawe, czemu jeszcze nie poszła do domu, tylko łązi po opustoszałym studiu świeżutka jak stokrotka w tej swojej ślicznej bluzce z falbanką, podczas gdy uczciwie crunchujący byli solennie spoceni już w okolicach lunchu. A przecież mamy – o szlag – dwudziestą trzecią pięćdziesiąt. Zawsze go zastanawiało, jakim cudem północ w Nasty Oranges następuje bezpośrednio po dziewiętnastej trzydzieści.

– Niczego nikomu nie wyżeram – wymamrotał z godnością i roztarł bolące miejsce. – Schładzam sobie mózg, żeby szybciej pracował. Czysta fizyka.

– To czemu przy tym ruszasz szczękami? Chyba widziałam, jak Asia robi sobie kanapki z tym serem – powiedziała w zamyśleniu.

Andrzejowi natychmiast kula pysznego, sycącego maasdamera stanęła w gardle.

W pracy bardzo często zdarzało mu się zapominać o jedzeniu, zwłaszcza wieczorami, ale potem nagle głód odzywał się niespodziewanie i od razu z taką siłą, jakby ktoś włączył alarm przeciwpożarowy. Wtedy, prawie jęcząc z bólu, biegł do lodówki. Zazwyczaj można było tam znaleźć nieapetyczne resztki crunchowej pizzy z zastygłym, wstrętnym serem, które pożerał jak Saturn potomstwo, o mało nie odgryzając sobie przy tym palców. Czasem zdarzały się też takie delicje jak zapomniane kotlety z lunchu, nadgryzione ciastka, dopiero co przeterminowane jogurty albo do połowy opróżnione pojemniczki z sałatkami domowej roboty, mniem.

Jak każdy śmietnikowy kocur Andrzej wyrobił sobie niezawodny instynkt, który podpowiadał mu, które żarcie jest bezpieczne, a którego lepiej nie ruszać. I instynkt ostrzegał – ostrzegał! – nie tykaj sera, ale Andrzej tak długo wpatrywał się łakomie w żółte plastry, robiąc bokami jak jamnik, aż w końcu uznał, że właściciel sera na pewno nie będzie miał nic przeciwko i uśmiełby się, widząc, jak on się męczy, zamiast się po prostu poczęstować. Ale skoro chodziło o Asię... Inni byli zbyt pobłażliwi lub ciamajdowaci, żeby na serio zainteresować się, gdzie to się podziało ich jedzenie, ale Asia nigdy nie przepuściła nikomu nawet połówki jabłka – od razu po odkryciu kradzieży wysyłała wściekłe maile do całego studia. Andrzej popierał taką bezkompromisową politykę (gdyby wiedział, że jest bezkarny, żarłby wszystko jak leci) i szczerze podziwiał ten święty ogień prawego oburzenia, który rozpalał się w niej w takich chwilach. Mimo wszystko, bardzo nie chciałby jej jutro z rana tłumaczyć, dlaczego sięgnął po nieswoje. Jestem zgubiony – pomyślał tragicznie. No bo przecież nie będzie mu się chciało jutro specjalnie wstać wcześniej, żeby jej odkupić ten głupi ser, zanim się zorientuje.

Nagle do kuchni wpadł zaaferowany Mazurek z dużym termosem w garści. Pogwizdując wesoło, napełnił czajnik, po czym zaczął grzebać w szufladzie

z herbatą. Andrzej i Karolina wymienili zaskoczone spojrzenia, a potem bez słowa przyglądali mu się, jak niecierpliwie czeka, aż woda się zagotuje, i pięć razy zmienia zdanie, czy lepszy będzie earl grey, czy może assam. Oględnie rzecz ujmując, Mazurek na co dzień nie tryskał energią, a siedzenie w studiu po godzinach nikogo nie nastawiało specjalnie entuzjastycznie (poza Pawłem Stentorem, który zawsze pławił się w crunchu jak salamandra w ogniu), więc pogwizdujący, uśmiechnięty od ucha do ucha Wojtek stanowił widok podwójnie niepokojący. Poza tym – po co mu półtora litra herbaty? Kiedy już się zaparzyła, wyciągnął z kieszeni cytrynę i przekroił ją zręcznie w powietrzu. Jedną połówkę wycisnął do herbaty, drugą wrzucił do lodówki, po czym starannie zakręcił termos i wybiegł. Możliwe, że nawet nie zauważył ich obecności.

– Dziwne – mruknął Andrzej. Już chciał się oddalić do pokoju gameplayowców, żeby temat sera przypadkiem nie powrócił, ale Karolina niespodziewanie potarłosiła go za rękaw, jak dziecko, które domaga się uwagi.

– Jeśli jesteś aż taki głodny, został mi kawałek ciasta marchewkowego.

Spojrzał na nią nieufnie. To, że ktoś o północy dysponował ciastem i chciał się nim podzielić, było bardzo podejrzane. Co się dzisiaj dzieje z tymi ludźmi?

– A chętnie – odparł ostrożnie, ale w sercu powziął postanowienie, że nie da się przekupić. Nie z nim takie numery. Ciasto zje, ale nie da się na nic namówić, nic dla niej nie zrobi ani nic jej nie powie – czegokolwiek by oczekiwała.

Zapowiadało się jednak, że póki co zamierza go tylko utuczyć. Poszli razem do pokoju postaciowców i tam Karolina wręczyła mu spore i ciężkie plastikowe pudełko. Grzeczność wymagała, żeby pozwolił sobie dotrzymać towarzystwa, więc usiadł przy biurku obok niej i zaczął opychać się ciastem, dając jej przy tym znak ręką, że może nawijać. Karolina nie skorzystała z tej wyjątkowej okazji ulżenia sobie, tylko uśmiechnęła się i obserwowała go, jakby przedstawiał sobą jakiś niespotykany widok.

Ciasto okazało się przepyszne – świeże, wilgotne i przyjemnie korzenne w smaku – ale dość zatykające. Andrzej przełknął z trudem wielki kęs, aż mu oczy

wyszły na wierzch, stęknął bezradnie i bez namysłu sięgnął po czyjaś butelkę wiśniowej coli, w której zostały akurat dwa łyki.

– Tfu! Nie znoszę ciepłej coli. – Skrzywił się i znów wgryzł w ciasto. Na koniec wydziobał opuszkami okruszki z pudełka i oblizał palce. Albo w pokoju postaciowców było duszno, albo on zgrzał się przy jedzeniu – miał wrażenie, że jeśli nie zdejmie swetra, zaraz się ugotuje.

– Zawsze się zastanawiałam, czy faceci robią to specjalnie. – Karolina odezwała się wreszcie. Przyglądała mu się z przechyloną na bok głową.

– Hm?

– Kiedy ściągają sweter albo bluzę i przy okazji podwija im się też podkoszulek, i świecą gołą klatą. To celowo?

A rzeczywiście, dopiero teraz zauważył – koszulka nie tyle mu się podwinęła, ile zeszła razem ze swetrem.

– Nie, po prostu się elektryzuje – powiedział, naciągając ją z powrotem. – Normalna rzecz.

– Niby tak, ale czy widziałeś kiedyś, żeby jakiejś dziewczynie to się zdarzyło?

– No niee, wy musicie przecież uważać, bo jeszcze byłoby wam stanik widać, a wtedy niebo zwałiby nam się wszystkim na głowy.

Andrzej posiedział jeszcze chwilę, mając niejasne wrażenie, że Karolina czegoś od niego oczekuje, ale w końcu się poddał i wrócił do siebie. Rzecz w tym, że nie za bardzo umiał z nią rozmawiać – tak normalnie, bez złośliwości. Trochę się bał, że za każdym razem, kiedy otworzy dziób, wyskoczy z niego jakiś seksistowski żart, tak jak w tej bajce o złej siostrze, której przy każdym słowie z ust wypadały ropuchy i robaki. A przecież nie chciał robić jej przykrości. Karolina była... w porządku. I robiła naprawdę dobre ciasto.

Ale to oczywiście niczego nie zmieniało.

Plotki

– Wiesz co, chyba mam już dość na dziś – wymamrotał Marcin. Pół godziny wcześniej uznał, że piwo w Nautilusie jest dziwnie słabe, więc wypije jeszcze jedno, a teraz coraz bardziej skłaniał się ku zaskakującej myśli, że mógł się jednak mylić.

– I bardzo dobrze. Mnie już dawno nie chce się gadać. – Asia miała lekko zamglone oczy i delikatny rumieniec, z którym było jej bardzo do twarzy. Chciał to nawet jakoś uprzejmie skomentować, ale jako że jej charakterystyczny, lekko kpiący uśmiezek wciąż był na swoim miejscu – w lewym kącie ust – postanowił nie ryzykować. Zwłaszcza że był bardziej wstawiony niż ona.

– Powiedz mi jeszcze tylko jedną rzecz.

– Ależ ty jesteś dożarty. Albo pijany.

– Na trzeźwo nie dałbym rady tego wszystkiego przetrwać. No więc wytłumacz mi: skoro ta prosta wersja historii jest gotowa, dlaczego nie można po prostu na niej poprzestać, tak jak chce Tomek? Jest kiepska, co?

– No, dosyć. Poza tym bez podkładki z *secret meaning*, czyli skomplikowanej historii, trochę nie trzyma się kupy. Znaczący jest w niej sporo luk, które miały budzić ciekawość i zachęcać do wejścia w skomplikowaną strukturę, a teraz wyglądają łyso. Tak więc Jasiek jest potrzebny, żeby albo załatać prostą wersję, albo na szybko skrócić tę skomplikowaną.

– I naprawdę nikt go nie może zastąpić?

– Słyszałeś powiedzonko, że nie ma ludzi niezastąpionych? No więc to nieprawda. Nie w tym przypadku. Finnley jest dzieckiem Jaśka, tak było od samego początku. Hejdasz nikomu innemu nie zaufa.

– A Mat? Dlaczego nie może wziąć odpowiedzialności za projekt? Przecież jest game directorem.

Asia westchnęła i pokręciła głową.

– Przepadam za Matem, ale prawda jest taka, że on nie potrafi sam z siebie wpaść na jakiś oryginalny pomysł. Świetnie ocenia czyjeś pomysły i zawsze wie, co wypali, a co wyjdzie słabo, ale umie pracować tylko dialogicznie. Jasiek coś

rzuca, Mat oczywiście od razu się nie zgadza, kłócą się kilka dni i w końcu wypracowują coś fajnego. Ani Mat, ani Hejdasz nie potrafią pracować bez Jaśka. Jeśli w ogóle jest w firmie osoba całkiem samodzielna i niezależna, która nawet i sama mogłaby zrealizować projekt, to jest to...

– Jasiak Ritmeijer – dokończył gorzko Marcin. – Tak serio, to wydaje mi się, że on ma po prostu dobry PR. Wmówił wszystkim, że tylko jego pomysły się sprawdzają i teraz nikt się już nie odważy spróbować czegoś bez niego. Nieźle się ustawił, spryciarz.

– Jeśli to tylko sztuczka Ritmeijera, to ja też się nabrałam. To co, napijemy się jeszcze?

– Jasne. Tylko już mi nic nie opowiadaj. Lepiej popło... popolo... po-plot-kujmy – wydukał. Zmarszczył brwi i spróbował spojrzeć zezem na nieposłuszne wargi.

– A chętnie, zawsze chętnie.

– Ja ciągle nie znam tych ludzi. Niby widzę ich na co dzień, a dalej nic o nich nie wiem.

– Pytaj. Po pierwszym piwie robię się szczerą, po dwóch złośliwą, po trzech autoironiczna.

– Dobra. Hm. Czy mi się tylko wydaje, czy Jacek Brzeźniak...

– Drag queen w najgorszym wydaniu. Byłby pewnie o wiele sympatyczniejszy jako gej, ale moim zdaniem do tego brakuje mu ikry.

– Kacper Maciejak, producent enviro?

– Woli Keirę Knightley od Anne Hathaway. To powinno powiedzieć ci wszystko o tym człowieku.

– Karolina?

– Byłoby dla niej lepiej, gdyby tylko udawała, że jest taka naiwna.

– Krzysiek?

– Wysokofunkcjonujący socjopata, ale serial o nim byłby porażająco nudny.

– Nela?

- Jakby wreszcie dała się komuś przelecieć, zaraz by jej przeszło z Matem.
 - Mazurek?
 - Moja babcia mówiła na takich „sirota obrzygana”.
 - Andrzej?
 - Nie powierzyłabym mu zdechłego szczura. Ale go lubię. Tylko mu nie mów!
 - Tyrowicz?
 - Drań. Śliski jak gówno w majonezie, ale to już wiesz.
 - Hejdasz?
 - Byłby szczęśliwszy jako zwykły gameplayowiec.
 - Mat?
 - Powinien spędzać więcej czasu z córką.
 - To on ma córkę? Coś takiego... Jasiak Ritmeijer?
 - Sama nie wierzę, że to mówię, ale brakuje mi tego kretyna.
- Na chwilę zapadła cisza.
- A ja? – zapytał Marcin niepewnie.
 - Ty? Wiadomo. Rudy – fałszywy.
-

[2] Haruki Murakami, *Kafka nad morzem*, tłum. Anna Zielińska-Elliott, Warszawa 2007, str. 9.



Rozdział ósmy

Czwartek 12 grudnia

Najlepszy kolor

Zazwyczaj tuż po przebudzeniu Mazurek potrzebował chwili, żeby ustalić, gdzie jest: na Gwiazdzistej czy w Nasty Oranges, ale tym razem dokładnie pamiętał, jak kładł się spać na podłodze w salce konferencyjnej. Otworzył oczy i wpatrzył się z uśmiechem w sufit. Wczorajsze spotkanie z Danką uznawał za sukces, chociaż kryteria oceny i cel swoich działań formułował po drodze. Najpierw wydawało mu się, że musi przede wszystkim zatrzeć złe wrażenie, jakie na niej zrobił ostatnio – zamiast dać jej się wygadać i wyzalić, jeździł po niej i na siłę chciał jej wszystko tłumaczyć. Bez sensu, przecież nie było w jego interesie, żeby pogodziła się z tym swoim wiecznie nieobecny chłopakiem. Tym razem chciał być pełen zrozumienia i współczucia, a w odpowiednim momencie zaoferować jej silne męskie ramię i rękaw do wypłakania się. O ile się orientował, dziewczyny zwykle szybko się przywiązywały do facetów, którzy wysłuchiwali ich zwierzeń.

Okazało się, że z Danką to nie przejdzie. Przede wszystkim prezentowała upartą niechęć w kwestii męskiego ramienia – czy to chciał jej podać rękę przy wchodzeniu na dach, czy pomóc zapiąć śpiwór, odsuwała się, jakby rzeczywiście myślała, że pod jego dotykiem rozsypie się w proch. No dobrze, nie naciskał. Zwierzać też się nie chciała. Od razu oświadczyła, że nie jest w nastroju na

rozmowy i miło będzie po prostu posiedzieć razem w ciszy. Wtedy uznał, że jego celem będzie sprowokowanie jej do mówienia – wspólne milczenie miało swój urok, ale na pewno nie na tym etapie i nie w sytuacji, kiedy leżeli metr od siebie, owinięci w śpiwory po brodę (patrz: silne męskie ramię). Zapytał, jak wtedy wytłumaczyła temu swojemu jasnowidzącemu chłopakowi łożenie gdzieś po nocy, ale tylko się naburmuszyła. Hm, może to i dobrze, że na samą wzmiankę o nim tak reaguje. Spróbował kilku różnych tematów, ale Danka twardo nie dawała się naciągnąć na pogawędkę. Wtedy pomyślał, że powinien wykorzystać ten moment na przedstawienie swojej osoby w odpowiednio korzystnym świetle: tak, on też siedzi po godzinach, ale gdyby znalazł się dobry powód, to mógłby... nie siedzieć. Nie wiedział dokładnie, jak poprowadzić ten monolog, żeby się zbyt szybko nie zorientowała, że podsuwa jej swoją kandydaturę – z jednej strony wyglądała na mocno odklejoną od rzeczywistości, w taki bardzo uroczy i tylko trochę niepokojący sposób, ale z drugiej była niewątpliwie bystra. Cóż, tak czy inaczej musiał zacząć od przedstawienia się – bo dotąd jakoś nie interesowało jej, z kim ma przyjemność. To raczej zły znak. Odchrząknął.

– Nie pytałaś, jak mam na imię...

– Będę cię nazywać Kawką – oświadczyła zdecydowanie. – I zamknij się wreszcie. Naprawdę nie musisz zabawiać mnie rozmową, żeby mi tu było dobrze.

Mazurek skapitulował i pozwolił, żeby zapadła cisza. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co ze sobą zrobić, wiercił się i kokosił w śpiworze, ale w końcu splótł ręce na piersi i zapatrzył się w niebo. Chociaż przestało padać, nad Saską Kępą wisiały chmury i nie było widać gwiazd, a szkoda, bo właśnie by się przydały. I jakiś sugestywny soundtrack. Westchnął i przymknął oczy. Po jakimś czasie zrobiło mu się dość przyjemnie – może by nawet zasnął, gdyby nie ekscytująca obecność Danki. Przekręcił się na bok, tak żeby ją widzieć. Leżała na plecach całkiem nieruchomo, a jej blada twarz majaczyła niewyraźnie w mroku. Miała przy tym zamknięte oczy i korciło go, żeby sprawdzić, czy w ogóle oddycha. Wpatrywał się w nią chyba z pół godziny, zanim wreszcie się poruszyła, otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Wtedy pomyślał, że chyba jednak wszystko idzie dobrze i wcale nie musi za wszelką cenę kontrolować sytuacji.

Tym razem pozwoliła mu się odprowadzić – a przynajmniej nie protestowała, kiedy zszedł z nią na dół, a potem ruszył u jej boku w dół Francuskiej.

Znowu zaczęło padać, ale Dance to najwyraźniej nie przeszkadzało. Nic dziwnego, skoro z przyjemnością przesiadywała w nocy na dachu w wilgotnym śpiworze tylko po to, żeby sobie pomilczeć. Wyczuwał, że jest w dobrym nastroju – szła różnym, równym krokiem z rękami w kieszeniach, a po ustach ciągle błąkał jej się ten zagadkowy uśmiech. Nie umiał tego do końca uchwycić, ale tej nocy sprawiała zupełnie inne wrażenie niż poprzednio. Przedtem aż buzowała z emocji i niecierpliwości, a teraz była bardziej wyciszona i tajemnicza, jednocześnie bliska i jakby nie z tego świata. Żałował, że nie może zajrzeć jej do głowy i sprawdzić, co się tam dzieje.

– O czym myślisz? – odezwała się nagle i dopiero wtedy uświadomił sobie, że cisza już dawno przestała mu przeszkadzać.

– O tym wszystkim, o co chciałbym cię zapytać.

– Możesz zapytać o jedną rzecz. Ale najpierw ja. Ten ciepły śpiwór, który mi dziś dałeś – był twój, prawda?

– Tak.

– Ładnie pachniał. Przyniosłeś go z domu specjalnie dla mnie?

– Tak.

Czekał, czy powie coś jeszcze, ale milczała, więc uznał, że już może zadać swoje pytanie. Starannie przemyślał wszystkie opcje.

– Dlaczego masz czerwone włosy?

– Strasznie przyjemnie mieć czerwone włosy. To najlepszy kolor – bardzo dodaje energii i fajnie się wychodzi na zdjęciach. I ludzie cię od razu zauważają i zapamiętują, nawet jeśli nie mówisz ani nie robisz niczego ciekawego. Dziwię się bardzo, że nie wszyscy farbują się na czerwono. Przecież mogą.

– Czyli od zawsze chciałaś mieć takie włosy?

– Hm, nie. Pierwszy raz je tak pomalowałam, bo... No, to była dziwna sytuacja. Czułam, że muszę coś zrobić albo wybuchnę i zafarbowanie włosów wydawało się najmniej drastyczne.

– A co się stało?

– Mmm, nieważne.

– To długa historia? – domyślił się.

– Nawet nie. Po prostu bardzo osobista.

Przyspieszyła kroku i wcisnęła brodę w szalik. Mazurek bez trudu dostosował się do jej tempa.

– Opowiedz.

– Nie, wstydzę się. Właściwie to prawie nikomu o tym nie mówiłam.

– Mnie możesz. Osobiste rzeczy łatwiej opowiadać ludziom całkiem obcym.

A przecież nawet nie wiesz, jak mam na imię.

– Przecież mówiłam ci, że Kawka. No dobrze, opowiem ci. Ale nie teraz.

– Następnym razem?

– Mhm.

– Jutro?

Danka nie odpowiedziała, ale widział, że się uśmiecha. Szli Wałem Miedzeszyńskim, wzdłuż szeregu topoli. Prześwietlony latarniami ekran akustyczny, który tłumił hałas od ulicy, zanurzył ścieżkę w niebieskozielonej, morskiej poświacie. Stojące poniżej domy były tak blisko, że mogli zajrzeć przez okna prosto do jasno oświetlonych pokojów i kuchni. Poza przytłumionym, odległym pomrukiem samochodów słychać było tylko ich kroki na zmieszonym z opadłymi liśćmi śniegu. Zwolnili teraz, żeby nie zakłócać tego sennego spokoju. Kiedy cienie gałęzi przesunęły się po nich jak wyciągnięte ręce, Mazurkowi przyszło do głowy, że Danka, pogrążona w myślach, milcząca i blada, w tym świetle naprawdę wygląda jak duch.

Doszli aż do skrzyżowania z Afrykańską, gdzie niespodziewanie przystanąła.

– Powinnam już wracać.

– Mieszkaś tu gdzieś niedaleko?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Nie, to w zupełnie innym kierunku. Po prostu chciałam pójść z tobą na spacer.

Mazurek uśmiechnął się na to wspomnienie, przeciągnął błogo w nagrzanym śpiworze i usiadł. Na kanapie pod ścianą chrapał w najlepsze Franek Kilariski, jak zwykle zakopany po uszy w kolorowych kocach. Kiedy Mazurek wrócił w nocy zziębnięty i zmęczony, było mu wszystko jedno, gdzie będzie spać, ale teraz pomyślał, że rozsądniej by było położyć się pod własnym biurkiem w szwalni, zamiast pchać się do salki konferencyjnej. Czuł, że teraz już nie zaśnie, chociaż była dopiero ósma rano. Ta rześkość była bardzo zwodnicza – przespał tylko pięć godzin i pewnie koło południa będzie miał kryzys. Wojtek przysiadł w kucki na piętach jak L z *Death Note*, przeczesał palcami rozwichrzone włosy, a potem przejechał wierzchem dłoni po policzku. Czas się ogolić – w odróżnieniu od takiego na przykład Mata nie wyglądał dobrze z kilkuniedniowym zarostem. Zwinął śpiwór i karimatę, wyjął kosmetyczkę z plecaka i poczłapał na bosaka do łazienki. Już w korytarzu usłyszał gromki śpiew Pawła Stentora, którego ten ponury, deszczowy ranek nastroił tęsknie i podniośle.

Mazurek stanął w otwartych drzwiach i z uśmiechem przysłuchiwał się jego żarliwemu wykonaniu *Wielorybników grenlandzkich*, po czym – nieoczekiwanie dla samego siebie – włączył się przy słowach „nie będziemy spać” wysilonym barytonem. Paweł odwrócił się, nie przestając trzeć mokrych włosów ręcznikiem, i – zachwycony nieoczekiwanym wsparciem – wydał z siebie wspaniałą, głęboką bas.

– „...tak daleko rodzinny został próóóg. Jeszcze kiilka dni i przed dziobem ujrysz cee-el...!”.

To powinien być crunchowy hymn – pomyślał Mazurek.

Kiedy skończyli śpiewać, Stentor poklepał go życzliwie po plecach, z miną, jakby Wojtek wreszcie spełnił pokładane w nim nadzieje, i zostawił go samego w łazience.

Mazurek stanął przy umywalce, umył twarz ciepłą wodą i wyszorował zęby, a potem wycisnął na dłoń trochę pianki w sprayu. Podczas golenia przyglądał się sobie uważnie w lustrze, jakby szukał we własnych oczach jakiegoś potwierdzenia. Albo jakby się spodziewał, że odbicie mrugnie do niego porozumiewawczo i stanie się jasne, że jednak zwariował. Ale z lustra patrzyły całkiem spokojne, zmęczone oczy – trochę smutne i trochę obce.

Panowie, mamy to

Marcin stanął na środku pokoju Jaśka Ritmeijera i uśmiechnął się zachęcająco. Jego team, usadowiony na podłodze, przyglądał mu się bez entuzjazmu. Tylko Paweł Stentor wyglądał na ożywionego, ale on zawsze tak wyglądał.

– Dlaczego przyciągnąłeś tu tablicę? I po co ci aż trzy kolorowe markery? – zapytał podejrzliwie Jacek Brzeźniak.

– A wiesz, że kiedy o to zapytałeś, czuję się jakby gorzej? – Asia rzeczywiście wyglądała kiepsko tego dnia. Miała podkrążone oczy i była jeszcze bledsza niż zwykle. – Ale skoro już zacząłeś, zagadnij go jeszcze, czemu ma takie wielkie zęby i dlaczego tak głośno mówi.

– Powiedz, że to zwykły stand-up i będziesz nam tylko rysował jakieś wykresy. Proszę.

– No... nie – Marcin zaśmiał się na widok miny Mazurka, ale to też nie pomogło. – Zaraz wszystko wyjaśnię. Zastanowiłem się wczoraj nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że sytuacja nie jest beznadziejna. Prostsza, podstawową wersję fabuły mamy już gotową, a to – jak rozumiem – jakieś osiemdziesiąt procent całości. Brakuje tej dodatkowej nakładki *secret meaning*, ale przecież to tylko kilka dopytań i scenek. Tak, wiem, Jasiek kilka razy próbował to skleić i mu nie wyszło, ale myślę, że to głównie przez presję ze strony Lucid Dreams, a my...

– Ciszej! – syknął Jacek i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy drzwi są na pewno dokładnie zamknięte. Potem zwrócił się z wyrzutem do Asi: – O Dreamsach też mu powiedziałaś?

– Przecież sami mi kazaliście! To znaczy Paweł mówił, żebym powiedziała... Zresztą chyba lepiej, żeby dowiedział się od nas wszystkiego i nie zaczął znowu łączyć po korytarzach, i wypytywać pełnym głosem, czy kto nie widział Czarnego Rogera Audermada?

– Eee? – Marcin stracił wątek.

– *Płonący las* Curwooda – przypomniał uczynnie Paweł Stentor. – Audermad był zbrodniarzem ściganym przez policjanta, który przypadkowo zakochał się w jego młodszej siostrze, kiedy został postrzelony przez żonę młodszego brata Audermada, bo ona miała żal do tego policjanta, że powiesił z kolei jej młodszego brata. I ta młodsza siostra Audermada potem udawała, że jest żoną swojego brata, bo... no, nie wiem właściwie dlaczego, ale on też udawał, bo było mu głupio. No i tam był szalony starzec, który ciągle głośno pytał o Czarnego Rogera i przez to całą mistyfikację diabli wzięli. I potem umarł. No co? – Paweł uniósł ręce obronnym gestem, kiedy spoczęło na nim ciężkie spojrzenie Asi. – Przecież niczego nie pomieszałem.

– *Anyways*, Marcin wie już wszystko, więc teraz się uspokoi i wreszcie siądzie na tyłku. Prawda?

Wszyscy popatrzyli na niego znacząco.

– Zrobimy nową wersję – oświadczył z mocą Marcin, wskazując na tablicę, a potem obrócił się, żeby sprawdzić, jakie to zrobiło na nich wrażenie. Pogodny uśmiech powoli spłynął z twarzy Pawła Stentora jak lód z rozgrzanej szyby.

– A tak mi się fajnie dzień zaczął – wymamrotał sennie Mazurek we złowróbną ciszę.

– Chryste, czy ty wczoraj byłeś aż tak pijany, że nie zapamiętałeś połowy tego, co mówiłam? – Asia zastygła z rękami wczepionymi we włosy w klasycznej pozie: „Wszystkie plagi na mnie idą”.

– Zapamiętałem wszystko. Tylko że potem to sobie twórczo przemyślałem. No, no, po co te grobowe miny? Ile razy już robiliście tę wersję z Jaśkiem?

– Ostatnia miała numer siedemnaście i pół, ale liczyliśmy dopiero od któregoś momentu.

– No, więc dobrze wiecie, czym to się je, i dacie radę przygotować osiemnastą sami. Znaczy ze mną. Ja mam świeże spojrzenie, więc nawet będzie wam łatwiej. Przecież trzeba tylko...

– Wymyślić, o czym właściwie jest ta gra. Znaleźć dobrą motywację dla Avery – Asia zaczęła wyliczać z gorzkim uśmieszkiem, odginając po kolei palce. – Zaprojektować wystrzałowe, zaskakujące zakończenie. Koniecznie z piętrowym twistem, ale tak, żeby obyło się bez story dumpów. Połączyć wszystkie dziury logiczne i połączyć sensownie wszystkie wydarzenia z poprzednich trzech części gry. Przejrzyście. W kilku scenkach. I jeszcze sprzedać to Matowi i Hejdaszowi. Jeśli ktoś ma coś jeszcze, to mówcie szybko, bo kończą mi się palce.

– Tak, wiem. Ale po prostu spróbujmy, ok? Ja widzę to tak: jeśli Jasiek szybko wróci, świetnie – może będziemy mieli dla niego jakieś wstępne pomysły. Jeśli wróci za późno albo wcale, przedstawimy Hejdaszowi wersję może nie idealną, ale co najmniej przyzwoitą. – Nie wyglądali na przekonanych. – Przecież ona, tak czy inaczej, musi kiedyś w jakimś kształcie powstać. Chyba lepiej zrobić to teraz, po cichu, kiedy nikt nie będzie się wtrącać, niż potem w panice, na żywca?

– Zawsze robimy wszystko na żywca. I jak niby mieliby się nie wtrącać? Przecież oni od tego są. Mat, Hejdasz, Tyrowicz, James – cała drabina wtrącania się.

– Och, nic nikomu nie powiemy, dopóki nie będzie gotowe. Dobra, bierzmy się od razu do pracy, bo macie też przecież inne sprawy na głowie. Mazurek, nie śpij. Zrobimy sobie brainstorm na rozgrzewkę.

Marcin usiadł po turecku przed nimi i uśmiechnął się szeroko. Nawet ich apatia i straceńczy humor nie były w stanie go zniechęcić. Oto miał za chwilę się przekonać, jak pracują prawdziwi fachowcy od opowiadania historii. Twórcy

Finnleya. Wewnętrzne dziecko piszczało w nim ze szczęścia i biło piętami w podłogę.

– Zaczniemy od finału – zaproponował. – Kiedy będziemy wiedzieć, jaki efekt chcemy osiągnąć na końcu, łatwiej będzie zaplanować resztę. Rzucajcie pomysły. Wszystko, co wam przyjdzie do głowy i waszym zdaniem pasuje. No, jazda. Dziesięć strzałów i dam wam spokój.

Odpowiedzi posypały się błyskawicznie.

- Na końcu okazuje się, że to był tylko sen.
- Finnley miał amnezję, bo Indianie wyprali mu mózg.
- Przenosimy się w czasie i idziemy zabić Hitlera.
- To Avery zabiła Finnleya, oszalała i teraz wydaje jej się, że jest nim.
- Na końcu wchodzi ninja.
- Avery naprawdę umarła, ale potem obudziła się w kałuży tajemniczych toksyn, zmutowała i teraz będzie się mścić.
- Wszystko jest dokładnie na odwrót, niż myślisz. To Finnley jest tym złym.
- Finnley też jest asasynem i przodkiem Desmonda Milesa.
- Wszyscy są rodzeństwem.
- Avery jest duchem, ale nikt się nie zorientował.
- Panowie, mamy to.
- Możemy już iść?

Minus trzy punkty

Andrzej przejrzał aktualne notowania, uśmiechnął się pod nosem i trącił łokciem Krzyśka.

– Sprawdzam Błażeja – oznajmił, po czym wstał i nonszalanckim krokiem przeszedł do pokoju postaciowców. Nikt tam na niego nie zwrócił uwagi – wszyscy siedzieli z nosami w monitorach i wyglądało na to, że tylko trzęsienie ziemi mogłoby ich oderwać od żmudnego tworzenia własnego portfolio. Andrzej nie miał

pojęcia, jak mogą się skupić w takiej intensywnej ciszy. Podszedł do Karoliny i delikatnie trącił ją w ramię. Spojrzała na niego lekko nieprzytomnie tymi szarymi, wielkimi oczyskami, a potem uśmiechnęła się i zdjęła słuchawki.

– Tak?

No cóż, nic dziwnego, że do niej lgną, skoro rozdaje takie uśmiechy na prawo i lewo zamiast „dzień dobry”.

– Nie widziałaś dzisiaj Błażeja? Wszędzie go szukam – powiedział swobodnie i wsadził ręce do kieszeni.

– Hmm, chyba nie... – zawahała się wyraźnie. Andrzej z zadowoleniem stwierdził, że spojrzenie uciekło jej gdzieś w bok.

– Na pewno? – zmartwił się.

– Hm... – Przygryzła wargę.

Postanowił litościwie skrócić jej męki i zamknąć sprawę.

– Wiesz, który to, prawda? Taki szczupły z brodą i włosami do ramion.

Karolina spojrzała na niego bezradnie.

– Szczerze mówiąc, chyba jednak nie kojarzę – wyznała w końcu z rozbijającą miną. – Tu jest strasznie dużo takich szczupłych brodatych w typie Chrystusa. Tylko bardziej hot, więc powiedzmy: w typie Jana Chrzciciela – dodała po krótkim namyśle.

– Sądzisz, że prędzej ujdą ci płazem fantazje na temat Jana Chrzciciela? – zapytał z żartobliwą surowością.

– Ej, to takie literacko-biblijne skojarzenie! Nic osobistego – zaśmiała się. – No wiesz, to w końcu był niezły twardziel, skoro nosił skóry dzikich zwierząt i wpierniczał szarańczę jak chipsy. Albo może to przez *Salome Wilde*'a... – powiedziała z namysłem.

– Dobra, już się nie tłumacz, ty zwierzaku – machnął ręką, ucinając dalszą dyskusję, bo jedyny Wilde, którego kojarzył, napisał podręcznik do programowania audio w grach i chyba nie miał nic wspólnego z Janem Chrzcicielem. – Nikomu nie powiem. Miłej pracy.

– Nie ma zielonego pojęcia który to Błażej – oświadczył Krzyśkowi z satysfakcją, kiedy tylko wszedł do pokoju. – Odejmujemy mu trzy punkty.

Nawet lubił Błażeja, ale i tak wprawiło go to w doskonały humor na cały dzień.

Nowe możliwości

– Nie chcę współpracować – powiedział ponuro Marcin. Wyciągnął Nelę sms-em na awaryjne spotkanie w Nautilusie. Na początku próbowała go zbyć, ale w końcu dała się skusić frytkami.

– Co się dziwisz. Mają dość. Przerobili to już na milion sposobów. Jest ograniczona liczba dobrych rozwiązań, kiedy ciągle musisz przestawiać te same klocki w fabule. No odrzutowca z tego nie zbudujesz. A wszystko inne już było.

– Jeszcze zobaczymy.

– Jesteś strasznie uparty, nie? Zawsze tak miałeś, czy dopiero tutaj rozkwitłeś?

– Nela umoczyła frytkę do połowy w keczupie i przyjrzała jej się krytycznie.

– Chyba zawsze. Tylko dzięki temu nie zwariowałem w korpo.

– Zbędny wysiłek, zważywszy obecne okoliczności. Ja myślę, że szaleńcy – tacy jak Mat czy Jasiek – są dużo szczęśliwsi od nas. Połowa rzeczy w ogóle do nich nie dociera.

– Myślałem, że mojemu teamowi zależy na skończeniu fabuły – marudził Marcin. – Przecież nie chcę się nad nimi znęcać, robię to dla ich dobra.

– Oni to widzą jako dodatkową iterację, która na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie wypali. Napracują się dodatkowo, namęczą, może nawet uwierzą w nową wersję – i ziuuum, znowu wszystko do śmieci. Według mnie to jednak trochę podchodzi pod znęcanie się.

– Ale przecież jest szansa – no dobra, przyznaję, niewielka – że jednak nam się uda. A skoro tak, to powinniśmy spróbować, a nie siedzieć i czekać, aż sytuacja sama się rozwiąże. No jak ja mam im to wytłumaczyć?

– Przekup ich.

– Niby jak? Czym?

– Pieniędzmi z funduszu teamowego. Każdy producent dostaje pulę. Nie wiedziałeś o tym? – Spojrzała na niego rozbawiona i kłapnęła zębami jak wilk, pożerając kolejną frytkę. Znikały z jej talerza w ekspresowym tempie, chociaż wydawało się, że przede wszystkim się nimi bawi.

– To znaczy... ja mam jakieś pieniądze?

– Jasne. Zwykle są wykorzystywane na firmowe wyjścia na piwo – wiesz, integracja i te sprawy – a jako że mamy crunch od paru miesięcy, pewnie trochę się już tego uzbierało. Zabierz ich do jakiegoś snobistycznego klubu z drogimi drinkami. To dobrze działa na wszystkich. Chociaż ja wolę frytki. I sezamki.

– Pewnie by nie zaszkodziło... – Marcin zamyślił się na dłuższą chwilę, a potem zaczęli rozmawiać o czymś innym.

Kiedy już się zbierali do wyjścia, telefon Marcina zaczął dzwonić. Spojrzał na wyświetlacz i zmarszczył brwi. Sądząc po kierunkowym, to nie był polski numer. +31? Holandia? Czy to możliwe...?

– Przepraszam, chyba muszę odebrać.

– Spoko, ja pójdę już do studia. Dzięki za lunch.

Nela po wyjściu z pubu przystanąła, żeby zapiąć porządnie kurtkę i owinąć się szalikiem. Marcin wzbudzał w niej rozbawienie połączone z lekką irytacją – miała wrażenie, że obserwuje ślimaka, który z determinacją sunie w poprzek popularnej ścieżki rowerowej. Efektem powinno być „ciap!”, ale jakoś nie następowało. Ciekawe.

Pomysł, żeby producent bez żadnego przygotowania i znajomości branży próbował po cichu zastępować dyrektora kreatywnego, był tak idiotyczny... jakby, powiedzmy, ślimak na dodatek w połowie drogi rozłożył sobie koc piknikowy, parasol i nastawił radio na słoneczne reggae. Z drugiej strony musiała przyznać, że w Nasty Oranges nie takie absurdy przechodziły i nikt się ani nie zająknął.

Chyba nawet zaczynała mu kibicować.

Dalej uważała, że Marcin nie pasuje do tej firmy i byłoby lepiej dla wszystkich, żeby znalazł sobie coś innego, ale prywatnie był... w porządku. Gdyby miała nad sobą jakąś władzę, nakazałaby sobie interesować się nie chudymi, czarniawymi lowelasami z błyskiem szaleństwa w oku, tylko właśnie takimi porządnymi facetami z budzącymi zaufanie, silnymi dłońmi i boleśnie dobrą wolą. Ech.

W każdym razie nie powinna się mieszać – to był jego quest. Mogła mu czasem coś doradzić, ale to wszystko. Będzie się trzymać od tego z daleka.

Marcin poprzedniego wieczora, po powrocie ze spotkania z Asią, wpadł na świetny pomysł, że zamiast czekać aż do następnego dnia i wypytywać w pracy Jamesa Levitta, lepiej najpierw pogrzebać na Facebooku. I rzeczywiście – na liście znajomych Jamesa znalazł Jo Ritmeijer i chociaż zdjęcie profilowe przedstawiało tłustego czarnego kota, założył, że to może być siostra Jaśka, pewnie Joanna. Nie namyślając się, napisał do niej, po czym, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, zapomniał o całej sprawie.

Okazało się, że Jo rzeczywiście jest siostrą Jaśka, a wiadomość od Marcina (której w tej chwili sobie nie przypominał, bo pisał ją pod natchnieniem chwili) zrobiła na niej na tyle piorunujące wrażenie, że do niego zadzwoniła.

– Jak to nigdzie go nie ma?! Jeśli to głupi żart, osobiście się pofatyguję do Warszawy i skopię ci tyłek!

Proszę, jaki temperamencik.

– Przepraszam, w żadnym razie nie chciałem cię nastraszyć. Po prostu byłem pewien, że coś wiecie...

– Nic nie wiem! Jasiek dawno do mnie nie pisał, ale on rzadko się odzywa, bo ciągle ma crunch! Nic nie wiem! Jeśli coś mu się stało, a rodzice mi nie powiedzieli, bo za miesiąc mam egzaminy, to ja... Argh! *Godverdomme!*

Marcin skrzywił się i odsunął telefon od ucha, podczas gdy Jo po holendersku i polsku dawała ujście negatywnym emocjom. Po chwili bluzgi ucichły.

– Ej, Marcin, czy jak ci tam! Jesteś jeszcze?

– Jestem.

– Sorry, zdenerwowałam się. Jasiek czasem odstawia dziwne akcje, ale nie jestem pewna... Przecież każdemu może się coś stać, no nie? Nawet temu debilowi. Ale moi rodzice muszą coś wiedzieć, mama dzwoni do niego co najmniej raz w tygodniu. Skontaktuję się z nimi i dam ci znać, co?

– Byłbym wdzięczny.

– Ok. Jasiek to twój szef? – zapytała jeszcze, a w jej zaczepnym, energicznym głosie zabrzmiało żywe zaciekawienie.

– Tak jakby.

– I ty chcesz, żeby wrócił? Niebawem – Jo Ritmeijer prychnęła i wyłączyła się.

Marcin stał jeszcze przez chwilę z telefonem w garści i uśmiechał się do siebie. Po rozmowie z Jo poczuł otuchę, jakby sprawa zniknięcia Jaśka miała się niebawem wyjaśnić. Wydawała się rzeczowa, szczerą i zaradną – taka *no bullshit girl*. Możliwe, że nawet nie będzie musiał dziś polować na Sonię, dziewczynę Jaśka. Miło byłoby dla odmiany wrócić do domu o jakiejś ludzkiej porze...

W gęstym lesie

Danka, wychodząc z toalety w Herminie, zerknęła w lustro i zamarła w pół kroku. Wyglądała strasznie. Zasnęła, więc nie zdążyła się porządnie umalować, tylko pociągnęła rzęsy tuszem, a powinna – zdecydowanie powinna – zrobić też coś z tymi ciemnymi cieniami pod oczami. Podobnie jak jej matka i siostra, miała bardzo delikatny, wrażliwy typ urody i jej wygląd krańcowo się zmieniał w zależności od humoru – kiedy była w dobrym nastroju, promieniała łagodnym pięknem, a w gorsze dni przygasała, zapadała się w sobie jak zwiędły kwiatek i żaden facet nie spojrzalby na nią na ulicy dwa razy. Brak snu też zawsze bardzo się na niej odbijał: była blada jak śmierć, miała sine wargi i napuchnięte powieki. A teraz na dodatek jej oczy świeciły jakimś dziwnym blaskiem, jakby miała gorączkę albo była na ciężkim haju. Podeszła bliżej do lustra i uszczypnęła się kilka razy w policzki, żeby wywołać choćby cień rumieńca i jakoś ożywić tę trupią

bladość, ale bez efektu. Na szczęście zdąży się przespać ze trzy godziny w domu, zanim pójdzie do Kawki.

Krzysiek nie wrócił do domu na noc. Jakoś nie mieściło się jej w głowie, że on był gdzieś tam w budynku, kiedy ona siedziała na dachu. Tak jakby zgubili się w tym samym lesie. I teraz każde z nich musiało sobie radzić na własną rękę. Oczywiście najrozsądniej by było, gdyby wróciła po swoich śladach, ale las wydawał się coraz bardziej interesujący i zamierzała pójść jeszcze tylko kawałek dalej, żeby zobaczyć, co tam jest. Nie było w tym chyba nic złego. Zresztą jak Krzysiek mógł oczekiwać, że ona będzie siedzieć sama w domu, podczas gdy on się tak świetnie bawi w pracy? Powinna mieć jakieś życie towarzyskie, bo całkiem zdziwaczeje – dotąd nie miała, bo myślała, że wymaga to przesiadywania w hałaśliwych klubach nad piwem, ale proszę, to nie musi być nudne. Kawka był... intrygujący. Pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale samotność otaczała go jak niebieskawa, gęsta mgła, tak że chwilami zupełnie w niej ginął. Na pewno nie działo się tak bez powodu i Danka zamierzała ten powód odkryć. Umiała na pierwszy rzut oka rozpoznać osoby, którym przydarzyło się coś dziwnego albo niesamowitego, chociaż nie potrafiłaby wyjaśnić, na czym to wrażenie polegało. Czasem była to jakaś klientka w Herminie, czasem staruszek w sklepie albo mała dziewczynka o przenikliwym spojrzeniu. Dance nigdy nie przyszło do głowy zaczepić kogoś takiego na ulicy, ale z Kawką to oczywiście co innego. Była gotowa nawet prehandlować swoją tajemnicę za to, co ukrywał. Szkoda tylko, że nie mieli zbyt dużo czasu – co prawda dotąd udawało jej się niepostrzeżenie wymykać nocami z mieszkania i nikt jej nie przyuważył w Nasty Oranges, ale w końcu się doigra. Taki stan baśniowego zawieszenia nie może przecież trwać wiecznie.

Zerknęła na zegarek i szybko wróciła na salę. Powoli nadchodziła pora, kiedy pani Celina i Surykatka zbierały się do wyjścia. Danka stanęła za barem i skupiła się na tym, żeby nie opadały jej powieki. Jeszcze tylko trochę i będzie mogła się przespać. Gdy panie dały jej dyskretny znak, przygotowała rachunek i przyniosła im do stolika. Pani Celina jak zwykle zapomniała parasolki i Danka, powłócząc nogami ze zmęczenia, ruszyła do drzwi, żeby ją podać, zanim klientki wyjdą na

ulicę. Boże, ta kobieta chyba jednak robi to złośliwie. Już się miała odwrócić z uśmiechem przyklejonym do twarzy, kiedy pani Celina niespodziewanie złapała ją za rękę. Jej dłoń była koścista, pokryta starczymi plamami i lekko chłodna, jakby życie powoli już się z niej wycofywało. Danka nagle poczuła, że w gardle dławi ją głupie wzruszenie.

– Wreszcie masz taki żywy błysk w oczach, moja droga – powiedziała pani Celina, pierwszy raz patrząc prosto na nią bystrymi, ptasimi oczami. – Widać, że jesteś szczęśliwa.

Marta wzywa rycerza

Czasem wystarczy jedno zdarzenie, żeby uznać dzień za pechowy.

– Marta! Marta Trzaskacz!

Na dźwięk jego głosu dostała z obrzydzenia gęsiej skórki na plecach, jakby opuszczały się po nich na wyścigi włochate gąsienice. Gdyby zawołał tylko „Marta”, mogłaby udawać, że to nie do niej, przyspieszyć kroku i zniknąć w tłumie na Nowomiejskiej – ale teraz wyglądałoby na to, że tchórzy przed konfrontacją. A to przecież on powinien bać się spojrzeć jej w oczy. Przystanąła i odwróciła się powoli. Gdyby to był film grozy, soundtrack powinien się zagęścić wokół niej jak stygnąca melasa.

– Cześć. – Szeroki, zdobywczy uśmiech Damiana sugerował, że już na sam jego widok powinna się poczuć jak milion dolarów. Był ubrany w wąskie spodnie w modnym, tabaczkowym kolorze i krótki płaszcz z asymetrycznym kołnierzem, który wyglądał, jakby kosztował o wiele więcej niż powinien. Stał przed nią roześmiany i uroczo chłopięcy, a z zimowego nieba nie padł żaden grom, żeby go wypalić do zelówek. Niebywałe.

– Cześć – odpowiedziała. Powiało mrozem, ale on chyba tego nie odczuł, bo dalej idiotycznie się szczyrzył.

– Dawno się nie widzieliśmy – zauważył z żartobliwą naganą w głosie. – Nie pisałaś, nie dzwoniłaś... Nie mów, że jesteś aż tak zapracowana!

– Aż tak.

– No to mam szczęście, że udało mi się wypatrzeć cię dzisiaj, Śnieżynko. To co? Idziemy na kawę?

Na chwilę zaniemówiła. Ta typowo męska zdolność całkowitej regeneracji pewności siebie i dziwne przekonanie, że raz zdobyta dziewczyna pozostaje zdobyta choćby nie wiem co, zawsze wręcz zapierały jej dech w piersiach. Nie dalej jak dwa miesiące temu przyłapała go na bezczelnym przeglądaniu jej maili – służbowych i prywatnych – i wywaliła z mieszkania w samych bokserkach, resztę jego garderoby zrzucając za nim po schodach. Damian, uznawszy zapewne, że udział w tej upokarzającej scenie jest wystarczającą zapłatą za uzyskane informacje, zrobił z nich doskonały użytek, dorzucając też coś od siebie, tak że trzy osoby przestały z Martą rozmawiać. Napisała mu, co o nim myśli – tylko dla porządku, żeby wiedział, że nie ma do czynienia z głupią. Najwyraźniej jednak go nie przekonała. Albo może podejrzewał, że została tknięta nagłym atakiem amnezji, zapewne nie bez związku z jego oszałamiającym urokiem osobistym?

Oczywiście, to była też trochę jej wina. Kiedy się zadajesz z pojebami z branży, w końcu trafisz na kogoś takiego. Nie oczekiwała od niego stałości w uczuciach ani głębokiego duchowego porozumienia i nie wiązała z nim planów na przyszłość, ale mimo wszystko liczyła na elementarną przyzwoitość.

– Spieszę się – powiedziała krótko.

– Ostatnio, kiedy na ciebie wpadłem, też gdzieś leciałaś – przypomniał sobie. – Gdzie ci tak spieszno?

– W tej chwili spieszno mi, żeby jak najszybciej znaleźć się daleko od ciebie.

– Ale o co ci chodzi, Marta?

Damian wydawał się naprawdę szczerze zdumiony. Nagle przypomniał jej się Austin Powers i jego niewinne „*What’s your point, Vanessa?*” i chyba tylko dzięki

temu w zasadzie rozbijającemu skojarzeniu nie odwinęła się, żeby mu przyłożyć. Swoją drogą ciekawe, co by wtedy opowiadał w Level-Upie.

Rzuciła mu spojrzenie pełne niesmaku i pogardy (choć wiedziała, że to strata energii) i odeszła, żałując, że nie było przy niej jakiegoś rycerskiego przyjaciela, który nie miałby takich skrupułów jak ona i po prostu obił draniowi głowę.

Nagle uśmiechnęła się do siebie. Mazurek, on by się nadał. Pamiętała, że zawsze rwał się do walki – i zawsze przegrywał. W Westeros nie przetrwałby ani dnia, od świtu domagając się sądu przez pojedynek.

Znali się jeszcze z czasów, kiedy pracował w Neverland Studios. Zawsze trzymali się razem i gdyby wtedy, latem 2012, chodziło o cokolwiek innego, na pewno nie dałaby mu tak łatwo odejść z firmy. Teraz widywali się tylko od czasu do czasu – zwykle nawet nie musieli się umawiać, bo devów ciągnie do tych samych miejsc. Ale dziś nie chciała zdawać się na przypadek. Wybrała numer i przycisnęła telefon do ucha.

– Mazurek? Jak leci? Mhm, aha... No, tak dzwonię, bo pomyślałam, że dawno się nie widzieliśmy i może wpadłbyś do mnie? Dziś wieczorem? Hm, no dobrze, może być środa o dwudziestej. Nie, niczego nie obiecuję – zaśmiała się. Mazurek zawsze uparcie twierdził, że nie marzy o niczym innym, jak tylko o zaciągnięciu jej do łóżka. Te zapewnienia były na tyle żarliwe, żeby sprawiać jej przyjemność, i na tyle bezpretensjonalne, żeby nie budzić niesmaku. Ale była pewna, że to tylko żarty. Na jakieś osiemdziesiąt procent. – Tak, na alkohol możesz liczyć. No to do zobaczenia.

Interwencja

Tyrowicz dobrze znał limit czasu skupienia Mata, dlatego celowo przedłużył spotkanie, a do sprawy Marcina przeszedł na końcu.

– Ten Stawecki na razie radzi sobie średnio. Ostrzegalem Antka, że przyjmowanie producenta z zewnątrz to ryzykowna sprawa, ale ostatecznie warto

było spróbować i dać chłopakowi szansę. Tylko, kurczę, mam przeczucie, że nic z tego nie będzie – na rozmowie wydawał się taki ogarnięty i poukładany, ale chyba bardziej kręci go atmosfera studia niż własne zadania. Jakby myślał, że jest na wakacjach. Ciągle gdzieś łązi, podpytuje, węszy... nawet tobie próbował zawracać głowę, chociaż powtarzałem mu, jaki jesteś zajęty. No cóż, zobaczymy, może się jeszcze wykaże. Ale no: pamiętaj, że od początku byłem sceptyczny. Oczywiście decyzja o pozbyciu się go byłaby trudna, ale...

– Zwłaszcza że to podobno twój kolega ze studiów – wtrącił Mat. Tomek z niemiłym zdziwieniem stwierdził, że po jego apatii i znudzeniu nie było ani śladu: game director wyglądał na bardzo ożywionego.

– Marcin ci to powiedział? – Tomek zacisnął wargi. Nie podobał mu się ten błysk w oczach Mata.

– Nie, okazało się, że mamy wspólnych znajomych. A raczej znajome. – Mrugnął do executive producera, wprawiając go w jeszcze większą konsternację. – Tak czy inaczej, przyjrzałem się uważnie temu twojemu Marciniowi.

– Tak?

– I znalazłem go dobrym – powiedział łaskawie Mat. – Podoba mi się, że tak wszędzie, jak to mówisz, łązi. W końcu od tego są producenci, żeby dbać o przepływ informacji, a nie zamykać się w pokoju, no nie? Z tego co słyszę, ma też pozytywny wpływ na team. Robi im jakieś dodatkowe spotkania motywacyjne i w ogóle...

– Marnuje ich czas. – Tomek próbował siedzieć cicho, ale nie wytrzymał. – I ciągle draży sprawę Jaśka, jakbyśmy potrzebowali dodatkowego fermentu!

– Nie przesadzaj. Przecież i tak wszyscy o tym plotkują. Na razie dajmy Marciniowi wolną rękę. Miał być powiewem świeżości, no to niech będzie. Proszę, żebyś go nie blokował, jeśli spróbuje czegoś... innowacyjnego. Bo wiesz, ogólnie to zgadzam się z tobą: niech się wykaże.

– Dobrze. O ile tabelki będą się zgadzać. – Tomek miał minę złej macochy, która właśnie usłyszała, że wszystkie dziewczęta mogą iść na bal. Kopciuszkowi

kroił się niezły crunch.

– Jasne, tabelki. – Mat pokiwał poważnie głową, po czym z rękami w kieszeniach wyszedł z salki konferencyjnej. Parsknął śmiechem dopiero na schodach.

Tak naprawdę ten cały Marcin niewiele go obchodził i jeszcze kilka godzin temu ledwo go kojarzył jako gościa, który czatował na niego kiedyś przy pisuarach w łazience. Teraz pewnie nawet nie zwróciłby uwagi na głędzenie Tyrowicza, tylko mu potakiwał na odczepnego, gdyby nie Nela.

Kiedy po południu poprosiła go o rozmowę na osobności, miał jak najgorsze przeczucia. Oczywiście zdawał sobie sprawę z jej zainteresowania – nigdy mu się nie narzucała, wręcz obchodziła go z daleka, ale w jej towarzystwie zawsze czuł się nieswojo. Patrzyła tymi smutnymi, orzechowymi oczami i milczała zawzięcie – dochodziło nawet do tego, że przerywała prowadzone rozmowy, kiedy przechodził obok. A Matowi natychmiast udzielało się jej zmieszanie: ścisnęło go w żołądku i pociły mu się dłonie. To było mega creepy.

Wiedział, że wszyscy plotkowali o tym, że Nela do niego wzdycha – i to wcale nie ułatwiało sprawy. Było też paru takich, którym się wydawało, że są z Matem na tyle blisko, żeby udzielać mu dobrych rad: „No ale skoro sama się prosi?”, „Aż tak ci się nie podoba?”, „Nie wybrzydź, nie jest znowu taka gruba. Raczej duża. Jak Adele albo Zarine Khan. To teraz modne! A Krzysiek mówi, że jest też niegłupia”, „Weź się poświęć, he, he. Nikt nie każe ci się z nią potem żenić”. Nie miał siły im tłumaczyć.

Bardzo mu ulżyło, kiedy Nela wyjaśniła, że chciała z nim porozmawiać o nowym producencie. Chociaż był też trochę zdziwiony – z jednej strony mówiła, że prawie nie zna gościa, a z drugiej to z jego powodu dygotała teraz i wierciła się niespokojnie w gabinecie Mata. Ale gdyby chodziło o to, że przerzuciła uczucia na Marcina, to chyba mogłaby mu teraz normalnie spojrzeć w oczy, zamiast gapić się uparcie w okno. Zagadkowe. Zacinając się i nerwowo pocierając jednym nadgarstkiem o drugi, przedstawiła sprawę, a potem umilkła i łypnęła na niego z miną, jakby kradła chleb.

Już otwierał usta, żeby zadać kilka pytań o tego Marcina, bo sytuacja wydawała mu się dosyć dziwna, ale zrezygnował – to by nic nie zmieniło, bo przecież i tak by jej nie odmówił.

– Zgoda. Załatwione – powiedział tylko, a ona podziękowała szybko i prawie wybiegła z jego pokoju.

Marcin dalej mało go obchodził, ale niejasno czuł, że jest coś winny Neli. Dotąd sobie tego nie uświadamiał, bo nie zaszła taka sytuacja, ale zrobiłby wszystko, o cokolwiek by poprosiła. Po pierwsze, żeby się jej szybko pozbyć. A po drugie, bo wiedział, że przyszłaby do niego tylko w ważnej i słusznej sprawie.

Ghost Rider kontra Vergil

Siostra Ritmeijera nie odezwała się do wieczora, więc Marcinowi nie pozostało nic innego jak tylko zapolować na Sonię. Żeby już na wstępie nie wzięła go za oszołoma albo psychofana, postanowił wydebić wreszcie należną mu firmową koszulkę od Adriana z HR. Trochę to zajęło, ale w końcu dorwał go przy szafie na korytarzu.

– Musisz ją mieć koniecznie dzisiaj? Właśnie miałem iść do domu...

– Tak, muszę. W celach dyplomatycznych. – Marcin kątem oka zobaczył przechodzących obok Adama Wróbla i Karolinę. Dwa punkty za uśmiech specjalnie dedykowany – pomyślał mimowolnie. Kiedy człowiek już wiedział, na co zwracać uwagę, co chwila widział takie rzeczy. – Może mi po prostu powiedz, gdzie są, to sam sobie jedną wezmę.

– Chyba żartujesz – oburzył się Adrian. – Nie żebym miał coś osobiście do ciebie, ale kiedy w grę wchodzi koszulki, uczciwych ludzi nagle zaczynają świerzbic ręce. Zasady są jasne: każdemu należy się jedna na początek, jedna na imprezie sylwestrowej i jedna z okazji premiery gry, ale wszyscy kombinują, jakby tu wyrwać dodatkowe. A Tyrowicz je liczy i zawsze kiedy jakiejś brakuje, każe mi chodzić i szukać winnego. Serio.

– Pff, przecież to tylko koszulki – rzucił Marcin lekko. To tylko zwykły pierścionek, sskarbie.

– Taa. A w ogóle to najpierw trzeba dostać klucz od serwerowni, bo tamtędy się idzie do małego magazynu.

– A kto go ma?

– Krzysiek. Ale on nigdy się z nim nie rozstaje bez marudzenia.

– Chyba mam coś na wymianę. Daj mi moment. Nie uciekaj, ok?

Wrócił z kluczem po pięciu minutach, uśmiechając się tryumfalnie.

– No dobra. To chodźmy, byle szybko. – Adrian wyglądał, jakby z każdą dodatkową minutą spędzoną w firmie coraz bardziej bolały go zęby. Cały czas popędzał Marcina i nie dał mu się nacieszyć poczuciem uspiętej mocy, jaka emanowała z serwerów. W świątynnej ciszy tego przybytku szumiały cicho panele chłodzące, a kiście kolorowych kabli okręcały się wokół siebie jak wrażliwe pnącza jakiejś inteligentnej rośliny. Powinni tu na okrągło puszczać z głośników *Making of Cyborg*.

– To tamte drzwi. No, jazda.

Marcin ruszył za nim, ciągle zapatrzony w rzędy świecących na niebiesko kontrolki LED, i potknął się o coś miękkiego. Stanął jak wryty i spojrzał pod nogi.

Za jednej z szaf stelażowych wystawała leżąca bezwładnie na podłodze ręka.

– Co jest? Chyba nie wyrwałeś żadnego kabla? – zapytał zaniepokojony Adrian, odwracając się.

– Nie. Ktoś tu leży.

To chyba nie mógł być...

Podeszli obaj bliżej i popatrzyli na rozciągnięte na podłodze ciało. Mężczyzna leżał na brzuchu, osłaniając jedną ręką głowę. To, że leżący nie zareagował, kiedy ktoś przeszedł mu po ręce, nie wróżyło dobrze. Co prawda nigdzie nie było widać krwi, ale czy zawsze musi być krew? – pomyślał Marcin, czując, jak po plecach przechodzi mu zimny dreszcz. Ktoś mógł go po prostu udusić albo...

– To chyba nie Ritmeijer? – zapytał w końcu i zachichotał nerwowo.

– Nie, Jasiak był wyższy – powiedział spokojnie Adrian. – No co się tak dziwnie patrzysz? Ten tutaj ma najwyżej metr osiemdziesiąt. I krótkie włosy.

Przykucnął i bez ceregieli odsunął rękę, która zasłaniała twarz mężczyzny.

– Wojtek Mazurek. Śpi jak zabity.

– Yyy, a może powinniśmy sprawdzić, czy...

– Hm, racja.

Adrian pochylił się niżej i pociągnął nosem.

– Nie, chyba nie jest pijany. W każdym razie ja nic nie czuję. Po prostu zasnął. Swoją drogą, ciekawe jak tu wlaźł. Zaczaił się czy jak? To na pewno najlepsze miejsce, żeby się przespać w studiu w ciągu dnia, ale Krzyśkowi i chłopakom z IT to się bardzo nie spodoba. Ej, Mazurek! – Potrząsnął go za ramię, ale Wojtek nawet się nie poruszył.

Całkiem jakby ktoś go odłączył od prądu – pomyślał Marcin ze zdziwieniem. – Może trzeba będzie z nim pogadać, żeby nie siedział tu całymi nocami, bo długo tak nie pociągnie. Są chyba jakieś granice.

Marcin rzeczywiście bez problemu rozpoznał Sonię: wyglądała jak paw w sylwestra.

Miała na sobie wzorzyste rajstopy, bardzo krótką czarną spódniczkę, fioletowe kozaczki, obcisłą bluzkę z wielkim dekoltem i prześliczną krótką kamizelkę wyszywaną kolorowymi, opalizującymi nićmi. Siedziała przy barze, kołysząc się niebezpiecznie na wysokim stołku, i ze śmiechem plotkowała z barmanem. Kiedy Marcin usiadł obok niej, zmierzyła go długim, trochę bezczelnym spojrzeniem spod nienaturalnie długich, jakby pierzastych rzęs i pociągnęła przez rurkę ze swojej szklanki, w której lód powoli topił się w czymś różowym i z wyglądu toksycznym. Po czym wróciła do przerwanej rozmowy. Marcin zamówił Naughty Orange (likier pomarańczowy triple sec, Drambuie, jasny rum, sok z limonki, świeża skórka pomarańczowa) i kontynuował obserwację.

Miała tak modną fryzurę, że zakrawało to na pastisz – krótkiego boba, wygolone skronie i kark, a nad czołem asymetryczną grzywkę układającą się

w miękką falę.

Okrągłe, szeroko rozstawione oczy, koścista, trójkątna twarz z długim, cienkim nosem, za szerokie usta – no tak, nie była ładna, a do tego raczej chuda niż szczupła. Ale miała za to zachwycającą szyję – długą i smukłą jak łądyga, i małe, urocze uszy, które wyglądały, jakby zrobiono je z cienkiej chińskiej porcelany. I idealną cerę. Marcin złapał się na tym, że wyszukuje kolejne zalety dziewczyny Ritmeijera, jakby miało mu to pomóc załatwić sprawę. Westchnął i pokręcił głową.

Musiała wyczuć, że ją obserwuje, bo przechyliła się lekko ku niemu, jakby czekała, że powie jej coś na ucho. Podczas gdy Marcin próbował opanować nagłe zmieszanie i gorączkowo zastanawiał się, co zrobiłby teraz James Bond, Sonia znudziła się i spojrzała na niego wprost, unosząc kpiąco jedną brew. Miała mocny makijaż, który wyglądał raczej jak barwy wojenne, nakładane grubo palcem – nieregularne krechy przedłużające linie powiek ku skroni, pomarańczowe i turkusowe cienie, a na kościach policzkowych niedbałe maźnięcie różem. Usta malowała na śliwkowo.

– Jesteś Sonia, prawda? Szukam twojego chłopaka, Jaśka. Ja... też jestem z Nasty Oranges.

Machnęła kilka razy rzęsami, patrząc na jego koszulkę, po czym nagle uśmiechnęła się szeroko jak klaun.

– Tak? No to się świetnie składa. Już się martwiłam, że nie będę miała dziś z kim zagrać. Chodźmy!

Kiedy zeskoczyła ze stołka, rozległo się ciche dzwonenie. Dopiero teraz zauważył, że pasek jej spódniczki jest obszyty kulistymi dzwoneczkami.

Marcin od dzieciństwa nie znosił bijatyk – jakoś nigdy nie umiał nadażyć za ruchami własnej postaci. Albo naprawdę za każdym razem dostawał zepsutego pada. Pamiętał, że kiedyś (pewnie miał z dziesięć lat) zawzięł się i nauczył efektownego combo w *Mortal Kombat*; następnego dnia z dumą zaprezentował to kolegom: „A patrzcie, co ja umiem!”, oni pokiwali głowami, a jeden powiedział: „Aha. To popatrz na to” – i rozwalił go w kilka sekund zielonym jaszczurem, który

na koniec zdjął maskę, wystawił jęzor i zeżarł głowę Marcinowemu wojownikowi. Wtedy zrozumiał, że nie ma szans ich dogonić, więc dał sobie spokój. Było przecież tyle innych gier.

Tymczasem Sonia zaproponowała *Marvel vs. Capcom* – a raczej nie tyle zaproponowała, co popchnęła go na kanapę, rzuciła mu pada, włączyła grę i oświadczyła, że najlepiej, gdyby grał Ghost Riderem. Marcin uznał, że to nie jest moment, żeby dzielić się z nią złymi wspomnieniami z dzieciństwa, wziął się w garść – i przegrał trzy razy pod rząd.

– Czy ty przyciskasz, co popadnie, licząc, że on sam we mnie trafi? – zapytała w końcu Sonia, bardzo rozbawiona.

– Hmm...

– To słodkie, ale postaraj się trochę, co?

Marcin odłożył pada na kolana i otarł spocone dłonie w swoją nową koszulkę. Strasznie trudno było mu się zdecydować, kiedy już Adrian zademonstrował mu kilka do wyboru. Ostatecznie wziął tę z gangiem braci Baird i napisem „Nasty Team”. Chociaż teraz doszedł do wniosku, że wolałby jednak tamtą z Finnleyem. Westchnął, rozprostował splecione dłonie, aż strzeliły stawy, i znów ujął pada. Za czwartym razem też przegrał, ale poszło mu już o wiele lepiej i pomyślał, że czas zacząć drążyć temat.

– Masz jakiś kontakt z Jaśkiem?

– Hm? – rzuciła Sonia nieuważnie. Marcin spojrział na jej profil osrebrzony blaskiem z ekranu i na moment stracił czujność. – Oj, no patrz, a już prawie nauczyłeś się używać łańcucha. Pięć zero dla mnie.

– Rozmawiałem z jego siostrą, ale ona nic nie wie. Pomyślałem, że to trochę dziwne... Dzwoniliście oczywiście na policję, do szpitali i tak dalej?

– Yhm. Graj.

– *The Flames of Revenge? Couldn't even melt a marshmallow* – rzucił złośliwie Vergil z ekranu, wyraźnie solidaryzując się z Sonią, kiedy Ghost Rider Marcina przegrał po raz kolejny.

– O rany, znowu. Przynieś mi drinka, ok? – Sonia opadła gwałtownie na oparcie kanapy, aż zadzwoniły dzwoneczki przy jej pasku.

– A co chcesz?

– Nagły Zgon.

– Eee... Tego chyba nie ma na karcie – zawahał się Marcin.

– Jasne, że nie ma. Ale zamów i tak. Albo wiesz co – od razu weź mi podwójny.

Nagły Zgon okazał się jadownicie zielony. Marcinowi zdawało się, że coś tam w środku bulgocze, ale może się przesłyszał.

– Dzięki. A teraz siadaj i graj jak człowiek. Znaczący: półdemon.

Marcina nagle naszły złe przeczucia.

– Hm... Czy muszę cię pokonać, żebyś ze mną porozmawiała?

Sonia o mało nie zakrztusiła się kandyzowaną wisienką wyjętą z odmętów drinka.

– Wam się naprawdę te wszystkie gry rzucają na mózg. Co za dziecinny pomysł! Oczywiście, że nie.

Marcin odetchnął z ulgą, ale tylko na moment.

– A czy to znaczy, że porozmawiasz ze mną tak czy inaczej? Czy raczej: nawet jeśli wygram, nic mi nie powiesz?

– Zdecydowanie szybciej się orientujesz w sytuacji niż twój Ghost Rider. A tak serio to po pierwsze cię nie znam, a po drugie nie mam nic do powiedzenia o Jaśku. Zniknął i to jego prywatna sprawa.

– Prywatna sprawa? Myślałem, że wy dwoje...

– To, co my dwoje, to też prywatna sprawa.

Marcin przygryzł wargę. Sonia odstawiła na stolik pusty kieliszek i spojrzała na niego kpiąco.

– Jeszcze jeden? – zaproponował.

– Chcesz mnie upić? – zaśmiała się. – Możesz próbować, ale ostrzegam, że mam mocną głowę.

– To samo?

– Hm, nie. Teraz może być Czysty Obłąd.

Po kolejnej rundzie MVC i czymś, co wyglądało jak wódka ze smołą, Sonia nadal zachowywała się przygnębiająco trzeźwo, ale Marcin miał wrażenie, że zaczyna poświęcać mu odrobinę więcej uwagi niż grze.

– Czyli nie układało wam się ostatnio za dobrze? – zaryzykował. No cóż, najwyżej wyleje mu drinka na głowę albo się obrazi i sobie pójdzie. Już tyle razy go zmasakrowała tego wieczora, że właściwie robiło mu się wszystko jedno.

– Bzdury – prychnęła z irytacją. – Po prostu staramy się nie ograniczać nawzajem. Oboje potrafimy uszanować swoją potrzebę niezależności. To nigdy nie był typowy związek – jesteśmy trochę jak Tim Burton i Helena Bonham Carter. Kochamy się, ale tak z osobna. Nie musimy korzystać z tej samej łazienki co rano, żeby czuć więź.

– Czyli mieszkacie osobno, tak?

– I co z tego? – zapytała chłodno.

– Nic, nic. Czego się teraz napijesz? Czeluści Zguby?

– Ha, ha, no proszę, ty chyba też masz jakieś zapędy twórcze! Czeluści Zguby tu jeszcze nie serwują, ale weź mi Demony Przeszłości.

Marcin poszedł do baru i stanął w kolejce. Jeśli będzie uzyskiwał średnio jedną odpowiedź na trzy drinki, czeka go długi, kosztowny i męczący wieczór.

Później przypomniał sobie tę refleksję z ponurym uśmiechem. Gdyby tylko wiedział...

Opowieść Danki

Danka podciągnęła śpiwór pod brodę i wpatrzyła się w nocne niebo. Marzły jej policzki i nos, ale poza tym było znośnie – na tyle ciepło, żeby się nie rozchorowała, i na tyle niewygodnie, żeby poczuła się jak na wyprawie w góry.

Kawka leżał całkiem cicho, jakby zasnął, ale wiedziała, że czuwa. I czeka. Nabrała w płuca zimnego, wilgotnego powietrza.

– Kiedy miałam szesnaście lat, zamieszkał z nami kuzyn mojej mamy. Był od niej młodszy, ale zawsze w dzieciństwie trzymali się razem. Rodzice nie powiedzieli nam – to znaczy mnie i mojej siostrze – dlaczego się do nas przeniósł, ale domyślałyśmy się, że przydarzyło mu się coś złego i u nas ma dochodzić do siebie. Zanim przyjechał z Poznania, mama w nieskończoność rozmawiała przez telefon, pewnie z nim i z ciotkami. Zamykała się wtedy w pokoju, a moja siostra, Gośka, nie pozwalała mi podsłuchiwać. W każdym razie ten kuzyn był osobnikiem bardzo tajemniczym. Przedtem widziałam go wiele razy na jakichś rodzinnych zjazdach, ale nigdy nie zwracałam na niego specjalnie uwagi, bo był tylko kolejnym nudnym dorosłym. Tak więc kiedy się u nas pojawił, nie mogłam stwierdzić, czy się jakoś zmienił. Kilka razy widziałam, jak brał jakieś leki – ukradkiem, jakby się wstydził.

Michał – tak go teraz nazwijmy, bo nigdy nie potrafiłam zwracać się do niego prawdziwym imieniem. Potem już zawsze tak miałam – kiedy byłam w kimś na zabój zakochana, nie potrafiłam wymówić jego imienia. Po prostu nie byłam w stanie. Onieśmiało mnie w takim biblijnym sensie najgłębszego związku prawdziwego imienia z samą istotą tego, kim jest. Miałam wrażenie, że używanie czegoś tak nieskończenie osobistego na co dzień to świętokradztwo – jakby dotykać palcem czyjś otwartego oka albo rany. Dlatego zawsze używałam przezwisk albo mówiłam do nich po nazwisku.

Michał bardzo szybko wtopił się w naszą rodzinę; niewiele mówił, wcześniej rano wychodził do pracy, a potem zaszywał się w swoim pokoju. Miałam wrażenie, że wszyscy poza mną przestali go zauważać. Nie próbowałam wciągać go w rozmowy ani nie spędzaliśmy razem wiele czasu, ale ciągle miałam wrażenie jego obecności, jakby ktoś nakleił w tle delikatną tapetę albo włączył podkład muzyczny. Pamiętam, jak przyglądałam się jego rzeczom w łazience – tylko szczoteczka do zębów, golarka, szare mydło i mały ręcznik. Jak w wojsku. Przez rok u nas mieszkał i nic ciekawego ani dramatycznego się nie wydarzyło.

Na jakiś tydzień przed tym, jak Michał miał się wyprowadzić do małej kawalerki dwie ulice dalej, pokłóciłam się z ojcem przy kolacji. To generalnie nie było nic niezwykłego – ciągle mi dogryzał, to był chyba jego sposób na oswojenie sytuacji, że oto ma w domu dwie dorastające córki. O ile Gośka przechodziła przez ten etap z irytującą godnością, ja byłam płaczliwa, zdarzały mi się ataki furii i naprawdę niewiele było trzeba, żeby mnie sprowokować.

Tym razem ojciec przesadził, więc nawrzeszczałam na niego, rozbiłam talerz o ścianę i z płaczem pobiegłam na strych. Kiedy byłam mała, zawsze chowałam się na górze. Pachniało tam starym drewnem i koperkiem, który suszyła moja babcia. Przepadałam za nią i dotąd nie znam słodsze i bardziej kojącego zapachu niż suszony koperek. Chciałam się zakopać w moich starych pluszakach, które mama wyniosła na strych, i porządnie wypłakać – nie, tak naprawdę chyba chciałam się tam zamknąć i już nigdy nie zejść na dół – ale wpadłam na Michała.

Nie wiem, co robił na górze, ale najwyraźniej też upatrzył sobie to miejsce. Wpadłam na niego z całym rozpędem, a on po prostu objął mnie i przytulił. Nic nie mówił, tylko mnie trzymał. Byłam tak zaskoczona i zszokowana jego bliskością, że przestałam płakać. Gdyby wtedy pytał, co się stało, próbował mnie pocieszać albo chociaż poklepać po plecach, pewnie bym się wyrwała i uciekła, ale on nie zrobił nic. Stałam tak jak sparaliżowana, paliła mnie skóra i słyszałam tylko, jak bije mu serce – spokojnie i pewnie. Dookoła pachniało suszonym koperkiem, a on szarym mydłem i ciepłą, suchą skórą. Wszystko się we mnie skręcało, jakbym przechodziła przez niewidzialną ścianę, a z drugiej strony było mi tak dobrze, że mogłabym tak stać z nim w nieskończoność.

Nagle się poruszył i opuścił ręce. Nie mogłam się wybudzić z tego dziwnego stanu, ale po chwili usłyszałam, jak mama mnie woła z dołu. Na strychu było ciemno, ale i tak nie odważyłam się spojrzeć na Michała, tylko wybiegłam. Okazało się, że odkąd uciekłam z jadalni, minęły trzy godziny. Trzy godziny! A ja miałam wrażenie, że to było tylko kilka minut. Coś jak Narnia, tylko dla dorosłych.

Tydzień później Michał się wyprowadził. Nie rozmawiałam z nim przez ten czas. Nie ośmieliłam się nawet na niego patrzeć, tylko obserwowałam go

ukradkiem spod rzęs. Potem przez pewien czas moja mama się upierała, że trzeba Michałowi zanosić obiady. Ojciec z niej pokpiwał, ale uparła się, że posiłek przygotowany z miłością to coś innego niż żarcie z Chińczyka, a Michał ciągle potrzebuje wsparcia. A jeśli ojciec nie rozumie, to niech sobie poczyta o niewidzialnej dziewczynce u Muminków. Moja mama ma fioła na punkcie Muminków i całe dzieciństwo czytała mi wszystkie tomy, na okrągło. Ostatnio przeczytałam to znowu po latach i rany, to jest naprawdę ciężki kaliber egzystencjalnego niepokoju, zwłaszcza *Dolina Muminków w listopadzie* i *Tatusz Muminka i morze*. W każdym razie mieliśmy zapasowy klucz do mieszkania Michała i nosiliśmy mu te obiady codziennie, na zmianę ja i Gośka. W końcu mamie przeszło z tym dokarmianiem, ale ja oczywiście dalej do niego chodziłam, a w domu mówiłam, że idę na dodatkowe zajęcia z historii.

Wtedy już rozmawiałam z Michałem – o najprostszych rzeczach, tak jak zaczyna się nauka każdego obcego języka. Co robiłam tego dnia. Jaka jest pogoda. Gdzie chciałabym pojechać na wakacje. On opowiadał o swojej pracy – nie było to szczególnie zajmujące, ale nam chodziło o to, żeby w ogóle mówić. Nigdy nie rozmawialiśmy zresztą zbyt długo, żeby zdążyć się pożegnać. To był główny punkt programu. Odprowadzał mnie do drzwi, a potem obejmowaliśmy się i staliśmy tak dwie, trzy godziny. Tylko staliśmy bez ruchu, nic więcej.

Po miesiącu powoli pogładził mnie po włosach i chociaż to był bardzo ostrożny, spokojny ruch, spięłam się i zeszywniałam. Następnym razem już na to czekałam, więc byłam mniej nerwowa. Głaskał mnie powolnymi ruchami jak kota, a ja stałam nieruchomo z zamkniętymi oczami. Po pół roku przesunął rękę na plecy, a dzień po tym, jak skończyłam osiemnaście lat, pocałował mnie. Nigdy dotąd z nikim się nie całowałam i to było strasznie zaskakujące doświadczenie, że chociaż mężczyźni mają takie szorstkie, drapiące policzki, ich usta i język są miękkie i gładkie. To był krótki pocałunek, ale potem przez całą noc dygotałam i nie mogłam się uspokoić: myślałam, że teraz wszystko zacznie się toczyć o wiele szybciej i chociaż bardzo tego chciałam, nie wiedziałam, czy jestem gotowa. Michał to chyba wyczuł, bo dał mi do zrozumienia, że poczeka, aż ja będę go

chciała pocałować, i dalej oswajaliśmy się ze sobą bardzo powoli. Wszystko to było takie senne, łagodne i niewyraźne, i jak we śnie miałam wrażenie, że nawet, kiedy coś robię, to nie do końca zależy ode mnie. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz przenieśliśmy się spod drzwi na łóżko, była już zima. Zdjął mi sweter i chociaż miałam na sobie jeszcze bluzkę i biustonosz, czułam się całkiem naga. Rozbieranie mnie zajęło trzy miesiące i wtedy miałam już wrażenie, że celowo to przeciąga. Siedziałam przed nim w samych majtkach, wciąż onieśmielona, z pożądania kręciło mi się w głowie, a on z przekornym uśmiechem przesuwiał palcem po moim biodrze – i czekał. Kiedy już uporaliśmy się z majtkami, przyszedł czas na jego podkoszulek i bokserki i wtedy znów zwolniliśmy, bo nie mogłam się przyzwyczaić do tego widoku. Teoretycznie wiedziałam, jak są zbudowani mężczyźni, widziałam zdjęcia i parę filmów, ale ciągle miałam wrażenie, że Michał nagle zamienił się w jakiegoś baśniowego potwora – pół człowieka, pół gryfa, ośmiornicę, węża, sama nie wiem. Ta zagadkowa, żyjąca własnym życiem rzecz wydawała mi się fascynująca, ale niebezpieczna. Na wszelki wypadek na czas badań owijałam się kocem, a Michał leżał cierpliwie, całkiem nagi, zaciskał ręce na poduszce i starał się z całych sił wyglądać mniej imponująco. Strasznie bałam się go dotknąć – wiedziałam, że mogę, ale miałam wrażenie, że jeśli to zrobię, nagle zaczną wyć syreny, ogniste cheruby zagrają *Dies irae*, a mnie porazi grom z jasnego nieba.

Oczywiście, ani wtedy, ani kiedy miesiąc później poczułam go w sobie, nic podobnego się nie stało, ale pamiętam ciągle jego urywany, gwałtowny oddech – właśnie jakby się świat kończył.

Teraz wydaje mi się całkiem nieprawdopodobne, że poza tym chodziłam do szkoły, pisałam sprawdziany, rozmawiałam z rodzicami, robiłam zakupy – pamiętam tylko, że byłam jak w transie i myślałam o nim bez przerwy, a w nocy nie mogłam spać z tęsknoty i wyrzutów sumienia.

Wszystko skończyło się nagle, jakby ktoś wyciągnął mnie na mróz z gorącej wody. Pewnego dnia usłyszeliśmy pukanie, a moment później do mieszkania weszła Gośka, otwierając drzwi zapasowym kluczem. W ręce miała przykrytą folią

foremkę do ciasta – najwyraźniej mamę znów wzięło na uczucia rodzinne. Gośka zobaczyła nas razem i zamarła. Tak się akurat złożyło, że oboje byliśmy ubrani i nawet nie trzymaliśmy się za ręce, ale i tak wszystko było widać, jakby ktoś nad naszymi głowami zapalił kolorowy neon. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Gośki. Pod jej wzrokiem po prostu rozpadałam się na kawałki. To był absolutnie najgorszy moment mojego życia. Żadna krzywda, upokorzenie czy strata dotąd nie może się równać z jej spojrzeniem.

Jak zahipnotyzowana włożyłam wtedy buty, wzięłam torbę i wyszłam bez słowa. Szłam w stronę domu, kiedy dogoniła mnie Gośka. Dalej miała tę foremkę w rękach. Wyrzuciła ją do kosza na śmieci, a potem nie oglądając się na mnie, poszła na przystanek tak różnym krokiem, jakby jej się strasznie spieszyło. Wiedziałam, że nie od razu powie rodzicom – Gośka nigdy nie robiła nic impulsywnie. Kiedy wróciła, siedziałam sama w kuchni i odrabiałam lekcje. Czekałam, kiedy zacznie mówić, ale milczała. Następnego dnia od razu po szkole znów usiadłam w tym samym miejscu i nie ruszyłam się aż do północy, kiedy poszłam spać. I tak każdego dnia. Po tygodniu uznałam, że Gośka zrozumiała i zgadza się na ten układ: ja już nigdy nie pójdę do Michała, a ona nie powie o niczym rodzicom. Dotrzymałam umowy i ona – z tego co wiem – też. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Danka zamilkła i aż drgnęła, gdy Kawka się odezwał.

– Musiało być ci strasznie ciężko zrezygnować z niego tak nagle.

– Tak. Ale gdybym poszła się pożegnać – podjęła po chwili – wszystko zaczęłoby się od nowa. On też nigdy już do nas nie przyszedł i w końcu mama się na niego obraziła. To oczywiście trochę ułatwiło sprawę. Nigdy też nie spotkałam go na ulicy nawet przypadkiem – więc wyglądało na to, że konspiracja ma wymiar dużo głębszy. Po jakimś czasie wyprowadził się do Londynu.

– Do Londynu – powtórzył z żalem. A już zaczynał mieć nadzieję, że kiedyś dowie się, gdzie mieszka, i będzie mógł pójść obić mu mordę. Co za podstępny, zdradziecki skurwiel. Bardzo sprytny, trzeba mu przyznać. Łaskawie poczekał, aż ona skończy osiemnaście lat! Mazurek gryzł się w język, żeby nie rzucić jakimś

zjadliwym komentarzem. Był wściekły i już sam nie wiedział, czy bardziej na tego pająka, który się na nią czał dwa lata, czy na siebie, bo przecież planował zrobić mniej więcej to samo: oswoić ją sobie powolutku, a potem uwieść. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz Danka była mniej bezbronna, a on chyba jednak nie miał aż tyle cierpliwości co tamten gość.

– I co było dalej z tobą i twoją siostrą?

– Nigdy nie byliśmy szczególnie blisko, a po tym przestałyśmy już całkiem rozmawiać. Mieszka teraz na Ochocie i ma dwoje dzieci. I buldoga angielskiego. Nie widziałam jej prawie od roku.

– Aha.

– Z perspektywy czasu bardziej mi przykro z jej powodu niż Michała. Ale po prostu nie potrafiłam powiedzieć rodzicom prawdy. Zawsze byli bardzo... niepostępowi w takich sprawach. On był ode mnie starszy piętnaście lat i no, był kimś w rodzaju wujka. Ojciec by chyba... No, nieważne. W każdym razie to wtedy po raz pierwszy zafarbowałam włosy na czerwono. Rozważałam też opcjonalnie dokonanie zbrodni doskonałej na własnej siostrze albo wyskoczenie przez okno.

– Dobrze wybrałaś – powiedział z powagą. – To bardzo ładny kolor.

Notes

– Znowu siedzisz do późna!

Andrzej podniósł głowę i zobaczył tuż nad sobą uśmiechniętą Karolinę. Tak się wciągnął w naprawianie dzisiejszych bugów, że nawet nie zauważył, kiedy się pojawiła. Zerknął na zegarek i wzruszył ramionami.

– Wejdz, skoro już weszłaś.

Zachichotała i usiadła na biurku naprzeciwko niego.

– Fajnie tu u was – zauważyła, kiwając nogami jak mała dziewczynka. – We trzech macie tu spokój.

– Najprzyjemniej jest właśnie wieczorami, kiedy nikogo poza mną nie ma.

Karolina nie zauważyła aluzji (albo udała, że nie zauważyła) i dalej rozglądała się po małym pokoju gameplayowców. Andrzej zwalczył pokusę syreniego śpiewu bugów i obrócił się do Karoliny, próbując wykrzesać z siebie odrobinę dobrej woli.

Informacje same się nie zbiorą, a skoro źródło samo do niego przychodzi, nie powinien narzekać. Wczoraj zmarnował dobrą okazję, żeby ją o wszystko wypytać przez jakieś głupie skrupuły – teraz trzeba to nadrobić.

– Jak tam? Masz już jakichś nowych przyjaciół w pracy?

– O, miło, że pytasz. Tak, jest trochę lepiej. Co prawda Asia ciągle jeszcze ze mną nie rozmawia normalnie, ale cierpliwie się do niej przebijam, tak jak radziłeś.

– Super. A Franek? Widziałem, że rozmawialiście po lunchu. Jest fajny, prawda?

– Rozmawialiśmy? A, tak. O tatuażach. Franek jest... hm, trochę deprymujący. Znaczący, nie mówię, że jest niemiły – dodała pospiesznie. – Tylko zawsze czuję się przy nim trochę skrępowana. Chyba nie za bardzo ufam zbyt przystojnym facetom.

– Pewnie dlatego tak dobrze ci się ze mną rozmawia – mruknął pod nosem i dyskretnie przysunął sobie notatnik. – A Jacek Brzeźniak? Przy nim chyba możesz czuć się swobodnie.

– Tak, rzeczywiście. Ale on jest odrobinę dziwny, no nie? Ostatnio opowiadał mi o szpinaku, ale tak jakby w klimacie kultowych filmów grozy.

Andrzej notował pracowicie przez jakieś dziesięć minut, nie odrywając przy tym wzroku od Karoliny i przytakując jej co słowo.

– A co to za zeszyt? – zainteresowała się nagle.

– Tak sobie rysuję. Łatwiej mi się wtedy skupić.

Pozornie niedbałym ruchem przewrócił stronę w notatniku i nasmarował najbardziej koślawą choinkę świata.

Kiedy Karolina się poderwała, struchlał i z trudem zwalczył chęć, żeby przycisnąć zeszyt do piersi. Tymczasem ona wcale po niego nie sięgnęła, tylko wybiegła z pokoju. Yyy?

Wróciła po chwili, niosąc piękny, duży szkicownik. Teraz dla odmiany wpakowała się na biurko Andrzeja, tak że musiał się odsunąć, żeby nie miziała go włosami po twarzy.

– Ja też cały czas coś bazgrołę. Chcesz zobaczyć?

Była tak pełna entuzjazmu, że oczywiście nie mógł odmówić. Zaczął przeglądać jej rysunki, najpierw z uprzejmości, a potem z rosnącym zainteresowaniem.

– Naprawdę... zajebiste – powiedział szczerze.

Były tam pospieszne szkice ludzi siedzących w tramwaju, projekty ubrań, krótkie komiksy, przepięknie wycieniowane psie popiersia – głównie charty, rottweilery i wyżły – skomplikowane roślinne ornamenty i kilka bardzo dopracowanych portretów na całą stronę. Szczególnie udana była pani Jagoda, a po jej zachwyconej minie domyślił się, że nie dała się długo prosić o pozowanie. Portret Asi był niedokończony, ale Karolina dała radę uchwycić to wdzięczne, kocie przechylenie głowy i kpiący uśmieszek w kąciku ust.

Przewrócił kilka kartek, wyszczerzył się nad bardzo trafną karykaturą Krzyśka, pozachwycił się rysunkiem małej Avery z bosymi stopami i umorusaną twarzą, a potem nagle zobaczył siebie w ciemnym kubraku z wielkim kołnierzem i zdębiał.

– Aaa, to Szekspir – pospieszyła z wyjaśnieniem Karolina. – Oryginał to tak zwany *Portret Chandos*. Przypisuje się go Johnowi Tylerowi, ale tak naprawdę...

– To ja – powiedział surowo. – Nawet mam taki sam kolczyk. Tylko tutaj nie wiem czemu narysowałaś mi czoło jak lotnisko Chopina. Jeśli kiedyś będę łysiał, to od tyłu głowy, jak mój ojciec – zapamiętaj to sobie, ok?

– Hm, teraz widzę, że rzeczywiście wyszedł mi tu dość podobny do ciebie.

Pochyliła się i przyjrzała swojemu rysunkowi krytycznie.

– Tylko dużo starszy. I łysy. I loki ma jakieś takie oklapnięte u góry. Też pewnie przez te zjednoczone zakola.

– Mhm. Możliwe.

– Ale zgadzamy się co do tego, że ja – w odróżnieniu od Szekspira – nie łąsieję? – upewnił się.

– Jasne.

Ojcowska troska

Kiedy Mat wrócił ze studia, wszystkie światła w mieszkaniu były pogaszone. Dochodziła pierwsza i Julka pewnie już spała. Mat skopał buty z nóg, rzucił kurtkę w kierunku wieszaka i poszedł umyć ręce w gorącej wodzie, żeby je trochę rozgrzać. Właściwie wypadałoby też wypić coś ciepłego. Może kawę? Niby już późno, ale nie był jeszcze śpiący. Hm, mógłby w coś pograć. Referencyjnie, rzecz jasna. Trzeba być na bieżąco z tym, co wyprawia konkurencja. Zadowolony ze swojego profesjonalnego podejścia, zrobił sobie wielki kubek kawy z mlekiem i poszedł zajrzeć do Julki.

Bardzo lubił patrzeć, jak śpi. Czuł się wtedy tak przyjemnie odpowiedzialny, dorosły i opiekuńczy. Julka oczywiście nie wiedziała, że ojciec czuwa, ale Mat zakładał, że mimo wszystko w tak intymnej chwili dzięki magicznej więzi rodzicielskiej poczucie bezpieczeństwa jakoś przenika do jej snu. Cicho otworzył drzwi jej sypialni, oparł się bokiem o futrynę i łyknął kawy, mrużąc oczy z błogości. Kiedy Julka była niemowlakiem, oczywiście nie potrafiła zupełnie doceniać tego rodzaju ojcowskiej troski. Wtedy – w straszliwych czasach pieluszek, kolki i ząbkowania – nocami potrzebna była jej przede wszystkim Iza, która w nieskończoność przewijała, karmiła, poklepywała, kołysała, nuciła... Mat dzielnie przeczekał to wszystko i teraz oto mógł się cieszyć niezakłóconym kontaktem z istotą rozumną, jaką w końcu stała się jego córka.

No proszę: Julka, zakopana w pościeli razem z głową śpi jak zabita, ani piśnie. Dopił kawę i poczuł, jak po ciele rozlewa mu się miłe ciepło. *Perfect moment.*

Nagle – jakby na przekór jego myślom – spod kołdry dobiegł cichy chichot. Mat zmarszczył brwi. Chichot się powtórzył, miękki pagórek pościeli poruszył się

i po prześcieradle przebiegła smuga światła, jak uciekająca mysz. Kiedy podniósł kołdrę, Julka uśmiechnęła się, zabawnie szczerząc zęby, i zgasiła latarkę.

– Czytasz pod kołdrą? – zdziwił się. – Przecież ja ci nie zabraniam siedzieć do późna.

– Czasem lubię sobie wyobrazać, że mi zabraniasz.

Mat parsknął śmiechem. To dziecko bywa takie pocieszne.

– Jeśli nie możesz spać, to może ciachniesz ze mną w *StarCrafta*?

Julka przygryzła wargę, wyraźnie niezdecydowana.

– Tak naprawdę powinnam już iść spać. Jutro pewnie będą pytać z historii.

– Słusznie, słusznie – zreflektował się. – No to tylko odpalmy *Street Fightera* na chwilkę. Do dwóch wygranych i potem spać. No chyba, że boisz się karzącej pięści Balroga.

– Pff, skopię ci tyłek tak jak ostatnio. – Już sięgała po szlafrok.

Mat uśmiechnął się z dumą. *That's my girl.*



Rozdział dziewiąty

Sobota 14 grudnia

Harley Quinn

Marcin w sobotę rano rzucał się bezradnie w płytkim śnie, jakby go ktoś przytapiał w kałuży. Widział Sonię w dziesiątkach nakładających się na siebie scen, podbarwionych neonowymi rozbłyskami. Sonia biegnąca środkiem jezdni wśród śmigających, rozmazanych od pędu samochodów, ciągnących za sobą czerwono-żółte smugi świateł, przekleństwa rzucone w nocne powietrze jak rozżarzona serpentyna, latarnie uliczne kołyszące się jak konwalie w rytm jej kroków na chodniku, Sonia przyklejona do zielonej rury ciepłowniczej na moście Gdańskim, spoglądająca na pociągniętą kolorowymi refleksami toń Wisły, śmiech Soni na tle wycia klaksonów, Sonia stojąca na rękach na samym brzegu krawężnika i nadjeżdżający autobus, przeciągły lament policyjnej syreny.

Nagle Marcin usiadł w pościeli, łapiąc gorączkowo oddech, i przycisnął dłonie do oczu. To nie był koszmarny sen, tylko wspomnienia.

W pamiętny czwartek okazało się, że Sonia ma rzeczywiście niesamowicie mocną głowę, ale tylko do pewnego momentu. Koło dwudziestej trzeciej ni z tego, ni z owego dostała potężnej głupawki i Marcin uznał (z niejaką ulgą, bo miał dość przegrywania w *Marvel versus Capcom*), że trzeba ją będzie odwieźć do domu. Okazało się to dość skomplikowane, bo Sonia uparła się, że najpierw musi wziąć

coś z samochodu, który zostawiła na parkingu. Kiedy tam doszli, oświadczyła – wbrew oczywistym faktom – że jest już całkowicie trzeźwa i może prowadzić. Marcin, posługując się na zmianę dyplomacją i siłą, odebrał jej kluczyki i chciał zadzwonić po taksówkę, ale Sonia wygłosiła wtedy płomienną przemowę potępiającą warszawskich taryfiarzy i zażądała, żeby odprowadził ją na piechotę, bo to przecież blisko.

Na początku myślał, że idą na Starą Pragę, ale potem dotarło do niego, że Sonia nabrała ochoty na spacer. Przez jakiś czas zachowywała się przyzwoicie, jak rozentuzjasmowany przedszkolak na wycieczce, i co chwila szarpała go za rękaw, żeby pokazać mu jakiś ciekawy napis albo budynek. Potem im bardziej naciskał, żeby jednak powiedziała, gdzie mieszka, tym bardziej była rozbawiona, aż w końcu zaczęła się pokładać ze śmiechu na mokrym chodniku. Marcina korciło, żeby po prostu ją tak zostawić, bo miał poważne podejrzenia, że te ataki wesołości w dużej mierze są udawane – ale wtedy nie mógłby raczej liczyć, że kiedyś jeszcze będzie chciała z nim gadać. Zacisnął więc zęby i po raz czwarty podniósł Sonię za rękę jak rozbawioną czterolatkę, obiecując sobie w duchu, że jeszcze poczekają z Olgą kilka lat z prokreacją.

W końcu znowu doszli do Wisły, tym razem w okolicach mostu Gdańskiego, i wtedy Sonia powiedziała, że musi na stronę, po czym zaszyła się w krzakach. Marcin uznał, że to nie potrwa długo, bo ostatecznie jest zimno jak cholera, a dla dziewczyn to ma o wiele większe znaczenie w takich chwilach, więc kiedy nie wracała dłuższą chwilę, zaczął się niepokoić. Nagle usłyszał jej głos tuż nad sobą, podniósł głowę i zamarł.

- Zejdź stamtąd, proszę – zawołał bezsilnie i zamknął oczy.
- Ale czemu się spinasz? Robiłam to już wiele razy.
- Pijana też?
- Mówiłam ci, że nie jestem pijana!

Kiedy już nacieszyła się jego szczerym przerażeniem, wróciła po rurze ciepłowniczej na lewy brzeg, przedarła się z szelestem przez zarośla i stanęła przed

Marcinem we wdzięcznej pozie, jakby spodziewała się oklasków.

– Idziemy – warknął i złapał ją mocno za rękę. Wywinęła się ze śmiechem, cofnęła o kilka metrów, żeby zrobić rozbieg, po czym z okrzykiem: „Patrz, jeszcze tak umiem!” zrobiła cztery idealne gwiazdy, przy ostatniej prawie uderzając nogami o barierkę mostu.

– Chyba wyszłam z wprawy – zawołała wesoło. – No i trzeba bardzo uważać, kiedy jest ślisko!

Marcin uznał, że warto byłoby jednak zmarnować trzecie pytanie i dowiedzieć się od Andrzeja wcześniej, że Sonia trenowała gimnastykę akrobatyczną, a po kilku drinkach odwała jej i zamienia się w Harley Quinn.

Ruszył w jej stronę, ale nagle przystanął – dzwoniła jego komórka. Zaczął jej szukać po kieszeniach. To pewnie Olga niepokoi się, czemu jeszcze nie wraca do domu. Może najrozsądniej byłoby zabrać Sonię do siebie na noc? Przy Oldze na pewno by tak nie fikała.

To jednak nie była jego dziewczyna, tylko jakiś holenderski numer, inny niż Jo Ritmeijer. Nagle nabrał nadziei – może to sam Jasiek?

Dzwonił ojciec Jaśka. Rozmawiali po angielsku, przy czym mówił głównie pan Ritmeijer, dostarczając Marcinowi przemyśleń na temat tego, jak bardzo ten język nadaje się do tego, żeby kogoś szaleńczo uprzejmie opierdolić. Pan Ritmeijer wyrażał szczerą nadzieję, że Marcin uzna za stosowne przychylić się do jego uprzejmej prośby o nienękanie ich rodziny i zaprzestanie kontaktów z Joanną. Gdyby pan był łaskaw, nader byłbym wdzięczny, z całym szacunkiem, nie śmiałybym prosić drugi raz, bardzo proszę rozważyć, żegnam się, życząc udanego wieczoru, i pozdrawiam (ty skurwysynu). Marcin starał się nadążyć z przeproszaniem, w czym bardzo aktywnie przeszkadzała Sonia, wieszając mu się na ramieniu i dopytując, kto dzwoni i czy mogą już iść, bo jej się nudzi. Ignorował ją aż do chwili, gdy się rozłączył, a wtedy Sonia nagle wyszarpnęła mu coś z kieszeni i puściła się biegiem przez most na prawą stronę Wisły. W pierwszej

chwili, ciągle oszołomiony nieoczekiwanym pojawieniem się na scenie Ritmeijera seniora, nie wiedział, o co chodzi, ale zaraz go olśniło. Kluczyki!

Pościg za wariatką i cała reszta nadawała się na pierwszorzędny koszmar. Ta odrobina alkoholu, którą wypił w Level-Upie, jakoś nie zdążyła wywietrzeć i teraz zniekształcała odległości, a Sonia pędziła przed siebie coraz szybciej i szybciej. W końcu zaczął ją doganiać i nawet już usłyszał brzęczenie dzwoneczków przy jej spódnicy, ale wtedy ze śmiechem rzuciła się między samochody.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, a na dodatek dobrze się skończyło – nikt nie zginął, a on dostał tylko mandat za przebieganie na czerwonym. Policjanci byli młodzi, chuderlawi i strasznie dumni z siebie, że go dogonili. Wypisywali dokumenty, ciągle rozglądając się na boki z dziwnymi uśmiezkami, a jednocześnie udawali, że nie widzą popisów akrobatycznych Soni, która po drugiej stronie ulicy wychodziła z siebie, żeby zwrócić ich uwagę. W końcu z aluzji i półsłówek Marcin domyślił się, że dzielni stróżowie prawa biorą go za drugiego Sylwestra Wardęgę i są pewni, że ktoś to wszystko nagrywa. Byli w tak znakomitych humorach, przeświadczeni, że oto uratowali honor polskiej policji, że zanim odeszli demonstracyjnie sprężystym krokiem, życzyli mu powodzenia.

Marcin jęknął, przypominając sobie to wszystko, i postanowił wreszcie wstać. Dochodziła dziesiąta. Drzwi sypialni były przymknięte – Olga krzątała się w kuchni i pewnie nie chciała mu przeszkadzać. Marcin przeciągnął się, podrapał po plecach i już miał wyjść z pokoju, kiedy przyszło mu do głowy, żeby rzucić okiem, co tam na Facebooku. A skoro już usiadł przed komputerem...

Godzinę później Olga uchyliła cicho drzwi, po czym – widząc, że nie śpi – otworzyła je na oścież.

– Marcin, co ty robisz?

Obejrzał się i uśmiechnął niepewnie.

– No, gram... Właśnie miałem iść do ciebie do kuchni i pomóc ci ze śniadaniem...

– Nie kłopotz się, śniadania nie ma. Prasowałam sobie w kuchni bluzki na przyszły tydzień. Ale możesz iść po zakupy i zrobić sobie jajecznicę albo kanapki. Ja za dziesięć minut wychodzę, bo umówiłam się z Elą na pilates. – Stała za jego plecami i spojrzała na monitor. – To RFF? Przecież już to całe przeszedłeś.

– Niby tak, ale wtedy to było dla przyjemności, a teraz służbowo.

– To czemu robisz to w domu?

– Naprawdę myślisz, że mam czas grać sobie w pracy? – zapytał surowo. – Musimy teraz ostro cisnąć, bo nie wiem, na ile mojemu teamowi starczy entuzjazmu po tym, jak wreszcie udało mi się ich zmotywować.

– To wczorajsze wyjście na miasto to było motywowanie, tak? – upewniła się.

– Tak, byliśmy na laserowym paintballu, potem w barze, potem w innym barze, a potem nie pamiętam. Przepuściliśmy cały fundusz teamowy aż do marca przyszłego roku, ale było warto. Wczoraj Paweł skoczył w nadprzestrzeń, przeszedł jak burza przez swoje taski i jeszcze wziął trochę od Asi i Jacka, żeby mieli trochę czasu na brainstorm. Jest naprawdę niesamowity – gdyby utrzymał takie tempo jak wczoraj, mógłby sam zaimplementować tę grę w miesiąc. A potem pewnie by się zestarzał w ciągu minuty i rozpadł. No ale przez większość czasu i tak będę pracować sam nad fabułą, bo Tyrowicz nagle się spał, że musimy pozamykać wszystkie zaległe bugi, i co chwila zagląda do szwalni, żeby się upewnić, że questowcy siedzą i crunchują. A teraz gram, bo szukam jakiejś zahaczki do finału naszej gry – przecież w poprzednich częściach musi być jakiś niedokończony wątek, który można teraz pociągnąć dalej i na nim oprzeć wyjaśnienie, co się właściwie stało. Trzeba tylko...

– Chyba też będę musiała zagrać w to RFF, żeby w ogóle mieć z tobą o czym gadać.

– Ha, ha.

– To nie był żart. Z sentymentem wspominam te czasy, kiedy uważałeś, że w Nasty Oranges pracują sami szaleńcy i dziwacy, którzy poświęcają swoje życie

prywatne dla jakiejś gry. I kiedyż to było? Niecały miesiąc temu? – Olga wykrzywiła się ironicznie i uszczypnęła Marcina w bok poniżej żeber.

– Au! Przez ten czas zorientowałem się, że to nie oni są najgorsi. Tak naprawdę to wspaniali ludzie, pasjonaci...

– Więc postanowiłeś do nich dołączyć.

– Nie miałbym nic przeciwko, ale raczej nie zdążę – westchnął smętnie. – Pewnie niedługo mnie wywalą.

– A zacząłeś wreszcie szukać czegoś innego?

– No... nie. Bo nie mam czasu.

Olga przewróciła oczami i poprawiła opaskę podtrzymującą jej włosy tuż powyżej czoła. Znow próbowała zebrać je na czubku i upiąć „na cebulkę”, żeby nie przeszkadzały jej w ćwiczeniach, ale to, co miała na głowie, przypominało raczej dorodną kapustę. Była ubrana w luźną tunikę, sportowe legginsy i kolorowe ocieplacze zwinięte wokół kostek.

– Wiesz, chyba już pójdę. Po co mam się denerwować. Aha – przypomniała sobie – kurier przyniósł dla ciebie jakąś paczkę.

Zdjęła z półki opakowane w nieprzeźroczystą folię pudełko, a Marcin – nagle ożywiony i z rozjaśnionym spojrzeniem – niemal wyrwał je z jej rąk i ruszył do kuchni.

– Dzięki, czekałem na to – rzucił przez ramię. Kiedy się zorientował, że Olga idzie za nim, skręcił w stronę łazienki.

– Ej! – zawołała rozbawiona. – Nie pokażesz mi, co to jest? Będziesz się z tym chować?

Marcin wrócił do sypialni, rozpruł paczkę i niechętnie zademonstrował jej, co jest w środku.

– Figurka? – zdziwiła się Olga. – To na prezent dla kogoś?

– Yyy, nie. To dla mnie. Ezio Auditore z *Assassin's Creed*. No bo wiesz, wszyscy mają coś na biurkach – figurki, resoraki, pistolety – a ja nic. Aż głupio.

– Rozumiem. Jasne. Ewidentnie wyższa konieczność. A ile toto kosztowało?

– Nie chcesz wiedzieć – powiedział z absolutną szczerością.

Olga pokręciła głowę i zaczęła się ubierać do wyjścia.

– Coraz bardziej mnie ostatnio zaskakujesz. Nieodparcie narzuca mi się wrażenie, że minąłeś się z powołaniem.

– Serio? – ucieszył się Marcin. – Myślisz, że nadawałbym się do gamedevu? Bo Nela twierdzi...

– Nie – przerwała mu. – Nadawałbyś się na upierdliwego detektywa, jak w starych angielskich filmach. Co cię w ogóle obchodzi ten cały Jasiek z dziwnym nazwiskiem? Rób swoje i tyle. Przecież nikt od ciebie nie wymaga, żebyś go zastępował, szukał albo wydzwaniał po jego rodzinie.

Hm, chyba rzeczywiście za dużo ostatnio gadał o swojej pracy.

– A ta Nela, swoją drogą. Jaka ona jest?

Tak, stanowczo powinien zachowywać to wszystko dla siebie.

– No... miła.

– Aha – powiedziała Olga, wyraźniej uspokojona. – A dziewczyna Jaśka? I jeszcze ta Asia z twojego teamu... Jak to się dzieje, że w firmie, gdzie teoretycznie pracują sami faceci, tobie udaje się bez przerwy prowadzić z dziewczynami?

– Jesteś zazdrosna? – zapytał z nadzieją.

– Niespecjalnie. Nie chcę być okrutna, ale one tam, w Nasty Oranges, mają chyba naprawdę szeroki wybór.

– Racja. Słuchaj, a może zjedlibyśmy dziś razem kolację? Zabrałbym cię gdzieś na miasto. Przecież nie będę grał cały dzień – powiedział wspaniałomyślnie.

– Jestem już umówiona z Kają i Agnieszka. Wszystkie moje przyjaciółki bardzo się cieszą, że wreszcie mam więcej czasu na babskie spotkania. Tyle pożytku z tych twoich Pomarańczy. Ach, no i strasznie mi zazdroszczą, że mój chłopak pracuje przy Finnleyu. Zamierzam się pławić w twojej chwale, póki to trwa. – Ze świstem zapięła kurtkę i podeszła, żeby go pocałować na do widzenia. – Baw się dobrze. A, i na obiad też nic nie przygotowałam. Lecę, paa!

O czym myśli pomarańcza

– W tej grze zawsze chodziło o story i klimat! Jeśli nasramy teraz niedźwiedzi w lesie, za każdym drzewem po dwa, cały nastrój szlag trafi! – wściekał się Mat.

Przechadzał się po salce konferencyjnej tam i z powrotem nerwowym krokiem, a Antek Hejdasz, rozłożony na kanapie, wodził za nim umęczonym spojrzeniem.

– Jeśli nasz Finnley wydaje im się za nudny, to po co go kupowali? Trzeba było sobie zrobić głupią strzelankę na Dzikim Zachodzie! Albo grę o zombie – jak wszyscy! No kurwa, przecież mieli nam dać wolną rękę! A teraz nam każą...

– Nie każą. Sugerują – łagodził Hejdasz.

Mat przystanął i zmierzył go wzrokiem z miną nadąsanego dziecka.

– I co mamy z tą ich sugestią zrobić?

– Przychylić się do niej. Słuchaj, ja też chętnie robiłbym oldschoolowe gierki, ale RFF4 ma się sprzedać. I to dobrze sprzedać. Zdajesz sobie sprawę, że to my jesteśmy największymi fanami Finnleya. Ale nie robimy tej gry tylko dla siebie, a Lucid Dreams dzieli się z nami wynikami badań rynku i...

– Łaskawcy! – prychnął. – I dlatego mamy dać się wepchnąć do szufladki, do której chcą nas dopasować? Zawsze chcieliśmy się czymś wyróżniać, pokazywać, że można robić gry inaczej. Oczywiście, musimy ulepszyć gameplay, ale nie w taki sposób! Niebezpieczeństwo musi narastać! Przecież chodziło nam o to, żeby boss był prawdziwym, unikatowym bossem. Że jeśli trafisz w górach na niedźwiedzia grizzly, to będzie naprawdę mordercza, trudna walka, a nie, że będziesz je zabijać tysiącami! Pamiętasz RFF1? Tam bossem była wataha wilków, przeprawa przez wodospad i demoniczny duch lasu – wszystkiego po jednym. I wystarczyło! A teraz oni będą nam tłumaczyć, że w grze musi się cały czas coś dziać i to nie może być tak, że idziesz przez trzy minuty i nic na ciebie nie wyskakuje, nawet wściekła wiewiórka! Czy oni łapią różnicę między living worldem a [bossfightem](#)? I czy w ogóle wiedzą, jaką firmę kupili? Zachowują się tak, jakby wpadli do karmelitanek na Wolską reklamować im szybszy internet i podróże dookoła świata!

– Zauważ, jakie to zabawne – zadumał się Hejdasz. – Przecież to wszystko są argumenty Jaśka. On zawsze narzekał, że mordujemy subtelny klimat zagrożenia nachalnym gameplayem. A ty się upierałeś, że musimy pilnować [immersji](#) i [pacingu](#).

– Pamiętam. Ale skoro go nie ma, muszę pamiętać o jednym i drugim.

Mat usiadł na podłodze przy ścianie, krzyżując długie nogi, odchylił głowę i zamknął oczy.

– Wiem, gdzie popełniliśmy błąd – oświadczył po chwili kwaśno. – Trzeba było się trzymać skaczących pomarańczy. Przecież to było tak cudownie proste: nie musieliśmy rozważać, czy motywacja takiej pomarańczy jest aby wystarczająco wiarygodna, co sobie pomarańcza myśli i czy jej podróż jest odpowiednio zbalansowaną parabolą ludzkiego losu. Nie spędzaliśmy tygodni, zastanawiając się, czy pomarańcza użyłaby słowa „kokosić się”, ani jak pogodzić jej dziewiętnastowieczną mentalność z naszą współczesną troską o polityczną poprawność. Nie martwiliśmy się, czy pomarańcza dobrze odnajdzie się w takiej czy innej lokacji ani który NPC byłby dla niej lepszym [sidekickiem](#). Problem zbyt wielu niedźwiedzi też jakby nas nie dotyczył. Jezu, jak nam było dobrze: żadnych lęków, żadnych wątpliwości. Napierdalasz pomarańczą do przodu i tyle. Czysty, miodny, złotonośny gameplay. A jak sam mówisz, ludziom teraz wcale nie zależy na dobrze skonstruowanych historiach, wszystko chcą upraszczać i przerabiać na mobilki. Rany, przecież my na to wpadliśmy już wieki temu! Skaczące pomarańcze – to jest to.

– Dużo ci jeszcze na dzisiaj zostało? – zapytał Antek delikatnie.

– Zaraz mam spotkanie z enviro, a potem programistów. A po nich nie pamiętam co, ale coś na pewno.

– A może lepiej sobie odpuścić, hm? Nikomu nie pomoże, że będziesz się miotał po studiu i czepiał wszystkiego jak leci. To ewidentnie nie jest twój dobry dzień. Idź do domu, prześpij się trochę, pobaw się z córką... Ile to ona ma już lat? Siedem?

– Dwanaście – mruknął Mat. – Przygotowuje się teraz do egzaminów, więc nie chcę jej przeszkadzać. Poza tym Krzysiek ma do mnie jakieś konkretne sprawy i nie chcę tego zostawiać na poniedziałek. No a envirowcom spotkania zawsze robią dobrze na morale.

– Pff, dobra, dobra. Wszyscy wiedzą, że kręci cię oglądanie lokacji. A przecież wcale nie musisz się tym zajmować, mamy od tego art directora. Wiesz, jak nazywają człowieka, któremu się zdaje, że musi mieć zdanie na każdy temat?

– Mhm. Game director.

Dojrzała i rozsądna

– Dlaczego wolisz mieszkać z ojcem? – zapytała Marta, precyzyjnie nakładając wasabi na krążek sushi.

Julka udała, że zaschło jej w gardle i upiła ostrożnie łyk jaśminowej herbaty. Dało jej to jakieś pięć dodatkowych sekund czasu do namysłu.

– Hm, wiesz, to jest tak – powiedziała z ociąganiem – że nawet mieszkając z nim, widuję go najwyżej dwie godziny dziennie. Gdybym przeniosła się do mamy, nie widywałabym go pewnie wcale.

– A jak często widzujesz swoją mamę?

Touché.

– Noo, nieczęsto – przyznała Julka. – Ale wysyłam jej raporty.

– Jakie raporty? – zdziwiła się Marta.

– Pozwoliła mi zostać z ojcem pod warunkiem, że będę dalej chodzić do szkoły muzycznej, nie pogorszą mi się oceny, nie zostanę wegetarianką i nie schudnę poniżej trzydziestu pięciu kilogramów. Składam cotygodniowe raporty mailem, a co jakiś czas ona albo babcia robią nalot, żeby sprawdzić, czy w kuchni nie stoi za dużo butelek po piwie, na stole nie zostały ślady po kreskach kokainy, a ja nie mam w szufladzie testów ciążowych.

– O rany. I co? – Marta wyglądała na zafascynowaną.

– Nic, na razie jakoś nam się udaje.

Marta prychnęła.

Siedziały w Izumi Sushi przy placu Zbawiciela. Julka nigdy wcześniej tu nie była, ale kiedy tylko weszły do środka, od razu zdecydowała, że koniecznie muszą usiąść „filmowo”, na wysokich stołkach przy barze. Umówiły się na spotkanie jeszcze podczas bardzo udanej sesji planszówek w Neverlandzie. Atmosfera u Piotrusiów była naprawdę świetna, chociaż wszyscy mało pili (Julka domyślała się, że to ze względu na nią). Oczywiście nie rozumiała połowy żartów, które między sobą wymieniali, ale to nie przeszkadzało jej śmiać się ze wszystkimi. Ku jej niejakiemu rozczarowaniu okazało się, że Marta jest dość przeciętnym graczem – wyglądało na to, że dużo bardziej interesuje ją przekomarzanie się z kolegami niż to, co dzieje się na planszy. Julka zawsze grała śmiertelnie poważnie. Tamtego wieczoru udało jej się wydusić Neodżunglą wrogie zastępy samego szefa projektu – i strasznie ją bolało, że nie może pochwalić się ojcu.

– Nie przepadasz za swoją mamą? – zapytała domyślnie Marta i zaczęła podbierać Julce marynowany imbir. – Czy może za jej nowym mężem?

– Nie, Szymon jest w porządku. Olewa mnie, ale w bardzo sympatyczny sposób. Nie stara się być miły na siłę. A moja mama... hm. Ciągłe ma o coś pretensje. Głównie do ojca, ale zawsze jakoś udaje jej się zaangażować w to też mnie. Na przykład marudzi, że on nie chce uprawiać ze mną żadnego sportu, a to tak, prawda, łączy. Mówię, że trochę z tym słabo, skoro ja lubię pływać, a on grać w kosza, a wtedy zaczyna się, że jestem nietowarzyska i nie potrafię odnaleźć się w sportach drużynowych, bo on mnie wychowuje na małego nerda z krzywym kręgosłupem. Zauważasz brak logiki, prawda?

Marta oparła brodę na splecionych rękach i przymknęła oczy potakująco.

– No właśnie. Ja też przecież widzę, że nie jest ojcem idealnym, ale jej to sprawia jakąś dziwną satysfakcję, jakby grali na punkty. Nawet kiedy jeszcze byli razem i na przykład zabrał nas na wakacje do Turcji, żeby jej zrobić przyjemność, też cały czas się kłócili, bo ciągle jej coś nie pasowało. A wiesz – ożywiła się nagle

– w zeszłym roku tata koniecznie chciał, żebyśmy pojechali w to samo miejsce co wtedy, do Çeşme. Na początku myślałam, że to zły pomysł, ale okazało się, że miał rację. Przez dwa tygodnie robiliśmy wszystko to, czego mama nam poprzednio zabraniała – spaliśmy do południa, pływaliliśmy na skuterach wodnych, lataliśmy na paralotni, dwa razy zjedliśmy tyle owoców morza, że się oboje porzygaliśmy... O rany, ale było fajnie! I w ogóle ojciec świetnie umie organizować wakacje – kiedy już skończy crunch. Dwa lata temu byliśmy z plecakami w Rumunii, autostopem – paplała. – No ale jeśli chodzi o zdolności organizacyjne, to tyle. Na co dzień nie potrafi nawet trafić skarpetkami do pralki.

Marta pokiwała ze współczuciem głową, chociaż sama sprzątała mniej więcej raz na miesiąc, kiedy już naprawdę nie dało się tego uniknąć albo ktoś miał przyjść w odwiedziny.

– A może to dlatego wolę mieszkać z nim? – powiedziała po chwili Julka w zamyśleniu. – Mama zawsze sobie poradzi i nie trzeba się o nią troszczyć, a ojciec... potrzebuje mnie.

Zerknęła na minę Marty i w jej poważnych, ciemnych oczach zapalił się nagle figlarny błysk.

– No dobra. Wolę mieszkać z nim, bo na wszystko mi pozwala – zachichotała.

– A ty potrafisz z tego rozsądnie i odpowiedzialnie korzystać – podpowiedziała uprzejmie Marta.

– Otóż to. Dlatego na deser należą mi się lody czekoladowe. Podwójne.

– Często ci to mówią, prawda? Że jesteś bardzo rozsądna i dojrzała jak na swój wiek? – zapytała Marta, kiedy kelnerka podała Julce oszronioną salaterkę.

– Mhm – mruknęła z zadowoleniem i oblizała łyżeczkę.

– O mnie też tak kiedyś mówili. Musiałam szybko zrobić się odpowiedzialna, bo zajmowałam się młodszym rodzeństwem, a potem już jakoś mi tak zostało. Chyba było to po mnie widać, bo ciągle słyszałam, że jestem o wiele bardziej poważna niż moi rówieśnicy. Potem przestali tak mówić.

– A czemu? – zainteresowała się Julka.

– Hm, bo skończyłam trzydzieści lat? Chyba dotarłam do końca skali – zaśmiała się. – Kiedy zauważyłam, że już nikt nie podziwia mojej zadziwiającej dorosłości, tylko się jej ode mnie zwyczajnie oczekuje, postanowiłam zmienić front. Zafarbowałam włosy na biało, przeprowadziłam się do upiornie drogiego mieszkania w kamienicy, bo przecież mnie stać, i zaczęłam robić różne niepoważne rzeczy. A teraz mam na plecach wytatuowanego Totoro w kolorze, kolczyk w pępku, pracuję w firmie, która nazywa się Nibylandia, i umawiam się z zagubionymi chłopcami. – Znowu prychnęła śmiechem.

– Totoro? Serio? Na całych plecach? – zainteresowała się żywo Julka. – No to musimy koniecznie iść razem na basen.

Paweł Stentor jest zaintrygowany

Nigdy nie umawiali się na konkretną godzinę, ale Danką przyzwyczała się już, że o dwudziestej trzeciej Kawka czeka na nią na recepcji. Tej nocy siedział tam tylko ochroniarz, który w odpowiedzi na niepewne „dobry wieczór” Danki posłał pogodny uśmiech gdzieś ponad jej lewym ramieniem. Nie zamieniła z nim dotąd ani słowa i zawsze czuła się nieswojo, kiedy tak prześlizgiwał się po niej wzrokiem, jakby rzeczywiście była duchem. Miała ochotę podejść bliżej i pomachać mu ręką tuż przed oczami.

Zamiast tego podeszła na palcach do bramki i przysunęła kartę do czytnika. I nic. Spróbowała jeszcze raz, ale karta nie działała. Nie zdążyła się zastanowić, co teraz, kiedy z głębi korytarza wyszedł uśmiechnięty Kawka i ją wpuścił.

– Coś się stało z moją kartą – powiedziała, kiedy wchodzili na górę. – Bramka się nie otworzyła.

– Jeśli ją, hm, po kimś odziedziczyłaś, to pewnie IT wydało mu nową, a tę dezaktywowali. Możesz wziąć moją, bo mnie ktoś na recepcji wpuści. Ale skoro zawsze tu jestem, nie musisz... – urwał nagle.

Na schodach powyżej zadudniły czyjeś kroki.

Danka spojrzała na niego spanikowana, a on, nie namyślając się, zarzucił jej kaptur na głowę, żeby schować jaskrawoczerwone włosy, i nakazał gestem, żeby się odwróciła.

– O, myślałem, że już poszedłeś do domu! – zaśmiał się Paweł Stentor. Zatrzymał się dwa stopnie nad nimi, a oczy prawie fosforyzowały mu z drapieżnej ciekawości. – A to...?

– Ekhm. Jest bardzo nieśmiała – powiedział półgłosem Mazurek, jednocześnie przyciskając Dankę łokciem mocniej do ściany.

– Rozumiem. – Stentor sprawdził, czy przypadkiem nie posiada jednak supermocy, ale kiedy nie udało mu się przewiercić wzrokiem kurtki Danki, poddał się z godnością i uprzejmie życzył im udanego wieczoru.

A więc to o to chodzi – myślał Paweł, zbiegając w podskokach na dół. Martwienie się czymkolwiek niespecjalnie leżało w jego naturze, ale ostatnio niezwykle zachowanie Mazurka zwróciło jego uwagę. Wojtek chodził ciągle niewyspany i lekko nieprzytomny, jakby harował dzień i noc, ale po jego liście zadań jakoś nie było widać postępów – wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że się opierdala. Prawdopodobnie nikt poza Pawłem tego jeszcze nie zauważył, ale to tylko kwestia czasu. Tyrowicz coraz częściej krążył wokół nich, jak lew ryczący, który patrzy, kogo by pożreć, i Mazurek niedługo okaże się idealnym kandydatem. Ale skoro chodziło o dziewczynę, a nie jakąś ciężką chorobę (lekkie choroby z natury rzeczy nie przeszkadzały w crunchu) czy problemy z pićciem, nie ma go co żałować.

Swoją drogą ciekawe, jak ją tutaj zwabił. Przecież on prawie nie wychodzi ze studia.

Nie bądź głupi

– Czeeeść. – Głos był niski, aksamitny jak czekolada i bardzo obiecujący.

Andrzej odebrał telefon na oślep i od razu przyłożył do ucha, nie odrywając spojrzenia od monitora, bo był pewien, że dzwoni ojciec, ale teraz zdziwiony odsunął komórkę i zerknął na wyświetlacz. Ach, Malwina. Na twarz wypłynął mu szeroki, idiotyczny uśmiech.

– Co? Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, ale jestem w pracy i... trochę się rozproszyłem. Co tam u ciebie?

Odchylił się w fotelu, przeciągnął błogo i zapatrzył w sufit. Słuchał jej – nawet w miarę uważnie – ale jednocześnie przed oczami rozpoczął mu się pokaz slajdów o charakterze zdecydowanie prywatnym.

Nigdy nie nazwałby ich znajomości *friends with benefits* – bo przecież się nie przyjaźnili. Już prędzej *buddy call*: pomiędzy swoimi burzliwymi i z reguły krótkotrwałymi związkami Malwina przypominała sobie od czasu do czasu o Andrzeju i dzwoniła, żeby zapytać, jak leci i czy ma plany na wieczór. Zazwyczaj udawało mu się wygospodarować trochę czasu dla niej. No dobra – zawsze. Możliwe, że w układzie, w którym to ona wychodziła z inicjatywą, powinien czuć się trochę nieswojo, ale prawda była taka, że on nie pamiętał o Malwinie wcale, dopóki nie zadzwoniła. Wtedy natychmiast wracała mu pamięć, z uwzględnieniem bardzo drobnych i bardzo znaczących szczegółów.

– Tak, jak zwykle mam dużo pracy – zaśmiał się nieszczercze. Naprawdę miał dużo pracy. I to nie było zabawne.

Nie powinien dzisiaj wychodzić, zanim nie skończy. Czyli pewnie jeszcze jakieś trzy godziny. Pff, przecież nie zaproponuje jej, żeby się spotkali o drugiej nad ranem. Mógłby się upierać, że to romantyczne, taka schadzka w środku nocy, ale Malwina była bardzo praktyczna, co zresztą w niej cenił.

Przygryzł wargę. Może jednak dałby radę urwać się teraz na trzy, cztery godziny? Tylko potem co – miałyby siedzieć do rana?

Będiesz żałował, jeśli odmówisz – powiedział jakiś podstępny głos, rezonując lekkim dreszczem w dole kręgosłupa. – Kto wie, kiedy znowu nadarzy się okazja? A może nie nadarzy się wcale, bo Malwina się zniechęci? I będziesz skazany na

przypadkowe podrywy w pubie, a to zajmuje tyle czasu... I nie wiesz, na kogo trafisz. A nuż jakaś się przywiąże i nie będzie chciała odpuścić, i skończysz jak Krzysiek, który aż zielenieje z poczucia winy, kiedy wraca późno do domu? Taka Malwina to skarb. Nie bądź głupi. Proszę, nie bądź głupi...

– To jak? Przyjdiesz? Czy musisz zostać w pracy? – Głos Malwiny zabrzmiał lekko kpiąco, jakby wiedziała, że wyobraźnia pracuje mu już pełną parą.

– No właściwie...

– Andrzej, mógłbyś mi pomóc z tym cholernym komputerem? – Karolina wpadła do pokoju gameplayowców tak gwałtownie, że Andrzej aż się poderwał. – Zawiesił się i nie mogę... o, przepraszam. – Dopiero teraz zobaczyła, że rozmawia przez telefon. Dała mu znak ręką, że nie chce przeszkadzać i w ogóle to nie takie ważne...

Wycofała się i zniknęła w korytarzu.

– Ekhm, przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać. Zdzwonimy się jakoś niedługo – rzucił Andrzej do telefonu i się rozłączył. – Ej, Karolina! Już idę!

Złapał swój notes i pobiegł za nią.

U frenologa

– Marcin? Co ty tu robisz o tej porze? – Paweł zsunął z uszu słuchawki i ze zdumieniem spojrzął na swojego nowego producenta, który usiadł ciężko przy biurku Asi.

Poza Stentorem w szwalni siedziało tylko kilku envirowców, którzy nie zwracali na nich uwagi.

– A, pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, czy nie trzeba w czymś pomóc.

Tak naprawdę nie mógł już wysiedzieć sam w mieszkaniu. To, że Olgi nie było, że po prostu sobie wyszła na miasto, a na sms-y odpisywała zupełnie bez troski (a przecież skoro wysyłał już czwartą wiadomość z rzędu, powinna się zorientować,

że czas wrócić do domu), dziwnie go zirytowało. Próbował jeszcze trochę pograć, potem obejrzeć jakiś film, potem poczytać...

W końcu zastanowił się, co tak naprawdę poprawiłoby mu nastrój – i poszedł do pracy.

Paweł nie skomentował kuriozalnego pomysłu, że miałyby w sobotę wieczorem pilnie potrzebować przy implementacji pomocy Marcina, tylko rozgadał się po swojemu.

– No jasne, wiem, jak to jest. Ja staram się jak najrzadziej spać w domu, bo zupełnie nie mogę się tam zrelaksować. Teoretycznie człowiek się lepiej wysypia we własnym łóżku, ale jednak tutaj zawsze mam takie poczucie, że jeśli zacznie się dziać coś ciekawego, to będę na miejscu. A kiedyś to w ogóle przyśniło mi się genialne obejście problemu z edytorem i wiesz, jaka to była ulga, że mogłem o trzeciej w nocy wstać i od razu sprawdzić, czy to rzeczywiście zadziała? No co się śmiesz? W domu nie mógłbym zasnąć do rana, tylko bym się głowił. Słuchaj, a może napijemy się cherry coli?

– Jak tam crunch? – zapytał Marcin, kiedy usadowili się wygodnie z puszkami na schodach. W zasadzie to miał ochotę zagadnąć, jak Paweł godzi życie osobiste ze swoim romanssem z Nasty Oranges, ale po pierwsze nie chciał wyjść na wścibskiego, a po drugie tak naprawdę świetnie się orientował w sprawach sercowych Stentora: miał osiemnaście punktów i był na drugim miejscu za Frankiem Kilarskim.

– Crunch? Jeszcze się na dobre nie zaczął.

– Jak to? Przecież widzę, że codziennie ślęczycie po nocach. Zwłaszcza ty.

– Ja to co innego. A prawdziwy crunch to się dopiero zacznie. Teraz to są takie kameralne przygotowania – większość ludzi wykrusza się już koło północy. A jeszcze parę tygodni i o trzeciej w nocy tu będzie ruch jak za dnia. Ludzie będą biegać i wrzeszczeć na korytarzach, testerzy dostaną ostatecznej głupawki, producenci zaczną się modlić, team leaderzy nagle zrobią się bardzo cierpliwi, aż

w końcu wybuchną. Będzie wrzawa, płacz i zgrzytanie zębów – opowiadał ze smakiem.

– Widzę, że już nie możesz się doczekać. A nad czym siedzisz teraz?

– Nad wizytą u frenologa. Pomysł wzięliśmy z autentycznych wspomnień Charlesa Siringo, bo tam jest pełno takich smaczków. U nas to aktywna scena z trybu *secret meaning*, jedna z nielicznych, które nie mają się składać na wyjaśnienie zachowania Avery, tylko raczej podkreślać jej tajemniczość. Teoretycznie nie powinienem teraz nad tym pracować, bo ten quest jest już oddany do bety, ale nie wiadomo, jak to będzie potem, a chciałbym, żeby był ładnie przygotowany. Strasznie lubię wracać do tych chwil, kiedy Finnley należał do bandy Bairdów i był prawdziwym badassem. Wiesz, to, że Finnley jest w gruncie rzeczy przyzwoitym facetem, strasznie nas ogranicza. Co chwila trzeba się zastanawiać, czy zrobiłby to albo tamto, czy mu jednak sumienie nie pozwoli. A w tych flashbackach naprawdę można bezkarnie poszaleć i wyjaśniać wszystko: „bo Avery” – zachichotał.

– A nie myślałeś, żeby jednak zostać po premierze w Pomarańczach? Nie chcę cię oczywiście naciskać, ale kiedy tak opowiadasz o Finnleyu, mam wrażenie, że naprawdę lubisz nad tym pracować.

– Och, ale inaczej się nie da – zaśmiał się zaraźliwie Paweł. – Musisz kochać te postaci, żeby po sto razy pisać ich dialogi wciąż od nowa, znosić fochy edytora i nie rzucić tym wszystkim, kiedy już nie masz siły. Jeśli się nie angażujesz, ta praca nie ma sensu. Inni też tak myślą – albo już by ich tu nie było. Ale po skończonym projekcie... – wzruszył ramionami i zamyślił się. – Właściwie rzadko się o tym myśli, bo trudno uwierzyć, że kiedyś naprawdę nastąpi jakiś koniec. To trochę jak planowanie życia po śmierci – na razie wygląda dość mgliście, fajnie, żeby to była zmiana na lepsze, ale nikt się nie będzie zakładał, że naprawdę istnieje coś potem.

– Z tego co słyszałem, ty masz już dość sprecyzowaną wizję eschatologiczną.

– No cóż... – Paweł odruchowo pogładził swój wiedźmiński podkoszulek.

– Tam jest rzeczywiście lepiej?

– Tak. Wiesz, mam paru kumpli po drugiej stronie – uśmiechnął się. – I sam przez pewien czas testowałem dla nich *Wiedźmina 2*, to było przed czwartym Finnleyem. Chętnie bym został już wtedy, ale byłem tylko beta testerem, niewystarczająco doskillowanym jak na ich oczekiwania. Teraz, oczywiście, to co innego.

– Czyli co? Tam jest fajniej, bo nie ma chaosu i wszystko idzie zgodnie z planem?

– No co ty. Bez chaosu nie ma gamedevu. Jak inaczej niby mielibyśmy się rozwijać, jeśli nie przez eksperymenty i próbowanie nowych rzeczy? Z tym że w Redzie to wszystko jest jednak bardziej pod kontrolą i nie ma wrażenia, że się błądzi po omacku, tylko że to wszystko do czegoś sensownego prowadzi. To chyba kwestia zaufania – i do marki, i do konkretnych ludzi.

– Chcesz powiedzieć, że nie bardzo wierzysz, że Ritmeijer czy Mat wiedzą, co robią?

– Rany, ale się późno zrobiło! – Paweł zaśmiał się i sprężyście wstał ze schodka. – Chodź, dam ci zagrać w tego frenologa. Może będziesz miał jakieś konstruktywne uwagi. A tak przy okazji, nie widziałeś przypadkiem po drodze Mazurka?

– Nie, a czemu?

– A nic, tak pytam.

– *Dlaczego nie chcesz od nich odejść? Myślisz, że nie damy sobie rady we dwójkę? Umiem się tobą zaopiekować. Pamiętasz, jak...*

– *Nie pamiętam! Nie chcę pamiętać! Czy to naprawdę do ciebie nie dociera, Noah? – Avery z furią potrząsnęła długimi włosami. – Nie jestem już tą małą dziewczynką, którą znałeś dziesięć lat temu. Zmieniłam się!*

Marcin opuścił pada na kolana i spojrzał na Pawła Stentora, który siedział obok i przyglądał się, jak gra.

– Czy ja naprawdę muszę się z nią kłócić?

– Ha, bardzo życiowe pytanie. W każdym razie ona wyraźnie chce kłócić się z tobą, więc musisz coś z tym zrobić.

Marcin westchnął i zerknął na opcje wyboru w dialogu: „Zauważyłem”, „Nie dla mnie”, „O co ci właściwie chodzi?”. Pierwsza była zaczepna, druga ckliwa, a ostatnia zdecydowanie samobójcza. Nie mógł się zdecydować, więc postanowił na razie rozejrzeć się dookoła.

Banda braci Baird przystanąła kilka kroków przed nimi na ulicy Hudson's Hope. Dyskutowali o czymś, gestykulując, ale chyba się jeszcze nie kłócili. W ten słoneczny dzień, na tle błękitnego nieba, po którym leniwie sunęły opalizujące chmury, ktoś mógłby ich przypadkowo wziąć za zwykłych, poczciwych obywateli. Stanley Tubbs, który przyglądał się szyldowi zachwalającemu usługi dentysty, w zadumie dłubiąc w nosie, sprawiał wręcz sielskie wrażenie. Mimo to ta spokojna ulica: schludne brązowe domy, ożywione wiszącymi w oknach doniczkami z kwitnącym kapryfolium, kolorowe wystawy „Towarów Powszednich” i „Składu O'Neilla”, kołyszący się zapraszająco na wietrze szyld gospody Pod Zamglonym Księżycem, kobiety w eleganckich kapeluszach, unoszące przy przechodzeniu na drugą stronę suknie, żeby nie przyłgnął do nich kurz w kolorze wypalanej ochry, mężczyźni prowadzący konie, dzieci goniące za bezpieczeństwa psem – wszystko to wyglądało dziwnie bezbronne. Jakby coś złego miało się stać lada moment.

– No? – ponaglił Paweł, a potem powtórzył wysokim głosem, naśladowując intonację Avery: – „Nie jestem już tą małą dziewczynką, którą znałeś dziesięć lat temu. Zmieniłam się!”

Marcin-Finnley zwrócił się ku niej posłusznie. Zapomniał już, że stał tak blisko, i aż drgnął. Kapryśne, blade usta, brwi wygięte w koci grzbiet i gniewne spojrzenie wycelowane w niego jak rewolwer.

– *Zauważyłem – warknął. Tak naprawdę nie zmieniła się wcale, ale czas zatarł przykre wspomnienia i w swoich marzeniach zawsze widział tę dawną*

Avery jako małą, przestraszoną dziewczynkę, a nie złośliwą, oziębłą jędzę, jaką była wtedy i jaką pozostała i teraz. Tęsknił za nią tak długo, że wyrzucił z pamięci wszystkie te chwile, kiedy go raniła i oszukiwała. Zawsze przecież liczyło się tylko to, że są razem.

– Pogódź się z tym wreszcie albo zostaw mnie w spokoju! I nigdy, nigdy nie mów więcej o tamtych latach. Jasne?

Odrzuciła do tyłu włosy i ruszyła w stronę bandy, która właśnie zaczęła powoli iść w dół ulicy.

– Szlag. I co teraz?

– Idź za nią. – Stentor wskazał na podpowiedź, która właśnie wyskoczyła na dole ekranu.

– A co jeśli nie pójdę?

– Hm, pokręcisz się po nudnym, spokojnym mieście, zajrzysz do kilku sklepów, wydasz część pieniędzy na rzeczy, których nie potrzebujesz, znajdziesz trochę drobnych monet, indiański pled albo złamane grabie w skrzyniach, może wdasz się w jakąś głupią bójkę, a kiedy w końcu zrozumiesz, że nie ma tu nic ciekawszego do roboty, i tak za nią pójdziesz.

– Widzę, że bardzo dbacie o wiarygodność – mruknął Marcin.

– Nie filozuj, tylko rób questa po Bożemu, jak designer zaplanował.

Finnley niechętnie poszedł w ślady Avery. Kiedy zbliżył się do reszty na odległość kilku kroków, dosłyszał strzępki rozmowy Zacha i Deveraux.

– ...zabił tego dentystę, przysięgam! Jednym strzałem.

– I co? Sam sobie potem tego zęba wyrywał?

– Ano sam. Wziął ostrze od łyżwy, przystawił sobie jeden koniec do zęba i uderzył kamieniem w drugi.

– Bzdury. Gdzieś ty to słyszał...

Finnley bez słowa zrównał się z nimi. Avery milczała uparcie, ale w tym nie było akurat nic niezwykłego.

– Czemu się śmiejesz? – zapytał Marcin podejrzliwie.

– Bo się mimowolnie wyprostowałeś, kiedy Finnley zaczął iść. Pierś do przodu, zmrużone oczy, zaciśnięte szczęki. I właśnie taki efekt chcieliśmy osiągnąć. – Stentor rozpromienił się. – Specjalnie przygotowaliśmy mu inny tryb animacji chodzenia do questów z przeszłości. No, idź dalej i się przypatrz: maszeruje jak młody, gniewny byczek. Każdy jego krok mówi: „Masz problem? A chcesz wpierdol?”. Dorosły Finnley chodzi i biega zupełnie inaczej: ostrożnie jak Indianin, ale też bardziej pewnie. Ma przesunięty gdzie indziej środek ciężkości i...

– Rzeczywiście! Teraz widzę. Rany, opłacało wam się babrać w takich detalach?

– To było jeszcze wtedy, kiedy wydawało się, że mamy tyyyyle czasu – zaśmiał się Stentor. – Ale z tego szczegółu jestem akurat bardzo zadowolony. Właśnie takie rzeczy, których nie widać na pierwszy rzut oka, o ile ktoś ci nie powie, robią klimat. Chociaż muszę przyznać, że trochę nam zeszło na mocapach do tego, bo Matowi ciągle coś nie pasowało.

– Mocapach?

– Motion capture, przechwytywanie ruchu. Aż nie wierzę, że wcześniej o tym nie słyszałeś. To takie wsparcie dla animacji. Aktor albo kaskader ubiera specjalne wdzianko, na nim mocuje się markery, a one przekazują zapis ruchu do komputera. Ale serio, musiałeś widzieć, jak paradują tak ubrani w studiu. To wygląda jak taki czarny, gustowny kostium z przyczepionymi sensorami.

– A, to widziałem – powiedział Marcin słabo. Przypomniawszy sobie teraz, jak się zdziwił podczas jednego ze swoich pierwszych dni w Nasty Oranges na widok chłopaka w dziwacznych, obcisłych trykotach ozdobionych symetrycznie rozmieszczonymi białymi kulkami. Marcin był pewien, że to jakaś nowa moda albo gość naprawdę chce się za wszelką cenę wyróżnić, i postanowił już niczemu w Pomarańczach się nie dziwić.

– No, to wszystko jasne. Graj dalej, bo to dopiero początek.

– ***Patrzcie, frenolog! – zawołał wesolo Zach. Wskazywał na tabliczkę nad wąskimi, oblażącymi z farby drzwiami. – Może zobaczymy, co nam powie?***

– Bzdury – burknął pod nosem Finnley. Myślał, że nikt go nie usłyszy, ale Ezra zerknął na niego i uśmiechnął się lekko.

– Czemu nie? Finnley, nie bądź takim cholernym nudziarzem.

Frenolog okazał się niskim, korpulentnym jegomościem o przerzedzonych włosach i ziemistej cerze. Miał oczy przewiązane czarną chustką („żeby uniknąć posądzenia o to, że wszystko wyczytuje z twarzy i ubioru swoich klientów”, jak wyjaśnił jego chudy, tyczkowaty asystent), a zanim dotknął któregokolwiek z nich, dokładnie umył ręce w podanej mu misce.

– Zach pierwszy – zdecydował Ezra.

Młodszy z braci Baird zasiadł na krześle i zachichotał głupio. Frenolog odchrząknął uroczyście i powoli położył dłonie na jego głowie. Finnley z niesmakiem odwrócił wzrok. Ciekawe, ile potrwa ten cały cyrk. Nie powinni w ogóle nigdzie wstępować po drodze, ale Ezra uwielbiał niepotrzebnie ryzykować dla byle zachcianki. To było idealnie w jego stylu.

– Hmm, bardzo ciekawe – wymamrotał frenolog i nagle Finnley pomyślał, co by to było, gdyby ten mężczyzna rzeczywiście potrafił odczytać cechy czyjegoś charakteru z delikatnych zagłębień i zgrubień czaszki. Czy jeśli zorientuje się, jacy ludzie właśnie weszli do jego gabinetu, powie o tym głośno? To może być jednak całkiem zabawne, pomyślał złośliwie Finnley.

Jeśli miałby szczerze opisać charakter Zachariasza Bairda, powinien wspomnieć o jego żenująco bezkrytycznym, psim podziwieniu dla starszego brata, którego starał się we wszystkim naśladować, irracjonalnej podejrzliwości względem tego, czego nie rozumiał, i tendencji do zakochiwania się w każdej kobiecie, która raczyłaby na niego spojrzeć.

– Struktura kostna wskazuje na głębokie przywiązanie do więzi rodzinnych oraz chęć samodoskonalenia się poprzez poszukiwanie dobrych wzorców. Wyczuwam też wgłębienie, które mówi o wrodzonej ostrożności, każącej unikać rzeczy podejrzanych i wątpliwych. Bardzo słusznie, bardzo słusznie. Taak. Ten człowiek ma duszę romantyka, ale nie znalazł jeszcze właściwej kobiety.

Ach, pomyślał Finnley z uciechą, to dyplomata!

Następny w kolejce był Ezra, który chyba żałował, że oddał bratu pierwszeństwo. Mogło się teraz wydawać, że bał się, co usłyszy od starego.

– Urodzony przywódca – orzekł natychmiast frenolog. – Oto mężczyzna, który jest pewny swoich umiejętności i potrafi podejmować decyzje wymagające prawdziwej odwagi. Zgrubienie w tyle czaszki wskazuje na wyrazisty, nieustępliwy charakter.

Zgadza się, pomyślał Finnley. Zarozumiały ryzykant, któremu władza nad zbieraniną rzezimieszków przewróciła w głowie.

– Deveraux, siadaj – nakazał Ezra twardo, na nowo upewniony o swojej przewadze nad resztą rodzaju ludzkiego.

Francuz posłuchał, ale Finnley widział, że robi to niechętnie. Pewnie się boi, że jego struktura kostna powie co nieco o skłonności do masturbacji, chciwości i głupich żartach, które nikogo nie śmieszyły. Frenolog przesunął palce po jego głowie, zawahał się na moment i stwierdził:

– Skupiony na swoim wewnętrznym bogactwie introwertyk. Potrafi docenić wagę pieniądza lepiej niż inni. Hm... Zagłębienie ponad lewym uchem każe przypuszczać, że odznacza się wyjątkowym poczuciem humoru.

Deveraux wstał z krzesła bardzo zadowolony z siebie. Jeśli frenologowi dalej będzie tak dobrze szło, może mu nawet zapłacić, zamiast posłać kulkę w łeb.

– Stanley, teraz ty.

Och, to łatwe. Tchórzliwy przygłup. Dłubie w nosie, kiedy myśli, że nikt nie widzi – podpowiedział frenologowi w myślach.

– Człowiek prosty, ale poczciwy. Umie rozsądnie ocenić ryzyko. Cechuje go silna potrzeba prywatności.

Finnley nie powstrzymał się i parsknął cichym śmiechem. Ezra zwrócił się do niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Zobaczmy, co powie tobie. No, siadaj.

Dotyk badawczych palców frenologa nie był przykry, ale Finnley wzdrygnął się. A co jeśli powie coś, dzięki czemu Ezra zorientuje się, że chce zabrać Avery i uciec przy pierwszej okazji? Przełknął ślinę. Wydawało mu się, że frenolog milczy dłużej niż przy poprzednich klientach.

– Człowiek o wiecznie młodym sercu. Gorąca głowa. Jeszcze nie zna samego siebie i czasami nie wie nawet, jaką decyzję podejmie za chwilę. Przenikliwy umysł, ale nie potrafi dostrzec tego, co ma tuż przed nosem.

Same bzdury, pomyślał z ulgą Finnley. Ten człowiek to jednak tylko zdolny szarlatan.

– Dobra, starczy. – Ezra niecierpliwie machnął ręką. – Teraz posłuchamy sobie o Avery.

Wszyscy spojrzeli na nią, ale nie ruszyła się z miejsca, tylko założyła ręce na piersi.

– Nie.

– Nie wygłupiaj się – zaśmiał się niepewnie Zach. – Przecież to tylko zabawa.

– Mnie to nie bawi. – Zacisnęła usta.

Spojrzenia Ezry i Avery spotkały się. Aż dziwne, że nie poszły iskry, pomyślał Finnley i położył rękę na rewolwerze.

– Dajcie spokój – przerwała wreszcie ciszę. Przewróciła oczami i westchnęła. – I tak już straciliśmy tu za dużo czasu.

Płynnym ruchem wyjęła krótki nóż i podrzuciła go w powietrzu.

Obraz zastygł, a potem – niczym nieubłagana puenta – pojawił się komunikat o crashu.

– No nie! Dlaczego teraz? – jęknął Marcin i cisnął padem na biurko.

– Musiałem źle podpiąć cutsценę – mruknął Stentor. Przysunął się do komputera i zaczął otwierać kolejne okienka, szukając błędu.

– A możesz mi powiedzieć, co było dalej? Przecież teoretycznie oni nie powinni robić rozróby w Hudson's Hope, bo już ostatnio ledwo się wywinęli temu sprytnemu kapitanowi policji, jak mu tam było...

– Mhm, mhm. Daj mi moment...

Marcin westchnął i pokręcił głową. Sposób, w jaki Stentor pracowicie pochylił się nad klawiaturą i poprawił na krześle, wyraźnie mówił, że to będzie długa noc. Marcin klepnął go w ramię, życząc powodzenia, i wyszedł cicho ze szwalni. Paweł nawet się za nim nie obejrzał.



Rozdział dziesiąty

Poniedziałek 16 grudnia

Krzysiek znajduje Ritmeijera

Krzysiek wyspawnował się w grze przy trakcie do Grand Forks i zatrząsł się z zimna. Spojrzał w dół – no tak, był w samej piżamie i na bosaka. Wszedł do pierwszej lepszej chaty i wyjął sobie ze skrzyni Płaszcz Podbity Futrem (3 kg) i Zniszczone Mokasyny (0,5 kg). NPC-e, którzy siedzieli w środku, Wieśniaczka i Starzec, nie zwrócili na niego uwagi – ona płynnymi ruchami obierała jabłka, a on podrzemywał w kącie. Krzysiek popatrzył sobie chwilę na animacje i wyszedł.

Jak oni to robią, że tu naprawdę jest zimno, zastanawiał się. Mokasyny były nawet wygodne, ale płaszcz cuchnął rybim tłuszczem.

Po kilku minutach doszedł do starego domu O'Toole'ów. Był odnowiony i pomalowany, więc to na pewno RFF4. Obszedł chatę dookoła. Na stołeczku przed drzwiami siedziała Jeanne i paliła w zamyśleniu długą fajkę. Wszystko się zgadzało – to była jej podstawowa lokacja. Podszedł do niej blisko, tak że mógł zajrzeć w jej ciemne, chmurne oczy. Nic. Jakby go nie było. Cofnął się dwa kroki i znowu podszedł, ale nie pojawiła się opcja dialogowa. Zresztą, jak, czym i gdzie niby miałby ją kliknąć?

Usiadł obok Jeanne na przewróconym pieńku do rąbania drewna i zapatrzył się na linię horyzontu. Instynktownie poszukał zegara z kompasem po prawej stronie

i parsknął cicho śmiechem. Oczywiście, że stąd go nie widać.

Nagle spomiędzy drzew wyłonił się samotny jeździec na łaciatym koniu, a za nim biegnący wilczur. Krzysiek rozpoznałby te sylwetki wszędzie.

Ninigret przybiegł się przywitać z Jeanne radosnym szczeniakiem, a potem zaczął węszyć wokół domu, dopóki nie znalazł jakiejś kości. W tym czasie Finnley zsiadł z konia, poklepał go po boku – pieszczotliwie, nie jak starego kumpla w barze – i poszedł niespiesznie do Jeanne tym swoim rozkołysanym krokiem prawdziwego badassa.

– Witaj – powiedział głębokim głosem.

Krzysiek przewrócił oczami. Rany, mógłby się trochę bardziej wysilić. Przecież to Jeanne, dwie gry temu posuwał ją z takim zapamiętaniem, aż aktorka przy nagraniach dialogów czerwieniała jak piwonia, a teraz „witaj”?

– Miałaś tu nie wracać, Finnley – zauważyła Jeanne i wypuściła dym przez zęby, równie zniesmaczona co Krzysiek.

A, to sidequest z mapą Logana, pomyślał i odszedł, pozwalając, żeby Finnley wciskał swojej byłej kit bez świadków.

Za domem był sad. Brodząc w chłodnych, wysokich trawach jak w wodzie, Krzysiek zastanawiał się, czy będzie mógł w grze coś zjeść. Na przykład jabłko.

Gałęzie były za wysoko, żeby dał radę do nich sięgnąć, więc zaczął się rozglądać za opadłymi owocami, ale na ziemi leżały tylko liście. A przecież powinny być też jabłka, skoro mamy jesień. Trzeba będzie to zgłosić. Zauważył, że przy jednej ze starych, pochylonych jabłoni stała drabina. Podszedł do niej i spojrzał w górę.

Ritmeijer!

Siedział sobie, jak gdyby nigdy nic, na rozwidleniu konarów i podrzucał w ręce czerwone, błyszczące jabłko.

– Jasiek, złaź stamtąd. Wszyscy cię szukają – powiedział Krzysiek z pretensją.

– Wiem.

Ritmeijer skrzywił się i ugryzł wielki kęs jabłka, aż po brodzie pociekł mu sok. Był ubrany w ciuchy z gry i miał już całkiem długi zarost, jakby tkwił tu od kilku miesięcy. To się nie zgadza, pomyślał Krzysiek.

– Zleziesz czy nie?

– Nie.

– Aha.

Krzysiek podrapał się po głowie. Nigdy nie był mistrzem dyplomacji.

– Słuchaj, a czy ty w ogóle żyjesz?

– Pfff, też coś. Nigdy bym się nie spodziewał akurat po tobie takiego wścibstwa. To przez ten crunch. – Jasiek pokiwał głową wyrozumiale. – Wszystkim wam powoli odpierdala.

– Obawiam się, że masz rację.

– Chcesz mnie może jeszcze o coś zapytać?

– Hmm... Dlaczego Avery wrobiła Finnleya w wyzabijanie bandy braci Baird?

– Jeśli ci zależy, znajdź ją i sam zapytaj. Może ci powie – rzucił Jasiek niedbale. Cisnął ogryzek na ziemię i zerwał następne jabłko. Krzysiek przełknął ślinę. Avery była teraz w factorii nad jeziorem Temagami w okręgu Nipissing, jakieś dwa tysiące mil stąd, i jeśli miałby tam iść na piechotę, zajęłoby mu to ze trzy miesiące. Chyba nie był aż tak zdeterminowany.

– A mogę chociaż dostać jabłko?

– Absolutnie nie! – Jasiek spiorunował go wzrokiem. – Nie waż mi się nic tu zżerać. I nic wynosić, jeśli uda ci się stąd wyjść. To byłoby podwójnie wewnętrznie sprzeczne, zwłaszcza w twoim przypadku.

– I wtedy co?

– Wywróciłoby ci mózg na lewą stronę, tym gąbczastym do góry. Ale spróbuj, jeśli chcesz. Zawsze lepiej spróbować, bo inaczej niczego się nie nauczymy.

– Chyba nie rozumiem – powiedział uprzejmie Krzysiek.

Miał już dość tej rozmowy, ale najwyraźniej dialog był skonstruowany tak, że nie mógł z niego wyjść, dopóki nie usłyszał wszystkiego, co questowcy sobie

zaplanowali.

Nie znosił, kiedy tak robili.

– Nie oczekiwałem, że zrozumiesz. Wystarczy, że będziesz się mnie słuchać. Ostatecznie to ja tu jestem od artystycznej wizji. To tak jak z kojotem, kaczką i Śpiącym Dziecięciem. Na pewno nie znasz tej historyjki, bo przed chwilą ją wymyśliłem. Posłuchaj. – Jasiek poprawił się na konarze. – Indianie z plemienia Nez Percés opowiadają taką legendę o tym, jak kojot chciał najeść się pieczonych kaczek. Otóż raz kojot – Indianie Kri i Czipewejowie nazywają go Wisakedżakiem lub Pochlebca – nabrał chętki na kaczki, ale wiedział, że nie może żadnej sam upolować, bo to nie spodobałoby się Stwórcy. Postanowił zatem, że nauczy człowieka, jak zabijać, i w ten sposób będzie mógł się nim posłużyć. Poszedł do Śpiącego Dziecięcia i tak mu powiedział: „Chciałbym, abyś zaprzyjaźnił się z kaczką”. Kojot zaprowadził Śpiącego Dziecięcia nad staw i pokazał mu, jak karmić kaczkę okruchami placków. Kiedy kaczka oswoiła się już z człowiekiem, kojot powiedział: „Śpiący Dziecięciu, teraz jesteś przyjacielem kaczki i możesz się z nią bawić. A zabawa jest taka: obejmij kaczkę rękami za szyję, a ona ciebie, i zobaczymy, kto mocniej ścisnie. Ja będę wam przygrywał”. I tak kojot począł grać na bębnie, a kiedy przestał, kaczka leżała bezwładnie na ziemi. Śpiący Dziecięciu lamentował nad nią, ale kojot powiedział: „Nie martw się, trzeba ją tylko ogrzać, a wyzdrowieje. Rozpal wielkie ognisko nad wodą”. Kiedy człowiek to zrobił, kojot nakazał mu wsadzić kaczkę do gorącego popiołu, tak żeby tylko łapy jej wystawały. „A teraz musimy poczekać” – zapowiedział Śpiącemu Dziecięciu, a młodzieniec położył się nad brzegiem wody i zasnął. Wtedy kojot wyjął upieczoną kaczkę z ogniska, odciął jej łapy i wsadził je z powrotem do popiołu, tak że wyglądało, że kaczka dalej jest w środku. Kiedy Śpiący Dziecięciu się obudził, zobaczył, że kojot zajada coś, pomrukując z radości. „Co z kaczką?” – zapytał. „Jeszcze śpi w cieple. Tymczasem zjedz ze mną i pokrzep się”. Śpiący Dziecięciu spróbował mięsa, a kiedy poczuł, że to ciało kaczki, padł jak nieżywy na ziemię. „Niedobrze, niedobrze” – pomyślał kojot. Kaczka to nic, ale gdyby Stwórca zobaczył, co się stało ze Śpiącym Dziecięciem, na pewno by się rozzłościł. Dlatego

kojot ukrył człowieka wysoko na drzewie, bo wiedział, że żaden mężczyzna nie będzie mógł go stamtąd zdjąć. Śpiący Dziecioł miał jednak siostrę. We śnie przyszedł do niej jego duch opiekuńczy i powiedział jej: „Twój brat nie umarł. Idź zdjąć go z drzewa, ale pamiętaj, że wolno ci będzie go dotknąć, tylko jeśli owiniesz sobie palce lipowymi listkami”. Siostra Śpiącego Dziecioła odszukała drzewo, owinęła sobie palce listkami lipy i ściągnęła go na ziemię, a wtedy on otworzył oczy. I od tego czasu kojot nie je pieczonych kaczek. Nigdy.

– Chyba dalej nie rozumiem. Ja jestem kojotem czy Śpiącym Dzieciołem?

– No na pewno nie jego siostrą. – Jasiek spojrzał na niego jak na kretyna.

Krzysiek spróbował znowu przerwać dialog i tym razem mu się udało.

– Trzymaj się, Jasiek. Dam radę stąd wyjść, jeśli nic nie zjadłem i nie będę miał na sobie rzeczy z gry? – upewnił się.

– Tak. Chyba że coś pomieszałem. No, zorientujesz się w każdym razie.

Krzysiek odszedł, co chwila oglądając się za siebie, ale Jasiek zniknął w zieleni.

Ok, pomyślmy logicznie, jak się stąd wydostać. – Krzysiek odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić. – Mógłbym dojechać do krawędzi mapy, ale stąd to strasznie daleko, a poza tym nie wiadomo, czy będzie tam przejście. Lepiej będzie znaleźć jakiś bug i sprowokować crash. Albo może po prostu przy bugach będą jakieś szczeliny?

Hmm, jakie to ostatnio mieliśmy bugi... Refrakcja! Tam się zawsze coś spierdoli.

Krzysiek z pewnym siebie uśmiechem poszedł nad rzekę. Przystanął nad brzegiem i mina mu zrzędła. Woda wyglądała zaskakująco realistycznie, drobne fale załamywały się pod lekkimi podmuchami wiatru, a słońce odbijało się wesoło od powierzchni i raziło go w oczy. Kiedy oni zdążyli to naprawić?

No dobra, to canoe. Jeszcze wczoraj widział, że łódce pomieszały się osie i wyskakiwała pionowo do góry, zamiast huścić się na fali. Odwiązał linę od palika, zaparł się stopami o mokry piach i z trudem zepchnął ją na wodę. Czekał przez

chwilę z nadzieją, ale canoe przechyliło się łagodnie z boku na bok, jakby zapraszająco – i nic. No cóż, w zasadzie powinien się cieszyć. Franek spędził pół roku nad tym cholerstwem, więc w zasadzie czas najwyższy, żeby zaczęło działać jak trzeba.

Świnie! Z nimi był niedawno problem. Kiedy postaci stawały im na drodze, świnie dreptały wytrwale dalej w miejscu, nie umiając ominąć przeszkody, a potem się despawnowały – i crash. To powinno zadziałać.

Schodził dwie wioski w poszukiwaniu świń, a kiedy je wreszcie znalazł, okazało się, że działają bez zarzutu.

Czas na plan D, uznał. Nieśmiertelny nielogiczny crash, którego przyczyny nigdy nie udało się ustalić, ale za to powstały fajne gify. Jeśli obróci się Finnleya trzy razy przez lewe ramię, a potem każe mu podskoczyć, najpierw rozłoży ręce, jakby chciał chodzić po linie, potem zniknie mu cała głowa poza gałkami ocznymi i szczęką... iiii crash. Krzysiek pobiegł z powrotem do chaty Jeanne. Na szczęście Finnley wciąż tam był. Nie namyślając się, złapał go za ramiona i okręcił trzy razy, a potem z lekkiego rozbiegu kopnął w tyłek. Finnley pozwolił się przestawiać jak bezwolna kukielka, ale wszystkie te manewry nic nie dały. Krzysiek patrzył bezsilnie, jak Finnley wraca – jakby nic nie zauważył – na ścieżkę, dosiada konia i odjeżdża na północ.

Krzysiek spróbował jeszcze kilku trików, ale bez skutku. Przecież to niemożliwe, żeby wszystkie bugi były naprawione!

To musi być sen – zrozumiał wreszcie. I się obudził.

– Co się stało? – zapytała nieprzytomnie Danka, unosząc się na łokciu.

– Mmm, nic. Miałem zły sen.

Krzysiek opadł z powrotem na poduszkę. Kropelki potu łaskotały go za uszami, więc otarł je rogiem poszewki. Sięgnął po komórkę i sprawdził, która godzina. Czwarta. Czyli wszystko to zdążył prześnić w godzinę. Bardzo dziwne. Odłożył telefon i podciągnął kołdrę pod brodę.

Danka zakotłowała się w pościeli, przewróciła na bok i zwinęła w kłębek. Miała lekki sen i łatwo ją było obudzić, ale też zasypiała, kiedy tylko zamknęła oczy. Przysunął się, przygarnął ją do siebie i wsadził nos w jej włosy. Danka zaprotestowała marudnie i wysunęła się z jego objęć. Znowu zaczęła się wiercić, aż w końcu zastygła w dziwacznej pozycji na brzuchu z jedną ręką nad głową, a drugą wciśniętą pod żołądek.

– Co ci się śniło? – wymamrotała w poduszkę.

– Nasza gra. Finnley. I Jasiek Ritmeijer. Nie mam pojęcia, jak się tam dostał, ale wyglądało to tak, jakby zamieszkał w grze.

– Może znalazł przejście na drugą stronę.

– Hm? – zdziwił się Krzysiek, a potem przypomniał sobie: no tak, przecież ona teraz ma fazę na Murakamiego. – W każdym razie to był strasznie głupi sen.

– Jest pełnia – mruknęła Danka sennie. – Wszyscy mają głupie sny.

Sekundę później już spała.

Puma i Roszpunka

Andrzej obudził się po dziewiątej ze strasznym bólem głowy. Najchętniej nie podnosiłby się z łóżka, ale rozsądniej było wstać i znaleźć gdzieś w domu jakiś paracetamol. Albo mógł od razu iść do pracy, tam była apteczka.

Usiadł ostrożnie i złapał się za głowę, bo miał wrażenie, że zaraz mu eksploduje jak śmiertelnie trafionym trupojadom w *Wiedźminie 2*. Może lepiej odczeka chwilkę, zanim spróbuje wstać. Westchnął i zrobił kilka głębokich wdechów – a nuż to coś da?

Nagle przypomniał sobie, co mu się śniło – znowu! – i jeszcze mocniej ścisnął sobie skronie. Chyba powinni trochę wyluzować z tym dżentelmeńskim zakładem, bo zaczyna mu się to rzucać na mózg. Te sny o Karolinie to wyraźna projekcja poczucia winy, bez wątpienia, ale co on takiego zrobił? Czy on ich namawia, żeby się uganiali za Karoliną? Sami leżą jak ćmy w ogień, a wystarczyłoby się ogarnąć

i rozejrzeć dookoła. Jak można nie zauważyć, że do tej samej dziewczyny uderza też sześciu innych facetów, a kolejnych dziesięciu też by chciało, tylko nie wiedzą, jak się za to zabrać?

Przetarł palcami powieki, jakby chciał w ten sposób usunąć spod nich niestosowne obrazy ze swoich snów, a potem odetchnął głęboko i powoli, ostrożnie wstał.

Chyba rzeczywiście coś było na rzeczy z tą pełnią.

Kiedy o dziesiątej Krzysiek wszedł do kuchni, ku jego zaskoczeniu nie panował tam zwykły rozgardiasz – wszyscy siedzieli spokojnie przy stole i wymieniali się opowieściami, co się komu śniło. Skład tego zgromadzenia był dość dziwny – pośrodku królowała Karolina otoczona honorową gwardią pajaców, a dalej Mat, Asia, Kacper, Staszek Fraszyński i Jurek Sojda. Krzysiek szczerze pożałował, że się spóźnił i nie słyszał całej rozmowy. Na szczęście koło kuchenki mikrofalowej stał Andrzej i kontrolował sytuację. Dał dyskretnie Krzyśkowi znak, że liczył punkty od początku, ale teraz jego kolej.

– A mnie się śniło, że zostałam superbohaterem Pumą – oświadczyła Asia i natychmiast zdobyła powszechną uwagę. Bo przecież wszyscy uwielbiają facetów w kolorowych trykotach, którzy noszą majtki na wierzchu. – Miałam takie fajne, miękkie łapy, na których mogłam bardzo wysoko skakać, i aksamitny, szeroki nos. Przemiana zaszła po ciemku i zdążyłam dokonać wielu wspaniałych czynów, zanim nie zapaliłam światła i nie okazało się, że ktoś po prostu włożył mi pluszowe kapcie i plastikową maskę na głowę.

Paweł Stentor zapiszczał ze śmiechu, zgiął się w pół, a potem zwinął w szczęśliwą kulkę jak puszysty, rozdokazywany kociak. Obrzydliwe, pomyślał Krzysiek.

– I wtedy zrozumiałam – kontynuowała spokojnie Asia, nie przejmując się zbiorowym wybuchem radości – że bycie superbohaterem zależy od wiary w siebie. No więc uwierzyłam w siebie, Pumę, i przybyło mi nowych supermocy.

Otóż umiałam zaczajać się na ludzi w łazience, tak że mnie nie widzieli, a potem wyskakiwałam i ich straszylam.

– He, he!

– Wyborne!

– To jeszcze nie koniec. Kiedy już nabiłam w tym expa, zmienił się interfejs graficzny: pojawiła się taka jakby ogromna winylowa płyta w jaskrawożółte i jaskrawoseledynowe prążki, a ja byłam na jej środku. I usłyszałam głos: Pumo, jesteś już gotowa, by poznać wszystkie tajemnice.

– I co potem?

– Nic, bo się zdesynchronizowałam – westchnęła.

– Karolina, a tobie co się śniło? – zapytał Franek Kilarzski z miną zwycięskiego wikinga.

– No właśnie, jeszcze nie mówiłaś. – Przymilnym tonem Jacka Brzeźniaka można by posmarować chleb.

– Ee, nic takiego – próbowała się wykręcać. Zwróciła się w stronę Franka, uśmiechnęła i lekko zarumieniła. Na Jacka nawet nie spojrzała.

Double kill, pomyślał Krzysiek, doliczył Frankowi cztery punkty i odjął Jackowi tyle samo.

– Nie, powiedz!

– Mamy cię prosić?

– No, nie bądź taka!

Asia przewróciła oczami i kilkoma ruchami łyżeczki skończyła jogurt, który przed nią stał. Karolina w końcu zmiękła i powiedziała z lekkim zażenowaniem:

– Śniło mi się, że jestem Roszpunką i udało mi się uciec, ale potem nagle sobie uświadomiłam, że zapomniałam aparatu ortodontycznego z wieży.

Pajace roześmiali się gromko i gorliwie, a Brzeźniak wyglądał, jakby miał ochotę zacząć klaskać.

Andrzeja, kiedy tak patrzył na zaróżowioną z radości Karolinę w otoczeniu pajaców, opuściły wszystkie wątpliwości. Najwyraźniej świetnie się bawiła i była

zachwycona, że jest w centrum uwagi. Jeśli komuś należało tu współczuć, to pajacom – ale Andrzej nie był w specjalnie litościwym nastroju. Warci są siebie: kokietka i stado zaślepionych baranów.

Karolina poruszyła się, jakby intensywne spojrzenie Andrzeja ją załaskotało, i zwróciła na niego błyszczące, roześmiane oczy.

– Andrzej? A tobie co się śniło?

– Hmm... – Udał, że nie może sobie przypomnieć, i zważył w rękę kubek z Pac-Manem. – Nie jestem pewien... Ale to chyba była Winona Ryder. W wersji z lat dziewięćdziesiątych.

– I ty nie jesteś pewien? – zdziwił się Franek.

– Twarz widziałem najrzadziej. – Andrzej wyszczerzył się po swojemu jak Kot z Cheshire.

Karolina zaśmiała się razem ze wszystkimi, ale jakby bez przekonania. Później temat snów się urwał i wszyscy zaczęli mówić o zapowiadanych na początek roku premierach. Krzysiek i Andrzej poczekali, aż Karolina wyjdzie z kuchni, i dopiero wtedy poszli do pokoju gameplayowców spisać wszystkie punkty.

Rycerz przybywa

Mazurek wysiadł z autobusu linii 138 przy Szpitalu Świętej Rodziny, spojrzął na zegarek i zaklął pod nosem. Wyliczył sobie wszystko tak, żeby przed wizytą u Marty wpaść na Gwiazdzistą i zabrać czyste ciuchy na następne dwa dni. Niestety Marcin nie chciał go wypuścić z brainstormu, chociaż Mazurek jako żywo nic nie wnosił do dyskusji, i udało mu się wyrwać dopiero po dwudziestej.

Marta nie będzie mu miała za złe spóźnienia, ale domyślał się, że poczuje się dotknięta, jeśli wyjdzie od niej zbyt szybko. Czyli najwcześniej mógłby się pożegnać koło dwudziestej trzeciej, a wtedy od razu będzie musiał wracać do Nasty Oranges, żeby nie przegapić przyjścia Danki. Mógłby skoczyć na Gwiazdzistą po

spotkaniu na dachu, czyli w środku nocy, ale wtedy nie zostanie mu już w ogóle czasu na sen, a to na pewno nie wpłynie pozytywnie na wydajność jego pracy.

Oczywiście proszenie Staszka, żeby mu przyniósł z szafy czyste ubranie, odpadało, bo wtedy ten drań miałby prawo do zadawania pytań. Z drugiej strony, jeśli trzeci dzień będzie miał na sobie podkoszulek z niebieską budką telefoniczną i napisem „Time Lord”, Asia się pewnie nie powstrzyma i rzuci jakimś sucharem, a wtedy wszyscy zwrócą uwagę i...

Nawet nie zauważył, że ciągle przyspiesza kroku, i kiedy zaświergotał jego telefon, był już tak zdyszany, że musiał uspokoić oddech, zanim odebrał. Dzwoniła Marta.

– Hej, słuchaj, przepraszam, już leczę, będę za dziesięć minut! – rzucił.

– Nie... To ja przepraszam. Dzisiaj jednak nie dam rady.

Mazurek wymierzył zimnemu powietrzu tryumfalny cios pięścią, a cała twarz zmarszczyła mu się w pantomimie stłumionej radości.

– Nie ma sprawy – zapewnił ją szczerze.

– Dzięki. Może... innym razem.

Mazurek już zawracał na przystanek, kiedy coś go zastanowiło. Zatrzymał się przy rogu Wiśniowej i Różanej.

– Ty jakiś dziwny głos masz – powiedział podejrzliwie. – Coś się stało?

– Ymm, nie. Tylko... słabo się czuję.

– W sensie tak rutynowo słabo? – Mazurek poczuł, że wspina się na wyżyny taktu.

– Nie, ale... nieważne. Zadzwoń jutrooo. – Ostatnie słowo rozplynęło się w zduszonym jęku.

– Wiesz co? Chyba jednak wpadnę do ciebie – oświadczył bardzo spokojnie, chociaż właśnie oblał go ciepły prąd paniki.

– Nie, nie chcę, żebyś... Aaaa...!

– Zaraz będę.

Marta otworzyła drzwi dopiero po dłuższym czasie, zgięta w pół i drżąca.

– Wojtek, naprawdę... – zaczęła głosem, który chyba miał brzmieć stanowczo i pewnie, ale załamał się już na pierwszej sylabie.

Ledwo zdążył ją złapać. Nie miał pojęcia, co robić, ale instynkt rycerski działał bezbłędnie i nakazał mu wziąć mdlejącą białogłową na ręce. Była zaskakująco ciężka.

– Marta...?

– Do łazienki, proszę. Będę rzygać – wymamrotała w jego kurtkę.

Mazurek poczuł nagle przyływ sił. Małymi kroczkami, ale prędko przetransportował ją, gdzie chciała, i delikatnie ułożył na dywaniku przy wannie. Zdążył jeszcze podać jej plastikową, niebieską miskę i odsunąć się, kiedy zaczęła wymiotować żółcią, krztusząc się i plując. Poszedł do kuchni po szklanę wody, odczekał chwilę i wszedł znów do łazienki.

– Lepiej ci? Zatrzymałaś się czymś?

Marta otarła usta ręcznikiem i pokręciła głową. Była zielonkawo blada, miała zapadnięte oczy i całkiem białe wargi, a skórę wilgotną od potu. Upiła łyk wody i odstawiła szklanę na podłogę.

– Kolka nerkowa, prawda?

– Nie wiem... Chyba tak.

– Zaraz sprawdzimy – Pochylił się za jej plecami i sprawnie uderzył otwartą dłońią w pięść przystawioną na wysokości nerek z jednej, a potem z drugiej strony kręgosłupa. – Boli?

– Aaaaa! Czemu mnie bijesz?

– Sprawdzam objaw Goldflama. Mój ojciec ma kłopoty z nerkami, więc trochę się na tym znam. Nic się nie martw, zaraz zorganizuję pierwszą pomoc. – Sprawdził ustawienia temperatury wody w piecyku elektrycznym nad wanną, przestawił na czterdzieści pięć stopni, wepchnął śliski od jakiegoś olejku korek do odpływu i odkręcił kran. Marta ścisnęła miskę i patrzyła na niego podejrzliwie.

Głowa przy tym wyraźnie jej opadała, a powieki drżały, jakby miała zaraz stracić przytomność.

– Hej tam, nie śpij. Który raz ci się to zdarza?

– Drugi. Za pierwszym zupełnie nie wiedziałam, o co chodzi... I lekarze też nie. Wrzeszczałam kilka godzin, bo nie chcieli mi dać nic przeciwbólowego, żeby nie stracić materiału do diagnozy. A skoro tak, nie widziałam powodu, żeby być dzielna i darłam się na cały regulator. Potem założyli mi sondę... Mazurek, ja nie chcę znowu na pogotowie – zajęczała nagle.

– Może nie będzie trzeba. Brałaś jakieś leki teraz?

– Brałam, ale... wróciły.

– Co brałaś?

– Yyyy... Są na stoliku przy łóżku.

Mazurek wrócił chwilę potem z dwoma opakowaniami w garści.

– Rozkurczowe i ciężka artyleria przeciwbólowa. Nieźle. Chociaż lepiej, gdybyś to miała w zastrzykach albo w czopkach.

– Racja, to mógł być taki udany wieczór – powiedziała grobowym tonem i Mazurek ryknął śmiechem.

– Nie martw się, za chwilę spróbujesz je połknąć jeszcze raz. Zaraz po tym, jak... O, no właśnie. Tak, już wychodzę. Rzygaj sobie spokojnie i spróbuj nie zemdleć, proszę.

Kiedy uznał, że może już wrócić do łazienki, Marta leżała z zamkniętymi oczami zwinięta w kłębek na dywaniku. Przyłożył jej rękę do czoła, ale nie miała gorączki.

– Po co się leje ta woda? – zapytała słabo po chwili.

– Zaraz cię tam wsadzimy i poczujesz się lepiej.

– Serio? – mówiła powoli, jakby najpierw musiała obejrzeć słowo z każdej strony. – To serio działa? Słyszałam, że ciepła woda, ale...

– Naprawdę. Wręcz magicznie działa. Pomogę ci się rozebrać.

– Bez przesady. Ja sama wejdę... i cię zawołam.

– Sama to ty nawet nie jesteś teraz w stanie rozpiąć sobie dżinsów. No już, bez ceregieli, bo zaraz znowu będziesz rzygać. Podnieś ręce. Nie bój się, bieliznę ci zostawię. Wyobraź sobie, że jesteś na plaży.

Pochylił się, żeby ją podnieść. Marta przestała się już opierać i objęła go za szyję. Woda była gorąca – pewnie nawet za gorąca – i Marta wzdrygnęła się, ale już było za późno: Mazurek ledwie mógł ją utrzymać w tej pozycji i pozostawało mu tylko zwolnić uścisk.

– Aaaa!

– Za chwilę mi podziękujesz – wysapał, otarł krople wody z twarzy i usiadł na krawędzi wanny. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu kręgosłup.

Marta spojrzała na niego gniewnie i szarpnęła foliową zasłonkę w wielkie fioletowe ślimaki.

– A zasłaniaj się. I tak już wszystko widziałem. Będę miał co opowiadać chłopakom.

– Tylko spróbuj – syknęła.

– No proszę, widzę, że ci wraca wigor. I kolorki pewnie też.

– Daj spokój, jestem cała czerwona jak rak. Może już wezmę te leki?

– Jeszcze poczekajmy.

Po dziesięciu minutach Marta poczuła się lepiej i ostrożnie połknęła tabletki.

– Niesamowite, to rzeczywiście działa – westchnęła z ulgą, po czym zanurzyła się po brodę. – Tylko mi cholernie gorąco, jakbym się miała roztopić. Słuchaj, ze mnie raczej średnie będzie towarzystwo dzisiaj. Dziękuję, że mnie wyratowałeś, ale nie musisz tu przy mnie siedzieć i dusić się jak w saunie. Dam sobie radę.

– Pójdę, kiedy będziesz w stanie sama wyjść z wanny. Wyczołgiwanie się nie liczy, zaznaczam – oświadczył ze stoickim spokojem Mazurek. Marta oparła się mocno na brzegu wanny, zapluskała raz i drugi, po czym z jękiem osunęła się z powrotem.

– Tak myślałem. Zastanawiam się, jak w ogóle udało ci się dojść do drzwi, żeby mnie wpuścić. Bałaś się, że je wyważę, jeśli nie otworzysz, co?

– Aha. A to moje drzwi. Odkąd płacę raty kredytu za własne mieszkanie, a nie za wynajem, zrobiłam się mocno wyczulona na te sprawy. No dobra, to siedź, ale chociaż przynieś sobie wino. Jest w kuchni na stole. Jeszcze dwie godziny temu byłam pewna, że narąbiemy się nim oboje aż miło. Strasznie dawno tego nie robiliśmy.

– *That's what she said.* – Zdążył się uchylić przed fontanną wody i z głupim chichotem wyskoczył z łazienki. Wrócił z otwartą butelką i kieliszkiem, a po namyśle przyniósł sobie jeszcze poduszkę z sypialni.

– Czy ty kiedykolwiek sprzątasz w tym mieszkaniu? – zapytał, sadowiąc się na podłodze tak, żeby opierać się plecami o ścianę i mieć dobry widok na wannę. – Kiedy ostatnio u ciebie byłem, położyłem ci na biurku jabłko. Dalej tam leży i wygląda jak tsantsa.

– Ma wartość sentymentalną. Dobre to wino?

– Wyborne.

– To się cieszę. No dobrze, towarzyszu Mazurek, mówcie no, co tam u was nowego. Dalej podkochujesz się w tej swojej współlokatorce z ślicznymi dołeczkami w policzkach? Emilka, dobrze pamiętam?

– Skąd, chyba coś ci się pomyliło. – Odchrząknął i postanowił kontratakować. – A co u ciebie? Mało słyszę ostatnio plotek na twój temat. Zatrzymałem się na tym, że widziano cię, jak wychodzisz z Matem Chojnackim z Level-Upa. Podobno wyglądaliście, jakby wam się bardzo dokądś spieszyło. Jak masz zamiar to wytłumaczyć, młoda damo? Jeśli nie przestaniesz szargać swojej reputacji, będę musiał poważnie się zastanowić nad naszą wspólną przyszłością.

– Czyli jednak nie zaciągniesz mnie do łóżka?

– Zaciągnę, ale nie oświadczę ci się potem z samego rana. A naprawdę zamierzałem zrobić z ciebie uczciwą kobietę.

– Obawiam się, że jestem stracona – powiedziała marzącym głosem, bo właśnie przypomniała sobie kilka miłych faktów na temat Mata Chojnackiego, nieznanym szerszej publiczności.

Na chwilę zapadła cisza. Mazurek zerknął na zegarek i westchnął.

– O? A co to? – zapytała Marta żywo. – Westchnienia jak morskie huragany? Aż mi zasłonka załopotiała. Nie podpytuj mnie o Mata, tylko mów, co jest grane. Bardzo chcesz mi się zwierzyć, prawda? Niedobrze dusić w sobie takie rzeczy. Można od tego oślepnąć.

– No... właściwie...

– Wiesz co, chyba jednak wolę cię widzieć. Łatwiej się zorientuję, czy coś kręcisz. – Odsunęła zasłonkę i przekręciła się powoli, tak żeby oprzeć się łokciami o brzeg wanny. – Może rzeczywiście będę sobie wyobrazać, że jestem na plaży.

– Uhum – mruknął Mazurek, który z kolei nakazał sobie myślenie o chłodnych islandzkich jeziorach, kostkach lodu za kołnierzem i wiecznych śniegach.

– No to mów – popędziła go, ocierając strumyczek, który spłynął jej zza ucha na szyję.

Zdecydowanie wyglądała już lepiej – ciągle miała cienie od oczami, ale skóra zaróżowiła się, a oczy zaśniły żądzą zdobycia informacji, co można by wziąć za pozór zdrowia. Włosy lepiły jej się do zarumienionej twarzy, a usta rozchyliły się bezwiednie z zaciekawienia. Gdyby nie fioletowe ślimaki w tle, wyglądałaby jak odaliska z jakiegoś dusznego obrazu Bouchera.

– Hm, no więc, zacząłem się tak jakby umawiać z duchem pewnej dziewczyny. – Potarł kark i zaśmiał się niepewnie.

Wyraz twarzy Marty zmienił się tak szybko, że wyglądało to na magiczną sztuczkę.

– Wojtek – powiedziała tylko i jakimś cudem udało jej się zawrzeć w tym ostrzeżenie, smutek, niedowierzanie i trochę gniewu.

No tak. To był kiepski żart.

Złe sny

O śmierci Magdy dowiedział się przez telefon. Od tego czasu zawsze, kiedy odbierał połączenie, czuł ukłucie irracjonalnego lęku – zapewne tak jego zabobonna babka i prababka reagowały na doręczenie niespodziewanego telegramu.

Dzwoniła matka Magdy. Widywał ją dość często, ale nie rozpoznał wtedy jej głosu. Nie zrozumiał też ani słowa, bo po drugiej stronie rozlegało się tylko nieludzkie wycie, od którego zjeżyły mu się włosy na karku, a serce zwolniło, jakby nagle zaczęło pompować gęsty, czarny olej zamiast krwi. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego dźwięku i miał nadzieję, że więcej nie usłyszy. Próbowła coś powiedzieć, ale za każdym razem kończyła chropawym wizgiem, jakby na gardle zaciskały jej się stalowe wilcze zęby.

Wiedział, co to znaczy, wiedział od samego początku, kiedy tylko to usłyszał, ale uwierzył dopiero wiele miesięcy później.

– Gdzie... – wydusił z siebie. Był właśnie w sklepie sportowym. Potoczył wzrokiem po rzędach kolorowych polarów, plecaków, zwiniętych równo lin i poczuł, jak oczy wyłażą mu z orbit. Nie było tam nic, czego mógłby się uchwycić, ale nie potrafił opanować tych dzikich spojrzeń na boki, jak mysz zapędzona w kąt, która ciągle myśli, że jakoś się wyślizgnie. – Gdzie...

Spróbowała jeszcze raz, ale nic z tego nie wyszło. Dookoła Mazurka wszystko zaczęło ciemnieć, zacierać się i rozplýwać jak w złym śnie. Oczywiście, to musiał być kolejny koszmar.

Nagle ktoś tam po drugiej stronie przejął słuchawkę i Mazurek usłyszał matowy, pozbawiony jakiegokolwiek intonacji głos ojca Magdy:

– Puławska.

Wyskoczył na ulicę i zgodnie z logiką koszmaru, zaczął biec.

Mógł wziąć taksówkę – przychodziło mu to do głowy później wiele razy, kiedy leżał nad ranem, sen nie nadchodził, a on po raz kolejny oglądał bezsilnie te same, zapętlone sceny. Podskakująca w rytm jego kroków ulica. Migające czerwone światła, klaksony, błyszczący ślad, jaki po sobie zostawił na asfalcie, szorując

kolanem przy upadku – jakby ktoś rozgniół dojrzłą malinę. Słońce świeciło, jak gdyby nigdy nic, nie zmienił się nawet tryumfalny kolor zieleni w parku – teraz go to idiotycznie oburzało, ale wtedy dawało mu cień nadziei, że coś tu się nie zgadza, że to pomyłka. Płuca go paliły, kręciło mu się w głowie i w końcu zwymiotował za jakimś krzakiem, i pobiegł dalej. Mógł przecież wziąć taksówkę.

Kiedy dobiegł na pogotowie, czekał tam już tylko ojciec Magdy. Jego zastygła, poszarzała twarz zbliżała się i oddalała razem z głosem, który mówił o wypadku, zielonym volvo, świadkach, przerwany rdzeniu kręgowym i krwotoku. Niewiele z tego do niego docierało, nagle zaczął się trząść i szczękać zębami, jakby ktoś go wrzucił do przerębla. Mógł wtedy wziąć taksówkę, ale to by nic zmieniło, bo i tak by nie zdążył. Choćby biegł dla niej przez całe miasto, na koniec świata, było za późno.

Chciał, żeby mu ją pokazali. Bał się widoku jej roztrzaskanego ciała, ale musiał się upewnić – że to na pewno ona i że na pewno nie żyje.

– Teraz będą ją przewozić – powiedział jej ojciec, zaciskając zęby, jakby każde z tych słów miało kolce.

– Proszę.

Spod zielonej płachty wystawała tylko dłoń – zupełnie jak na filmach – ale to wystarczyło. Poznał pierścionek z owalnym bursztynem i kształt paznokci, obwiedzionych nierówno zaschniętą krwią. Jej palce były bezwładne jak martwe ptaszki. Lekko chłodne, nie zimne. Trzymał je delikatnie, dopóki pielęgniarz nie wyprowadził go na korytarz.

Ojciec Magdy poszedł posiedzieć przy żonie, która rzucała się na szpitalnym łóżku w płytkim śnie po zastrzyku na uspokojenie. Z tego co wiedział, jeszcze po półtora roku dalej brała leki.

Wyszedł ze szpitala i nagle zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd i po co iść. Cokolwiek by zrobił, nie miałyby to żadnego sensu, żadnego znaczenia. Było za późno.

Usiadł na ławce przed budynkiem i został tam do nocy, patrząc na własne kolana. Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, wstał i powoli, niepewnym krokiem ruszył pieszo na Targówek. W mieszkaniu zwinął się na łóżku w ubraniu i w tenisówkach, i zasnął, pierwszy raz od bardzo dawna nie bojąc się koszmarów.

Wcześniej śmierć Magdy śniła mu się bardzo często. Spadała ze skały, tonęła w oceanie, ktoś podrzynał jej gardło, a jeśli za długo grał w *Dead Island*, mordowały ją hordy zombie. Na początku opowiadał jej te sny, ale wyśmiewała go, więc dał spokój. Dlatego nawet nie wiedziała, że śniły mu się aż do samego końca.

Najgorsza część koszmarów następowała po jej śmierci, kiedy jej szukał. Męcząca konwencja tych długich, splątanych snów sugerowała, że jeśli się bardzo postara, uda mu się ją znaleźć i jeśli nawet nie wyprowadzić jak Eurydykę, to chociaż do niej dołączyć. Najwyraźniej pamiętał ten, w którym leżał płasko na kamiennym podłożu, wyczuwając gdzieś po drugiej stronie jej obecność – widmowe ciepło mrowiące w opuszkach, kiedy badał litą skałę milimetr po milimetrze. Przyciskał z całej siły czoło do kamienia i próbował dosięgnąć ją chociaż myślami. Wracaj, wracaj.

Rodzina Mazurków była bardzo zabobonna, zresztą wszyscy krewni od strony matki też. Odpukiwali w niemalowane drewno, łapali się za guziki na widok kominiarza, zawracali, kiedy czarny kot przebiegał im drogę, lamentowali z powodu zerwanych sznurówek, czytali horoskopy, nosili w portfelach rybie łuski, a w wigilijny poranek nie wpuściliby kobiety do domu, choćby przyniosła ze sobą bukiet czterolistnych koniczynek.

Najzabawniej było, kiedy ojciec i mama sprzecali się o interpretację jakichś omenów: ona na przykład zawsze twierdziła, że karawan przynosi pecha, a on, że wręcz odwrotnie i powoływał się na zdarzenie z czasów jego studiów, kiedy to na widok posępnego pojazdu wrzasnął z radości i – żeby zapewnić sobie powodzenie na egzaminie, który miał tego dnia zdawać – wskoczył na tylny zderzak, skąd chwilę później zrzucili go oburzeni żałobnicy. „I zdałem, chociaż nie umiałem nic, kompletnie nic”, powtarzał z dumą, opowiadając tę historyjkę. Wojtek był w stanie

w nią uwierzyć – jego ojciec był naprawdę w czepku urodzony i zazwyczaj udawało mu się wywinąć ze wszystkich groźnych sytuacji (Mazurek senior przypisywał to swojemu szczęśliwemu spławikowi, który zawsze nosił w kieszeni, zaś mama Mazurkowa dobremu imieniu: bo wszystkie Maćki to fajne chłopaki i zawsze spadają na cztery łapy).

Oczywiście wierzyli też w sny – ojciec był mistrzem interpretacji freudowskiej, podczas gdy mama i siostry rozczytywały się w sennikach egipskich.

Wojtek traktował te rodzinne upodobania z pobłażaniem – ostatecznie dopóki nie odprawiali czarnych mszy, było to wszystko niewinne i trochę rozczulające. Zawsze uważał, że sam jest odporny na uroki przesądów i że pluje przez lewe ramię tylko z uprzejmości, żeby nie robić przykrości mamie – tak jak w innych rodzinach dorosłe dzieci chodzą grzecznie z rodzicami do kościoła. Od czasu do czasu przyłapywał się jednak z rozbawieniem na jakichś przebłyskach myślenia magicznego. Chyba po prostu trudno się od takich rzeczy całkiem uwolnić.

Kilka razy korciło go, żeby skonsultować z mamą koszmary o Magdzie, ale dobrze wiedział, jak by się to skończyło – żeby go pocieszyć, natychmiast wymyśliłaby jakąś pseudopsychologiczną teorię, która powinna go przekonać, że absolutnie nie powinien tego brać dosłownie. Sama za to zaczęłaby się zamartwiać i dzwonić do niego co rano, żeby wypytywać o nowy materiał do interpretacji. W końcu nie powiedział nic i dzięki temu po śmierci Magdy uniknął dyskusji o snach proroczych, przecuciach, sprowadzaniu nieszczęścia i odwracaniu złego losu oraz niejasnych uwag, że „jednak coś w tym wszystkim jest”. Dlatego przerobił sobie to wszystko sam, w pustym mieszkaniu, wystawiony na oskarżycielską obecność jej ubrań i książek.

Bardzo długo zajęło mu pozbycie się wrażenia, że to po prostu kolejny koszmar, z którego w końcu się obudzi. To uczucie nierealności wzmagają też zaburzenia upływu czasu, które zaczął zauważać: potrafił usiąść rano na łóżku, zapatrzeć się w ścianę i ocknąć dopiero pod wieczór, a za to niektóre popołudnia (zwłaszcza niedzielne) potrafiły się ciągnąć w nieskończoność. Jedynymi stałymi punktami

dnia były irytująco regularne telefony od rodziców, którzy ciągle do niego wydzwaniali i pytali, jak się czuje. W końcu, żeby dali spokój, zaczął udawać, że już wziął się w garść.

Wracanie do normalności na pokaz poszło mu całkiem nieźle. Najpierw znalazł inną pracę, żeby – jak wyjaśniał rodzicom – zmienić otoczenie. Przytaknęli, że to świetny pomysł. Zdecydował się na Nasty Oranges, bo miał sentyment do ich starej, prostej gierki z pomarańczami, a poza tym wiedział, że ma na tyle dobre CV, że go wezmą z marszu.

Kiedy składał rezygnację w Neverlandzie, jego szef wyraził zrozumienie i – nie tak wprost – wielką ulgę. Wtedy Mazurek zdał sobie sprawę, że przez te kilka miesięcy od wypadku Magdy znajdował się w oficjalnym okresie ochronnym: wszyscy w firmie skrupulatnie ukrywali, jak beznadziejnie mu idzie, i choćby cały dzień po prostu gapił się w monitor, nikt mu nie powiedział złego słowa. Ta świadomość sprawiła, że ostateczne opuszczenie Piotrusiów okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

W Pomarańczach szybko zrobił wywiad w poszukiwaniu współlokatorów dysponujących wolnym pokojem i bez dłuższego zastanowienia zdecydował się dołączyć do wesołego gangu z Gwiazdzistej. Kawalerkę na Targówku opróżnił w ciągu jednego dnia. Wszystkie rzeczy Magdy spakował w dwie wielkie walizki – ubrania, buty, książki, płyty, łyżworolki, drobiazgi z biurka i szuflad, szaliki i apaszki, kosmetyki i nawet szczoteczkę do zębów. Zupełnie jakby pakował ją na długie wakacje.

Przerzucając jej rzeczy, podświadomie spodziewał się, że natknie się na coś nieoczekiwanego: czuły liścik, którego zapomniała mu kiedyś wysłać, albo wręcz przeciwnie – niezbity dowód, że zdradzała go z własnym kuzynem (możliwe, że oglądał w tym czasie trochę za dużo starych odcinków *Dr. House'a*). Nie znalazł nic w tym rodzaju. Magda najwyraźniej była właśnie taka, jaką ją pamiętał. A teraz zniknęła.

Zgodnie z prośbą ojca Magdy zawiózł jej rzeczy do siedziby Caritasu. Wyładowując walizki z taksówki, tknięty nagłym impulsem dołożył też tę, w której

były jego ubrania. Do nowego mieszkania przywiózł tylko komputer, zestaw gier i kolekcję karcianek. Tego samego dnia wybrał się na zakupy i nawrzucał do koszyka wszystkiego po trochu, nie bawiąc się w przymierzanie.

Na Gwiazdzistej było bałaganiarsko, ciasno i tak hałaśliwie, że czasem nie słyszał własnych myśli – i właśnie o to mu chodziło.

Każdego ranka budził się po nocy bez snów w nowym łóżku, zakładał nowe, obce ubrania – jakby przebierał się za kogoś innego, i szedł do pracy z ludźmi, którzy nigdy nie spotkali Magdy. Niektóre rzeczy się nie zmieniły – ciągle zdarzało mu się zebrać gdzieś na ulicy po pysku, utrzymywał kontakt z przyjaciółmi z Neverlandu i chodził na piwo w te same miejsca, ale jego nowe wcielenie tak czy inaczej okazało się stabilne i przekonujące – nawet dla niego.

Po jakimś roku zorientował się, że już nie udaje. Często myślał o Magdzie, ale kiedy nadchodziły gorsze dni, umiał tak dobrać dawkę alkoholu, żeby się całkiem znieczulić, a rano obudzić z wściekłym kacem, który nie pozostawiał miejsca na inne problemy.

Później stwierdził, że bieganie działa prawie tak samo dobrze, za to nie wywołuje komentarzy w pracy.

– I naprawdę nie wiesz, czyja to dziewczyna? – zapytała z niedowierzaniem Marta. Zdążyła już zapomnieć o niefortunnym żarcie Mazurka, wymienić dwa razy wodę w wannie i poznać większą część historii spotkań na dachu budynku Nasty Oranges. Mazurek był w połowie butelki wina i wyjadał właśnie z miseczki płatki śniadaniowe na sucho, bo nic ciekawszego nie znalazł w kuchni. Dochodziła pierwsza w nocy.

– Nie mam pojęcia. W firmie crunchuje jakieś trzydzieści–czterdzieści osób, dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich to faceci... Przecież nie będę ich pytać po kolei, który to ma dziewczynę z czerwonymi włosami i czy przypadkiem nie chce jej z powrotem.

– No tak. A powiedz mi, bo to ciekawe. Ty jesteś zawsze taki prawy i rycerski... I jak niby teraz łączysz swój kodeks moralny z tym, że kradniesz

komuś dziewczynę?

– Ja tego nie łączę. Ja to rozdzielam – oświadczył Mazurek z pełnymi ustami. Na podkoszulku miał już pełno owsianych okruszków. – Zresztą, chwila, przecież nawet jej nie tknąłem. Ani palcem, ani hakiem – wyszczerzył się, powtarzając sztandarowe zawołanie Piotrusiów.

– Ale pewnie masz taki plan.

– Noo, zobaczę, jak się sytuacja rozwinie, i tyle. Czy ja ją zmuszam, żeby przychodziła się ze mną widywać nocami?

W tym momencie zapikał ułożony na honorowym miejscu, okryty ręcznikiem telefon Marty, więc na chwilę straciła zainteresowanie jego sprawami. Przeczytała z uśmiechem wiadomość i od razu zabrała się za odpisywanie.

– O, czyżby Mat pisał? Pozdrów go koniecznie. I możesz też coś wspomnieć o tej przyjemnie skąpej bieliźnie. Założyłaś ją specjalnie na moją cześć czy zawsze taką nosisz?

– To wiadomość od koleżanki – mruknęła.

– O, znam ją?

– Nie, to nowa koleżanka.

– A fajna?

– Mhm.

– W moim typie?

– Nie sędzę. Za młoda.

Nawet w środku nocy

Julka obudziła się po pierwszej i nie mogła już zasnąć. Skuliła się pod kołdrą, przykrywając się z głową, i poczuła się mała i biedna. Najpewniej miało to coś wspólnego z jutrzejszą klasówką z historii. Brrr! Pociągnęła nosem na próbę – gdyby sobie popłakała, może zachciałoby jej się spać. Ale nie, było jej tylko dojmująco smutno, jakby ktoś jej nawkładał do żołądka kostek lodu.

Był na to tylko jeden sposób. Odrzuciła kołdrę, wstała i otuliła się grubym, frotowym szlafrokiem. Przeszła do kuchni, zapaliła światło i wdrapała się na taboret, żeby sięgnąć do tajnego schowka za wielką puszką stwardniałego na kamień kakao. Wyciągnęła stamtąd paczkę mieszanki wedlowskiej, którą zjadła aż do ostatniego pierrota, siedząc na kuchennym stole. Ale o dziwo, nastrój wcale jej się od tego nie poprawił. I dalej nie była śpiąca.

Wiedziała, że jest w mieszkaniu sama, ale mimo to poszła do pokoju taty. Jak zwykle panował tam dziki bałagan, ale już dawno ustalili, że każde z nich odpowiada za swój ogródek, i uroczyście przyrzekli sobie, że w tym domu nikt nigdy nie powie: „Idź i posprzątaj u siebie”. Julka mimo wszystko utrzymywała w swoim pokoju idealny porządek – jak się sama domyślała, tylko i wyłącznie z zarozumiałstwa. Tak naprawdę organiczny, buzujący nieład, który naturalnie i beztróska plenił się wokół taty, bardziej by jej odpowiadał, ale ktoś tutaj musiał wyznaczać jakieś standardy.

Łóżko było zapraszająco rozgrzebane i Julkę korciło, żeby do niego wskoczyć, ale jeśli rzeczywiście by tam zasnęła, tata po powrocie z pracy byłby średnio zachwycony. Poszła więc do siebie i zamiast tego napisała sms-a do Marty.

Odpowiedź przyszła prawie od razu.

„Oj, to może napij się mleka z miodem, bidulko. Będę jutro trzymać za ciebie kciuki – pamiętam, że masz sprawdzian. *You go girl!* Wszystko będzie dobrze. Dobranoc”.

Dobrze mieć przyjaciół w gamedevie – pomyślała z uśmiechem Julka, rozkopując kołdrę. – Zawsze można liczyć, że odpiszą nawet w środku nocy.

Nagle zrobiło jej się o wiele cieplej i nawet nie zdążyła pójść po to mleko, zanim zasnęła.

Wracamy do domu

Z budynku Nasty Oranges wyszła kolejna osoba i Danka zastygła, przyciśnięta plecami do muru. Poczekwała, aż nieznajomy wyjdzie na ulicę i zniknie za rogiem, i dopiero wtedy odetchnęła swobodniej. Czekala już półtorej godziny, bardziej niespokojna niż wściekła, i nie mogła się zdecydować, czy wracać do mieszkania. A co jeśli Kawkę spotkało coś złego? Kilka razy wspominał, że często zupełnie idiotycznie pakuje się w tarapaty i kończy z rozbitym nosem albo śliwą pod okiem. Była pewna, że jeśli rzeczywiście zdarzyło się coś takiego, i tak przyszedłby tutaj, a nie do domu. Od ochroniarza nic się nie dowiedziała – powiedział tylko, że go nie ma. Chciała go wypytać dokładniej o Kawkę, ale właśnie wtedy po schodach zaczęła zbiegać jakaś dziewczyna, stukając obcasami, i Danka szybko wycofała się na zewnątrz, żeby schować się w cieniu pod ścianą. Po chwili dziewczyna wyszła, ze śmiechem ciągnąc za sobą chłopaka z szopenowską czupryną. Byli tak zajęci rozmową, że jej nie zauważyli. Dziewczyna miała ślicznie wycięty, krótki kożuszek i każdym gestem wyrażała żywe zainteresowanie towarzyszącym jej osobnikiem, który z kolei zbywał jej niewinne zaczepki teatralnym „tss!”. Oboje byli roześmiani i w znakomitych humorach i Dance nagle zrobiło się ciężko na sercu. Oto normalni ludzie idą normalnie spędzić wieczór, a nie uganiają się po dachach czy kryją w cieniu jak złodzieje. Westchnęła i oparła się wygodniej o ścianę. Po chwili zrobiło jej się zimno, więc owinęła się ciasniej szalikiem i wsadziła ręce do kieszeni.

Z budynku wyszło po kolei jeszcze pięć osób i w końcu Danka uznała, że chyba jest już na tyle bezpiecznie, żeby wrócić na recepcję i wydębić od ochroniarza numer telefonu do Kawki. Drżącymi z zimna rękami wyjęła chusteczkę i wytarła ciekący od wiatru nos, po czym ostrożnie zbliżyła się do drzwi. I zderzyła się z jakimś wysokim, chudym facetem, który właśnie wychodził.

– O, przepraszam – mruknął nieuważnie i chciał ją wyminąć, kiedy nagle zatrzymał się i spojrzał w dół z niedowierzaniem. – Danka? Co ty tu robisz?

Oczywiście, musiała wpaść właśnie na Krzyśka.

Stała przed nim, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, jakby się zadławiła własnym zdumieniem.

– Przyszłaś po mnie do pracy? – zapytał zdziwiony. – Co ci strzeliło do głowy?

Wpatrywał się w nią trochę zakłopotany i zbity z tropu, jakby na pokładzie statku USG Ishimura niespodziewanie wpadł na Alana Wake’a. Potem zauważył, że Danka drży i oczy ma pełne łez. Szlag, chyba znowu coś spieprzył.

– To... bardzo miła niespodzianka – powiedział szybko i uścisnął ją. – Rany, cała się trzęsiesz. Szłaś tu na piechotę czy jak? Daj, rozetrę ci ręce. Lepiej? No widzisz. A teraz chodź. Wracamy do domu.



Rozdział jedenasty

Wtorek 17 grudnia

Nie tym razem

Mazurek, wychodząc rano z mieszkania Marty, czuł się dziwnie świeżo i radośnie. Co prawda znowu się nie wyspał, ale wreszcie udało mu się przebrać: miał na sobie czystą koszulkę, którą pożyczył od Marty, rozpinany sweter, nieco tylko za mały, i zabójcze skarpetki w żółte pieski. Nie miał za to slipów, przez co w chłodzie zimowego poranka czuł się jeszcze bardziej rześko.

Zostawił Martę śpiącą twardo w łóżku, gdzie ją przeniósł, kiedy obojgu zaczęły się kleić oczy. Kolka już nie wróciła, ale na wszelki wypadek zaaplikował jej jeszcze jedną dawkę leków i włożył pod kołdrę butelkę z gorącą wodą. Marta mamrotała coś sennie, że czuje się o wiele lepiej i następnego dnia pójdzie do pracy, bo w tym tygodniu ma huk roboty. Wojtek potakiwał jej, ale z samego rana zadzwonił do Arka Mileckiego, swojego byłego szefa z Piotrusiów, i powiedział mu, jak się sprawy mają. Zgodnie z jego przewidywaniami Arek starał się nie okazywać zdziwienia tym, że to Mazurek informuje go o kondycji wewnętrznych narządów Marty, i solidarnie oświadczył, że wyśle jej wiadomość, żeby nie ważyła się pokazywać w studiu przez najbliższe dwa dni.

Po drodze na przystanek napawał się satysfakcją z tych wszystkich dobrych uczynków, starając się jednocześnie odsunąć od siebie myśl o Dance czekającej na

próżno w ciemnościach, na mrozie, kto wie jak długo. Nic mu przecież nie przyjdzie z zamartwiania się o to. A poza tym wczoraj postąpił nie tylko słusznie, ale również zgodnie z zasadami klasycznych schematów fabularnych: w chwili próby poświęcił swoje interesy dla dobra bliźniego w półprzejrzystej bieliźnie. *Oh, wait...*

Kiedy dotarł na przystanek, rozejrzał się z ciekawością po nieznanym twarzach jak turysta. Mokatowscy użytkownicy ZTM nie dostarczyli mu zbyt wiele materiału do obserwacji – okutani w szaliki i czapki uszatki stali w milczeniu i prawie się nie poruszali, jakby w obawie, że mogą w ten sposób utracić trochę cennego ciepła. Mazurek przyglądał się przez chwilę z zainteresowaniem otyłej damie, której dzięki okryciu ze sztucznego futra udało się uzyskać niemal idealną, stożkową figurę Buki, a kiedy rzuciła mu równie ciężkie i posępne spojrzenie co jej bajkowy pierwowzór, przeniósł wzrok na pozostałe eksponaty. Pogapił się intensywnie na parę osób po kolei, ale nie doczekał się już żadnej ciekawej reakcji. Wszyscy patrzyli pod nogi, zapewne zastanawiając się, czy zdążą dotrzeć do pracy, zanim przemokną im buty, albo z mieszaniną udręki i zmęczenia wypatrywali autobusu – dlatego tylko Mazurek zauważył dziewczynę w czekoladowym płaszczku i kolorowej czapce, która przeszła obok i płynnie, niemal tanecznym krokiem, weszła na pasy, prosto pod nadjeżdżającą furgonetkę z logo firmy kurierskiej. Nie zdążył się nawet zastanowić ani wystraszyć – jego ręka sama wystrzeliła do przodu, złapała pannę za kołnierz i pociągnęła. Dziewczyna zamachała, tracąc równowagę, i zrobiła dwa niezdarne kroki w tył. Van przemknął tuż przed jej twarzą, owiewając ją ciężkim od spalin powietrzem i trąbiąc wściekle. Ludzie na przystanku zagdakali nagle wszyscy razem jak przebudzone kury.

– Ślepa czy co?

– No kto to widział...!

Dziewczyna odwróciła się do Mazurka i wyjęła z uszu słuchawki. Oczy miała wielkie jak spodki, a na twarz właśnie wpływał jej rumieniec. Wydawała się bardziej zdezorientowana niż wystraszona, jakby nie do końca do niej dotarło, co się stało. Mimo hałasu na ulicy do uszu Mazurka dotarło dobiegające ze słuchawek

wibrujące staccato trąbki, tak głośne i wyraźne, że bez problemu je rozpoznał – *Tales for a girl*.

– Miazga by z niej została!

– Miał chłopak refleks!

Rumieniec dziewczyny się pogłębił. Odwróciła się tak, żeby nie widzieć ludzi na przystanku, i ufnie złapała Mazurka za rękaw.

– Zagapiłam się. Dzięki, że mnie złapałeś. Pewnie uratowałeś mi życie – zachichotała, żeby pokryć zmieszanie. Miała jasnoniebieskie oczy i mały, zadarty nosek. Przygryzła dolną wargę, pokazując w niepewnym uśmiechu duże, białe siekacze, i poprawiła czapkę. Potem zaczęła nerwowo skubać rękawiczkę.

Mazurek gapił się na nią bezmyślnie. Powinien coś powiedzieć?

Dziewczyna spuściła wzrok, prezentując mu delikatne, puszyste rzęsy, po czym znów na niego spojrzała, nieśmiało, jakby zaglądała przez okno do czyjegoś mieszkania. Dalej była zmieszana, ale cała jej postawa mówiła wyraźnie „tak”, chociaż nie zadał żadnego pytania.

Jakoś ciężko mu się myślało i dlatego nie zdążył należycie zgłębić tego frapującego zagadnienia, a już dziewczyna bąknęła coś niewyraźnie, uśmiechnęła się – tym razem krótko i zdawkowo – odwróciła na pięcie i przeszła na drugą stronę ulicy, tym razem oglądając się porządnie na lewą i prawą stronę.

Mazurek patrzył za nią przez chwilę, ciągle dziwnie otepiały, aż w końcu zamrugał i otrząsnął się. Właśnie nadjechał 138, ale Wojtek nie wsiadł, tylko ruszył powoli w stronę Łazienek.

Przechadzka z Mokotowa na Saską Kępę zajęła mu godzinę, podczas której doszedł do siebie, ale nie odzyskał już dobrego humoru. Był zmęczony, jakby incydent na przystanku pochłonął całą jego poranną energię. Ćmiło go w skroniach – pewnie to zapowiedź bólu głowy – a w gardle czuł ucisk ni to żalu, ni to jakiejś urazy do nie wiadomo kogo. I zmarzł mu tyłek.

– Mazurek, o czym tak rozmyślasz?

Asia pojawiła się nad nim tak nieoczekiwanie, że aż drgnął.

– O straconych okazjach, ironicznych uśmiechach losu i znaczących zbiegach okoliczności.

– Aha. – Nie wydawała się zainteresowana. – A mógłbyś otworzyć w edytorze tę scenę pościgu z sidequesta o Siringo? Strasznie mi się krzaczy i chcę zobaczyć, czy u ciebie zadziała. – Przechyliła się nad jego ramieniem i trąciła go biodrem, żeby wziął się do roboty. Mazurek posłusznie odszukał właściwy plik i definicję questa. Asia pochyliła się głębiej i przejęła myszkę, żeby przepiąć sygnał do właściwego bloczka.

– Dobra, teraz odpalimy i... – Nagle urwała i pociągnęła nosem. Na chwilę zamarła, a potem przechyliła głowę tak, żeby osiągnąć odpowiedni kąt do rzucenia drapieżnego spojrzenia. – Pachniesz perfumami, Mazurek – powiedziała oskarżycielsko. Gdyby była kotem, wyprostowałaby tryumfalnie drżący z emocji ogon.

– Ja? Nieee. To proszek do prania – powiedziała potulnie mysz.

– Pff. Z tego co wiem, Serge Lutens nie robi w chemii gospodarczej. To *Gris clair*. Ulubiony zapach Marty Trzaskacz. Wiem, bo sama pomagałam jej wybierać.

– Yyy? – Naprawdę myślał, że to proszek. Albo lawendowy płyn do płukania tkanin.

– I masz na sobie damski sweter. A pod nim – no proszę, koszulkę z Big Daddym. Przypadek? Nie sądzę. – Zmrużyła oczy. – Widzę, że sprawy musiały zajść naprawdę daleko, skoro ci ją pożyczyła.

– No tak, pożartowaliśmy, pośmialiśmy się, a teraz sprawdzimy ten pościg...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Sięgnął po niego, ale Asia była szybsza. Zerknęła na wyświetlacz, wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersiach. Mazurek zawahał się – prawdopodobnie gdyby odebrał i nie wyszedł, tylko zaczął rozmawiać tutaj, przy niej, miałby jakieś szanse na wyłganie się z tego. Miałby? Asia uśmiechnęła się i leciutko pokręciła głową.

Zaklął cicho pod nosem i z telefonem przy uchu ruszył wielkimi krokami na korytarz.

– Mazurek!

– No hej. Lepiej się już czujesz?

– Coś ty nagadał Arkowi? Przez ciebie nie mogę dziś iść do pracy!

– Tragiczne. Ale nie martw się, zostałem już ukarany. Taka karma. A przy okazji, pożyczyłem sobie twoje ubrania na zmianę. Nie masz nic przeciwko?

– No co ty. Jeszcze pomyślę, jak ci wynagrodzić ten dyżur pielęgniarstwa. Słuchaj – nagle zmieniła ton – zastanawiałam się nad tym twoim romanssem na dachu. I tak sobie pomyślałam, że może lepiej, żebyś dał sobie z tym spokój. Znaczący, wiem, że nie nadaję się na głos sumienia, bo...

– Bo jesteś mną osobiście zainteresowana – wtrącił żartobliwie, chociaż wyczuwał, do czego zmierza Marta, i wcale nie poprawiało mu to humoru.

– Taa. A tak serio to po prostu, no... nie podoba mi się ta dziwna otoczka wokół tej sprawy. Znaczący, to ma jakby za wiele wspólnego z tamtym, żeby wyjść ci na zdrowie. Rany, za dużo zaimków wskazujących. Ale wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Chyba tak.

– To dobrze. No i ogólnie to podkopywanie ukradkiem czyjegoś związku jakoś tak nie pasuje do ciebie. To takie... niemazurkowe.

– Bardziej w moim stylu byłoby ustalić, czyją jest dziewczyną, pogadać z gościem od serca, a potem wysłać go zamiast mnie na dach z wielkim bukietem róż – to masz na myśli?

– No, coś takiego. Może mniej cheesy, ale tak.

– Aha. No więc nic z tego. Nie tym razem.

Kręgi na wodzie

Antek Hejdasz poprawił koszulkę, sprawdził, czy nie ma nigdzie plam z pizzy i tak wyelegantowany zalogował się na Skype'a. O szesnastej miał się dzwonić z Lucid Dreams i przykazał wszystkim w studiu, żeby mu nie przeszkadzano, choćby przyleciała goła Scarlett Johansson na jednorożcu. Zastanawiał się, czy nie powiesić też kartki na drzwiach, żeby ktoś zapominalski z rozpędu nie wlaźł mu do gabinetu, ale to już mogłoby rozbudzić niezdrową ciekawość. Tym plotkarzom niewiele trzeba.

Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej zmęczenie, i spróbował kilka razy na próbę się uśmiechnąć. Nie wychodziło. No cóż, może oblicze zatroskanej głowy rodziny zrobi na nich lepsze wrażenie niż sztuczny, amerykański uśmiech – ostatecznie dobrze wiedzieli, jak to jest. Antek bardzo starał się wierzyć, że ludzie z Lucid Dreams tak naprawdę nie różnią się od jego własnego zespołu i nawet w razie obsuwy będzie się dało z nimi jakoś dogadać. Nie znał ich co prawda zbyt dobrze na gruncie prywatnym, ale musieli być w porządku, skoro zainteresowali się Finnleyem, no nie? To właściwie... przyjaciele. Niestety, im mocniej próbował uwierzyć w wizję tej przyjaźni i wzajemnego zrozumienia, tym bardziej podle się czuł. Jakby zdradzał własny team. Było to oczywiście całkowicie irracjonalne, dziecinne uczucie – ale nadspodziewanie silne. Kilka razy popchnęło go już do spontanicznych odwiedzin w pokoju gameplayowców – jego dawnym pokoju – gdzie, jak z zawstydzeniem zdał sobie sprawę, szukał pocieszenia. Andrzej i reszta byli lekko zdziwieni jego zainteresowaniem, ale od razu wykorzystali okazję, żeby zgłosić listę potrzeb i zażaleń. Zachowywali się swobodnie i fajnie było z nimi pogadać, ale jednak Hejdasz czuł się dziwnie nie na miejscu. A kiedy zapytali, co tam w polityce, niemal uciekł, wymawiając się pilnym spotkaniem, bo tak ogromną miał ochotę powiedzieć im prawdę. Ale to oczywiście byłoby całkiem nieodpowiedzialne.

Niestety od jakiegoś czasu jego odpowiedzialność przejawiała się głównie w tym, że czegoś komuś nie mówił, i w tej chwili nie było już ani jednej osoby, z którą mógł być szczery. Nawet Mat nie wiedział wszystkiego – i lepiej, żeby się nigdy nie dowiedział. Antek pomasaował sobie skronie, próbując odgonić

nadchodzący ból głowy. Jak do tego w ogóle doszło? Przecież podejmował logiczne, przemyślane decyzje, które miały być dobre dla wszystkich. Każda z tych decyzji w danych okolicznościach była właściwa, najlepsza z możliwych. Niektóre wiele go kosztowały, nie ze wszystkimi się osobiście zgadzał, ale wiedział, że trzeba było je podjąć. I nawet teraz, patrząc wstecz, umiał je po kolei rozsądnie wytłumaczyć. Jednak jakimś cudem łańcuszek tych wyborów sprawił, że wylądował w miejscu, gdzie teraz oto się znajdował – w czarnej dupie. Tyle mu przyszło z tej elastyczności, przedsiębiorczych kalkulacji i zapobiegliwego spoglądania w przyszłość.

Każdej nocy tuż przed zaśnięciem, kiedy człowiek jest najbardziej bezbronny wobec własnych myśli, prześladowało go pytanie, czy powinien bardziej bać się tego, że Lucid Dreams dowiedzą się, że Jasiek zniknął, czy może że informacja o układzie z Dreamsami wycieknie za szybko i zespół wpadnie w panikę. To drugie umiał sobie lepiej wyobrazić: wszyscy przestają pracować, żeby rozpocząć wielką debatę i nakręcać się wzajemnie zasłyszanymi gdzieś mrocznymi pogłoskami. Z drugiej strony gniew Lucid Dreams, pobawionych cennego assetu w postaci Jaśka, miał w sobie grozę nieznanego zła. Przecież to ze względu na Ritmeijera w ogóle zaczęli z nimi gadać...

No tak, Jasiek. On był wszystkiemu winny. Wszystko działa się przez niego, ze względu na niego albo dla niego. Nawet jego nieobecność wywoływała ciągłe poruszenie, jak kręgi w nieskończoność rozchodzące się na wodzie.

Antek drgnął, jakby teraz, w środku dnia, próbował wyrwać się z objęć nadpływającego koszmaru. Jego myśli nagle się splątały, zrobiło mu się duszno.

Gdyby tylko tamtego wieczoru Ritmeijer tak się nie upierał, gdyby chciał go spokojnie wysłuchać! Cała ta scena wracała w jego wspomnieniach zniekształcona, jak źle złożony film, z którego zbyt dużo wycięto. W jednej chwili Jasiek stał przed nim błądy i nienaturalnie wyprostowany, z furią w oczach, a w następnej...

Hejdasz aż podskoczył, gdy z głośników rozległ się znajomy, irytujący sygnał przychodzącego połączenia. Wyprostował się, odchrząknął i kliknął „Odbierz”.

– Hej, miło was widzieć! Niestety Jasiek Ritmeijer nie mógł dziś do nas dołączyć...

Czego chce Avery Liddell?

– Dobra, zacznijmy jeszcze raz od początku – powiedział Marcin i zmasał wszystko z białej tablicy.

Asia powstrzymała bolesne westchnienie i ułożyła się wygodnie na podłodze w pokoju Jaśka. Żałowała, że nie przyniosła sobie poduszki. Niesłabnący entuzjizm Marcina pewnie można by nazwać zaraźliwym, ale ona była uodporniona. Nie miała za to serca tłumaczyć mu, że te posiedzenia są bez sensu, bo wypróbowali już z Ritmeijerem wszystkie najbardziej wiarygodne wersje wydarzeń i teraz będą albo się powtarzać, albo uciekać w odjechane pomysły rodem z *Lemoniadowego Joe*. Ta druga opcja była niewątpliwie bardziej atrakcyjna i Asia zdecydowanie przodowała w podrzucaniu idiotycznych scenariuszy, ale to też do niczego nie prowadziło. Gdyby pozwolono im zrobić z RFF4 komedię, to co innego – uwinęliby się z całą fabułą i dialogami w dwa tygodnie.

Przeniosła wzrok na uśmiechniętego od ucha do ucha Marcina i przymknęła powieki – Stawecki stojący w żrącym blasku świetlówek, z rudą aureolą nad głową i tryskający dobrą wolą aż raził.

– Podsumujmy sobie całą historię znaną z gier. Finnley i Avery poznali się w dzieciństwie, on przez nią uciekł z domu, przez jakiś czas włóczyli się razem po Kanadzie, a potem w 1876 roku ona nagle zniknęła. Finnley obsesyjnie jej szukał i spotkali się znowu nad jeziorem Clearwater. Avery należała już wtedy do bandy braci Baird, więc Finnley też do nich dołączył i chciał ją stamtąd wyrwać. Udało mu się i wyjechali razem, ale Avery po jakimś czasie go zostawiła i wróciła do Bairdów. I tak jeszcze kilka razy się miotła tam i z powrotem, aż w końcu Finnley dowiedział się, że Avery nie żyje. Postanowił ją pomścić, czyli dopaść po kolei wszystkich członków bandy, bo powiedziano mu, że to oni byli odpowiedzialni za

jej śmierć. – Marcin zanotował to zamasyście. – A tu nagle podczas ostatecznego starcia z Ezrą okazało się, że Avery żyje i ma się świetnie, co potwierdził później Charles Siringo. Teraz Finnley chce ją odnaleźć i prawdopodobnie ukarać za to, że nim manipulowała. No chyba, że dzięki *secret meaning* dowie się czegoś, co pozwoli zobaczyć tę historię w innym świetle. Ok. A teraz tu obok wypiszę gotowe sceny z RFF4, do których nasze rozwiązanie musi jakoś pasować.

To zajęło mu trochę dłużej. Popatrzył na długą listę i przygryzł wargę. Nie chciał tego przyznać, ale rzeczywiście mieli tyle miejsca na swobodną inwencję co niedźwiedź w czóźnie. Fabuła gry przypominała ułożone pracowicie puzzle, z których ktoś wyjął na chybił trafił kilka elementów. Rozwiązanie, jeśli miało zadziałać, musiało być precyzyjne i wskoczyć na swoje miejsce z miłym dla ucha kliknięciem, tak aby nikt nie wątpił, że to jest właśnie to. No ale bez przesady – to na pewno da się zrobić.

– Dobra – powiedział dziarsko i odwrócił się do swojego teamu, znów błyskając radosnym uśmiechem. – Wygląda na to, że musimy postawić przede wszystkim na elastyczność interpretacji.

– Też tak mówiłem! – ucieszył się Paweł. Siedział na piętach i podrygiwał jak pajacyk na sprężynie, przymierzający się do wyskoczenia z pudełka.

– Mhm. Jakiś rok temu. Rzecz w tym... – Asia westchnęła, jakby nie mogła uwierzyć, że znowu musi przez to przechodzić – ...że aby manipulować interpretacją, trzeba mieć się na czym oprzeć i od czego odbić. Załóżmy, że wszystko wskazuje na to, że Avery zrobiła to dla pieniędzy: banda Bairdów obrobiła karawanę poszukiwaczy złota i ukryła gdzieś skarb, a ona chciała mieć wszystko dla siebie, więc posługując się Finnleyem, pozbyła się współników. Spoko, tak to może wyglądać na pierwszy rzut oka, a my dodajemy twist, że potrzebowała tej kasy na jakiś w miarę szlachetny cel.

– No? I co w tym rozwiązaniu nie działa? – Marcin wyglądał na zdezorientowanego.

– To po prostu nie pasuje do Avery. Szlachetność celów najmniej ze wszystkiego, ale już to, że zrobiła takie zamieszanie dla kasy jest nieprawdopodobne. Avery wielokrotnie pokazywała, że nie zależy jej na pieniądzach jako takich. Jeśli jest w potrzebie, sama potrafi zdobyć dowolną sumę – kradnąc, oszukując albo szantażując kogoś. Taka akcja tylko dla złota to nie w jej stylu.

– No to co jest w jej stylu?

– Właśnie – uśmiechnęła się ponuro Asia. – Wyszło nam, że nic. Poza nieprzewidywalnością. Szukanie dla niej wiarygodnej motywacji to trochę jak boksowanie się z mgłą. Przez pierwsze dwie gry Jasiek bawił się świetnie, zwodząc Finnleya, któremu już-już wydawało się, że ją rozgryzł, po czym Avery za każdym razem zmieniała front albo po prostu odchodziła bez słowa. To budziło zainteresowanie graczy, bo każdy na równi z Finnleyem chciał wreszcie jakiegoś dowodu, że jej zależy – na czymkolwiek. Że nie jest po prostu zimną, złośliwą suką bez serca, tylko coś się za tym kryje, jest jakiś konkretny powód, jakaś tajemnica. Tylko że koniec końców sam Ritmeijer nie wiedział, co to miałyby być. A oczekiwania urosły, że ho, ho.

– O rany. Po co było ją w ogóle w takim razie wskrzeszać z martwych? Musieliście rozgrzebywać stare dzieje, zamiast uwikłać Finnleya w coś zupełnie nowego?

– No właśnie – mruknął Mazurek, odzywając się po raz pierwszy, odkąd weszli do gabinetu Jaśka. Siedział w rogu z tym swoim dziwnym kapeluszem nasuniętym na oczy i wyglądał, jakby drzemał. – Przychodząc do Nasty Oranges, nie pisałem się na wyciąganie z grobu żadnych dziewczyn.

– Jasiek chciał się zmierzyć z własną legendą – powiedział kąśliwie Jacek Brzeźniak. Był w paskudnym humorze, co prawdopodobnie łączyło się bezpośrednio z potrawą z buraków i dzikiego ryżu, którą przyniósł sobie tego dnia na lunch. Zachwalał owo danie z całą mocą – dopóki go nie spróbował. Asia chciała litościwie podzielić się z nim swoim spaghetti z tuńczykiem, ale odmówił jedzenia żywej rtęci i teraz siedział głodny z nadąsaną miną.

– Uczciwie mówiąc, to w całej serii RFF nie było bardziej interesującej tajemnicy i trudno wyobrazić sobie lepsze zwieńczenie cyklu niż jej wyjaśnienie. A że tłumaczenie, o co chodziło jakiejś tam zmarłej dziewczynie dwie gry temu, byłoby mało emocjonujące, potrzebna nam była żywa Avery jako konkretny cel podróży i ewentualny finałowy przeciwnik. To było po prostu zbyt kuszące. Tylko że...

– ...tylko że ona od początku była źle zaprojektowana! – Asia przerwała Pawłowi z gniewnym błyskiem w oku.

Marcin przyglądał się swojemu teamowi z lekkim zdziwieniem: nagle wszyscy się ożywili, nawet Mazurek wystawił nos spod kapelusza. Najwyraźniej pomstowanie na Avery miało na nich zbawienny wpływ.

– Jasiek wymyślał RFF1 na szybko i nawet mu do głowy nie przyszło pomyśleć, co będzie dalej. Teraz postaci tworzy się tak, żeby dało się z nich wycisnąć jakieś fajne memy, i już wolałabym, żeby Avery była taka – płaska, uproszczona, przerysowana, ale jakaś! Ale nie, Jasiek musiał w nieskończoność bawić się w kotka i myszkę, negując po kolei wszystkie jej motywacje i upodobania. I tak oto mamy postać całkiem pustą w środku, która nie wiadomo czego chce i czemu. Jak można tu budować jakąś krzywą przemianę bohatera albo stawiać Avery przed trudnymi wyborami, skoro nikt nic o niej nie wie?

– No dobra, rozumiem. Tylko dlaczego aż tak się nią przejmujecie? Znaczy, przecież można wybrać jakąś interpretację i tak jakby trochę... no, wymusić pewne rzeczy. Nagiąć fakty do oporu. Nawet jeśli to nie będzie pasować w stu procentach do Avery, ludzie to łykną, jeśli wymyślimy coś naprawdę wystrzałowego. Wiarygodność jest spoko, ale efekciarstwo też, no nie?

Przez chwilę patrzyli na niego z takimi minami, jakby zaproponował im zbiorowy gwałt na delfinie, a potem zaczęli mówić wszyscy jednocześnie:

- Producentkie żarciki, kurwa!
- Tak się tego nie robi!
- Nic nie rozumiesz! Tu chodzi o Avery!

– Jasiak się w grobie przewraca!

– Nawet Mat tego nie kupi!

Marcin zamachał rękami i spróbował ich przekrzyczeć.

– Dobra! Spokój! Przerwa! Kwadrans przerwy! Uff, wy jesteście jednak strasznie fanatyczni. Ludzie, przecież to tylko gra.

Ostatnie okrążenie

Andrzej poczuł, że bez piątej kawy naprawdę się nie obejdzie, i ciężkim krokiem ruszył do kuchni, ściskając w garści swój kubek z Pac-Manem. Dochodziła dwudziesta, a on dalej miał wrażenie, że nic jeszcze dzisiaj nie zrobił. Ciągłe ktoś do niego przychodził z jakimś problemami, które najwyraźniej tylko on w całym studiu potrafił rozwiązać, i dopiero teraz, kiedy część ludzi już się wykruszyła, mógł zająć się własnymi zadaniami. Niesamowite, jak Paweł Stentor wytrzymuje to na co dzień. Może ten wiedźmiński medalion, który nosi, magicznie dodaje mu sił.

Kiedy wszedł do kuchni, natknął się na Karolinę i Franka. Nie zauważyli go, więc odruchowo cofnął się za róg i aż syknął pod nosem. Co on wyprawia? Będzie ich teraz podsłuchiwać? Gdyby był tu z nim Krzysiek, to oczywiście co innego, ale teraz wygląda to tak, jakby powoli popadał w jakąś szpiegowsko-hazardową obsesję. Przetarł dłonią zmęczoną twarz. To pewnie wszystko przez ten crunch. Już miał wejść z powrotem do kuchni i chrząknąć, kiedy nagle za jego plecami pojawił się jak na zawołanie Krzysiek, skradając się jak zły duch. Uśmiechnął się szelmowsko i dał znak Andrzejowi, żeby był cicho.

Ukradkiem wyglądając zza rogu, zobaczyli, jak Franek próbuje oczarować Karolinę opowieściami o swoich wakacjach w Egipcie. Stał przy tym o wiele za blisko, by mogła się czuć komfortowo, a jej speszoną minę pewnie uznawał za objaw wstydliwego przyzwolenia. Jak można być tak ślepym? – irytował się Andrzej. Co za debil. Normalnie by go to śmieszyło, ale teraz czuł tylko niesmak.

– No popatrz, zbliżamy się do ostatniego okrążenia – szepnął z uciechą Krzysiek. – To jest ten moment, kiedy już tyle razy występowała w ich mokrych snach, że zaczyna im się wydawać, że mogą się spoufalać też na jawie. Wiesz, zaczęło im się mieszać. Tylko patrzeć, jak któryś się rzuci z łapami.

– Ile Franek w ogóle ma punktów? – zapytał ponuro Andrzej.

– Teraz już dwadzieścia pięć.

Andrzej pokiwał głową i po cichu wycofał się w kierunku swojego pokoju. Znowu zaczynała go boleć głowa i chyba powinien sobie jednak darować tę kawę. Kiedy zajmie się pracą, pewnie samo przejdzie.

Padme i Jon Snow

Marcin pomyślał, że mógłby się nawet codziennie spotykać z Sonią tylko po to, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądać. Tego dnia miała rzęsy pociągnięte grubo pomarańczową maskarą, powieki ciężkie od złotego pyłku, a policzki kredowo białe. Najwyraźniej tylko śliwkowa szminka, którą tym razem zrobiła sobie dzióbek jak Padme Amidala, była stałym elementem. Każdy, kto wchodził do restauracji, mimowolnie przystawał przy ich stoliku, żeby pogapić się na Sonię, ale chyba jej to nie przeszkadzało. Poruszyła głową, wprawiając w ruch połyskujące miedzią koliste kolczyki, i posłała Marcinowi powłóczyście spojrzenie. Wrażenie było takie, jakby chciała go uwieść egzotyczna gąsienica.

– Naprawdę strasznie mi przykro – powtórzyła i położyła mu dłoń na rękawie swetra. – Zawsze dostaję małego rozumu, jeśli za dużo wypiję. Jasiek nie pozwala mi tak szaleć. Pewnie powinnam cię jakoś uprzedzić, ale „odbija mi po alkoholu” to nie jest to, co się mówi nieznanym facetom w barach, prawda? Poza tym tak dobrze się wtedy bawiliśmy...

Marcinowi udało się zapanować nad mimiką i zdławić charkot pęczniejący mu w gardle. Z kamienną twarzą skinął głową, po czym upił łyk wina, które Sonia

zamówiła do kolacji. Starał się nie liczyć, ile kieliszków ona wypila, ale na razie zachowywała się całkiem normalnie.

Bardzo go zdziwił telefon od niej i zaproszenie na wieczór, ale od razu się zgodził na spotkanie, licząc, że na fali poczucia winy Sonia opowie mu więcej o Jaśku. W tej chwili jednak miał poważne wątpliwości, czy ona rzeczywiście jest wciąż zainteresowana Ritmeijerem – zachowywała się może nie prowokująco, ale tak wylewnie, że nie wiedział, co o tym myśleć. Kiedy na nią czekał, spodziewał się, że będzie raczej zażenowana swoimi wyczynami i spotkanie wypadnie strasznie sztywno – a tu taka niespodzianka. Chociaż może ta poufałość była jak najbardziej naturalna po tym, jak tarzali się razem na trawniku przy Wybrzeżu Gdyńskim.

Aż zacisnął powieki, kiedy przed oczami znowu przesunęło mu się wstydlive, piekące wspomnienie. Gdy po incydencie z policją wreszcie dogonił Sonię, był pewny, że już znudziła jej się ta zabawa, i dopiero, kiedy wprawnym ruchem złapała go za rękę i kurtkę pod szyją, zrozumiał, jak bardzo się pomylił. Okazało się, że Sonia trenowała też judo. Na szczęście na widok jego miny, kiedy wyrznęła nim o płytki, zamarznięty śnieg, dostała ataku śmiechu i sama opadła obok niego, skręcając się w spazmach wesołości.

Wtedy Marcin zdecydował, że wszystkie chwytty są dozwolone. Uniósł się na klęczki, przygniół ją kolanami i siłą zdarł jej mały, fikuśny plecaczek, z którego zgrabiałymi palcami wygrzebał portfel. Sonia wydawała przy tym z siebie mrozące krew w żyłach wrzaski, na zmianę piejąc jak kogut i wyjąc jak kojot. Była tak rozbawiona, że nawet się nie broniła, chociaż Marcin przeczuwał, że gdyby tylko chciała, powstrzymałaby go bez trudu.

Kiedy już w słabym blasku wyświetlacza komórki odcyfrował z jej dowodu osobistego adres (rzeczywiście było to blisko Level-Upa, o ironio) i włożył portfel z powrotem do plecaka wraz w kilkoma solidnymi garściami śniegu, Sonia osłabła ze śmiechu tak bardzo, że mógł ją sobie zarzucić na ramię jak szmacianą lalkę. Pozwoliła się zanieść do mieszkania i dopiero na miejscu zaczęła brewerie od nowa. Domagała się, żeby Marcin koniecznie u niej przenocował. „Pościelę ci

w wannie!”, obiecywała, ciągnąc go do łazienki. Kiedy zaczęła do tego wyśpiewywać piskliwym głosem *Norwegian Wood*, Marcin w końcu do reszty stracił cierpliwość. Zawłókł ją do sypialni, owinął ciasno kocem jak naleśnik, i zostawił tak, piszczącą ze śmiechu. Kiedy wreszcie zatrzasnął za sobą drzwi jej mieszkania, poczuł taką ulgę, że aż usiadł na wycieraczce.

Jeśli się nad tym zastanowić, może to jednak dziwne, że zgodził się z nią znów spotkać.

– Na pewno nie masz do mnie żalu? – zapytała, przysuwając się bliżej i zaglądając mu w twarz.

– Ekhm, nie. Zapomnijmy o tym, proszę.

Odchrząknął i odwrócił wzrok. Sonia – zapewne, aby podkreślić, jak szalenie jej przykro – założyła cudaczną sukienkę z asymetryczną spódnicą, która z prawej strony sięgała ziemi, a z lewej odsłaniała nogę aż po biodro. Marcin mógł też bez większych problemów przyjrzeć się jej małym, okrągłym piersiom, które odsłaniał sterczący do przodu, sztywny dekolt. I od czasu do czasu to robił.

Sonia zmrużyła oczy i uśmiechnęła się. Marcin stwierdził uczciwie, że chociaż nie była w jego typie, bardzo podobały mu się te jej błyskawiczne, szerokie uśmiechy – jakby ktoś szybkim pociągnięciem narysował krechę na tablicy.

– No dobrze, to pogadajmy o czymś innym. Słyszałam, że świetnie sobie radzisz w pracy. Szybko się odnalazłeś wśród tych czubków.

– Tak? Kto ci tak powiedział? – Brzmiało to jak bardzo uprzejme kłamstwo i był ciekawy, czy sama je zmyśliła.

– Kilka osób – odparła lekko.

– Na pewno radziłbym sobie lepiej, gdyby Jasiek był na miejscu.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że nieźle cię załatwił – westchnęła współczująco i poprawiła sukienkę na ramieniu. – Jeśli mogę ci jakoś pomóc...

– Ostatnio jakoś się nie paliłaś do rozmowy o Jaśku.

– Daj spokój, widziałam cię pierwszy raz w życiu – parsknęła. – Zaczepiłeś mnie w barze, nie umiałeś porządnie grać...

– Ale teraz jestem w porządku?

– Noo, spędziliśmy razem trochę czasu. I popytałam o ciebie. Słyszałeś już, że w studiu nazywają cię Jonem Snowem produkcji?

– Hm... nie.

– Bo nic nie wiesz – odpowiedziała uczynnie.

– Tak, domyśliłem się. Ale tak poza tym radzę sobie świetnie?

– Podobno. Twój team zdążył cię polubić. I słyszałam coś, że próbujecie sami zrobić nową fabułę?

Marcin zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że jak dotąd udaje im się zachowywać to w tajemnicy, ale najwyraźniej w Pomarańczach wiadomości wyciekały błyskawicznie.

– Chcemy przygotować trochę luźnych pomysłów na powrót Jaśka – powiedział z ociąganiem.

– Może mi opowiesz? – zaproponowała i oparła brodę na rękę.

– Nieee, nie ma o czym.

– Teraz ty mi nie ufasz? – zapytała rozbawiona. – Przecież nikomu nie wygadam. A może będę mogła wam coś doradzić. Jasiek mi dużo opowiadał o RFF4. Właściwie codziennie.

– Dzięki, ale serio, na razie nie mamy nic ciekawego. Dopiero się rozkręcam, a zresztą... cokolwiek bym zaproponował, to już było. To dość frustrujące. A wiesz, co jest najgorsze? Że niektóre z tych starych pomysłów są naprawdę niezłe, ale najwyraźniej nie da się ich przywrócić, skoro raz już wypadły. To idiotyczne, bo założenia się pozmieniały i zniknął powód, dla którego nie mogły zadziałać, więc teoretycznie można by je recyclingować, ale takich rzeczy z zasady się nie robi. Nie mieści mi się to w głowie!

Sonia pokiwała głową, jakby dokładnie wiedziała, o czym mówi, i całkowicie się z nim zgadzała.

– Pytam, dlaczego niby nie możemy z nich skorzystać, a oni na to, że Antkowi i Matowi te stare pomysły już się przejadły i opatrzyły. Opatrzyły! No dobra,

gdybyśmy mieli kilka gotowych, kuloodpornych i logicznych wersji, z których można sobie wybierać, to nie ma sprawy, można olać stare pomysły, ale no kurwa, przecież my nic nie mamy i takie wybrzydzenie...! Ale ty pewnie dobrze zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda – zreflektował się – skoro Jasiek ci wszystko opowiadał.

– Mhm.

– Bardzo się o niego martwisz? – zapytał z uczuciem, bo nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– O Jaśka? Nie, czemu? – Sonia wyglądała na autentycznie zdziwioną.

– Nie wiem, może ja mam chorą wyobraźnię, ale gdyby moja dziewczyna zniknęła na kilka tygodni, od razu myślałbym, że ktoś ją porwał, zgwałcił i porąbał na kawałki.

– Rozumiem, ale Jasiek to co innego. Już robił takie numery w przeszłości i jeśli za każdym razem miałabym się o niego zamartwiać, już dawno bym osiwiiała. – Z prychnięciem przeczesła palcami włosy. Marcin zastanowił się, co ją powstrzymało przed zafarbowaniem ich na fioletowo albo pomarańczowo. Już tylko tego brakowało, żeby wyglądała jak obywatelka Kapitolu z *Igrzysk śmierci*.

– I naprawdę nie stresujesz się tym, że nie masz z nim żadnego kontaktu?

– Nie. Szczerze mówiąc, mnie też przyda się przerwa. Jasiek bywa strasznie męczący. Wiem, że żyje, bo stopniowo znika kasa z jego konta – przeciągnęła się i opadła na oparcie krzesła. – Mam do niego dostęp, więc widzę, co tam się dzieje.

– Robi przelewy czy wypłaca kartą?

– Kartą. A to ważne? – zaniepokoiła się nieco Sonia.

– Łatwiej kogoś napaść, zabrać mu kartę i wydusić z niego PIN, niż zhakować konto w banku.

– Rany, ty naprawdę masz chorą wyobraźnię. – Spojrzała na niego z czymś w rodzaju podziwu. Marcin wzruszył ramionami. Dla niego takie podejście wydawało się bardziej normalne niż traktowanie Ritmeijera jak kota, który poszedł

się powłóczyć, ale przecież kiedyś wróci. Ale może naprawdę nie rozumiał tych artystycznych typów...

– Wiesz, zastanawiałam się, jak mogę ci pomóc – powiedziała nagle, kładąc dłonie płasko na stole jak mafioso deklarujący czyste intencje.

– Tak?

– Jasiek często przynosił ze sobą robotę do domu i na jego biurku leży pełno dokumentów questowych. Oczywiście wszystkie są już dawno nieaktualne, ale jeśli chciałbyś rzucić na nie okiem...

– Jasne! Bardzo chętnie. Dzięki! Mogłabyś mi je przynieść przy okazji? Mogę po nie wpaść do ciebie do pracy albo gdzie ci tam pasuje.

– A nie wolałbyś dostać ich od razu? – zapytała, rozbawiona jego nagłym ożywieniem.

– Masz je przy sobie?

– Nie, ale możemy podjechać do mieszkania Jaśka. Tych papierów jest sporo, wybierzesz sobie, co cię interesuje.

– Serio? – Marcin spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Ale... to będzie w porządku? Mówiłaś, że nie mieszkanie razem...

– Ale mam klucz. Nic się nie przejmuj, ja potem wszystko Jaśkowi wytłumaczę. Skoro idziesz tam ze mną, nie powinien mieć pretensji. To jak? Zbieramy się?

Kiedy wyszli przed restaurację, Sonia skuliła się i zaszczekała zębami. Nic dziwnego, pomyślał Marcin. Zachciało się lansu w cienkiej kiecce, to teraz masz. Jej płaszczyk też wyglądał na raczej dekoracyjny niż praktyczny.

– Brrr! Ale zimno! – Zatupała nogami i wcisnęła Marcinowi rękę pod ramię. – Gdzie ta taksówka?

– Zabawne, ostatnio zarzekałaś się, że nie wierzysz taksówkarzom i boisz się z nimi jeździć.

– Ja tak mówiłam? – zdziwiła się i wtuliła w niego mocniej jak zmarznięty gołąb. – Nic takiego sobie nie przypominam.

– Ech, no tak. Ogólnie trochę inaczej się zachowywałaś. Ale nie narzekam. W żadnym razie.

Sonia zachichotała, a on ze zdziwieniem uświadomił sobie, że naprawdę całkiem przyjemnie spędził z nią czas. Nie udało mu się co prawda przyzwycząić do jej wyglądu i ciągle go uderzał kontrast tej dziwacznej stylizacji i jej naturalnego, swobodnego zachowania, ale było w niej coś sympatycznego. Mimo wszystko.

– Od jak dawna ćwiczysz? – zapytał, kiedy już siedzieli w taksówce.

– Judo odkąd skończyłam liceum, a akrobatykę prawie od zawsze. Swoją drogą miałam strasznie długą przerwę w judo i aż się sama zdziwiłam, jak to wszystko samo wraca.

– Rzeczywiście.

– No, daj już spokój, ile mam cię przeproszać? Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć kilku sztuczek następnym razem. Bo szczerze mówiąc, było tobą łatwo rzucić jak workiem ziemniaków.

– *Nice try*, ale nie będzie następnego razu.

W końcu musi zadziałać

Karolina odsunęła się od biurka i przetręła palcami piekące oczy, po czym jeszcze raz krytycznie spojrzała na efekt swojej pracy. Wyglądało to całkiem nieźle, ale... to nie to. Od kilku dni ślęczała nad nową wersją modelu Avery, nie wiedząc właściwie, czego się od niej oczekuje. Florek, art director, co prawda dał jej bardzo wiele wytycznych, ale one tylko zaciemniły sprawę.

– Chodzi o to, żeby to była ciągle ta sama Avery, ale jednocześnie powinno być w niej coś nowego, taki spokój i siła, które mają dać Finnleyowi do myślenia.

– Czyli ma być łagodniejsza?

– Nie, no co ty. Przecież to Avery. Jakby ci to wyjaśnić... Trzeba podkreślić ten kontrast między jej naturalną gwałtownością a uczuciami, które bardzo, bardzo rzadko okazywała Finnleyowi w intymnych chwilach. To musi być twarz kochająca, ale jednocześnie wciąż twarda i zdecydowana. Rozumiesz, o co chodzi? Z jednej strony powinna być bardziej skonstrastowana, wyrazista, ale z drugiej nie taka ostra i okrutna jak przedtem.

– Aha...?

– Ok, no to może tak: nowa Avery ma wyglądać boleśnie znajomo, ale jednocześnie intrygująco w inny niż przedtem sposób. Tajemniczo. Groźnie. Tak wstrząsająco pięknie, żeby gracze, kiedy ją zobaczą... znaczy, żeby Finnley, kiedy ją w końcu odnajdzie, pomyślał: ale ze mnie kretyn, że nie szedłem trybem *secret meaning*. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś, kto tak wygląda, kto wzbudza takie emocje, mógł mnie po prostu zdradzić i wykorzystać. No a teraz muszę ją pewnie zabić. Szkoda, ale cóż, przejdę całość jeszcze raz i zobaczę, o co tak naprawdę chodziło.

– I to ma sprawić sama twarz Avery, tak? Nie dialogi, reżyseria sceny, muzyka i tak dalej? – upewniła się słabym głosem Karolina.

– Taak, one też są ważne – Florek machnął lekceważąco ręką – ale bez dobrego obrazu nie zadziałają. Jestem pewny, że sobie poradzisz. No, to do roboty, a ja czekam na pierwsze próby.

– Jasne. *No pressure* – mruknęła do siebie Karolina wtedy i teraz. Od czasu rozmowy z Florkiem nie odważyła mu się pokazać postępów pracy.

Teoretycznie metoda podrzucania najmniej doświadczonej osobie w teamie najtrudniejszego taska, z którym nikt sobie nie radzi, mogła się sprawdzić. Karolina ze swoim świeżym spojrzeniem, nieobarczona znajomością setek dawnych konceptów i modeli Avery, od RFF1 aż do teraz, miała szansę wykonać to zadanie z taką łatwością, jak każde inne. Problem w tym, że doskonale zdawała sobie sprawę z tego małego eksperymentu Floraka, a przecież ten, kto ma osiągnąć niewykonalne, nie może być świadomy wagi wyzwania.

Zniechęcona, zerknęła jeszcze raz na dostarczony jej przez [konceptiarzy](#) rysunek, na podstawie którego miała stworzyć nową, wyjątkową Avery. No cóż, trzeba przyznać, że projekt był świetny – tylko zdaniem Karoliny wyglądał dokładnie tak, jak podstawowa wersja Avery, która występowała we flashbackach. Hm, a gdyby przemodelować linię ust, tak żeby wargi zdradzały więcej wrażliwości? Można by przy tym wzmocnić to słynne mroczne spojrzenie Avery, na przykład przyciemnić oprawę oczu, dodać im trochę zdecydowania, uporu. Może o taki kontrast chodziło Florkowi?

No dobrze, spróbuje jeszcze raz, ale najpierw pójdzie na mały spacer.

W całkowicie przypadkowo wybranym kierunku, rzecz jasna.

Andrzej był tak zapracowany, że jej nie widział, chociaż wystarczyłoby tylko podnieść wzrok na szklane drzwi, które miał przed nosem. Karolina zamierzała zaraz tam wpaść i przerwać tę sielankę spełnionego pracoholika. Zabawne, ale za każdym razem Andrzej wydawał się niemile zaskoczony, że mu przeszkadza, a przecież przychodziła do niego prawie każdego wieczora. Pomijając inne względy, naprawdę trochę się o niego martwiła – wydawał się taki zaprawiony w boju, ale i jemu chyba siedzenie po kilkanaście godzin w pracy dawało się we znaki. Ostatnio był strasznie skwaszony i jeszcze bardziej uszczypliwy niż zwykle. Dogryzał wszystkim – jej też – ale miała wrażenie, że jakoś nie wkłada w to serca. Nie odważyła się zapytać, co go gryzie, bo domyślała się, że Andrzej nie wywnętrza się przed nikim (bo przecież nie przed Krzyśkiem). Jednak gdyby nagle, zupełnie wyjątkowo, naszała go ochota na zwierzenia, ona była na miejscu.

Andrzej wodził spojrzeniem od jednego monitora do drugiego, wyraźnie niespokojny, jakby gdzieś się spieszył. Wszyscy pozostali gameplayowcy poszli już do domu – zwykle wychodzili koło dwudziestej drugiej – więc siedział sam w pokoju, całkowicie pochłonięty pracą, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

Jacy oni samotni – pomyślała Karolina. – I jakie to dziwne, że tyle osób crunchuje, a studio zawsze wieczorami wydaje się opuszczone. Za dnia jest zawsze

dużo szumu, wszyscy biegają tam i z powrotem, szukając odpowiedzi na takie pytania jak: dlaczego drzwi domów nagle nie pasują do ścian, ile lat miała Avery pod koniec RFF1, po co znowu rozgrzebywać design [GUI](#), skoro został klepnięty miesiąc temu, kto znów nie odłożył na miejsce mikrofonu w salce audio i co z nim zrobił, dlaczego nie działają kolizje, do kogo powinny trafiać bugi dotyczące onscreenów i gdzie, do cholery, jest Mat. Niektórzy dawali radę pracować w tym zgiełku, podkręcając głośność w słuchawkach, ale co chwilę ktoś nie wytrzymał i walił pięścią w stół, gromko domagając się ciszy. Z efektem odwrotnym do zamierzonego, oczywiście. Najgorzej zawsze było w szwalni w okolicach biurka Pawła Stentora, do którego ustawiały się całe kolejki rozgadanych interesantów.

Koło dziewiętnastej studio powoli się wyciszało. Pani Jagoda robiła wtedy ostatni obchód, zaglądając do każdego troskliwie jak opiekunka do chorych dzieci – pytała, czy im nic nie trzeba, i pocieszała, że to już na pewno długo nie potrwa (wszyscy wiedzieli, że to nieprawda, ale i tak czuli się trochę lepiej). Po dwudziestej trzeciej w każdym pokoju zostawało po kilka osób – razem może trzydzieści na wszystkich piętrach. Korytarze były całkiem puste, w kuchni leżały stosy pudełek po pizzy i porozstawiane wszędzie brudne kubki. Nikt już nikogo o nic nie nagabywał, bo wiadomo było, że ci, którzy zostali, naprawdę mają coś pilnego i ważnego do zrobienia. Jeśli spotykali się przy ekspresie do kawy, wymieniali tylko życzliwe mruknięcia i szybko zaszywali się każdy w swojej jaskini. Karolina wiedziała, że za każdym razem łamie zasady, przyłączając do Andrzeja tylko, żeby sobie pogadać, ale nie zamierzała przestać. Przecież to musi w końcu zadziałać.

Jestem kojotem

Mieszkanie Jaśka było szalenie stylowe, ale jednocześnie swojsko zagracone – jakby najpierw wpuścił tam architekta wewnątrz, a potem pomieszkał trochę i poprzestawiał wszystko po swojemu. Najbardziej rzucały się w oczy książki, dla których dawno zabrakło miejsca na półkach; Jasiek najwyraźniej upychał je, gdzie

się dało: na szafie, pod łóżkiem i wprost na podłodze. Regał na płyty też był przepełniony, a koło łóżka stał wielki kosz z komiksami. Jedną ścianę zajmowała ogromna mapa Kanady, a na pozostałych zawieszono różne szkice i fotografie. Biurko było oczywiście zabałaganione, ale wyglądało całkiem zachęcająco, podobnie jak zielony fotel ustawiony tuż pod oknem (prawdopodobnie żeby dało się jak najdłużej czytać przy dziennym świetle). Marcin poczuł, że bardzo chętnie zabarykadowałby się tu na cały tydzień z zapasem żarcia w lodówce i butelką whisky (albo trzema). Chodziłby na bosaka po tej wspaniałej podłodze z prawdziwych desek, czytał całymi dniami w fotelu albo na wielkim, kwadratowym łóżku i oglądał samotnie stare filmy. I najlepiej, żeby jeszcze padał deszcz. Miał ochotę chociaż pomyszkować w książkach Jaśka, tym bardziej że rozpoznawał niektóre tomy po grzbietach, ale przy Soni jakoś nie wypadało. Chociaż z drugiej strony nie pilnowała go zbyt gorliwie – rozłożyła się wygodnie na łóżku i wydawało się, że poświęca całą uwagę tabletowi, który niańczyła na podółku.

Podchodząc do biurka, przystanął przy ścianie i zagapił się na fotografię przedstawiającą dość śmiały kobiecy akt. Zdjęcie było czarno-białe i może dlatego dopiero po chwili rozpoznał na nim Sonię – młodszą o kilka lat i z długimi włosami. Wyłaniała się z cienia jak ze zwierciadła wody, a jej jasna, porcelanowa skóra wręcz lśniła w łagodnie przefiltrowanym świetle. Trochę zakłopotany, obejrzał się na nią i napotkał jej kpiący wzrok.

– Świetne ujęcie.

– Dzięki – odpowiedziała niedbale. – Przejrzyj sobie te papiery na biurku. Jasiek z zasady nie sprząta, a ja nic nie ruszałam, więc będzie tam wszystko. Bierz, co ci trzeba, tylko nie zgub, bo może Jasiek będzie chciał to z powrotem.

– Jasne.

Wydruki piętrzyły się po jednej stronie blatu, a drugą zajmował laptop o porysowanej obudowie – wyglądał, jakby służył Jaśkowi już od dawna. Marcin przesunął po nim palcem w zamyśleniu, po czym zabrał się do przerzucania dokumentów questowych. Szybko zorientował się, że są tam nie tylko fragmenty

starych fabuł do RFF4, ale też do poprzednich gier. Zaczął je sortować na oko, ale potem stwierdził, że właściwie to też go interesuje i zgarnął wszystko razem. Po kwadransie już wiedział, że będzie chciał zabrać cały plik, żeby to spokojnie przeczytać w domu, ale i tak nie mógł się oderwać.

– Chcesz może wody albo herbaty? – zaproponowała Sonia.

– Mhm, wody chętnie.

– To weź sobie z kuchni, co? Nie chce mi się wstawać.

Kuchnia była maleńka i dla odmiany bardzo uporządkowana – Jasiak albo był kucharzem-perfekcjonistą, albo w domu gotował tylko wodę na herbatę. Marcin wziął kubek z suszarki nad zlewem i stwierdził, że jest strasznie zakurzony. Opłukał go i rozejrzał się za wodą mineralną. Otworzył lodówkę, ale tam dogorywała tylko jedna samotna papryczka. W końcu napił się kranówki i od razu umył po sobie kubek, żeby nie naruszać panującego w kuchni ładu. Tu o wiele bardziej niż w pokoju było widać, że mieszkanie od jakiegoś czasu stoi puste – na ciemnej płycie kuchenki indukcyjnej leżała warstewka kurzu, z otwartej puszkii obok ekspresu unosił się słodkawy zapach zwiędzłej kawy, a stojący na parapecie storczyk miał całkiem zbrązowiałe liście i dawno zgubił kwiaty, które opadły i zwinęły się w lekkie, kruche kokony, jak nieudane origami. Wszystko to robiło smutne wrażenie i Marcin wyszedł stamtąd szybko, dziwnie przygnębiony.

Sonia dalej wylegiwała się na łóżku i nie wyglądała na znudzoną lub zniecierpliwioną, więc postanowił jeszcze chwilę poczytać.

– To tak nie działa – powiedział Nkasusa z lekkim uśmiechem, który złagodził jego ostre rysy. – Nie da się walczyć z duchem opiekuńczym ani go zabić. A wygłodzenie i gorączka to coś innego niż rytualne oczyszczenie.

Finnley długo się zbierał w sobie, zanim opowiedział Nkasusie o tym, co widzi, kiedy tylko napije się trochę whisky, i swojej teorii o przekleństwie ducha lasu, a teraz, dostrzegając jego uprzejmie maskowane rozbawienie go, zaczynał żałować, że to zrobił. Głupi dzikus, mruknął w duchu, ale nie

przyniosło mu to ulgi, bo wcale tak nie myślał. Zawsze starał się trzymać z daleka od Indian, bo go niepokoiłi (zwykle pojawiał się na ich terenach jedynie po to, żeby ukraść im kolejnego konia. Pierwszego tak zdobytego nazwał Precedens, ale chyba tylko on uważał to za zabawne), i to, że obecnie Nkasusa z plemienia Lillooet był jego najlepszym przyjacielem, wydawało mu się bardzo ironiczne. Kilka razy próbował podważyć sam przed sobą znaczenie tej przyjaźni, ale nie mógł zaprzeczać faktom. A fakty były takie, że Nkasusa za każdym razem okazywał się zaradnym, honorowym i oddanym towarzyszem, co było dokładnym przeciwieństwem tego, co Finnley myślał o czerwonoskórych. Dlatego w myślach oddzielił starannie Nkasusę od wszystkich innych Indian, żeby nie zaprzętać sobie głowy sprzecznościami.

– To co twoim zdaniem wtedy mi się przydarzyło? – zapytał cierpko. Siedzieli na trawiastym brzegu rzeki Okanagan i moczyli stopy w chłodnej, przejrzystej wodzie. Rano nałowili pstrągów tęczowych, po których teraz, kiedy słońce stało w zenicie, zostały tylko ości wrzucone do wygasłego ogniska. Nkasusa swoim zwyczajem pomilczał chwilę, zanim odpowiedział.

– Byłeś sam w lesie, ranny i ścigali cię wrogowie. Schroniłeś się w niedźwiedziej jamie i przeleżałeś tam kilka dni. Trawiła cię gorączka i nie jadłeś od bardzo dawna, więc byłeś oszołomiony i kiedy do jaskini przyszedł niedźwiedź, wzięłeś go za ducha.

– No tak, ale jeśli ten niedźwiedź, którego zabiłem, był prawdziwy, to czemu kiedy się obudziłem, nie znalazłem jego ciała ani śladów krwi? – zapytał z tryumfem Finnley.

Nkasusa zamyślił się.

– Las jest pełen różnych duchów. Może to, co zobaczyłeś, było jednym z nich, ale na pewno nie da się tak przywołać ducha opiekuńczego. Rzeczywiście ukazują się one pod postacią potężnych zwierząt i jest to rodzaj próby: jeśli chłopiec, który chce zostać wojownikiem, nie ulęknie się zesłanej wizji, otrzyma moc tego ducha. Ale nigdy nie atakują. Jeśli chłopiec nie przejdzie próby męstwa, po prostu znikają.

– Ale zobacz, przecież wszystko się zgadza: byłem we właściwym wieku, przez gorączkę pocilem się jak świnia – tak jak wy oczyszczacie się w domu potów – pościłem samotnie i spałem przy legowisku potężnego zwierzęcia. Słyszałem, jak ktoś mówi do mnie, a przecież wokoło nie było nikogo. A potem niedźwiedź, który mnie zaatakował, zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu!

– Finnley tak się zaciętrzewił, że nagle sam uznał to za śmieszne. Prychnął i spojrzał na Nkasusę już bez złości. – Popatrz, jakie to idiotyczne. Prawie ci o wierzeniach twojego ludu jak nasi misjonarze wam o Chrystusie. Nie powinno być czasem na odwrót, hę?

– Szczerze mówiąc, czasami nie do końca wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Nkasusa przybrał poważną minę, ale to miał być chyba żart. Finnley często nie rozumiał jego poczucia humoru.

– W zasadzie wszystko jedno: duch opiekuńczy czy jakikolwiek inny duch lasu. Chodzi mi tylko o to, żeby zrozumieć, skąd biorą się te wizje i czy mogą jakoś nad nimi zapanować. Ten wasz sachem chyba się na tym zna.

– Nie sądzę, żeby Koiustghen słyszał o takim przypadku. Poza tym sen wywołany whisky...

– Możesz mu nie mówić o whisky – zniecierpliwiał się Finnley. – Jeśli go to obraża czy co.

Tak naprawdę nie obchodziło go, co sobie pomyśli tamten stary Indianin. Chciał tylko odpowiedzi.

– Co zobaczyłeś w ostatniej wizji? – zapytał Nkasusa po chwili milczenia.

– Widziałem Avery w domu starej Candace McCrae. Rozmawiały o czymś, ale nic nie słyszałem, a one zachowywały się, jakby mnie nie widziały. Avery wyglądała na zmęczoną... i smutną. Wzięła od Candace jakieś zawiniątko i wyszła. I to wszystko. Następnego dnia pojechałem do Woodton i dowiedziałem się od Candace, że Avery naprawdę tam była! Dwa miesiące po tym, jak ją pochowano! – Finnley zacisnął pięści. – Chyba pofatyguję się na

cmentarz w Warfield Hope i rozkopię jej grób, żeby zobaczyć, co właściwie jest w tej trumnie.

– Może miała jakieś ważne powody, żeby się ukrywać.

– A tak, miała! Chciała, żebym ją pomścił i wyzabił bandę braci Baird. A może żebyśmy pozabijali się nawzajem – wtedy byłaby całkiem wolna, tak jak zawsze sobie tego życzyła.

Nkasusa poczekał spokojnie, aż Finnley się wyłóści. Wyjął stopy z wody, a gdy wyschły, wzał mokasyny.

– Spotkajmy się jutro w tym samym miejscu o zachodzie słońca.

– Czyli zabierzesz mnie do niego?

– Jeśli się zgodzi.

– I on będzie w stanie stwierdzić, czy to jakiś wasz duch do mnie przemawia i pokazuje mi to wszystko? – zapytał Finnley, oglądając się niepewnie na starego Indianina, który w milczeniu siedział przy ognisku, spowity dymem z liści *kinnikinnick*. Nie wiedział, czy sachem zna angielski, a on sam w języku Lillooet umiał powiedzieć tylko *nk'yáp-kan*: „jestem kojotem”, więc zwracał się do Nkasusy.

– Opowiedziałem mu. Koiustghen postara się pomóc.

Finnley chciał jeszcze o coś zapytać, ale zrezygnował. Nie ma co przedłużać. Odwrócił się do nich bokiem i pociągnął łyk whisky. Dla pewności postanowił tym razem wypić więcej, ale butelka wypadła mu z dłoni. Zanim zdążył się przewrócić na miękką, leśną ściółkę

leżał na plecach pod pustym, bezgwiezdny niebem, a kobietą, która się nad nim pochylała, musiała być Avery Liddell.

Za każdym razem, kiedy Avery znikwała bez słowa (często przywłaszczając sobie przy okazji jego pieniądze, broń, konia lub co cieplejsze i bardziej ekskluzywne elementy odzieży), Finnley nie wątpił, że los znów zetknie ich ze sobą. Te niespodziewane spotkania zwykle przebiegały w dość dramatycznych

okolicznościach i Noah rzadko kiedy miał okazję wypomnieć jej ostatnią ucieczkę, kłamstwa czy drobne kradzieże (choć raz, kiedy zwisali oboje z dachu pociągu, pokonującego właśnie Orlą Przełęcz, nie wytrzymał i na powitanie wrzasnął: „To były cholernie drogie kalesony, kobieto!”). W zasadzie zawsze, kiedy Finnley przeczuwał, że wpakuje się w jakieś kłopoty, mógł się domyślać, że Avery już dawno siedzi w nich po uszy. Miała też tendencję do pojawiania się w tych rzadkich momentach, kiedy myślał, że właśnie udało mu się wyjść cało z opresji i może wreszcie spokojnie odetchnąć – wtedy rozlegał się tętent kopyt i zza zakrętu wyjeżdżała Avery z rozwianym włosiem, a za nią oddział Policji Konnej.

Jedynym miejscem, w którym nigdy nie spodziewał się jej zastać w żadnych okolicznościach, był dom doktora Maya i Louisy. Tam zawsze czuł się bezpiecznie, poddając się spokojnemu rytmowi ich życia, wyznaczanemu przez poranne spacerunki, beztrudne polowania i długie wieczory przy kominku. Świeżo wykrochmalona pościel, dzbanuszki na mleko, czyściutki sukienki Louisy May pachnące lekko lawendą, przyjazne milczenie doktora, kiedy palił fajkę na werandzie, a nawet miodowe plamy słońca na sosnowych deskach kuchni o poranku – wszystko to tak bardzo nie pasowało do gwałtownej, nieporządnej Avery, jak to tylko możliwe. Właśnie dlatego Finnley po kłótniach i rozstaniach z nią najchętniej szukał schronienia w domu doktora, gdzie mógł odpocząć i uwolnić się od bolesnych myśli.

Tak, szykuje się jeden z tych momentów, kiedy jemu wydaje się, że już wszystko w porządku, a ona wyjeżdża zza zakrętu.

Na razie jednak Finnley nie zdawał sobie z tego sprawy i bardzo zdżony zbliżał się powoli do osady flisackiej położonej przy brzegu rzeki Liard, w tym szczególnym punkcie, gdzie zbiegały się granice Yukonu, Kolumbii Brytyjskiej oraz Terytoriów Północno-Zachodnich. Choć trwało właśnie wczesne kanadyjskie lato, kiedy flisacy pracowali nawet po zmroku, oświetlając miejsca przeładunku ogniskami i wbitymi w ziemię pochodniami, było na tyle późno, że osada wydawała się opustoszała. Tylko w jednym baraku okna rozświetlał blask

świec; dochodził stamtąd przyciszony gwar rozmów i śmiech. Finnley przystanął na chwilę i wciągnął głęboko do płuc rześkie, nocne powietrze zmieszane z zapachem rzeki. Ninigret, który wyprzedzał go o kilka kroków, też się zatrzymał i spojrzał na Noaha, pytająco unosząc trójkątne uszy. Finnley potrząsnął głową i wskazał mu ścieżkę do domu doktora. Na odwiedzin u flisaków będzie czas rano. Teraz chciał przede wszystkim zjeść coś gorącego, zdjąć ubłocone ubranie i wykąpać się w balii wrzącej wody. Louisa May pewnie już spała, ale był pewny, że tak ucieszy się na jego widok, że nie będzie mu wypominać późnej pory. Ech, słodki z niej dzieciak. Aczkolwiek ona uważała się już za dorosłą pannę, a od jakiegoś czasu – Finnley dałby głowę – nieszkodliwie się w nim podkochiwała.

Z tych miłych myśli wyrwało go nagłe szczekanie Ninigreta, który podbiegł już pod same drzwi i kręcił się w kółko, niecierpliwie czekając, aż Finnley do niego dołączy.

– Cicho, pobudzisz wszystkich – syknął do psa, ale ten wywijał dalej puszystym ogonem, nic sobie nie robiąc z jego groźnego tonu. Nagle drzwi się otworzyły i na progu stanęła Avery. Ninigret, który, jak uważał Finnley, w jej przypadku wykazywał jeszcze mniej rozsądku niż jego pan, pisnął z radości i zaczął się do niej obrzydliwie łasić. Avery przykucnęła i objęła go, chowając twarz w jego gęstej grzywie. Zajęci tymi pieszczołami, oboje całkowicie ignorowali Noaha, który stał nad nimi z głupią miną. Z osłupienia wyrwały go dopiero słowa Louisy May, która też wyszła z domu i teraz – zamiast skoczyć Finnleyowi na szyję, jak to robiła od dziecka – położyła Avery dłoń na ramieniu czułym, niemal siostrzanym gestem i zaszczebotała:

– Noah, co za niespodzianka! Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Kolacja okazała się męczarnią. Finnley, chociaż całą drogę marzył o soczystej pieczeni, nagle całkiem stracił apetyt, tak jakby sama świadomość, że tę ucztę wydano na cześć Avery, sprawiała, że każdy kęs stawał mu kością w gardle. Nikt jednak nie zwracał szczególnej uwagi na jego osowiałość, bo ewidentnie tym razem to nie on był wyjątkowym gościem w domu doktora. Noah przyglądał się

bezsilnie, jak Louisa May i jej ojciec nadskakują Avery, która przyjmowała to wszystko tak naturalnie i wdzięcznie, jakby знаła ich od lat. Eleganckie zachowanie przy stole i umiejętność swobodnej konwersacji co prawda nigdy nie należały do jej mocnych stron i Finnley ze złośliwą satysfakcją obserwował, jak starała się ukryć różne potknięcia, ale gospodarze byli tak serdeczni, że chyba nawet tego nie zauważali. Finnley, próbując zrozumieć tę dziwną sytuację, błędził wzrokiem od jednej osoby do drugiej. Doktor May, ubrany staranniej niż zazwyczaj, przechwalał się łowieckimi dokonaniem, co było całkiem nie w jego stylu, zaś Louisa wyglądała i zachowywała się jak zwykle: jej błękitne oczy lśniły ożywieniem, a wszystkie falbanki i zakładki w ślicznej sukience były idealnie wyprasowane i ułożone. Wydawała się całkowicie zafascynowana Avery, która siedziała za stołem w prostej koszuli i wysłużonej łosiowej kamizelce, chowając pod obrusem ubłocone buty.

Finnley przesiedział całą kolację, prawie się nie odzywając i wyczekując na moment, kiedy będzie mógł dorwać Avery na osobności. Nastąpiło to dopiero, kiedy wszyscy położyli się już spać, a w całym domu pogaszono lampy i kaganki. Finnley odczekał jeszcze chwilę dla pewności, a potem zszedł na dół na bosaka i wkradł się do maleńkiej sypialni, zajmowanej przez Avery.

– Noah, pomyliłeś pokoje – powiedziała spokojnie, gdy z cichym skrzypnięciem zamknął drzwi. Nie odwróciła się nawet, pewna, że to on, i mógł teraz podziwiać jej smukłe, silne plecy, na które opadały kolejne pasma włosów, rozczesywanych powoli drewnianym grzebieniem. Płomyk świecy ustawionej przy oknie chwiał się lekko, muskając jej skórę ciepłym blaskiem. – Teraz to moja sypialnia, a tobie Louisa posłała na stryszku. Powinno ci być tam całkiem wygodnie, tylko uważaj na kuny. Mogą ci w nocy narobić na siennik.

Finnley zdecydował, że nie będzie tracić czasu na te jej gierki.

– Co tu robisz? – Podeszedł do Avery i szorstko obrócił ją ku sobie. – I gdzie reszta bandy, gdzie Ezra?

Nie odpowiedziała, tylko posłała mu prowokacyjne, długie spojrzenie spod rzęs. Zmarszczył brwi i zacisnął mocniej palce na jej ramieniu.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, na co narażasz Louise, doktora, ich ludzi? – syknął. – Po co tu przyjechałaś? Żeby zagrozić moim przyjaciółom, zniszczyć jedyne miejsce... Psiakrew! Włóż koszulę!

– Nie możesz się skupić? – zapytała z uśmiechem. Nie poruszyła się ani o cal, nie zachęciła go żadnym gestem, ale i tak miał wrażenie, że trudem odpiera bezpośredni atak. Puls drgający pod delikatną skórą na szyi, uchylone wargi, wijące się po ramionach loki, ujmujące piersi w kapryśny ornament. Z trudem odwrócił wzrok i zaciął usta. Avery westchnęła lekko, jakby się poddawała, i sięgnęła po koszulę. Puścił ją i patrzył, jak się ubiera, przerzuca włosy przez ramię i siada na łóżku, krzyżując długie nogi.

– Spodnie też mam założyć? – zapytała kpiąco, podążając za jego spojrzeniem.

– No, dobrze, już się nie denerwuj. Zostawiłam Bairdów. Na dobre.

– Zostawiłaś mnie – poprawił ją. – Już któryś raz. Za to Ezra jest zbyt cenną znajomością, żebyś miała z niej tak nagle zrezygnować.

– Czyli mi nie wierzysz.

– Nie. Po raz ostatni: co tu robisz?

Avery westchnęła i potarła dłonią twarz, jakby była bardzo zmęczona.

– Tyle razy opowiadałaś mi o tym domu, że kiedy poczułam, że jestem w potrzasku, przyszło mi do głowy, że może i dla mnie to będzie bezpieczne miejsce. Nawet ja czasem potrzebuję trochę spokoju i ciepła. A... a zwłaszcza teraz.

– Aha, tylko ciekawe jak to się ma do zostawienia mnie bez słowa.

– Ostatnio nie układało się między nami najlepiej. Sam wiesz – powiedziała miękko, nie patrząc na niego.

Milczał przez chwilę, po czym usiadł obok niej.

– Nie zostanę tu długo. Ezra nie ma pojęcia, gdzie jestem, więc nie musisz się martwić o swoją małą przyjaciółkę i jej ojca. Zawsze, kiedy o nich opowiadałaś, byłam trochę zazdrosna, ale teraz sama ich polubiłam. Nic o mnie nie wiedzieli,

ale wystarczyło, żebym powołała się na ciebie, i od razu potraktowali mnie jak kogoś... swojego. Rzadko spotykam takich ludzi.

Finnley, który przez cały wieczór zżymał się na myśl, że Avery postanowiła tym razem ukraść mu nie nowe spodnie czy konia, tylko przyjaciół, odchrząknął z zażenowaniem.

– Oni też cię polubili. Widziałem. Zwłaszcza Louisa, a nigdy bym nie powiedział, że będziecie do siebie pasować.

– Nie pasujemy. – Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego ciepło; pierwszy raz od... dawna, jak sobie z żalem uświadomił. – Ale z nią łatwo się rozmawia. Jest taka ufna i słodka.

– To prawda.

Avery posłała mu krótkie spojrzenie i przygryzła wargę.

– Jest też bardzo ciekawska. I cały czas o tobie mówi.

– Za to doktor wychodził z siebie, żeby cię oczarować przy kolacji. A zazwyczaj to raczej taki milczący typ.

– Był bardzo szarmancki, rzeczywiście.

Pocałowała go niespodziewanie, ale Finnley miał wrażenie, że czuł jej smak na ustach już od kilku chwil. Podciągnął jej koszulę i przesunął dłonią po gładkiej, ciepłej skórze. Zadrżała i objęła go z całej siły, jakby nie widzieli się całe lata, jakby naprawdę za nim tęskniła. Sprężyny łóżka jęknęły przeciągle.

– Tylko cicho, bo nas usłyszą... – wymamrotał z ustami przy jej piersi.

– Mhm, mhm. Mhm... Ooooooch!

Avery nie była cicho. Wręcz przeciwnie, dawała wyraz swojemu zadowoleniu jeszcze gwałtowniej niż zazwyczaj i Finnley miał wrażenie, że słyszeli ich nie tylko wszyscy w domu, ale też flisacy nad rzeką.

Ciekawe – pomyślał Noah leniwie, z zamkniętymi oczami odwracając się od wesołych promieni porannego słońca wpadających do pokoju. – Ciekawe, czy zrobiła to celowo. I czy przypadkiem nie pojawiła się w domu doktora Maya

specjalnie po to, żeby poznać Louise i przekonać się, czy stanowi dla niej zagrożenie? „Twoja mała przyjaciółka”, „jest słodka”, „cały czas o tobie mówi”. Czy to możliwe, żeby Avery naprawdę była o kogokolwiek zazdrosna? – Finnley bawił się przez chwilę tą myślą, a potem odwrócił się na drugi bok i otworzył wreszcie oczy. Cała zalana słońcem izdebka wypełniona była obecnością Avery: jej zapach, porozrzucane ubrania, drobiazgi wytrząśnięte z kieszeni. Ale samej Avery nie było.

Finnley przeciągnął się, wstał i zaczął się niespiesznie ubierać. Podeszedł do okna, wyjrzał na podwórze – i zamarł.

Na pieńku koło szopy siedział Stanley Tubbs i pogryzał jabłko. Wydawało się, że beztrudnie wypoczywa, grzejąc się w porannym słońcu. Kiedy skończył zjeść, cisnął ogryzkiem w kurę, przechadzając się nieopodal z godnością, i zarechotał, kiedy podskoczyła nerwowo i uciekła, gdacząc z oburzeniem. Potem spojrzał na dom, prosto w okno, gdzie stał Finnley, a kiedy go zobaczył, poderwał się i pobiegł w kierunku rzeki.

Noah skoczył do drzwi i już po chwili pędził przez podwórze. Ścigało go ujadanie psa. Zamknęli Ninigreta w piwnicy – przemknęło mu przez myśl, ale nie miał czasu, żeby go teraz wypuścić. Kiedy dobiegł nad rzekę, sięgnął po rewolwer i zatrzymał się, żeby ogarnąć całą sytuację.

Flisacy stali w dużej grupie, ponurzy i wściekli, a kilku z nich pod nadzorem Zachariasa Bairda ładowało na wóz jakieś pakunki owinięte w płótno. Jeden z nich się wyslizgnął i na ubitą ziemię wysunęły się kawałki lśniącego futra. Kałany! Skóry wydr morskich! – pomyślał Finnley, przypominając sobie nagle wczorajszą rozmowę przy kolacji. Mówiło się o cennym ładunku – doktor May przechwalał się, jakie to ceny osiągają teraz, kiedy w ostatnich latach liczba tych zwierząt gwałtownie się zmniejszyła. A przecież już na samym początku kupcy dawali po trzysta dolarów za sztukę. Szlag, Bairdowie musieli to zaplanować już dawno. Za to Avery...

Finnley rozejrzał się za nią. Najpierw jednak dostrzegł Louise May, która stała przy wozie zapłakana i pobladła tak, jakby miała zemdleć. Doktor

podtrzymywał ją opiekuńczo, nie spuszczać groźnego spojrzenia z bandy Bairdów panoszącej się wśród paczek i skrzyń. W centrum tej sceny stał w charakterystycznej dla siebie pozie, na mocno rozstawionych nogach, Ezra Baird i przyglądał się spokojnie załadunkowi. Wydawało się, że niemal w ogóle nie poświęca uwagi klęczącej u jego stóp Avery, którą trzymał jedną ręką za włosy, a drugą przyciskał lufę rewolweru do jej szyi.

– Noah! – zawołała nagle Louisa May, dostrzegając go. Wyciągnęła ku niemu ramiona. – Oni ją zabiją!

Finnley podszedł bliżej zdecydowanym krokiem, chcąc przerwać tę komedię – Avery jako zakładniczka Bairdów, bardzo zabawne – kiedy zobaczył, jak Ezra odwraca się w jego stronę.

– To jak, Finnley? Zaryzykujesz? – powiedział niegłośnie, tak że Noah ledwie go usłyszał. Widząc, że Finnley zwalnia kroku, Ezra uśmiechnął się i zsunął lufę rewolweru pomiędzy piersi Avery, a kiedy się szarpnęła, pociągnął ją do góry za włosy. Twarz ściągnęła jej się z bólu, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Za to Louisa May znów pisnęła histerycznie:

– Noah!

Finnley miał wrażenie, że czas zwolnił, a wszyscy – Louisa, doktor, Avery, banda Bairdów i flisacy – patrzą na niego, czekając, co zrobi. A on nie wiedział. Nie wiedział, czy Avery znowu go oszukała, zmawiając się wcześniej z Ezrą. Nie wiedział, czy tej nocy naprawdę chciała z nim być, czy zrobiła to z wyrachowania. Zwodziła go już tyle razy, że odpowiedź powinna być jasna, ale coś się tu nie zgadzało. Dobrze wiedział, że Avery nigdy nie zgodziłaby się na taką rolę w napadzie, że nic nie było dla niej warte tyle, by pozwolić Ezrze, aby ją upokorzył na oczach tylu ludzi.

A jeśli tym razem mówiła prawdę? A jeśli naprawdę chciała od nich uciec, ale Bairdowie ją wytropili i postanowili zabrać ładunek cennych skór przy okazji, a wcześniej nic o nich nie wiedzieli?

Mógł się przekonać, jak było naprawdę. Ale czy rzeczywiście chciał tak ryzykować? Ezra bywał równie nieprzewidywalny co Avery.

– Tak myślałem – mruknął Baird i lekceważąco odwrócił się od Finnleya, jakby nie spodziewał się po nim już niczego interesującego. – Ej, tam! Kończyć ładowanie!

Zacharias skinął głową i wskoczył na wóz, a reszta bandy dosiadła koni. Byli gotowi do drogi. Ezra zmusił Avery, żeby wstała, i pociągnął ją za sobą.

– Czas już na nas. Żegnam. – Skłonił się ironicznie w stronę Louisy May.

Zanim Finnley zdążył zrobić choćby krok w jego stronę, doktor May nieoczekiwanie przyskoczył do Ezry i spróbował wybić mu rewolwer z ręki. Baird zachwiał się i puścił Avery, ale udało mu się odepchnąć doktora. Z całej siły zdzielił go kolbą rewolweru w twarz i posłał na ziemię. Louisa May krzyknęła przeraźliwie i uklękła przy ojcu.

Finnley zatrzymał się, niepewny, czy ratować doktora Maya, który leżał całkiem nieruchomo w powiększającej się kałuży krwi, czy ścigać Ezrę, który błyskawicznie wskoczył na konia, sadzając przed sobą Avery. Puls dudnił mu w skroniach, jakby ktoś zainstalował tam diabelski zegar, który odlicza czas na podjęcie decyzji.

– Noah, pomóż! – zawołała rozpaczliwie Louisa i to go wreszcie otrzeźwiło. Nie mógł teraz po prostu odjechać i ich zostawić – przecież sam niechcący ściągnął na nich to wszystko. Kucnął przy doktorze i zbadał go szybko. Był nieprzytomny, ale oddychał. Finnley zaczął oddzierać pasma materiału od obfitej sukni Louisy, żeby zrobić z nich opatrunek tamujący krwawienie. W tym czasie tętent kopyt oddalał się coraz bardziej, a wzburzeni flisacy chaotycznie organizowali grupę, która miała ruszyć w pościg za Bairdami. Finnley dobrze wiedział, że ich nie dogonią i że są równie bezsilni co on. Zaciśnął zęby i owijał delikatnie zakrwawioną głowę doktora Maya, starając się nie myśleć o tym, że Avery właśnie po raz kolejny zniknęła z jego życia.

Kiedy Finnley się przebudził, czuwał nad nim tylko Nkasusa.

– I co? Co powiedział? – wychrypiał i zadrżał w chłodzie przedświt. Ktoś okrył go w nocy pledem, który był teraz ciężki od wilgoci. Między drzewami unosiła się mgła, a trawa lśniła od rosy.

– Mówił, że ktoś cię prowadzi. I że trudniejsza droga wiedzie do prawdy, ale to ty musisz zdecydować, czy chcesz ją poznać.

– Aha. I co jeszcze? – zapytał Finnley, rozcierając dłońmi przedramiona, żeby się trochę rozgrzać.

– Tyle – odparł spokojnie Nkasusa.

– Jak to? Nie powiedział nic o moim duchu opiekuńczym? Albo że uważa, że zwariowałem? Albo co mam zrobić, żeby jakoś nad tym zapanować?

– Nie.

– Świetnie. – Noah owinął się ciaśniej pledem i ruszył przed siebie w kierunku rzeki.

Nkasusa po chwili pojawił się u jego boku. Długo milczał, a w końcu odezwał się niepewnie, jakby zażenowany.

– Dobrze się czujesz? W nocy byłeś bardzo... niespokojny.

– Znow śniła mi się Avery. Byliśmy oboje w domu doktora Maya; wtedy widziałem ją po raz ostatni, zanim dowiedziałem się, że zginęła. Przez cały ten czas wyrzucałem sobie, że nie ruszyłem wtedy za nią, że zostałem przy doktorze. Obwinałem się, że to przeze mnie umarła, bo naprawdę chciała odejść od braci Baird, a ja pozwoliłem im ją porwać i zabić. Pomyśl tylko, jaki byłem głupi – zaśmiał się z goryczą. – To był po prostu jej kolejny numer, podwójna zdrada. I teraz oni wszyscy nie żyją, a ja kręcę się w kółko i nie mogę jej wytropić. Ale kiedy już ją znajdę... – warknął przez zaciśnięte zęby.

Nkasusa pokręcił głową w milczeniu. Domyślał się, że droga, o której mówił Koiustghen, będzie bardzo długa.

Klucz

– Dobra, możemy iść – powiedział Marcin energicznie, jakby to on musiał czekać na Sonię, a nie odwrotnie.

– Wszystko już widziałeś?

– Tak, resztę przejrzę w domu. Jeszcze tylko skoczyłbym do łazienki...

– Jasne. Akurat przejdę ten poziom. – Sonia leżała na brzuchu, pochylona nad tabletem i machała nogami w powietrzu.

Kiedy Marcin przechodził w przedpokoju obok wieszaka na ubrania, usłyszał pisk komórki. Sięgając do kieszeni swojej kurtki, zrzucił jakieś klucze z haczyka. Przykucnął, żeby je podnieść, a jednocześnie czytał wiadomość. Była od Tyrowicza: „Hej, musimy pogadać. Nie wyrabiacie się z taskami, szczególnie Mazurek. Jutro u mnie o dziesiątej, obaj”. Marcin zgrzytnął zębami. „U mnie”, czyli w gabinecie Mata, który przychodzi po jedenastej, więc do tego czasu Tyrowicz może się panoszyć w pokoju game directory i zgrywać ważniaka. Rzeczywiście, Mazurek coraz bardziej odstawał od reszty i nawet dyskretna pomoc kolegów, którzy brali na siebie część jego zadań, niewiele zmieniała. Z drugiej strony Marcin był pewien, że widok bucowatej gęby Tyrowicza z samego rana zdemotywowałby samego Pawła Stentora. Z Mazurkiem trzeba było pogadać, jasne, ale z wyczuciem – to niegłupi facet, tylko chyba ma teraz jakieś problemy. Rzecz w tym, że Marcin ciągle nie znajdował czasu na tę rozmowę. Tomek zaś na pewno z chęcią poświęci całą godzinę, żeby go wysztorcować. Dlaczego to nie Kacper Maciejak jest executive producerem? Wszystkim pracowałoby się lepiej pod nim niż pod tym małostkowym, złośliwym, bezdusznym...

Nagle Marcin uświadomił sobie, że zaciska coraz mocniej dłoń i wbija sobie coś metalowego w skórę. Wyprostował palce i przyjrzał się pękowi kluczy. Wyglądały podobnie jak te, którymi Sonia otworzyła drzwi wejściowe do mieszkania Jaśka. Pewnie zapasowe. Podniósł się i już sięgał, żeby je odwiesić, ale nagle cofnął rękę i zamiast tego wsadził je sobie do kieszeni.

– Jestem gotowy – powiedział, wracając do pokoju. – Jeszcze raz dzięki, że udostępniłaś mi te dokumenty.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłam chociaż tak pomóc. Jasiek naprawdę postawił was w paskudnej sytuacji – westchnęła i poderwała się z łóżka sprężystym wyrzutem ciała.

Sonia wysiadła z taksówki pod swoim blokiem, przesłała Marcinowi całusa przez okno i szybko weszła do klatki schodowej, żeby schronić się przed zimnem. Zwykle korzystała z windy, ale była w tak dobrym nastroju, że wbiegła po schodach na trzecie piętro. Przypomniała sobie, jak Marcin ją tu wnosił, i parsknęła śmiechem.

Podśpiewując pod nosem *Norwegian Wood*, weszła do mieszkania i odetchnęła z ulgą – w środku było ciepło jak w uchu. Przebrała się w szlafrok, zrobiła sobie kakao z rumem w grubym, fajansowym kubku, ułożyła się wygodnie na sofie i dopiero wtedy zadzwoniła.

– Hej. Tak, załatwione – powiedziała z uśmiechem, przyciskając telefon brodą do ramienia, żeby nie odrywać dłoni od przyjemnie gorącego kubka. – Nie, niczego nie podejrzewa, je mi z ręki. To taki pocziwy głuptas. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd Tyrowicz go wytrzasnął.

To się nie może tak skończyć

Mazurek spacerował tam i z powrotem po Irlandzkiej i układał w myślach listę rzeczy, które trzeba było zrobić i których – z głupoty, nieuwagi, pośpiechu albo aroganckiej pewności siebie – nie zrobił.

Po pierwsze trzeba było wziąć od Danki numer telefonu. Celowo tego nie zrobił, chociaż kilka razy go korciło, bo przecież miło byłoby wysyłać jej sms-y. Ale nie, uważał, że to ryzykowne. Bo jeśli ona miałaby jego numer, mogłaby po prostu napisać: „Hej, doszłam do wniosku, że nie powinniśmy się więcej spotykać. Cześć i dzięki za wszystko”. A skoro nie mieli kontaktu, to wiedziała, że on będzie czekać – i przyjdzie. Tak to wyglądało w teorii. W praktyce: trzeba było wziąć od niej ten cholerny numer.

Po drugie trzeba było zadzwonić na recepcję i poprosić pana Ludwika, żeby przekazał Dance, że dziś mu wypadła sytuacja awaryjna i spotkają się dopiero jutro. Tu nie mógł zdecydować, czy zawiniła głupota czy arogancja. Naprawdę mu się wydawało, że Danka się nie obrazi, jeśli wystawi ją do wiatru? No dobra, miał ważny powód, ale ona przecież tego nie wiedziała. Poza tym Marta nie czuła się aż tak źle, żeby nie mógł zadzwonić do studia. Tylko jakoś o tym nie pomyślał.

Po trzecie trzeba było przyspieszyć sprawy, a nie czekać, aż wszystko samo się stanie. Powinien się bardziej postarać, jakoś ją zaskoczyć albo przyprzeć do muru. Przecież wiedział, że mają mało czasu. Przede wszystkim powinien był opowiedzieć jej coś o sobie, coś ważnego i osobistego – ostatnio kilka razy dawała mu do zrozumienia, że tego oczekuje, ale wykręcił się jakimiś żartobliwymi uwagami. A przecież od początku miał wrażenie, że podzieliła się z nim historią o tym całym Michale, czy jak tam miał naprawdę na imię, tylko po to, żeby on się otworzył. Jakby wiedziała, że jest coś, co dusi w sobie i co – mimo że minęło prawie półtora roku – wciąż określa, kim jest Wojtek Mazurek.

Zawrócił i ruszył z powrotem w stronę budynku Nasty Oranges. Dochodziła druga i był właściwie pewien, że Danka tej nocy się nie pojawi, ale pełniąc tę wartość honorową, czuł się trochę lepiej. Szkoda, że jeszcze nie miał żelaznych trzewiczków, kostura i kubka do zbierania łez.

O trzeciej uznał, że to bez sensu i czas wrócić do domu. Humor trochę mu się poprawił: nie ma co panikować, to tylko jedna noc. Danka na pewno przyjdzie jutro. Albo pojutrze. W każdym razie kiedyś przyjdzie. To przecież nie mogło się tak skończyć, prawda?



Rozdział dwunasty

Piątek 20 grudnia

Zupełnie niespodziewanie – Święta

Pani Jagoda spojrzała na choinkę, która powoli rozprostowywała w holu gałęzie i pokiwała z uznaniem głową. Piękna, równo wyrosnięta sosna (lepiej sosna niż świerk, nie będzie tak szybko igieł gubić). Pewno, że zawsze to żywego drzewa szkoda, ale jak pachnie! A teraz w ogóle takie brzydkie te sztuczne choinki robią, takie jakby rozki: po wierzchu gęste, a puste w środku. Co to za moda dziwna, że nawet prawdziwego drzewka nie udaje... Dotknęła delikatnie długich sosnowych igieł; pokłuły ją, ale to nawet przyjemnie. A może i zdrowo?

Przywieźli choinkę z samego rana i musiała przyjść wcześniej, żeby było gotowe, zanim wszyscy przyjdą, ale nie przeszkadzało jej to. Od małości uwielbiała ubierać choinkę. Ciągłe pamiętała ozdoby, jakie mieli w domu: anioły ze słomy, języki, światy, śnieżynki robione szydełkiem, złożone szyszki, drewniane pajacyki, pawie oczka, bałwanki z waty, szklane gwiazdki i księżycy, bombki ręcznie malowane – granatowe, czerwone i zielone, kolorowe łańcuchy z bibułki, anielskie włosy. Zawsze też wieszali włoskie orzechy w sreberku z czekolady, twarde pierniczki, jabłka i długie cukierki.

W Nasty Oranges wszystko to wyglądało trochę... inaczej, ale no, najważniejsze, że na koniec było wesoło i kolorowo. Przyniosła z magazynu

pudełka z dekoracjami i zabrała się do dzieła.

Krzysiek zauważył choinkę, dopiero kiedy prawie na nią wpadł. Poprawił okulary i przyjrzał jej się w zamyśleniu. Już Święta, no proszę. Teoretycznie wiedział, że skoro zaczął się grudzień, to nieuniknione, ale myślał, że jeszcze mają trochę czasu do przymusowego postoj. To były niby tylko dwa dni – no, dwa i pół, licząc z Wigilią – a w piątek mogli już wrócić do pracy, ale wiadomo, że świąteczne rozprężenie rozleje się na cały tydzień: wszystko zwoolni do jakichś dziesięciu [klatek na sekundę](#) i nic nie będzie się dało zrobić. Święta wspomniała rzecz, bez wątplenia, rodzina, jedzenie i tak dalej, ale gdyby dało się to wszystko jakoś przesunąć, żeby nie kolidowało z crunchem...

Franek Kilarzki przyszedł do pracy równo z Karoliną. Uznał to za bardzo pomyślny omen i chciał ją od razu namówić na wspólne śniadanie w kantynie, ale gdy tylko weszli do holu, z okrzykiem radości pobiegła oglądać choinkę. Oczywiście nie zamierzał się poddać. Magia Świąt: też dobrze. Chociaż on osobiście wolałby jajecznicę. Rozejrzał się, czy gdzieś po kątach nie kryją się niepożądane osoby trzecie, zmierzył wzrokiem recepcjonistkę, która wydawała się nie zwracać na nich uwagi, po czym szybko podszedł do Karoliny i stanął tuż za nią.

– Ładna, prawda? – powiedział z dumą, kładąc jej rękę na ramieniu.

Nie odpowiedziała, tylko obróciła się ku niemu z nieprzypadkowym uśmiechem i lekkim szaleństwem w oczach.

– Niech zgadnę. Właśnie myślisz: „O Boże, to już Święta? Tak szybko! Cudownie! O, nie, masakra, z niczym nie zdążę! Nie kupiłam prezentów! Nie mam kiedy posprzątać! Nie mam kiedy zrobić zakupów! Nie wyrobię się z taskami przed Wigilią i pójdę do piekła!”.

Karolina zaśmiała się, odchylając głowę do tyłu. No dobra – czy ktokolwiek może mieć wątpliwości, że ona na niego leci?

– Tak, rzeczywiście coś w tym stylu. Rany, nie mogę uwierzyć, że to już.

Ku jego lekkiemu rozczarowaniu znów zapatrzyła się na choinkę.

– Skąd macie to wszystko? – zapytała i ujęła w palce kilkucentymetrową figurkę Wolverina.

– Sami zrobiliśmy. Antek przyniósł z domu drukarkę 3D i przez dwa tygodnie wszyscy się nią bawiliśmy, aż nam zaczęły wychodzić takie rzeczy.

– Dwa tygodnie? – zapytała z niedowierzaniem. – Jakim cudem mieliście na to czas?

– To było na wiosnę. Nie zawsze mamy tu crunch, wiesz. Czasami bywa luźniej, a pod koniec preprodukcji nawet się trochę nudziliśmy. To znaczy nie mój team, programiści się nigdy nie nudzą, ale reszta sama już nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

– Nie da się tego jakoś wypośrodkować?

– Niech pomyślę... – Franek zrobił minę jednocześnie zamyśloną, żartobliwą i pociągającą. Szkoda, że Karolina nie patrzyła. – Nie, nie da się. Albo zapierdol, albo twórcza nuda.

Westchnęła, po czym przyjrzała się krytycznie jednej figurek.

– Hm, ta wam nie wyszła. Ktoś zapomniał wydrukować głowy.

– Nie, w porządku. To Ned Stark. Gdzieś też powinien być Jaime, czekaj, zaraz ci go znajdę...

Poza ręcznie malowanymi figurkami z laybricku choinka była obwieszona kiściami ludzików Lego, plastikowymi dinozaurami, resorakami, modelami samolotów, kucykami pony i oryginalnymi gadżetami z różnych gier. Tak naprawdę nic z tego nie mogło uchodzić za świąteczną ozdobę (no, od biedy może figurki Płaczących Aniołów) i Karolina prawdopodobnie u siebie w domu nie zdecydowałaby się umieścić na czubku wielkiego oka Saurona, ale i tak była to najpiękniejsza choinka, jaką widziała.

– Szkoda, że tak późno ją ustawili – powiedziała z żalem.

– Pewnie nie chcieli nas rozpraszać. Strasznie łatwo zapomnieć w crunchu o Świątach. Dlatego ja nie narzekam, że w hipermarketach puszczają kolędy od listopada i w centrum są już te gwiazdkowe instalacje, bo tak czy inaczej ciężko im

się tu przebić. – Postukał się w skroń. – Pamiętam, że kiedy byłem mały, a nawet jeszcze w liceum, tak strasznie się cieszyłem na te wszystkie przygotowania: podżeranie migdałów w kuchni, tropienie prezentów, które pochowali rodzice... Oboje z siostrą uważaliśmy za punkt honoru podejrzeć, co dostaniemy pod choinkę, na grubo przed Wigilią. A teraz tylko wpadam do domu rodziców na kolację, jest wesoło i miło jak zawsze, to już nie to samo. Jakoś nie potrafię tak z marszu wejść w klimat. A potem ani się obejrzyś już po Bożym Narodzeniu.

Karolina w zamyśleniu nawijała na palec pasmo włosów. Migoczące lampki choinkowe barwiły jej policzek to na czerwono, to na niebiesko, i zapalały iskierki w oczach.

– No dobra, ale przymuliłem – zaśmiał się. Złapał Karolinę za ramiona, potarł ją, okręcił kilka razy dookoła i w końcu postawił przed sobą, znów uśmiechniętą. – To powiedz mi teraz, grzeczna dziewczynko, co chciałabyś dostać od Mikołaja, hm? Jakieś marzenia? Potrzeby?

– Coś niepraktycznego. Najlepiej jakąś niespodziankę.

– Niczego mi nie ułatwiasz – powiedział miękko i ujął ją pod brodę.

– A ty wiesz, co chciałbyś na Święta? Tak bez zastanowienia?

– Mhm – zamruczał aksamitnie.

– Eee... Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?

Magia crunchu

Marta zapisała zmiany w edytorze, zdjęła słuchawki i ziewnęła szeroko, a potem rozejrzała się po pokoju. Wszyscy jej koledzy pracowali w skupieniu – to był ten moment między drugą poranną kawą a lunchem, kiedy naprawdę można było coś zrobić, jeśli człowiek nie dał się rozproszyć. Słyszeć było tylko klikanie myszek i zlewające się w jednostajny szum głucho stukanie palców na klawiaturach. Marta przyglądała się przez chwilę tej symfonii pracowitości, próbując się zmotywować, ale nie, jednak nie – dalej tak strasznie, strasznie jej się nie chciało. Gdyby chociaż

gonił ich jakiś deadline albo byli zawaleni robotą... Tymczasem ostatnio wszystko się właśnie uspokoiło, mogli nareszcie pracować „w swoim tempie” – i Marta po raz kolejny odkryła, że nie ma czegoś takiego.

To trochę straszne, ale zazdrościła Mazurkowi crunchu. Kiedy masz trzy razy więcej tasków, niż jesteś w stanie przerobić, testerzy wrzucają bugi szuflami, wszystko się sypie po kolei (a potem jednocześnie), narzędzia świrują, na zmianę dostajesz depresji i głupawki, ludzie chodzą jak naelektryzowani, to życie staje się jakieś... intensywniejsze. Coś jak rafting na Zambezi, tylko z dodatkowymi krokodylami. A kiedy napięcie rośnie i rośnie, zaczynają się dziać dziwne rzeczy: nagle okazuje się, jak czasem niewiele trzeba, żeby na ogół spokojni ludzie skoczyli sobie do gardeł albo... No właśnie. Marta zerknęła w kąt pokoju, gdzie siedział Piotrek Smolik i po swojemu wydymał usta, rozpracowując jakiś problem. Zawsze strasznie leciała na chudych facetów z podkrążonymi oczami, ale za to nie przepadała za typami władczymi – i w przypadku Piotrka dopiero crunch rozwiązał ten dylemat. Nie zamierzała co prawda powtarzać tamtej wariackiej nocy (która była kolejnym potwierdzeniem tezy, że jeśli między dwojgiem devów iskrzy, to szanse, że podczas crunchu rzecz się sfinalizuje, są właściwie stuprocentowe), ale wspominała ją bardzo mile.

Oczywiście nie dało się ciągle pracować na pełnych obrotach, ale... fajnie, gdyby się dało. Bo tak tydzień po zakończeniu crunchu, kiedy już człowiek się wyśpi, pójdzie do kina i na basen, i poodwiedza przyjaciół, robi się jakoś pusto. Teoretycznie powinno być odwrotnie. Marta za każdym razem obiecywała sobie, że po crunchu stanie się lepszym człowiekiem: będzie regularnie trenować, odświeży hiszpański, w weekendy będzie robić wypady za miasto na świeże powietrze, zacznie gotować sobie obiady do pracy i wreszcie posprząta w mieszkaniu... ale kiedy przychodziło co do czego, ciężko było jej się przestawić i uwierzyć, że naprawdę jest coś szlachetniejszego i godniejszego złożonej natury ludzkiej niż zamknięcie pięćdziesięciu bugów jednego dnia.

Westchnęła, obróciła się parę razy na fotelu, odpychając się od krawędzi biurka, po czym wstała gwałtownie i poszła poszukać kogoś, kto da się wyciągnąć na

pogawędkę. Jako że dostępne opcje nie zachwyciły, postanowiła zadzwonić do Mazurka.

Odebrał po pięciu, sześciu sygnałach.

– Heej, tu ofiara systemu na głodzie. Nic mi się dziś nie chce, więc pomyślałam, że chociaż posłucham, jaki wy tam w Pomarańczach macie zaryp. No, już – narzekaj, a ja ci będę skrycie zazdrościć.

Odpowiedział jej niewyraźny jęk.

– Co jest? Aż tak źle?

– Nnie... Właściwie to... jeszcze nie wstałem – wymamrotał Mazurek.

Marta zerknęła zdziwiona na zegar w holu. Była prawie dwunasta.

– Masz dziś wolne? Rozchorowałeś się?

– Mmm... nie, właśnie miałem iść do roboty.

– Aaa, już rozumiem: mało śpisz ostatnio i w końcu cię zmogło? No bo z jednej strony crunch, z drugiej włączenie się po dachu jak zakochany kocur...

– To już nieaktualne.

– Ooo? A czemu?

– Więcej nie przyszła.

– I dałeś sobie spokój?

– Nie.

Marta przygryzła wargę. Wiedziała, że Mazurek ma trochę inne podejście do spraw damsko-męskich niż ona i uwagi w stylu: „No, najważniejsze, że jest ruch w interesie. Nie ta, to następna. Zresztą mówiłam ci, że nic z tego nie będzie” są raczej niewskazane.

– No to... hm, idziemy się napić jakoś w tym tygodniu? Ja już się czuję całkiem dobrze, byłam z tą nerką u lekarza, jak kazałeś, i mogę się srogo narąbać.

– Tak ci powiedział lekarz?

– Powiedział, że mam przyjmować dużo płynów. To jak?

– Nie jestem w specjalnie towarzyskim nastroju.

– Rozumiem. Ale jakbyś chciał pogadać, to daj mi znać, dobra?

- Mhm.
- To brzmiało bardziej jak „mhm, spadaj” niż „mhm, dam znać”.
- Mhm.
- Ok, nie naciskam. Chociaż mam ochotę, bo trochę się o ciebie martwię.
- Nie trzeba.
- Uch, dobra. No to cześć. Tylko... Mazurek? Nie siedź wieczorami sam w domu zdołowany, ok? Idź pobiegaj albo coś w tym stylu. Ostatnio mówiłeś, że ci to dobrze robi.
- Mhm. Racja. Pobiegam sobie. Albo coś w tym stylu. Cześć.

Odebrane: 1

Od: adrian.kepa@nastyoranges.pl

Do: nastyoranges@nastyoranges.pl

Przypominam, że 31 grudnia crunch nie obowiązuje. Możecie skończyć pracę o 16:00, a o 20:00 wszyscy spotykamy się w holu na dole. Tematyka karnawałowej przebieranki jak zwykle: superbohaterowie, mutanci i geniusze zła. Zwycięzca konkursu na najlepszy strój otrzyma nagrodę niespodziankę.

Pozdrawiam,

Adrian Kępa, HR Manager

PS. Jest prośba od Tomka Tyrowicza, żeby w tym roku wszyscy nie przebierali się znowu za Flasha.

Niejaki O'Reilly

– Mam! Keith O'Reilly!

Marcin rzucił na stół w kantine plik wymiętych papierów, po czym usiadł obok Pawła Stentora i potoczył po swoim teamie tryumfalnym spojrzeniem, czekając na pytania.

W ciszy Jacek wysiorbał głośno przez słomkę resztkę koktajlu bananowego i przymknął powieki z męczeńską miną. Questowcy byli właśnie w tym przykrym momencie lunchu, kiedy wiadomo, że nikt nic więcej nie będzie jadł i ktoś musi w końcu dać sygnał do odwrotu.

– Był taki. I co z nim?

– Jego wątek w RFF2 był taki dziwnie urwany, prawda? Nie wiadomo, o co wtedy właściwie chodziło: czy Avery go wystawiła, czy próbowała z jego pomocą oszukać Finnleya, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie, czy tylko chciała, żeby Finnley był zazdrosny...

– Taak. – Jacek posłał Asi długie, wymowne spojrzenie. – Quest numer 122, *Złoto dla naiwnych*. Jasiek miał wtedy przewlekły atak twistozy. „Albo nie, zróbmy to tak! Mam nowy pomysł na O’Reilly’ego, tylko posłuchajcie! Trzeba tam dodać jeszcze jeden twist, bo to się nie trzyma kupy”. – Przeniósł wzrok na Marcina. – Wiesz, są takie pechowe questy-zmory, które ciągle wracają z review i zmieniają się do samego końca. Zwykle dlatego, że od początku były źle zaprojektowane i kolejne iteracje tylko pogarszają sprawę. No i wychodzi z tego jakiś fabularny frankenstein, posklejany z resztek różnych wersji. Jasiek przy O’Reillym sto razy zmieniał koncepcję, my przerzucaliśmy się tym głównem jak gorącym kartoflem, bo nikt już nie chciał w tym grzebać, a w końcu pisała go Asia, która dotąd dostaje wysypki, kiedy zobaczy jedynekę i dwie dwójki. Jeśli w hotelu dają jej pokój numer 122, prosi o inny. Ej, no nie bij mnie, przecież mówię prawdę! – zachichotał, odsuwając się od niej. – No, więc jeśli doszukiwałeś się w historii z RFF2 jakiegoś trzeciego albo czwartego dna, które pozwala zrozumieć tego questa, to pragnę cię uspokoić, że nic takiego nie istnieje.

– Ale mogłoby. – Marcin uśmiechnął się tajemniczo.

– Marcin, ja cię bardzo proszę... – zaczęła Asia ostrzegawczo, ale wszedł jej w słowo.

– A co gdyby Avery była przez ten cały czas zakochana w O’Reillym, a nie w Finnleyu? To coś, co nie przychodzi od razu do głowy, bo przecież Finnley jest

głównym bohaterem i z natury rzeczy każdemu chodzi o niego, a szczególnie Avery. NPC-e nie mogą sobie bez niego nawet trafić palcem do nosa: tylko on może ścigać złoczyńców, ratować indiańskie wioski i zdejmować kotki z dachów, a poszukiwacze złota moczą sita tylko dla zachowania pozorów, żeby zostało więcej dla niego. „Och, Finnley, dobrze, że jesteś! Czekaliśmy z tym pożarem specjalnie dla ciebie na wypadek, gdybyś chciał se wziąć tego questa!”. A co gdyby dla odmiany nie chodziło o Finnleya?

Jacek cmoknął z politowaniem.

– Słyszałeś o czymś takim jak umowność? Finnley musi, po prostu musi być najbardziej zajebistą postacią i wszystko powinno się kręcić wokół niego. To może się wydawać absurdalne nam, bo cały czas próbujemy sobie wyobrazić, że świat RFF jest rzeczywisty, ale podczas gry tego nie widać. Ludzie oczekują, że będą grać największym badassem, a nie numerem dwa.

– No tak, jasne, przecież nie chodzi mi o to, że chcę zrobić grę o O'Reillym! Dobra, od początku, bo chyba chaotycznie mówię. Potrzebujemy nieprzewidywalnego twistu, dzięki któremu motywacja Avery z jednej strony pozostanie tajemnicza, a z drugiej będzie całkowicie wiarygodna. Tak? A czy jest coś bardziej niewytłumaczalnego, a jednocześnie łatwiejszego do zrozumienia i bezdyskusyjnego niż uczucia? Wszystkie niekonsekwentne działania Avery nabierają sensu, jeśli założymy, że ona była po prostu zakochana. I to – uwaga: twist – nie w Finnleyu. Przecież w RFF2 jest mowa o tym, że poznała O'Reilly'ego w ciągu tych dziesięciu lat, kiedy nie widziała się z Finnleyem. A co tam z nim robiła i jaki mieli układ, nie wiadomo, więc możemy sobie to dopowiedzieć, jak chcemy. Mogę wam to rozpisać na tablicy i...

– Nie podoba mi się to – oświadczyła Asia zdecydowanie. – Widzę, do czego zmierzasz, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że Avery miałaby być takim słodkim pluszakiem, który robi wszystko z miłości. Avery jest wredna. To wiemy na pewno.

– Ale ja nie mówię, że zrobimy z niej romantyczną idiotkę w różowej sukience, która na koniec wyskoczy z gadką o tym, że miłość wszystko zwycięża. Tak, Avery jest wredna, bo jest nieszczęśliwa w miłości. To chyba jasne, że taka zimna suka

jak ona średnio sobie radzi z uczuciami i prędzej odstrzeliłaby gościowi głowę, niż powiedziała szczerze, co czuje.

– No to skoro aż tak kocha O'Reilly'ego, to czemu przez dwie części RFF łąziła za Finnleyem, hę? To bez sensu! – Asia z irytacji świsnęła tam i z powrotem zamkiem błyskawicznym w bluzie. Zabrzmiało to jak opadająca gilotyna i Jacek odsunął się od niej o kilka centymetrów.

– Dusia blefuje, January mówi prawdę – zawyrokował Paweł uroczyście. – Posłuchaj tylko: Avery czuje, że jest coś Finnleyowi winna – ostatecznie uciekł z nią z domu, kiedy byli dziećmi, opiekował się nią, potem uratował jej życie nad jeziorem Clearwater i tak dalej. No więc teraz z jednej strony chciałaby mu się odwdziaczyć, a z drugiej półświadomie ciągle go karze za to, że nie jest O'Reillym. Poza tym Avery z Finnleyem czuje się o wiele bezpieczniej i swobodniej, bo nie jest w nim zakochana. Może nawet wydaje jej się, że wolałaby kochać Finnleya, który zgrywa twardziela, choć serce ma gołębnie, ale niestety woli niegodnego zaufania obszarpańca i koniokrada O'Reilly'ego. Zdarza się, nie? – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ok, ale jak wy chcecie to wszystko pokazać, skoro nawet nie mamy O'Reilly'ego na pokładzie? – nie rezygnowała Asia. – Mat uwali ten pomysł już na wstępie, bo przecież trzeba by go teraz dokleić na siłę do gry. I niby gdzie?

– We flashbackach możemy mieć nawet słonia na wrotkach – wtrącił Paweł wesoło i udał, że nie zauważa urażonego spojrzenia Asi. – Albo wiecie co? Dałoby się go wstawić na miejsce Chrisa Abbotta, przecież on już od kilku iteracji jest w zasadzie zbędny w tej fabule. To by nawet fajnie wyszło: spotykasz O'Reilly'ego co jakiś czas, ale nie przeczuwasz, że na koniec okaże się ważny. A jeśli chodzi o model, to kadłubek może mieć genericowy, a gębę koncepciarze zrobią mu na szybko na podstawie tej z RFF2.

– Będą marudzić, że znowu dokładamy im coś, czego nie było w planie – zauważyła Asia.

– Rzeczywiście, strasznie będą zdziwieni: przecież w tej firmie takie rzeczy nie zdarzają się dwadzieścia cztery godziny na dobę. No to co? Ktoś ma jeszcze jakieś ale? – Marcin rozejrzył się dookoła.

– Ja jestem za – powiedział Jacek. – W *Złocie dla naiwnych* Avery i O’Reilly zachowywali się tak dziwnie, że spokojnie możemy to sprzedać jako burzę sprzecznych namiętności. I jeszcze wyjdzie, że od początku tak to planowaliśmy.

– Paweł?

– No jak dla mnie super. Serio. Najbardziej podoba mi się twist, że Avery od samego początku chodziło o kogoś innego. Moglibyśmy podbudować O’Reilly’ego, tak żeby teraz aż do końca wydawał się kumplem Finnleya, to będzie jeszcze lepszy efekt: jak to? Avery woli mojego sidekicka? Nie widzi, że ja mam fajniejszą broń, odblokowane wszystkie poziomy rozwoju postaci i tak w ogóle, halo, ja jestem głównym bohaterem! He, he – zachichotał Paweł. – Całkiem jak w życiu.

– Ja się poddam – wymamrotała Asia i ukryła twarz w dłoniach. Marcin nad jej pochyloną głową wymienił spojrzenia z resztą teamu.

– Poddajesz się w sensie: nie chcesz z nami gadać? – zapytał delikatnie.

– Nie. W sensie: dobra, trudno, zrobmy to. – Wyprostowała się i spróbowała uśmiechnąć się dzielnie do Marcina. – Nienawidzę tego O’Reilly’ego jak psa, ale niech będzie. To coś nowego i chyba rzeczywiście ma sens. Cholera, nie wierzę, że to powiedziałam.

– Mazurek?

– Mhm. Może być. Obojętne.

– No to świetnie. – Paweł wstał, jak zwykle pełen energii. – Marcin, to wy z Asią i Mazurkiem idźcie do pokoju Jaśka i zaczniecie lepić na szybko [pitch](#) dla Mata. Jacek niech ogarnie wszystkie bugi i taski, żeby Tyrowicz się nie czepiał, i potem do nas dołączy. A ja sprawdzę, który team ma dziś jako ostatni spotkanie z Matem, i poproszę ich, żeby nam oddali ten slot.

– A nie lepiej, żeby Asia poszła to załatwić? – zapytał niepewnie Marcin.

– *You know nothing, Jon Snow* – prychnął Jacek, poprawiając okulary. – Asia zaraz zaczęłaby im grozić i się awanturować, a Stentorowi zwyczajnie nikt nie odmówi. Widziałeś, ilu ludzi codziennie przychodzi do niego po pomoc? Nie oddać mu przysługi, to jak prosić się o siedem lat pecha. Dobra, bierzmy się do roboty. Rany, ale będę zdziwiony, jeśli coś z tego wyjdzie.

Cały na biało

– Pamiętaj, będziesz miał najwyżej pięć, góra sześć minut – pouczała Asia, obchodząc Marcina dookoła z rękami założonymi na plecach. – Potem Mat zacznie się krzywić, marudzić i protestować. Ale nawet wtedy masz szansę, tylko pod żadnym pozorem go nie słuchaj, cokolwiek by mówił, tylko dalej wal swoje. W końcu i tak się wetnie, ale im więcej zdążysz mu do tej pory sprzedać, tym lepiej. Musisz być czujny jak lampart, szybki jak grzechotnik i głuchy jak nietoperz. Pamiętaj: to nie dyskusja, tylko wojna.

Dochodziła dziewiętnasta. Wszyscy poza Marcinem i Asią leżeli bez życia na podłodze i dochodzili do siebie po intensywnym brainstormie. Jacek zamknął oczy i wyobrażał sobie, że rozbija kokosy pod palmą na bezludnej wyspie, tysiące kilometrów od Nasty Oranges, Paweł obracał w palcach brelok z logo *Wiedźmina* jak różaniec, a Mazurek wpatrywał się sufit.

– Nie przesadzasz trochę?– zapytał bez przekonania Marcin.

Asia zatrzymała się i spojrzała na niego z politowaniem.

– Mat potrafi przegadać samego Jaśka, świeć, Panie, nad jego duszą. Każdego z nas zeżarłby na śniadanie bez masła, a ty dostaniesz fory, bo masz jeszcze dla niego urok nowości. Będzie zaciekawiony. Będzie niepewny. Będzie głodny i będzie chciał już iść do domu. A wtedy... – Asia zawiesiła znacząco głos.

– A wtedy wchodzę ja, cały na biało, i ratuję Nasty Oranges – dokończył posłusznie Marcin.

– Bardzo dobrze. To teraz powtórzmy pitch. Ej, słuchajcie wszyscy i poprawcie mnie, jeśli źle mówię. Avery była zakochana w O’Reillym, który ją jednocześnie pociągał i odstręczał, próbowała się leczyć Finnleyem z tej niezdrowej fascynacji, ale w końcu dała sobie spokój. Postanowiła uciec z O’Reillym, ale banda braci Baird nie zamierzała jej tak łatwo wypuścić, bo przecież Avery znała wszystkie ich meliny, kontakty i tak dalej. Avery finguje swoją śmierć, żeby wmanipulować Finnleya w krwawą zemstę, dzięki której będzie wolna i bezpieczna. No i mamy dobrze zbalansowane zakończenie: gorzkie, bo Finnley wreszcie rozumie, że Avery nigdy go nie kochała, a słodkie, bo mimo wszystko wiedziała, że on jest jedyną osobą, która będzie chciała ją pomścić. I robi to skutecznie, choćby miał sam przy tym zginąć. Czyli taka nagroda pocieszenia: kocham innego, ale to tobie ufam najbardziej na świecie. No i wisienka na torcie: kiedy na końcu Finnley odnajduje Avery, ta jest znów sama, bo tchórz O’Reilly zdążył ją zostawić i zwiać. Co nam daje bardzo smakowity ostateczny wybór. Wszystko się zgadza?

– Tak. Niech on już idzie. To napięcie mnie zabije – powiedział Jacek, nie otwierając oczu.

Asia stanęła przed Marcinem i poklepała go po ramieniu.

– Ech, ech, co za czasy. Żeby producent nam story wymyślał. – Westchnęła nostalgicznie. – Powodzenia. Kilkadziesiąt iteracji temu pewnie poszłabym z tobą. Też byłam kiedyś poszukiwaczką przygód. Ale potem dostałam strzałę w kolano.

Team leader enviro wyszedł z pokoju Mata, trzaskając drzwiami, i prawie staranował Marcina, który ledwo zdążył uskoczyć.

– Sorry – burknął i ruszył korytarzem w stronę kuchni. Marcin popatrzył za nim, bezwiednie zaciskając dłoń na pęku kluczy, które miał w kieszeni. Ciągle nie wiedział, co go wtedy podkusiło, żeby je zabrać z kawalerki Jaśka. Najlepiej byłoby je po cichu odnieść, ale czym wtedy zamknąłby za sobą drzwi? Oddać je Soni z przeprosinami – głupio. Pewnie powinien dorobić sobie kopię kluczy, podrzucić te Jaśkowe do mieszkania, a swoje zniszczyć. Tylko ciągle o tym

zapominał, bo tyle się działo. Na razie traktował te klucze jako rodzaj talizmanu i nosił przy sobie.

Wziął głęboki oddech i wszedł do pokoju game directory. Mat siedział przy komputerze i bardzo szybko coś pisał: palce latały mu po klawiaturze jak pająki w ataku epilepsji. Rzucił wchodzącemu Marcinowi pytające spojrzenie, zmrużył powieki, jakby niedowidział, po czym w jego ciemnych oczach odbił się krótki błysk rozpoznania.

– A, Marcin, cześć. Słyszałem, że testerzy oddali wam ten termin, czyli pewnie coś pilnego, hm? Daj mi tylko moment, muszę napisać uspokajającego maila do enviro, bo coś czuję, że Jurek przedstawi im nowe wytyczne jako zrzuć Little Boya na Hiroszimę i zaraz tu wszyscy przylecą protestować – uśmiechnął się pod nosem. Chociaż miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki, wyglądał na ożywionego i pełnego energii. Ciekawe, czy coś bierze, pomyślał mimowolnie Marcin i sam od razu wyśmiał tę myśl – nie ma po co. Już zdążył się zorientować, że wszyscy po kilku miesiącach crunchu chodzą jak na haju, nabuzowani stresem i kofeiną, wpadają z uśmiechem na ściany, widzą jakieś fruujące robaczki tuż na krawędzi pola widzenia i wszędzie czują pizzę. Niektórzy nawet słyszą głosy. Według Mazurka głosy mówią zazwyczaj: „Ej, ty, wstawaj. Tu nie możesz spać”.

– Jakies problemy? – zapytał uprzejmie Marcin i usiadł na fotelu naprzeciwko Mata. Game director pogroził mu palcem.

– Nie problemy. Wyzwania. Wiesz, w RFF4 lokacje to miała być ta łatwa część. Jako że to jakby podsumowanie całego cyklu, Finnley wraca do miejsc znanych z poprzednich gier i patrzy, jak się wszystko zmieniło. Tam, gdzie kiedyś był gabinet dentysty, otworzyli piekarnię, komuś spłonął dom, w burdelu dostawiono całe nowe piętro i przybudówkę, rozwinęły się przedmieścia... To miał być taki ukłon dla fanów, którzy są z nami od początku, i będą pamiętać, jak to wyglądało trzy gry temu. To był dobry pomysł – powiedział w zadumie, na chwilę odrywając się od pisania. – Od RFF1 ciągniemy na tym samym silniku, więc po prostu przekopiowaliśmy levele i mogliśmy od razu na nich lepić nowe rzeczy. Naprawdę fajna sprawa: wyobrazić sobie, jak w przeciągu kilku lat zmieniło się jakieś miasto

czy osada. Ale potem zaczęliśmy się spinać, że skoro odnawiamy dawne lokacje, to ktoś się może przyczepić, że po prostu odcinamy kupony, więc efekt musi koniecznie urywać dupę. Dotąd trwają debaty, co ma się zmienić, a czego na pewno nie wolno usuwać, bo buduje klimat nostalgii, ludzie się awanturują i obrażają... Ale to dobrze – już teraz widać, jak bardzo wszyscy są przywiązani do starych lokacji i że zmiany rzeczywiście budzą emocje. Fani pewnie zareagują tak samo, więc musimy im dać coś naprawdę zajebistego. I damy, choćbyśmy się mieli pozabijać nad tymi projektami. – Nagle przestał klikać i odsunął się siebie klawiaturę. – Dobra, wysłane.

Oparł łokcie na biurku, a brodę na dłoniach, jak zasłuchany uczeń i rzucił Marcinowi zachęcające spojrzenie.

– No, dawaj. Macie jakiś nowy pomysł, prawda? Super. Jestem bardzo ciekawy.

Wieczór w domu

Z minuty na minutę fotel robił się coraz bardziej niewygodny, ale Krzysiek postanowił jeszcze trochę wytrzymać. W pokoju panowała całkowita cisza, przerywana od czasu do czasu cichym skrobaniem ołówka po papierze. Ten spokój i bezruch tak go rozstrajały, że z nerwów zaczął obgryzać paznokcie. Kiedy się na tym przyłapał, szybko opuścił obie ręce i ułożył je sobie na kolanach, jakby pozował do oficjalnego portretu. Mógłby się czymś zająć, zamiast siedzieć jak kołek i cierpieć męki bezczynności, ale przecież nie po to wrócił do domu wcześniej, żeby siedzieć w internecie albo oglądać głupie seriale. Chociaż zaraz, może to byłby dobry pomysł.

– A może coś razem obejrzymy? Na przykład... eee... – Jak na złość nie mógł sobie przypomnieć, czym to się ludzie ostatnio tak emocjonowali w studiu. – *Mad Men*?

– Wiesz, że nie interesują mnie seriale – powiedziała, nawet nie podnosząc głowy.

No tak. Ciągłe zapominał, że Danka zatrzymała się na etapie *Pełnej chaty*, bo później umiała już sama utrzymać książkę w rękach.

Pogapił się trochę bezmyślnie na ścianę i znów zaczął obgryzać paznokcie.

Rzecz w tym, że przyzwyczał się, że kiedy wraca z pracy, Danka już na niego czeka i poświęca mu całą uwagę. Dopiero teraz uderzyło go, że to nie do końca normalna sytuacja – ostatecznie nie była pieskiem, który siedzi cały dzień sam w mieszkaniu i czeka, aż pan łaskawie przyjdzie go wyprowadzić. Dlatego powinien się cieszyć, że wreszcie znalazła sobie jakieś hobby i jest bardziej niezależna. I cieszył się, oczywiście, że się cieszył. No ale chyba mogłaby to odłożyć na inny dzień i chociaż z nim pogadać? Przez chwilę się zastanawiał, o czym zwykle rozmawiali, kiedy mieli dla siebie trochę więcej czasu, ale jakoś nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. To były takie no, zwykłe, codzienne rzeczy. Tematy, nad którymi nie trzeba się zastanawiać i które pojawiają się naturalnie, a nie po godzinie namysłu. Ale cóż, na razie dała mu do zrozumienia, żeby jej nie przeszkadzał, bo musi się skupić.

Podejrzewał, że może to być jakiś rodzaj kary dla niego, chociaż odgrywanie się na kimkolwiek – a zwłaszcza na nim – nie pasowało do Danki. Poza tym to byłoby trochę niesprawiedliwe, żeby urządziła demonstrację właśnie teraz, kiedy drugi wieczór z rzędu siedział bez sensu w domu, żeby sprawić jej przyjemność, podczas gdy w studiu rozgrywały się kolejne akty crunchowej apokalipsy. W tej dręczącej ciszy miał wrażenie, że na odległość czuje, jak przybywa bugów – jakby wzbierał mu pod skórą pryszcz w miejscu, gdzie nie da się podrapać.

A może rzeczywiście przesadził ostatnio? Właściwie nie wracał do domu na noc i widywali się naprawdę rzadko. No dobrze, pewnie należała mu się jakaś nauczka, ale czy nie można by tego jakoś przyspieszyć? Przecież nie jest głupi i potrafi wyłapać morał: ty nie miałeś czasu dla mnie, to teraz patrz, mam ciekawsze rzeczy do roboty niż czekanie na ciebie. Z jego punktu widzenia można by to przewinąć, jak nudną scenę w filmie, i od razu przejść do tej części, kiedy miło spędzają razem czas. Chciał jej nawet jakoś zasugerować, że działa na własną

niekorzyść, przeciągając to, bo w końcu będzie musiał wrócić do porządnego crunchowania, ale nie wiedział, jak to subtelnie przekazać.

Z drugiej strony Danka wcale nie wyglądała na nadąsaną czy pełną ponurej satysfakcji. Pracowała sobie cicho i w skupieniu, nanosząc jakieś dziwne znaczki na marginesy wydruków, i miał wrażenie, że jest jej całkiem obojętne, czy on siedzi obok, czy nie. Nie wiedział, skąd jej w ogóle przyszło do głowy, żeby zająć się korektą, bo nigdy tego przedtem nie robiła. Okazało się, że nie trzeba mieć jakichś specjalnych kwalifikacji – wystarczyło, że Danka miała koleżankę w redakcji jednego z warszawskich wydawnictw, zrobiła jakiś test, szybko nauczyła się tego szyfru korektorów i dostała pierwsze zlecenie.

– A po co w ogóle chcesz to robić? – zapytał zdziwiony, kiedy zobaczył ją z plikiem kartek A4.

– Mogę sobie tak trochę dorobić.

– Ale przecież nie musisz. A może chcesz sobie coś większego kupić? Powiedz, ile ci trzeba, to...

– Nie, nie o to chodzi.

– A co to w ogóle jest, co czytasz? Jakaś powieść?

– Nie. Poradnik dla biznesmanów.

– Ciekawe?

– Nie. Ale przecież nie robię tego dla przyjemności, tylko mi zapłacą.

Zagadkowa sprawa. Jeszcze kilka dni temu Krzysiek upierałby się, że prędzej piekło zamarznie, niż Danka przeczyta coś, na co nie ma ochoty. Właściwie wyglądało to trochę tak, jakby chciała ukarać siebie, a nie jego. Co było już całkiem nedorzeczne.

Krzysiek uznał, że nie dojdzie, o co tu chodzi, dopóki mu sama nie powie – tym bardziej że nie mógł liczyć na żadną książkową podpowiedź. Murakami poszedł w odstawkę, a oprócz „służbowej” książki o biznesie nie pojawiło się nic nowego. Nie wiadomo, czy to dobrze.

Danka ostatnio stała się mistrzynią wysyłania sprzecznych sygnałów – niby nie jest obrażona, ale go ignoruje, nie narzeka na Nasty Oranges, ale kiedy on zaczyna mówić o pracy, cała blednie, jakby jej się robiło niedobrze... No i ta dziwna noc, kiedy przyszła po niego do studia. Po powrocie do domu od razu zaciągnął ją pod gorący prysznic, bo ciągle się trzęsała. Rola opiekuńczego, silnego mężczyzny uzbrojonego w namydloną gąbkę bardzo przypadła mu do gustu, a Danka stopniowo się rozkręcała, chociaż tego wieczoru akurat najmniej by się tego spodziewał. Z łazienki poszli prosto do łóżka i to był najlepszy seks, odkąd sięgał pamięcią. Tak mu się przynajmniej wydawało, prawie do samego końca, kiedy Danka najpierw doszła z krzykiem, a sekundę później wybuchła płaczem. Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło i nie wiedział, co zrobić, żeby ją uspokoić. Przytulał ją, głaskał i mamrotał, że odtąd będzie spędzał z nią więcej czasu, aż w końcu zasnęła. Następnego dnia rano nie chciała o tym rozmawiać, więc uznał, że to wszystko z nerwów albo może była tuż przed okresem (jakoś stracił rachubę, kiedy to wypada). Trochę go jednak ta sprawa dręczyła, dlatego na wszelki wypadek wolał dotrzymać obietnicy – i oto siedział grzecznie w domu, a ona sobie czytała, zamiast się cieszyć.

– Długo ci to jeszcze zajmie? – zapytał i poprawił się w fotelu.

Danka spojrzała na zegarek.

– Nie, zaraz kończę na dzisiaj.

– No to moglibyśmy...

– Ale potem idę odwiedzić siostrę – przerwała mu. Odłożyła ołówek na stół, zsunęła gumkę z włosów i przytrzymała ją w zębach, podczas gdy jej ręce szybkimi ruchami rozplątały, a potem splotły na nowo skomplikowany, asymetryczny warkocz, który opadł jej wdzięcznie na jedno ramię. Zawsze go dziwiło, jak ona potrafi to zrobić, zupełnie nie patrząc w lustro.

– O. Nie wspominałaś, że jesteście na dziś umówione.

– Nie jesteśmy. To będzie niespodzianka.

– Rozumiem. A... kiedy planujesz wrócić?

– Nie wiem dokładnie. Przed północą.

– Aha – ucieszył się. – To ja może tylko na chwilę skoczę do studia i kiedy mi wyślesz sms-a, że już jedziesz, to wyjdę i spotkamy się w domu, co?

– Czemu nie – mruknęła i poszła się umalować.

Załatwione

Kiedy Marcin wrócił ze spotkania z Matem, cały jego team siedział w szwalni, próbując nadrobić stracony czas i nerwowo sprawdzając tabelki z zadaniami. W pokoju jak zwykle panował taki szum, że zauważyli go dopiero, kiedy stanął między biurkami Pawła i Asi.

– No i? – zapytał Jacek. Zapisał zmiany i dopiero wtedy odwrócił się do Marcina.

– Świetnie! – odpowiedział z takim entuzjazmem, że wszyscy na niego popatrzyli. – Matowi bardzo się spodobał nowy pomysł. Powiedział, że jest mile zaskoczony naszą kreatywnością i tym, że tak szybko to złożyliśmy do kupy. Miał drobne zastrzeżenia, ale ogólnie był bardzo zadowolony. Trzy razy to powtórzył.

Asia rzuciła Jackowi nieodgadnione spojrzenie.

– A jakie są te, hm, zastrzeżenia? – zapytał Paweł Stentor i potarł dłonią kark. Też miał dziwną minę.

Marcin zerknął do swoich notatek.

– No, trochę się krzywił, że wrzucenie O'Reilly'ego do fabuły oznacza, że musimy mu dać o wiele więcej miejsca na mainie, niż planowaliśmy dla Chrisa Abbotta. I pewnie trzeba by mu poświęcić przynajmniej jeden cały flashback, a flashbacki miały być całe dla Avery i źle byłoby osłabiać jej wątek kosztem O'Reilly'ego. Mat martwił się też, że bardzo wydłużyłby się końcowy dialog, w którym wszystko się wyjaśnia. No i zupełnie nie widział tego, że O'Reilly jako rywal staje się nagle – jakby nie było – Głównym Złym, a Finnley na końcu nawet nie może obić mu mordy. Miał też wrażenie, że to wszystko może wyjść mało

efektownie i tak trochę trywialnie, a przecież nie chcemy robić z Finnleya takiego męża-rozacza, naiwnego pocziwca, który się nie zorientował, że jego kobieta leci na innego. Tak więc lepiej, gdyby dało się wyjaśnić dziwne zachowanie Avery bez angażowania osób trzecich, tak żeby wszystko jednak rozgrywało się między nią a Finnleyem. – Przewrócił stronę w notesie. – Hm, jest jeszcze tego trochę. No ale, jak mówiłem, ogólnie bardzo mu się podobało. I nawet znalazł na szybko prowizoryczne rozwiązania dla tych wszystkich problemów...

– Znaczy, miał jakiś konkretny pomysł?

– Noo, właściwie nie. Taki raczej pomysł na pomysł. Rzucił kilka sugestii, w jakich kierunkach mniej więcej powinniśmy iść i czego szukać.

– Aha. Czyli uwalił nową fabułę – powiedziała spokojnie Asia i odwróciła się do monitora.

Wszyscy pozostali bez słowa wrócili do pracy.

Niespodzianka

Danka wysiadła z autobusu i wyjęła kartkę, na której zapisała sobie adres – nigdy nie miała pamięci do cyfr. Dwadzieścia sześć przez piętnaście. Sprawdziła wcześniej, jak tam dojść z przystanku, więc bez wahania skrzyła we właściwą przecznice.

Do Wigilii brakowało już tylko kilka dni i powoli robiło się jasne, że w tym roku nie będzie białych Świąt. Właściwie gdyby nie te wszystkie agresywne dekoracje, można by pomyśleć, że to wciąż listopad. Danka zawsze ciężko znosiła zalew świątecznego kiczu, bo ludzie po prostu nie wiedzieli, kiedy przestać. Im więcej plastikowych Mikołajów, witrażkowych aniołków, pozłotki, reklam coli i obrzydliwych mazajów ze sztucznego śniegu na szybach, tym cieplej powinno jej się robić na sercu. Jasne. Przechodząc przez oświetlone kolorowo ulice, czuła się, jakby ktoś wmuszał jej szarlotkę, do której wsypał kilo cynamonu.

Na szczęście w Herminie pod tym względem zachowano umiar. Danka myślała, że ustrojenie kawiarni będzie należało do jej obowiązków, tymczasem któregoś poniedziałkowego ranka (w weekendy za barem stała siostrzenica szefa) kiedy weszła do środka, uderzył ją aromat świeżej jedliny i ze zdumieniem stwierdziła, że już wszystko gotowe. Po dyskretnych, pastelowych dodatkach rozpoznała rękę tajemniczej żony szefa, a na kontuarze leżały pudełka ze świeżym włoskim panpepato z bakaliami, gorzką czekoladą i pieprzem. W tamtej chwili, kiedy stała w cichej, nieoświetlonej kawiarni, otoczona zapachem żywicy, pomyślała, że to będzie najmiłsza chwila tych Świąt.

Chociaż zaraz może się okazać, że się myliła. Gdyby to była świąteczna komedia romantyczna, wszystko musiałyby się skończyć happy endem i wpadaniem sobie w ramiona przy dźwiękach *Have yourself a merry little Christmas*. Sęk w tym, że Danka nie znosiła takich filmów (z wyjątkiem *Love actually*), więc ta myśl nie dodała jej otuchy.

Stała pod blokiem numer dwadzieścia sześć i zadarła głowę do góry.

Nie miała pojęcia, czego oczekiwać po tym spotkaniu. I czy naprawdę powinna tu przychodzić. Zerknęła na domofon mżący lodowatym błękitem i zawahała się. Czuła, że nie jest jeszcze gotowa, ale z drugiej strony wiedziała, że jeśli poczeka z tym do samych Świąt, w pewnym sensie będzie się to mniej liczyć.

Już sięgała palcem do jedyńki, kiedy zauważyła, że drzwi są niedomknięte. Natychmiast uznała to za pomyślny znak, bo nie znosiła rozmawiać przez domofon – strasznie trudno tak zrobić komuś niespodziankę.

Na klatce pachniało rozgrzаныmi kaloryferami i kurzem. Wbiegła szybko po schodach, a potem stała dłuższą chwilę przed drzwiami, żeby uspokoić oddech. W końcu z bijącym sercem nacisnęła dzwonek. Kiedy usłyszała, że ktoś po drugiej stronie manipuluje przy zamku, odruchowo poprawiła czapkę i wyprostowała się. Drzwi otworzyły się z rozmachem na całą szerokość, tak jakby też były zaskoczone tymi odwiedzinami.

– Danka?

Gośka miała na sobie rozciągniętą bluzę od dresu z zakasnymi rękawami, a krótkie ciemne włosy ściągnęła w śmieszny kitkę na czubku głowy. Oczy jej błyszczały, a na twarzy miała rumieńce, które odejmowały jej dobrych dziesięć lat. Najwyraźniej właśnie sprzątała, korzystając z tego, że dzieci poszły już spać. Gośka uwielbiała sprzątać.

Danka gapiła się na nią bez słowa. Bardziej niż zwykle uderzyło ją, jak bardzo jej starsza siostra jest podobna do ojca – te same proste, gęste brwi („tylko żadnych numerów”) i zdecydowane, wąskie usta („lepiej uważaj”). Nie wyglądała na zachwyconą jej widokiem, ale Dance i tak coś urosło w gardle i zaczęło dławić.

– Coś się stało? – Gośka obiegnęła ją zdziwionym i trochę podejrzliwym spojrzeniem, a potem jej wzrok powędrował w dół, jakby się spodziewała, że zobaczy tam walizkę. Danka niemal słyszała jej myśli: „Ten oszołom, z którym mieszka, wyrzucił ją z domu? Albo może pobił? Wszyscy wiedzą, że gry uczą przemocy”.

– Cześć. Nic się nie stało. Po prostu przyszłam do ciebie.

Gośka uniosła brwi z dziwną miną, przyjrzała jej się jeszcze raz, po czym zatarła ręce, nie wiedząc, co z nimi zrobić. Na koniec wzruszyła ramionami.

– No to wchodź.

Miraż ostatniej iteracji

Marcin nie podniósł głowy znad biurka, kiedy Asia zajrzała do pokoju Ritmeijera. Uparcie studiował rozłożone przed sobą wydruki i nie zareagował nawet, kiedy usiadła naprzeciwko, oparła brodę na dłoni i wpatrzyła się w niego z tym swoim kpiącym – był tego pewien! – uśmieszkiem. Cisza przedłużała się, gęstniała i naciskała na bębenki, aż zaczęło mu pisać w uszach. No dobra.

– Tak, wiem, ostrzegałaś. Tak, wiem, od samego początku miałaś wątpliwości co do tego O’Reilly’ego.

– Jeśli cię to trochę pocieszy, Mat nie robi tego złośliwie. Jemu rzeczywiście chodzi tylko o podnoszenie jakości gry. – Asia co prawda przyjęła matczyne, kojący ton, ale kącik ust drgał jej jak zwykle.

– Nie pocieszy – burknął. – Ta nowa fabuła nie była zła. Znaczący, teraz wydaje mi się całkiem chujowa, ale te parę godzin temu naprawdę wierzyłem, że to mamy. A Mat... tak ciągle pomaga wszystkim, angażuje się i doradza, że myślałem, że on jest takim jakby Pawłem Stentorem i...

– No proszę cię. Stentor tak się ma do niego jak Pomysłowy Dobromir do Deadpoola. Mat zajmuje się na co dzień sianiem chaosu i rozpętywaniem apokalipsy we wszystkich działach po kolei. Idziesz do niego, żeby zaraportować postępy w pracy, i dowiadujesz się, że to już nieaktualne, bo właśnie miał nowy pomysł.

– To czemu ludzie sami tak się do niego pchają? Nie lepiej robić swoje i siedzieć cicho?

– Na początku każdy tego próbuje, ale to jak chowanie się przed dentystą – w końcu i tak musisz tam pójść, a boli o wiele bardziej. No i w ostatecznym rozrachunku to, co Mat proponuje, to zmiany na lepsze. Bo zwykle nie jest tak, że on tylko rozpieprza wszystko i nic nie daje w zamian. A nam naprawdę trudno upierać się, że chcemy coś zrobić na czwórkę z plusem, skoro właśnie się okazało, że już wiadomo, jak to zrobić na szóstkę. Mówi się, że gamedev to nie jest praca dla perfekcjonistów, ale ta zasada nie sprawdza się w przypadku szefów. A przecież trudno winić Mata za to, że z czasem ma coraz lepsze pomysły. Na tym właśnie polega praca iteracyjna.

– No dobra, ale ile razy można wszystko zmieniać? Kiedyś trzeba w końcu powiedzieć stop i pracować na materiale, który mamy, bo ta gra nigdy nie wyjdzie. Ale serio, nie śmiej się. Jest taka zabawa w przedszkolu: dzieciaki biegają dookoła krzeseł, biegają, biegają, a kiedy opiekun klaśnie, trzeba szybko siąść na krzesło i nie dać się zepchnąć, bo jest o jedno za mało. W sensie, klaśnięcie jest nieuniknione, o to mi chodzi.

W tej chwili do drzwi zapukał Paweł i nie czekając, aż go zaproszą, wszedł do środka. Na widok jego poważnej, szczerze zmartwionej miny, która tak bardzo do niego nie pasowała, Marcin nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Paweł, ty mi powiedz. Jak wy sobie dajecie z tym radę? Łyknęliście tę dzisiejszą porażkę jak młody pelikan cegłę.

– Wprawa – zachichotał, natychmiast wracając do swojego zwykłego sposobu bycia. Z rozmachem usiadł na biurku Jaśka, aż zatrzeszczało. – Co prawda zwykle to Jasiek odrzuca nasze pomysły, a nie Mat, ale wychodzi na to samo. Trochę pomaga, że Ritmeijer jest bardzo sprawiedliwy i jak Bóg nie ma względu na osoby. Kiedyś kategorycznie odrzucił swój własny konspekt fabuły po dwóch godzinach od wymyślenia go.

– W końcu człowiek się przyzwyczaja – stwierdziła Asia. – Kiedy po raz setny wyleci kolejny pomysł, na którym ci zależy, zaczynasz czuć takie miłe odrętwienie. Ale, jak sam widziałeś, łatwo nas zanęcić fajną fabułą. Ciężko z jednej strony ciągle strzelać nowymi pomysłami i się angażować, a z drugiej patrzeć, jak ktoś następnego dnia wywala je do śmieci, ale jeśli nie potrafisz tego zrobić, to albo szybko się wypalasz, albo w końcu dostajesz szau i mordujesz creative directora.

– Chcesz nam coś powiedzieć?

– Gdybym to ja zaczęła zabijać, załatwiłabym sprawę kompleksowo, tak żebyśmy nie musieli crunchować. Pozbycie się Jaśka niczego nie rozwiązało. No? Co masz taką minę?

– Coś sobie przypomniałem. – Marcin odłożył na biurko figurki Lego, którymi się bawił, i wyprostował się. Może to jednak nie był całkiem stracony dzień: zrobił coś dobrego dla teamu. – Słuchajcie, kiedy tak rozmawiałem z Matem, zasugerowałem, że skoro mamy dalej pracować nad fabułą, bez sensu, żebyście teraz crunchowali. Siedzenie po dziesięć–dwanaście godzin w pracy nie sprzyja raczej kreatywności, prawda? No więc Mat zgodził się, żebyście pracowali osiem.

– Że co?

– Jesteście zwolnieni z crunchu na czas nieokreślony. Cały team. Załatwiłem wam to, a potem zapomniałem powiedzieć – rzucił skromnie, jakby nie było to nic wielkiego.

Paweł poczerwieniał i wyglądał, jakby zaraz miał się udusić.

– No, no, spokojnie – powiedziała Asia, poklepując go po kolanie, po czym zwróciła się do Marcina z karcącą miną: – Weź go nie strasz, bo nam wykorkuje. I wyjaśnijmy sobie tę sprawę od razu: nie musimy obowiązkowo zrezygnować z crunchu, tak? Możemy odmówić?

– Yyy? Ale...

– Znaczy, dzięki i w ogóle wow, jak to zrobiłeś, mój bohaterze?, ale nie skorzystamy. Bo widzisz, może i moglibyśmy przychodzić tylko na osiem godzin, ale lista tasków pozostałaby taka sama. Tyrowicz nie odpuści. Czyli musielibyśmy zrobić tyle co przedtem, ale w krótszym czasie. Średni interes. I to jeszcze ty miałbyś tego dopilnować – bo jesteś naszym producentem, a nie creative directorem, przypominam.

– Nie... nie możemy tak po prostu przestać crunchować – powiedział nerwowo Paweł. – To... to niewłaściwe. Poza tym jak by to wyglądało? Musimy być lojalni wobec pozostałych zespołów.

– Ok, ok – Marcin podniósł ręce do góry, jakby się poddawał – ale... gdybyście chociaż pracowali teraz nad czymś sensownym. A z tego, co się orientuję, to w tym tygodniu robicie od nowa to, co skończyliście w zeszłym tygodniu i co Mat już klepnął, ale potem zmienił zdanie. Tak, wiem, że to normalka, ale naprawdę nie kusi was, żeby opuścić jedno okrążenie? To tak, jakbyście zrobili sobie dziesięcioodcinkową przerwę w oglądaniu wenezuelskiej telenoweli: nawet nie zauważylibyście różnicy.

– Yyy, nie? – Paweł Stentor popatrzył na niego jak na wariata, za to Asia westchnęła marzycielsko.

– Och, a ja chętnie. Opuścić chociaż jedną iterację... Byłoby bosko. Ale to zbyt ryzykowne dla takich małych zuczków jak my. A co gdyby właśnie ta iteracja

okazała się ostatnia? – zapytała dramatycznie.

– A jest w ogóle coś takiego? – Marcin uśmiechnął się krzywo. Chętnie jeszcze by się nad sobą poużalał, ale przy nich humor wyraźnie mu się poprawiał. Obecność Asi jak zwykle działała ożywczo, a promieniujący pozytywną energią Stentor był nawet lepszy niż filmiki ze słodkimi szczeniaczkami.

– Pewnie, że jest. Napiszę kiedyś taką powieść: *Ostatnia iteracja*. – Asia odchyliła się w fotelu i zaplotła ręce na karku. – To będzie czysta fantastyka. I będę tam miała elfie zombie. I steampunkowych reptiliańskich kowbojów w kosmosie. I zmutowane syreny. Z nogami. I wszystko-wszystko, na co mi Jasiek nie pozwalał. To go nauczysz.

Drzwi od pokoju Ritmeijera otwały się znowu.

– Skończyliście go już pocieszać? – zapytał Jacek, wsuwając głowę do środka. – Jeśli tak, to chodźcie, bo pizza przyjechała. I zaraz zostanie sama z ananasem.

Jak ubierają się superbohaterki

Od pewnego czasu dla Neli głównym kryterium wyboru sukienki była nie cena czy oryginalność kroju, ale to, ile odsłania. Im mniej, tym lepiej. Nie miała zamiaru pozwolić, by ktoś sobie coś pomyślał – na przykład, że desperacko chce zostać zauważona, dlatego szczuje cystem. Tak więc kreacje w stylu Emmy Frost odpadały (zresztą, nawet nie była blondynką). Rok temu przebrała się za Meridę, co okazało się strzałem w dziesiątkę: pseudoceltycka szata sięgała do samej ziemi, miała minimalny dekolt i długie, powiewne rękawy. Teraz przydałoby się coś podobnego, ale jakoś nie miała pomysłu.

Podobnie jak superbohaterki bardzo ceniła sobie wygodę, ale pojmowała ją trochę inaczej – one przykrywały lateksem tylko niezbędne minimum, żeby ciuchy nie przeszkadzały im saltach i lataniu, ona chciała czegoś, w czym mogłaby usiąść, nie powodując powszechnego poruszenia i popłochu.

To powinno być coś specjalnego, ale jednak nie za bardzo – żeby nikomu czasem nie przyszło go głowy, że jej zależy i że spędziła całe godziny, przygotowując kostium. Nie mogła też ubrać się zbyt elegancko, jak do teatru, bo uznają, że nie umie się bawić. Chodziła po sklepach już od kilku godzin, coraz bardziej zmęczona, zła i zgrzana. Kiedy ją zobaczę, będę wiedziała, że to ta – powtarzała sobie jak mantrę. W końcu z desperacji weszła do sklepu, który zawsze omijała, bo podejrzewała, że jest skandalicznie drogi (brak cen na wystawie to zawsze bardzo zły znak). Oczywiście było tam pusto i od razu podeszła do niej wyfiokowana pinda z kokiem zaczesanym tak mocno, że oczy prawie wyłaziły jej na wierzch. Nela najeżyła się i już miała burknąć, że chciała się tylko rozejrzeć, kiedy z wieszaka na wprost wrzasnęła do niej szmaragdowa sukienka z rękawkami z wzorzystego szyfonu.

– Chciałam to przymierzyć – wybełkotała. Ekspedientka uniosła wyszczypane w cienkie kreski brwi i uśmiechnęła się tak miło, że Nela natychmiast wyczuła w tym podstęp.

– Ależ oczywiście. Proszę, tu jest przymierzalnia. – Uniosła rękę ruchem tak dystyngowanym, jakby wskazywała w muzeum na wybitne dzieło sztuki. Na pewno zauważyła, że Nela ma zmechaconą czapkę i przetarte mankiety w kurtce.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zawołać – powiedziała, gdy Nela z nabożeństwem zdjęła z wieszaka zielone cudło. „Beznadziejny przypadek, ale nikt mi nie zarzuci, że nie próbowałam czegoś z tym zrobić” – przetłumaczyła sobie posępnie jej słowa.

Sukienka odsłaniała znacznie, znacznie więcej niż można było sobie pozwolić, ale Nela postanowiła nie zdejmować jej przez chwilę, żeby chociaż nacieszyć się widokiem. Poza tym niespieszno jej było wychodzić i garbić się pod wzrokiem tej małpy. „Och, oczywiście. Pewnie za ciasna. Ale może wybierze pani coś innego? Nie? Tak myślałam”.

Nela wyduła wargi i obróciła się bokiem. Szczególnie podobał jej się ten roślinny ornament, który wił się po ramionach i oplatał talię jak powój. Przesunęła ręką po szwie – pasowało idealnie. I kolor był naprawdę wyjątkowy: jak leśny

mech. Bardzo pasuje do brązowych oczu. Sukienka była po prostu idealna – gdyby zależało jej akurat na tym, żeby ustrzelić jakiegoś faceta. Nie takie były wytyczne – przypomniała sobie surowo. Ale może mogłaby kupić tę sukienkę na inną okazję? Nie miała aż tak wiele ładnych kiecek. Oczywiście zależy, ile kosztuje. Nela poszukała metki, którą przyczepiono na cieniutkim sznureczku z tyłu i, zezując, zerknęła na cenę. Arghhh. No, ale tego należało się spodziewać po takim sklepie. Dała cenie czas do namysłu, po czym spojrzała na metkę jeszcze raz. Arghhh, naprawdę aż tyle. Nela jęknęła w duchu. Nie chodziło o to, że nie miała pieniędzy. Miała, aż nadto (w crunchu to jest dobre, że nie ma kiedy i na co wydawać). Tylko nie planowała ich przeznaczyć na jedną kieckę. Ok, skup się. *That's not the dress you are looking for.* Przycisnęła pięść do czoła i zacisnęła powieki, pooddychała głęboko, ale kiedy otworzyła oczy, dalej chciała ją kupić.

Cofnęła się na tyle, na ile pozwalała wielkość kabiny, i zmierzyła się krytycznym spojrzeniem od góry do dołu. A może trochę przesadzała? Wszyscy i tak będą patrzeć na Karolinę, więc jeśli nie założy czegoś przyciągającego wzrok, ją będą traktować jak mebel. To tak, jakby pogłośnić muzykę w mp3-ce w zatłoczonym tramwaju – przekonywała się. Wcale nie chodzi o to, że ta sukienka jest tak piękna i magiczna, że Mat powinien paść na jej widok.

Kiedy po pół godzinie Nela wyszła wreszcie z przebieralni, ekspedientce wystarczył tylko krótki rzut oka na sposób, w jaki trzymała sukienkę.

– A może obejrzy pani również dodatki?

Big bada bum

Mat przekręcił powoli klucz w drzwiach i cicho wślizgnął się do mieszkania. W przedpokoju było zapalone światło, a z salonu dobiegały dziewczęce głosy, śmiech, a w tle odgłosy strzałów. Najwyraźniej Julka i jej kumpela były w stanie oglądać film i jednocześnie plotkować. Ciekawe, co to, swoją drogą. Postał chwilę, a kiedy przez odgłosy serii z karabinów maszynowych i wybuchów przebił się

ostrzy, wibrujący pisk Ruby'ego Rhoda, pokiwał głową. *Piąty Element*. Scena po występie Divy Plavalaguny. Zaczął zdejmować kurtkę, próbując jednocześnie wyłowić pojedyncze słowa z rozmowy dziewczyn, ale wszystko zlewało się z hukami, głosem Bruce'a Willisa i gulgotaniem mangalorskich wojowników. Doszedł za to do wniosku, że to nie z Sarą tam obradują – lekko nosowy sopran tej małej już rozpoznawał. Jakaś nowa koleżanka? Hm, dziwne. Julka chyba nic o tym nie wspominała. A może coś mówiła...? Bardzo lubił jej świergot przy kolacji, ale zwykle nie wsłuchiwał się w niego jakoś specjalnie.

Z głośników dobiegał teraz upiorny dyszkant Ruby'ego, któremu Korben Dallas kazał odliczać.

Skoro Julka zaprosiła nową znajomą do siebie, musiały się naprawdę polubić – zwykle wolała siedzieć sama w domu. To wszystko przez tę szkołę muzyczną. Julka musi dużo ćwiczyć, pomyślał pospiesznie, zanim zdążyło go dopaść to irracjonalne poczucie winy, które od czasu do czasu go atakowało.

– ...*three, four, five, six...* – płakał za strachu Ruby, który już chyba się domyślał, że zaraz będzie big bada bum.

Mat podszedł na palcach do drzwi salonu, uchylił je lekko i zajrzał do środka.

– ...*eight, nine...*

W pokoju panowała ciemność, ale moment później w hotelu Paradise na dalekiej planecie Fhloston cały hol wyleciał w powietrze. Ekran rozjaśnił się i wydobył z mroku twarz Marty. Mat wytrzeszczył oczy i z całej siły pacnął otwartą dłonią we włącznik światła. Pisk Ruby'ego mógłby tłuc szklanki.

Obie podskoczyły i zamrugały oczami jak przestraszone sowy.

– *Ten* – powiedział z satysfakcją Corben Dallas. W tle trzaskały płomienie ognia.

– Tato... Wcześniej wróciłeś.

Mat nie odpowiedział, tylko zmierzył je obie wzrokiem. Siedziały sobie rozwalone na sofie, obstawione wzorzystymi poduszkami z Ikei, miseczkami orzeszków, paczkami chipsów, kulkami zmiętych chusteczek i innymi akcesoriami

pierwszej potrzeby. Na podłodze leżało pudełko po pizzy, a obok ulubiony imbryk Julki do parzenia herbaty, czarki i stosik kolorowych pudełek z DVD. Najwyraźniej zaplanowały sobie prawdziwy maraton filmowy. Pięknie. Tylko co Marta Trzaskacz robiła w jego domu, z jego córką?

– Marta, musimy pogadać – oświadczył grobowym głosem. Julka nawet się nie poruszyła, tylko błysnęła oczami z głębi sofy. Marta westchnęła ciężko i wstała, osypując z bluzy małą lawinę popcornu i papierków po cukierkach. Mat nigdy nie był obsesjonatem, jeśli chodzi o porządek, ale poczuł, że na ten widok szlag go trafia. Ona najwyraźniej czuła się tu jak u siebie!

– No już – powiedział przez zaciśnięte zęby i ruszył do przedpokoju. Marta poszła za nim i przystanęła pod wieszakiem na ubrania. Spojrzała na niego wyczekująco. Oczywiście nie mogli tam rozmawiać, bo Julka wszystko by usłyszała. Mat otworzył drzwi na klatkę schodową i zdecydowanym ruchem ujął Martę za łokieć. Uwolniła się z jego stanowczego chwytu z nieco niepokojącą łatwością i spokojnie wyszła z mieszkania.

Mat zapalił światło na klatce i zamknął za nimi starannie drzwi.

– Tu będzie dobrze? – zapytała z niewinną miną Marta.

W tym momencie Mat uświadomił sobie, że to bardzo, bardzo złe miejsce na takie rozmowy. Ta mała spod czternastki, Kowalska czy jak jej tam, na pewno już wyczuła ruch na klatce, tak jak rosiczka delikatną zmianę powietrza zwiastującą przelot komara, i przylepiła oko do judasza. Był pewny, że stara franca szpieguje dla jego żony, tfu, byłej żony.

Ale oczywiście teraz nie mógł powiedzieć, że muszą iść gdzieś indziej, bo straciłby resztki przewagi moralnej, jaką dawał mu słuszny ojcowski gniew.

– Możesz mi powiedzieć, co właściwie robisz w moim domu? – zapytał twardo.

– Oglądamy filmy Luca Bessona. Możesz się jeszcze załapać na *Leona Zawodowca*.

– Nie zgrywaj się, dobra? – zdenerwował się. – Skąd wy się w ogóle znacie? To jest... O co tu chodzi, hm? Mścisz się na mnie?

Marta wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Za co miałabym się mścić?

– No nie wiem. Że nie zadzwoniłem? – rzucił niecierpliwie.

Parsknęła śmiechem i spojrzała na niego po swojemu, spod grzywki. To właśnie te przekłète białe włosy zwróciły jego uwagę. Nie platynowe, tylko właśnie białe jak świeży śnieg albo mleko. Skojarzyły mu się z Sakuyą Izayoi z *Tohou*. Gdyby nie to, pewnie tamtej nocy wypiłby dwa piwa i wrócił do domu. Chociaż... byłoby szkoda. W pewnym sensie.

– Jak miałeś zadzwonić, skoro nie dałam ci mojego numeru? – zapytała, przekrzywiając głowę.

I wtedy zgasło światło. Mat po omacku znalazł włącznik i nacisnął go szybko, jakby spodziewał się, że w ciemności Marta zamieni się w ropuchowatego Mangalorczyka.

Póki co wyglądała tak samo, jak sekundę temu, chociaż jej irytujący uśmiezek jeszcze się pogłębił.

– No ale nie wiem, mogłem zapytać Staszka Fraszyńskiego.

– Po co miałabym dawać Staszceki mój numer telefonu? – zapytała z odcieniem zgrozy w głosie.

Mat poczuł, że zaczyna tracić kontrolę nad rozmową, która powinna była się rozwinąć w klasyczny opierdół. Dobrze wiedział, jak wyglądają takie pogadanki, chociaż zazwyczaj był po drugiej stronie.

– Dobra, powiedz mi po prostu, czego chcesz od Julki – powiedział stanowczo.

– To raczej ty powiedz, z czym masz problem, Mat – zaproponowała i zmarszczyła brwi. Wepchnęła ręce do kieszeni dżinsów, przygarbiła się lekko i utkwiała w nim gniewne spojrzenie.

Nie zamierzał jej pozwolić odwrócić kota ogonem.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi, ok? Na pewno zdajesz sobie sprawę, że to mega niestosowne. Cała ta sytuacja jest chora. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, przyłóżąc tutaj? – Szło mu ewidentnie coraz lepiej. – Naprawdę nie

widzisz nic złego w tym, że najpierw pieprzysz się ze mną całą noc na każdy możliwy sposób, a potem jakby nigdy nic opychasz się popcornem z moją córką?

– Nie, nie widzę. Wiem, że ostatnio nie jesteś z tymi rzeczami na bieżąco, ale sytuacja, w której nocą posuwasz jakąś laskę, a rano ona robi twojemu dziecku śniadanie, jest zupełnie normalna. Rodzina się to nazywa.

Aż mu zaparło dech z oburzenia. Światło zgasło z doskonałym wyczuciem dramatyzmu, jakby od tych herezji przepaliły się korki. Mat trzepnął dłonią włącznik.

– Ale my nie jesteśmy rodziną! – warknął. – I nigdy nie będziemy, jasne?

W jego oczach było tyle paniki, że nie mogła się nie uśmiechnąć. Na swój sposób Mat naprawdę był ujmujący i nawet jego chłopięce, idiotyczne zacierzewienie miało swój urok. Tamtej nocy to oczywiście ona uwiodła jego i całkiem możliwe, że nawet się nie zorientował. Potem zastanawiała się, czemu miała na niego aż taką ochotę, i dopiero teraz widok tych kapryśnych, delikatnych warg i seksownie zapadniętych policzków, ocienionych dwudniowym zarostem trochę odświeżył jej pamięć. No dobra, może i bywał czasami żalonym dupkiem, ale uch, zaprawdę, zaprawdę mogłaby przymknąć na to oko. Jej spojrzenie chyba wybiło go z rytmu, bo przyglądał jej się z obawą i konsternacją.

– Wyluzuj, Mat – powiedziała spokojnie. – Chodzi mi tylko o to, żebyś nie był takim cholernym hipokrytą.

– Marta, nie zaczynaj... – zaprotestował na wszelki wypadek, chociaż tak naprawdę nie miał pojęcia, do czego ona zmierza.

– To ty zacząłeś, sam mnie tu przyprowadziłeś. Proponowałam, żebyśmy poszli do mnie, ale upierałeś się, że do ciebie jest bliżej – przypomniała mu ze złośliwą satysfakcją.

Rzucił jej zaskoczone spojrzenie, najwyraźniej nie spodziewając się takiego zwrotu akcji. I wtedy znowu zgasło światło.

Tym razem nie włączył go od razu i stali w ciemności bez słowa. Było tak cicho, że Marta mogła słyszeć jego oddech, który po chwili stał się krótki

i pospieszny, jakby zbierał się do ostatecznej, miażdżącej riposty. Ale najwyraźniej nie nadchodziła. Marta otworzyła usta, żeby rzucić jakiś ironiczny komentarz, ale zanim zdążyła cokolwiek wymyślić, Mat westchnął urywanie i niepewnie wyciągnął rękę. Najpierw trafił na ciepły policzek, musnął kciukiem usta, a potem wsunął dłoń w jej włosy. Marta zastygła bez ruchu, czując, jak przyspiesza jej puls i coś dziwnego dzieje się z grawitacją – odległość dzieląca ją od Mata zaczęła jej nagle bardzo przeszkadzać, jakby prawa fizyki domagały się, by ją zmniejszyć, a najlepiej całkowicie zniwelować. Dlatego kiedy przesunął dłoń na jej kark i przyciągnął ją do siebie, nie opierała się.

Pani Nowakowa spod czternastki zakłęła bezgłośnie, porzuciła wizjer, w którym od kilku minut widać było tylko ciemność, i z całej siły przycisnęła ucho do drzwi.

„Nie teraz, nie z nim i – na Boga – nie tutaj!”, rozległ się głos rozsądku w głowie Marty. „To naprawdę bardzo zły pomysł”. Ciekawe, że uruchamiał się za każdym razem, chociaż już od dawna nie słuchała go w takich sytuacjach. Zamiast odkleić się od Mata, pozwoliła mocniej się objąć, wsunęła mu ręce pod koszulę i przesunęła je po napiętych plecach aż na kark. Zacisnęła lekko zęby na jego dolnej wardze i poczuła, jak miękną jej kolana i spada w ciepłą, wirującą ciemność.

Mat znieruchomiał nagle, w pół pocałunku, a potem odsunął się zdecydowanie. Po omacku znalazł włącznik światła.

Nie wiedział, czego się właściwie spodziewał, ale na pewno nie tego, że będzie wyglądać tak samo. Miała potargane włosy i lekkie rumieńce, lecz jej niebieskie oczy patrzyły równie spokojnie i czujnie co przedtem. Jakby – wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi – kontrolowała całą sytuację. Niespodziewanie ogarnęła go tak ogromna ochota, żeby nią potrząsnąć, że aż się przestraszył.

– Nie wiem, co ty wyprawiasz, ale... naprawdę, daruj sobie – powiedział zachrypniętym głosem, spoglądając prosto w te bezczelne, błyszczące oczy.

– Można jaśniej? – zapytała niewzruszenie.

– Idź już – mruknął, odwracając wzrok. – Zostaw nas w spokoju. Oboje.

– Kurtka.

– Co? – rzucił rozdrażniony. Naprawdę chciał, żeby już jej tu nie było. Dekoncentrowała go.

– Zostawiłam kurtkę w przedpokoju. Mógłbyś mi ją przynieść?

Z rozmachem otworzył drzwi, zerwał granatową parkę z wieszaka i wcisnął jej w rękę. Założyła ją irytująco powoli, potem zgarnęła włosy jedną ręką i wyjęła je zza kołnierza, żeby mogły swobodnie rozsypać się po ramionach. Uważnie zapięła zamek i dopiero wtedy znów podniosła na niego oczy.

– Nie czepiaj się Julki, ok?

– To nie twoja sprawa – burknął szorstko, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę stał nieruchomo, zaciskając pięści, a potem wypuścił z sykiem powietrze przez zęby i oparł się o drzwi. Odchylił głowę do tyłu i poprawił spodnie. Cholera. Bardzo rzadko zdarzało mu się w takich sytuacjach nie wykorzystywać okazji, chociaż – wbrew temu, co myśleli wszyscy w Nasty Oranges, a może i nawet jego własna córka – nie spał ze wszystkim, co się rusza. Jednak Marty Trzaskacz powinien się wystrzegać, bezwzględnie. Nie miał pojęcia, co ona kombinuje, ale uwaga o rodzinie natychmiast zapaliła mu w głowie szereg czerwonych lampek.

Nie miał zamiaru robić sobie powtórek tego sajgonu z Izą. Życie bez niej, z samą Julką, było o wiele przyjemniejsze. Dobrze dogadywał się z córką, szanowali nawzajem wszystkie swoje niezdrowe nawyki, nie wchodzili sobie w drogę, no i mała rzeczywiście świetnie grała w *StarCrafta*. Było naprawdę dobrze. I nie zamierzał pozwolić, żeby jakaś tam Marta, którą jeszcze do niedawna ledwie kojarzył z Piotrusiów, to zepsuła.

Powinien porozmawiać z Julką. Tak od serca. Jest dojrzała jak na swój wiek, może nawet aż za bardzo, ale ta sytuacja mogła okazać się dla niej za trudna. Myląca. Może trzeba zadbać, żeby częściej widywała się z matką?

Mat powstał jeszcze chwilę, żeby zebrać myśli i się uspokoić, a potem ruszył w kierunku salonu. Zapalił światło i zdziwił się, bo Julka nie tylko się stąd wyniosła, ale też zdążyła już wszystko posprzątać, tak że nigdy by nie powiedział, że miała gościa. Co rodzi pytanie, ile razy Marta już tu była. Ze zmarszczonymi brwiami przeszedł do jej pokoju. Tam też światło było już zgaszone. W poświacie zza okna na łóżku rysował się niewyraźny kształt.

– Julka, śpisz? – zapytał głośno. Nie odpowiedziała, ale był pewny, że udaje. Zdecydowanie powinni rozmówić się teraz, pomimo że prawie dochodziła północ, bo – szczerze mówiąc – nie był pewny, kiedy trafi się następna okazja.

– Julka? Nie wygłupiaj się.

Cisza.

Może naprawdę już zasnęła? Ile on rozmawiał z Martą na klatce? Możliwe, że trochę stracił poczucie czasu.

– Julka, no...

Nic. A zwykle pozytywnie reagowała na ten proszący ton. Czyli teraz albo rzeczywiście śpi, albo jest na niego obrażona. Chociaż nie, Julka nigdy nie robiła scen.

Postał jeszcze chwilę, przestępując z nogi na nogę, i w końcu się poddał.

I tak naprawdę poczuł ulgę.

Jeśli tylko to cię kręci

Andrzej spojrział na komunikator i syknął ze zniecierpliwieniem. Dochodziła druga w nocy i poza jego nazwiskiem na liście świeciło się na zielono tylko nazwisko Karoliny. Zostali w firmie sami. I nic. A zwykle wpadała do niego wcześniej – jakoś przed północą.

O pierwszej przyłapał się na tym, że czeka, aż ona przyjdzie. To robiło się niezdrowe. Na początku był poirytowany, że mu przeszkadza w pracy, potem przyzwyczał się do tych nocnych odwiedzin, a teraz, proszę – wręcz jej wygląda.

I w ogóle ostatnio poświęcał Karolinie stanowczo za dużo uwagi. Oczywiście wyścig pajaców to ważna sprawa, ale bez przesady – powinien być skupiony przede wszystkim na pracy. Nie po to crunchował, żeby tracić czas na jakieś pogawędki. Gdyby miał wolną godzinę, wolałby się wyspać. Nie żeby niemiło się z nią gadało, wręcz przeciwnie. Tylko... Coś mu w tym wszystkim nie pasowało, ale nie mógł sprecyzować co. Niepokoiło go, że tyle czasu spędzają razem, chociaż on wcale o to nie zabiega. O, właśnie! To ona za nim łąziła i nie dawała mu spokoju! Tylko czemu? Już dawno upewnił się, że dalej nie ma pojęcia o dżentelmeńskim zakładzie – nie była typem Irene Adler, tylko raczej naiwnym kaczątkiem. Bardzo słodkim, trzeba przyznać.

Minęła druga, Karolina dalej nie przychodziła, a Andrzej wreszcie domyślił się całej prawdy. Nie, Karolina nie była wyrachowana. Była próżna. Nie wystarczało jej, że lata za nią siedemnastu chłopaków – chciała, żeby latali wszyscy. Nawet jemu – o ironio – nie mogła odpuścić. I prawie jej się udało: przecież od dwóch godzin nie może się skupić na pracy, tylko siedzi i czeka na nią jak kretyn.

Wyłączył komputer, włożył kurtkę i zgasił światło w pokoju. Chciał iść prosto do wyjścia, ale coś go podkusiło, żeby zajrzeć do Karoliny. Powie jej „no to cześć”, jak gdyby nigdy nic – i tyle. Nie rzuci żadnego złośliwego komentarza, choć mógłby. Przecież szarookie kaczątko nie poluje na niego specjalnie, dziewczyny robią takie rzeczy niemal nieświadomie – tak jak psy obsikują teren.

– No to cześć. – Plus sto do Nonszalancji.

Odpowiedział mu dźwięk, jakby ktoś upuścił na podłogę ociekającą wodą szmatkę.

Zdziwiony zajrzał do pokoju postaciowców; Karolina siedziała przy biurku w dziwnej pozycji, z pochyloną głową i twarzą zwróconą do okna. Płakała. Najwyraźniej próbowała się powstrzymać, czekając, aż on sobie pójdzie, ale szło jej średnio – cała się trzęsła i wydawała z siebie te zduszone, wilgotne odgłosy.

Andrzej jęknął w duchu. Nigdy nie umiał sobie radzić z płaczącymi dziewczynami i bardzo starał się unikać takich sytuacji. Podchodzisz do takiej,

pytasz, w czym rzecz, i zawsze – zawsze! – choćby zaczęła od globalnego ocieplenia albo sytuacji kobiet w społeczeństwach islamskich, na koniec okazuje się, że w jakiś tajemniczy sposób to wszystko twoja wina.

Najrozsądniej byłoby wyjść po cichutku i udawać, że nic nie zauważył, ale na taką gruboskórność się nie zdobył. Poza tym był zbyt ciekawski, żeby nawet nie spróbować jej wy badać.

– Hej, co się stało? – zapytał łagodnie. Podszedł do jej biurka i przystanął niepewnie obok.

– Nic – powiedziała przez nos. – Idź i nie patrz na mnie.

– Tak się wykręciłaś, że widzę tylko włosy i kawałek ucha. Wygląda w porządku.

Nie potrafił wyczuć, czy się chociaż uśmiechnęła.

– Naprawdę, wszystko ok. Jestem... tylko... taka zmęczona.

– No, chyba rzeczywiście trochę przesadziłaś z crunchem ostatnio. To ja powinienem cię wyganiać do domu, a nie ty mnie. I to o wiele wcześniej. A tak poza tym? Bo założę się, że to jeszcze nie wszystko. – Odczekał chwilę. – Komuś musisz powiedzieć, a zostaliśmy tu sami, więc... No, chyba że chcesz, żebym przyprowadził tu pana Ludwika. A on już inaczej z tobą porozmawia.

Zabulgotało, kiedy wycierała nos.

– Chodzi o Franka – wyznała. – P-pocałował mnie.

– Oo? – zdziwił się Andrzej i w myślach dodał mu odpowiednią liczbę punktów. – A ty go nie lubisz?

– Lubię, bardzo go lubię, tylko... – Znów zaczęła się ślimaczyć. – Chodzi o to, że... Myślałam, że się przyjaźnimy, a on tak nagle... Powinnam go pewnie strzelić w dziób, ale tylko... zrobiło mi się przykro.

– Dlaczego? – Swoją drogą jemu też zrobiło się trochę niewyrażnie.

– No bo... tak się cieszyłam, że mam w pracy tylu fajnych kumpli. Zwykle nie umiem sama do nikogo, ot tak, podejść i siedzę sama jak ten mruk, a tutaj...

wszyscy byli życzliwi. Tak mi się wydawało. Ale teraz Franek... i inni... zaczęli się zachowywać, jakby od początku nie chodziło im wcale o... tylko...

– Inni? – zastrzygł uszami Andrzej.

– No... Adam i... Jacek, i... nawet Paweł. Znaczący, ja wiem, że jestem naiwna, ale myślałam, że oni mnie po prostu lubią. Bezinteresownie.

– Noo, to teraz wiesz, że lubią cię bardziej, niż myślałaś. To aż taki dramat?

– Ale wszyscy naraz? Pięciu? – zaszlochała. – Przecież ja żadnemu z nich nie dawałam do zrozumienia, że mi się podoba... O, Boże, co ze mną jest nie tak? Może ja się zachowuję jakoś prowokująco czy co...

– Hm, nie wydaje mi się – powiedział, przestępując z nogi na nogę. – W każdym razie ja nie zauważyłem niczego prowokacyjnego.

Ku jego zdumieniu Karolina rozplakała się jeszcze bardziej. Nie miał pojęcia, jak ją pocieszyć, a w brzuchu aż go wierciło z poczucia winy. To niesprawiedliwe, żeby tylko on musiał tego wysłuchiwać. Krzysiek też powinien sobie popatrzeć, jak ona płacze – chociaż pewnie na nim nie zrobiłoby to wielkiego wrażenia.

– A może któregoś z nich jednak lubisz jakoś tak bardziej? – zasugerował z ciężkim sercem. – To by rozwiązało sprawę.

Karolina potrząsnęła głową, siejąc dokoła łzami.

– Nie chcę... żadnego. I w ogóle to takie głupie. Pięciu za mną chodzi, a za to... Znaczący, to nie ma nic wspólnego, ale... Ale proszę, tyle mam opcji, a tymczasem... – zaśmiała się histerycznie, ale po chwili znów szlochała.

Andrzej z wahaniem położył jej rękę na ramieniu i wymamrotał „no, już, już”, a wtedy Karolina wreszcie odwróciła się ku niemu. Objęła go w pasie, wetknęła głowę pod rozpiętą kurtkę i płakała mu prosto w brzuch, mocząc obficie koszulkę. Poklepał ją delikatnie po podskakujących spazmatycznie łopatkach.

– Słuchaj, trochę nie wiem, jak się zachować w tej sytuacji. Normalnie bym cię przytulił, ale w tym kontekście to by raczej nie pomogło, co? – spróbował zażartować.

Podniosła na niego mokre oczy i pociągnęła nosem. Rany, ale była zabezpieczona.

– Trochę by... pomogło – chlipnęła.

– Ekhem. Jesteś w proszku, panienko. Totalnie rozkrochmalona. Nie chciałbym wykorzystywać sytuacji – powiedział niezupełnie szczerze, zapatrzony w jej drżące wargi.

– Jeśli... tylko to... cię kręci... to... trudno... nie mam nic... przeciwko – wydukała urywanym od płaczu głosem. Z całej siły trzymała go za podkoszulek i zapowiadało się, że łatwo nie puści.

I Andrzej naraz zrozumiał kilka rzeczy. Po pierwsze, że to on jest tym „a za to, tymczasem”. Po drugie, że on też nie ma nic przeciwko. Po trzecie, że trzeba coś zrobić z tym ciekącym nosem. Pogrzebał w kieszeniach kurtki i znalazł nieco wymiętą, ale na pewno nieużywaną chusteczkę.

– Wytrzymaj sobie nosek, mała. Będziemy się całować.

Naprawdę miał zamiar poprzestać na całowaniu, które przecież nikomu krzywdy nie robi, nikomu niczego od niego nie ubywa i w ogóle się prawie nie liczy. Tymczasem ani się obejrzał, jak sprawy zaszły zaskakująco daleko. Wcale nie chciał się na nią rzucać z łapami – no, może tylko troszeczkę. Tylko jakoś trudno mu było wymierzyć, bo Karolina wykazywała coraz większą ruchliwość.

Była teraz w znacznie lepszym nastroju. No proszę, pomyślał Andrzej, rozpinając jej tylko troszeczkę bluzkę, nigdy nie umiał sobie radzić z płaczącymi dziewczynami, a to okazało się takie proste. A może w ogóle to nie był tak całkiem obcy gatunek i da się z nimi jakoś po ludzku dogadać? A przynajmniej z tą jedną.

Kiedy już leżeli na podłodze, a Karolinie prawie udało się rozpiąć mu pasek przy spodniach, uświadomił sobie, że popełnia straszny błąd.

– Nie, czekaj. To niewłaściwe.

– Yyy?

– Nie można zmarnować takiej okazji. Zawsze chciałem to zrobić na tej wielkiej ksero-drukarce w korytarzu.

Zaczęła się śmiać.

– Będzie fajnie, zobaczysz. Na pewno przestanie się od tego zacinać. No, idziemy.

Drukarka okazała się idealna, tak jak przypuszczał. Po bogatym w dynamiczne wydarzenia kwadransie oderwał się od Karoliny, z trudem łapiąc oddech. Nie chciał psuć atmosfery, ale miał swoje zasady. Kiedy między kobietą i mężczyzną dzieje się coś tak magicznego, pewne pytania po prostu trzeba zadać.

– Masz coś?

– Oo... Nie. Nie myślałam, że...

– Dobra. Przy Waszyngtona jest całodobowa apteka. Ty tu zostań.

– Dobrze.

– Będziesz tu, kiedy wrócę, prawda? – upewnił się.

– O tak.

– Świetnie. Nie ruszaj się. Siedź dokładnie tak, jak siedzisz. Nie rozmyślisz się?

– Nie.

– To złamałoby mi serce. I poważnie zaszkodziło w paru innych miejscach.

– Andrzej.

– No?

– Idź już. I pospiesz się.

Zimne powietrze na zewnątrz otrzeźwiło go na moment.

Co właściwie zamierzał zrobić? Będą z tego kłopoty, to pewne. I co z dżentelmeńskim zakładem? Może lepiej dziś odpuścić? Odczekać? No bo jak wyjaśniąby to teraz Krzyškowi?

Po czym moment minął, Andrzej chuchnął w zmarznięte palce, podskoczył kilka razy w miejscu i ruszył sprintem do apteki.



Rozdział trzynasty

Sobota 21 grudnia

Bingo

Kiedy człowiek zмага się z jakimś problemem, dobrze jest dać głowie odpocząć – zająć się czymś innym, pójść na spacer. Istnieje też inna teoria, zalecająca trzymać własny mózg w podwójnym nelsonie i ścisnąć, dopóki nie zacznie klepać w matę, wrzeszcząc, że już wie. Crunch zdecydowanie sprzyja temu drugiemu podejściu.

Marcin otworzył oczy o czwartej nad ranem, jakby ktoś nacisnął jakiś przycisk. Obudził się, bo odkrył tajemnicę Avery Liddell. Już wiedział, co się stało.

Leżał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w sufit. Obok miarowo oddychała Olga, długimi, spokojnymi falami, jakby płynęła po otwartym morzu. Marcin wstał ostrożnie, nie dlatego, że bał się ją obudzić, ale żeby nie przewrócić tego wypełnionego po brzegi kruchego naczynia, które miał teraz pod czaszką. Jeden nieostrożny ruch i cały pomysł się rozsypie jak kopnięta wieża z drewnianych klocków. W sypialni panował ziąb, bo oboje nie lubili spać w nagranych pomieszczeniach. Marcin wysunął cicho szufladę szafki stojącej przy łóżku i wyjął z niej grube narciarskie skarpety. Po drodze do kuchni zgarnął też polar z wieszaka i wyjął notatnik z torby.

Usadowił się na swoim ulubionym krześle przy lodówce, odczepił długopis od przymocowanej do notesu nasadki i bez namysłu zaczął pisać. Widział wszystko

wyraźnie, jakby ktoś wypalił mu tekst na siatkówce, a on tylko musiał go skopiować. Avery patrząca na Finnleya z oddali, odchodząca bez słowa, dłoń Charlesa Siringo pewnie prowadząca pióro po papierze, ochrypły śmiech umierającego Ezry Bairda, oczy Louisy May, intensywnie zielononiebieskie jak jezioro Moraine, dwunastoletni Finnley, osłaniający ciemnowłosą dziewczynkę własnym ciałem, huk wystrzałów niosący się nad wodą. Wszystko układało się w spójną całość, jakby od początku tak to miało być, jakby to była prawda, którą trzeba było odkryć, a nie po prostu jedna z możliwych wersji. Marcin zapisywał kolejne strony wyraźnym, ale niepewnym charakterem pisma – aż dziwne, jak bardzo odzwyczyił się od ręcznego pisania.

Miał ogromną ochotę napić się czarnej, mocnej kawy, ale wiedział, że w domu się skończyła. Ciągłe zapominał ją kupić, bo zwykle biegł do Nasty Oranges bez śniadania, myśląc tylko o podwójnym espresso z ekspresu i leniwych, porannych plotkach z Asią albo Pawłem. Hm, może to niezły pomysł, żeby już teraz pójść do pracy? Na pewno wszyscy najtwardsi cruncherzy śpią, porozkładani na kanapach i karimatach, ale przecież drzwi są zawsze otwarte... Nie, lepiej skończyć pisanie tutaj. Gdyby przerwał, coś mogłoby mu umknąć albo nagle tajemniczo stracić sens.

Po półgodzinie miał już wszystko i trochę się uspokoił, a nawet zachciało mu się znowu spać. Za oknem cały czas było jeszcze ciemno. Ziewnął tak szeroko, że prawie wywichnął sobie szczękę, przeciągnął się i postanowił, że jednak wróci na chwilę do łóżka, żeby się rozgrzać.

Olga zdążyła już owinąć się kołdrą jak kokonem i zaprotestowała niewyraźnie, kiedy pociągnął jeden koniec w swoją stronę. Wsunął notatnik pod poduszkę, skulił się i zamknął ociężałe nagle powieki, modląc się, żeby rano nie okazało się, że to był tylko piękny sen.

Krzyk nad wodą

Ciało Jaśka Ritmeijera unosiło się samotnie na wodzie. Powoli zaczynało zmieniać kolor.

Dokoła nie było żywego ducha – przyglądało mu się tylko obojętne niebo. W szeroko otwartych, nieruchomych oczach odbijały się przepływające powoli chmury.

To było idealne miejsce.

Nagle ciszę przerwał chłopot wody, dziecięcy śmiech, a potem piskliwy, niekończący się wrzask. Czarnowłosa dziewczynka zeskoczyła do ukrytej zatoczki tuż obok niego. Ciało Ritmeijera zakołysało się lekko na fali, woda przykryła nieruchomą twarz jak werniks.

Prychnął, zatrzepotał rękami i zaczął trzeć oczy. Kiedy siedział, woda sięgała mu do ramion. Dziewczynka przestała wrzeszczeć. Miał nadzieję, że pobiegnie gdzieś w cholerę – nie słyszała o zboczeńcach czy jak? – ale ciągle stała nad nim i przyglądała się ciekawie. Marszcząc się z niezadowolenia, otworzył z trudem piekące od soli oczy i spróbował jej rzucić mordercze spojrzenie. Musiało to wyglądać naprawdę pociesznie, bo zachichotała, a potem zaświergotała coś pytająco w swoim języku. No tak, mógł się domyślić, że to miejscowe dziecko. Turyści się tu nie zapuszczali.

– *Me relajo aquí. Váyase!* – wydukał gniewnie i chlapnął na nią wodą. Dziewczynka znowu zachichotała, odskoczyła, prawie tracąc równowagę, ale nie poszła sobie, tylko wyraźnie czekała, co zrobi dalej.

Wyglądała nawet sympatycznie z tymi żywymi, czarnymi oczkami i włosami splecionymi w masę sterczących warkoczyków. Każdy warkoczyk był zakończony kolorowym koralikiem. Byłoby z tego ładne zdjęcie: mała, beztrioska dziewczynka na tle bajecznie błękitnego morza – Pippi na Południowym Pacyfiku. Pewnie musiała się nieźle wystraszyć, kiedy zobaczyła go unoszącego się bezwładnie na wodzie z rozrzuconymi rękami. Ale teraz, skoro już się przekonała, że opalony na malinowo truposz żyje i ma się dobrze, mogłaby sobie pójść, prawda?

Nic z tego. Przyglądała mu się zafascynowana, jakby był jakimś kuriozum nie z tej ziemi. Podeszła o krok bliżej i znów o coś zapytała – brzmiało to jak wesoły ptasi trel i nie mówiło mu zupełnie nic.

Jasiek westchnął i wstał, podciągając wyżej ociekające wodą kąpielówki. Kusilo go przez chwilę, żeby na nią ryknąć jak niedźwiedź, ale istniała możliwość, że gdzieś w okolicy jednak są jej rodzice, więc tylko machnął z rezygnacją ręką i poczłapał po płyciźnie na brzeg. Chyba będzie musiał sobie znaleźć inne idealne miejsce. A teraz miał zamiar wrócić do hotelu i wypić swojego drugiego porannego drinka.

Lubisz mnie?

Jeśli Andrzej łudził się, że wydarzenia poprzedniej nocy uda się zachować w tajemnicy, jedno spojrzenie na Karolinę wystarczyło, by go przekonać, że nie ma takiej opcji. Na jego widok zaświeciła się jak choinka i nie podeszła, tylko przepłynęła do niego przez kuchnię, jak na złość pełną ludzi. Nie musiała nawet nic mówić – po prostu stała przed nim z tym ufnym, oszołomionym uśmiechem i promieniowała niewinnym szczęściem kobiety solidnie i gorliwie zerzniętej. Równie dobrze mogliby teraz zedrzeć z siebie ubrania i wrócić na ksero-drukarzę.

Rozejrzał się po kuchni i... tak: wszyscy się na nich gapili. Krzysiek też – po prostu zamarł w pół ruchu, podnosząc kubek do ust.

Tak musi się czuć mysz w pułapce – pomyślał smętnie Andrzej – kiedy niemal jednocześnie chwyta ser i dostaje przez łeb metalowym drążkiem.

Gdzież popełniłem błąd? – zapytał się retorycznie, ciągnąc Karolinę za rękę na środek pomieszczenia. – No przecież nie wczoraj.

Wiedział, co trzeba zrobić, i że teraz nie może się cofnąć. Ludzi w kuchni przybywało, ale dookoła Karoliny i Andrzeja zrobiło się pusto, jakby instynktownie robili miejsce na przedstawienie.

Karolina zorientowała się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy wysunął krzesło na środek. Spojrzała na niego pytająco.

– Lubisz mnie? – zapytał półszepsem, pochylając się do niej.

– No raczej – odszepnęła i ścisnęła go za rękę.

– Bardzo?

– BARDZO.

– A wystarczająco? – mruknął, ale już nie słuchał odpowiedzi, tylko wskoczył na krzesło i uniósł ręce jak prorok błogosławiący lud.

– Zapewne zastanawiacie się, po co was tu zebrałem – zaczął. Ze zdenerwowania dostał głupawki. – No więc mam ogłoszenie, a raczej dwa. Jedno dla dżentelmenów: bieżący zakład jest nieważny, dziś po południu oddamy wszystkim pieniądze. Przepraszam, ale... sami rozumiecie. Chyba. A teraz ogłoszenie dla wszystkich, którzy nie mają pojęcia, o czym mówię: Karolina jest moja i odtąd koniec z wyciąganiem jej do kina, na lunch i proponowaniem jej wspólnego oglądania kolekcji motyli. Łapy precz, jasne? Dziękuję za uwagę.

Zeskoczył z krzesła i wyprowadził Karolinę na korytarz. Tylko zniknęli za rogiem, a już w kuchni wybuchł gwar, gwizdy i urywane śmiechy.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi? Jakie pieniądze, jaki zakład? – Głos aż jej wibrował od złych przeczuć.

– Chodźmy do mojego pokoju. Wszystko ci opowiem – powiedział i westchnął. On też miał złe przeczucia.

– Wiem, że to nie brzmi dobrze. Ale spójrz na to z lepszej strony. – Andrzej wyszczerzył się w sztucznym, rozpaczliwym uśmiechu.

Karolina uniosła brwi, ale dalej nie patrzyła na niego, tylko gdzieś w bok. Po jej porannym blasku nie zostało ani śladu, ale nie wyglądała na wściekłą. Wydawała się za to nieskończenie odległa, jakby była na innej planecie – albo jakby bardzo chciała się tam znaleźć, z dala od niego.

Mieli pokój gameplayowców tylko dla siebie – nikt nawet nie zaglądał przez drzwi. O tej porze dnia był to prawdziwy luksus i szkoda, że nie mogli tego jakoś inaczej wykorzystać.

– Po pierwsze już nigdy nie usłyszysz ode mnie nic gorszego. – Był w tym haczyk, ale nawet się nie uśmiechnęła. No tak. – Po drugie – kontynuował już całkiem ponuro – teraz na pewno będziesz miała spokój z niewczesnymi awansami całej siedemnastki pajaców. Wiem, że troszeczkę się pospieszyłem z oświadczeniem, że jesteś moja – chrząknął nerwowo – ale teraz możesz to wykorzystać jako immunitet.

Zamilkł i czekał na ostateczny wyrok.

Po jakichś kilku stuleciach Karolina wreszcie przeniosła na niego obojętny wzrok. Nawet jej oczy miały teraz inny kolor – były chłodne jak islandzkie niebo. Andrzej spędził kiedyś całe wakacje, patrosząc ryby w Keflaviku, więc znał się na rzeczy.

– Pokaż mi tę listę.

– Co? A, listę. Hm, już. – Nie pytał po co, bo nagle mu się wydało, że może coś zyska pokorą i posłuszeństwem. Gdyby mógł, przewróciłby się na grzbiet albo zamachał ogonem. Ale póki co tylko wyjął z kieszeni kluczyk do szuflady, otworzył ją i wymacał w środku wymiętą kartkę. Poza nią była tam tylko kasetka z pieniędzmi z zakładu.

– Dziękuję – powiedziała spokojnie, kiedy podał jej listę. – A teraz chciałabym na chwilę zostać sama.

Dobre nowiny

Marcin wstał dramatycznie późno – pamiętał mgliście, że Olga próbowała go obudzić o zwykłej porze, ale protestował, zapewniając ją, że on już był dziś w pracy, więc w końcu dała spokój. Teraz ubrał się szybko, prawie nie patrząc, co na siebie wkłada, wypadł z mieszkania, cofnął się, bo przypominał sobie, że nie

umył zębów, wybiegł znowu, wrócił po portfel i wreszcie zamknął za sobą drzwi. Już na ulicy zdecydował, że weźmie taksówkę – nie przejmował się aż tak spóźnieniem, ale chciał jak najszybciej podzielić się ze swoim teamem nową koncepcją fabuły.

W studiu wbiegł na pierwsze piętro, przeskakując po dwa stopnie, i bez tchu wpadł do szwalni.

– Gdzieś ty był? – przywitał go Jacek ze skwaszoną miną. – Ominęło cię całe zamieszanie...

– Zaspałem. Chodźcie wszyscy do pokoju Jaśka. Mam pomysł! – Obrócił się na pięcie i wybiegł.

– Marcin, czekaj! – zawołała za nim Asia, ale już nie usłyszał.

– Spoko. Sam się zorientuje. – Paweł westchnął posepnie, nie odrywając wzroku od monitora.

Marcin przyzwyczał się, że ma gabinet creative directory tylko dla siebie, dlatego zdziwił się, kiedy zobaczył, że ktoś tam siedzi. Jeszcze bardziej zdziwił się, że to Sonia.

– Niespodzianka – powiedziała wesoło, kiedy wszedł do środka.

Wyglądała trochę inaczej niż zazwyczaj: makijaż co prawda mienił się wszystkimi kolorami tęczy, ale zamiast tych cudacznych ciuchów włożyła zwykłe czarne dżinsy i koszulkę z Batmanem. Harley Quinn w stroju maskującym.

– O, cześć. Przyszłaś nas odwiedzić? – zapytał bez entuzjazmu. Naprawdę nie mogła wpaść kiedy indziej?

– Noo, niezupełnie. – Puściła do niego oko.

Wyglądała na tak zadowoloną z siebie, że Marcina wreszcie coś tknęło.

– Są jakieś wieści o Jaśku?

– Nie, ale mam dobre nowiny. O, jest już Antek.

Hejdasz wszedł do pokoju szybkim krokiem, jakby się gdzieś spieszył. Przywitał się krótko z Marcinem i podszedł do biurka. W ręce miał pakiet firmowych koszulek.

– Przepraszam, że tak długo, ale nie mogłem znaleźć eski. A jeszcze Adrian stał nade mną z taką miną, jakbym mu je wyrywał spod serca. Nie wiem, co on ma z tymi koszulkami... Wybierz sobie. – Rozłożył przed nią wszystkie wzory.

– O rany, są boskie! Jasiek nigdy nie chciał mi żadnej skołować, bo to tylko dla pracowników. Jeej... Nie umiem się zdecydować. Mogę wziąć wszystkie?

– Jasne, proszę. Nie ma sprawy. – Hejdasz zerknął dyskretnie na zegarek. – Skoro Marcin już jest, to was zostawiam. On cię wprowadzi. Marcin, słyszysz mnie?

– Hm? – Z trudem oderwał wzrok od koszulek i przełknął ślinę. – O co chodzi?

– Od dzisiaj pracujemy razem – oświadczyła radośnie Sonia. – Jestem waszym nowym creative directorem.

Marcin wytrzeszczył oczy i spojrzał na Antka, który z lekkim zakłopotaniem założył ręce za plecy.

– No, raczej głosem doradczym – poprawił. – Postanowiliśmy, że skoro nieobecność Jaśka się przeciąga, przyda nam się taka pomoc. Znaczący, świetnie sobie radzisz jak na producenta i w ogóle, ale Tomek narzeka, że twój team ma za mało czasu na bieżące zadania. Jest też ta sprawa Mazurka... Przyślij go do mnie, kiedy tylko się pojawi. Tak czy inaczej, od tej pory będziesz pracować nad story z Sonią, a reszta będzie ci pomagać tylko okazjonalnie, ok? A teraz muszę już iść, mam spotkanie o czternastej.

– Zaraz, ale... Kto tak postanowił? – zapytał Marcin bezsilnie.

– No, my. – Hejdasz uniósł w zdziwieniu swoje szatańskie brwi. – Sonia parę dni temu zadzwoniła do Tomka i zaoferowała nam pomoc. Kobięca perspektywa i tak dalej. Przegadaliśmy to i no, cóż, w tej chwili nie ma lepszego pomysłu.

– W zasadzie to ja już mam pewien pomysł...

– Świetnie! Omów to z Sonią i do roboty. – Uniósł kciuk do góry i wyszedł.

Sonia spojrzała na oniemiałego Marcina i uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie martw się, nie będę tak strasznym szefem jak Jasiek – powiedziała miło, podchodząc bliżej. Wzięła go za rękę i podprowadziła do fotela naprzeciwko

biurka. – Wiem, że to trochę nieoczekiwane, ale spójrz na to z lepszej strony: przynajmniej my dwoje dobrze się znamy i wiemy, czego się po sobie spodziewać.

Przed oczami Marcina mignęła wizja Soni stojącej na rękach tuż nad krawędzią ulicy pełnej rozpędzonych samochodów.

– Dobrze się czujesz? – zatroskała się. – Coś blado wyglądasz. Usiądź, a ja ci wszystko opowiem. No bo wiesz, nie przyszłam do was z pustymi rękami. Mam taką wstępną koncepcję, jak wyjaśnić zachowanie Avery. Wiem, że strasznie się z tym męczyliście, ale rozwiązanie jest proste: Avery miała złą siostrę bliźniaczkę.

– Brainstormowałaś już z moim teamem? – zapytał Marcin podejrzliwie.

– Skąd, wymyśliłam to całkiem sama – powiedziała, nie przestając się tryumfalnie uśmiechać. – To wszystko wyjaśnia: jeśli ktoś zachowuje się raz tak, a raz zupełnie inaczej, to chyba jasne, że to po prostu nie może być ta sama osoba!

Marcin potarł palcami skronie i odchrząknął.

– To... ciekawy pomysł – stwierdził ostrożnie – ale my szukaliśmy raczej czegoś bardziej... wysublimowanego. Avery jest trochę nieprzenikniona, to prawda, ale bardziej elegancko byłoby to wyjaśnić, przedstawiając jej skomplikowaną osobowość. Bo jeśli nawet przyjmiemy, że miała, hm, złą siostrę bliźniaczkę, to dostajemy dwie płaskie, czarno-białe postaci zamiast jednej złożonej.

– No właśnie. – Sonia westchnęła i z uśmiechem pokręciła głową. – Zawsze chcecie wszystko przekombinować i dlatego tyle to trwa: zmieniacie wersję co chwila, płaczecie się... Trzeba się trzymać prostych, jasnych rozwiązań.

– Ale to, co ty proponujesz, jest strasznie genericowe, nie czujesz tego?

– Banał ma siłę – powiedziała niewzruszenie Sonia. – Poza tym przypomnij sobie książki, z których narodził się Finnley: *Dziewczyna spoza szlaku*, *Łowcy wilków*, *Płonący las*, *Dolina ludzi milczących* Curwooda. Tam ktoś co chwilę ktoś okazuje się czyimś bratem, siostrą albo matką. Za daleko odeszliście od korzeni tej gry. Pamiętasz RFF1? To był dopiero banał. A chwyciło.

– Ale wtedy Nasty Oranges dopiero zaczynało! Z każdą kolejną częścią story robiło się coraz bardziej dojrzałe i złożone. Finnley się rozwijał jako postać i rozkręcał i teraz...

– I teraz sami nie wiecie, jak to skończyć.

Marcin miał na końcu języka, że owszem, już wie, bo w nocy wszystko to rozpracował, ale historia, która wypełniała mu głowę, wydała mu się nagle krucha i bezbronna. Nie był gotowy skonfrontować jej ze złą siostrą bliźniaczką.

Sonia przyglądała się z lekkim uśmiechem sprzecznym uczuciom, które malowały się na jego twarzy. Naprawdę był strasznie słodki, kiedy siedział taki naburmuszony jak Kaczor Donald na skraju wybuchu. Gdyby nie ta sprawa z Jaśkiem, zarzuciłaby mu teraz ręce na szyję i powiedziała, żeby się nie martwił, przecież to tylko taka zabawa i wszystko dobrze się skończy. Ale oczywiście nie mogła.

– Nie bierz tego do siebie. – Spróbowała zajrzeć mu w oczy, ale odwrócił głowę. – To przecież wszystko dla dobra gry. Jakoś się dogadamy. Bo innego wyjścia nie ma.

W potrzasku

Andrzej był pewien, że po takim poranku tego dnia nie przydarzy mu się już nic gorszego. Bardzo się mylił.

– Oddam wam po pierwszym, przysięgam – powtórzył po raz kolejny zmęczonym głosem. Krzysiek stał obok i patrzył w niebo z obojętnym, niemal pogodnym uśmiechem. Wiadomo było, że mu nie pożyczy, no bo kto ma kasę pod koniec miesiąca. Ba, nawet gdyby miał, to by nie pożyczył.

– Rano mówiłeś, że oddasz po południu. Wszyscy słyszeli – przypomniał z uporem Zbyszek, jeden z dżentelmenów. Warto dodać, że tylko kontekst zakładu pozwalał go tak nazywać. Nawet gdyby go posadzić na welocypedzie i założyć mu melonik, nie dałoby się odwrócić uwagi od byczego karku i wielkich, włochatych

pięści, zaciskających się teraz konwulsyjnie i wyraźnie zainteresowanych zawarciem bliższej znajomości ze szczęką, a może i nosem Andrzeja. Co za zwierzaki z tych programistów – pomyślał ponuro. – A to przecież takie [nielorowe](#). Powinni być wszyscy chudzi i słabi, jak ja.

– Bo rano forsa była jeszcze w mojej szufladzie.

– No i co się z nią niby stało, co? Wyparowała?

– Rusz głową, to może się domyślisz – warknął Andrzej, tracąc panowanie nad sobą jak szczuty lis w klatce. Kiedy ze zgrozą odkrył, że pieniądze zniknęły, stało nad nim wszystkich osiemnastu zakładowców. Jako że nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami i dziwnie duszno, poprosił, żeby omówili sprawę na zewnątrz, na co ci z ochotą przystali. Po drodze na dół dołączyło do nich kilku przypadkowych gapiów – oraz złowieszczo nieprzypadkowych. Teraz stał w zacieśniającym się powoli kręgu dżentelmenów i co bystrzejszych pajaców. W powietrzu gotowało się od testosteronu i żądry mordy. Gdyby miał zgadywać, najbliżej wybuchu był nie Zbyszek, ale Franek, który nie mógł chyba przeboleć tamtego skradzionego pocałunku.

To już chyba czas, żeby ktoś powiedział coś paskudnego o Karolinie. A wtedy ja zrobię coś głupiego – pomyślał.

I rzeczywiście – ktoś powiedział o niej coś paskudnego (co gorsza, to nawet nie było śmieszne), a Andrzej ze zdziwieniem zobaczył, jak jego ręka w zwolnionym tempie wykonuje ładny, okrągły zamach i pędzi do wykrzywionej twarzy Franka. Potem wydarzenia potoczyły się o wiele szybciej. Krzysiek uprzejmie się odsunął, jakby Andrzejowi właśnie wręczono główną nagrodę i nie chciał mu kraść świateł jupiterów, Franek złapał się za policzek, ryknął wściekle i skoczył do ataku, Andrzej zrobił unik, połowa zgromadzonych wrzasnęła z rozczarowania, a połowa z uciechy. Franek poleciał do przodu i zderzył się ze Zbyszkiem, który właśnie przyskoczył do Andrzeja, jakby się bał, że dla niego zabraknie. Andrzej uznał, że to idealny moment, żeby spróbować ucieczki, ale natychmiast wyciągnęło się ku niemu kilka rąk, które go przytrzymały. Zbyszek otrząsnął się szybciej i już

nabierał rozpędu, kiedy nagle nie wiadomo skąd wskoczył pomiędzy nich Mazurek z orędziem pokoju i ani się obejrzał, dostał w pysk, aż zadzwoniło.

Zdezorientowany Zbyszek roztarł obolałą pięść, Andrzej, wciąż nietknięty, złapał się za głowę, a Mazurek wykonał pół bardzo niezgrabnego piruetu i runął między nich jak postrzelony gołąb.

Pomysł na pomysł

– Marcin? Gdzie jesteś? Sonia cię szuka.

– Musiałem na chwilę wyjść. Mam pilną sprawę na mieście – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Nie wiesz czasem, gdzie w okolicy można dorobić szybko klucze?

– Hm, na Żelaznej? Słuchaj, a tak poza tym, wszystko w porządku? – zapytała ostrożnie Asia.

– Nie!

– Sonia opowiedziała nam o tej złej siostrze bliźniaczce. Pytałam ją, czy na końcu wchodzi ninja, ale chyba nie jest fanką Franka Millera. Nie martw się. Nawet z durnego pomysłu można wycisnąć coś fajnego. Przerobimy to tak, że nawet się nie zorientuje i jeszcze będzie myśleć, że sama tak pięknie rozwinęła tę koncepcję. Nie takie rzeczy robiliśmy z Jaśkiem. Kiedyś na przykład się uparł, że koniecznie musimy mieć w grze chodzenie po rozżarzonych węglach. Miesiąc się zastanawialiśmy, jak to upchnąć, żeby pasowało, a kiedy wreszcie wymyśliliśmy taką wersję, że nawet zaczęło nam się podobać, powiedział, że właściwie to ten pomysł już mu się znudził. Więc spoko – pomyślimy i...

– Właśnie nie pomyślimy, bo Antek kazał mi was zostawić w spokoju, żebyście sobie mogli naprawiać bugi i robić głupie sidequesty. Oczywiście Tyrowicz nas podkablował. I teraz jestem udupiony sam z tą wariatką! Dlaczego oni w ogóle wzięli ją pod uwagę? Przecież nawet nie jest z branży!

– Ty też nie. Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Nie załamuj się, jeśli masz jakiś wolny wieczór w Świąta, spotkamy się wszyscy na grzane wino i machniemy tę siostrę bliźniaczkę raz-dwa. Przecież tego nam Antek nie zabroni.

– Nie, no... – Marcin się zawahał. – Bez przesady. Nie chcę, żebyście poświęcali swój prywatny czas, żeby się użerać z tymi bzdurami.

Po drugiej stronie usłyszał cichy śmiech Asi.

– Niczego się nie nauczyłeś jako producent, niczego. Pogadamy, jak wrócisz do firmy.

– Dobra – mruknął.

– Aha, zapomniałabym. Dlaczego wiedźmin ma taki paskudny głos?

– No dlaczego?

– Przez mutację.

Marcin przekręcił klucz w drzwiach i cicho wszedł do mieszkania Jaśka. Mimo że pogrążone w ciszy i szarym grudniowym świetle wydawało się o wiele bardziej opuszczone niż wtedy, gdy był tu z Sonią, na początku skradał się na palcach, jakby Ritmeijer mógł w każdej chwili wyskoczyć z szafy. Później się odprężył. Obejrzał książki. Pogapił się mściwie na zdjęcie Soni. Przeszukał biurko. Zajrzał do szuflad, szafek, pudeł, pralki, pod łóżko, za regał. Nie wiedział, co właściwie spodziewał się znaleźć. Jakąś zaszyfowaną notatkę? Fragment spalonego listu? Niedokładnie startą plamę krwi? Jakiś podejrzanym element, coś, co po prostu nie pasuje? Coś podejrzanego, tak. No więc nie było tam nic takiego.

Zerknął na laptopa, który już kilka razy ściągnął na siebie jego wzrok. Miał niejasne wrażenie, że grzebanie komuś w komputerze to o wiele poważniejsze naruszenie prywatności niż przeszukanie szuflady z majtkami, ale... właściwie można by go otworzyć. Tak tylko na próbę. I zobaczyć, czy w ogóle działa. Komputer zaszumił, włączając się. Hmm, Windows XP. Użyteczna informacja, gdyby ktoś chciał obejść hasło. Jeśli w ogóle jest jakieś hasło.

Było. Marcin przyjrzał się ze zmarszczonymi brwiami ikonie użytkownika „Jasiek”. Wpisał „AveryLiddell” i „RoadToFortFraser4”, ale nic z tego. To byłoby

za proste. Chociaż czasami ludzie używają naprawdę dziecinnych haseł. Miał pokusę, żeby spróbować jeszcze raz, ale o wiele rozsądniej było sprawdzić, czy Jasiek ustawił hasło dla konta administratora. Ha, „admin”! No, to jedziemy.

Zaplótnął palce, rozprostował je z trzaskiem, po czym wzniosł dłonie nad klawiaturą jak zmanierowany wirtuoz. Włączył głośno ścieżkę dźwiękową z *Pulp Fiction* i dopiero wtedy zabrał się do roboty.

Jasiek co prawda wylogował się z poczty i nie miał włączonego GoogleNow (co od razu załatwiłoby sprawę), ale bez problemu można było przejrzeć historię przeglądarki. Marcinowi najpierw rzuciły się w oczy znajome strony, z których i on na co dzień korzystał: serwis o RFF, *The West Beyond West* w Google Books, Wikipedia otwarta na Charlesie Siringo, historii Kolumbii Brytyjskiej i gorączce złota. Było kilka stron po holendersku, ale nie wyglądały na tyle interesująco, żeby się nad nimi dłużej zastanawiać, za to wyszukiwanie map...

Ostatnio Jasiek sprawdzał, jak unikając korków, dojechać na lotnisko.

Uśmiechnął się pod nosem i znów sięgnął po telefon.

– O, Marcin, świetnie, że dzwonicz! – zaświergotała Sonia. – Wyszedełś tak szybko, a chciałam jeszcze z tobą porozmawiać... Gdzie jesteś?

– W domu. Czy Jasiek ma samochód?

Odpowiedziała niemal natychmiast, ale wyczuł, że się zawahała.

– Tak. Starą toyotę. A co?

– Mam wrażenie, że w tych papierach, które zabrałem z jego mieszkania, brakowało paru stron. Może zostawił coś w samochodzie? Przydałby nam się komplet dokumentacji, skoro mamy wracać do źródeł.

– Daj spokój – zaśmiała się. – Od początku mówiłam ci, że Jasiek ma w tych papierach straszny bajzel. Dobrze, że chociaż tyle dokumentów się ostało.

– Ale może jednak warto sprawdzić? Mogę z tobą podjechać do jego mieszkania i...

– Nie, nie. Nie będę cię tam znowu ciągnąć. Jeśli koniecznie chcesz, mogę sama przeszukać auto. Ale nie sądzę, żebym coś tam znalazła.

– Dzięki. Czyli Jasiak nie zabrał ze sobą samochodu? – zapytał niewinnie.

– Nie. Stoi w garażu.

– Aha. Bo tak sobie pomyślałem... A zresztą nieważne. – Uśmiechnął się chytrze.

– Tak? O co chodzi? Powiedz.

– Nie, nic. Dzięki za pomoc. Cześć.

Odłożył telefon na biurko i wyłączył laptopa. Rozejrzał się uważnie po pokoju – wszystko wyglądało mniej więcej tak jak przed jego przyjściem. Starannie odwiesił Jaśkowe klucze na haczyk w przedpokoju, pogasił światła, po czym wyszedł i zamknął drzwi swoim kompletem kluczy. Jeden z nich nie pasował do żadnego zamka. Ciekawe, co też może otwierać.

Na dole spędził dłuższą chwilę, szukając właściwego garażu. Cały czas oglądał się za siebie, czy kogoś nie zainteresuje, że sprawdza wszystkie po kolei, ale nic się takiego nie stało. I jak się tu czuć bezpiecznie na tych strzeżonych osiedlach, hm? Kiedy wreszcie trafił na drzwi, które otwierał dodatkowy klucz, poczuł taką satysfakcję, jakby co najmniej złapał Jaśka za kołnierz.

W środku przy ścianie stał osłonięty płócienną płachtą motocykl, ale po samochodzie nie było ani śladu. Tak jak się spodziewał.

Marcin pokiwał głową, zamknął garaż i spokojnym krokiem poszedł na przystanek.

Sonia bez namysłu skłamała o samochodzie, chociaż przecież nie miało żadnego znaczenia, czy Jasiak zniknął, bo pojechał gdzieś autem, czy zniknął, wsiadając na pokład statku kosmitów. Liczyło się to, że instynktownie nie powiedziała prawdy.

Oczywiście Marcin już dawno wypracował sobie kilka teorii na temat tego, co się stało z Ritmeijerem. Najbardziej podobała mu się ta, w której Tomek Tyrowicz postanawia się go pozbyć na polecenie Lucid Dreams, żeby RFF4 mogło zostać skończone w przewidzianym czasie. Niezła była też wizja Soni-nimfomanki, która uwiodła Antka Hejdasza i zabiła Jaśka, bojąc się jego zemsty. Zresztą, znając

Sonię, mogła go zamordować nawet ot tak, bez logicznego powodu, odsączyć, zapakować w wielki kufer, nadać jako bagaż na lotnisku pod fałszywym nazwiskiem i wysłać na Jamajkę. Spokojnie wyobrażał ją sobie, idącą z wystudiowaną obojętną miną przez tłum na terminalu B w ciemnych okularach i wysokich czerwonych szpilkach. O, albo Jasiek dowiedział się o romansie Soni z Antkiem, przeżył załamanie nerwowe i wyjechał, żeby zostać buddyjskim mnichem i pić co rano zieloną herbatę ze zjełczałym masłem.

To były dobre, sensacyjne fabuły, ale w świetle ostatnich odkryć i wydarzeń Marcin musiał uznać, że jednak o wiele bardziej prawdopodobne jest, że Jasiek po odrzuceniu kolejnej fabuły po prostu strzelił focha i postanowił zrobić to, na co chyba tylko on w Nasty Oranges mógł sobie pozwolić: opuścić jedną iterację. „Nie pasuje wam mój pomysł? Lucid Dreams wolałoby coś prostszego, tak? No to sami sobie wymyślcie. Zobaczmy, jak sobie poradzicie beze mnie. Jeszcze będziecie się modlić, żebym wrócił”. Wyjechał, nikomu nic nie mówiąc – oczywiście poza swoimi rodzicami i Sonią. Sonia musiała wiedzieć od początku. To tłumaczyło, dlaczego z jednej strony w ogóle się o niego nie martwiła, a z drugiej cały czas trzymała rękę na pulsie i interesowała się sytuacją w Nasty Oranges. Jasiek chciał im dać nauczkę i ukoronowaniem jego planu zapewne miał być tryumfalny powrót: oto kiedy Antek, Tomek i Mat stracili wszelką nadzieję, pojawia się wybawiciel Ritmeijer, a oni z ulgi, że jednak ich nie opuścił, natychmiast akceptują każdy jego pomysł.

No, chyba że podczas jego nieobecności ktoś inny już wymyślił dobrą fabułę – wtedy witaliby Jaśka nie ze łzami szczęścia, tylko wściekłości. Jakby nie było, zostawił projekt w decydującym momencie, żeby się pobawić w próbę sił, w branży znaną powszechnie jako mierzenie się na kutasy.

Najzabawniejsze było w tej sytuacji, że to właśnie Tyrowicz, który chciał po prostu chronić swój tyłek i najmniej przejmował się fabułą RFF4, wprowadził do Nasty Oranges kogoś, kto od razu zaczął węszyć w sprawie Jaśka, a potem wziął się za składanie nowego story. Można się domyślić, że Jasiek z jednej strony nie uważał Marcina za poważne zagrożenie (bo wtedy by przecież wrócił), a z drugiej

wolał mieć sytuację pod kontrolą i dlatego poprosił Sonię, żeby przypilnowała jego interesów. To dlatego tak się interesowała Marcinem i fabułą. I – oczywiście – teraz wpełchnęła się do Nasty Oranges, nie żeby im pomóc, tylko żeby sabotować nowe wersje story, dopóki Jasiak nie wróci. No bo naprawdę – zła siostra bliźniaczka?

Marcin odetchnął głęboko przez nos. Przepuścił już trzy autobusy, bo tak dobrze mu się myślało na świeżym powietrzu. Był z siebie strasznie zadowolony. No dobra, długo błądził w ciemnościach, siedział po nocach, odwalając robotę za Jaśka (który gdzieś tam sobie leżał pod palmą i śmiał się z nich wszystkich w kułak), a teraz dalej nie wiedział, gdzie konkretnie jest Ritmeijer, jak pozbyć się Soni ze studia i jak przeforsować swoją własną, jedyną słuszną fabułę, ale no – przynajmniej miał pomysł na pomysł.

Koniec dyskusji

Pani Nowakowa zastygła w połowie ruchu. Ktoś pukał. Szybko odłożyła moką ściereczkę na kuchenny stół, poprawiła okulary na nosie, podciągnęła podomkę do góry, żeby przypadkiem nie odsłaniała fragmentu jej chudego dekoltu, i już była przy drzwiach. Jakaś przesyłka? Ktoś z gazowni? Prywatne ubezpieczenia na życie? Z tymi ostatnimi mogła rozmawiać godzinami, wypytując o wszystkie szczegóły i wyszukując kruczki w ofercie, by na koniec – kiedy już było po nich widać, że czują się, jakby zdali trudny egzamin – oświadczyć, że jednak nie jest zainteresowana. A może dziś naprawdę miała szczęście i byli to świadkowie Jehowy?

Przytknęła oko do wizjera.

Julka Chojnacka. A ta czego chce?

– Słucham? – zapytała przez uchylone drzwi niecierpliwie, jakby czekały na nią setki pilnych zadań, chociaż oczywiście zżerała ją ciekawość. Najwyraźniej to jeszcze nie koniec atrakcji, jakie ostatnio fundowali jej rozwydrzeni lokatorzy spod trzynastki.

Julka uśmiechnęła się miło do staruszki i podniosła wyżej ciężką tortownicę, którą trzymała przed sobą.

– Dzień dobry. Upiekłam świąteczny sernik. Z toffi. – powiedziała zachęcająco, starając się nie gapić na jej wielkie okulary w rogowej oprawie. Niesamowite, że ten model po czterdziestu latach znów był modny, ale egzemplarz, który nosiła pani Nowakowa, dalej wyglądał absurdalnie. Oto prawdziwe hipsterstwo.

– No i? – rzuciła pani Nowakowa tonem, jakiego mógłby użyć Finnley w zatłoczonej karczmie, kładąc od niechcienia rękę na rewolwerze.

– No i chciałabym się dowiedzieć, o czym mój ojciec rozmawiał wczoraj z tą dziewczyną na klatce.

W progu powitały go kojące dźwięki fortepianu. Julka była u siebie i grała... coś tam. Mat nie miał szczególnego słuchu muzycznego – potrafił rozpoznać ścieżkę dźwiękową *Gwiezdnych Wojen*, opening *Gry o tron* i muzyczkę z *Mario*, ale nie takie plumkanie, chociaż musiał przyznać, że było całkiem przyjemne. Nie mógł się nadziwić, skąd u Julki taki talent – na początku myślał, że to jakaś fanaberia Izy, której też słoń nadepnął na ucho, ale koniecznie chciała mieć małego wirtuoza w domu, jednak okazało się, że ich córka rzeczywiście ma do tego dryg. Kiedy patrzył, jak Julka występuje na koncertach w szkole muzycznej, rosło w nim pełne dumy niedowierzanie, że udało mu się wyshipować tak doskonały produkt.

Kiedy wszedł do jej pokoju, natychmiast przestała grać i odwróciła się do niego. Wyglądało na to, że czekała na niego i spodziewała się Poważnej Rozmowy. No dobrze. Jemu już trochę zeszło ciśnienie i uznał, że chyba nie muszą wcale tego omawiać, skoro wyraził swoje ojcowskie niezadowolenie dość jasno, wypraszając Martę (która, nawiasem mówiąc, powinna umieć okazać tyle taktu, żeby się tu więcej nie pokazywać). Ale może rzeczywiście lepiej załatwić tę sprawę raz na zawsze.

– Julka, musimy sobie coś wyjaśnić – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to stanowczo, a nawet odrobinę groźnie.

– Też tak myślę – odparła spokojnie, jakby nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Usiadł na jej łóżku, wygładził pomiętą koszulkę z Iron Manem, której chyba zapomniała mu wyprasować, i odchrząknął.

– Wiem, że nie jest ci łatwo i nasz rozwód z mamą... No, w każdym razie świetnie sobie radzisz, chociaż wiem, że przerzuciłem na ciebie część domowych obowiązków i tak dalej – kontynuował pełnym namaszczenia tonem. Julka uniosła wysoko brwi. – Zwykle staram się nie zrzędzić i niczego ci nie zabraniać, tym bardziej że zupełnie się do tego nie nadaję, ale... Wolałbym, żebyś nie spotykała się z Martą. Zwłaszcza za moimi plecami – pozwolił sobie na koniec na subtelną nutę urazy.

– Bo? – rzuciła Julka.

– Bo sobie tego nie życzę – powiedział, a przyszło mu to tak naturalnie, że aż pożałował, że nie ma podobnej władzy w Nasty Oranges. Oni zawsze musieli dyskutować. – Dobra, powiem szczerze, co myślę – zdecydował nagle. A co mu szkodzi. – Rozumiem, że pewne, hm, scenariusze mogą być dla ciebie szczególnie atrakcyjne. Jesteś zaradna i starasz się o mnie troszczyć na swój sposób – i ja oczywiście to doceniam. Ale naprawdę nie musisz się posuwać do tego, żeby urządzać mi życie i wyszukiwać idealne kandydatki na, hm, dziewczynę. Sam umiem o siebie zadbać. Oczywiście, mamy w domu dość luzacki układ, ale nie powinniśmy zapominać, kto tu jest rodzicem, a kto dzieckiem. Ok? To ja tu ustalam zasady i jedną z nich jest, że nie możesz się wtrącać w moje osobiste sprawy.

– Wiesz, jesteś naprawdę niesamowity – powiedziała Julka z fascynacją i przez moment Mat poczuł miłe zdziwienie: ma tak dojrzałą córkę, że nawet w takich sytuacjach się nie buntuje, a wręcz podziwia jego metody wychowawcze. Niestety szybko wyprowadziła go z błędu.

– Rozumiem, że ciągle masz z tym problem, ale to nie jest tak, że we wszystkim zawsze chodzi o ciebie. Nie mam zamiaru swatać cię z Martą, nawet mi

to do głowy nie przyszło. I to ty wtrącasz się w moje osobiste sprawy. Moje i Marty – powiedziała Julka stanowczo i dumnym ruchem odrzuciła warkocz na plecy.

– Twoje i Marty...? Co to ma znaczyć? – zaniepokoił się.

– To znaczy, że się zaprzyjaźniłyśmy, ja zaprosiłam ją na wieczór, a ty tu wpadasz, strzelasz focha... Nie chciałam przy niej robić scen, bo już i tak było nieprzyjemnie, ale naprawdę zachowałeś się jak totalny burak, tato.

– Zaprzyjaźniłyście się? Ty wiesz, ile ona jest od ciebie starsza? – powiedział z irytacją.

– No i co? Zawsze powtarzasz, że jestem bardzo poważna jak na swój wiek. Czy to nie oznacza, że łatwiej mi się dogadać z kimś starszym? – Julka wreszcie zaczęła tracić opanowanie. W jej głosie zabrzmiała prośba i Mat uznał to za sygnał do ataku.

– Nie, to oznacza, że oczekuję od ciebie więcej niż od zwykłej dwunastolatki. Na przykład tego, że nie będziesz kłamać. Bo tak było, prawda? Mówiłaś, że idziesz gdzieś tam, a tak naprawdę spotykałaś się z Martą?

– Nie. Przecież ty nigdy nie pytasz, gdzie zamierzam iść i co robić!

Patrzyli na siebie rozjuszeni, Mat był blady ze złości, a Julka miała niezdrowe rumieńce i drgały jej skrzydełka nosa. Nie pamiętał, kiedy się tak ostatnio pokłócili, ani – co gorsza – jak wtedy udało mu się wybrnąć z tej sytuacji.

– Gdyby chodziło o kogokolwiek innego... Gdybyś znalazła sobie jakąś starszą koleżankę – nie ma sprawy. Ale czemu to musi być ona? Nie ufam jej – powiedział szczerze i nagle poczuł się o wiele lepiej, jakby dotarli do źródła problemu. Problemem była Marta. To przez nią Julka tak dziwnie się zachowuje. – Rozumiesz? Właśnie o to chodzi. Nie podoba mi się ta cała Marta.

– Sądząc z tego, jak skończył się wczorajszy wieczór, *I find that incorrect, sir* – wypaliła Julka i natychmiast tego pożałowała.

Dla odmiany teraz Mat poczerwieniał. Nie mógł uwierzyć, że ta podstępna żmija powiedziała o tym Julce. Miał rację: Marta jest naprawdę nienormalna!

Przez chwilę siedział bez słowa, zaciskając i rozluźniając pięści. Julka rzuciła mu pełne obawy spojrzenie, a potem zapatrzyła się na swoje domowe baletki z przetartymi noskami.

– Koniec dyskusji. Nie będziemy o tym więcej rozmawiać – odezwał się w końcu Mat. Jego głos brzmiał oschle i obco nawet dla niego. Wstał i wyszedł z jej pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Miał teraz ochotę mordować, rąbać na kawałki i wyrywać flaki. Zaszył się u siebie i przez trzy godziny grał w *Postal*.

Wszystko, co najlepsze

Paweł Stentor poprawił szalik pod szyją i zaczął zapinać kurtkę. Robił to najwolniej, jak się dało, żeby tylko opóźnić wyjście ze studia. Była osiemnasta. Osiemnasta! Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– O, już wychodzisz? Wcześniej dzisiaj. – Kacper, producent enviro, zdjął swój płaszcz z wieszaka. – Dość wrażeń jak na jeden dzień, co?

– Nie, mam dziś urodziny i kumple wyciągają mnie na piwo – powiedział Stentor markotnie i rzucił tęskne spojrzenie w kierunku szwalni. Mógłby jeszcze tyle zrobić! No co za pech.

– O, nie wiedziałem. Wszystkiego najlepszego. Sto lat crunchu!

Paweł uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Twój team nic ci nie zorganizował z tej okazji? Mogliby ci chociaż oddać trochę swoich bugów, miałbyś na jutro.

– W pewnym sensie coś zorganizowali...

Drzwi szwalni otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Asia. Stentor ożywił się i zrobił krok w jej stronę. Może stało się coś strasznego i jednak bez niego sobie nie poradzą? Może będzie zmuszony zostać jeszcze chociaż z godzinkę? Asia przyłożyła dłonie do ust, żeby skuteczniej przekrzyczeć szum dobiegający z pokoju, i zawołała:

- Paweł! Czym się różni strzyga od wiedźmina?
- Przecież dziś już był suchar. I to też wiedźmiński – zdziwił się Kacper.
- Paweł ma dzisiaj urodziny i należy mu się wszystko, co najlepsze! No więc, czym się różni?
- Nie mam pojęcia – oświadczył Stentor lojalnie.
- Wiedźmina ostrzyżesz, a strzygi nie owiedźminisz.

To nie to, co myślisz

Emilka kończyła właśnie oglądać pierwszy sezon *Newsroom*, wygodnie rozłożona na kanapie, kiedy usłyszała zgrzyt zamka w drzwiach wejściowych. Zerknęła na zegarek: dziewiętnasta. Niemożliwe, żeby Staszek już wrócił z pracy, przecież mówił, że będzie crunchował dziś do oporu. Chyba że chciał jej zrobić niespodziankę i wpaść na godzinkę, żeby nadrobić zaległości, bo kiedy wracał w środku nocy, zazwyczaj do niczego się już nie nadawał, a ona była zbyt śpiąca, żeby udowodnić mu, że wcale nie jest aż taki zmęczony. Uśmiechnęła się pod nosem i zdjęła szybko sweter, pod którym miała obcisłą białą koszulkę, a potem kilkoma pociągnięciami pogłębiła dekolt. Nie czas na subtelności.

Zamek się zaciął albo Staszek pomylił znowu klucze, bo strasznie długo to trwało. Emilka przeszła do przedpokoju i otworzyła drzwi od wewnątrz, a wtedy do środka wtoczył się pijany jak szpak Mazurek.

– Wojtek... Co się stało? – zapytała zbita z tropu. I bardzo rozczarowana.

Mazurek wsparł się mocno o ścianę i przekręcił tak, żeby spojrzeć jej w oczy.

Emilka cofnęła się.

– Znowu szysko w chuj – oświadczył z jakąś dziwną, tragiczną powagą, a potem zaśmiał się ochryple. Miał świeżo podbite oko, a spodnie i kurtkę oblepione błotem i mokrym, rudawym piaskiem, którym tej zimy posypywano ulice. Zaczął się osuwać, więc żeby złapać równowagę, przesunął ręką po ścianie,

znacząc ją brunatną smugą. Miał rozkrwawione dłonie, jakby ktoś rozbił mu je cegłą.

– Wojtek, biłeś się z kimś?

Znowu się zaśmiał i łysnął przekrwionym okiem.

– Biłem sie... ze wszystkimi. A potem całkiem sam... ze ścianą. I wygrałem reszcie. Wreszcie – poprawił się, a potem z zainteresowaniem zaczął przyglądać się swoim rękom, obracając je na różne strony.

Emilkę przeszedł dreszcz. Nie bała się pijanych mężczyzn i umiała sobie z nimi radzić, ale to było coś innego. Na imprezach na Gwiaździstej zwykle wszyscy upijali się „na małą”, czyli na wesoło i głupkowato, „na wilka” i wtedy robili się agresywni, ale jako że byli w mniejszości, łatwo dawało się ich spacyfikować, „na nietoperza”, czyli zasypiali w dziwnych miejscach i pozycjach, „na misia koalę” – wtedy byli słodcy i przyklepni albo „na pawiana” i wtedy Emilka wychodziła z pokoju, dopóki ktoś nie zmusił ich do założenia majtek. Obecnego stanu Mazurka nie umiała nawet sklasyfikować. Na wilkołaka? Nigdy go nie widziała takiego.

Wojtek dygotał, przez twarz przebiegały mu dziwne, nerwowe grymasy, odsłaniając zęby w upiornej parodii uśmiechu. Bez przerwy otwierał i zamykał usta, jakby opił się nie wódki, tylko żrącego kwasu, który go teraz palił od środka. Z nosa mu ciekło, włosy miał zlepione czymś nieokreślonym, a napuchnięte oko drgało, kiedy na siłę próbował je otworzyć. Emilce ze zgrozy i litości ścisnęło się serce.

– A może byś się położył spać? – zapytała delikatnie. Jego rękami i okiem zajmie się później.

– O nie, jesszszesz wcześniej. – Rzucił jej przewrotne spojrzenie i wybuchnął syczącym śmiechem. Potem odepchnął się od ściany i zataczając się, ruszył do swojego pokoju. Po chwili dobiegł stamtąd łomot. Emilka powstrzymała impuls, żeby od razu tam do niego pobiec. Zamiast tego wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Staszka.

– Z Mazurkiem niedobrze – wyszeptała, kiedy wreszcie odebrał. – Nie wiem, co się stało. Możesz przyjechać? Chyba nie dam sobie z nim rady. Tak, poważnie. Ok. Weź taksówkę.

Z pokoju Wojtka znów dobiegł trzask i rumor, więc szybko się rozłączyła i poszła sprawdzić, co się tam wyprawia.

Mazurek stał przed swoją szafką i wywalał z niej wszystko jak leci na podłogę. Pod nogami wały mu się już książki, ubrania, jakieś kolorowe karty i płyty. Trudno było stwierdzić, czy czegoś szuka, czy chciał wszystko rozpieprzyć dla przyjemności.

Gdzie on się tak zaprawił? – zastanawiała się Emilka. Według jej fachowej oceny to wyglądało na jakieś cztery godziny ciężkiego picia, być może z przerwami. Czy w takim razie nie był dziś w pracy? Z tego co wiedziała, w Nasty Oranges panowały dość liberalne zasady, ale takie akcje na pewno nikomu nie uszłyby na sucho. A już zwłaszcza Mazurkowi, który dostał w swoim czasie ostrzeżenie za przychodzenie do studia na ciężkim kacu. Od tamtego czasu bardzo się pilnował, a na imprezach trzymał się drogi nietoperza: wypijał trzy piwa i zasypiał. Dziś jeśli zaliczył jakieś piwo, to tylko żeby wódka trzepnęła mocniej.

Chociaż nie stał zbyt pewnie i musiał jedną ręką mocno trzymać się półki, radził sobie całkiem nieźle. Pod nogi upadł mu kolejny stos płyt z gramami, a ciężka figurka Batmana poszybowała przez pokój i uderzyła w ścianę, zostawiając na niej brzydką rysę. Mazurek nawet się nie obejrzał, tylko dalej wygarniał wszystko i rzucał za siebie. Cały czas mamrotał pod nosem ze złością. Emilka wyteżyła słuch, żeby wyłować coś z tego bełkotu.

– Szyskie zdjęcia... Nie mam. Ża-żadnych zdjęć nie mam, wogle żadnych, rosumiesz? Szysko wyrzuciłem, szysko. A teras nie mogę sobie pszypomnieć.

Wielka szklana kula z obscenicznym Mikołajem i śniegiem w środku – prezent od Staszka i od niej na zeszłe Święta – rozbiła się w drobny mak. To może lepiej, pomyślała Emilka. Była idiotyczna.

– Jednej nie ma i drugiej nie ma. Żadna różnica. Żeby to kurwa. Kurwa. Kurwaaaa! – nagle zaczął się wydzierać z odchyłoną do tyłu głową jak wilk wyjący do księżyca. Zachwiał się, a potem rozejrzał, co by tu jeszcze rozwalić, ale półki były już puste.

Jak on ma mało rzeczy, uświadomiła sobie Emilka, patrząc na żalony, sponiewierany dobytek Mazurka. On chyba pomyślał to samo, bo zaczął szukać czegoś o większym ciężarze gatunkowym. Zrobił wielki, chybotliwy krok na środek pokoju, złapał się krawędzi biurka, a potem ze stęknieniem chwycił monitor. Ustawił się wygodniej, oparł biodrem o ścianę i zezując, namierzył okno.

Emilka, chociaż postanowiła tylko obserwować sytuację i nie wkraczać do akcji, dopóki nie przyjedzie Staszek, nie wytrzymała.

– Wojtek, uspokój się! – Podbiegła do niego i spróbowała mu wyjąć łup z rąk. Okazało się to dość łatwe, bo miał dłonie śliskie od potu i krwi, a monitor był gładki i ciężki. Mazurkowi to wszystko się nie spodobało, więc warknął i machnął ręką na oślep. Monitor upadł na podłogę z dźwiękiem, od którego Emilce przeszły ciarki po plecach.

– Daj mi spokój! Jasne? Daj mi spokój wreszcie! – wrzasnął Mazurek, złapał ją za rękę i szarpnął. Zanim zdążyła zareagować, twarz znowu zaczęła mu drgać w dziwnych grymasach i nagle pojawił się na niej nowy wyraz. Wyglądało to na pełne wstydu roztkliwienie, ale Emilka nie dała się nabrać. Spróbowała mu wyrwać rękę, ale trzymał mocno.

– Emilko, przepraszam. Nie gniewasz się, sso? – Przyciągnął ją bliżej. – To tylko chujowy monitor. A ty zawsze byłaś dla mnie taka dobra. Taaka... doobra. A ze mnie taki skurwysyn.

Od słodkawego zapachu przetrawionego alkoholu zrobiło jej się niedobrze.

– Nie gniewam się. Jesteś pijany i tyle. A teraz puść mnie, dobrze?

– Uśmiechnij się – zażądał. – Jak się nie uśmiechniesz, to nie będę wizał, że się nie obrasiłaś. No?

Emilka spróbowała się uśmiechnąć, ale zupełnie jej nie wyszło.

– Nie ma dołeszków – zauważył i niezdarnie dźgnął ją palcem w policzek. – Nie ma, bo nie zaszyłem.

– Wojtek, puść. To boli.

– Pszepraszam, psszepraszam. – Zwolnił uchwyt, ale nie wypuścił jej ręki.

Wcale się go nie boję, pomyślała. Jest niewiele wyższy ode mnie, a ważymy pewnie tyle samo. Teraz wydaje się większy i silniejszy, ale to z nerwów. Ledwo się trzyma na nogach i mogłabym go przewrócić jednym ciosem. Chyba. Jeszcze tylko kilka minut i przyjedzie Staszek.

To przecież Wojtek, nie zrobiłby mi krzywdy.

– Zaszę cie lubiłem, Emilko. – Mazurkowi zebrało się nagle na zwierzenia. – Wieziałaś o tym? Zaaszę. Ciebie lubiłem. Pewnie nie wieziałaś – westchnął i opuścił głowę. Nagle uśmiechnął się, bo zobaczył coś, co poprawiło mu nastrój. – I czasem... fanta... fan-ta-zowa-em o tobie. Pszepraszam, że ci to mówię, to prawda. Szera prawda. Bo ty jesteś... taka piękna. – Pogłaskał ją po piersiach.

– Wojtek! – krzyknęła i szarpnęła się w tył. Nie puścił, więc spanikowała i uderzyła go w twarz, aż klasnęło. Dłoń jej od tego zdrętwiała, ale poskutkowało: ręce mu opadły po bokach i nie próbował jej zatrzymać, kiedy odskoczyła na bezpieczną odległość. Podniósł na nią zażawiony wzrok i wytarł nos rękawem.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – powiedział wspaniałomyślnie. Zamyślił się na chwilę, a potem dodał rzewnie: – Tylko wiesz. Magdy nie ma.

– Wiem.

Słyszała o zmarłej dziewczynie Mazurka. Między innymi dlatego nie pobiegła teraz zamknąć się w łazience. Od początku – kiedy tylko spojrzała w jego szalone, nieprzytomne oczy – wiedziała, że chodziło o Magdę. I nie potrafiła go zostawić samego, skoro przyszedł do domu.

– Nie ma Magdy. I tamtej też nie ma fcale. A ty jesteś... O Boże, co ja robie. Pszepraszam, Emilko. – Wytrzeszczył oczy, jakby trochę przejaśniło mu się w głowie, po czym ruszył chwiejnie w jej stronę z rozłożonymi ramionami.

A może jednak łazienka to dobry pomysł. Emilka odwróciła się na pięcie, ale był szybszy. Objął ją od tyłu i przycisnął jej mokry nos do karku.

– Nie bąż zła na mnie, prosze – wymamrotał niewyraźnie i zadygotał. Poczwała, jak na plecy spadają jej ciepłe krople. Mazurek zaczął bezgłośnie płakać. – Brzyzisz się mną, co?

– Nie. Tylko mi przykro – wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Nagle usłyszała, jak ktoś wchodzi do mieszkania, i kolana ugięły się pod nią z ulgi.

Sekundę później w drzwiach pokoju stanął Staszek, zobaczył, że jego dziewczyna ma twarz i dekolt umazane krwią, usta w podkówkę i załzawione oczy, a ten pojeb się do niej klei, i spurpurowiał. Pięści zacisnęły mu się konwulsyjnie, oczy wyszły na wierzch, a w uszach zaszumiał mu metalicznie gong z filmowej wersji *Mortal Kombat*.

Mazurek wyczuł, że coś się jakby zmieniło, oderwał się od Emilki i ze zdziwieniem zobaczył czerwonego jak burak Staszka.

Zatoczył się do tyłu i zaczął chichotać, ocierając sobie łzy z oczu, jakby właśnie usłyszał prześmieszny żart.

– Sta-staszek, to nie to, co myślisz! – wypalił i parsknął śmiechem.

Staszek skoczył do przodu z rykiem szarżującego nosorożca, złapał Mazurka za ramiona i z całej siły strzelił go z byka.



Część trzecia

Na końcu wchodzą ninja

Victor Sullivan: Na wojnie i w miłości wszystkie
chwyty są dozwolone.

Nathan Drake: A co jeśli ktoś nie widzi różnicy
między jednym a drugim?

Uncharted. Drake's Fortune, Naughty Dog 2007



Rozdział czternasty

Piątek 27 grudnia

Najlepszy prezent

Mat bardzo nie lubił wracać do studia po Świątach, bo wszyscy przychodzili marudni, naburmuszeni i kłótlivi, tak że przez pierwsze dwa dni w ogóle nie dało się normalnie pracować. Co roku zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby dać im przymusowy urlop aż do Nowego Roku, skoro i tak nie miał z nich żadnego pożytku, ale pewnie później efekt byłby ten sam. Przerwa świąteczna to za mało czasu, żeby porządnie odpocząć po crunchu, ale w sam raz, żeby się rozleniwzić i rozregulować sobie rytm dnia.

– ...bo ja to widzę z perspektywy gracza! Możesz przez chwilę nie myśleć jak dev!?

– Przecież ja też jestem graczem, przede wszystkim graczem!

– Ale jestem takim graczem-graczem!

– Człowieku, ja byłem graczem, kiedy ty oglądałeś jeszcze *Konika Garbuska* na slajdach!

Mat westchnął i pokręcił głową, przechodząc przez korytarz. A tacy byli wszyscy mili dla siebie i słodcy, kiedy zegnali się w Wigilię. Testerzy wyśpiewywali chórem *Last Christmas*, wszyscy składali sobie życzenia, wymieniali jakimiś słodyczami, a Paweł Stentor zawiesił nad swoim biurkiem pęk

jemioly... No i proszę: dwa dni świątecznej, rodzinnej atmosfery i od razu rzucają się sobie do gardeł.

On spędził Święta samotnie – jego rodzice po przejściu na emeryturę przeprowadzili się do starego domu dziadków w Bieszczadach i dotarcie tam bez samochodu (Mat nie miał prawa jazdy) zajęłoby mu tyle, że nie opłacało się jechać. Pogadali sobie w Wigilię przez Skype'a i obiecał im, że wpadnie na dłużej, kiedy skończą projekt. A potem przez dwa dni snuł się po mieszkaniu i nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Aż trudno uwierzyć, jak pusto zrobiło się w domu bez Julki, która spędzała Święta z Izą i jej rodzicami. Mat szybko się za nią stęsknił – ale dobrze, to ją nauczy, myślał surowo. Posiedzi chwilę z babcią i mamą, które będą ją maglować o wszystko i co chwilę podszczypywać jak kurczaka, żeby się upewnić, czy jej aby nie zagłodził, to doceni, jak tu ma dobrze. Od razu trochę skruszeje i zacznie się normalnie zachowywać. Oczywiście chciał, żeby miło spędziła Święta, jak najbardziej! ...ale gdyby przy okazji złapała właściwą perspektywę, nie byłoby źle. Wiadomo, że woli jego, ale może warto, żeby sobie przypomniała czemu.

Kiedy jakiś czas temu dotarło do niego, że hoduje dziecko, które nie lubi własnej matki, zrobiło mu się trochę niewyraźnie. To znaczy, oczywiście dobrze ją rozumiał – sam też Izy nie trawił, ale no, matka to matka. Przez jakiś czas bawił się myślą, że ma w domu małego androida (co tłumaczyłoby, czemu jest taka dobra w *Neuroshimę Hex*), jednak musiał w końcu pogodzić się z wyjaśnieniem bardziej trywialnym: Julka dopuszczała do siebie bardzo niewiele osób, a i z tego wąskiego kółka można było w każdej chwili wypaść. Pierwsi mogli stać się ostatnimi. Nie żeby mała obrażała się o byle co, wręcz przeciwnie. Iza sobie nagrafiła tym ciągłym czepialstwem i demonstracyjnie złą wolą. Przy rozwodzie tak się miotła między poczuciem winy i próbami ratowania swojego autorytetu, że Julka całkiem się zniechęciła i przestała nawet próbować z nią normalnie rozmawiać. Mat smutno pokręcił głową nad tym rodzicielskim partactwem. Rzecz w tym, że Iza za bardzo się starała, a Julce do szczęścia trzeba tylko trochę luzu. Żyj, jak chcesz, i daj żyć innym. Mat był bardzo dumny, że odkrył tę złotą zasadę: rób, jak ci wygodnie, i nie

odstawiaj pelikana karmiącego młode własną krwią, to obejdzie się bez głupich pretensji i wszyscy będą zadowoleni. Jak dotąd takie podejście doskonale się sprawdzało.

Mat zmarszczył brwi.

Jakoś tak przyszło mu do głowy, że może jednak warto, może nie codziennie, ale właśnie od święta, podkreślać tę wyjątkową więź ojcowsko-córczyną. Zwłaszcza teraz, tak żeby po powrocie Julki różnica po prostu biła po oczach. Mógłby dla niej zrobić coś specjalnego. Prezent już dostała, ale o wiele bardziej liczą się odruchy serca, no nie? O to chodzi w Świątach. Zastanowił się, co sprawiłoby jej największą radość.

Odpowiedź była oczywista.

Przez chwilę próbował ją ignorować i wymyślić coś innego, ale po co się oszukiwać? Przecież to było teraz dla niej najważniejsze.

No, dooobra. – Przewrócił oczami. – Niech będzie.

Andrzej szuka pocieszenia

Nawet do łazienki nie dadzą mu wyjść spokojnie. Ledwo Andrzej pojawił się na korytarzu, podbiegła do niego Asia i złapała go za rękaw.

– Widziałam wczoraj Karolinę z Pawłem w Pędzącym Króliku! Najwyraźniej świetnie się bawili.

– Mhm – mruknął Andrzej. Czemu wszyscy uważali, że muszą mu mówić takie rzeczy? Czysta złośliwość, ot co.

Od czasu jego pamiętnego wystąpienia w kuchni Karolina konsekwentnie dawała wszystkim do zrozumienia, że cokolwiek Andrzej tam sobie uroił, nie miało to wiele wspólnego z rzeczywistością. Podeszła do sprawy metodycznie, posiłkując się zdobytą listą – w niedzielę poszła z Frankiem (ostateczny wynik czterdzieści pięć punktów) na łyżwy na Stadion Narodowy, w poniedziałek z Adamem (trzydzieści osiem punktów) na imprezę salsową (ta łamaga naprawdę potrafi

tańczyć?), a teraz, proszę, Pędzący Królik – musieli mu jeszcze ulubioną restaurację zohydzić. W dodatku to ona płaciła za te wszystkie polędwiczki, karmelizowane szalotki i rakowe szyjki z ziarnami granatu, rozrzucając beztrudnie JEGO forszę z kasetki.

Chichot Asi uzmysłowił mu, że stoi bez słowa, zaciskając pięści i zgrzytając zębami. Odetchnął głęboko i spróbował się do niej uśmiechnąć. Właśnie mu się przypomniało, że przecież nic a nic go to nie obchodzi.

– A jak tam wasza nowa fabuła?

Teoretycznie Krzysiek był ostatnią osobą, od której Andrzej mógł oczekiwać wsparcia i pocieszenia, ale jego zgryźliwe uwagi jakoś lepiej znosił niż złośliwości innych. Zresztą, Krzysiek nawet nie używał sobie na nim tak bardzo, jak by mógł – widać było, że nie ma do tego serca. Taka powściągliwość zupełnie do niego nie pasowała i Andrzej zaczął podejrzewać, że Krzysiek sam ma jakieś problemy. Nie żeby go to ucieszyło, rzecz jasna, bo przecież życzył mu jak najlepiej, ale... przyjemnie byłoby posłuchać o kłopotach kogoś innego, tak dla odmiany. Uzyskanie tego specyficznego rodzaju pokrzepienia wymagało od Andrzeja sporo wysiłku – po pierwsze, musiał wyczekać moment, kiedy Krzysiek zostawał sam w pokoju programistów (bo po co wchodzić w oczy Frankowi i pozostałym?), a po drugie zmusić go do zwierzeń, co było zadaniem o wiele trudniejszym.

– Hej, jak tam? – zapytał niewinnie, stając przy jego biurku.

Krzysiek zawsze był niezły w komunikowaniu się za pomocą mowy ciała, ale tego dnia wspiął się na szczyty elokwencji. Nisko opuszczone brwi mówiły „pracuję”, zaplecione i podrygujące nogi „spieszę się, a ty mi zawracasz głowę”, a lekko wysunięta dolna szczęka „spierdalaj”. Nie doczekawszy się innej odpowiedzi, Andrzej postanowił przypuścić bezpośredni atak.

– Zabierasz swoją dziewczynę na jakiś romantyczny wieczór w sylwestra?

To był strzał w ciemno – celny, jak się okazało. Krzysiek wzdrygnął się, a potem zacisnął mocno zęby, aż mu zapulsowało na skroni.

– Nie.

Jego ton wyraźnie ostrzegał, żeby nie iść tą drogą, ale teraz Andrzej już nie mógł się powstrzymać.

– Czyli w tym roku przychodzisz wreszcie na firmową imprezę? Ona nie będzie miała nic przeciwko? To ostatecznie szczególna noc...

– Nie przychodzę.

– To co będziesz robić?

– Pracować.

– Żartujesz sobie? W sylwestra? Są przecież jakieś granice.

– Mam dużo roboty. Teraz też.

– Znaczą, mam sobie iść, tak?

– Tak. – Krzysiek podniósł na niego podkrążone oczy i posłał mu takie spojrzenie, że Andrzej aż się cofnął.

Odkąd się znali, słyszał niemal codziennie, że ma spierdalać i więcej nie przeszkadzać, ale dziś pierwszy raz Krzysiek mówił całkiem serio. To sprawiło, że Andrzej rzeczywiście zapomniał na chwilę o swoich problemach, ale wcale nie poczuł się lepiej.

Wszystko się sypie

Antek Hejdasz wyszedł z porannego spotkania w sprawie story i zamknął się w swoim pokoju. Usiadł tyłem do drzwi, zasłonił oczy dłońmi i pozwolił, aby jego głowa opadła do przodu, aż stuknął czołem o blat biurka.

A miało być tak pięknie. W końcu udało mu się pogodzić z tym, że Jasiek najpewniej nie wróci na czas, i nawet zaczął nieśmiało wierzyć, że da się uratować tę grę bez niego. W gruncie rzeczy był już tak zdesperowany, że zaakceptowałby każdy pomysł, który nie zawierałby dinozaurów zombie, Motomyszy z Marsa i masonów. Ba, był gotów nawet pominąć Mata w procesie decyzyjnym, żeby wreszcie pchnąć sprawy do przodu. Plan, żeby połączyć wysiłki upartego Marcina i Soni, uważanej przez wszystkich za kogoś w rodzaju duchowej spadkobierczyni

Ritmeijera, był oczywiście ryzykowny, ale miał w sobie ten rodzaj absurdalnej logiki, która daje nadzieję. Przecież najlepsze pomysły powstają dzięki zderzeniu różnych osobowości twórczych – wiele razy obserwował to na przykładzie Jaśka i Mata. Naprawdę, był teraz gotów pójść na kompromisy, przymknąć oko na niedoróbki i dać im tyle wsparcia, ile potrzebują – byle wyszło z tego coś obiecującego. A tymczasem okazało się... hm, właściwie sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Na początku wydawało mu się, że przedstawiają mu gotowy, wspólnie przygotowany pomysł – Sonia ponoć zaproponowała tę złą siostrę bliźniaczkę, później Marcin trochę to przepracował i teraz Avery miała się okazać siostrą Finnleya – jego ojciec zgwałcił jej matkę, Avery dowiedziała się o tym po latach i postanowiła upozorować własną śmierć, żeby Finnley jej nie szukał, a krwawa zemsta na bandzie braci Baird wyszła niejako przypadkiem, z nadgorliwości Finnleya.

Brzmiało straszliwie melodramatycznie i Antek czuł, że wiele będzie go kosztowało, żeby się z tym wszystkim pogodzić, ale naprawdę już był na to gotowy. Jednak kiedy tylko Marcin skończył rozrysowywać strukturę na tablicy, nagle włączyła się Sonia (która dotąd wydawała się zainteresowana tylko i wyłącznie oczojebnym wzorkiem na swoich rajstopach). „Jest oczywiście kilka drobnych niedociągnięć” – oświadczyła pogodnie, wstała i przechadzając się po salce konferencyjnej, zrobiła pokaz sztucznych ogni, rozpieprzając fabułę w drobny mak.

Antek na początku nadał za tokiem jej rozumowania, później już nie. Na koniec dotarło do niego tylko tyle, że ta wersja fabuły jest całkowicie nie do przyjęcia, że Jasiek by się nigdy na coś takiego nie zgodził i że oczywiście, możemy tak zrobić, ale hejt będzie nieziemski, nikt tej gry nie kupi i wszyscy fani zrażą się do Finnleya na wieki wieków. Hejdasz spojrzał na Marcina, mając nadzieję, że będzie bronił swojego pomysłu, ale producent questowców przyglądał się spokojnie popisowi Soni i nie komentował.

I to było już całkiem dziwaczne. Z tego, co dotąd słyszał od Mata i Tyrowicza, Marcin był beznadziejnym [noobem](#), upierdliwcem i ogólnie wrzodem na dupie, ale przy tym wszystkim naprawdę się wkręcił w wymyślanie nowej fabuły. I to nawet z niezłym efektem. Ponoć był w stanie zmotywować wiecznie marudny team questowców do dodatkowej pracy kreatywnej w crunchu (co Mat nazywał zbawienną inicjatywą, a Tyrowicz marnowaniem zasobów) i wycisnąć z nich parę fajnych pomysłów. Żaden z nich nie przeszedł, ale umówmy się – na sto pomysłów Jaśka przechodzi jeden, a i to zwykle w dziesiątej iteracji, więc nie ma co oczekiwać cudów. I teraz ten twórczy producent, ten wybryk natury, po tym, jak siedział przez Święta, żeby domknąć ulepszoną wersję złej siostry bliźniaczki, stoi jak kołek i nawet słowa nie powie, żeby powstrzymać tę wariatkę. Antek widział tylko trzy możliwe wyjaśnienia. Albo Marcin miał świętą cierpliwość (równie rzadkie, co cenne w tej branży), albo już się wypalił i było mu wszystko jedno (bardzo prawdopodobne), albo zaczął sypiać z Sonią (he, he).

Nie widząc znikąd ratunku, Hejdasz kiwał ponuro głową, kiedy Sonia tłumaczyła mu, jak wiele jeszcze pracy przed nimi, że trzeba kłaść nacisk na jakość, bo tego życzyłyby sobie Jasiek, że lepiej dopracować fabułę teraz, bo tak naprawdę oszczędzimy na tym o wiele więcej czasu, a jeśli odstawimy teraz fuszerkę, trzeba będzie w nieskończoność poprawiać questy, a Jasiek mówił, że szwy zawsze widać, więc skoro chcemy dobić do osiemdziesiątki na [Metacritic](#)... W końcu mózg miłosiernie mu się wyłączył i podczas, gdy ona tam sobie tokowała, Antek mógł się skupić na przeżywaniu swojego rozczarowania. Już prawie mieli fabułę. Już widział światełko w tunelu. I znowu nic.

Oczywiście mógł walnąć pięścią w stół i powiedzieć, że Avery--siostra-Finnleya zostaje, że jest zachwycony nową wersją i nie chce żadnej innej, a teraz proszę mi to zaimplementować i koniec dyskusji. Tylko że tę fabułę ktoś (nie on przecież i nie Mat czy Tyrowicz) tak czy inaczej, musiał doszlifować i rozwinąć. Z doświadczenia wiedział, że nie da się z powodzeniem zrealizować jakiegoś pomysłu, jeśli się w niego stuprocentowo nie wierzy. A Marcin po tym, jak Sonia

podarła na strzępy i podpaliła nowy pitch, nie wyglądał mu na entuzjastę czegokolwiek.

Nagle Antek uniósł głowę znad stołu, tknięty niepokojącą myślą – czemu obecny na spotkaniu Tyrowicz miał taką zadowoloną minę, słuchając Soni? Chwilami mówiła sensownie, rzeczywiście, i z wieloma argumentami, które przytaczała, niestety nie sposób było się nie zgodzić, ale wydawało się, że to raczej cofnięcie się znów do punktu zero sprawiło mu największą satysfakcję. Zupełnie jakby nie chciał, żeby im się udało. Co oczywiście nie miało żadnego sensu. Gdyby Tyrowicz nie lubił Marcina i liczył, że podwinie mu się noga, to jasne, wszystko by się zgadzało. Ale przecież całe studio już dawno wiedziało, że ci dwaj to starzy kumple. Antek był nawet zaskoczony, że Tyrowicz nie wspomniał o tym przy rekrutowaniu Marcina, i pochwalił go przy okazji za pełen profesjonalizm, co Tomek przyjął dość chłodno. Dziwne. Antek wzruszył ramionami i westchnął – oto kolejny przykład na to, że traci kontakt z codziennym życiem firmy. Nie żeby przedtem lubował się w plotkach, ale miał wrażenie, że wie ogólnie, co się dzieje. Rzecz jasna, to ta sprawa z Jaśkiem tak bardzo wybiła go z rytmu.

Nagle z całą ostrością dotarło do niego, jak bardzo mają przejebane. Dobra, spokojnie – wdech, wydech. Przecież dadzą sobie radę, zawsze jakoś dawali. Próbował sobie przypomnieć, jak to było przy poprzednich grach. Też tak źle? No były jakieś chore jazdy: przy RFF2 Mat złamał nogę, ale i tak przychodził do biura o kulach, dopóki nie potknął się i nie złamał drugiej, Neverland Studios bezczelnie podkupili im art directora i nie znaleźli nowego aż do końca, kiedyś cały miesiąc wycięła z pipeline'u epidemia grypy żołądkowej w studiu, a w środku preprodukcji RFF3 wyciekły dane i musieli zaczynać jeszcze raz od początku. Ale czas jakoś zaleczył traumę – przecież wszystko dobrze się skończyło! – i teraz Antek wspominał to jako piękne czasy. Co za idiotyzm. Może powinien na bieżąco prowadzić pamiętnik, żeby mieć jakiś punkt odniesienia na przyszłość. Dzisiaj pewnie zapisałby: „27 grudnia, 97. dzień alfy. Zgroza, zgroza, zgroza. Jaśka dalej nie ma, Sonia rozpieprzyła nowe story i chyba wykastrowała Marcina. Chyba zaczynam popadać w paranoję – chwilami wydaje mi się, że Tyrowicz sabotuje

projekt, a może i donosi Dreamsom. Rzygam już tym Finnleyem. Co to będzie, jeśli wszyscy się dowiedzą o Lucid Dreams? Uciekną i sam se będę grę robić. I gdzie znowu jest Mat? Wszystko się sypie”.

Drapieżna i szlachetna

Wszystko się sypało. A im było gorzej, tym lepszy Mazurek miał nastrój. Błędy piętrzą się tak szybko, że suwak w [bugtrackerze](#) topnieje w oczach? Znakomicie! Edytor ładuje się pół godziny i crashuje po dziesięciu minutach? Świetnie! Envirowcy się poobrażali? Tym lepiej! Chcą go wywalić z pracy? Hurra! Niech się to wszystko wreszcie rozpiardoli raz a dobrze.

Patrzył na tę piękną katastrofę i chciało mu się śmiać. Boże, co za ulga.

Z premedytacją przyszedł do studia o wiele później niż zazwyczaj – wstał jak zwykle o ósmej, ale zjadł bez pośpiechu śniadanie, wziął długi prysznic, poczytał chwilę i dopiero wtedy zaczął się przygotowywać do wyjścia. W Nasty Oranges też nie od razu zabrał się za robotę, tylko najpierw zrobił sobie kawę, potem pogawędził chwilę z panią Jagodą w kuchni... Nie chodziło o to, że mu się nie chciało siadać do tasków albo że unikał swojego teamu – paradoksalnie teraz właśnie nabrał ochoty do pracy. Tylko że to już nie miało żadnego znaczenia. Dlatego równie dobrze mógł zwolnić, pogapić się, jak śnieg za oknem pada, albo w środku dnia wyjść na spacer po parku. Nikt się już go nie czepiał – nawet Tyrowicz, który na jego widok ledwo powstrzymywał się od tryumfalnego uśmiechu. Mazurka kilka razy kusiło, żeby go zaczepić i powiedzieć, że w zasadzie to jest mu wdzięczny, ale a) i tak by nie zrozumiał, b) nigdy drania nie lubił.

Po drodze do szwalni minął go Staszek i kiwnął mu chłodno głową, jak była żona dzień po rozwodzie.

Mazurek nie miał oczywiście do niego pretensji, choć podejrzewał, że wspomnienie tego, co tamten wrzeszczał, kiedy go tłukł, przyśni mu się jeszcze kilka razy w najgorszych koszmarach. „Ty chory pojebie! Zawsze byłeś

nienormalny! A teraz odjechało ci do końca!”. Sam wpierdol okazał się w pewnym sensie oczyszczający. Miło dla odmiany oberwać, bo się należało, a nie przypadkiem.

Staszek zawiózł go wtedy na pogotowie, żeby się upewnić, czy nie złamał mu nosa. Nie odzywał się przez całą drogę i potem w poczekalni, nie reagując na pijackie zaczepki Mazurka. To milczenie parzyło jak australijska pokrzywa jeszcze przez wiele dni, nawet bardziej dotkliwie, bo tam na pogotowiu był całkiem znieczulony na takie niuanse.

Następnego wieczora mieli trudną rozmowę w kuchni. Opuchnięty i skacowany Mazurek przeproszał, Staszek patrzył gdzieś w dal z zaciśniętymi zębami, a Emilka ze sztucznym uśmiechem próbowała udowodniać, że przecież nic się nie stało. Nie przekonała żadnego z nich, ale spotkanie zakończyło się ceremonialnym uściskiem dłoni na zgodę i Emilka poszła spać pełna ulgi, że wszystko dobrze się skończyło. Kiedy Staszek upewnił się, że naprawdę śpi, poszedł do pokoju Mazurka i kazał mu się jak najszybciej wyprowadzić. Wojtek tylko pokiwał głową. Staszek nie był głupi.

Natknięcie się na niego trochę zwarzyło Mazurkowi humor, ale zaraz odzyskał równowagę. To też mu wyjdzie na dobre. A może nawet – kto wie – ta bójka ze Staszkiem była ukoronowaniem prześladowającego go pecha i odtąd będzie mógł spokojnie chodzić ulicami w nocy, bez obawy, że znowu się w coś wpakuje i obiją mu gębę? Byłoby nieźle. Ale i to nie było teraz najważniejsze.

Przez Święta opracował plan odnalezienia Danki. Był ryzykowny, ale naprawdę nie miał już nic do stracenia. Zamierzał pójść do Asi i całkowicie oddać się w jej ręce. Opowie jej wszystko i poprosi o pomoc – w końcu jeśli nie ona, to kto może wiedzieć, czyją dziewczyną jest Danka? Tak, Asia bywa bezwzględna, kiedy jest na tropie jakiejś tajemnicy. Tak, wygląda to trochę, jakby antylopa przyszła prosić lwa, żeby pomasował jej plecy. Tak, Asia uwielbia plotkować. Ale jeśli sam z własnej woli opowie jej wszystko, będzie mógł liczyć na jej dyskrecję i lojalność.

Bo była nie tylko drapieżna, ale i szlachetna.

– O czym chciałeś pogadać? – zapytała Asia posępnie. Domyślała się, w czym rzecz. I wcale jej się nie uśmiechała ta rozmowa.

– Chodzi o pewną dziewczynę.

– Dziewczynę? – zdziwiła się. Czyli jednak Mazurek nie chciał zapytać ją o krążące po studiu plotki, że planują go wywalić. To miło. Nie miała ochoty delikatnie mu przekazywać, że rzeczywiście kiepsko to wygląda. Ostatecznie nie znali się aż tak dobrze, żeby miał przychodzić z tym właśnie do niej. Hm, właściwie, jak się tak zastanowić, Mazurek nie przyjaźnił się jakoś specjalnie z nikim ze studia. Marta Trzaskacz opowiadała, że w Piotrusiach Wojtek był jej ulubionym kumplem, ale Asia jakoś nie umiała sobie tego wyobrazić. Nie żeby uważała, że jest nudny czy niefajny, tylko po prostu... jak by to powiedzieć: równie dobrze mogłoby go nie być. Spojrzała na niego zażenowana, jakby mógł słyszeć jej myśli, ale twarz Mazurka wyrażała tylko determinację i powagę. – Jaką dziewczynę?

Opowiedział.

– Czerwone włosy, szczupła? I on nie przyprowadzał jej ze sobą nigdy do studia? – powtórzyła Asia w zamyśleniu, gdy skończył. – Hmmm... Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

Na twarzy Wojtka odbiło się takie rozczarowanie, że aż się uśmiechnęła.

– Ale daj mi dwadzieścia cztery godziny.

Odgórna decyzja

Nela wymaszerowała ze studia tak zdecydowanym krokiem, jakby szła komuś przywalić. Cóż, gdyby ktoś się napatoczył, to czemu nie. Skręciła za róg, żeby schronić się w palarni – no i oczywiście ktoś tam już musiał sterczeć, jakby nie mógł sobie znaleźć innego miejsca. Nela napięła mięśnie i zacisnęła pięści, gotowa przegonić intruza samą miną – i oklapła jak przekłuty balonik, kiedy palacz się

odwrócił w jej stronę i w rozrzedzonym blaskiem latarni półmroku zobaczyła, że to Kacper.

Czy oni się dzisiaj na nią uwzięli?

– Nela? – zapytał zdziwiony, podchodząc krok bliżej. Za nim, jak sznurek latawca, ciągnęła się cienka smuga dymu.

Skoro już ją zauważył, nie mogła teraz po prostu odwrócić się i odejść. Powinna coś powiedzieć o świeżym powietrzu, postać chwilę, stwierdzić, że jednak zimno, i dopiero wtedy pójść, ale jakoś nie mogła się zmusić, żeby się odezwać.

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Bo nie palę – burknęła.

Kacper zamilkł i zapatrzył się w rozżarzony czubek papierosa, którego trzymał między wskazującym i serdecznym palcem wyprostowanej dłoni. Neli zrobiło się głupio.

– Kacper, słuchaj... – zaczęła, ale w jej głosie ciągle było tyle złości, że urwała i machnęła ręką.

– Coś się stało? – zapytał ostrożnie.

Nela pokręciła uparcie głową. Był przecież ostatnią osobą, której chciałaby się teraz zwierzać.

– No dobra, to opowiedz.

Nastroszyła się od nowa, wyczuwając w jego głosie rozbawienie, ale w końcu westchnęła i stanęła bliżej niego. Nie lubiła dymu tytoniowego, ale teraz, kiedy było jej niedobrze ze złości na samą siebie, ten ostry, chropawy zapach wymieszany z mroźnym powietrzem wydawał się ożywczy i jakby krzepiący.

– Chodzi o tę sprawę z Karoliną. Pewnie słyszałeś...

– Mhm. Wszyscy słyszeli.

– No więc ja zorientowałam się wcześniej, co się dzieje – bo to ostatecznie nie pierwszy raz – tylko że... – zacukała się, nabrała powietrza i wypuściła je z sykiem. – Kurwa, to przecież nie moja wina, że Andrzej i Krzysiek urządzają tu sobie biuro bukmacherskie!

– A kto mówi, że twoja?

Nela łypnęła na niego złym okiem i sapnęła gniewnie.

– No tak, tylko teraz Karolina patrzy na mnie, jakbym jej wymordowała siekierą rodzinę. Przed chwilą wpadłam na nią w kuchni i chciałam normalnie zagadać, to tak na mnie spojrziała... Dobra, mogłam jej wcześniej jakoś dyskretnie dać znać, co się dzieje, ale... niby jak to można zrobić dyskretnie? Musiałabym jej powiedzieć wszystko, a wtedy... no, wiesz, jakby to wyglądało. A zresztą, skąd miałam wiedzieć, czy ona się tym wszystkim nie cieszy? Ostatecznie przez miesiąc skakało dookoła niej prawie dwudziestu facetów! Pamiętasz Zuzę Pawlik, tę z enviro, która odeszła po RFF2? Ona była zachwycona tym szumem – ciągle opowiadała w kuchni jakieś głupie anegdoty, a pajace zaśmiewali się do rozpuku, jakby była samym Rickym Gervaisem. „I okazało się, że to był pająk!” – zapiszczała Nela, a potem zabuczała komicznym basem: – „Ha, ha, ha, pająk!”. Żalotne to było. Skąd miałam wiedzieć, że Karolina nie jest taka sama?

– No...

– Dobra, rzeczywiście nie wyglądała na taką. Ale to robienie wielkich ocząt i niewinne minki mogły być udawane, no nie? Taka mega moe, naiwna panienska. Wolałam się nie mieszać. Zresztą, może gdyby nie ta wtopa Andrzeja, ostatecznie wybrałaby sobie któregoś z nich i byłaby zadowolona, i wcale nie chciałaby wiedzieć, jak to wyglądało od kuchni? No i w ogóle... – urwała i kopnęła rozmokniętą szyszkę, tak że pięknym łukiem wylądowała na trawniku.

Kacper niespiesznym ruchem zgasił niedopałek i od razu zapalił następnego papierosa. Płomień zapalniczki na moment oświetlił jego twarz i nieprzeniknioną minę dobrego, ale twardego gliny. Nela zerknęła na niego i zadreptała niespokojnie.

– Planowałam do niej jakoś tak bardziej po ludzku zagadać, kiedy się to wszystko przetoczy, ale pewnie z jej perspektywy ta kwarantanna wyglądała, jakbym zadzierała nosa albo coś. Nie wiem, może byłam zwyczajnie zazdrosna, bo za mną się nikt nie uganiał – bąknęła.

W zamierzeniu to miało być odważne przyznanie się do winy, ale kiedy tylko to powiedziała, aż jej się wszystko w środku skręciło z zażenowania. Ale palnęła... Jednak Kacper nie wyglądał na dotkniętego. Był raczej szczerze zdziwiony.

– Hm?

– No, wiesz. O mnie się nikt nigdy nie zakładał.

Kacper zaciągnął się dymem i zamyślił. Dziewczyny są jednak naprawdę niesamowite. Nela widziała co najmniej cztery razy, jak niczego, ale to niczego – null, zero – niepodejrzewające dziewczyny padają ofiarami dżentelmeńskiego zakładu, ale nie przychodziło jej do głowy, że jej to też mogło dotyczyć. To chyba nie jest brak pewności siebie czy kompleksy – uznał. I nie naiwność. Raczej jakaś taka bezbronna uczciwość. Aż dziwne, że przez te wszystkie lata, które przesiedziała w jednym pokoju z Krzyśkiem, nie udzieliło jej się ani trochę jego cynizmu.

– Zakładali się o ciebie – powiedział w końcu i wypuścił dym kątem ust, starając się, żeby nie poleciał w jej stronę. – Od ciebie się przecież wszystko zaczęło.

– Hę? – Nela aż otworzyła usta.

– Nie będę teraz wymieniać, kto był wśród pajaców, ale no, krążyła wokół ciebie solidna grupa. Pierwsza dziewczyna w firmie! Ładna! Wolna! Narobiłaś niezłego zamieszania. Myślałem, że się zorientowałaś po jakimś czasie.

– Ja... Hm, nie. I co? – zapytała niepewnie.

Wkraczali na bardzo grząski grunt, ale nie chciała się teraz wycofywać. Była zaintrygowana. Jeszcze nigdy nie plotkowała o samej sobie.

– Cóż, to był dość nietypowy wyścig. Pełen gwałtownych zwrotów akcji i ekhm, jak mnie zapewniano później, bardzo emocjonujący.

Nela poczuła, że się czerwieni. Nie, to jednak nie był dobry pomysł, żeby drażnić ten temat. Już otwierała usta, żeby zwrócić mu uwagę, jaka ładna dziś pogoda, gdy Kacper dodał:

– A poza tym niedokończony.

– No tak. Gdyby ktoś wygrał, to przypuszczam, że bym się zorientowała – uśmiechnęła się słabo.

Kacper przez chwilę milczał. Wziął trzy dobrze wymierzone, powolne machy i dopiero wtedy powiedział:

– Nie był niedokończony, bo zawodnicy się poddali czy coś w tym stylu. Został przerwany decyzją odgórną, że tak powiem.

– To znaczy? Masz na myśli Krzyśka? – zapytała z niedowierzaniem. Pokręcił głową i popatrzył na nią z politowaniem albo może z żalem – w gęstniejącym mroku trudno było rozpoznać.

– A skąd. Plotka o tym, że ktoś zorganizował u nas dżentelmeński zakład, wyciekła do Jamesa, a ten wygadał Matowi. No i Mat kazał Andrzejowi i Krzyśkowi odwołać wszystko pod groźbą wywalenia z pracy. Powiedział, że sobie nie życzy, żeby się na ciebie w jakikolwiek sposób zjawiali, bo jeszcze się zniechęcisz i uciekniesz z Nasty Oranges. No to dali ci spokój i wszystko rozeszło się po kościach. Później oczywiście zakładali się o wyścigi pajaców do innych dziewczyn, ale bardzo się pilnowali, żeby Mat się nie dowiedział. Zresztą, myślę, że on potem machnął na to ręką, no i... – urwał, bo zorientował się, że Nela już go nie słucha. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, lśniącymi oczami, ogłupiała ze szczęścia.

To muszą być hormony

Julka wróciła od dziadków nabzdyczona i małomówna. Mat miał wrażenie, że cała jakby zmatowiała i napuchła z niezadowolenia. Z tego wszystkiego chyba nawet nie zauważyła, że specjalnie dla niej wrócił wcześniej z pracy.

– Aż tak źle było? – zapytał, kiedy usiedli, żeby zjeść pizzę, którą zamówił im na kolację.

– Nie. Jak zwykle. – Wzruszyła ramionami. Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Bardzo na mnie nadawali?

– Bardzo. Jak zwykle.

– Ale pilnowałaś naszych interesów?

– Taa.

– A czemu nie jesz? – zmartwił się. – Specjalnie wziąłem twoją ulubioną z rukolą i ricottą, a ty ledwie dziobnęłaś jeden kawałek.

– Dzięki. Nie mam apetytu.

– Mama cię czymś napchała na do widzenia, tak? Myślała, że ja nie umiem dziecku kolacji zrobić?

Julka uśmiechnęła się ironicznie i pokręciła głową.

– Nie. Próbowала, ale dziś jakoś w ogóle nie jestem głodna.

No dobra, trzeba ją jakoś rozerwać.

– Skoro nie będziesz już jeść, to chodź, zagramy w *StarCrafta*.

– Nie mam ochoty.

Nie wierzył własnym uszom. Do czego to doszło!

Hm, najwyraźniej już czas wytoczyć największe działo.

– Wiesz, sporo myślałem o naszych wzajemnych układach, kiedy cię nie było. Ostatnio dość drętwą mieliśmy tu atmosferę i cóż, pewnie było w tym trochę mojej winy – powiedział wspaniałomyślnie i złowił błysk zainteresowania w jej oczach. – Siedziałem tu sobie całe Święta zupełnie sam jak palec, więc mogłem się zastanowić nad tym wszystkim. Zdaję sobie sprawę, że w związku z moją pracą i hm, trybem życia, często musimy iść na kompromis, sporo od ciebie wymagam i czasem możesz mieć wrażenie, że się z tobą nie liczę... Ale to nieprawda. Wiem, co jest dla ciebie ważne, i postanowiłem ci to dać. Tak w duchu Święt.

Teraz Julka wpatrywała się w niego szeroko uśmiechnięta. Chyba się domyśliła, spryciara!

– Zabieram cię na tydzień w Bieszczady do dziadków – oświadczył tryumfalnie.

Uśmiech Julki został na swoim miejscu, ale wyglądał teraz, jakby ktoś utrwalił go lakierem do włosów.

- W Bieszczady. Do dziadków.
- Kiedy tylko skończymy projekt, tak.

Julka wstała od stołu i nie patrząc na niego, wyszła z kuchni. Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwi jej pokoju.

Siedział przez chwilę osłupiały, a potem poszedł za nią. Otworzył drzwi bez pukania, ale hej, trzeba było bardziej kulturalnie je zamykać.

– Oczekiwałem innej reakcji. Rozumiem, że możesz być mimo wszystko trochę rozczarowana, ale naprawdę nie mogę się nigdzie ruszyć wcześniej niż przed premierą. Mogłabyś chociaż docenić dobre intencje...

Julka wymamrotała coś niezrozumiałego pod nosem i sięgnęła po plecak, żeby wypakować swoje rzeczy z wyjazdu.

– Co?

– Nic. Daj mi spokój! – Z całej siły szarpnęła ręcznik, który nie chciał wyjść z plecaka po dobroci.

Mat aż się otrząsnął ze zgrozy. Zaczęło się. Jego posłuszna córka zamienia się w kapryśną i agresywną nastolatkę. A myślał, że ma jeszcze ze dwa lata spokoju, zanim się to rozhula. No cóż, z hormonami nie wygrasz. Dobrze, że przynajmniej wiedział, na czym stoi. Hormony – innego wyjaśnienia nie było.

Mat zrobił sobie kawę i poszedł do swojego pokoju. Skoro Julka nie chce rozmawiać normalnie, to nie. Trzeba było trzymać się swoich zasad: żadnych pelikanów. Nawet na Święta. Wychodzisz do smarkuli z sercem na dłoni – i od razu fochy. Teraz nie miał innego wyjścia, musiał złamać ją chłodem i milczeniem. Zobaczymy, ile wytrzyma.

Jego metoda okazała się nad wyraz skuteczna – po trzech godzinach Julka sama do niego przyszła. I wcale nie przypominała już buntowniczej nastolatki. Stała zgarbiona przy jego biurku i pociągnęła nosem.

- Tak? Chciałaś coś powiedzieć? – zapytał wyniośle.
- Mam gorączkę.

Aha, czyli teraz szantaż emocjonalny.

– No nie, Julka, nigdy tak ze mną nie pogrywałaś... – zachnął się.

– Ale naprawdę – powiedziała płaskim głosem i dopiero wtedy uważnie jej się przyjrzał. Rzeczywiście, miała niezdrowe rumieńce i zamglone oczy. I to wrażenie, jakby była opuchnięta. Przyłożył dłoń do jej czoła i zagryzł wargi. Julka prawie w ogóle nie chorowała (zapewne dzięki tym wszystkim pigułkom z tranem, rokitnikiem i innym świństwem, które Iza kazała jej brać na odporność), ale teraz wyraźnie coś ją rozkładało.

– No dobra, idź do łóżka. Zrobić ci gorącej herbaty czy coś? – zapytał bezradnie.

Julka tylko popatrzyła na niego błędnym wzrokiem i wzruszyła ramionami. Hm, niedobrze.

– Ok, skup się – powiedział zdeterminowany i złapał ją za ręce, które z kolei były lodowato zimne. – Co mi dawałaś, kiedy ostatnio miałem gripę?

– Herbatę z lipy, sok z owoców czarnego bzu, napar z imbiru, grejpfruty – wyrecytowała odruchowo.

– Świetnie. To ty się połóż, a ja szybko skoczę do sklepu i skombinuję te rzeczy – powiedział energicznie i popchnął ją lekko w kierunku drzwi.

Pół godziny potem leżała już w łóżku napojona różnymi uzdrawiającymi płynami i przykryta wszystkimi kołdrami i kocami, jakie udało mu się znaleźć w domu. Kiedy patrzył na nią z góry, spod tego stosu widać było tylko warkocz i koniec nosa. Przysiadł na brzegu jej łóżka i pogładził ją po głowie. Miała zamknięte oczy i oddychała ciężko przez usta. Jak mógł nie zauważyć, że jest chora? Przecież to dlatego zachowywała się tak dziwnie.

– Zadzwoń do mamy? – zapytał półgłosem.

– Nie, nie trzeba. To pewnie tylko przeziębienie – powiedziała słabo.

No właśnie, zwykle przeziębienie. Nie ma co panikować.

– Tak, pewnie tak. Chcesz teraz spać? – domyślił się, a kiedy skinęła głową, wyszedł na palcach.

Wytrzymał jakąś godzinę i zadzwonił do Izy.

Marcin się poświęca

Marcin całował Sonię zapamiętale, acz nieco nieuważnie, bo cały czas zastanawiał się, czy robi to jeszcze służbowo, czy już prywatnie. Sytuacja była delikatna, bo sam już nie wiedział, jak daleko ma zamiar się posunąć dla dobra studia. Na pewno przekroczył już granicę tego, co wybaczyłaby mu Olga, gdyby się dowiedziała, jednak póki co sam był gotów wspaniałomyślnie się rozgrzeszyć. Przecież Sonia nawet mu się nie podobała. I robił to z wyrachowania, a nie ze słabości charakteru. Niestety zaczynał się obawiać, że jeszcze trochę i przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Odkąd Sonia dołączyła do zespołu, prowadzili dość osobliwą grę. W pracy zachowywali się normalnie, ale wieczorami spotykali się na mieście specjalnie po to, żeby się pokłócić. Oldze wmawiał, że to spotkania całego teamu, bo nie chciał, żeby się zorientowała, że spędza z Sonią po czternaście godzin dziennie. I że tak naprawdę nie ma nic przeciwko temu. Sonia była nieznośna, uparta i wyraźnie z nim pogrywała, ale to połączenie złej woli, umysłowej rzutkości i bezczelnego wdzięku coraz bardziej go fascynowało. Podczas ciągnących się długo w noc dyskusji bez skrupołów korzystała na zmianę z żelaznej logiki i argumentów tak absurdalnych, że opadały mu ręce. Kluczyła, podpuszczała go, udając, że się z nim zgadza, by za pół godziny przeczyć samej sobie, a gdy wszystko inne zawodziło, odwoływała się do argumentu: „Jasiek zawsze mówił, że”, który oczywiście wkurzał Marcina najbardziej. Teoretycznie wymyślali razem nową fabułę, ale jemu przypominało to raczej skrzyżowanie intelektualnej kamasutry z brudnym boksem.

Jako że póki co nie miał dowodów, że Jasiek zwiął gdzieś w porozumieniu z Sonią, udawał, że jej próby podważania każdego pomysłu bierze za metodę pracy twórczej, a okazywane mu gorączkowo zainteresowanie za miły komplement. Po tym, jak udało mu się wymknąć jej z rąk podczas przerwy świątecznej, kiedy spotkał się z Asią, Jackiem i Pawłem, Sonia wręcz przykleiła się do niego, żeby

mieć pewność, że teraz już nic nie robi na własną rękę. Tak, jasne, najrozsądniej byłoby zachować bezpieczny dystans i nie reagować na jej zaczepki, ale skoro sama się podkładała, żal nie wykorzystać tego do własnych celów. Nie zaplanował co prawda, w jaki sposób wyciągnie z niej prawdę, ale na pewno w klinczu będzie miał większe szanse, niż unikając jej za wszelką cenę. To logiczne.

Tego wieczoru postanowił spróbować innej taktyki: mówił bardzo mało i przeproszał, że jest taki roztargniony, ale chyba ma ciekawy pomysł i musi go przemyśleć. Nie, jeszcze za wcześnie, żeby jej o tym mówić, to tylko taka luźna myśl. Nie, bez sensu, nie warto tego roztrząsać teraz. Powie jej jutro. Prowokacja okazała się tak skuteczna, że Sonia niespodziewanie zaprosiła go do siebie, „bo jeszcze się nie nagadali, a na zewnątrz tak zimno”. I tak od słowa do słowa...

Pocałunek niebezpiecznie się przedłużał, więc Marcin zaczął sobie wyobrażać, że trzyma w ramionach Johnny’ego Deepa w przebraniu Szalonego Kapelusznika z filmu Burtona (bo Sonia mniej więcej tak była tego dnia umalowana). Poskutkowało. Odsunął się trochę, ale jednocześnie posłał jej intensywne, zwycięskie spojrzenie, żeby sobie nie pomyślała, że to już koniec. Sonia z wyraźnym trudem zogniskowała na nim wzrok i oparła się o ścianę.

– Może się czegoś napijemy? – zaproponowała bez tchu. Z satysfakcją zauważył, że naprawdę jest zmieszana.

– Jasne. Masz może piwo?

– Tak. Ale jakbyś wolał wodę albo herbatę...

– Dzięki, piwo wystarczy.

Usiadł wygodnie na sofie, zdjął sweter i napiął mięśnie, udając, że się przeciąga. Odkąd pracował w Nasty Oranges, nie miał czasu ani razu pójść na siłownię, ale wciąż trzymał formę – pewnie dlatego, że nie dawał się skusić na crunchową pizzę. Sonia zagapiła się na niego z uchylonymi ustami, po czym zamrugnęła gwałtownie i wyszła z pokoju. Wróciła dość szybko.

– To jak, powiesz mi wreszcie, co to za tajemniczy pomysł? Jeśli coś się tam jeszcze nie do końca składa, możemy połączyć to razem – powiedziała, podając mu

butelkę i wysoką szklanę z grubego szkła. Przed chwilą myślał, że chce grać na czas, ale nie, najwyraźniej uznała, że jest już ugotowany i trzeba uderzać od razu. Wyciągnie z niego, co się da, po czym wystawi go za drzwi. Nie tak szybko, siostró.

Oczywiście wcale nie miał zamiaru zdradzać jej, co odkrył tamtej nocy we śnie, bo nie potrafiłby spokojnie patrzeć, jak roznosi jego pomysł w proch, jakby to była po prostu jedna z wielu wersji, a nie prawda objawiona. Wyjaśnienie tajemnicy Avery musiało poczekać na lepsze czasy. A na razie...

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? Teraz? – zapytał i przysunął się bliżej, bo usiadła na drugim końcu sofy.

– To dobry sposób, żeby trochę ochłonać. Czuję się trochę... oszołomiona. – Rzuciła mu spojrzenie tak kunsztownie wieloznaczne, że miał ochotę zacząć bić jej brawo. Rany, gdzie one się tego uczą?

– Hm, jeśli to dla ciebie niezręczna sytuacja, to może już pójdę. Pogadamy jutro. Może też poproszę Mata, żeby z nami trochę posiedział. – Chciał się podnieść, ale złapała go za rękę.

– Daj spokój, przecież jesteśmy dorośli. Zostań jeszcze.

Marcin zapamiętał z jakiegoś filmu taką scenę: dwa rozpędzone samochody jadą na czołowe, na dachu każdego leży rozplaszczony chłopak, za kierownicą również dwóch nastoletnich debili, i przegrywa ten, kto stchórzy i pierwszy skręci, żeby uniknąć zderzenia.

Miał wrażenie, że grają teraz w to samo. Sonia myślała, że jeśli wykaże inicjatywę, to on – odpowiedzialny i szlachetny Kapitan Ameryka – nie poważy się tego wykorzystać, a Marcin poczynał sobie coraz śmieiej, pewny, że Sonia w którymś momencie spanikuje i się wycofa. Bo przecież tak naprawdę wcale nie chciała się z nim przespać. To była tylko taka gra i teraz po prostu negocjowali zasady.

Guziki jej sukienki odpinały się zaskakująco łatwo i ani się obejrzał, kiedy zostały już tylko dwa. Sonia odgięła się gwałtownie do tyłu – nie wiedział, czy

chciała w ten sposób zaprotestować, czy go zachęcić, ale sądząc po sposobie, w jaki przyciskała do niego biodra, stawiałaby na to drugie.

Właściwie mógł spokojnie uznać, że już dawno wygrał i nie ma sensu tego ciągnąć, bo przecież w ten sposób nie dowie się niczego o Jaśku. Tymczasem jak na złość przyszedł mu do głowy rozmaite pomysłowe praktyki, które być może skłoniłyby Sonię do mówienia, gdyby się postarał. Zakręciło mu się w głowie i dwa ostatnie guziki rozpięły się same.

Sonia niecierpliwie zsunęła stanik, wyprężyła się i przyciągnęła go za szyję. Na widok jej małych, krągłych piersi ogarnęła go czułość, silniejsza nawet niż pożądanie. Pocałował znamię w kształcie półksiężyca, które dotąd zakrywał biustonosz, a ona jęknęła nagłoco i wpiła mu paznokcie w plecy.

Marcin nagle się wyprostował. A jeśli misterny plan Soni i Jaśka istniał tylko w jego głowie? Może ona wcale nie sabotowała prac nad nową fabułą? Może nie było żadnej gry, może po prostu z nim flirtowała? Może wymyślił sobie całą tę szpiegowską otoczkę, a teraz upierał się przy tym, żeby ją przelecieć?

– Cco? Co? – wymamrotała Sonia, spłoszona i zaniepokojona.

Marcin potrząsnął głową.

– Coś nie tak? – zapytała niepewnie.

– Rozmazał ci się makijaż.

Przesunął kciukiem po jej wargach, a potem potarł lekko cienką skórę przy kąciuku oka. Sonia zrobiła jedną z tych swoich śmiesznych, klaunowskich min, i naciągnęła sukienkę z powrotem na ramiona.

– Na pewno wyglądam strasznie. Zmyję to, dobra? – powiedziała i zanim zdążył zaprotestować, poszła do łazienki.

Spędziła tam tyle czasu, że zdążyłaby pewnie nie tylko wziąć prysznic, ale też zrobić ręczną przepierkę, wyszorować fugi, umyć wannę i pomalować paznokcie. Marcin w tym czasie wypił w kuchni pół litra zimnej wody, otworzył okno w salonie i wymyślił dalszy plan działania.

Kiedy usłyszał, że otwiera drzwi, powtórzył sobie surowo, że całkowicie nad sobą panuje, ale okazało się, że nie był przygotowany na widok Soni bez makijażu. Miał wrażenie, że już dawno przeskoczyli nad etapem komplementów, ale musiał jakoś wyrazić swoją opinię.

– Tak jest... eee... bardzo pięknie. Dużo lepiej. To znaczy, moim zdaniem.

Kiedy tak się plątał, uniosła kącik ust w kpiącym uśmiešku i podeszła bliżej. Ręcznik, którym była owinięta, okrywał ją tylko do połowy ud i pachniała tak ślicznie, że Marcin zaczął znów przekonywać się w myślach, że ma wszystko pod kontrolą. Tylko nie powinien patrzeć jej w oczy. Ani no, nigdzie. I działać szybko.

– Co ty na to, żebym ja też wziął prysznic? – zapytał, zdjął z niej ręcznik i przerzucił go sobie przez ramię, natychmiast odzyskując przewagę.

Sonia pisnęła i pobiegła do sypialni.

Kiedy wyszedł z łazienki, światło paliło się już tylko w jednym pokoju. Poszedł tam na palcach i pochylił się nad leżącą w świeżej pościeli Sonią. Miała zamknięte oczy i lekko uchylone usta. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę z uśmiechem. Oddychała spokojnie, a delikatne, białe jak porcelana powieki nawet nie drgnęły. A przecież wiedział, że tylko udaje, że śpi.

Zapalił lampkę przy łóżku, zgasił górne światło i zajął strategiczne miejsce na krześle.

Po godzinie siedzenia bez ruchu rozboleł go tyłek i co chwilę musiał tłumić ziewanie. Po kolejnym kwadransie uznał, że teraz Sonia już na pewno zasnęła, więc wyszedł z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi.

Telefon był w tym jej małym, kolorowym plecaczku. Marcin włączył go i zaczął przeglądać sms-y.

Gdyby nie to, że jakiś czas temu włamał się do komputera Jaśka, a przed chwilą z zapalem obmacywał mu dziewczynę, pewnie poczułby teraz jakieś wyrzuty sumienia. Tak oto krok po kroczku oddajemy swe serce siłom ciemności – pomyślał i westchnął obłudnie. – Ale w końcu to wszystko dla dobra Nasty Oranges.

O, no i proszę. Jednak miał rację.

Większość sms-ów była od Jaśka z jakiegoś zagranicznego numeru. Ostatni brzmiał: „Hej, napisz, kiedy będziesz szła spać. Całuję, J.” i – co Marcina zupełnie nie zdziwiło – nie doczekał się odpowiedzi. Z wcześniejszych wynikało, że Jasiek świetnie się bawi, wypoczywa, ale bardzo tęskni i szczerze kibicuje Soni, która musi się użerać „z tym upierdliwym rudzielcem”. Pytał też o plotki z Nasty Oranges i czy jego siostra na pewno już siedzi cicho i nie robi zamieszania. Kiedy Marcin doszedł do dziesiątego listopada, kiedy to Jasiek wysłał wiadomość z lotniska, tuż przed odlotem, żeby podziękować jej za szybki zakup biletu, jego odczucia okrzepły i wyraźnie się spolaryzowały. Z jednej strony żałował, że jednak nie przespał się z Sonią – gdyby nie Olga, doprawdy powinien był to zrobić. Z drugiej strony, pomimo całej złości na Jaśka, że tak sobie uciekł, zostawił Finnleya i zrobił głupków z nich wszystkich, czuł dla niego jakąś wątplą sympatię, opartą głównie na łączącej ich głębokiej niechęci do Tyrowicza – kilka sms-ów było poświęconych tylko i wyłącznie executive producerowi. Ritmeijer wytrzymał z nim tyle lat, zanim szlag go wreszcie trafił – zamyślił się Marcin. – W pewien sposób zasługuje to na szacunek.

No, ale cóż, najwyższy czas ściągnąć go tu z powrotem.

Wystukał wiadomość, którą ułożył sobie w głowie, czekając, aż Sonia zaśnie.

„Avery, którą Finnley poznał jako młody chłopak, i kobieta, która podała się za Avery nad jeziorem Clearwater, to dwie różne osoby. Fałszywa Avery zakochała się w Finnleyu, ale bała się, że straci go, gdy powie mu prawdę. Bracia Baird szantażowali ją i dlatego zachowywała się tak dziwnie. A wszystko to wina Louisy May. Marcin. PS. Sonia ma uroczę znamię w kształcie półksiężyca na lewej piersi”.

Aby uniknąć nieporozumień, wysłał kopię tego sms-a również ze swojego telefonu na zagraniczny numer Jaśka. Potem odłożył komórkę Soni na miejsce, ubrał się i wyszedł cicho z mieszkania.

Ritmeijer najwyraźniej nie spał, bo zadzwonił, kiedy Marcin był jeszcze na schodach.

Spojrzał z uśmiechem na wyświetlający się numer, ale nie miał zamiaru odbierać. Niech się trochę podgotuje.



Rozdział piętnasty

Wtorek 31 grudnia, sylwester

Zawsze miałam do ciebie słabość

Andrzej planował skorzystać z sylwestrowego uchylenia crunchu i wyjść o szesnastej, żeby wziąć w domu prysznic i przebrać się na imprezę, ale to oznaczało, że rano musiał zacząć pracę wcześniej, jeśli chciał zdążyć pozamykać najważniejsze taski. A chciał. Od czasu tej afery z Karoliną o wiele bardziej przykładał się do pracy – nawet zaczął wypełniać wieczorami tabelki. Sam nie wiedział, co go napadło, ale widok uzupełnionych, czytelnie uporządkowanych rubryk dziwnie dodawał mu otuchy. Możliwe, że był już tylko o krok od zrozumienia, dlaczego producenci tak się nimi podniecają.

Spodziewał się, że będzie miał jeszcze z godzinę spokoju, zanim przyjdzie reszta jego teamu, dlatego na dźwięk otwieranych drzwi skrzywił się z niezadowoleniem. O, nie – jeszcze gorzej. To Asia. I nie wyglądało na to, że przyszła opowiedzieć mu suchara.

Zastanawiające, jak pokrętnie działa kobieca solidarność – myślał posępnie, patrząc, jak z kocią gracją przechodzi przez pokój, żeby usiąść tuż przy nim. Dotąd wydawało się, że Asia nie przepada za Karoliną, a teraz proszę, z jakim zapalem mści jej krzywdy. Będzie się z niego nabijać miesiącami.

– Co tam? – zapytał niechętnie.

– Zawsze miałam do ciebie słabość – powiedziała z tajemniczym uśmiechem, zakładając nogę na nogę.

Było to tak nieoczekiwane, że aż zdrewniał. Umiałby sobie poradzić z bezpośrednim atakiem, ale takie zagranie całkiem wytrąciło go z równowagi.

– Taak? – zapytał ostrożnie.

– Oczywiście nigdy nie byłam fanką wyścigu pajaców, ale muszę przyznać, że ostatnia edycja okazała się naprawdę spektakularna. Głównie dzięki tobie, rzecz jasna. No, nie krzyw się. Sam też powinieneś obiektywnie docenić dramatyczny potencjał tej historii. To takie powieściowe, kiedy bohater ponosi klęskę pokonany nie przez wrogów bądź drwinę losu, lecz słabość, którą kryje w sercu.

– No i? – zapytał podejrzliwie. To, że Asia przeszła na niezrozumiały dla niego, aluzyjny język questowców, wzbudziło w nim jeszcze głębszy niepokój. Obrazi go, a on się nawet nie zorientuje.

– No i uznałam, że jednak nie mogę przejść obok tego obojętnie. Jesteś wyrachowanym, podstępным łajdakiem, ale w tej sytuacji jakoś trudno ci nie kibicować. To po pierwsze. Po drugie, nie podoba mi się takie zakończenie tej historii. A po trzecie, pomyśl tylko o biednym Adamie Wróblu.

– Adamie? A co z nim? – zdziwił się.

– To fajny dzieciak, słodki i naiwny. Wciąż wierzy w trailery gier i tak dalej. A przy tym naprawdę jest w porządku, chociaż tester. Wiesz, że nie przepadam za QA, ale on akurat zwykle najpierw chwilę się zastanowi, zanim zgłosi błąd, ba – zdarza mu się nawet przyjść do nas i grzecznie zapytać, czy to rzeczywiście błąd, czy może specjalnie tak zrobiliśmy, bo mieliśmy w tym jakiś cel. To miły chłopak i dobry tester, mówię. A kiedyś będzie z niego dobry programista. I nie zasługuje na to, żeby Karolina z czystej przekory weszła mu do łóżka, a potem złamała serce, prawda?

– Hę?

– Jest skołowana, wściekła i zdeterminowana, żeby udowodnić wszystkim, że panuje nad sytuacją. A pajace nie dadzą za wygraną, niezależnie od tego, czy

będzie oficjalny wyścig czy nie. I skończy się na tym, że Karolina z desperacji rzuci się na najbardziej niewinnego i słodkiego miśka z nich wszystkich – obstawiam, że Adama – i zamieni jego życie w piekło.

Andrzej, nie spuszczać wzroku z Asi, powoli pokiwał głową.

– Nikomu bym tego nie życzył – powiedział uroczyście.

– No to zrób coś z tym.

– Ale co? Próbowałem, ale czego bym nie wykombinował, to albo ona pomyśli, że się na niej odgrywam, albo uzna mnie za aroganckiego buca. Nie mogę ani udawać, że ją ignoruję, ani na siłę jej zdobywać od nowa, więc chyba lepiej siedzieć cicho, nie? Przepraszać już próbowałem.

– Ooo, nie idź tą drogą. Karolina doskonale wie, że spieprzyłeś sprawę, i nie oczekuje, że będziesz się teraz tarzać w popiele, tylko że zrobisz coś, co pozwoli jej zapomnieć o tym, jak się wygłupiłeś. Jasne?

– Ona niczego ode mnie nie oczekuje. Chce, żebym dał jej spokój.

– A skąd – prychnęła Asia. – Ten numer z zapraszaniem pajaców na randki jest oczywiście efektowny i po części wynika z jej uroczego pojmowania sprawiedliwości, ale to przede wszystkim zemsta. Powinieneś czuć się mile pochlebiony: tak jej załazłeś za skórę, że jest gotowa umówić się z Frankiem Kilarzem tylko po to, żeby ci dokuczyć.

– Wy, questowcy, zawsze umiecie tak pięknie odwrócić kota ogonem.

– Za to nam płacą. Skończ z uzalaniem się nad sobą i weź się do roboty. Olśnij ją. Zaskocz. Cokolwiek, byle szybko. Dziś będzie magiczna noc, ona na pewno ślicznie się ubierze i będzie oczekiwać, że wydarzy się coś niezwykłego. – Widząc, że się zamyślił, uśmiechnęła się z zadowoleniem i wstała. – O właśnie. Przemyśl to sobie, a ja pójdę się napić mocnej herbaty. Jest jeszcze obrzydliwie wcześnie.

– Mhm – mruknął nieuważnie. Ocknął się dopiero, gdy Asia była już przy drzwiach. – Słuchaj, tak w ogóle to... ekhem... jestem ci wdzięczny. A raczej będę, jeśli dziś przez to wszystko nie zbłaźnię się ostatecznie przed Karoliną.

– Może być tylko lepiej. Bo już gorzej to na pewno nie – zapewniła wesoło.

– Dzięki. To znaczy: naprawdę dzięki. Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała... – Ugryzł się w język, ale już było za późno.

– Właściwie... zawsze się zastanawiałam... Jakim cudem namówiłeś Krzyśka, żeby wziął udział w tych zakładach? Przecież on właśnie najmniej ze wszystkich interesuje się ludźmi. Najszczęśliwszy byłby na pustyni, gdyby tylko mógł się tam podłączyć do serwerów.

Andrzej odetchnął z ulgą i uśmiechnął się. To było proste.

– W każdym introwertyku tkwi złośliwy mizantrop, który pragnie się wydostać na wolność. Ja mu tylko trochę pomogłem.

Wojtek

Danka właśnie niosła na tacy dzbanek i filiżanki do stolika pani Celiny i Surykatki, kiedy drzwi Herminy otworzyły się powoli. Podniosła wzrok zdziwiona, bo zwykle o tej porze bardzo rzadko ktoś przychodził, i o mało nie upuściła wszystkiego na widok Kawki. Porcelana zaszczekała gwałtownie, tak że Surykatka aż podskoczyła i rozejrzała się niepewnie dookoła. Pani Celina oczywiście była ponad to i nawet nie drgnęła jej powieka – spokojnie kontynuowała wyliczanie wad Orestesa. Danka stała na środku kawiarni, czuła, jak w ekspresowym tempie oblewa ją rumieniec, i gapiała się na Kawkę. On nie wydawał się wcale speszony, ani zaskoczony, więc to nie był przypadek. Wiedział, gdzie pracuje, i specjalnie tu przyszedł.

Uśmiechnął się lekko, powiedział półgłosem „dobry wieczór”, na co nie doczekał się od nikogo odpowiedzi, po czym wybrał sobie stolik, zdjął kurtkę i usiadł. Danka drżącymi rękami podała herbatę paniom i uciekła za kontuar.

Kawka tymczasem siedział spokojnie, rozglądając się po kawiarni z wielkim zainteresowaniem. Kiedy już zlustrował wszystko, zaczytał się na dłuższą chwilę w menu, jakby to była najbardziej wciągająca lektura pod słońcem. Miał podbite oczy, parę siniaków i zadrapań, i chyba trochę schudł, ale poza tym wyglądał tak samo jak przedtem. Jednak coś musiało się zmienić, skoro sama jego obecność

sprawiała, że robiło jej się dziwnie słabo i kręciło w głowie. „Rozwiązały mu się miłe kolana”, jak często cytowała pani Celina z *Iliady*. Co prawda odnosiło się to do gwałtownej śmierci na polu bitwy, a nie zwykłego ataku paniki, ale Danka w tej chwili nie widziała specjalnej różnicy.

Skąd on się tu wziął?

Właśnie dlatego wolała książki. Były o wiele bardziej przewidywalne niż ludzie, a kiedy coś szło nie po jej myśli, mogła po prostu przestać czytać. Książki nie robiły takich numerów.

Przyglądała mu się nieufnie, a kiedy już nie mogła dłużej tego przeciągać, wyszła zza kontuaru, czując się, jakby wchodziła na scenę w blasku jupiterów.

– Tak? – zapytała bez tchu, stając przy nim z kelnerskim bloczkiem w ręku. Próbowwała zachować kamienną twarz. Skoro na początku udała, że go nie poznaje, nie mogła teraz nagle zacząć się z nim witać.

– Proszę earl greya z cytryną – powiedział swobodnie z miną stałego bywalca. I mrugnął do niej tym mniej zapuchniętym okiem.

Danka odwróciła się sztywno i pomaszerowała z powrotem, zagryzając wargi. Kiedy znalazła się na maleńkim zapleczu kuchennym, poczuła się trochę bezpieczniej, ale i tak wszystko leciało jej z rąk – chlusnęła sobie strumieniem wrzątku na palce, rozsypała herbatę, a na koniec zbiła spodek.

Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się nic potłuc w Herminie i złość na samą siebie aż wycisnęła jej łzy z oczu. Otarła je szybko, przygotowała najgorszą herbatę w swojej karierze i zaniósła ją Kawce. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że woda wylewała się spod przykrywki imbryka, a korzenne ciasteczko było całkiem rozmoknięte, bo wyglądał na bardzo zadowolonego.

Kiedy spróbował herbaty, posłał jej rozbawione spojrzenie i wtedy ze zgrozą uświadomiła sobie, że ją z rozpędu posłodziła, bo wiedziała, że pije z cukrem. Zacisnęła powieki. Pokolenia kelnerów przewracały się w grobie.

Pół godziny później pani Celina i Surykatka zapłaciły i wyszły – na szczęście w żaden sposób nie komentując tego, że Danka jest czerwona jak burak i ciągle

strzela oczami w stronę stolika pod ścianą.

Spodziewała się, że teraz, kiedy zostali sami, Kawka ją zaczepi, ale nawet się nie ruszył. Spokojnie pił herbatę i tylko od czasu do czasu spoglądał na zegarek.

Danka usiadła w swoim kąciku za kontuarem i zaczęła się modlić, żeby szef przyszedł jak najszybciej.

W tle Diana Krall śpiewała *The Christmas Song* tak wolno i leniwie, jakby miała do dyspozycji cały czas na świecie.

Szef Danki wszedł do Herminy, stanął na środku, rozejrzał się trochę zdziwiony i spróbował zorientować się w sytuacji. Przy ścianie siedział jakiś facet tak pod trzydziestkę, z podsiniaczonymi oczami i pozornie nonszalancką miną, a Danka chowała się za kontuarem i udawała, że go nie zauważa. Wyglądała jak wystraszona sowa. Uśmiechnął się pod nosem i podszedł się z nią przywitać. Ucieszyła się na jego widok, ale miała tak nieprzytomne spojrzenie, że nie mógł się powstrzymać.

– Z jakiego regionu winiarskiego Francji pochodzi claret?

– Eee...

Mam cię – pomyślał z satysfakcją, a głośno powiedział:

– Możesz dziś wyjść wcześniej, ja sam wszystko pozamykam.

– Ale...

– To żaden kłopot, a przecież nie ma sensu, żeby pan czekał. – Uprzejmie skinął w stronę nieznanego mężczyzny, który jak na dany znak zaczął wkładać kurtkę. Potem stanął przy drzwiach, jakby wolał się upewnić, że Danka mu się nie wymknie.

Szef Herminy uznał, że sądząc z jej chmurnej miny, kiedy odwiązywała fartuszek, była to słuszna troska.

Mazurek nie spodziewał się co prawda, że Danka rzuci mu się na szyję, kiedy tylko go zobaczy (choć oczywiście nie miałby nic przeciwko temu), ale jej reakcja: panika, zamęt i trwoga, i tak go trochę zaskoczyła. Po namyśle stwierdził, że to

w zasadzie dobry znak: gdyby był jej całkiem obojętny, przywitałaby się z nim normalnie, zamiast się tak wydziczać. Jej popłoch i rumieńce wydały mu się bardzo urocze – zachowywała się, jakby zaskoczył ją w kąpieli. Podczas gdy ona nerwowo próbowała wypełniać swoje obowiązki i bezskutecznie siliła się na profesjonalizm, jego ogarnął spokój podszyty miłą ekscytacją – nareszcie miał ją na widelcu i tym razem nie zamierzał pozwolić, żeby znowu zniknęła bez słowa.

Na początku korciło go, żeby zamówić do tej herbaty pięćdziesiątkę wódki, ale jakoś mu to nie pasowało do przytulnego i zacisznego wnętrza kawiarni (a poza tym nie chciał, żeby pomyślała, że on też się denerwuje). Obserwowanie Danki w naturalnym środowisku było ciekawą nowością i prawie usłyszał w głowie spokojny głos Krystyny Czubówny, opisującej reakcje ekscentrycznych introwertyczek na pojawienie się obcego na ich terytorium. Po jakimś czasie dwie starsze panie: jedna chuda i nieśmiała, a druga krępa i roztargniona, wyszły, a niedługo potem pojawił się szczupły, dystyngowany mężczyzna trochę w typie Alana Rickmana. Mazurek natychmiast poczuł ukłucie zazdrości, bo Danka na jego widok cała się rozpromieniła. Gość zachowywał się, jakby posiadał tu wszystko na własność, łącznie z nią, ale najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało. Mazurek zgadywał, że jest jej szefem albo managerem kawiarni, ale jego zdaniem to wcale go nie upoważniało do takiej poufałości względem Danki. Ze zdziwieniem stwierdził, że bardziej go irytuje to protekcyjno-ojcowskie spojrzenie, jakim ją objął, niż myśl o Krzyśku. Jakoś nie zdziwił się, kiedy dowiedział się, że Danka jest dziewczyną leada programistów – właściwie nie poczuł zupełnie nic, ani wyrzutów sumienia, ani zazdrości. Natomiast na tego osobnika będzie trzeba w przyszłości uważać, pomyślał Mazurek, wkładając kurtkę, kiedy się zorientował, że Danka już kończy pracę.

Wyszli razem. Danka nie zatrzymała się ani na chwilę, tylko ruszyła w dół ulicy, jakby nie dostrzegała, że on idzie u jej boku. Zerkał co chwila na jej profil, ale nie odważył się jeszcze nic powiedzieć ani o nic zapytać. Była spięta i uznał, że lepiej będzie pospacerować w milczeniu i poczekać, aż się uspokoi i oswoi z nim na nowo.

Miał rację. Po godzinie trochę zwolniła i nie szła już tak sztywno wyprostowana, wsadziła ręce do kieszeni, a w jej spojrzeniu pojawiło się zamyślenie. Po jakimś czasie spojrzała na niego nieśmiało, jakby przepaszając, i wtedy w końcu odetchnął z ulgą. Przeszli z Powiśla na Starą Pragę mostem Świętokrzyskim, gdzie nieźle ich przewiało, a na wysokości Grochowskiej zgodnie odwrócili się plecami od odległego Stadionu Narodowego.

Zaczął padać śnieg – wielkimi, puchatymi płatkami, które wirowały wolno w powietrzu i popiszywały się w świetle latarni – ale po chwili przestał, jakby zimę po zeszłorocznej edycji rozszerzonej było stać tylko na krótkie trailery. Jagiellońska o tej porze, kiedy nie było ruchu, wydawała się zaskakująco pusta i jakby zbyt szeroka dla tej części miasta. Mazurek znał w tej okolicy kilka fajnych knajp, gdzie mogliby wypić piwo i trochę się ogrzać, ale nawet tego nie zaproponował. Jeszcze będzie na to czas.

– Byłam u mojej siostry – powiedziała nagle Danka, ale miał wrażenie, że kontynuują jakąś rozmowę, a nie zaczynają.

– Mhm. To dobrze.

– I mam teraz dodatkową pracę. Robię korekty dla wydawnictwa. Nic wielkiego, ale będę więcej zarabiać.

– To też dobrze.

Przez chwilę znowu milczeli.

– A ja odchodzę z Nasty Oranges.

Danka aż się zatrzymała i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Mazurek zaśmiał się, trochę skrępowany. Prawda była taka, że to oni go wywalali, ale Danka na razie nie musiała o tym wiedzieć.

– Wiesz, to byłoby trochę bez sensu, gdybyś zamieniała jednego saksofonistę na drugiego.

– To gdzie będziesz teraz pracować?

– Wrócę do Piotrusiów. To takie studio, które robi gry [indie](#). Ale nie będę tam pracować jako dev – dodał szybko. – Doszedłem do wniosku, że nie mam

wystarczająco dużo cierpliwości do implementacji. Zawsze kiepsko mi to szło, ale były różne okoliczności łagodzące i nigdy nikt mi nie powiedział w oczy, że to nie dla mnie. Przenoszę się do działu marketingu – w takich firmach nie jest to nic dziwnego, że ludzie zmieniają specjalizacje. No i u Piotrusiów w marketingu z zasady nie obowiązuje crunch. Czyli tylko osiem godzin dziennie i wolne weekendy.

– To dobrze.

Pod jasno oświetlonym Kinem Praha Danka zatrzymała się nagle, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała mu prosto w oczy, marszcząc brwi.

– Kawko... – zaczęła zdecydowanie, ale od razu jej przerwał.

– Mam na imię Wojtek.

Zmrużyła oczy, jakby zaświecił jej w twarz latarką, a potem przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się uważnie: szerokie usta, broda z dołkiem w środku, lekko garbaty nos, jedno oko napuchnięte, tak że widać tylko szparkę, drugie podsinione, okrągłe i błyszczące. Wojtek. Otworzyła usta, zawahała się, spróbowała jeszcze raz, ale nie chciało jej to przejść przez gardło. W końcu poddała się z uśmiechem.

– A mogłabym mówić ci po nazwisku?

Ostatni

Karolina przebrała się i umalowała na imprezę w damskiej toalecie, bez skrupułów blokując ją na dwie godziny. Zdążyłaby co prawda pojechać do domu i wrócić do studia na czas, ale w tym stroju wolałaby nie paradować po ulicach. Zresztą, nawet wzięcie taksówki mogłoby być problematyczne, bo nie mogła zagwarantować, że nie pobrudzi tapicerki.

Już miała schodzić na dół, kiedy przypomniała sobie, że powinna jeszcze coś sprawdzić. W pokoju postaciowców nikogo nie było, więc mogła spokojnie wyjąć listę z szuflady i powtórzyć sobie wszystko. Organizowanie codziennych spotkań za każdym razem z kimś innym i w innym miejscu oraz sprawiedliwe zarządzanie

zdobyczym funduszem okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewała. A ich było aż siedemnastu! Siedemnastu! Już samo pamiętanie, żeby nie pomylić imion, było męczące. Na szczęście w całej akcji nieoczekiwanie wsparł ją Paweł Stentor, który zarówno do ujawnienia wyścigu pajaców, jak i pomysłu Karoliny podszedł z humorem i entuzjazmem, z miejsca uznając je za wydarzenie sezonu, a siebie za jego gwiazdę. Kiedy przyszła jego kolej, po pracy czekał na nią w kuchni odświętnie ubrany, przy wszystkich podał jej ramię i dumnie wyprowadził, pytając półgłosem: „To gdzie cię dziś zaprosiłem?”. Reszta chłopaków z listy podchwyciła ten ton żartobliwej galanterii i wszystkie randki jak dotąd przebiegały w niezobowiązująco lekkiej atmosferze. Nikt ani słowem nie napomknął o dżentelmeńskim zakładzie ani o Andrzeju, a jeśli któryś z nich w głębi serca miał nadzieję, że wyścig ciągle trwa i można go wygrać, nie dawał tego po sobie poznać.

Ok, sprawdźmy... Następni na liście są Jacek Brzeziński (dwadzieścia punktów) i Witek Hałas (trzyście punktów). Już się z nimi umówiła, odpowiednio na drugiego i trzeciego stycznia, a teraz musiała tylko powtórzyć sobie, gdzie i o której idą, żeby dziś wieczorem nie strzelić jakiejś gafy.

Z westchnieniem objęła spojrzeniem całą listę i już miała ją schować do szuflady, kiedy coś zwróciło jej uwagę. Co prawda nie nauczyła się jej na pamięć, ale wpatrywała się w nią tyle razy, że umiała na oko stwierdzić, że coś jest nie tak. Niby wyglądała jak zwykle – cała zapisana zamaszystym, irytująco eleganckim pismem Andrzeja, trochę wymięta i w jednym miejscu poplamiona kawą. Przebiegła ją wzrokiem i...

Karolina uśmiechnęła się szeroko, zanim przypomniała sobie, że przecież dalej jest zła.

Nazwisk było teraz nie siedemnaście, tylko osiemnaście. Na samym dole pojawił się dopisek: Andrzej Domański (zero punktów).

Impreza. Obecni i nieobecni

Marcin przyszedł na imprezę sylwestrową w firmowej koszulce i dżinsach, pewny, że skoro on nie miał czasu pomyśleć o przebraniu się za superbohatera, inni też nie. I dlatego, kiedy o dwudziestej wszedł do holu, zrobiło mu się bardzo, bardzo głupio.

Przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku od Andrzeja, który paradował w fioletowym garniturze w prążki i straszył wymalowanym od ucha do ucha uśmiechem Jokera. Chodził tam i z powrotem, rozdając wszystkim z szatańskim chichotem wielkie liliowe lizaki, a od czasu do czasu przystawał, ogarniał hol byстрыm spojrzeniem i ciskał plastikowymi sztucznymi szczękami, nieodmiennie trafiając w Jacka Brzeźniaka, któremu maska Batmana pomagała udawać, że tego nie zauważa.

Brzuchaty Superman na moment zasłonił Marcinowi widok, a kiedy przeszedł, Andrzeja już nie było. Zaintrygowany, gdzie też zniknął, Marcin wmieszał się w kolorowy tłum. Aha! Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Andrzej, skulony na podłodze, ściąga z prawej nogi o kilka numerów za duży but z jadownicie zielonym sznurowadłem, i tak uzbrojony zaczyna pełznąć w kierunku Jacka, komicznie wypinając tyłek jak pokraczna gąsienica, kiedy podeszła do niego Asia i odwróciła jego uwagę.

– A ty czemu nieprzebrany? – Ona miała na sobie plastikową maskę pumy, obcisłe trykoty i futrzaste kapcie.

– Mógłbym być Clarkiem Kentem – zasugerował Marcin.

– Clark Kent nie był rudy i piegowaty. Widziałeś może Karolinę?

– Nie, chyba jeszcze nie. Albo widziałem, ale nie poznałem. Kiedy oficjalnie zaczyna się impreza?

– Hm? Już się przecież zaczęła. Muzyka, ludzie, alkohol, żarcie. Czego jeszcze chcesz?

– A nie będzie jakiejś części oficjalnej, przemówienia czy coś?

– Później.

Gdzieś zza pleców Asi dobiegł piskliwy wrzask Jacka Brzeźniaka, a po nim wybuch szaleńczego chichotu. Obejrzeni się oboje. Andrzej leżał na podłodze z nogami w górze i się zaśmiewał, a obrażony Jacek maszerował w stronę męskiej łazienki. Asia stuknęła Marcina w łokieć i wskazała mu grupę czterech Batmanów, którzy na drugim końcu holu najwyraźniej zrywali się, pokazując sobie palcami na wierzgającego nogami w powietrzu Jokera.

– Zainterweniuj, proszę – powiedziała stanowczo. – Bo biedak się forsuje, a ona jeszcze nawet nie przyszła.

Marcin szedł w stronę stołu z drinkami, co chwila oglądając się przez ramię, i niechcący wpadł na Nelę rozmawiającą z Kacprem Maciejakiem. Nie zdążył nawet przeprosić, bo błyskawicznie wzięła go pod ramię, zaświergotała „No, wreszcie jesteś!” i odciągnęła na bok. Nie chciał wnikać, czemu chciała pozbyć się Kacpra, więc tylko zauważył z delikatnym wyrzutem:

– Chciałem się czegoś napić.

– Jeszcze będziesz miał okazję.

Wyglądała ślicznie w stroju Trującego Bluszczu, a po spojrzeniach, jakie rzucali jej przechodzący faceci, poznał, że nie tylko on tak uważa. Nela nie sprawiała jednak wrażenia, że ją to cieszy. Kiedy tylko oddalili się od Kacpra, jej sztuczny uśmiech zniknął, zastąpiony przez ponury grymas. Marcin szybko domyślił się, o co chodzi. Chowając się przed Batmanami po udanej akcji dywersyjnej, obszedł cały hol i zauważył, że nie ma nigdzie Mata.

– Fajna impreza – powiedział lekkim tonem, zerkając na Nelę, która usiłowała tak ułożyć oplatający jej szyję wieniec z pnącza sztucznego bluszczu, żeby skuteczniej zasłaniał dekolt.

– Aha.

– Widzę, że jeszcze nie wszyscy dotarli. Nie ma Mazurka, paru testerów... Pewnie przyjdą później.

– Mata nie będzie. Podobno został w domu z chorą córką.

– Naprawdę możesz iść – powiedziała Julka znad czytanej książki. – Przecież już dobrze się czuję i nie mam gorączki.

Siedziała w fotelu okryta miękkim kocem, a Mat leżał na kanapie i jako ojciec-dynia bronił swoje dyniątko przed podstępными atakami ptaków zombie.

– Nie, zostanę – mruknął.

– Przyznaj, że wcale się o mnie nie martwisz, tylko chcesz pobić następny rekord w *Zombirds*.

– W jednym i w drugim chodzi o odpowiedzialność. Mam już sześć dyniątek i nie pozwolę ich nikomu zabrać. A już zwłaszcza tym takim sprytnym draniom, co wyglądają jak okrągłe oko.

Julka uśmiechnęła się i wróciła do lektury. Na stoliku w zasięgu ręki miała porozkładane miseczki z orzeszkami, ciastkami i żelkami, obok stał termos z naparem z lipy i pudełko z ptasim mleczkiem. W całym mieszkaniu pachniało świeżym praniem, które ojciec nastawił i rozwiesił pod jej kierunkiem. Szyby w oknach zaparowały, a naciskająca na nie z zewnątrz ciemność tylko podkreślała, jak w środku jest ciepło, jasno i bezpiecznie.

Julka przeciągnęła się pod kocem, przyciskając książkę do piersi.

To był przyjemny wieczór.

– Czy ktoś wie, co z Sonią? – zapytał Jacek, podchodząc do Asi i Pawła, którzy zajęli strategiczne miejsce przy stoliku z przekąskami. Nie wiadomo było jeszcze, czy impreza okaże się udana, więc postanowili zadbać, żeby się przynajmniej najieść.

– Obstawiam, że się już nie pojawi. Chyba myślała, że my tu całymi dniami leżymy z nogami do góry i czekamy, aż natchnienie na nas spłynie. A to ciężka praca jest, takie myślenie – zauważyła Asia, metodycznie opróżniając półmisek z koreczkami.

– Nie wiem, po co w ogóle ją przyjęli, skoro mamy Marcina. – Paweł Stentor dyskretnie podrapał się pod spódniczką. Z jakiegoś powodu za każdym razem przebierał się za kobietę. Nikt nie wiedział, czy traktować to jako żart, deklarację

feminizmu czy osobiste upodobanie, któremu tylko przy szczególnych okazjach mógł dawać upust. W tej chwili był najbardziej barczystą, owłosioną i płaską Wonder Woman w historii. I co najdziwniejsze, jakoś to do niego pasowało.

– Ale na imprezę mogłaby przyjść – powiedział tęsknie Jacek.

– Hm? Brakuje ci jej czy jak?

– Nieszczególnie, ale chciałbym zobaczyć, w co by się przebrała.

Przez chwilę wszyscy rozważali tę kwestię w takim skupieniu, że nawet przestali ruszać szczękami.

– Mogłaby... zmyć makijaż i założyć spodnium w pepitkę – zasugerowała Asia. – A tak serio, to może warto spytać Marcina, co się z nią dzieje.

– Marcina? Kto jak kto, ale on na pewno nie będzie za nią biegać, żeby sprowadzić ją z powrotem. Przecież uprzykrzała mu życie od rana do wieczora. Nie znosi jej.

– Hm, hm – powiedziała Asia i uśmiechnęła się do siebie tajemniczo.

Julka odłożyła książkę i przez chwilę przyglądała się Matowi, który dalej grał z zaciśniętymi zębami.

– Tato?

– Hm?

– Z tym wyjazdem do dziadków w Bieszczady to był dobry pomysł.

Mat odłożył rozgrzany tablet i usiadł po turecku. Julka uśmiechała się i naprawdę wyglądała już o wiele lepiej. Ciągłe była trochę blada i kaszłała, ale to rzeczywiście tylko zwykłe przeziębienie. Iza co prawda uparła się, żeby ciągnąć ją do lekarza, ale kiedy wrócili do mieszkania, Julka sama poprosiła ją, żeby już poszła, bo oni z tatą dadzą sobie radę. W sobotę obudziła się bez gorączki, a dziś wstała z łóżka, mówiąc, że jej się znudziło leżenie. Tematu kłótni dotąd nie poruszali, ale Mat miał wrażenie, że atmosfera sama się oczyściła i nic paskudnego nie wisi już w powietrzu. On i Julka instynktownie się dogadywali, zawsze to

powtarzał. Nie trzeba wszystkiego zaraz roztrząsać i analizować jak na jakiejś terapii. Wszystko jest w porządku. Pełna harmonia. Nawet pranie zrobił.

– Czyli pojedziesz ze mną?

– Jasne. A w sprawie Marty...

Dobra, bez nerwów. Przecież powiedziała to lekko, jakby nie chodziło o nic ważnego. Nie ma się co najeżać. Tylko spokojnie. Nikt się tu nie chce znowu kłócić.

Julka patrzyła na niego wyczekująco i nagle odniósł wrażenie, że odgrywają jakąś scenkę, a on zapomniał swojej kwestii. Skupił się i przymknął powieki, czekając, aż wewnętrzny głos mu coś podpowie. Pełna harmonia, mistyczna ojcowsko-córczyzna jedność. Otworzył oczy.

– Kiedy ci zaproponowałem ten wyjazd – zaczął powoli, jakby czytał z kartki – myślałaś, że zamierzam ci pozwolić znów widywać się z Martą?

Julka podniosła rękę do góry i kciukiem zrobiła w powietrzu ruch, jakby zatrzymywała stoper. Mat obruszył się.

– Domyśliłem się już wcześniej. Nie jestem aż taki tępy. Ani złośliwy – dodał po chwili innym tonem. – Ja naprawdę myślę, że to nie jest dla ciebie dobre towarzystwo.

– Ale ty jej w ogóle nie znasz, tato – powiedziała spokojnie Julka.

Mat przemyślał kilka błyskotliwych ripost i uznał, że zmilczy. Westchnął i podrapał się po chrzęszczącym zaroście na policzku.

– A co ona mówi? – zapytał niechętnie. – Jest obrażona czy dalej chce się z tobą kumplować?

– Teraz to nie wiem. Nie rozmawialiśmy, odkąd mi zabroniłeś. – Ostatnie słowo zabrzmiało w jej ustach tak dramatycznie, jakby trzymał ją w ciemnicy przez miesiąc i głodził.

– Serio? – zdziwił się. – Wcale?

– To nie był mój pomysł. Kiedy jej przekazałam, co myślisz o naszej znajomości, uznała, że w takim razie lepiej, żebyśmy się w ogóle nie kontaktowały.

Powiedziała, że skoro wybrałam ciebie na opiekuna, powinnam być konsekwentna i cię słuchać. No to słucham – westchnęła z rezygnacją i przewróciła oczami.

– Marta tak powiedziała? Naprawdę?

– Dodała też co nieco o panikarzach i hipokrytach, nie martw się.

– No tak, teraz jakoś łatwiej mi uwierzyć w tę pierwszą część...

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, nieustępliwie jak dwa koty obserwujące tę samą mysia dziurę. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słyhać było, jak za ścianą w kuchni brzęczy lodówka. Dwie pary ciemnych oczu zmrużyły się w wysiłku, żeby nie mrugnąć.

Julka pierwsza zaczęła się uśmiechać.

– Tylko nie licz, że się z nią ożenię dla twojej przyjemności.

– Ja cię nie namawiam. Jej tym bardziej.

– Nawet spać z nią nie będę.

– Nie moja sprawa.

– Ekhem, no właśnie.

Jasiek Ritmeijer tak niecierpliwie poderwał swój bagaż z taśmy, że torba wymknęła mu się z rąk i plasnęła na podłogę. Zanim się po nią schylił, sprzedał jej kopniaka, ku uciesze jakiegoś brzdąca w kolorowych szelkach. Chłopczyk aż kwiknął z radości i podleciał bliżej w oczekiwaniu kolejnych atrakcji. Jasiek stanął na jednej nodze, żeby go nie zdeptać, przeklął soczyście i wyminął smarkacza. Dopiero mina zszokowanej mamusi, która złapała małego za szelki i przyciągnęła opiekuńczo do siebie, uświadomiła mu, że jest już w Polsce i wszyscy go rozumieją. Zamiast przeprosić albo się chociaż uśmiechnąć, posłał jej złe spojrzenie, zarzucił sobie torbę na ramię i przebił się przez tłumek oczekujących do wyjścia.

Chciał jak najszybciej wydostać się z lotniska, tymczasem miał wrażenie, że w hali przylotów specjalnie dla niego przygotowano flash mob. Najpierw trzy zdyszane Japonki usiłowały wjechać w niego wózkiem bagażowym, a kiedy się

uchylił, oberwał w bok głowy deską snowboardową, potknął się o czyjeś nogi i wpadł na wąsatego olbrzyma w kurtce puchowej. Odbił się od niego miękko jak od poduszki i poleciał do tyłu, ale wielkolud przytrzymał go i pomógł mu złapać równowagę, mamrocząc dobrotliwie: „*Wsio w poriadkie, nie biespokojties'* ”. Jasiak odetchnął, poprawił torbę i już ostrożniej ruszył do przodu. Udało mu się zrobić dwa kroki, po czym jakaś krucha staruszka obdarzona niezwykłym talentem choreograficznym tak skręciła metalowym balkonikiem, żeby jednocześnie walnąć go w kolano i pchnąć na obściskującą się namiętnie parę. Jasiak zapatrzył się na nich mimowolnie, zaciskając zęby. Byli tak pochłonięci entuzjastycznym powitaniem, że przy uderzeniu tylko zakołysali się jak krzepkie drzewo pod naporem wiatru. I kontynuowali.

Całe szczęście, że Soni nie przyszło do głowy czekać tu na niego. Nie chciał robić scen przy ludziach.

Wersja Marcina

Marcin w pierwszej chwili nie poznał Karoliny, chociaż stanął z nią twarzą w twarz.

– O rany – westchnął z podziwu.

Uśmiechnęła się, pokazując zaskakująco białe na tle niebieskiej twarzy zęby. Jej przebranie było na tyle konsekwentne, że nie wyglądała ładnie, tylko niepokojąco i bardzo atrakcyjnie. Marcin, czując się trochę niepewnie pod spojrzeniem żółtych oczu, zastanowił się przelotnie, jak ona upchnęła te wszystkie włosy pod rudą peruką.

– Wszystko pięknie, ale dlaczego masz na sobie sukienkę? *Mutant and proud* – przypomniał jej.

– Świat ludzi nie jest jeszcze na to gotowy. A ty za kogo się przebrałeś?

Marcina nagle olśniło.

– Też za *Mystique*.

Zrobiła zdziwioną minę, a potem się zaśmiała.

– A czemu Mystique miałyby się zmieniać w ciebie?

– Zawsze chciała być producentem.

Rozmowę przerwało im niespodziewane pojawienie się Andrzeja, który podbiegł do Karoliny w dziwnych podskokach, przykucnął, a potem wystrzelił do góry, wpychając jej w ramiona ogromny bukiet róż, który nie wiadomo skąd się wziął. Zanim zdążyła zareagować, zachichotał i zręcznie wmieszał się w tłum.

Marcin po chwili odkaslnął uprzejmie. Nagle poczuł się jak na jakimś balu z powieści Dumasa.

– Przynieść jakiś garnek z wodą albo słoik z kuchni?

Karolina, wciąż lekko oszołomiona, pokręciła głową.

– Nie, sama się nimi zajmę. Mogą być trujące.

Patrzyła prosto przed siebie, ale Marcin i tak zauważył, jak ukradkiem odczepia karteczkę dołączoną do kwiatów i zgniata ją w dłoni. Już chciał to skomentować, kiedy poczuł, że w kieszeni spodni wibruje mu telefon. Przeprosił Karolinę i poszedł odebrać do kuchni, bo miał nadzieję, że tam będzie trochę ciszej.

Dzwonił Mat.

– Hej, słyszałem, że cię nie będzie dziś wieczorem. Szkoda.

– No, nie dam rady niestety – powiedział Mat niecierpliwie, jakby miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż jakaś tam impreza. Biedna Nela, pomyślał Marcin.

– Sorry, że ci przeszkadzam w zabawie, ale... Dzwonił do mnie Jasiek.

– O? – zdziwił się uprzejmie Marcin. – I co mówił?

– Że wrócił. Nie mam pojęcia skąd, ale wrócił. Jest na lotnisku. I wiesz co? Pytał o ciebie.

– To miło.

– Nie wiedziałem, że się znacie. – Mat był wyraźnie skołowany. I bardzo, bardzo zadowolony.

– Tylko korespondencyjnie.

– Hm, aha. Słuchaj... Nie gadałem jeszcze ani z Antkiem, ani z Tomkiem, bo chyba trochę mi brakuje danych. Mógłbyś mnie oświecić w paru kwestiach?

– A o co chodzi?

– W tych krótkich chwilach, kiedy brałem oddech pomiędzy obrzucaniem go bluzgami, Jasiek ciągle pytał, czy nowa fabuła jest już definitywnie zaakceptowana. Powiedziałem mu, że dowie się, jak przyjdzie do studia i się wytłumaczy, gdzie kurwa był, ale prawda jest taka, że sam nie wiem, o jaką fabułę chodzi. Mamy jakiś nowy konspekt? Bo ja się zatrzymałem na złej siostrze bliźniaczce, która zamieniła się w siostrę Finnleya.

– Mamy. Znaczy ja mam. Teraz ci opowiedzieć?

– Tak, tylko poczekaj sekundę, to wezmę jakąś kartkę do notowania. Julka, znajdź mi długopis. O, już. Teraz mów.

– Tak w skrócie chodzi o to, że dziewczynka o imieniu Avery, z którą uciekł młody Finnley, ta z dema, nie jest tą samą osobą, co dorosła Avery. Czyli były dwie dziewczyny, jasne? Nazwijmy ją Duża i Mała. Duża Avery podszyła się pod Małą Avery, a raczej niczego nie sprostowała, kiedy Finnley nad Clearwater rzucił jej się na szyję z okrzykiem: „Ukochana, nareszcie cię odnalazłem!”. Zważywszy na to, że po strzelaninie nad jeziorem Avery była ranna i całkowicie zależna od Noaha, nic dziwnego, że wszystkiemu przytakiwała. Planowała poudawać Małą Avery, jak długo będzie trzeba, skorzystać z oferowanej pomocy, a potem zwyczajnie zwiać. Rzecz w tym, że Finnley ją zainteresował i dlatego przedłużyła tę maskaradę. No i się zakochała. Finnley też, ale nieszczęsna Duża Avery nie wiedziała, czy kocha ją, czy wspomnienie Małej Avery i dlatego tak się ciskała. Problemy zaczęły się, kiedy bracia Baird – bardzo zdziwieni, że ich przyjaciółeczka tak naprawdę miała na imię Avery, a nie, hm, Leokadia czy tam Grażyna, jak im dotąd mówiła – przeprowadzili małe śledztwo i dowiedzieli się prawdy. Odtąd mogli ją szantażować, że powiedzą wszystko Finnleyowi i zobaczymy, czy mu się spodoba, że Duża Avery go oszukiwała. To dlatego czasami zachowywała się nielogicznie: z jednej strony zawsze chciała chronić Finnleya, a z drugiej musiała robić to, co jej kazali bracia B. Ale jak wiemy, Duża Avery to sprytna sztuka, więc wymyśliła, jak

się z tego wypłatać. Postanowiła, że sama przyzna się Finnleyowi i dzięki temu przekona się, czy ją kocha. Upozorowała swoją śmierć, żeby zmylić tropy bandzie Bairdów, i posłała wzruszający list do Finnleya, w którym wszystko mu tłumaczyła. Że go okłamała, ale to z miłości, że chce z nim uciec do Kalifornii i będzie czekać do skutku w faktorii nad jeziorem Temagami. Niestety źle wybrała posłańca: Louisa May, skrycie zazdrosna o Finnleya, przeczytała wiadomość i zobaczyła w niej swoją szansę. List zniszczyła, a Finnleyowi powiedziała z zadowoleniem, że Avery nie żyje. Myślała, że na tym sprawa się skończy: Finnleyowi będzie trochę przykro, ale szybko zapomni o Avery, a Avery pomyśli, że Finnley postanowił jej jednak nie wybaczać kłamstwa, sama cicho wyjedzie do Kalifornii i nigdy nie wróci. Ale Finnley zamiast rozpaczać, wściekł się i chciał się mścić. Louisa May najpierw kluczyła, że nie wie, kto sprzątnął Avery, a kiedy Finnley ją przycisnął, strzeliła, że to banda braci Baird. Było to dość prawdopodobne, a poza tym istniały niewielkie szanse, że Finnley im uwierzy, gdyby zaprzeczali. Czyli w prologu RFF4 mamy taką sytuację: Finnley zabija Ezrę, dowiaduje się, że Avery go wykorzystała i rusza ją znaleźć i ukarać. Duża Avery siedzi sobie w faktorii nad jeziorem Temagami i nagle się dowiaduje, że Finnley wyzabijał bandę braci Baird, a teraz wszystkim ogłosił, że idzie po nią. Załamana, że jej nie przebaczył i chce ją zabić, czeka na niego i ostateczne starcie – bo jest pewna, że list otrzymał i wie, gdzie ona jest. Wchodząc w tryb *secret meaning*, gracz zdobędzie fragmenty informacji, które sprawią, że przy konfrontacji uwierzy Dużej Avery i zrozumie, że to Louisa May zrobiła go w konia, a Duża Avery nie miała złych zamiarów. Co więcej, Duża Avery, zdając się całkowicie na łaskę Finnleya, powie mu, że jeśli jednak jej nie kocha, bo tak naprawdę cały czas chodziło mu o Małą Avery, to proszę, tu są zgromadzone przez Charlesa Siringo dokumenty, które pozwolą mu odnaleźć Małą Avery, która żyje i ma się dobrze. I tak oto mamy fajny ostateczny wybór: zostać z Dużą Avery czy ją porzucić i ruszyć na poszukiwania Małej Avery. No i co myślisz? – zapytał pogodnie na koniec.

– O rany boskie... Muszę to sobie poukładać w głowie. Wstępnie jestem na tak, ale zostawmy to wszystko do poniedziałku, ok? I może na razie nie mów nic Antkowi i reszcie, bo zamiast się bawić, zagoniliby wszystkich na brainstorm. Pogadamy, kiedy będzie już Jasiak.

– Ok. To do poniedziałku i udanego wieczoru – powiedział Marcin i się rozłączył.

Nie chciało mu się jeszcze wracać na przyjęcie, więc po prostu siedział sobie w pustej kuchni i uśmiechał się do siebie. Teraz, kiedy wreszcie mógł komuś przedstawić swoją wersję wydarzeń, nie czuł już ekscytacji, tylko spokój. Niezależnie od tego, czy ta fabuła przejdzie, historia, którą tak długo nosił w sobie, została opowiedziana. I w pewnym sensie to wystarczyło.

Teraz najbardziej interesowała go reakcja Jaśka i jego zdanie. Na myśl o poniedziałkowym spotkaniu cicho zachichotał. Czuł, że to nie będzie początek pięknej przyjaźni, ale podobno niezdrowo, kiedy producent i team leader za dobrze się dogadują.

Zresztą, gdyby nawet ta wersja nie została klepnięta i pobłogosławiona, mogli zacząć jeszcze raz. Dotąd go to przerażało, ale teraz pierwszy raz pomyślał z ulgą: jak to dobrze, że w tej pracy zawsze można zacząć wszystko od początku.

Gaśnie światło

Karolina spojrzała na zegarek, obejrzała się, czy nikt na nią nie patrzy i wymknęła się na górę. Na pierwszym piętrze wyraźnie było słychać odgłosy imprezy: głośną muzykę, śmiechy i okrzyki, ale korytarz świecił pustkami. Światła pogaszono i tylko w pokoju programistów jeszcze się paliło. Czyżby zorganizowali sobie alternatywne przyjęcie? Karolina zajrzała przez szklane drzwi, zaciekawiona, i ze zdziwieniem stwierdziła, że w środku siedzi tylko Krzysiek. Zauważył ją, zanim zdążyła się cofnąć, więc weszła do środka z wysiłonym uśmiechem.

– A ty czemu nie na dole? – zapytała, chociaż w żadnym razie nie zależało jej na towarzystwie tego drania. Miała nadzieję, że trochę zawstydzi go jej uprzejmość po tym wszystkim, co zaszło, ale Krzysiek tylko spojrzął na nią obojętnie znad okularów i odwrócił się znów do monitora.

– Mam dużo pracy.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami i wyszła. Czemu w ogóle się do niego odzywała? Co za dwulicowy, żaloszny skurwysyn: najpierw tygodniami ją śledzi i podgląda, a potem robi wyniosłe miny i patrzy na nią z góry. Pieprzony pracoholik, za ważny jest, żeby bawić się ze wszystkimi. A żeby tak zgnił przy tym biurku!

Kiedy doszła na drugie piętro, była już wściekła nie tylko na Krzyśka, ale i na Andrzeja. Co on sobie wyobrażał? Jeśli rzeczywiście się tu pojawi, tym razem ulży sobie i powie mu dokładnie, co o nim myśli.

Poszła do pokoju Jaśka, nie spotkawszy już nikogo po drodze. W środku było pusto. Już miała odwrócić się na pięcie i odejść, kiedy na biurku zobaczyła małą sztuczną szczękę, w którą ktoś wetknął różę. Westchnęła i przewróciła oczami. No cóż, przynajmniej wiadomo, że tu był. Dotknęła ostrożnie szczęki i przekonała się, że to piankowy cukierek.

Nie usłyszała za sobą żadnego ruchu i dlatego o mało nie krzyknęła, kiedy w pokoju zgasło światło. Odwróciła się, zaciskając pięści, ale w ciemności nic nie wypatrzyła. Zaczęła po omacku iść w stronę drzwi, a wtedy skądś zaczęła dobiegać cicha, słodka muzyka. Przystanąła z bijącym sercem. Spod biurka wytoczył się ciemny kształt, rozwinął, a potem uniósł cicho i stanął za jej plecami.

– Tańczyłaś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżycy?

– Co to był za wrzask przed chwilą? – zapytał Marcin, stając na podeście pierwszego piętra.

– Nie wiem, gdzieś na górze – powiedziała Asia obojętnie. Minęła go i zaczęła schodzić na dół. Marcin spojrzął za nią podejrzliwie.

– A to nie stamtąd wracasz?

– Ja poszłam tam tylko zgasić światło.

Finał

Dawno ustalono, że Jasiek najlepiej nadaje się do noworocznych przemów. Mimo że nie był typem showmana, autentyczna charyzma wylewała mu się wszystkimi otworami ciała, kiedy opowiadał, że robią najbardziej zajebistą grę na świecie. A oni wierzyli. Ba, sam Antek łapał się na tym, że słuchając Jaśka, jest o krok od wznoszenia dzikich okrzyków na cześć Finnleya i walenia kuflem w stół jak rozochocony wiking. Jednak kiedy potem próbował sobie przypomnieć, co takiego wizjonerskiego Ritmeijer mówił, wychodziło mu, że właściwie nic oryginalnego: jesteście najlepsi, my im jeszcze pokażemy, mamy wciąż dużo do zrobienia, ale efekt będzie powalający, więc warto się pomęczyć, Nasty Oranges to nie praca, tylko stan umysłu, jestem z was dumny, *you are the shit!* Hejdaszowi byłoby głupio, że daje się nabierać na takie motywacyjne gadki jak małe dziecko, gdyby nie to, że Jasiek naprawdę wierzył w to, co mówił. Inaczej by nie zadziało. Wszyscy w studiu mieli alergię na korpomowę, ale od Jaśka, który stał przed nimi z rozwianym włosiem i lekko szaleńczym błyskiem w oku, gestykulując jak Mussolini, przyjęliby wszystko.

Raz spróbowali wypchnąć na scenę Mata, ale okazało się to tak katastrofalnym pomysłem, że jeszcze po kilku latach w studiu krążyły o tym memy. Mat świetnie sprawdzał się jako lider w kameralnych warunkach, ale kiedy miał mówić do więcej niż dziesięciu osób, zaczynał mamrotać, gubił wątek, a w końcu tak się zaplątywał, że urywał w pół zdania i rozglądał się zdumiony na boki, jakby nie wierzył, że to on opowiada te farmazony. Jediną osobą szczerze zachwyconą wystąpieniem Mata była Nela, która na widok jego chłopięcego zmieszania rozmaśliła się tak bardzo, że można ją było zbierać łyżeczką.

Antek uważał, że chociaż jako mówca nie dorasta Jaśkowi do pięt, jest o tyle lepszy od Mata, że nie musi się specjalnie przejmować. Tak mu się wydawało, dopóki nie stanął przed całym studium zgromadzonym w holu na parterze i nie

skrzeknął czegoś niezrozumiałego do mikrofonu. Szybko się pozbierał, odchrząknął i błysnął wytrenowanym uśmiechem.

No dobra. Jasno i z entuzjazmem. Rzeczowo, bez chojrakowania.

Na początku wszystko szło gładko: to ważny rok, witamy w studiu nowych pracowników, bla, bla, doceniam wasz wysiłek, jesteście wspaniali, wiem, że crunch to złoo, bla, bla. Antek był tak zadowolony ze swojego wystąpienia, że całkiem się rozluźnił, recytując przygotowany tekst. Myśli mu gdzieś odpłynęły i kiedy skończył kolejne okrągłe zdanie, nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co przed chwilą powiedział ani co ma powiedzieć teraz. Zbity z tropu obejrzał się na Tomka, który stał kilka kroków za nim. Executive producer, zaalarmowany tępym wyrazem twarzy Antka, wykrzywił się i dał mu dyskretny znak ręką: no, dalej, wciskaj im ten kit, przecież umiesz.

Hejdasz wciągnął głęboko powietrze i powiódł wzrokiem po kolorowym, roześmianym tłumie.

– Rany, ale was dużo – wyrwało mu się z dobrodusznym, niemądrym uśmiechem. Zaśmiali się, więc uznał, że trochę improwizacji nie zaszkodzi. – Wiecie, że ciągle zapominam, jak Nasty Oranges urosło. Czuję się trochę jak zgredowaty tatuś, który patrzy na agresywnego, pryszczatego trzynastolatka i dalej widzi w nim pulchniutkiego bobasa. Pewne rzeczy się zmieniają – koncepcja GUI mniej więcej raz na tydzień, z tego co wiem – ale niektóre powinny pozostać zawsze takie same. Pasja, zaangażowanie, nieustanna wytężona praca. Tego od was wymagam. Codziennie. I wiem, że to bardzo, bardzo dużo. Ale wy też macie prawo czegoś ode mnie oczekiwać: mądrych decyzji, odpowiedzialności, poczucia bezpieczeństwa... i szczerości.

Szepty i ciche śmiechy ustały. Wszyscy wpatrywali się w niego z takim napięciem, że zakręciło mu się w głowie.

Tyrowicz podszedł do niego od tyłu i syknął mu do ucha:

– Co ty wygadujesz?

Antek spróbował skupić wzrok na jego ściągniętej, czerwonej ze złości twarzy, ale po kilku sekundach znów, jak zhipnotyzowany, zwrócił głowę w kierunku zgromadzonych. Wydawało mu się teraz, że dzieli go od zespołu jakaś ogromna przepaść, która powiększa się z każdą chwilą. I że na zawsze zostanie po drugiej stronie, jeśli teraz nie powie im prawdy.

– Jest coś, o czym chciałem... Wydaje mi się, że powinniście... – urwał znowu i nabrał powietrza jak przed skokiem na główkę. – Niedawno podjąłem pewne decyzje i uznałem, że lepiej będzie dla was, jeśli na razie... że lepiej was będzie nie martwić. Teraz widzę, że to było nie fair. To nie tylko moja, ale i wasza firma, i macie prawo wiedzieć, co się z nią dzieje. Wszyscy podpisaliście klauzulę poufności, ale dobrze wiecie, że jeśli ta wiadomość gdzieś wypłynie, nie będę w stanie namierzyć tego, kto sypnął. Zatem uznajcie to za dowód zaufania – spóźnionego, ale jednak. Pół roku temu staliśmy się częścią Lucid Dreams. Ciągłe jesteśmy Pomarańczami, aż do końca projektu, i RFF4 będzie grą Nasty Oranges. Co będzie potem: nie wiem. Ale możecie być pewni, że prędzej ja stracę tę robotę niż ktokolwiek z was. W najgorszym razie Lucid Dreams złoży wam ofertę i będziecie mogli zdecydować, czy chcecie zostać. W najlepszym – zrobimy zajebistą grę i zachowamy względną niezależność od naszego dużego brata. A czy to będzie najlepsza gra w serii, zależy od was. Dlatego kiedy będę prosił was o większy wysiłek, wiedzcie, że to nie dlatego, że lubię sobie popatrzeć przez szybkę, jak równo zapierdalacie, tylko dlatego, że to ważne. Ważne, żebyśmy pokazali, na co nas stać. Że potrafimy na siebie zarobić i warto dać nam kredyt zaufania. Że Nasty Oranges się rozwija i rozkwita. Że mamy coś, co nas wyróżnia, i chcemy to zachować.

Wszyscy milczeli i patrzyli na niego, jakby właśnie zrobił efektowny coming out jako kosmita. No dobra. Trzeba było się trzymać scenariusza.

Nagle pierwsze dwie linie stojących zafalowały; to Andrzej Domański przeciskał się do przodu, wprawnie pracując łokciami. Stał przed Hejdaszem, wcisnął ręce do kieszeni spodni i zadarł kudłatą głowę. Na widok jego gniewnej

miny, deformującej nasmarowany szminką uśmiezek Jokera, Antek przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Jeśli myślisz, że postraszysz nas Lucid Dreams i wyciśniesz z nas jeszcze więcej, to coś ci powiem. Od pół roku wszyscy wiemy, że Dreamsy nas kupiły. Ktoś wysłał anonimowego maila do wszystkich teamów, tak że dowiedział się każdy, ale większość trzymała gęby na kłódkę nawet przed innymi zespołami. I od tego czasu dajemy z siebie wszystko, więc nie pierdol, bo w ten sposób nas już bardziej nie zmotywujesz. – Podrapał się po głowie, rozburzając szopenowską czuprynę, i uśmiechnął do Antka. – Ale to o zaufaniu było dobre.

Tłum nagle ożył. Fala szeptów przetoczyła się przez niego jak wyładowanie elektryczne.

– Czyli... wiecie?

Wszyscy pokiwali głowami, a potem zaczęli się rozglądać wokół siebie, zdziwieni, jakby widzieli się pierwszy raz na oczy. Andrzej ciągle stał na czele, bardzo zadowolony z siebie.

– A ten, kto napisał tego maila... pozostał anonimowy? – zapytał Antek ostrożnie.

– Tak.

– I nie macie pomysłu, kto to? Podpisał się chociaż jakoś czy całkiem nic?

– Mhm. Podpisał.

– A jak? – zapytał Tyrowicz ze zniecierpliwieniem. Od kilku minut wyglądał, jakby tylko cienka warstewka zdrowego rozsądku dzieliła go od walenia głową w ścianę.

– Wintermute.

Tłum ryknął śmiechem. Ponad hałas wzniósł się autorytatywny głos Jacka Brzeźniaka:

– Czyli to musiał być ktoś z zewnątrz.

– Właśnie, kurwa, na odwrót! Głupi jesteś? – wrzasnął Franek.

A potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Marcin odszukał wzrokiem Asię, która odpowiedziała na jego pytające, nagłace spojrzenie lekkim uśmieszkiem i pokręciła głową. Ale jeśli nie ona, to...? Trącił w ramię stojącą przed nim Nelę. Odwróciła się zdziwiona, a kiedy zrozumiała, co sugeruje jego mina, prychnęła i postukała się w czoło. No dobra. Marcin skupił się, marszcząc i unosząc brwi jak orangutan, który próbuje rozpracować kalkulator, po czym nagle poderwał głowę do góry.

Andrzej nie uczestniczył w namiętnej dyskusji, nawet nie patrzył na nich, skupiony na Tyrowiczu, który wyraźnie nie wiedział, czy powinien najpierw zmyć głowę Hejdaszowi, czy jakoś uspokoić szalejącego, rwącego się już do rękoczynów tłum (prawdopodobnie nie udałoby mu się ani jedno, ani drugie). Marcin przebił się do Andrzeja i pochwycił jego rozbawione spojrzenie. Zadał mu pytanie, ale jego głos utonął całkowicie w zgiewku, jakby był niemy. Andrzej wyszczerzył się radośnie, jeszcze bardziej rozciągając uśmiech Jokera. No tak, to było możliwe, ale... Marcin znów pobiegł wzrokiem do Asi, do Neli, a potem jeszcze raz spojrzał z niedowierzaniem na Andrzeja. Chyba... Przecież... Nie, naprawdę nie wiedział.

Nie wiadomo kiedy kłótnia przerodziła się znów w zabawę: słychać było śmiechy i wesołe okrzyki, ktoś zaczął skandować motto Pomarańczy. Nagle wokół Antka zrobiło się tłoczno – miał wrażenie, że wszyscy rzucili się ku niemu, żeby go zadusić, ale w końcu zorientował się, że mieli jak najbardziej przyjazne intencje. Ktoś go poklepywał po plecach, ktoś wtykał mu puszkę piwa do ręki, a barczysta i wyraźnie rozrzewniona Wonder Woman niespodziewanie wycisnęła mu na policzku soczystego całusa. Hejdasz, oszołomiony i zdezorientowany, dawał się ścisnąć i popychać. Nie do końca wiedział, co teraz świętują i dlaczego, ani jak wielkich kłopotów właśnie sobie narobił, ale to nie było ważne. Znów czuł się częścią zespołu, jednym z nich. I po raz pierwszy od sześciu miesięcy był szczęśliwy.

Nagle drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem. Kilka osób spojrzało w tamtym kierunku. Hałas powoli zamierał – kolejne osoby, klepane w ramię albo szturchane pod żebra, odwracały głowy. Przy drzwiach, nieruchomo, jakby złapane w stop klatce, stały trzy ubrane na czarno postaci. Zastygły w dynamicznych pozach, jak

drapieżniki ukryte w wysokich trawach, tuż przed skokiem na ofiarę. Poruszały się tylko ich oczy, widoczne zza gładko przylegających do twarzy masek i kotwiczka do rzutów, którą kręcił jeden z nich. Wydawało się, że oceniają sytuację. Ten stojący najdalej dyskretnie wyjął zza osłony na nadgarstek błyszczący shiruken i złożył rękę do rzutu. Kiedy i to nie wzbudziło żadnej reakcji, najwyższy ninja zniecierpliwił się, zrobił krok do przodu i zsunął pas materiału zasłaniający dolną część twarzy.

– No, co się tak gapicie? – zirytował się Staszek Fraszyński i poprawił szerokie spodnie. – Spóźniliśmy się, wielkie rzeczy!

Koniec



Słownik

AAA – kategoria odnosząca się do gier wysokobudżetowych. Gry AAA to zazwyczaj produkcje znanych firm, celujące w wysoką jakość, umiejętnie wypromowane i bazujące na armii wiernych fanów. Jako bestsellery łatwo zdobywają serca i liczne nagrody, ale mają również rosnące grono przeciwników, którzy wolą gry niezależne (indie). Gdyby kluby piłkarskie były grami, FC Barcelona z miejsca dostałoby kategorię AAA. [\[powrót\]](#)

Alfa – jedna z faz tworzenia gry. Niemal wszystkie funkcjonalności już działają; wiele rzeczy wymaga dopracowania i jest jeszcze sporo błędów, ale grę da się już przejść od początku do końca. Nie da się jej natomiast nikomu spoza firmy pokazać, bo wygląda tak wstrętnie, że każdy uciekłby z krzykiem. [\[powrót\]](#)

Art director – odpowiada za artystyczną jakość wizualnej strony gry, nadzorując wszystkie działy, które ją współtworzą (enviro, postaciowcy, koncepcjarze). Musi dbać o właściwą równowagę między różnorodnością świata gry a spójnością stylistyki (na przykład każda lokacja powinna być wyjątkowa, ale muszą razem tworzyć wyraźnie rozpoznawalną całość). [\[powrót\]](#)

Beta – następujący po alfie etap tworzenia gry, kiedy teoretycznie nie dodaje się już nic nowego, tylko dopracowuje to, co jest. Moment chwilowej ulgi, gdy

zespół zaczyna znów wierzyć, że mimo wszystkich trudności gra jednak się ukáže. [\[powrót\]](#)

Beta tester – wybraniec losu, który ma przyjemność testować grę w fazie beta, kiedy większość rzeczy jest już mniej więcej na swoim miejscu i wszyscy w studiu pracują pilnie nad usuwaniem błędów i podnoszeniem jakości produktu. [\[powrót\]](#)

Bijatyka – gatunek gry polegający na pojedynkach pomiędzy postaciami sterowanymi przez graczy. Najbardziej znanymi przykładami są *Mortal Kombat* i *Street Fighter* (PC) oraz *Tekken* (konsole). [\[powrót\]](#)

Bossfight – bardzo wymagająca walka z trudnym, najczęściej niepowtarzalnym w ramach gry przeciwnikiem (bossem). Bossfight to ostatnie, kluczowe wyzwanie, wieńczące dany poziom lub rozdział gry. Coś jak sesja egzaminacyjna na studiach. [\[powrót\]](#)

Bug – błąd w grze. Bugi mogą dotyczyć absolutnie wszystkiego: od błędów w kodzie poprzez nieprawidłowo zaprojektowane rozwiązania systemowe (np. system walki), postaci chodzące po wodzie, nieoczekiwane odpadanie kończyn, aż po drobnostki, które można naprawić jednym kliknięciem myszki.

Wyszukiwaniem bugów w grze zajmują się testerzy (czyli zespół QA), którzy następnie przypisują dany błąd osobie, a ta powinna go poprawić (lub też, opcjonalnie, oburzyć się, pobiec do pokoju testerów i zrobić awanturę, że to wcale nie bug). Bugi wywołują wiele emocji, zwłaszcza kiedy naprawienie jakiegoś zajmuje dużo czasu i blokuje pracę innych. Kontrowersje wzbudzają również błędy w dialogach – na przykład, czy żart, który rozumie tylko połowa zgromadzonych, to bug i należy go zastąpić jakimś mniej abstrakcyjnym? Ludzie rozstawali się w gniewie z dużo błahszych powodów.

Teoretycznie wszystkie bugi powinny być naprawione przed oficjalną premierą gry, ale oczywiście nigdy nie udaje się wyłapać absolutnie wszystkich

błędów. To bardzo irytujące. [\[powrót\]](#)

Bugtracker – program, który pozwala na zrobienie listy błędów i przekazanie danych bugów odpowiednim osobom, a następnie zatwierdzenie (lub nie) rozwiązania zgłoszonego problemu. Ulubioną opcją użytkowników bugtrackera jest przerzucanie swoich błędów na kogoś innego w nadziei, że się nie zorientuje i z rozpędu je poprawi. (Paweł Stentor poprawiłby, nawet gdyby się zorientował). [\[powrót\]](#)

Chaos – absolutnie niezbędny element pracy nad tworzeniem gry. Chodzą pogłoski, że niektóre firmy gamedevowe zdołały zminimalizować ten czynnik, wykorzystując sposób zarządzania projektem zwany scrumem, ale na pewno tylko tak mówią. Większość (w tym Nasty Oranges) po bożemu dalej stosuje waterfall, czyli płynie z nurtem, udając, że nie słyszy narastającego, złowróbnego szumu. [\[powrót\]](#)

Community – tworzą je grupy postaci tła rozsiane po świecie gry. Reprezentują zwykłych, nieciekawych ludzi, o których nikt nie chciał zrobić RPG-a. Dzięki odpowiednim animacjom w nieskończoność rąbią drewno na opał, kłócą się o ceny na targu, dłubią w nosie, bujają się na krzesłach przed domem, przechadzają się po ulicach albo zataczają przed barem. Z postaciami community najczęściej nie da się pogadać (mają przypisaną określoną liczbę reakcji, krótkich wypowiedzi i rozmów), ale główny bohater może wpływać na całą społeczność, co daje sporo frajdy. Np. jeśli wykona jakieś zadanie poboczne i uwolni miasteczko od plagi wampirów, następnej nocy przekona się, że wszyscy zamiast zamykać się w domach, wylegają na ulice, żeby się bawić, pić i zwiększać wskaźniki przestępczości. [\[powrót\]](#)

Cook – nagrana na nośniku wersja gry, działająca niezależnie od edytora. Podczas tworzenia gry na różnych etapach pracy można w nią zagrać, ale wtedy najczęściej uruchamiana jest bezpośrednio w edytorze, zaś z cooka – czyli

„sztywnej” wersji – korzysta się zwykle podczas oficjalnych prezentacji, żeby nie ryzykować crashu. Z każdej grywalnej wersji gry można zrobić cooka, który jest stabilny, ale z natury rzeczy oddaje faktyczny stan projektu (czyli na wczesnych etapach brak niektórych funkcjonalności, nagrań dialogów, optymalizacji itd.). Z ostatecznej, dopracowanej wersji gry zostaje przygotowany cook – gotowy produkt, który trafi do graczy. [\[powrót\]](#)

Crash – zwany bardziej swojsko wywałką (ale nie lubię tego określenia). Dramatycznie niespodziewana przerwa w działaniu programu, uniemożliwiająca dalszą pracę i – najczęściej – unicestwiająca bezpowrotnie wszystko, co dany osobnik zrobił od rana. [\[powrót\]](#)

Creative director – śmiały wizjoner, artysta, który decyduje o tematyce, fabule, nastroju i najważniejszych cechach gry. Oraz o najdrobniejszych drobiazgach, z których każdy traktowany jest jako dobry powód do małej wojny domowej. Creative director zazwyczaj jest niemal równy bogu (czyli game directorowi). Jak z samej nazwy wynika, od rana do wieczora powinien wypływać z siebie oryginalne, przełomowe i zaskakujące pomysły. Powszechnie uważa się, że dobry creative director to taki, który zmienia zdanie w kluczowych dla gry sprawach co najmniej trzy razy w tygodniu i doprowadził do załamania nerwowego chociaż jednego producenta. [\[powrót\]](#)

Crunch – okres intensyfikowania prac nad grą, przypadający na koniec projektu, kiedy okazuje się, że nie zdążymy na czas. Całe studio pracuje wtedy po godzinach oraz w weekendy, praktycznie wyrzekając się życia prywatnego.

Crunch to ostatnia prosta, kiedy trzeba zacisnąć zęby i sprintem dobiec do mety, ale przy dużych projektach pojawia się kilka razy (pod koniec ważnych faz tworzenia gry). Trwa średnio od tygodnia do roku (lub zgonu). Co ciekawe, crunch bywa uzależniający.

Można przywołać wiele anegdot związanych w crunchem (choćby sprawę listu otwartego, który wysłały do studia Rockstar San Diego żony

pracowników, żądając: oddajcie nam mężów!), ale tak całkiem serio to jeden z największych problemów tej branży. Gdyby jakaś gamedeveloperka została Miss Świata, powiedziałaaby, że najbardziej pragnie pokoju na świecie i żeby nie było crunchu. [\[powrót\]](#)

Cutscena – krótka sekwencja filmowa, wykorzystująca elementy świata gry (postaci, animacje, lokacje) dla najlepszego wyreżyserowania kluczowych dla fabuły scen. Cutsceny są odgrywane w bardzo precyzyjnie zaplanowanych momentach, gdy wymagana jest najwyższa możliwa jakość i płynność obrazu. Podczas cutscen gracz traci kontrolę nad postacią, co bywa irytujące, ale widowiskowość tych filmików zwykle wynagradza tę niedogodność. Zazwyczaj gry fabularne pod względem realizacji scenariusza składają się z trzech elementów: sekwencji gameplayowych (dających graczowi największą swobodę poruszania się w przestrzeni świata gry), cutscen oraz dialogów (gracz pozostaje aktywny, ponieważ postać zaangażowana w rozmowę dokonuje kolejnych wyborów, np. „Zgódź się”, „Odmów”, ale zazwyczaj nie może się poruszyć, dopóki nie zakończy dialogu). Znanym przykładem gry, która nigdy nie „zmusza” do obejrzenia cutsceny, jest *Half-Life 2*. [\[powrót\]](#)

Demo – niewielka część gry (np. krótki quest) prezentowana przed premierą w celu pochwalenia się, jaki nasz produkt będzie, prawda, wspaniały, i zakasowania wszystkich innych. Demo prezentowane jest na ważnych branżowych wydarzeniach (np. Electronic Entertainment Expo, tzw. E3, w Los Angeles) i zawsze, ale to zawsze robione w ostatniej chwili. Przygotowanie go to zazwyczaj wielka trauma dla całego zespołu – coś jakby crunch w crunchu, bo trzeba jednocześnie prowadzić zwykle prace nad projektem oraz cackać się z demo. Rzecz w tym, że demo nie ma pokazywać, na jakim obecnie etapie jest projekt, tylko jaki będzie efekt końcowy. W fazie alfy poskładanie kawałka gry, tak żeby wyglądał zachęcająco, to jak próba zmuszenia dwulatka, żeby podczas rodzinnego obiadu przez godzinę udawał doktora filozofii.

To, że w Nasty Oranges nie mówi się o demie, sugeruje, że mimo starań nie dali rady skończyć go na czas i nie mogli się nim pochwalić. Zawsze wydaje się, że tym razem to już na pewno nie zdążymy z demem, ale jednak w końcu się udaje, a pozytywne opinie dziennikarzy i widzów leją kojący balsam na rany po niehumanicznym crunchu. Trudno wyobrazić sobie frustrację zespołu, któremu za którymś razem podwinęła się noga i cały ten wysiłek poszedł na marne. [\[powrót\]](#)

Dev – jeden z twórców gry. Zwyczajowo przyjmuje się, że nie każdy pracownik firmy gamedevowej to dev (nie nazywa się tak osób zatrudnionych np. w dziale marketingu, administracji czy HR). Tradycyjnie głównym pożywieniem deva jest pizza (zwłaszcza w okresie crunchu), a ulubionym zajęciem po godzinach pracy nad grą – granie w inne gry. [\[powrót\]](#)

Edytor – program, w którym twórcy łączą elementy gry w całość. Najczęściej edytor składa się z wielu narzędzi – przeznaczonych głównie dla designerów, ale również i dla grafików. Edytor jest na bieżąco udoskonalany przez programistów w trakcie tworzenia gry, przez co bywa diabelnie niestabilny. [\[powrót\]](#)

Enviro – duży i bardzo ważny dział, obejmujący kilka różnych zespołów, w dużym uproszczeniu odpowiedzialny za całą wizualną stronę gry (oprócz postaci). Tworzą wszystko od warstw, po których poruszają się postaci, przez rzeźbę terenu (kaniony, pustynie, lasy), budynki, rzeki, drzewa po kamyki i kępy traw, oraz ustawiają kolorystykę i oświetlenie (kolor chmur, gra światła na wodzie). Zakres obowiązków artystów pracujących w dziale enviro często bywa płynny, ale ogólnie envirowców można podzielić na grafików 3D, level designerów, modelerów tekstur i oświetleniowców. [\[powrót\]](#)

Executive producer – szef wszystkich producentów i jedna z najważniejszych osób w firmie. Na podstawie informacji o postępach wszystkich zespołów

opracowuje plan produkcyjny najwyższego szczebla (tzn. próbuje ocenić, jak bardzo będzie opóźniona premiera gry), a oprócz tego zarządza budżetem (decyduje, kogo zatrudnić, kogo zwolnić, komu kupić nowy sprzęt i ile można wydać na imprezę sylwestrową) i reprezentuje firmę w oficjalnych wystąpieniach. [\[powrót\]](#)

Flashback – krótka retrospekcja w ramach gry, najczęściej wyróżniona nałożeniem jakiegoś filtra graficznego (np. obraz jest czarno-biały). Dobrym przykładem (aczkolwiek nie growym) są wycieczki w przeszłość, jakie odbywa Harry Potter dzięki myśłodsiewni. Flashbacki to bardzo kuszące rozwiązanie służące do wyjaśniania zawiłych części fabuły, jednak wprowadzenie zbyt wielu negatywnie odbija się na płynnym odbiorze gry (patrz: immersja). [\[powrót\]](#)

Gamedev – (ang. *game development*) proces tworzenia gier komputerowych; termin stosowany również w odniesieniu do branży. [\[powrót\]](#)

Game director – osoba podejmująca najważniejsze decyzje dotyczące wszystkich poziomów tworzenia gry – zarówno od strony technicznej, jak i artystycznej. Szef wszystkich team leaderów, odpowiada tylko przed head of studio. Ciągłe w ruchu, osobiście sprawdza postępy prac wszystkich działów w studiu. Nie wiadomo po co mu gabinet, bo nigdy w nim nie bywa, zajęty zaglądaniem każdemu przez ramię. [\[powrót\]](#)

Gameplay – bardzo wieloznaczny termin, zwykle tłumaczony na polski jako „rozgrywka”; najogólniej: sposób, w jaki gracz wchodzi w interakcję z grą. Może być postrzegany jako sama esencja gry (klasyczne *Super Mario Bros* to czysty gameplay). „Gra ma interesujący gameplay” – czyli oferuje oryginalną lub zróżnicowaną rozgrywkę. „Na gameplayu” – podczas tych partii gry, kiedy gracz ma największą swobodę w zakresie poruszania się postaci, nie jest zaangażowany w dialog, może eksplorować lokacje w dowolny sposób, biegać w kółko albo zaczepiać NPC-ów. [\[powrót\]](#)

Gameplay designerzy – bardzo wszechstronny dział, odpowiedzialny za charakterystyczne funkcjonalności gry. Projektuje i wprowadza do gry rozmaite systemy: m.in. mechanizmy walki, crafting (wytwarzanie przedmiotów z elementów „zbieranych” w grze, np. postać kupuje drut, deskę i gwoździe, po czym robi z nich pułapkę), levelowanie (rozwój umiejętności postaci). [\[powrót\]](#)

Genericowy – najbardziej obelżywe słowo w branży. Jeśli jakiś pomysł lub dialog jest genericowy to znaczy, że nie wykracza poza najbardziej banalne, wyświechtane i odtwórcze rozwiązania, jakie dotychczas zastosowano. Genericowy, czyli zenująca kalka kalki. Można też używać słowa genericowy w znaczeniu bardziej neutralnym, np. odnośnie do najczęściej stosowanych mechanizmów w grze (dla odróżnienia od rozwiązań wyjątkowych lub jednorazowych, czyli customowych), jednak zawsze to przyjemniej kogoś poobrazić. [\[powrót\]](#)

GUI – (ang. *Graphical User Interface*), interfejs graficzny, czyli sposób prezentacji informacji użytkownikowi (np. graczowi), umożliwiający interakcję, m.in. kontrolowanie ustawień. Czyli wszystkie te kolorowe przyciski, kontrolki, ikonki, zakładki i paski menu, które pozwalają zdecydować, że Finnley będzie używać rewolweru, a nie dubeltówki, sprawdzać, jakie przedmioty ma w ekwipunku, i aktywnie rozwijać zdolności postaci. Zwykle w grach cRPG można też zmieniać strój bohatera i np. rozebrać go do majtek, a do tego założyć mu wysokie buty, nabijane ćwiekami rękawice i indiański pióropusz – jeśli kogoś kręcą takie rzeczy.

Ilość czasu i kreatywnej energii poświęconych projektowaniu GUI jest odwrotnie proporcjonalna do skomplikowania jego wyglądu i wprost proporcjonalna do liczby odrzuconych wersji. Interfejs powinien być ładny, ale przede wszystkim prosty i funkcjonalny. Najlepsze GUI to takie, którego się prawie nie zauważa, bo korzystanie z niego jest bardzo naturalne i intuicyjne. Jeśli traficie na taki, zachęcam, żeby uważniej mu się przyjrzeć, bo twórcy na

pewno umiejętnie ozdobili go nienachalnymi, acz urokliwymi gadżetami (np. w *Red Dead Redemption* ikonę ładowania się gry przedstawiono w formie napelniającego się magazynka rewolweru). [\[powrót\]](#)

Head of studio – wszechwładna istota, odpowiedzialna za podejmowanie najważniejszych decyzji dotyczących aktualnego funkcjonowania i przyszłości studia. Zajmuje się zarówno sprawami administracyjnymi i finansowymi, jak i personalnymi (to ostatnie obejmuje uciążliwy obowiązek pogodzenia wiecznie zwaśnionych tytanów, czyli przede wszystkim creative directora i game directora). Szef szefów, najczęściej zbyt zabiegany i nerwowy, żeby w pełni nacieszyć się okazywanym mu przez pracowników szacunkiem, podziwem i współczuciem. [\[powrót\]](#)

Immersja – jedno z najmodniejszych słów w branży; najlepiej wymawiać, wyraźnie podkreślając podwójne „m”. Jeśli po godzinie grania zaczynasz wierzyć, że jesteś wiedźminem, orkiem albo asasynem, to znaczy, że gra ma naprawdę dobrą immersję (albo że ci w końcu odbiło). Immersja to coś więcej niż wrażenie, że gra jest wciągająca – chodzi o osobiste zaangażowanie, uczucie, że rzeczywiście przebywasz w świecie gry i utożsamiasz się ze swoim bohaterem, przeżywasz jego problemy i dylematy. Immersję zakłóca zbyt częste przerywanie toku wydarzeń (np. przez flashbacki), nieumiejętne przeplatanie partii gameplayu, dialogów i cutscen lub wyraźne zaburzenie psychologicznej wiarygodności postępowania postaci (rodzaj tzw. dysonansu ludonarracyjnego – bohater gry, z którym utożsamia się gracz, zachowuje się w sposób całkowicie sprzeczny z jego charakterem, np. cyniczny, męski twardziel – Geralt z Rivii albo John Marston – zamiast rzucać krótkimi, ciętymi uwagami, nagle mówi do swojej kobiety: „No kto jest moim słodkim śkalbem, no kto, pusi-dziubdziusiu?”. Brrr!). [\[powrót\]](#)

Implementacja questów – bolesne i pracochłonne przejście od teorii do praktyki: przygotowane wcześniej projekty questów są realizowane w edytorze gry przy

użyciu gotowych podzespołów, czyli elementów grafiki, skryptów, dialogów. Zajmują się tym quest designerzy, którzy umieszczają postaci w danych lokacjach, przypisują im odpowiednie animacje i pozy, umożliwiają interakcje z innymi postaciami i elementami świata gry, tworzą strukturę dialogów, budują pułapki, szczują potworami i na sto różnych pomysłowych sposobów wykorzystują dostępne mechanizmy gameplayowe (i przez cały czas improwizują, bo albo narzędzia nie działają, albo brakuje funkcjonalności, pozwalającej zrealizować pomysł, który na papierze wydawał się taki obiecujący). To trochę tak jakby dziesięcioletni Leonardo da Vinci dostał wielkie wiadro klocków Lego i rodzinę tresowanych myszy. [\[powrót\]](#)

Indie – gry indie, czyli niezależne (od ang. *independent*), tworzone przez bardzo małe zespoły lub nawet jedną osobę. Gry indie (nazywane swojsko indykami) powstają bez finansowego wsparcia wydawców, dlatego zazwyczaj są krótsze i prostsze niż gry komercyjne, ale za to oferują oryginalne rozwiązania – a przynajmniej miłą świadomość, że oto obcujemy z produkcją alternatywną, nieszablonową. Obecnie każdy chciałby być indie, czyli buntownikiem-pasjonatem, który składa grę w garażu szwagra na przypadkowo dobranym sprzęcie, ale jednocześnie nie rezygnować z miana uznanego profesjonalisty. Ale udaje się to tylko niektórym. [\[powrót\]](#)

Iteracja – termin zapożyczony z analizy matematycznej i programowania. W gamedevie iteracyjność oznacza metodę pracy opartą na wielokrotnej realizacji zadań w celu uzyskania najlepszego możliwego rezultatu. W praktyce jest to zgrabne połączenie syzyfowej pracy z upartym dążeniem do perfekcji. Projektujemy quest, oceniamy go, wyrzucamy do kosza, zaczynamy projektować od nowa, stwierdzamy, że jednak to całkiem nie to, wywalamy, próbujemy jeszcze raz, uznajemy, że druga połowa jest w porządku i wywalamy tylko pierwszą, oceniamy, wywalamy wszystko, zaczynamy od nowa, przywracamy jedną trzecią którejś starszej wersji, znowu wszystko do

kosza, dostajemy głupawki, zaczynamy od nowa. A potem jeszcze raz. I tak ze wszystkim – od mechanizmów gameplayowych po grafikę. [\[powrót\]](#)

Kickstarter – działająca od 2009 roku crowdfundingowa strona internetowa, za pośrednictwem której zbierane są fundusze na różne projekty. Ktoś przedstawia tam swój pomysł na grę, film, komiks itp., a ci, którzy uważają, że warto wesprzeć danego twórcę, wpłacają na ten cel dowolną sumę pieniędzy. Fani dokonujący wpłat mogą liczyć na różne nagrody, np. w przypadku gier, zależnie od wysokości kwoty, dostęp do wewnętrznego forum i betatestów, gadzety związane z grą (tapety, szkice koncepcyjne, prezentacje bohaterów), samą grę lub możliwość użyczenia swojego wyglądu i nazwiska postaci w grze. [\[powrót\]](#)

Klatki na sekundę – ang. fps, *frame per second*, współczynnik dotyczący animacji i filmów, decyduje o płynności obrazu. W przypadku gier komputerowych jest zmienny i zależy od wydajności sprzętu oraz stopnia zabugowania gry. Gra jest płynna przy 30 fps, spadek jakości odczuwa się przy 20 fps, a przy 15 tak się zaczyna, że rozglądasz się za czymś ciężkim i poręcznym.

Fps jest szczególnie istotny (o wiele ważniejszy niż jakość grafiki) w strzelankach, zwłaszcza wieloosobowych, gdzie ułamki sekund decydują o tym, czy zabijesz wroga, czy sam zginiesz. Najlepiej sprzedająca się gra tego typu, *Call of Duty*, wyciąga 60 fps przy spełnieniu wymagań sprzętowych. [\[powrót\]](#)

Koncepciarze – (ang. *concept artists*) zespół artystów odpowiedzialny za przygotowanie szkiców postaci, budynków, potworów, maszyn oraz innych elementów, które będą występować w grze. Szczegóły ich projektów zwykle zmieniają się w toku realizacji, jednak powinny zachować stworzoną przez nie atmosferę i styl. Można powiedzieć, że najważniejszym zadaniem koncepciarzy jest inspirowanie innych poprzez porywającą wizję artystyczną. [\[powrót\]](#)

Living world – zmieniające się otoczenie w świecie gry, imitujące świat rzeczywisty – cykl dnia i nocy, zmiany pogody, postaci niezależne spacerujące na ulicach miast, zwierzęta biegające po lesie, dźwięki rozmów zza okna, odgłosy lasu. [\[powrót\]](#)

Lokacja – lokacja to wymodelowany przez grafika 3D obszar, który jest odpowiednio udekorowany, oświetlony i przygotowany dla designerów, którzy implementują na nim wydarzenia. W rozumieniu questowym lokacja to charakterystyczny, stanowiący określoną całość obszar, bezpośrednio związany z wykonywanym zadaniem (np. ponury zamek, do którego trzeba się dostać, żeby zabić wampira, albo wyspa, na której coś ukryto). [\[powrót\]](#)

Mainquest – przygody (questy) składające się na główną linię fabuły. Mainquestom poświęca się o wiele więcej uwagi niż zadaniom pobocznym, bo muszą tworzyć dobrze zaprojektowaną, spójną całość i – przede wszystkim – mieć sens (to nie zawsze jest takie oczywiste). [\[powrót\]](#)

Metacritic – strona zbierająca recenzje filmów, gier komputerowych, albumów muzycznych i prezentująca średnią ocen (www.metacritic.com). Obecnie jeden z najważniejszych mierników sukcesu danego tytułu. Dla przykładu *Wiedźmin 2* osiągnął 88 punktów, *The Last of Us* 95, a film *Ojciec chrzestny* 100 punktów (czyli maksimum). [\[powrót\]](#)

Milestone – wyznacza zakończenie ważnego etapu tworzenia gry (w sensie produkcyjnym). Bardzo ważnym milestone'em jest na przykład koniec alfy. [\[powrót\]](#)

Nielorowy – niezgodny z lore, czyli dość precyzyjnie zdefiniowanym światem gry. Elementy nielorowe (w opozycji do lorowych) nie pasują do zasad wykreowanego świata bądź je łamią. Np. w grze *Wiedźmin* nielorowe byłyby rewolwery, a w RFF potwory i czarodziejki (ech, trochę szkoda). Terminy lorowy i nielorowy bywają używane przenośnie. [\[powrót\]](#)

Noob – świeżak, który nie ma o niczym pojęcia, a czego się nie tknie – zepsuje. Określenie zwykle stosowane pod adresem nowych, niezbyt rozgarniętych użytkowników gier wieloosobowych. [\[powrót\]](#)

NPC – ang. *Non-Playable Character*, postać niezależna, tak nazywamy wszystkie postaci w grze poza głównym bohaterem (bohaterami), którym steruje gracz. NPC-e to postaci zarówno pierwszoplanowe (sojusznicy, wrogowie, przyjaciele), jak i drugo-, trzecio- i czwartoplanowe (beziemienni kupcy, milczący drwale, podejrzliwe staruszki lub mali chłopcy, których jedynym zadaniem w grze jest bieganie gdzieś w tle i wznoszenie piskliwych okrzyków). W RFF NPC-ami są wszyscy poza Finnleyem (Avery, Ezra Baird, Charles Siringo itd.). [\[powrót\]](#)

Onscreeny – wszystkie występujące w grze teksty poza dialogami czyli treść ogłoszeń, listów, notatek, dzienników, które są przedmiotami interaktywnymi (można je przeczytać, co często zwiększa wiedzę postaci lub pozwala odblokować kolejną część questu), a także komunikaty gameplayowe, nazwy statystyk, teksty związane z funkcjonowaniem gry. [\[powrót\]](#)

Pacing – rytm określający dynamikę wydarzeń w grze, bardzo ważny wyznacznik jakości rozgrywki. Jeśli po dwudziestu minutach pasjonujących sekwencji walki przez następną godzinę nic się nie dzieje, to znaczy, że z pacingiem jest coś mocno nie tak. [\[powrót\]](#)

Pitch – wstępny zarys historii, zawierający ogólny pomysł na fabułę, puentę i punkty zwrotne opowieści, przedstawiany do akceptacji game directorowi (lub head of studio). Jeśli się spodoba, można przejść do opracowywania szczegółowego przebiegu historii. [\[powrót\]](#)

Postaciowcy (ang. *character team*) – graficy, którzy tworzą trójwymiarowe postaci występujące w grze. Modelując je, opierają się na projektach przygotowanych w 2D przez koncepciarzy (concept artists). Postaciowcy są odpowiedzialni za

sylwetki postaci, rysy twarzy, dobór stroju i dodatków, fryzurę i charakterystyczne cechy wyglądu, które sprawiają, że dany bohater jest rozpoznawalny. [\[powrót\]](#)

Producent – pierwsze skojarzenie z krezusem, który finansuje stworzenie filmu, jest w tym przypadku błędne. W gamedevie producent to osoba odpowiedzialna za dopilnowanie, aby określone zadania zostały wykonane w wyznaczonym terminie oraz zlecenie niektórych prac zewnętrznym podwykonawcom. Kompetencje, zakres obowiązków i status producenta zmieniają się w zależności od firmy: w niektórych są wpływowymi menadżerami, w innych tylko sekretarzami.

Producent przypisany do konkretnego zespołu estymuje, ile zajmie zrealizowanie zamierzonych celów, dba, by zadania były przydzielane rozsądnie i sprawiedliwie, stara się zapewnić wszystkim optymalne warunki pracy (pośredniczy w kontaktach z innymi teamami, zgłasza problemy, załatwia sprawy organizacyjne), a gdy okazuje się, że na pewno nie uda się zrobić wszystkiego na czas (dzieje się tak w jedenastu przypadkach na dziesięć), staje na głowie, żeby dla dobra projektu elastycznie i kreatywnie rozdysponować zasoby zespołu poprzez zintensyfikowanie prac (tzn. zarządza crunch).

Przeciętny dev w głębi serca uważa producentów za pasożytniczą narośl na zdrowej tkance zespołu (przecież nic nie robią, tylko poganiają Prawdziwych Twórców!), zaś z moich obserwacji wynika, że przeciętny producent podchodzi do tego z zaskakującą wyrozumiałością (podejrzewam, że czerpią siłę duchową z tych kolorowych tabelek. Ale serio – producenci uwielbiają tabelki). Warto wiedzieć, że istnieje też hybryda deva i klasycznego producenta czyli producent kreatywny, który nie tylko rozplanowuje prace zespołu, ale też bierze w nich udział. Zazwyczaj do takiego połączenia funkcji dochodzi w przypadku, gdy producent rekrutuje się z teamu, którym ma się odtąd opiekować (czyli ogarniać wszystko na tyle sprawnie, że spoczęło na nim Sauronowe oko executive

producera) – nieszczęśnik taki przyjmuje na siebie nowe obowiązki, ale nie chce rezygnować z pracy twórczej.

Producenci nie tworzą zespołu, lecz są uporządkowani według struktury hierarchicznej – producenci poszczególnych działów podlegają head producerowi, on z kolei executive producerowi, odpowiedzialnemu przed samym szefem studia. [\[powrót\]](#)

QA – (ang. *quality assurance*) czyli team testerów, odpowiedzialny za wyłapywanie błędów w grze, co ma zapewnić odpowiednio wysoką jakość produktu. Dla wielu quest designerów, gameplayowców czy programistów praca w dziale QA to początek kariery w gamedevie. Każdy tester nosi w plecaku buławę game directory (tzn. jest obiecującym materiałem na znanego i szanowanego pracocholika). [\[powrót\]](#)

Quest – inaczej przygoda; część fabuły gry tworząca pewną zamkniętą całość i zwykle utrzymana w jednorodnej konwencji gatunkowej. Quest to konkretne zadanie do wykonania (główny bohater musi np. zdobyć jakiś ważny przedmiot, rozwiązać zagadkę, przeprowadzić śledztwo lub odnaleźć jakąś osobę), a za jego wykonanie bohater otrzymuje nagrodę (bywa, że dość przewrotną) lub zdobywa nową umiejętność. Questy, z których zbudowana jest fabuła gry, łączą się ze sobą w sposób liniowy (aby rozpocząć quest B, trzeba ukończyć najpierw quest A) lub nieliniowy (questy A i B mogą być wykonywane równocześnie). Przygody dzielą się na obowiązkowe (tworzące główną linię fabularną, czyli main) oraz dodatkowe, poboczne (sidequesty). Dla wygodnego identyfikowania questów zwykle są im nadawane tytuły, tak jak rozdziałom w książce. [\[powrót\]](#)

Quest designerzy – inaczej questowcy, quest team. Zespół, który zajmuje się wymyśleniem fabuły gry, zaimplementowaniem jej w edytorze (patrz: implementacja) oraz napisaniem dialogów. Questowiec to scenarzysta, reżyser i montażysta w jednym. W niektórych studiach te zadania są podzielone między

dwa odrębne zespoły: story i quest design (story odpowiada za wymyślanie fabuły i pisanie dialogów, questowcy za implementację), zaś w jeszcze innych (np. w Ubisofcie) questowcy zajmują się również elementami level designu, czyli przygotowaniem lokacji w taki sposób, by quest wykorzystywał dostępne funkcjonalności w jak najbardziej oryginalny i twórczy sposób. [\[powrót\]](#)

Review – wewnętrzna, powtarzalna recenzja niewielkiej części gry. Na przykładzie działu questowców: kiedy jakiś quest jest uznany za gotowy, wszystkie szycy zasiadają w salce prezentacyjnej i urocząście go testują. Z reguły nic im się nie podoba, zgłaszają tysiące sprzecznych uwag i odsyłają quest do poprawki. Kiedy zmiany są już wprowadzone, quest wraca na kolejne review i wszystko się powtarza. I tak w nieskończoność. Celem tej męczarni jest podniesienie jakości gry poprzez pracę w kolejnych iteracjach. Ostateczny efekt najczęściej wynagradza wszelkie trudy, ale podczas samego procesu czasami trudno w to uwierzyć. [\[powrót\]](#)

RPG – (ang. *Role Playing Game*) czyli gra fabularna. Tak naprawdę w odniesieniu do gamevedu mówimy o cRPG, czyli komputerowej grze fabularnej, ale potocznie mówi się o RPG jako gatunku, w którym gracz steruje bohaterem poruszającym się w charakterystycznym świecie gry. Ważnymi cechami komputerowej gry fabularnej jest rozwój postaci, swoboda poruszania się i eksplorowania kolejnych lokacji, wykonywanie zadań (questów), możliwość wyboru taktyki rozwiązywania problemów oraz budowanie relacji z innymi postaciami. Ale najważniejsza jest historia, którą poznajemy w trakcie gry – bez dobrej, wciągającej fabuły nie ma prawdziwego RPG. [\[powrót\]](#)

Sidekick – NPC, który przez pewien czas towarzyszy głównemu bohaterowi i pomaga mu w wykonaniu zadania. Z założenia każdy sidekick powinien być przynajmniej o 30% brzydszy, głupszy i bardziej nieporadny od głównego bohatera (no, chyba że sidekick jest kobietą). [\[powrót\]](#)

Sidequest – zadanie poboczne, czyli quest, którego ukończenie nie jest konieczne, by móc „popychać akcję do przodu”. Sidequesty służą zwykle lepszemu poznaniu jakiejś postaci, pełniejszej eksploracji świata (zadanie wysyła nas do mniej uczęszczanych lokacji), wzbogaceniu fabuły o dodatkowe wątki lub stanowią miły przerywnik (zwłaszcza jeśli questy obowiązkowe narzucają szybkie tempo lub wprowadzają dużo informacji). W procesie tworzenia fabuły do sidequestów przywiązuje się nieco mniejszą wagę niż do mainquestów – i paradoksalnie dzięki temu czasem wypadają o wiele lepiej niż zadania obowiązkowe (bo presja nie jest tak silna i questowcowi pozwala się na większą swobodę twórczą). [\[powrót\]](#)

Spawnowanie się – czyli techniczne pojawianie się postaci w grze. Osoba implementująca quest wyznacza postaci konkretne miejsce, w którym ma się pojawić (np. po otwarciu drzwi domu) w danym momencie. Osobom, które pracują przy powstawaniu gry, bardzo często śni się, że spawnują się w jakiejś lokacji. Najczęściej są to koszmary. [\[powrót\]](#)

Stand-up – niestety niewiele ma wspólnego z występami komików. To krótkie spotkanie organizacyjne, zazwyczaj prowadzone na początku dnia przez producenta opiekującego się danym zespołem (odbywa się na stojąco, aby trwało jak najkrócej, stąd nazwa stand-up). Omawiane są wtedy postępy bieżących prac poszczególnych osób, najbliższe plany oraz problemy, które utrudniają wykonanie zadań na czas. Producent stara się również dyskretnie zasiać w zespole bojaźń Bożą, wspominając co chwila o najbliższych deadline’ach. [\[powrót\]](#)

Story – fabuła gry. W grach RPG najpierw powstaje szkic historii, a dopiero potem cała reszta. W mniejszych studiach projektowaniem fabuły zajmuje się team questowców, zaś w większych zwykle istnieje specjalny dział pisarzy-scenarzystów (nazywany również teamem story) odpowiedzialny za wymyślenie całej historii, którą następnie dział questowców tnie na questy

i implementuje, a gdy wszystko jest już gotowe, scenarzyści piszą dialogi. [\[powrót\]](#)

Story dump – przykry i niezręczny moment, kiedy jakaś postać w grze opowiada rozwlekle, o co tak naprawdę chodzi w tej historii. Fabuła i dialogi są zwykle projektowane tak, żeby uniknąć podobnych sytuacji: motywacje postaci i znaczenie wydarzeń powinny być ukazane płynnie w miarę poznawania historii, a nie wyjaśniane łopatologicznie i za jednym zamachem. Japońskie gry fabularne, cechujące się bardzo charakterystyczną, odmienną od zachodniej estetyką, są pełne story dumpów – poznajemy jakąś postać, a ona jednym tchem opowiada nam całą historię swojego życia i wyjaśnia, że w tej oto grze będzie mścić swoją zamordowaną siostrę (po czym opowiada historię życia siostry). [\[powrót\]](#)

Stringi – brzmi zabawnie, ale gdy pada baza stringów, naprawdę nikomu nie jest do śmiechu. String to element tekstowy w grze – wpis z dziennika, opis przedmiotu, linia dialogowa – który identyfikowany jest za pomocą numeru. Dzięki temu można łatwo operować owymi elementami przy tworzeniu gry: wystarczy podać numer, zamiast wpisywać tekst milion razy, ryzykując pomyłki. Baza stringów zaś to zewnętrzna baza (serwer), która przetrzymuje wszystkie te elementy i ich różne wersje językowe pod postacią kolejnych numerów; jest podłączona do silnika gry w sposób sieciowy. Gdy połączenie pada, nagle znikają wszystkie teksty i następuje armagedon. [\[powrót\]](#)

Tabela – dokument umożliwiający producentowi sprawdzanie na bieżąco i koordynowanie pracy zespołu. Teoretycznie każdy przed wyjściem do domu powinien uzupełnić tabelkę i zapisać, ile godzin spędził nad konkretnym zadaniem, a ile planuje jeszcze spędzić w najbliższych dniach, ale wszyscy nagminnie o tym zapominają. [\[powrót\]](#)

Task – zadanie, które wyznacza członkowi zespołu team leader. Terminowe wykonanie taska nadzoruje przypisany do zespołu producent, zazwyczaj za pomocą uprzejmych pytań ponawianych w odstępach półgodzinnych: „Jak mogę ci pomóc, żebyś skończył to na czas?”, „Myślisz, że skończysz to na czas?”, „Zdajesz sobie sprawę, że musisz skończyć to na czas?”, „Wczoraj deklarowałeś, że skończysz to na czas, prawda?”, „Konkretnie dlaczego nie możesz skończyć tego na czas?”. Bardziej gorliwi producenci wysyłają oprócz tego mailowe przypominajki albo przystają na korytarzu i przyglądają ci się z namysłem, licząc, ile czasu tracisz na wyjście do łazienki. Tryumfalne zakończenie taska należy zaznaczyć w tabelce odpowiednim kolorem, a wtedy producenta – niezależnie od tego, jak daleko znajduje się od komputera – przejmie tajemny dreszcz excelowej rozkoszy. [\[powrót\]](#)

Tester – „Ale masz fajnie: idziesz do pracy i cały dzień po prostu grasz sobie w grę!”. Taaak. Wbrew pozorom testerzy to ciężko pracujący ludzie, którzy żeby dobrze wykonywać swoje zadania, powinni znać się praktycznie na wszystkim (czyli... hm, być game directorami?). Granie w grę może się wydawać czystą przyjemnością, ale jeśli edytor crashuje się co minutę, a ty wiesz, że musisz przejść tego questa około stu razy, robi się jakby mniej wesoło... Ha, rzecz w tym, że na przekór wszystkiemu testerzy to najbardziej radosny i entuzjastyczny zespół. Zazwyczaj też najliczniejszy. I naprawdę umieją tego imprezować nawet w środku crunchu. [\[powrót\]](#)

Wyshipować – wyprodukować i wydać; wyshipować grę, czyli zrealizować plan produkcyjny i przez łzy zmęczenia i ulgi zobaczyć efekt: gotową grę stojącą na półkach w sklepie. [\[powrót\]](#)

Podziękowania

Początkowo ta powieść miała być krótkim opowiadaniem. Proszę się nie śmiać. Część winy za to, że się tak straszliwie rozrosła, ponoszą wszyscy ci, którzy mi wytrwale pomagali, udzielali wywiadów, odpowiadali na niekończące się pytania natury technicznej (a potem długo tłumaczyli, jak rozumieć odpowiedź), inspirowali, słuchali o moich planach i wątpliwościach, a nawet – o nierozważni! – zachęcali, żebym pisała dalej. Chciałam im wszystkim podziękować za wsparcie, informacje, dzięki którym dowiedziałam się, jak wygląda praca w różnych studiach gamedeveloperskich, oraz cierpliwość. A zatem dziękuję BD za niezawodność i troskę, Mer, Monice, Kaś, Marchewie i Panulidu za krytyczne uwagi i czas poświęcony na uważną lekturę tekstu, Mr. Sheremowi za zdefiniowanie najbardziej egzotycznych kwestii technicznych, a także Shinnowi, Viriousowi, Flashowi i Blaisehardtowi. Szczególne podziękowania należą się Etrieli i Sugarowi, a także tym, którzy wspierali mnie w pracy nad przygotowaniem tekstu do wydania: Andro, Krystianowi, Ani, Wojtkowi, Magdzie i Lucy.

I jeszcze kilka uwag odautorskich: wiedzę na temat wierzeń Indian kanadyjskich (Pierwszych Narodów) czerpałam przede wszystkim z książki *Legendy Indian kanadyjskich* Elli Elizabeth Clark (bardzo interesująca lektura, chociaż zawarta we wstępie informacja, że podania owe zostały ocenzurowane, zasmuciła mnie i pozostawiła wrażenie straty).

Charles Angelo Siringo istniał naprawdę (1855–1928), a o jego przygodach można poczytać w autobiograficznych zapiskach zatytułowanych *A Cowboy*

Detective: A True Story of Twenty-Two Years With A World-Famous Detective Agency. Wszystkie inne postaci są fikcyjne.

Nie wymyśliłam sama żadnego z sucharów, którymi Asia Sosnowska sypie jak z rękawa, natomiast przekłady cytowanych fragmentów gier *King of Dragon Pass* oraz *Uncharted. Drake's Fortune* są mojego autorstwa.

© Copyright by Soda Studio & Sasza Hady, Dębica 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone

Korekta:

Dorota Trzcinka, Magdalena Weimer, Maciej Jakubowski

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Jasiek Krzysztofiak

Przygotowanie plików EPUB i MOBI:

Magdalena Kolanko

e-ISBN 978-83-943554-1-8

Wydanie pierwsze (e-book)

Dębica 2015

Soda Studio

Pustynia 167 E

39-200 Dębica

Spis treści

Karta tytułowa
Spis postaci istotnych dla fabuły
Prolog
Jasiek Ritmeijer znika
Marcin nie jest zainteresowany
Rzuć banana
Ze strategicznego punktu widzenia
Część pierwsza. Chaos
Rozdział pierwszy. Środa 27 listopada 2013
Siedmiu na jednego
Nowa dziewczyna
Obóz modrzewi
Rundka po studiu
Pierwszy wpierdol
Kiedy to się skończy?
Rozdział drugi. Czwartek 28 listopada
Pojawia się Julka
Poranek w Nasty Oranges
Dwunasty crash
Cała prawda o producentach. Kacper
Duch Jaśka Ritmeijera
Cała prawda o producentach. Tomek
Rudy, piegowaty
Pani Celina i Surykatka
Zupełnie niewarszawskie miejsce
Rozdział trzeci. Wtorek 3 grudnia
Przejdę ci to
Poranne refleksje Mazurka

Kto nie lubi Andrzeja Domańskiego?
Hejdasz się stara
Zaburzenie w Mocy
Szampon dla prawdziwych mężczyzn
Wieczór z Julką
Niejasne przeczucie zguby
Rozdział czwarty. Piątek 6 grudnia
Nie rozmawiamy o demie
Krzysiek gubi kartę
Śledztwo
Hm, hm
Polowanie na Mata
Danka trenuje
Wszyscy razem
Rozdział piąty. Sobota 7 grudnia
Dziewczyna o białych włosach
Zasadzka
Wszyscy jesteście nienormalni
Idealne miejsce
Część druga. Szaleńcy i dranie
Rozdział szósty. Poniedziałek 9 grudnia
Sygnały
Wreszcie coś się wyjaśnia
Dzentelmeni
Nad jeziorem Clearwater
Nie dotykaj mnie
Rozdział siódmy. Środa 11 grudnia
Miłość mojego życia
Wyścigi
Ochotnik

Pomarańczowy grzbiet
Drugi wpierdol
Lucid Dreams
Nasty Oranges nocą
Plotki
Rozdział ósmy. Czwartek 12 grudnia
Najlepszy kolor
Panowie, mamy to
Minus trzy punkty
Nowe możliwości
W gęstym lesie
Marta wzywa rycerza
Interwencja
Ghost Rider kontra Vergil
Opowieść Danki
Notes
Ojcowska troska
Rozdział dziewiąty. Sobota 14 grudnia
Harley Quinn
O czym myśli pomarańcza
Dojrzała i rozsądna
Paweł Stentor jest zaintrygowany
Nie bądź głupi
U frenologa
Rozdział dziesiąty. Poniedziałek 16 grudnia
Krzysiek znajduje Ritmeijera
Puma i Roszpunka
Rycerz przybywa
Złe sny
Nawet w środku nocy

Wracamy do domu
Rozdział jedenasty. Wtorek 17 grudnia
Nie tym razem
Kręgi na wodzie
Czego chce Avery Liddell?
Ostatnie okrążenie
Padme i Jon Snow
W końcu musi zadziałać
Jestem kojotem
Klucz
To się nie może tak skończyć
Rozdział dwunasty. Piątek 20 grudnia
Zupełnie niespodziewanie – Święta
Magia crunchu
Odebrane: 1
Niejaki O'Reilly
Cały na białło
Wieczór w domu
Załatwione
Niespodzianka
Miraż ostatniej iteracji
Jak ubierają się superbohaterki
Big bada bum
Jeśli tylko to cię kręci
Rozdział trzynasty. Sobota 21 grudnia
Bingo
Krzyk nad wodą
Lubisz mnie?
Dobre nowiny
W potrzasku

Pomysł na pomysł
Koniec dyskusji
Wszystko, co najlepsze
To nie to, co myślisz
Część trzecia. Na końcu wchodzi ninja
Rozdział czternasty. Piątek 27 grudnia
Najlepszy prezent
Andrzej szuka pocieszenia
Wszystko się sypie
Drapieżna i szlachetna
Odgórna decyzja
To muszą być hormony
Marcin się poświęca
Rozdział piętnasty. Wtorek 31 grudnia, sylwester
Zawsze miałam do ciebie słabość
Wojtek
Ostatni
Impreza. Obecni i nieobecni
Wersja Marcina
Gaśnie światło
Finał
Słownik
Podziękowania
Karta redakcyjna